

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



WIKTOR HUGO

**KATEDRA MARIII PANNY
W PARYŻU**

**Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001**

PRZEDMOWA AUTORA

Przed kilku laty autor tej książki, zwiedzając katedrę Marii Panny czy też, jak by powiedzieć raczej należało, myszkując w jej wnętrzu, w ciemnym zakątku jednej z wież odnalazł wyryte ręką na ścianie słowo:

ΑΝΑΓΚΗ

Te litery greckie, szerniały ze starości i dość głęboko wyrżnięte w kamieniu, oraz jakieś znamienne dla gotyckiego pisma właściwości ich kształtu i nachylenia zdradzające, że wypisała je tutaj średniowieczna ręka, nade wszystko zaś ich sens fatalny i ponury – głęboko poruszyły autora.

Zastanawiał się i usiłował odgadnąć, cóż to za dusza udęczona przed rozstaniem się ze światem zapragnęła położyć ów znak zbrodni czy nieszczęścia na czole starego kościoła.

Później otynkowano czy też zdrapano mur (sam już zresztą nie pamiętam który) i napis znikł. Tak bowiem postępuje się od lat dwustu już prawie z cudownymi kościołami średniowiecza. Kaleczy się je i niszczy ze wszystkich stron, i z zewnątrz, i wewnątrz. Ksiądz je tynkuje, architekt je skrobie; a później przychodzi lud, który je burzy.

Tak więc, prócz kruchego wspomnienia, które mu tu poświęca autor tej książki, nic już nie zostało dzisiaj z tajemniczego słowa wyrytego w mrocznej wieży katedry Marii Panny. Nic nie zostało z nieznanego losu, który streściło ono tak melancholijnie. Człowiek, który wypisał był to słowo na tej ścianie, znikł spośród żywych kilka wieków temu, z kolei i słowo znikło ze ściany kościoła, być może kościół już wkrótce także zniknie z powierzchni ziemi. O tym słowie napisana została ta książka.

Marzec, 1831

PRZYPIS AUTORA DO WYDANIA Z ROKU 1832

Ogłoszono mylnie, że wydanie to rozszerzone zostanie o kilka nowych rozdziałów. O rozdziały nie drukowane dotychczas – tak by powiedzieć należało. Jeżeli bowiem przez określenie „nowe” rozumiemy „nowo napisane”, to rozdziały umieszczone po raz pierwszy w tym dopiero wydaniu zgoła nie są „nowe”. Powstały one podczas pracy nad resztą dzieła; pochodzą z tego samego okresu i wywodzą się z tej samej myśli; były od początku częścią rękopisu *Katedry Marii Panny w Paryżu*. Co więcej, autor nie rozumie w ogóle, jak można po skończeniu pracy tego rodzaju dodawać do niej nowe wątki. Nie robi się tego dowolnie. Zdaniem autora powieść rodzi się od razu ze wszystkimi swoimi rozdziałami w sposób niejako konieczny; ze wszystkimi scenami swoimi rodzi się dramat. Nie wyobrażajcie sobie, że dowolna jest liczba części składających się na tę całość, na ten tajemniczy mikrokosmos, który nazywacie dramatem lub powieścią. Na nic tu się zda lutowanie, nie przyjmują się szczepionki na dziełach tej natury, muszą one wytryskać jednym strumieniem – i takie, jakie są, pozostać. Skoro je raz ukończycie – nie pozwólcie się ogarnąć wątpliwościom, nie poprawiajcie niczego. Skoro książka została ogłoszona drukiem, a płeć dzieła – męska czy niemęska – została rozpoznana i obwieszczona, dziecko wydało pierwszy krzyk, urodziło się, jest, jest takie, a nie inne, i ani ojciec, ani matka nic już w nim zmienić nie mogą, należy do powietrza i do słońca, pozwólcie mu żyć czy umierać takim, jakie jest. Nie udała ci się książka? Trudno! Nie dodawaj rozdziałów do nieudanej książki. Jest niepełna? Trzeba było uzupełnić ją wtedy, kiedyś ją płodził. Twoje drzewo ma pień krzywy, sękaty? Już go nie wyprostujesz. Twoja powieść jest suchotnicza? Twoja powieść nie jest zdolna do życia? Nie dodasz jej oddechu, jeśli go jej brak. Twój dramat urodził się kulawy? Wierzaj mi, nie dodawaj mu drewnianej nogi.

Autor przywiązuje więc szczególną wagę do tego, aby publiczność wiedziała, że dodane tutaj rozdziały nie zostały umyślnie dla tego nowego wydania napisane. Nie weszły one do poprzednich wydań z bardzo prostej przyczyny. Kiedy *Katedrę Marii Panny w Paryżu* drukowano po raz pierwszy, zaginęła teczka z tymi rozdziałami. Należało więc albo napisać je po raz wtóry, albo się bez nich obejść. Ponieważ dwa z nich, nieco istotniejsze ze względu na objętość, były rozdziałami traktującymi o sztuce i historii i nie dodawały nic zgoła do dramatycznego wątku powieści, autor uznał, że publiczność nie dostrzeże nawet ich braku i że tylko on jeden będzie znał tajemnicę tej luki. Postanowił więc po prostu je opuścić. A wreszcie, żeby wyznać całą prawdę, jego lenistwo cofnęło się przed ponownym napisaniem trzech zaginionych rozdziałów. Wolałby już napisać drugą powieść.

Dzisiaj rozdziały odnalazły się i autor korzysta z pierwszej okazji, aby je przywrócić na właściwe miejsca. Macie więc jego dzieło całe, takie, jakim je sobie wymarzył, takie, jakim je uczynił – dobre czy złe, trwałe czy kruche, lecz takie, jakim autor je mieć pragnie.

Odnalezione rozdziały niewielką będą niewątpliwie przedstawiały wartość dla tych, bardzo zresztą rozsądnych osób, które w *Katedrze Marii Panny w Paryżu* szukały tylko wątku

dramatycznego, tylko powieści. Są jednak, być może, inni jeszcze czytelnicy, którzy nie uważali za zbyt duże zgłębienie estetycznych i filozoficznych koncepcji ukrytych w tej książce i czytając *Katedrę Marii Panny*, znajdowali zadowolenie w wyluskiwaniu z powieści czegoś innego niż sama powieść, w poznawaniu – prosimy o wybaczenie tych niezbyt ambitnych wyrażań – systemu historyka i zamiaru artysty poprzez dzieło poety.

Dla nich to przede wszystkim rozdziały dodane w tym wydaniu uzupełnią *Katedrę Marii Panny w Paryżu* zakładając oczywiście, że *Katedra Marii Panny w Paryżu* warta jest uzupełnienia.

W jednym z tych rozdziałów autor wypowiada i uzasadnia swój, niestety, dobrze ugruntowany i starannie rozważony pogląd na obecny upadek architektury, na nieuniknione dziś już niemal niebezpieczeństwo śmierci grożące tej królowej sztuk. Chciałby jednak wyrazić w tym miejscu gorące pragnienie, aby przyszłość zadała kiedyś kłam jego słowom. Wie, że sztuka we wszystkich swoich postaciach wiele się może spodziewać po nowych pokoleniach, których rodzący się dopiero geniusz kiełkuje w pracowniach naszych artystów. Ziarno padło w glebę, piękne na pewno będą żniwa. Autor lęka się tylko – dlaczego, to zobaczymy w drugim tomie tej książki – czy nie wyjałowiała się z sił życiodajnych ta stara gleba architektury, która przez tyle stuleci była najlepszym gruntem dla sztuki.

Wszelako dzisiaj młodzi artyści tyle mają życia, taki rozmach i – że tak powiem – tyle powołania, iż w obecnej chwili, szczególnie w szkołach architektonicznych, niewiele wari profosorowie, nie tylko że bezwiednie, lecz nawet wbrew swojej woli, kształcą świetnych uczniów; na odwrót zgoła, niż to się niegdyś działo z owym garncarzem, o którym Horacy opowiada, że zamierzając wytaczać amfory, lepił garnki. *Currit rota, urceus exit.*¹

W każdym razie niezależnie od tego, jaka będzie przyszłość architektury i w jaki sposób młodzi architekci rozwiążą kiedyś zagadnienia swojej sztuki – czekając na nowe budowle konserwujemy budowle stare... I jeżeli to tylko jest możliwe, nauczmy naród kochać architekturę narodową. Autor oświadcza, że jest to jeden z głównych celów tej książki – jeden z głównych celów jego życia.

Katedra Marii Panny w Paryżu otworzyła, być może, jakieś słuszne perspektywy na sztukę średniowieczną, na tę cudowną sztukę, jednym dotychczas nie znaną, przez drugich, co gorsza, nie uznawaną. Autor bynajmniej jednak nie sądzi, że wykonał całkowicie zadanie, które sobie wyznaczył. Niejednokrotnie bronił on już naszej starej architektury, wypominał głośno niejedną profanację, niejedno zniszczenie, niejedno świętokradztwo. Nie zaprzestanie tego nigdy. Uważa za swój obowiązek często powracać do tego tematu. Będzie doń powracał. Będzie bronił naszych historycznych gmachów tak wytrwale, jak zaciekle niszczą je nasi obrazoburcy ze szkół i akademii. Albowiem żalność bierze człowieka, kiedy widzi, w czyje ręce dostała się architektura średniowiecza i w jaki sposób dzisiejsi partacze traktują ruiny tej wielkiej sztuki. Przynosi to wstyd nam wszystkim, myślącym i rozumnym ludziom, że patrząc na ich poczynania poprzestajemy na drwinie. A mowa tu nie tylko o tym, co się dzieje na prowincji, lecz o tym także, co się robi w samym Paryżu, przed naszymi drzwiami, pod naszymi oknami, w wielkim mieście, w mieście oświeconym, w stolicy prasy, myśli i słowa. Na zakończenie tej notatki uważamy za konieczne wskazać palcem na kilka aktów wandalizmu, które codziennie są projektowane, rozważane, rozpoczynane, kontynuowane i spokojnie doprowadzane aż do końca w naszych oczach, w oczach kochającej sztukę ludności Paryża, w oczach krytyki, którą zbija z tropu taka zuchwałość. Zburzono pałac arcybiskupi, budowle w nie najlepszym smaku – niewielka to szkoda; lecz razem z pałacem arcybiskupim zburzono za jednym zamachem pałac

¹ Toczy się koło, powstaje garnek (łac.)

biskupi, rzadki zabytek z czternastego wieku, którego architekt-burzyciel nie potrafił odróżnić od reszty. Razem z kłosem wyrwał kłos; wszystko mu jedno! Mówi się o zrównaniu z ziemią cudownej kaplicy w Vincennes po to, by z kamieni zbudować jakieś tam fortyfikacje, które Daumesnilowi przecież nie były potrzebne. Naprawia się i odnawia, nie szczędząc kosztów, taką rudere, jak Pałac Burboński, a wspaniałe witraże Kaplicy Królewskiej bezkarnie wytlukuje wicher. Kilka dni temu rusztowania pokryły wieżę Św. Jakuba koło Rzeźni i lada godzina uderzą w mur oskardy. Znalazł się mularz, który wybudował biały domek pomiędzy czcigodnymi wieżami Pałacu Sprawiedliwości. Znalazł się inny, który poprzycinał kościół Saint-Germain-des-Prés, to feudalne opactwo o trzech dzwonicach. Znajdzie się jeszcze inny, możecie być pewni, który zburzy kościół Saint-Germain-L'Auxerrois. Wszyscy ci mularze mają się za architektów, opłacani są przez prefekturę czy też z kościelnych funduszy i noszą zielone akademickie fraki. Robią zaś tyle szkody, ile tylko zły smak może wyrządzić szkody dobremu smakowi. W chwili kiedy piszemy te słowa – cóż za widok żaloszny! – jeden z nich trzyma w swoich rękach Tuilerie, jeden z nich zabiera się do kieraszowania oblicza Filiberta Delorme; bezczelność, z jaką pecyny topornej architektury tego pana zachlapują jedną z najdelikatniejszych fasad renesansu, jest zaiste nie najmniejszym skandalem naszych asów.

Paryż, 20 października 1832.

Księga pierwsza

I

WIELKA SALA

Trzysta czterdzieści osiem lat, sześć miesięcy i dziewiętnaście dni temu zbudziło mieszkańców Paryża głośnie bicie wszystkich dzwonów w obrębie potrójnych murów otaczających Cité, Uniwersytet i Nowe Miasto.

6 stycznia 1482 roku nie jest wszelako dniem, który historia zachowała w swej pamięci. Wydarzenie, które od samego ranka w tak wielkie poruszenie wprawiło i dzwony, i mieszczan Paryża, nie miało w sobie nic niezwykłego. Nie był to ani szturm Pikardyjczyków czy Burgundczyków, ani relikwiarz obnoszony w procesji, ani bunt żaków w winnicy Laas, ani też wjazd „naszego bardzo groźnego króla jegomości, władcy i pana”, ani nawet piękne i ciekawe widowisko: powieszenie jakiegoś złodzieja czy złodziejki na dziedzińcu Pałacu Sprawiedliwości miasta Paryża. Nie było to również niespodziewane, a tak częste w XV wieku, przybycie jakiegoś obcego poselstwa w pióropuszcach i złotogłowi. Przed dwoma zaledwie dniami wjechał był przecie do Paryża konny orszak posłów flamandzkich, przybyłych w celu zawarcia małżeństwa pomiędzy delfinem i Małgorzatą Flandryjską, a ku wielkiemu utrapieniu kardynała de Bourbon, który, aby przypodobać się królowi, musiał przyjmować z uprzejmym obliczem całą tę ciżbę prostackich dostojników flamandzkich miast i raczyć ich w swym pałacu przedstawieniem bardzo pięknego moralitetu, krotchwili oraz farsy, gdy tymczasem rześisty deszcz oblewał wspaniałe kobierce rozłożone u wejścia – jego własność.

Wydarzeniem, które 6 stycznia poruszyło całą ludność Paryża, jak powiada Jan de Troyes, była podwójna uroczystość od niepamiętnych czasów razem obchodzona: dzień Trzech Króli i Święto Błaznów.

W dniu tym były przewidziane iluminacje na placu Grève, zasadzenie drzewka majowego przed kaplicą Braque i odegranie misterium w Pałacu Sprawiedliwości. Wszystko to obwieścili w przeddzień, przy dźwięku trąb na placach i skrzyżowaniach ulic, starościńscy pachołkowie w pięknych kubrakach z fioletowego kamlotu, z wielkimi białymi krzyżami na piersi. Już więc od samego rana tłumy mieszczan i mieszczek, pozamykawszy domy i sklepy, ściągały ze wszystkich stron ku tym trzem wyznaczonym miejscom. Jedni wybierali się na iluminacje, inni na sadzenie drzewka, jeszcze inni – na misterium. Na pochwałę odwiecznego zdrowego rozsądku paryskich gapiów trzeba powiedzieć, że tłumy te po większej części podążały albo na zabawę przy ogniskach – jakże stosownych o tej porze roku – albo też na misterium, które odegrane być miało w wielkiej sali Pałacu Sprawiedliwości, pod dachem i między murami; a biedne, licho ukwiecone drzewko majowe, zgodnie pogardzone przez ciekawych, dygotało samotnie pod styczniowym niebem na cmentarzu kaplicy Braque.

Największa ciżba ludu tłoczyła się w ulicach prowadzących do Pałacu Sprawiedliwości,

wiadomą bowiem było rzeczą, że przybyli przed dwoma dniami flamandzcy posłowie mają zjawić się na przedstawieniu misterium i asystować przy wybieraniu papieża błaznów, która to uroczystość odbyć się miała również w wielkiej sali.

Nielatwo było owego dnia dostać się do tej wielkiej sali, która przecie uchodziła wówczas za największe na całym świecie pomieszczenie. (Co prawda, Sauval nie wymierzył był jeszcze wielkiej sali w pałacu Montargis.) Gapiom patrzącym z okien zatłoczony plac Pałacu Sprawiedliwości wydawał się morzem, do którego pięć czy sześć ulic na podobieństwo ujęć tyłuż rzek wlewało bez przerwy nowe strumienie głów. Wzbierające nieustannie fale tej ciżby uderzały o węgly domów wystające tu i ówdzie na kształt przylądków z nieregularnej zatoki placu. W samym środku wysokiej gotyckiej fasady Pałacu znajdowały się wielkie schody, po których przepływał nieustannie, w górę i na dół, podwójny potok; przepływał, rozbijał się o podest i rozlewał szeroko po dwu bocznych skrzydłach; tak więc schody te spływały w plac niczym wodospad do jeziora. Okrzyki, śmiechy, tupot tysięcy nóg – wszystko to robiło wiele zgiełku i hałasu. Co pewien czas ów hałas i zgiełk potężniał, a prąd, który popychał ten cały tłum ku głównym schodom, cofał się, mącił, wirował. To pracowały pięści jakiegoś łucznika, to koń strażnika starościńskiego kopytami przywracał porządek; piękną tę tradycję straż miejska pozostawiła w spadku konetablom, konetablowie przekazali ją straży marszałkowskiej, ta zaś naszej paryskiej żandarmerii.

W drzwiach, w oknach, w okienkach i na dachach aż się roiło od tysięcy pocziwych mieszczkańskich twarzy, spokojnych i rzetelnych, co spoglądały na Pałac Sprawiedliwości, na ciżbę, nie pragnąc już nic więcej; w Paryżu bowiem wielu ludzi zadawała sam widok tych, którzy widzą, i już sam mur, poza którym coś się dzieje, jest dla paryżan rzeczą niezmiernie zajmującą.

Gdybyśmy tylko my – ludzie żyjący w roku 1830 – mogli zmieszać się w myśli z tymi paryżanami z piętnastego wieku, gdybyśmy mogli razem z nimi, potykając się, rozpychając i wyszarpując z tłoku poły ubrania, wejść do tej ogromnej sali Pałacu Sprawiedliwości, tak ciasnej 6 stycznia 1482 roku, widok, który by się nam ukazał, byłby zgoła nienudny i bynajmniej nie pozbawiony uroku, otoczyłyby nas rzeczy tak stare, że aż nowymi się wydające.

Jeżeli więc czytelnik pozwoli, spróbujemy wyobrazić sobie wrażenie, którego doznałby przekraczając razem z nami próg tej wielkiej sali, wśród ciżby odzianej w kaftany, opończe i fałdziste spodnice.

A więc: w pierwszej chwili – szum w uszach, oczy ślepną. Nad głowami naszymi podwójne ostrołukowe sklepienie pokryte rzeźbami w drzewie, malowane błękitem, usiane złotymi liliami; pod stopami naszymi posadzka z płyt marmurowych, na przemian białych i czarnych. Tuż przed nami potężny filar, za nim drugi, trzeci; siedem filarów rozstawionych w środku sali przez całą jej długość podtrzymuje spływy żeber podwójnego sklepienia. Dookoła czterech pierwszych filarów kramy sprzedawców, połyskujące szkłem i świecidłami; dookoła trzech następnych – ławy dębowe, zużyte, wypolerowane spodniami piniaczy i togami obrońców. Dookoła sali, pod wysokimi ścianami, pomiędzy drzwiami, pomiędzy otworami okiennymi, pomiędzy filarami – nie kończący się rząd posągów królów Francji, poczynając od Faramonda; to królowie gnuśni, ze zwisającymi w dół rękami i spuszczonego wzrokiem, to królowie dzielni i wojowniczy, śmiało wznoszący ku niebu ręce i głowy. A w podłużnych ostrołukowych oknach witraże z tysiąca barw; w szerokich zaś otworach wyjściowych bogate, misternie rzeźbione drzwi; wszystko to – sklepienia, filary, ściany, obramienia okien i drzwi, same drzwi i posągi – od góry do dołu pokryte świetną polichromią błękitną i złocistą, szerniała już nieco wówczas, w epoce, w której ją oglądamy, a niewidoczną niemal zupełnie pod kurzem i pajęczyną w roku pańskim 1549, kiedy to du Breul podziwiał ją jeszcze, jak tego wymagała tradycja.

Wyobraźcie sobie teraz tę ogromną, podłużną salę oświetloną bladym blaskiem styczniewego

dnia, wypełnioną ciżbą hałaśliwą i pstrokatą, przepływającą wzdłuż ścian i krążącą dookoła filarów – a będziecie mieli jakie takie pojęcie o całości obrazu, którego szczegóły, jakże ciekawe, postaramy się opisać dokładniej.

Gdyby Ravaillac nie zamordował Henryka IV, nie byłoby oczywiście w kancelarii Pałacu Sprawiedliwości aktów procesu Ravaillaca; nie byłoby również współników zbrodni, mających swój interes w tym, aby te akta znikły; nie byłoby zatem podpalaczy zmuszonych w braku lepszego sposobu do spalenia kancelarii, żeby spalić akta, do opalenia Pałacu Sprawiedliwości, żeby spalić jego kancelarię; i co za tym idzie, nie byłoby pożaru z roku 1618. Stary Pałac Sprawiedliwości stałby jeszcze wraz ze swoją starą wielką salą; mógłbym rzec czytelnikowi: Idź, zobacz ją! i nie musielibyśmy – ja opisywać salę, on zaś czytać mój opis. Co potwierdza tylko tę nową prawdę, że wielkie wydarzenia miewają nieobliczalne następstwa.

Wprawdzie, po pierwsze, Ravaillac mógł nie mieć w ogóle współników, a po wtóre, jeżeli nawet i miał ich, to pożar w roku 1618 nie musiał powstać z ich właśnie winy. Istnieją też jeszcze dwa inne, bardzo prawdopodobne wytłumaczenia tego wypadku. Pierwsze z nich – to ogromna płonąca gwiazda, szeroka na stopę, wysoka na łokieć, która, jak wszystkim wiadomo, 7 marca tuż po północy spadła z nieba na Pałac Sprawiedliwości. Drugie – to czterowersz Teofila:

Zaprawdę smutna to chwila była,
Kiedy w Paryżu pani Sprawiedliwość,
Zjadłszy zbyt wiele ostrych przypraw,
Cały swój pałac podpałała.

Niezależnie od naszego poglądu na to potrójne: polityczne, fizyczne i poetyckie wytłumaczenie pożaru Pałacu Sprawiedliwości w roku 1618 – sam ów pożar jest, niestety, faktem niezbitym. Dzisiaj na skutek tej katastrofy, a przede wszystkim na skutek najrozmaitszych kolejnych przeróbek, które dokończyły tego, co ogień oszczędził, niewiele pozostało z tej pierwszej siedziby królów Francji, z tego pałacu starszego od Luwru, z pałacu tak starego już za panowania Filipa Pięknego, że szukano wówczas w jego murach śladów wspaniałych budowli, wzniesionych przez króla Roberta a opisanych przez Helgaldusa. Prawie wszystko znikło. Co się stało z komnatą, w której święty Ludwik „dopełnił małżeństwa swego”? Z ogrodem, w którym „przyodziany w kamlotowe spodnie, sukienny kaftan bez rękawów i płaszcz sięgający aż do czarnych sandałów” sprawował sądy, spoczywając z Joinville'em na kobiercach? Gdzie jest komnata cesarza Zygmunta? Karola IV? Jana bez Ziemi? Gdzie schody, z których Karol VI ogłosił swój edykt miłosierdzia? Gdzie płyta kamienna, na której Marcel w obecności delfina zamordował Roberta z Clermont i marszałka Szampanii? Gdzie furta, u której przedarte zostały bulle antypapieża Benedykta, od której ci, co je przynieśli, ubrani na pośmiewisko w kapy i mitry biskupie, odeszli czyniąc pokutę przez cały Paryż? Gdzie wielka sala z jej złoceniami, błękitem, ostrołukami, posągami, filarami, jej ogromnym rzeźbionym sklepieniem? I złota izba? I kamienny lew, który stał u drzwi ze spuszczoneym łbem, z podwiniętym ogonem, jak lwy z tronu Salomona, w postawie pokornej, takiej właśnie, jaką przybrać powinna siła w obliczu sprawiedliwości? I piękne drzwi? I piękne witraże? I cyzelowane zamki, które zniechęcały Biscornetta? Gdzie delikatna stolarka Du Hancy?... Co zrobił czas, co zrobili ludzie z tymi cudami? Co dano nam w zamian za to wszystko, za tę galijską historię, za tę gotycką sztukę? Ciężkie obniżone łuki pana de Brosse, niezdarnego budowniczego portalu Św. Gerwazego, tyle jeśli chodzi o sztukę; jeżeli zaś chodzi o historię to mamy jeszcze gadatliwe wspomnienia wielkiego filara, w którym do tej pory dźwięczy echo mów różnych panów Patru.

Niewiele więc jest tego! Powróćmy do prawdziwej wielkiej sali prawdziwego starego Pałacu.

Na jednym krańcu tego olbrzymiego równoległoboku stał słynny stół z jednego marmurowego bloku, tak długi, tak szeroki i tak gruby, że – jak wspominają stare księgi gruntowe, których

sposób wyrażania się mógłby obudzić apetyt Gargantui – „podobnego płata marmuru nikt jeszcze nie widział na świecie”; na drugim krańcu znajdowała się kaplica, w której Ludwik XI na klęczkach przed Matką Boską wyrzeźbić się kazał i do której polecił przenieść – nie troszcząc się zgoła o to, że opustoszeją dwie nisze w rzędzie królewskich posągów – figury Karola Wielkiego i świętego Ludwika; obaj ci święci, według jego mniemania, jako królowie Francji cieszyć się musieli wielkimi względami w niebie. Kaplica ta, jeszcze nowa, bo zaledwie sześć lat temu ufundowana, zbudowana była w uroczym stylu, wyróżniającym się delikatną architekturą, cudowną rzeźbą, misterną i głęboką zarazem cyzelerką, które znamionowały końcowy okres francuskiego gotyku i przetrwały aż do połowy wieku szesnastego w feerycznym bogactwie kaprysów renesansu. Nade wszystko zaś ażurowa rozeta nad portalem była istnym majstersztykiem subtelności i wdzięku – rzekłbyś, że to gwiazda z koronki.

Na środku sali, naprzeciwko głównych drzwi, wzniesiono obite złocistym brokatem podwyższenie dla flamandzkich posłów i innych dostojnych osób zaproszonych na przedstawienie misterium; podwyższenie to znajdowało się przy ścianie, a wchodziło się na nie oddzielnym wejściem przez okno korytarza prowadzącego do złotej izby.

Według zwyczaju misterium miało być odegrane na marmurowym stole. Przygotowano go też do tego od rana; na wspianym blacie z marmuru, porysowanym obcasami palestry, ustawiono dość wysokie drewniane rusztowanie którego górna powierzchnia, widoczna dla całej sali, tworzyła scenę, zasłonięte zaś kobiercami wewnątrz służyć miało za garderobę dla występujących w sztuce osób. Drabina po prostu ustawiona na zewnątrz ułatwiała komunikację pomiędzy garderobą a sceną, wchodziło na scenę i schodzono ze sceny po jej stromych szczeblach. I każda postać, choćby najbardziej nieoczekiwana, każde zdarzenie, każdy efekt teatralny wdrapywać się musiał na górę po tej właśnie drabinie. Niewinne a czcigodne dzieciństwo sztuki i mechaniki!

U czterech rogów marmurowego stołu stało czterech pachołków bajliwa Pałacu Sprawiedliwości, urzędowych stróżów wszelakich uciech ludu w dni świąt i w dni straceń.

Przedstawienie rozpocząć się miało dopiero z ostatnim uderzeniem godziny dwunastej na wielkim zegarze Pałacu. Bardzo to była oczywiście spóźniona pora na rozpoczęcie przedstawienia; należało jednak zastosować się do cudzoziemskich posłów.

Lecz tłum czekał już od rana. Wielu z tej rzeszy ciekawych już od samego świtu dygotało z zimna przed wielkimi schodami Pałacu Sprawiedliwości; niektórzy twierdzili nawet, że spędzili całą noc pod główną bramą po to, żeby zapewnić sobie pierwszeństwo przy wejściu. Tłum gęstniał z minuty na minutę i niczym występująca z brzegów woda wznosił się coraz wyżej na ściany i na filary, wylewał się na belkowania, na gzymsy, na parapety okien, oblepiał wszystkie występy murów, wszystkie rzeźby bardziej wystające ze ścian. Toteż niewygoda, zniecierpliwienie, nuda, rozluźnienie wszelkich rygorów w tym dniu, kiedy to dopuszczalne było każde szyderstwo i każde szaleństwo, kłótnie, wybuchające z lada przyczyny, o spiczasty łokieć czy o podkuty but – i znużenie wywołane długim czekaniem już teraz, na długo przed przybyciem posłów dodały do wrzawy tej ciżby, zamkniętej, stłoczonej, zduszonej, cisnącej się i depczącej po sobie, przymieszkę kwasu i goryczy. Zewsząd słyhać było narzekania, przeklinano Flamandczyków, starszego gildii kupców, kardynała de Bourbon, bajliwa Pałacu, Małgorzatę Austriacką, pachołków z różgami, zimno, upał, biskupa Paryża i papieża błaznów, filary i posągi, jakieś zamknięte drzwi i jakieś otwarte okno; narzekania te sprawiały ogromną uciechę rozproszonym wśród tłumu żakom i sługom, którzy do niezadowolenia czekających dorzucali jeszcze swoje złośliwe żarty i, rzec by można, podniecali ukłuciami szpilek powszechnie rozdrażnienie.

Celowała w tym szczególnie garstka istnych wesołych diablików, którzy, wybiwszy witraż w jednym z okien, śmiało rozsiedli się na gzymsach i ciskali stamtąd spojrzenia i żarty raz do

wewnątrz, raz na zewnątrz gmachu – to w tłum tłoczący się na sali, to znów w tłum tłoczący się na placu. Ich małpie przedrzeźniające gesty, wybuchy śmiechu, szydercze nawoływania się z jednego na drugi koniec sali pozwalały przypuszczać, że ci młodzi żacy nie dzielą bynajmniej znużenia i niewygód reszty publiczności, że potrafili znakomicie – już z tego, co w tej chwili mieli przed oczami – urządzić sobie widowisko, dzięki któremu spokojnie mogli czekać na rozpoczęcie właściwego przedstawienia.

– Na mą duszę, to ty, Joannes Frolo de Molendino! – zawołał jeden z nich do niewielkiego jasnowłosego chłopaka o ładnej i sprytniej twarzy, uczonego liści akantu w kapitulu kolumny. – Słusznie nazwano cię Janem z Młyna, twoje ręce i nogi wyglądają rzeczywiście jak obracające się na wietrze cztery skrzydła wiatraka. Jak długo już jesteś tutaj?

– Na miłosierdzie diabła! – odrzekł Jan Frolo – blisko cztery godziny i spodziewam się, że odliczone mi zostaną w czyścicu. Słyszałem, jak ośmiu kantorów króla Sycylii intonowało pierwszy werset mszy odprawianej o siódmej rano w Kaplicy Królewskiej.

– Nie byle jacy to kantorzy – odezwał się znowu tamten. – Głosy mają cienkie, cieńsze niż szpice na ich biretach. A król, nim ufundował mszę imię świętemu Janowi, powinien był dowiedzieć się, czy imię święty Jan lubi, żeby słowa łacińskie wyśpiewywano z akcentem prowansalskim.

– Po to tak zrobił, żeby dać zarobek tym przekętym śpiewakom króla Sycylii! – zawołała zgryźliwie jakaś starucha stojąca pod oknem w tłumie. – Bo powiedzcie sami! Tysiąc paryskich grzywien za jedną mszę! i to jeszcze z opłaty za prawo sprzedaży morskich ryb na paryskim targu.

– Cicho, stara! – odezwał się poważny gruby jegomość, który, nos sobie zatykając, stał tuż obok handlarki ryb. – Mszę trzeba było ufundować. Nie chcesz chyba, żeby król zachorował znowu?

– Sprawiedliwe słowa, imię panie Idzi Rogalu, nadworny kuśnierzu króla jegomości! – wykrzyknął mały żaczek uczonego u kapitela.

Fatalne nazwisko nieszczęsnego kuśnierza królewskiej szatni wywołało głośny śmiech wszystkich żaków.

– Rogal! Idzi Rogal! – wołali.

– *Cornutus et hirsutus*.

– A tak! – ciągnął swoje mały urwis z kapitela. – A ci tam czemu się znowu śmieją? Sławetny Idzi Rogal, brat mistrza Jana Rogala, burgrabiego królewskiego pałacu, syn mistrza Mateusza Rogala, pierwszego odźwiernego bramy w lasku Vincennes, zacnych mieszczan paryskich, żonatych z ojca na syna.

Wesołość wzmogła się jeszcze bardziej. Gruby kuśnierz nie odpowiadając ani słowem usiłował umknąć przed spojrzzeniami zwracającymi się ku niemu ze wszystkich stron, ale daremnie pocił się i sapał: cały jego wysiłek tyle tylko mógł sprawić, że – niczym klin wbijany w drzewo – szeroka, apoplektyczna, purpurowa ze złości i urazy twarz jego grzęzła coraz bardziej pomiędzy plecami sąsiadów.

Wreszcie jeden z nich, równie jak on gruby, niski i poważny, przyszedł mu z odsieczą.

– Zgroza prawdziwa, żeby żacy tak się odzywali do czcigodnego obywatela miasta! Za moich czasów wychłostano by ich i spalono na stosie z zużytych różeg.

Odpowiedział mu wrzask całej gromady.

– Hola! A któż to tam tak gada? Co to za puszczyk złowieszczy?

– Poznają go! – zawołał jeden z żaków – to mistrz Andrzej Musnier.

– Tak, znamy go, jest przecie jednym z czterech przysięgłych księgarzy Uniwersytetu – odezwał się drugi żak.

– Wszystko jest w tej budzie poczwórne – powiedział trzeci – Cztery nacje, cztery fakultety, cztery święta, czterech prokuratorów, czterech elektorów, czterech księgarzy.

– A więc – rzekł Jan Frolo – trzeba mu cztery razy zalać sadła za skórę!

– Spalimy twoje książki, Musnier!
– Obijemy twojego sługę, Musnier!
– Dobierzemy się do twojej żony, Musnier!
– Do dobrej, tłustej jejmościanki Udardy!
– Co aż tryska zdrowiem i jest wesola, jakby już wdową była!
– Niech was czart porwie! – warknął mistrz Andrzej Musnier.
– Mistrzu Andrzeju – zawołał Jan zwieszając się ze swego kapitelu – milcz albo spadnę ci na głowę!

Mistrz Andrzej podniósł oczy, wyglądało na to, że wymierzał przez chwilę wysokość filara i oceniał wagę urwisa, po czym pomnożył zapewne tę wagę przez kwadrat przyśpieszenia i zamilkł.

A Jan, zwycięzca na tym placu boju, zawołał triumfująco:

– Ej, bo zrobiłbym to, choć jestem bratem archidiakona!

– Pięknie się spisują nasi uniwersyteccy przełożeni! Żeby nawet w takim dniu jak dzisiejszy nie respektować naszych przywilejów! Spójrzcie tylko – w Nowym Mieście drzewko majowe i zabawa przy ogniach; w Cité – misterium, papież błaznów i flamandzcy posłowie, a w Uniwersytecie – nic.

– A przecie plac Maubert dość jest chyba obszerny – dorzucił jakiś żak kwaterujący na parapecie okna.

– Precz z rektorem, z elektorami i prokuratorami! – krzyknął Jan.

– Trzeba będzie dziś wieczór na polu Gaillard rozpaścić ogniska z książek mistrza Andrzeja! – zawołał znów żak z okna.

– I z pulpitów skrybów! – darł się jego sąsiad.

– I z różeg pedlów!

– I ze spluwaczek dziekanów!

– I z ław prokuratorów!

– I z urn elektorów!

– I ze stołków rektora!

– Precz! – zaskrzeczał falsetem mały Jan. – Precz z mistrzem Andrzejem, z pedlami, ze skrybami, precz z teologami, z medykami, z jurystami, precz z prokuratorami, z elektorami i z rektorem!

– To przecie koniec świata! – mruknął mistrz Andrzej zatykając sobie uszy.

– Właśnie jest rektor! Otóż i on! We własnej osobie, idzie przez plac! – zawołał jeden z siedzących na oknie.

Kto mógł, odwracał się w stronę placu.

– Czyżby to był naprawdę nasz czcigodny rektor, mistrz Thibaut? – zapytał Jan Frollo z Młyna. Uczepiony filara nie mógł widzieć tego, co się działo na zewnątrz.

– A jakże, a jakże! – odkrzyknęli mu koledzy. – To właśnie on, mistrz Thibaut, nasz rektor!

Był to rzeczywiście rektor. Wraz z nim wszyscy uniwersyteccy dygnitarze w uroczystym orszaku przechodzili przez plac Pałacu Sprawiedliwości udając się na spotkanie poselstwa. Stłoczeni u okien żacy powitali ich ironicznymi oklaskami i szyderczym wrzaskiem. Pierwsza salwa trafiła w rektora, który szedł na przedzie; a sroga to była salwa.

– Dzień dobry, panie rektorze! Hola, hej, dzień dobry. No!

– Jakże się znalazł tutaj ten stary gracz? Odszedł od swoich kości?

– Jak się trzęsie na swoim mule, który ma krótsze uszy niż on!

– Hola, hej! dzień dobry, panie rektorze Thibaut! *Tybalde aleator!* Stary durniu! Stary graczu!

– Niech cię Bóg ma w swojej opiece! Czyś miał dużo podwójnych szóstek tej nocy?

– Kaduczna gęba, szara jak ołów, ściągnięta, oczy podsiniąte... a wszystko z miłości do gry w

kości.

– A gdzież to jedziesz, *Tybalde ad dados*, żeś się do Uniwersytetu tyłem obrócił i drepcesz do Nowego Miasta?

– Ano jedzie pewnie poszukać sobie kwatery na ulicy Thibautodé ! – krzyknął Jan z Młyna. I cała zgraja powtórzyła żart z ogłuszającym wrzaskiem i wściekłym klaskaniem rąk.

– Jedziesz poszukać sobie kwatery przy ulicy Thibautodé, prawda, panie rektorze? Twój partner, diabeł, ci się kłania!

Po czym przysłała kolej na innych dygnitarzy Uniwersytetu.

– Precz z pedlami! Precz z woźnymi!

– Słuchaj no, Robinie Kociubko, a tamten, kto to zacz?

– To Gilbert de Suilly, *Gilbertus de Soliaco*, kanclerz kolegium Autun.

– Bierz mój trzewik, z twojego miejsca łatwiej trafisz go nim w gębę.

– *Saturnalitias mittimus ecce nuces.*

– Precz z sześcioma teologami w białych komeżkach!

– To teologowie? A ja myślałem, że to sześć białych gęsi ofiarowanych miastu przez świętą Genowefę w zamian za lenno Roogny.

– Precz z medykami!

– Precz z dysputami kardynalnymi i quodlibetalnymi!

– Łap moją czapkę, kanclerzu Świętej Genowefy! Pomiñałeś mnie, skrzywdziłeś. Prawdę mówię; moje miejsce w nacji normandzkiej oddał małemu Ascanio Falzaspada, który należy do prowincji Bourges, ponieważ jest Włochem.

– niesprawiedliwość! – zawołali spodem żacy. – Precz z kanclerzem Świętej Genowefy!

– Hejże-hola, mistrzu Joachimie de Ladehors! Hejże, Ludwiku Dahuile! Hejże, Lambercie Hoctement!

– Niech czart udławi prokuratora nacji niemieckiej!

– I kapelanów Kaplicy Królewskiej w szarych pelerynkach, *cum tunicis grisis.*

– *Seu de pellibus grisis furratis.*

– Hola, hej, mistrzowie sztuk wyzwolonych! Hej, piękne czarne płaszcze, hej, piękne czerwone płaszcze!

– Ale rektor ma wspaniałą ogon!

– Niczym księżę wenecki idący na zaślubiny z morzem.

– Spójrz no, Janie, kanonicy od Świętej Genowefy!

– Do diabła z kanonikami!

– Księżę Klaudiuszu Choart, doktorze Klaudiuszu Choart, czyżbyś szukał Marii Giffard?

– Mieszka na ulicy Glatigny.

– Ściele łóżko nadzorcy zamtuzów.

– Płaci swoje cztery denary, *quattuor denarios.*

– *Aut unum bombum.*

– Chciałbyś może, żeby ci od nsa płaciła?

– Koledzy, oto mistrz Szymon Sanguin, elektor Pikardii; za nim w siodle siedzi żona.

– *Post equitem sedet atra cura*

– Śmiało, mistrzu Szymonie!

– Dzień dobry, panie elektorze!

– Dobrej nocy, pani elektorowo!

– Szczęśliwi, oni widzą to wszystko! – powtarzał z westchnieniem Jan de Molendino, uwięziony wśród liści swego kapitelu.

Przysięgły księgarz Uniwersytetu, mistrz Andrzej Musnier, szeptał tymczasem do ucha

mistrza Idziego Rogala, nadwornego kuśnierza królewskiej szatni:

– Powiadam wam, panie, że to koniec świata. Nigdy jeszcze nie widziano takiego rozpasania wśród żaków. To te przeklęte dzisiejsze wynalazki gubią ludzkie dusze. Armaty, serpentyny, bombardy, a nade wszystko – druk, najgorsza zaraza z Niemiec idąca. Nie ma już manuskryptów, nie ma już ksiąg. Druk zabija księgarstwo. Zbliża się koniec świata.

– Też tak myślę widząc, jak rozpowszechnia się moda na aksamity – odpowiedział mu przedstawiciel cechu kuśnierzy.

Lecz oto zegar zaczął wydzwaniać godzinę dwunastą.

– Aaa!... – wydobył się zgodny okrzyk ze wszystkich piersi.

Żacy umilkli. Nastąpiła chwila ogromnego zamieszania; poruszyły się wszystkie nogi, wszystkie głowy; utarto nosy i odchrząknięto jedną powszechną salwą; każdy starał się stanąć jak najwygodniej i wspiąć się jak najwyżej, potem wielka cisza zapanowała na sali; wyciągnęły się wszystkie szyje, otworzyły wszystkie gęby, wszystkie oczy obróciły się w stronę marmurowego stołu... Lecz nic się na nim nie pojawiało. Czterej pachołkowie bajliwa stali na swych miejscach, sztywni i nieruchomi, jak cztery malowane posągi. Wszystkie oczy obróciły się więc w kierunku trybuny przygotowanej dla flamandzkich posłów. Drzwi były zamknięte, trybuna pusta. Cizba czekała od samego rana na trzy rzeczy: na południe, na posłów z Flandrii i na misterium. Tylko południe nadeszło na czas.

Tego już było za wiele.

Czekano jeszcze minutę, dwie, trzy, pięć, kwadrans; nic się nie zjawilo. Trybuna była pusta, teatr niemy. Zniecierpliwienie przeobraziło się wreszcie w gniew. Zaczęły krążyć złe słowa, wprawdzie wymawiane jeszcze po cichu. Rozległ się głuchy szmer: „Misterium! misterium!” Wrzenie wzrastało. Burza utajona w pomruku wydobywała się już na powierzchnię tłumu. Pierwszą iskrę wykrzesał z niego Jan z Młyna.

– Misterium! A Flamandów niech diabli wezmą! – wrzasnął z całej siły swych płuc owinąwszy się niczym waz dookoła kapitela.

Tłum zaczął klaskać.

– Misterium! – powtórzono. – A Flandrię niech wszyscy diabli porwą!

– Żądamy misterium! Zaczynać! Natychmiast! – wołał żak. – Albo coś mi się wydaje, że zamiast komedii i moralitetu powiesimy imć bajliwa Pałacu Sprawiedliwości.

– Dobrze radzi! – krzyczano w tłumie. – Zaczynajmy wieszanie od pachołków!

Słowa te znalazły ogólny poklask. Czterej nieszczęśni pachołkowie zbledli i niepewnie spoglądali po sobie. Tłum poruszył się w ich kierunku, wąża drewniana balustrada, która ich od niego oddzielała, zaczynała już chwiać się i wybrzuszać pod naporem cizby.

Moment był krytyczny.

– Na hak ich! Na hak! – rozległo się ze wszystkich stron. Lecz w tej właśnie chwili podniosła się tkanina zasłaniająca już opisaną wyżej garderobę i wyłoniła się z jej wnętrza postać, której sam widok powstrzymał nagle tłum i – niby jakąś czarodziejską siłą – przemienił gniew jego w ciekawość.

– Cisza! Cicho!

Postać ta, drżąc na całym ciełe i kłaniając się bezustannie, podeszła bardzo niepewnym krokiem aż do krawędzi marmurowego stołu, im zaś bliżej podchodziła, tym bardziej ukłony jej stawały się podobne do przyklęków.

Tymczasem cizba uspokajała się powoli. W powietrzu drgał tylko ów lekki zgiełk, który zawsze wydobywa się z ciszy tłumu.

– Cni mieszczanie – rzekł aktor – i cne mieszczki, już za chwilę będziemy mieli honor grać i deklamować w obliczu jego eminencji księdza kardynała bardzo piękną sztukę, która nazywa się

Sprawiedliwy Sąd Najświętszej Panny. Ja będę Jowiszem. Jego eminencja towarzyszy teraz wielce czcigodnemu poselstwu księcia Austrii, które zatrzymało się w tej chwili właśnie u bramy Baudets dla wysłuchania przemowy imć pana rektora Uniwersytetu. Skoro tylko najprzewielebniejszy kardynał przybędzie, rozpoczniemy przedstawienie.

Zaiste, tylko interwencja Jowisza uratować mogła czterech nieszczęsnych pacholców bajliwa Pałacu Sprawiedliwości. Gdybyśmy nawet szczęśliwym trafem sami wymyślili całą tę bardzo wiarygodną historię, a więc w konsekwencji musieli ponosić za nią odpowiedzialność przed krytyką – panią naszą – to nikt nie mógłby przeciwko nam powoływać się w tej chwili na starożytną zasadę: *Nec deus intersit*. Zresztą kostium imć Jowisza był bardzo piękny i niemało się przyczynił do uspokojenia ciżby ściągając na siebie całą jej uwagę. Jowisz odziany był w kolczugę przykrytą czarnym aksamitem nabijanym pozłaczanymi guzami; na głowie miał czapkę dwugraniastą przybraną guzikami ze złoconego srebra; gdyby nie czerwona szminka i wielka broda, które – pierwsza górną, druga – dolną połowę jego twarzy zakrywały, gdyby nie zwój pozłacanej tektury usiany cekinami i najeżony pasemkami szychu, który trzymał w ręce, a w którym wprawne oko bez trudu mogło rozpoznać piorun, gdyby wreszcie nie nogi, gołe i z grecka obwiązane wstęgami – surowa bojowość jego stroju wytrzymać by mogła porównanie z ubiorem bretońskiego łuczniaka z oddziału pana de Berry.

II

PIOTR GRINGOIRE

W miarę jak mówił, słowa jego szybko rozwiewały podziw, który powszechnie wzbudził jego strój; kiedy zaś doszedł do nieszczęsnej konkluzji: „skoro tylko najprzewielebniejszy kardynał przybędzie, rozpoczniemy przedstawienie”, głos jego zagłuszyły gwizdania i wrzask.

– Zaczynajcie natychmiast! Misterium! Chcemy misterium! – krzyczał lud. A ponad cały ten hałas wybijał się głos Jana z Młyna przesywający zgiełk niczym piszczałka w zapustnej kapeli z Nimes. – Zaczynajcie natychmiast! – darł się piskliwie mały żaczek.

– Precz z Jowiszem i kardynałem de Bourbon! – wrzeszczeli Robin Kociubka i inni szkolarze z parapetu okna.

– Moralitet! Zaczynać przedstawienie! – powtarzała ciżba. – Zaczynać natychmiast! Wór i sznur dla komediantów i dla kardynała!

Biedny Jowisz, przerażony i ogłuszony, zbladł pod szminką, wypuścił z ręki swój piorun, zdjął z głowy błazeńską czapkę; kłaniał się publiczności i drżąc cały bełkotał: „Jego eminencja... posłowie... pani Małgorzata Flandryjska...” Sam nie wiedział, co mówić. W głębi duszy bał się, że zostanie powieszony.

Powieszony przez motłoch – jeśli będzie czekał, powieszony przez kardynała – jeśli nie będzie czekał, z obu stron widział jedynie przepaść, czyli szubienicę.

Lecz znalazł się szczęśliwie ktoś, kto wyciągnął go z tych nie lada tarapatów i wziął odpowiedzialność na swoje barki.

Jakiś człowiek stał za balustradą, na pustej przestrzeni pozostawionej dookoła marmurowego stołu, nie zauważony dotąd przez nikogo, tak całkowicie bowiem jego wysoka i cienka postać zasłonięta była przed wzrokiem tłumu szerokością filaru, o który się opierał; ten człowiek właśnie, wysoki, chudy, blady, jasnowłosy, młody jeszcze, choć miał już bruzdy na policzkach i

na czole, z błyskiem w oczach, z uśmiechem na ustach, odziany w czarne sukno wytarte aż do połysku ze starości, podszedł do marmurowego stołu i skinął na nieszczęsnego skazańca. Ale tamten był tak przerażony, że go nie dostrzegł.

Człowiek, który wyłonił się był spoza filara, przybliżył się jeszcze o krok.

– Jowiszu! – rzekł. – Mój drogi Jowiszu!

Jowisz nie słyszał.

Wreszcie wysoki jasnowłosy młodzieniec zniecierpliwił się i krzyknął mu w sam nos prawie:

– Michale Giborne!

– Kto mnie woła? – zapytał Jowisz, jakby się nagle przebudził.

– Ja! – odrzekła czarno odziana postać.

– A! – powiedział Jowisz.

– Zaczynajcie natychmiast! – mówił dalej wysoki młodzieniec. – Zróbcie, co żąda gawieź. Podejmuję się ułagodzić gniew imć pana bajliwa, on zaś ułagodzi gniew księcia kardynała.

Jowisz odetchnął.

– Wielmożni mieszczanie – wrzasnął pełną piersią do tłumu, który go wciąż wygwizdywał – już zaczynamy!

– *Evoe, Juppiter! Plaudite cives!* – krzyknęli żacy.

– Noël! Noël! – wołał lud.

Rozległy się ogłuszające oklaski; Jowisz znikł już za kotarą, a sala jeszcze trzęsła się od wiwatów.

Tymczasem nieznajomy, który tak znakomicie przemienił „burzę w pogodę” – jak powiada nasz kochany stary Corneille – powrócił skromnie w cień filara i byłby tam pozostał zapewne nadal niewidzialny, nieruchomy i niemy, gdyby nie wyciągnęły go z tego ukrycia dwie młode dziewczyny, stojące w pierwszym rzędzie widzów, które zauważyły jego rozmowę z Jowiszem – Michałem Giborne.

– Ojcze! – odezwała się jedna z nich robiąc mu znak, by się zbliżył.

– Cicho bądź, droga Lienardo – powiedziała jej sąsiadka, ładna, świeża, ośmielona swoim odświętnym strojem. – To nie duchowny, nie trzeba mówić „ojcze”, ale „mości panie”.

– Mości panie! – rzekła więc Lienarda.

Nieznajomy zbliżył się do balustrady.

– Czegóż życzyście sobie ode mnie, waćpanny? – zapytał skwapliwie.

– O, nic – rzekła Lienarda zmieszana. – To moja sąsiadka, Żisketa Gencienne, chciała pomówić z wami.

– Ależ nie, co znowu! – zaprzeczyła rumieniąc się Żisketa. – To Lienarda zawołała na was „ojcze”, a ja jej powiedziałam, że mówi się „mości panie”.

Obie dziewczyny spuściły oczy. Nieznajomy, któremu nie brakło ochoty do nawiązania rozmowy, przyglądał się im z uśmiechem.

– A więc nic mi nie macie do powiedzenia, moście panny?

– Nie, nic a nic – odrzekła Żisketa.

– Nic – powtórzyła Lienarda.

Wysoki jasnowłosy młodzieniec cofnął się o krok; lecz dwie ciekawskie nie dały tak łatwo za wygraną.

– Mości panie – odezwała się żwawo Żisketa, z porywcznością otwierającej się służby lub też kobiety, która powzięła decyzję – znanie widać tego żołnierza, który będzie grał w misterium rolę Najświętszej Pani. –

– Chcieliście rzec – rolę Jowisza? – odparł nieznajomy.

– No chyba! Jakaż ona głupia! – zawołała Lienarda. – Oczywiście, że Jowisza. Czy go znanie?

- Czy znam Michała Giborne? – odrzekł nieznajomy. – Tak, pani, znam go.
- Tegą ma brodę – rzekła Lienarda.
- A czy będzie piękne to, co oni tu będą mówili? – zapytała nieśmiało Żisketa.
- Bardzo piękne, mościa panno – odrzekł bez najmniejszego wahania nieznajomy.
- A co to będzie? – odezwała się Lienarda.
- *Sprawiedliwy sąd Najświętszej Panny*, moralitet, za pozwoleniem waćpanny.
- Aha! To co innego – odrzekła Lienarda.

Po chwili milczenia nieznajomy odezwał się znowu:

- Jest to moralitet całkiem nowy, którego jeszcze nie grano ani razu.
- A więc – rzekła Żisketa – to nie będzie ten sam moralitet, który odegrano dwa lata temu w dniu wjazdu do Paryża legata papieskiego? Trzy piękne dziewczyny wyobrażały tam postacie...
- Syren – dopowiedziała Lienarda.
- I to gołych syren – dodał młodzieniec.

Lienarda spuściła wstydliwie powieki. Żisketa spojrzała na nią i postąpiła tak samo. A młodzieniec uśmiechając się mówił dalej:

– Było to rzeczywiście bardzo uciészne widowisko. Dzisiaj zobaczycie moralitet napisany umyślnie na cześć pani Małgorzaty Flandryjskiej.

– A czy będą śpiewać pastorałki? – spytała Żisketa.

– Fe! – odrzekł nieznajomy. – W moralitecie? Nie można tak mieszać rodzajów. Gdyby to była krotchwila, wówczas co innego.

– Szkoda – powiedziała Żisketa. – Wtedy dwa lata temu, koło fontanny Ponceau dzicy mężczyźni i dzikie kobiety walczyli ze sobą i wykonywali różne figury odśpiewując przy tym niewielkie motety! pastorałki.

– Co jest stosowne dla legata – przerwał dość sucho nieznajomy – nie jest stosowne dla księżniczki.

– A tuż obok – mówiła dalej Lienarda – kilka dętych instrumentów wygrywało na wyścigi różne poważne melodie.

– A ku ochłodzie przechodniów – odezwała się z kolei Żisketa – z trzech otworów fontanny tryskało wino, mleko i słodki, pachnący napój, i każdy pił, kto tylko chciał.

– A niedaleko Ponceau, trochę niżej, koło Świętej Trójcy – ciągnęła dalej Lienarda – też żywi ludzie, tylko że ci już w milczeniu, przedstawiali Mękę Pańską.

– A jakże! Pamiętam doskonale! – zawołała Żisketa. – Bóg na krzyżu i dwaj łotrzy, jeden z prawej strony, drugi z lewej strony.

I obie dziewczyny, podniecone wspomnieniem wjazdu papieskiego legata, jedna przez drugą zaczęły opowiadać:

– A przedtem jeszcze, koło bramy Malarzy, też były różne postacie bardzo bogato przyodziane.

– A koło fontanny Świętego Innocentego... myśliwy, co ścigał łanie wśród grania rogów i szczekania psów!

– A koło Rzeźni... budowle z drzewa przedstawiające twierdzę w Dieppe.

– A kiedy legat przejeżdżał – pamiętasz, Żisketo? – przypuszczano szturm i wszystkim Anglikom poderżnięto gardła.

– I koło bramy Châtelet występowali także bardzo piękni aktorzy.

– I na moście Wymiany, który był cały kobiercami przykryty.

– A kiedy legat przejechał, to na tym moście wypuszczono w powietrze

dwieście tuzinów rozmaitych ptaszków. Pamiętasz, Lienardo? Bardzo pięknie było.

– Dziś będzie jeszcze piękniej – odezwał się wreszcie młodzieniec, który z widocznym

zniecierpliwieniem przysłuchiwał się tej paplaninie.

– Czy możecie nam przyobieczać, że to misterium będzie piękne? – zapytała Żisketa.

– Oczywiście – odrzekł, po czym dodał głosem nieco sztucznym i uroczystym: – Jestem autorem tego misterium, moście panny.

– Naprawdę? – zawołały zdumione dziewczyny.

– Naprawdę! – odrzekł poeta puszczając się z lekka. – To znaczy, jest nas dwóch:

Jan Marchand, on piłował deski i budował scenę na marmurowym stole, a ja napisałem sztukę. Nazywam się Piotr Gringoire.

Autor *Cyda* nie mógłby wyrzec dumniej: Piotr Corneille.

Czytelnicy spostrzegli niewątpliwie, że od zniknięcia za kotarą Jowisza aż do chwili, w której autor nowego moralitetu przedstawił się tak nagle dziewczętom wzbudzając naiwny podziw Żiskety i Lienardy, upłynęło już trochę czasu. Mimo to tłum, przed kilkoma minutami tak hałaśliwy, czekał teraz potulnie, wierząc słowom aktora; potwierdza to tylko prawdę odwieczną i po dziś dzień jeszcze w teatrach naszych obowiązującą, że najlepszym sposobem na to, aby publiczność czekała cierpliwie, jest zapowiedź, że przedstawienie rozpocznie się za chwilę.

Lecz żak Jan nie spał.

– Hej tam! – wrzasnął nagle wśród spokojnego oczekiwania, które nastąpiło po ogólnym rozgardiaszu – Jowiszu! Najświętsza Panno! Kuglarze diabelscy! czy sobie z nas kpicie? Dawać sztukę! zaczynać!... albo my zacniemy znowu!

To wystarczyło aktorom.

Z wnętrza drewnianego rusztowania odezwała się muzyka basowych i wiolinowych instrumentów; kotara rozsunęła się, wyszły spoza niej cztery postacie, pstrokate i umalowane, wspięły się po stromej drabinie teatru i wyszedłszy na górną platformę ustawiły się rzędem przed publicznością i pokłoniły się jej nisko; wówczas muzyka umilkła. Zaczynało się misterium.

Cztery postacie – ukłony ich hojnie nagrodzone zostały oklaskami – wśród religijnej wręcz ciszy rozpoczęły recytowanie prologu, którego chętnie oszczędzimy tutaj czytelnikowi. Zresztą, jak zdarza się to jeszcze i dzisiaj, z początku publiczność zwracała większą uwagę na kostiumy aktorów niż na ich słowa; i jako żywo, miała rację. Wszyscy czterej przyodziani byli w szaty w połowie żółte, w połowie białe, a różniące się pomiędzy sobą tylko rodzajem tkaniny, z której je uszyto; pierwsza była ze złocistego i srebrzystego brokatu; druga z jedwabiu, trzecia z wełny, czwarta z płótna. Pierwsza postać trzymała w prawej ręce szpadę, druga – dwa złote klucze, trzecia – wagę, czwarta – rydel; aby zaś dopomóc leniwym umysłom, dla których nie dość jeszcze jasne i przejrzyste byłyby te atrybuty, wielkimi czarnymi literami wyhaftowano napisy: u dołu sukni z brokatu: „Nazywam się Szlachta”; u dołu sukni z jedwabiu: „Nazywam się Kler”; u dołu sukni z wełny: „Nazywam się Handel”; u dołu sukni z płótna: „Nazywam się Orka”. Płec obu alegorii rodzaju męskiego w sposób całkowicie oczywisty dla każdego rozumnego widza oznaczona została za pomocą krótszych nieco szat i czapek, które nosiły na głowach: obie zaś alegorie rodzaju żeńskiego miały suknie dłuższe, a na głowach – kapturki.

Niemalą też złąj woli wykazałby ten, kto by z wierszy prologu nie zrozumiał, że Orka zaślubiona jest Handlowi, a Szlachta Klerowi i że obie szczęśliwe pary małżonków posiadają wspólnie wspaniałego złotego delfina, którego postanowiły ofiarować tylko najpiękniejszej kobiecie. Wędrują więc przez świat szukając tej piękności. Orka i Handel, Szlachta i Kler odrzuciły już kolejno królową Golkondy, księżniczkę Trebizondy, córkę Wielkiego Chana Tatarów itd., itd., i oto zatrzymały się na marmurowym stole w Pałacu Sprawiedliwości, aby wypocząć nieco, wygłaszając wobec zacnego audytorium tyle maksym, sentencji, sofizmatów, definicji i retorycznych figur, ile tylko można ich było wówczas wygłosić na egzaminach fakultetu sztuk wyzwolonych, gdzie mistrzowie uzyskiwali birety licencjatów.

Wszystko to było rzeczywiście bardzo piękne.

Tymczasem wśród ciszy, na którą cztery alegorie na wyścigi wylewały potoki metafor, nie było uważniejszego ucha, mocniej bijącego serca, bardziej nieprzytomnego oka i bardziej wyciągniętej szyi niżli ucho, serce, oko i szyja autora, poety – poczciwego Piotra Gringoire, który przed chwilą nie potrafił oprzeć się radosnej chęci wyjawienia imienia swego dwóm ładnym dziewczętom. Teraz Piotr Gringoire odsunął się od nich i powrócił za filar; stamtąd słuchał, patrzył, rozkoszował się. Życzliwe oklaski, którymi przyjęty został początek prologu, rozbrzmiewały w nim jeszcze, był całkowicie pogrążony w tej specjalnej, ekstatycznej kontemplacji, z jaką autor zwykle patrzy, jak myśli jego padają po kolei z ust aktora w ciszę rozległego audytorium. Zaczyna Piotr Gringoire!

Przykro nam bardzo pisać o tym, ale to początkowe uniesienie szybko zostało zamącone. Ledwie Gringoire zdążył przybliżyć wargi do upajającej czary triumfu i radości, a już zatrzała ją kropla goryczy.

Jakiś ściśnięty w tłumie żebrak w łachmanach, który nie miał dość miejsca, by żebrać, a w kieszeniach sąsiadów nie znalazł widać godziwego wyrównania swej straty, postanowił usadowić się na jakimś widocznym miejscu, aby ściągnąć na siebie spojrzenia i datki. Wdrapał się więc podczas wygłaszania pierwszych wersetów prologu po belkach trybuny, przeznaczonej dla posłów, aż na gzyms, który biegł po zewnętrznej stronie balustrady, i usiadł tam, wzbudzając zainteresowanie i współczucie ciszy swymi łachmanami i wstrętną raną, która pokrywała jego prawe ramię. Nie odzywał się zresztą ani słowem.

Ponieważ zaś milczał, prolog posuwał się naprzód bez przeszkód i nie zakłóciłoby go żadne większe zamieszanie, gdyby żak Jan z wysokości swojego filara nie spostrzegł nieszczęśliwym trafem żebraka i jego żalonych min. Niepohamowany śmiech ogarnął młodziutkiego urwisa, który nie troszcząc się zgoła o to, że przerywa przedstawienie i mąci skupienie powszechne, zawołał swawolnie:

– Patrzajcie, ten cherlawy stwór prosi o jałmużnę!

Każdy, kto kiedykolwiek rzucił kamień w sadzawkę pełną żab lub też wystrzelił z fuzji w stado ptaków, łatwo może sobie wyobrazić skutek tych słów, tak niestosownych wśród powszechnego skupienia. Na dźwięk ich Gringoire zadrżał, jakby pod działaniem elektrycznego prądu. Prolog urwał się i wszystkie głowy odwróciły się w tym zamęcie w stronę żebraka, który wcale nie zmieszany zmiarkował, że nadarzyła mu się okazja zebrania niezłego plonu, i na pół Przymknąwszy oczy zaczął powtarzać boleściwym głosem:

– Litości, proszę o wsparcie!

– Jak to... na mą duszę! – zawołał znów Jan. – To Klopın Postraszgłupca! Hej, przyjacielu, powiedz no, czy rana tak bardzo dokuczała ci na nodze, żeś przeniósł ją na ramię?

Mówiąc to Jan z małą zręcznością wrzucił miedziaka w zatłuszczony kapelusz, który żebrak wyciągał w chorej ręce. Przyjąwszy bez drgnienia datek i drwinę Klopın w dalszym ciągu powtarzał żałośnie:

– Litości, proszę o wsparcie!

Epizod ten znacznie rozproszył skupienie, rozbawił audytorium i wielu spośród widzów, w ślad za Robinem Kociubką i resztą żaków, zaczęło wesoło oklaskiwać ów niezwykle, zaimprovizowany wśród prologu duet: drącego się piskliwie szkolarza i żebraka, który zawodził niewzruszenie, monotonna a żałośnie.

Gringoire był bardzo niezadowolony. Otrząsnął się już z osłupienia, które ogarnęło go w pierwszej chwili, i teraz ze wszystkich sił próbował przekrzyczeć zgiełk wołając do stojących na scenie aktorów:

– Grajcie dalej, do licha, grajcie dalej! – nie racząc jednego nawet pogardliwego spojrzenia

rzucić dwom intruzom, którzy przerwali jego prolog.

W pewnej chwili poczuł, że ktoś ciągnie go za połę kaftana; odwrócił się nie bez zniecierpliwienia i uśmiechnął z niejakim przymusem. Musiał się jednak uśmiechnąć. Była to bowiem śliczna rączka Żiskety Gencienne, która, sięgając poprzez balustradę, prosiła go w ten sposób o chwilę uwagi.

– Powiedźcie, panie – odezwała się dziewczyna – czy będą dalej grali?

– Oczywiście! – odrzekł Gringoire nieco urażony pytaniem.

– W takim razie – powiedziała dziewczyna – zechciejcie, proszę, wytłumaczyć mi...

– Co teraz będzie? — przerwał Gringoire. – Dobrze, posłuchaj więc, waćpanna.

– Nie – rzekła Żisketa – wytłumaczcie mi to, co było do tej pory. Gringoire aż podskoczył, jak człowiek, którego otwartej rany nagle by dotknięto.

– Niech wszyscy diabli porwą tę głupią i tępą dziewczuchę! – mruknął przez zaciśnięte zęby.

Z tą chwilą Żisketa zgubiona została w jego oczach na zawsze.

Tymczasem aktorzy usłuchali jego rozkazu, publiczność zaś widząc, że zabierają się na powrót do recytacji, zaczęła znowu słuchać. Cóż, zapewne, wiele piękności zagubiło się bezpowrotnie wśród tego spajania sztuki tak nagle przeciętej na dwie części. Gringoire stwierdzał to po cichu, z goryczą. Spokój jednak powoli powracał; żak nie odzywał się więcej, żebrak liczył zebrane w kapelusz grosze. Sztuka odzyskała przewagę.

Był to rzeczywiście utwór bardzo piękny, który, jak się nam wydaje, po wprowadzeniu pewnych niewielkich zmian można by wykorzystać i dzisiaj jeszcze. Ekspozycja nieco przydługa i nieco pusta – a więc przepisowa – była prosta; i Gringoire w naiwności ducha podziwiał jej jasność. Jak łatwo jest się domyślić – cztery alegoryczne postacie, które przewędrowały przez trzy części świata, nie znajdując stosownej okazji do pozbycia się swego złotego delfina, były już cokolwiek znużone. I oto wygłaszały pochwałę cudownej ryby pełną delikatnych aluzji do młodego narzeczonego Małgorzaty Flandryjskiej, odciętego podówczas od świata w smutnym odosobnieniu w Amboise i nie podejrzewającego wcale, że Orka, Kler, Szlachta i Handel przemierzyły dla niego całą kulę ziemską. Delfin ów był więc młody, piękny, silny, a nade wszystko (o cudowne źródło wszelakich królewskich cnót!) był synem lwa Francji. Stwierdzić to muszę, że godna podziwu jest ta śmiała metafora i że przyrodoznawstwo teatralne w dni alegorii i wierszy na cześć królewskich zaślubin nie stroni zgoła od delfina, który jest synem lwa. Takie wyszukane, pompatyczne, a nieoczekiwane połączenia są właśnie świadectwem entuzjazmu. Niemniej wszakże – żeby i słusznej krytyce także zadosyć się stało – mógłby być autor swój piękny pomysł rozwinąć nieco krócej niż aż w dwustu wierszach. Co prawda wedle starościniego rozkazu misterium miało trwać od południa do godziny czwartej i coś przecież trzeba było mówić. Zresztą publiczność słuchała cierpliwie.

Nagle w samym środku sprzeczki między jejmością Orką i panią Szlachtą, w chwili kiedy mistrz Handel wygłaszał olśniewający werset: „I nie było w lasach bardziej triumfującego zwierza...” – drzwi, prowadzące na przeznaczoną dla posłów trybunę, które aż do tej pory były tak niefortunnie zamknięte, otwarły się jeszcze chyba bardziej niefortunnie i donośny głos odźwiernego oznajmił wszem wobec:

– Jego eminencja kardynał de Bourbon.

III

KARDYNAŁ

Biedny Gringoire! Trzask wszystkich podwójnych petard w dzień świętego Jana, salwa z dwudziestu hakownic, wystrzał ze słynnej kolubryny z wieży Billy, który w niedzielę 29 września 1465, podczas oblężenia Paryża, uśmiercił od razu aż siedmiu Burgundczyków, wybuch całego prochu armatniego w prochowni koło bramy Tempie – w owej chwili uroczystej i dramatycznej nie tak gwałtownie zagrzmiałyby w jego uszach jak te kilka słów, które padły z ust odźwiernego: „Jego eminencja kardynał de Bourbon”.

Nie dlatego bynajmniej, by Piotr Gringoire bał się kardynała czy też nim pogardzał. Nie był ani tak słaby, ani tak zarozumiały. Prawdziwy eklektyk, jakby się powiedziało dzisiaj. Piotr Gringoire należał do tych umysłów wyniosłych i stanowczych, spokojnych i umiarkowanych, które umieją znaleźć się zawsze i wszędzie, stare in dimidiorum,⁸ które są pełne rozsądku i wyrozumiałej filozofii, a zarazem wcale nie lekceważą kardynałów. Cenny to i nigdy nie wymierający ród filozofów, którym mądrość, niby druga Ariadna, dała do ręki kłębek nici po to, by szli rozwijając go od początku świata poprzez labirynt ludzkich spraw. Odnajdujemy ich we wszystkich czasach zawsze takich samych, czyli zawsze na miarę czasów, w których żyć im wypadło. I oprócz naszego Piotra Gringoire, który reprezentować ich będzie w wieku piętnastym, jeżeli uda się nam ukazać go czytelnikom z wyrazistością, na jaką na pewno zasługuje – ich to zapewne duch ożywiał ojca du Breul, kiedy zapisywał w wieku szesnastym te słowa, naiwnie wzniosłe a godne wszystkich stuleci: „Jestem paryżaninem z urodzenia a parrhisianinem z mowy, bo *parrhisia* znaczy po grecku – swoboda słowa, której to używałem wobec ich eminencji kardynałów wuja i brata jaśnie oświeconego księcia Conty; z całym należnym szacunkiem jednakże i nie obrażając nikogo z ich świty, co jest zasługą niemałą.”

Nieprzyjemne wrażenie, jakie na Piotrze Gringoire wywołało pojawienie się kardynała, nie było więc objawem ani nienawiści do jego osoby, ani też lekceważenia jego obecności. Wprost przeciwnie: poeta nasz miał zbyt wiele zdrowego rozsądku i zbyt wytarty kaftan, aby nie przykładając szczególniejszej wagi do faktu, że liczne aluzje jego prologu – nade wszystko zaś gloryfikację delfina, syna Lwa Francji – usłyszysz oto najprzewielebniejsze ucho. Lecz w szlachetnej naturze poetów nie dominuje nigdy chęć własnej korzyści. Założywszy, że świadomość poety odpowiada liczbie dziesięć, chemik, analizując ją i farmakopolizując, jak powiada Rabelais, stwierdziłby z pewnością, że składa się ona z jednej części interesowności na dziewięć części miłości własnej. Kiedy przed kardynałem otwarły się drzwi, dziewięć części miłości własnej w naturze Piotra Gringoire – napęczniałe i wydęte podmuchem podziwu tłumu – znajdowały się w stanie cudownego wzrastania i ginęła, jakby przytłoczona wobec ich rozmiarów, niedostrzegalna komórka interesowności, której istnienie stwierdzaliśmy przed chwilą w organizmie każdego poety; jest to zresztą składnik cenny, jest to balast rzeczywistości i człowieczeństwa, bez którego poeci nie dotykałoby ziemi. Gringoire rozkoszował się tym, co czuł, widział, czego niemal dotykał, jeśli tak rzec można; cała ta zgromadzona rzesza – hołota, to prawda, ale cóż to znaczy? – była osłupiała, skamieniała, niejako porażona nieskończonymi tyradami, tryskającymi z każdej części jego dzieła. Mógłbym przysiąc, że Gringoire podzielał powszechny podziw i zachwyt, że – odwrotnie niż La Fontaine, który na przedstawieniu swojej komedii pod tytułem *Florentyńczyk* pytał: „Cóż to za bałwan układał tę sztukę?” – miałby ochotę zagadnąć sąsiada: „Kto jest autorem tego arcydzieła?” Możemy więc sobie wyobrazić, jakie

wrażenie wywarło na nim nagle i niewczesne przybycie kardynała.

To, czego mógł być się obawiać, rzeczywistość potwierdziła aż nadto. Wejście jego eminencji poruszyło całe audytorium. Wszystkie głowy obróciły się ku trybunie. Powstał zgiełk i zamęt, zagłuszający wszystko. „Kardynał! Kardynał!” – powtórzyły wszystkie usta. Nieszczęsny prolog urwał się po raz drugi.

Kardynał zatrzymał się na chwilę w drzwiach prowadzących na trybunę. Powiódł po zgromadzeniu dość obojętnym wzrokiem, a tymczasem zgiełk wzrastał coraz bardziej. Każdy chciał go zobaczyć. Każdy starał się jak najwyżej wychylić głowę ponad plecy sąsiada.

Była to istotnie osoba godna uwagi i widok jej wart był na pewno nawet najlepszej sztuki. Karol kardynał de Bourbon, arcybiskup i hrabia Lyonu, prymas Galii, spowinowacony był i z Ludwikiem XI przez brata swego Piotra, pana de Beaujeu, który zaślubił starszą córkę króla, i z Karolem Śmiałym przez matkę Agnieszkę Burgundzką. Otóż dominującą, znamioną i zasadniczą cechą charakteru prymasa Galii był duch dworactwa i ślepe uwielbienie dla możnych tego świata. Bez trudu też można zdać sobie sprawę, jak wiele kłopotów ściągnęło to podwójne powinowactwo na jego głowę, jak wiele doczesnych raf wymijać musiała barka jego duchownego dostojenstwa, aby nie rozbić się ani o Ludwika, ani o Karola – tę Charybdę i tę Scyllę, które pożarły i księcia de Nemours, i konetabla de Saint-Pol. Z łaski nieba udało się przebyć jakoś tę niebezpieczną drogę i cało dotrzeć do Rzymu. Lecz choć zawinął już do portu – i dlatego właśnie, że już znajdował się w bezpiecznym porcie – nie mógł bez niepokoju wspominać zmiennych kolei swego politycznego żywota, tak niespokojnego i pracowitego przez tyle długich lat. Powtarzał też często, że rok 1476 był dla niego rokiem „i czarnym, i białym”, co miało oznaczać, że w tym to roku właśnie odumarała go matka, księżna de Bourbonnais, i krewniak – książę burgundzki, że pociechą więc w jednej żałobie była mu druga żałoba.

Był to zresztą człowiek dobroduszny; wiódł beztroski żywot kardynała, chętnie weselił się przy królewskim winie z Challuau, nie gardził wdziękami Ryszardy la Carmoise i Tomasy la Saillarde, chętniej jałmużnę dawał ładnym dziewczętom niż starszkom i z tych wszystkich powodów cieszył się wielkim miernym wśród pospólstwa Paryża. Towarzyszyła mu wszędzie niewielka świta biskupów i księży wysokiego rodu, dwornych, dziarskich, zawsze skorych do hulanki; zacne dewotki kościoła Saint-Germain-l’Auxerrois, mijając wieczorem oświetlone okna siedziby Bourbonów, nieraz przystawały, zgorszona, słycać było bowiem, jak te same głosy, które po południu śpiewały im nieszpory, nucały przy dźwięku szklanek bachiczną śpiewkę Benedykta XII, owego papieża, który do tiary dodał trzecią koronę: *Bibamus papaliter*.

Niewątpliwie, ta właśnie popularność, którą tak słusznie zyskał sobie, ustrzegła go teraz przy wejściu przed niechęcią ciżby, tak niezadowolonej i zbuntowanej przed chwilą i zaiste niezbyt skłonnej do szacunku dla kardynała w dniu, w którym sama obierać miała papieża. Ale paryżanie nie chowają długo urazy; poza tym zacni mieszczanie samowolnie rozpoczynając przedstawienie odnieśli zwycięstwo nad kardynałem i triumf ten zadowolił ich całkowicie. A zresztą książę kardynał de Bourbon był pięknym mężczyzną i wspaniale prezentował się w swojej pięknej czerwonej sukni; miał więc po swojej stronie wszystkie kobiety, czyli lepszą część widowni. Zaiste, wygwizdanie kardynała, który jest tak pięknym mężczyzną i prezentuje się tak okazale w swej czerwonej sukni, za to, że kazał czekać na siebie z rozpoczęciem przedstawienia, byłoby niesprawiedliwe i nietaktowne.

Wszedł więc, pozdrowił ciżbę uśmiechem, dziedzicznym uśmiechem możnych tego świata na użytek ludu, i wolnym krokiem skierował się do swego fotela obitego szkarłatnym aksamitem, myśląc najwidoczniej o czymś zupełnie innym. Orszak jego, złożony z biskupów i księży, który dziś nazwalibyśmy może jego sztabem, wtargnął w ślad za nim na trybunę, rozniecając jeszcze większą ciekawość i jeszcze większy zamęt wśród widowni. Pokazywano ich sobie nawzajem,

wymieniano z nazwiska, każdy chciał się pochwalić, że zna bodaj jednego, ten – biskupa Marsylii Alaudeta, jeżeli sobie dobrze przypominam, tamten – prymicjariusza od Św. Dionizego, ów – Roberta de Lespinasse z opactwa Saint-Germain-des-Prés, rozwiązłego brata kochanki Ludwika XI; odbywało się to wszystko wśród okrzyków i wrzasków i nie brak było pomyłek. Najgłośniej darli się zacy nie szczędząc bluźnierczych wyzwisk. Był to ich dzień, ich błazeńskie święto, ich saturnalia, doroczna orgia palestry i szkoły. W dniu tym dozwolone było i uświęcone zwyczajem każde bezeceństwo. A wśród ciżby znajdowały się przecież i kumoszki rubaszne a sprośne: Simona Quatrelivre, Agnieszka La Gadine, Robina Piedebou. Nie sposób więc było nie bluźnić do woli i nie nadużyć odrobinę bożego imienia w tak pięknym dniu i w tak doborowej kompanii dostojników Kościoła oraz dziewczek z zamtuza. Toteż każdy używał i nikt sobie nie żałował; ponad ogólnym zgiełkiem przerażającą kocią muzyką rozbrzmiewały bluźnierstwa i sprośności: to języki żaków i pisarczyków, przez resztę roku powstrzymywane strachem przed rozpalonym żelazem świętego Ludwika, rozwiązały się dzisiaj. Biedny święty Ludwik, ileż drwiny nałykać się musiał, i to w tym właśnie pałacu, w którym zwykle sprawował sądy i wymierzał sprawiedliwość! Każdy żak obierał sobie za cel jedną sutannę spośród tych, które kolejno pojawiały się na trybunie – sutannę czarną lub szarą, białą lub fioletową. Jan Frollo de Molendino zaś jako brat archidiakona zagiął parol na sutannę szkarłatną i darł się wniebogłose, wlepiając bezczelne oczy w kardynała:

– *Cappa repleta mero!*

Wszystkie te szczegóły, które ku zbudowaniu czytelnika tutaj obnażamy, tak dalece tonęły w powszechnej wrzawie, że gubiły się w niej, zanim zdążyły dotrzeć do przeznaczonej dla gości trybuny. Kardynał zresztą i tak nie przejąłby się zbytnio, gdyż w dniu tym wszelaka swawola należała przecież do obyczaju. Miał on zresztą inną troskę, jego oblicze dawało temu świadectwo – troskę, która szła za nim krok w krok i pojawiła się na trybunie nieomal że razem z nim; troską tą było poselstwo z Flandrii.

Kardynał nie był dalekowzrocznym politykiem i na pewno nie dręczyły go w głębi duszy pytania: jakie też skutki wyniknąć mogą z małżeństwa krewniaczki jego Małgorzaty Burgundzkiej, z krewniakiem jego, delfinem Karolem; jak długo przetrwać zdoła pozorna zgoda między arcyksięciem Austrii a królem Francji; jak przyjmie król Anglii zniewagę wyrządzoną swojej córce. Tym wszystkim nie przejmował się nadmiernie i popijał co wieczór królewskie wino z Chaillot nie podejrzewając, że kilka flasz tego właśnie wina (co prawda wypróbowanego i odpowiednio przyrządzonego przez medyka Coictier) ofiarowanych jak najserdeczniej Edwardowi IV przez Ludwika XI uwolni raz na zawsze pewnego pięknego poranka Ludwika XI od Edwarda IV. „Wielce czcigodne poselstwo jaśnie oświeconego księcia Austrii” nie przysporzyło kardynałowi ani jednej z tych trosk, ciążyło mu za to z innych względów. Zaiste – wspominaliśmy już o tym na drugiej stronicy naszej książki – nie była to rzecz miła, że on, Karol de Bourbon, przyjmować i fetować musiał jakichś tam łyków; on, kardynał – ławników miejskich; on, Francuz, wesoły hulaka – flamandzkich piwoszków; i to w dodatku publicznie. Zaprawdę tak nużących a fałszywych grymasów nigdy jeszcze chyba nie zdarzyło mu się stroić dla królewskiej przyjemności.

Kardynał obrócił się więc ku drzwiom, i to najuprzejmiej w świecie (tak bardzo potrafił się o to starać), gdy odzwierny oznajmił donośnie: „Panowie posłowie jaśnie oświeconego księcia Austrii”. Nie trzeba chyba mówić, że oczy całej sali również zwróciły się w tamtą stronę.

I oto – z powagą, jakże odbijającą od niesforności duchownego orszaku Karola de Bourbon – zaczęło wchodzić parami czterdziestu ośmiu posłów Maksymiliana Austriackiego. Wielobny w Bogu ojciec Jan, opat Św. Alberta, Kanclerz Złotego Runa, i Jakub de Goy, pan na Dauby, wielki bajliw Gandawy, kroczyli na przedzie. Wśród zebranych zaległa głęboka cisza, przerywana

niekiedy jeszcze stłumionym śmiechem. Przysłuchiwano się tym dziwacznym nazwiskom i tym wszystkim mieszczańskim tytułom, które wchodzące osoby wymieniały z powagą odźwiernemu, odźwierny zaś rzucał je w tłum, mieszając i przekręcając niemiłosiernie. Był tam więc mistrz Loys Roelof, ławnik miasta Louvain, i imię Klays d'Etuelde, ławnik Brukseli; imię Paweł de Baeust, pan na Voirmizelle, przedstawiciel Flandrii, mistrz Jan Coleghens, burmistrz miasta Antwerpii, mistrz Jerzy de la Moere, pierwszy ławnik sądu miasta Gandawy, i mistrz Gheldolf van der Hage, przedstawiciel właścicieli ziemskich tegoż miasta, i wielmożny Bierbecque, i Jan Pinnock, i Jan Dymaerzelle itd., itd., itd. – bajliwi, ławnicy, burmistrze; burmistrze, ławnicy, bajliwi; a wszyscy sztywni, nadęci, wykrochmaleni, odświętnie wystrojeni w aksamity i adamaszki, w czarnych aksamitnych kapturach z chwastami z nitki cypryjskiego złota; pocziwe głowy flamandzkie w gruncie rzeczy, oblicza godne i surowe, z gatunku tych silnych i poważnych twarzy, które się odcinają na ciemnym tle *Nocnego rontu* Rembrandta. Ludzie ci mieli wypisane na czołach, że Maksymilian Austriacki słusznie uczynił „zdając się całkowicie – jak głosił jego manifest – na ich rozsądek, męstwo, doświadczenie, uczciwość i roztropność”.

Jeden z nich tylko wyróżniał się spośród towarzyszy. Twarz miał subtelną, inteligentną, chytrą – istny pyszczek małpy czy też dyplomaty. A choć zwał się on tylko Wilhelmem Rymem i był radcą i dostojnikiem miasta Gandawy – kardynał podszedł doń i powitał go głębokim ukłonem.

Niewielu wówczas ludzi wiedziało, kim był Wilhelm Rym. Niecodzienny ten geniusz w epoce rewolucji zajaśniałby świetnie na powierzchni wydarzeń, ale w wieku piętnastym musiał się ograniczyć jedynie do tajemnych, podziemnych intryg, do „życia w podkopach”, jak powiada książę de Saint-Simon. Zresztą Wilhelma Ryma cenili też sobie wielce pierwszy „mistrz podkopów” w Europie. Ludwik XI dopuścił go do poufałości w swych knowaniach. Rym często przykładał swej ręce do tajnych spraw króla. Lecz nie wiedziała o tym ciżba patrząca w zachwycie, jak wiele grzeczności świadczy kardynał temu mizernemu flamandzkiemu bajliwowi.

IV

MISTRZ JAKUB KOPENOL

Kiedy dostojnik miasta Gandawy i jego eminencja kardynał składali sobie nawzajem niskie ukłony i wymieniali po cichu kilka słów, jakiś człowiek, wysoki, o szerokim obliczu i potężnych barach, stanął u wejścia zamierzając przepchnąć się tuż za Wilhelmem Rymem, jak brytan obok lisa. Jego filcowy kapelusz i skórzana kurta tworzyły plamę na tle otaczających go aksamitów i jedwabi. Odźwierny sądząc, że to jakiś zabłąkany koniuszy, zastąpił mu drogę.

– Hola, przyjacielu, tutaj nie wolno!

Mężczyzna w skórzanej kurcie odepchnął go ramieniem.

– A ten hultaj czego chce ode mnie? – zapytał głosem tak gromkim, że uwaga całej sali zwróciła się ku tej niezwyklej rozmowie. – Nie widzisz, że jestem jednym z posłów?

– Wasze imię, panie? – zapytał odźwierny.

– Jakub Kopenol.

– Urzędy wasze i tytuły?

– Pończosznik, spod wywieszki „Trzy Łańcuszki” w Gandawie. Odźwierny aż się cofnął. Oznajmiać ławników i burmistrzów – od biedy ujdzie jeszcze; ale pończosznika – tego już było

mu za wiele! Kardynał kręcił się jak na szpilkach. Cały zgromadzony lud patrzył i słuchał. Od dwóch dni już jego eminencja ze wszystkich sił starał się okrzesać nieco te flamandzkie niedźwiedzie, żeby je można było pokazywać publiczności – i oto masz, taki wybryk! Tymczasem Wilhelm Rym ze swym przebiegłym uśmiechem na ustach zbliżył się do odźwiernego.

– Oznajmijcie mistrza Jakuba Kopenola, pisarza ławników miasta Gandawy – szepnął dość bardzo cicho.

– Odźwierny! – powtórzył głośno kardynał – oznajmijcie mistrza Jakuba Kopenola, pisarza ławników miasta Gandawy.

Był to błąd. Wilhelm Rym bez jego pomocy wybrnąłby z trudnej sytuacji; ale Kopenol usłyszał słowa kardynała.

– Nie, na Krzyż Pański! – zawołał swoim grzmiącym głosem – Jakub Kopenol, pończosznic! Hej, odźwierny, czy mnie słyszysz? Ani więcej, ani mniej. Na Krzyż Pański! Pończosznic – to piękne rzemiosło. Sam jaśnie oświecony arcyksiążę nieraz musiał szukać swojej rękawiczki w portkach, które w moim warsztacie uszyto.

Wybuchły śmiechy i oklaski. Paryżanie w lot pojmują każdy żart i oklaskują go sownie.

Dodajmy jeszcze, że Kopenol był z ludu i że otaczająca go publiczność również z ludu była. Toteż porozumienie pomiędzy nim a tłumem nastąpiło natychmiast, błyskawicznie i żeby tak rzec, na równej stopie. Dumny wybryk flamandzkiego pończosznika upokarzając dworskich dygnitarzy poruszył we wszystkich tych plebejskich duszach jakieś niejasne i nie skryształizowane jeszcze w piętnastym wieku poczucie godności. Ten pończosznic był im równy, a oto samemu kardynałowi stawiał czoło. Słodką to była myśl dla biedoty przywykłej do szacunku i posłuszeństwa sług pachołków bajliwa, opata Świętej Genowefy, który nosił tren płaszcz kardynała.

Kopenol skłonił się dumnie jego eminencji, a kardynał oddał ukłon wszechmocnemu mieszczaninowi, którego się sam Ludwik XI obawiał. Po czym, ścigani uśmiechem Wilhelma Ryma, „człeka mądrego, a złośliwego”, jak powiada Filip de Comines, uśmiechem wyrażającym wyższość i drwinę, rozstali się i zajęli swoje miejsca – kardynał strapiony i zmieszany, Kopenol spokojny i wyniosły. Myślał teraz sobie zapewne, że tytuł pończosznika nie mniej jest wart od każdego innego tytułu i że Maria Burgundzka, matka tej właśnie Małgorzaty, którą wydawał dzisiaj za męża, mniej obawiała się go jako kardynała niż jako pończosznika: żaden kardynał bowiem nie zdołałby podburzyć Gandawczyków przeciwko faworytom córki Karola Śmiałego; żaden kardynał bowiem nie potrafiłby jednym swoim słowem znieczulić tłumy na jej łzy i prośby, kiedy to księżniczka Flandrii aż do stóp szafotu przyszła, by wybłagać dla nich łaskę? u swojego ludu; a pończosznic podniósł tylko ramię w skórzanym rękawie – i spadły wasze głowy, o najjaśniejsi panowie: Guy d’Hymbercourt i Wilhelmie Hugonet, kanclerzu!

Lecz męka nieszczęsnego kardynała nie skończyła się jeszcze, miał wychylić aż do dna gorzki kielich przebywania w tak podłej kompanii.

Czytelnik może pamiętać owego zuchwałego żebraka, który na samym początku prologu uczeplił się frędzli kardynalskiej trybuny. Przybycie świetnych gości nie wypłoszyło go zgoła, a kiedy ambasadorowie i prałaci jak prawdziwe holenderskie śledzie stłoczyli się ciasno, jeden tuż obok drugiego w stallach na trybunie, żebrak, założywszy nogę na nogę, rozsiadł się wygodnie na otaczającej ją balustradzie. Zuchwalstwo to było niebywałe, ale nikt go w pierwszej chwili nie zauważył, gdyż powszechna uwaga była skierowana gdzie indziej. On zaś z kolei nie dostrzegał tego, co się działo na sali. Kiwał tylko głową z istic neapolitańską beztróską i co pewien czas powtarzał wśród tej wrzawy machinalnie, jak gdyby z przyzwyczajenia: „Litości, proszę o wsparcie.” Z całego zgromadzenia on jeden jedyny nie raczył nawet odwrócić głowy podczas

sprzeczeki Kopenola z odźwiernym. Otóż przypadek sprawił, że mistrz pończosznik z Gandawy, który od razu podbił sobie serca ludu i na którego zwrócone były wszystkie oczy, usiadł na trybunie właśnie w pierwszym rzędzie, tuż nad żebrakiem. I oto z niemałym zdumieniem ujrzano, że poseł flamandzki przyjrząwszy się biedakowi, który usadowił się tak blisko niego, przyjacielsko klepnął go po ramieniu okrytym łachmanem. Żebrek odwrócił się; obydwaj zdziwili się, obydwaj się poznali, obydwu rozradowały się twarze; po czym, nie troszcząc się wcale o przyglądających się, pończosznik i nędzny kaleka zaczęli rozmawiać po cichu, z dłonią w dłoni, a łachman Klopina Postraszgłupcy na tle pozłocistej materii, którą obita była trybuna, wyglądał jak liszka na pomarańczy.

Niezwykłość tej sceny wznieciła zgiełk tak szalonej radości, że spostrzegł ją wreszcie sam kardynał; wychylił się więc nieco ze swego fotela, a ponieważ z miejsca, na którym siedział, nie mógł dojrzeć dokładnie wstrętnej opończy Postraszgłupcy, wyobraził sobie całkiem naturalnie, że żebrak prosi o jałmużnę, i oburzony tym zuchwalstwem zawołał:

– Mości bajliwie, wrzucić mi tego hultaja do rzeki!

– Na Krzyż Pański, to mój przyjaciel, przewielebny kardynale! – rzekł Kopenol nie wypuszczając ze swej ręki dłoni Klopina.

– *Noël! Noël!* – krzyczała ciżba. Od tej chwili mistrz Kopenol zyskał sobie w Paryżu taki sam „wielki mir wśród pospólstwa jak w Gandawie, ludzie bowiem tego pokroju – powiada Filip de Comines – zdobywają go sobie takim właśnie nieumiarkowaniem”.

Kardynał zagryzł wargi. Pochylił się do siedzącego obok opata Świętej Genowefy i rzekł doń półgłosem:

– Pocieszych ambasadorów przysyła nam jaśnie oświecony arcyksiążę austriacki z zapowiedzią przybycia księżniczki Małgorzaty!

– Jego eminencja świadczy za wiele grzeczności tym flamandzkim gburom – odrzekł opat. – *Margaritas ante porcos.*

– Powiedzcie raczej: *Porcos ante Margaritam* – odpowiedział z uśmiechem kardynał.

Cały dwór w sutannach wpadł w zachwyt nad konceptem. Kardynałowi zrobiło się lżej na sercu, oddał Kopenolowi wet za wet, jego żart też zyskał uznanie.

A teraz – niechże ci spośród czytelników, którzy mają dar uogólniania obrazu i myśli, jak się to mówi w modnym dzisiaj stylu, pozwolą nam zapytać siebie, czy aby na pewno wyobrażają sobie wyraźnie, jak wyglądał rozległy czworobok wielkiej sali Pałacu Sprawiedliwości w chwili, na której zatrzymaliśmy ich uwagę. Pośrodku zachodniej ściany sali – wielka i wspaniała trybuna obita pozłocistym brokatem; na nią przez niewielkie drzwi przesklepione ostrołukiem uroczyście wkraczają poważne osobistości, kolejno oznajmiane wrzaskliwym głosem odźwiernego. W pierwszych rzędach ław ustawionych na trybunie zasiadło już wiele czcigodnych osób odzianych w sute gronostaje, aksamity i szkarłaty. Dookoła wyniosłej i milczącej trybuny, u jej stóp, naprzeciw niej, wszędzie, w całej sali – ciżba i zgiełk. Tysiące spojrzeń utkwionych w każdą twarz na podwyższeniu, tysiączne szepty na temat każdego nazwiska. Widowisko zaiste jest ciekawe i zasługuje na uwagę patrzących. Lecz tam, u końca sali, cóż to za jakieś teatrum jarmarczne – czwórka pstrokatych błaznów na górze, a pod nimi druga czwórka w innych nieco strojach? A tuż obok tej sceny cóż to za człowiek w czarnej opończy, z bladym licem? Niestety! tak, drogi czytelniku, to Piotr Gringoire i jego prolog. Wszyscy zapomnieliśmy o nim do szczytu!

A on tego się właśnie lękał.

Od przybycia kardynała Gringoire bez chwili spoczynku robił, co mógł, aby ratować swój prolog. Z początku polecił aktorom, którzy przerwali grę, aby grali dalej i mówili głośniej; później, widząc, że nikt ich nie słucha, przerwał sam przedstawienie; przerwa ta trwała już przeszło kwadrans, a on nieustannie tupał, miotał się, nawoływał Żisketę i Lienardę, zachęcał

swych sąsiadów, aby dopominali się o prolog – wszystko nadaremnie. Nikt nie odrywał oczu od kardynała, od poselstwa, od trybuny – jedyne punktu skupiającego wszystkie promienie tego ogromnego kręgu spojrzeń. Należy również przypuszczać – z żalem to wyznajemy – że prolog zaczął już z lekka doskwierać słuchaczom w owej chwili, kiedy to jego eminencja wszedł i tak bezlitośnie zagarnął dla siebie powszechną uwagę. W gruncie rzeczy zarówno na trybunie, jak i na marmurowym stole odbywało się przecież to samo widowisko: konflikt Orki i Kleru, Szlachty i Handlu. I wielu ludzi wołało oglądać postacie tego dramatu w naturze, z krwi i kości, patrzeć, jak oddychają, działają, potracają się nawzajem, raczej tam, wśród tego flamandzkiego poselstwa, wśród tego biskupiego orszaku, w sukni kardynalskiej czy pod kurtą Kopenola, niż tu, na scenie – uszmiukowane, przebrane, gadające wierszami, niczym wypchane manekiny przyrodziane w żółto-białe tuniki przez Piotra Gringoire.

Wszelako, kiedy nasz poeta spostrzegł, że spokój zaczyna powracać, wpadł na podstępny pomysł, który mógłby jeszcze wszystko uratować.

Pochylił się do swego sąsiada, dobrodusznego grubasa o cierplivej twarzy:

– A gdyby tak, panie, rozpoczęli na nowo?

– Co? – zapytał sąsiad.

– Ano misterium! – odrzekł Gringoire.

– Jak sobie chcecie – powiedział grubas.

To połowiczne przyzwolenie wystarczyło Gringoire'owi. I biorąc własne sprawy we własne ręce, wmieszał się głębiej w tłum i zaczął wrzeszczeć: „Misterium! Zaczynać od nowa! Zaczynać!”

– A do diabła! – rzekł Jan de Molendino – a cóż to tamci znowu wyśpiewują? (Bo Gringoire hałasował za czterech.) Posłuchajcie no, koledzy! przecież misterium już skończone? A ci chcą je znowu zaczynać. To się nie godzi.

– Nie! Nie! – wrzasnęli chórem żacy. – Precz z misterium! Precz!

Ale Gringoire dwoił się, troił i krzyczał coraz głośnie j: „Zaczynać! Zaczynać!”

Te hałasy zwróciły wreszcie uwagę kardynała.

Mości bajliwie! – odezwał się do wysokiego, czarno odzianego mężczyzny, który stał w pobliżu jego krzesła. – Czyżby te diabły powpadały do święconej wody, że robią taki piekielny hałas?

Bajliw Pałacu był to całkiem swoisty urzędnik-amfibia, coś niby nietoperz sadowniczego stanu – ni to szczur, ni to ptak, ni to sędzia, ni to żołnierz.

Podszedł do jego eminencji i jękając się z lęku przed niezadowoleniem kardynała, wytłumaczył mu przyczynę nieobyczajności pospólstwa: południe nadeszło wcześniej niż jego eminencja i komedianci zostali zmuszeni do rozpoczęcia przedstawienia przed przybyciem jego eminencji.

Kardynał roześmiał się.

– Słowo daję, pan rektor Uniwersytetu powinien był postąpić tak samo jak oni! A cóż wy na to, mistrzu Wilhelmie Rym?

– Eminencjo – odrzekł Wilhelm Rym – bądźmy kontenci, że się nam udało uniknąć połowy przedstawienia. Tyleśmy przynajmniej zyskali. Czy ci hultaje mogą grać dalej swoją farsę? – zapytał bajliw.

– Grajcie, grajcie dalej! – rzekł kardynał – wszystko mi jedno. Poczytam sobie tymczasem brewiarz.

Bajliw stanął na krawędzi trybuny, uciszył tłum ruchem ręki i krzyknął:

– Mieszczanie, obywatele i mieszkańcy, aby zadowolić tych, co chcą, żeby zaczynać na nowo, i tych, co chcą, żeby skończyć, jego eminencja rozkazuje grać dalej.

Po obu stronach musiano ustąpić. Lecz i publiczność, i autor na długo jednak zachowali urazę do kardynała.

Aktorzy na scenie podjęli więc swój wywód i Piotrowi Gringoire błysnęła nadzieja, że przynajmniej reszta jego dzieła będzie wysłuchana. Nadzieja ta wkrótce się rozwiła w ślad za jego innymi złudzeniami; audytorium uciszyło się jako tako; Gringoire nie spostrzegł jednak, że kiedy kardynał rozkazał grać dalej, trybuna nie była jeszcze zapełniona; w ślad za posłami flamandzkimi zaczęły na nią wchodzić inne osobistości należące do orszaku, a nazwiska ich, tytuły i urzędy, ciskane poprzez dialog w nieregularnych odstępach głosem odzwiernego, czyniły w sztuce wielkie spustoszenie. Bo i spróbujmy tylko wyobrazić sobie wśród przedstawienia w teatrze kłekot odzwiernego, który między dwa rymy, a często i w sam nawet środek wiersza wrzuca takie na przykład wstawki:

– Mistrz Jakub Charmolue, królewski prokurator przy sądzie kościelnym!... Imć pan Jan de Harlay, dowódca nocnej straży miasta Paryża!... Mość Galiot de Genoilhac, pan na Brussac, dowódca królewskiej artylerii!... Mistrz Dreux-Raguier, zarządca wód i lasów miłościwego Króla naszego w krajach Francji, kampanii i Brie!... Wielmożny rycerz Ludwik de Graville, doradca i szambelan królewski, admirał Francji, strażnik lasu Vincennes!.. Mistrz Dionizy Le Mercier, przełożony przytułku dla ślepców w Paryżu!... – Itd., itd., itd.

Stawało się to wprost nie do wytrzymania.

Ów niezwykły akompaniament, który tak utrudniał słuchanie sztuki, oburzał Piotra Gringoire tym dotkliwiej, iż nie mógł on ukryć przed samym sobą, że misterium stawało się coraz ciekawsze i że dziełu jego brakowało tylko uważnych słuchaczy. Rzeczywiście trudno byłoby wyobrazić sobie powiązania bardziej pomysłowe i bardziej dramatyczne. Cztery postacie prologu biadały i lamentowały w swym śmiertelnym frasunku, kiedy zjawiała się przed nimi Wenus we własnej osobie (*vera incessu patuit dea*), odziana w piękny płaszcz rycerski z wyhaftowanym okrętem – herbem miasta Paryża. Sama oto przychodziła po delfina przyobiecanej najpiękniejszej. Wspomagał ją Jowisz, z garderoby dochodził grzmot jego pioruna, i Wenus już-ż miała porwać, czyli mówiąc bez przenośni, zaślubić jaśnie oświeconego delfina, kiedy nadeszła młodzianka dziewczeczka, ubrana w biały adamaszek i trzymająca w ręku stokrotkę (jakże przejrzyste uosobienie księżniczki Małgorzaty Flandryjskiej!), i zaczęła walczyć o niego z boginią. Nagłe, a nieoczekiwane powikłanie! Po dłuższej dyspacie Wenus, Małgorzata i inne osoby spoza kulis postanawiają przedłożyć swój spór do rozsądzenia Przenajświętszej Dziewicy. Była tam jeszcze jedna piękna rola – rola don Pedra, króla Mezopotamii. Lecz odzwierny tak przeszkadzał, że trudno było połapać się, do czego właściwie don Pedro był potrzebny.

A wszystkie osoby działające wdrapywały się na scenę po drabinie.

Ale stało się. Żadna z tych piękności nie została odczuta ani zrozumiana. Rzecz by można, że od chwili wejścia kardynała jakaś niewidzialna a magiczna nic odciągnęła nagle wszystkie spojrzenia od marmurowego stołu ku trybunie, od południowego krańca sali ku jej stronie zachodniej. Nie można już było odczynić czaru, jaki padł na audytorium; wszystkie oczy tam były utkwione, a wchodzący na trybunę, ich przeklęte imiona, twarze i stroje pobudzały nieustające zaciekawienie. Położenie stało się rozpaczliwe. Oprócz Żiskety i Lienardy, które odwracały się czasami, kiedy je Gringoire ciągnął za rękaw, oprócz cierpliwego grubego sąsiada – nikt nie słuchał, nikt nie oglądał nieszczęsnego, wzgardzonego moralitetu. Gringoire widział już tylko profile ludzkich twarzy.

Z jakąż goryczą patrzył, jak w gruz się rozpada cały gmach sławy i poezji, który stworzył. I pomyśleć tylko, że ten tłum już chciał się zbuntować przeciwko panu bajliwowi Pałacu, tak niecierpliwie pragnął usłyszeć jego, Gringoire'a, dzieło! A teraz, kiedy miał je, ani o nie dbało to samo przedstawienie, które rozpoczęło się wśród tak jednogłośniego uznania! O, odwieczne

przyptywy i odpływy łaskawości ludu! I pomyśleć tylko – tłum już chciał wieszać pachołków bajliwa! Ileż by Gringoire dał za to, by przeżywać jeszcze tamtą miodową godzinę!

Bezwzględny monolog odzwiernego ustał wreszcie; przyszli już wszyscy i Gringoire odetchnął; aktorzy dzielnie grali dalej. Lecz cóż to znowu? Mistrz Kopenol, pończosznik, podnosi się nagle i Gringoire słyszy, jak wśród powszechnej uwagi wygłasza to potworne przemówienie:

– Ichmościowie mieszczenie i dziedzice paryscy, na Krzyż Pański, nie wiem, co my tu właściwie robimy! Widzę tam w kącie jakieś jarmarczne teatrum, a na nim jakichś ludzi; wygląda na to, że mają ochotę do bójki. Nie wiem, czy właśnie to wy nazywacie „misterium”, ale jako żywo, nie jest to zabawne. Strzępią sobie języki i nic więcej. Od kwadransa czekam na pierwszy kuksaniec – i nic! Te ciury tylko się obrzucają obelgami. Trzeba było sprowadzić zapaśników z Londynu czy z Rotterdamu; a jakże, mielibyście wtedy taką bitkę na pięści, że słysząc by ją było aż na placu; ale na sam widok tych tutaj litość człowieka ogarnia. Mogliby przynajmniej pokazać nam jakiś taniec mauretański czy też jaką inną sztukę. Nie to mi obiecywano. Przyrzeczone mi Święto Błaznów i wybór papieża. My w Gandawie mamy też papieża błaznów. Na Krzyż Pański! w tym względzie nie pozostajemy w tyle za wami. Ale czy wiecie, jak się to u nas robi? Zbieramy się cała gromada jak tutaj, potem każdy po kolei wysuwa głowę przez dziurę i wykrzywia się do innych; ten, który według powszechnego uznania robi najszeptniejszą minę, zostaje obrany papieżem. Tak się to u nas robi. Uciechy mamy przy tym co niemiara. Czy chcecie, byśmy wybrali waszego papieża według zwyczajów mojego kraju? Zawsze to nie tak będzie nudne jak słuchanie tych gadułów. Jeśli zechcą – mogą też wziąć udział w naszej zabawie, wysuwać głowy przez dziurę i pokazywać miny. I cóż wy na to, panowie mieszczenie? Dość jest tutaj komicznych okazów ludzkich obu płci, abyśmy mogli się pośmiać po flamandzku, dość mamy tutaj wśród nas szpetnych twarzy, abyśmy mogli żywić nadzieję, że potrafią pięknie się wykrzywiać.

Gringoire chciał odpowiedzieć, lecz zdumienie, oburzenie i gniew odjęły mu głos. A zresztą wniosek pończosznika, który już zyskał sobie mir wśród pospólstwa, przyjęty został tak entuzjastycznie przez owych mieszczan, którym pochlebił nazywając ich dziedzicami, że wszelki opór na nic by się nie zdał. Trzeba było się poddać. Gringoire ukrył twarz w dłoniach, nie przypadło mu bowiem w udziale szczęście posiadania płaszcza, którym mógłby zakryć głowę jak Agamemnon Timanthesa.

V

QUASIMODO

W oka mgnieniu wszystko zostało przygotowane do wprowadzenia w czyn pomysłu Kopenola. Mieszczenie, żacy i palestranci – wszyscy wzięli się do dzieła. Niewielka kaplica, położona naprzeciw marmurowego stołu, obrana została za teatr min. Stłuczono szybę w ślicznej rozecie nad wejściem i postanowiono, że zawodnicy będą wysuwać głowy przez kamienny, teraz pusty pierścień. Aby go dosięgnąć, wystarczyło stanąć na dwóch beczkach, które nie wiadomo nawet skąd przytoczono i ustawiono jakoś jedną na drugiej. Aby wrażenie, jakie robi na widzach mina, było jak najpełniejsze i jak najbardziej niespodziewane, postanowiono, że każdy z zawodników, mężczyzna czy kobieta (BO można było wybrać i papieżycę), zakryje sobie twarz i

schowa się w kaplicy aż do chwili pojawienia się w owym otworze. W oka mgnieniu kaplica zappełniła się zawodnikami i drzwi za nimi zamknięto.

Kopenol ze swego miejsca sam wydawał rozkazy, sam wszystkim kierował i wszystko urządził. Wśród rozgardiaszu kardynał, nie mniej niż Gringoire zbity z tropu, wycofał się z trybuny z całą swoją świtą pod pozorem ważnych spraw i niesporów, a tłum przed chwilą tak żywo poruszony jego przybyciem, teraz nawet nie spostrzegł jego odejścia. Tylko Wilhelm Rym zauważył ucieczkę jego eminencji. Uwaga tłumu niby słońce posuwała się naprzód po swej drodze; wyruszywszy z jednego krańca sali, na chwilę zatrzymała się na środku, a teraz przeniosła się już na drugi jej kraniec. Marmurowy stół i obita brokatem trybuna miały swoją wielką chwilę; teraz kolej nadeszła na kaplicę Ludwika XI. Otworzyło się pole do popisu dla wszelkiego szaleństwa. Na sali pozostali tylko Flamandzycy i motłoch.

Rozpoczęły się zawody. Pierwsza twarz, która się ukazała w okienku, miała krwawe, wywinięte powieki, gębę otwartą szeroko od ucha do ucha, a czoło sfałdowane niczym nasze terażniejsze buciki a la huzar cesarstwa. Wzbudziła też śmiech tak niepohamowany, że Homer wzięłyby za bogów tych wszystkich prostaków. Tymczasem wielka sala najmniej właśnie przypominała Olimp, a biedny Jowisz Gringoire'a wiedział o tym najlepiej. Z kolei zjawiała się druga wykrzywiona gęba, potem trzecia, potem jeszcze jedna i jeszcze jedna; śmiechy i radosne tupania rozbrzmiewały coraz głośniejsze. W widowisku tym był jakiś szczególny szal, jakaś potęga upajająca i fascynująca, którą trudno byłoby pojąć czytelnikowi żyjącemu w naszej epoce i w naszych salonach. Niech spróbuje on wyobrazić sobie całą serię twarzy o różnych kształtach geometrycznych, od trójkąta aż do trapezu, od stożka aż do wielościanu, przedstawiających wszystkie uczucia ludzkie – od złości aż do lubieżności, wszystkie fazy ludzkiego życia – od zmarszczek noworodka aż po zmarszczki stojącej nad grobem staruchy, wszystkie fantasmagorie wszelakich wiar – od Fauna aż po Belzebuba, wszystkie zwierzęce profile – od paszczy do dzioba, od ryja do pyszczka. Niech spróbuje sobie wyobrazić, że wszystkie maski z Nowego Mostu, owe koszmarny sennie obrócone w kamień dotknięciem ręki Hermana Pilon, nagle ożyły, że przychodzą po kolei i płonącymi oczyma wpatrują się w jego twarz; że weneckie maski karnawałowe przesuwały się przed jego lornetką; jednym słowem – niechże spróbuje wyobrazić sobie kalejdoskop ludzkich twarzy.

Bawiono się szaleńczo, coraz bardziej po flamandzku. Sam Teniers blade tylko mógłby dać pojęcie o tej orgii. Wyobraźmy sobie bitwę Salvatora Rosy jako bachanalię. Nie było już ani żaków, ani posłów, ani mieszczan, ani mężczyzn, ani kobiet; nie było Klopina Postraszgłupcy, Idziego Rogala, Marii Quatrelivre, Robina Kociubki. Wśród powszechnego rozpasania zatarły się wszystkie różnice. Wielka sala stała się jednym ogromnym piekłem rubaszości i wyuzdania, każde usta były krzykiem, każde oko – błyskawicą, każda twarz – grymasem, każda osoba – tylko ruchem ciała. A wszystko darło się i wyło. Dziwaczne oblicza, które kolejno szczyrzyły zęby w otworze rozety, były niby wrzucane w żar głównie. Z całej tej wrzącej ciżby, niby para z kotła, wydobywał się zgiełk, ostry, metaliczny, syczący jak lot komara.

– He, he! Do kaduka!

– Spójrz no na tę gębę!

– Nic niewarta.

– Dawać inną!

– Guillemetto Maugerepuis, a popatrz no na tę mordę byka, tylko rogów mu brakuje. To nie jest twój mąż!

– Następny!

Na brzuch papieża, a to co znowu za gęba?

Hej tam, hola! Oszustwo! Tylko twarz wolno pokazywać.

To na pewno ta przeklęta Peretta Callebotte. Ona i do tego zdolna.

– *Noël! Noël!*

– Duszę się! O widzisz tamtego? Uszu nie może precyzyjnie przez otwór... – itd., itd.

Trzeba wszelako oddać sprawiedliwość naszemu przyjacielowi Janowi. Wśród całego tego sabatu widać go było wysoko na filarze, niczym chłopca okrętowego w bocianim gnieździe. Miotał się tam z niebywałą furją. Usta miał szeroko otwarte i wydobywał się z nich krzyk już nie do usłyszenia – nie dlatego żeby całkowicie tonął w ogólnej wrzawie, chociaż była to rzeczywiście wrzawa ogłuszająca, lecz dlatego że osiągnął zapewne granicę, poza którą wysokość dźwięku czyni go dla ludzkiego ucha niesłyszalnym – według Sauveura dwanaście tysięcy drgań na sekundę, a osiem tysięcy według Biota.

Tymczasem przygnębienie, które ogarnęło Gringoire'a w pierwszej chwili minęło, odzyskał równowagę ducha. Stawił czoło przeciwnościom.

– Grajcie dalej! – rzekł po raz trzeci swoim aktorom, maszynkom do mówienia. Przechadzał się wielkimi krokami przed stołem z marmuru i brała go czasem chętka wystawić także swoją twarz w okienku nad drzwiami kaplicy, po to chociażby, żeby mieć przyjemność pokazać język temu niewdzięcznemu ludowi. „Lecz nie, nie byłoby to godne nas. Żadnej zemsty! Walczmy aż do ostatka – powtarzał sobie. – Wielka jest władza poezji nad ludem; odzyskam ich... zobaczymy, kto zwycięży – miny czy literatura”.

Niestety; był ostatnim i jedynym widzem swojej sztuki.

Sytuacja pogorszyła się jeszcze. Teraz Gringoire mógł oglądać już tylko plecy publiczności.

Mylę się. Gruby, cierpliwy jegomość, ten, którego już Gringoire raz się radził w krytycznej chwili, nadal był obrócony twarzą w stronę teatru. Żisketa zaś i Lienarda – te znikły już od dawna.

Gringoire wzruszył się do głębi serca wiernością swego jedynego widza. Podszedł doń i przemówił potrząsając go lekko za ramię, gdyż zacny ten człowiek oparł się był o balustradę i zdrzemnął się nieco.

– Panie – powiedział Gringoire – dziękuję wam!

– Panie – odrzekł grubas ziewając – a za co?

– Wiem dobrze, co wam dokucza – mówił dalej poeta. – Cały ten zgiełk, który nie pozwala wam swobodnie słuchać. Ale bądźcie spokojni: imię wasze przejdzie do potomności. Powiedzcie z łaski swojej, jakie jest wasze imię.

– Renaul Château, strażnik pieczęci grodu paryskiego do usług waszmości.

– Jesteście tutaj, panie, jedynym przedstawicielem muz – rzekł Gringoire.

– Zbytek łaskawości z waszej strony – odrzekł strażnik pieczęci grodu.

– Jesteście jedynym, który należycie przysłuchiwał się sztuce. I jakże ją znajdujecie?

– Ho, ho! – odparł gruby jurysta, już na pół rozbudzony – wcale tęga sztuka, w samej rzeczy.

Gringoire musiał zadowolić się tą pochwałą, istna bowiem burza oklasków zmieszanych z niebywałymi okrzykami radości przerwała im rozmowę. Papież błaznów został wybrany.

Noël! Noël! Noël! – wrzeszczał tłum ze wszystkich stron.

W otworze rozety rozbłysnął bowiem w tej chwili grymas zaiste cudowny. Po wszystkich tych pięcio- i sześciokątnych dziwacznych twarzach, które się kolejno w okienku pojawiały nie mogąc sprostać ideałowi potworności, powstałemu w podnieconych szaleńskich zabawach wyobraźni – powszechne uznanie widzów zdobyć mogło tylko coś tak wstrząsającego jak ów właśnie wzniosły grymas, który olśnił zgromadzonych. Klaskał sam mistrz Kopenol; a Klopin Postraszgłupca który również brał udział w zawodach (a Bóg jeden tylko wie, jak wielkie nasilenie brzydoty potrafiła osiągnąć jego twarz), uznał się za pokonanego. I my pójdziemy jego śladem. Nie będziemy nawet usiłowali opisywać czytelnikowi tego czworobocznego nosa, tych

ust w kształcie podkowy ani małego lewego oczka, ukrytego pod krzaczastą i ryżą brwią, ani też oka prawego, całkowicie przykrytego ogromną brodawką, ani tych zębów krzywych, tu i ówdzie wyszczerbionych, rozstawionych niczym blanki w fortecznym murze, ani tych popękanych warg, z których wystawał jeden ząb niczym kieł u słonia, ani tego rozdwojonego podbródka; nade wszystko zaś nie będziemy usiłovali opisywać czytelnikowi wyrazu owej twarzy – mieszaniny złościwości, zdziwienia i smutku. Kto może, ten niechaj sam sobie wyobrazi to wszystko.

Wybór był jednogłośny; tłum rzucił się ku kaplicy. Wyprowadzono z niej w triumfie błogosławionego papieża błaznów. I wówczas dopiero zdumienie i podziw doszły do szczytu. Grymas był jego prawdziwą twarzą.

A raczej cała jego postać była grymasem. Olbrzymia głowa ze zjeżonymi rudymi włosami, pomiędzy łopatkami ogromny garb, drugi mniejszy garb na piersi; uda i łydki skręcone tak przedziwnie, że stykały się tylko kolanami, a oglądane od przodu podobne były do dwóch sierpów związanych za rączki; ogromne stopy, monstualne ręce; a przy całym tym szpetnym kalectwie – jakieś groźne wrażenie siły, zręczności i odwagi; dziwaczny wyjątek w odwiecznej regule, która chce, by siła, podobnie jak piękność, wynikała z harmonii. Takim był papież, którego obrały sobie błazny.

Wyglądał jak strzaskany i źle złożony olbrzym.

Gdy ów stwór przypominający cyklopa stanął na progu kaplicy, nieruchomy, krępy, równie prawie szeroki jak wysoki: „z założenia kwadratowy” – jak powiada pewien wielki człowiek – po odzieniu w połowie czerwonym, w połowie zaś fioletowym i usianym srebrnymi dzwoneczkami, nade wszystko zaś po doskonałości brzydoty motłoch poznał go natychmiast i jednym głosem wrzasnął:

– To Quasimodo, dzwonnik! To Quasimodo, garbus z katedry! Jednooki Quasimodo! Kulawy Quasimodo! Noël! Noël!

Jak widać, miał biedak przydomków do wyboru.

– Strzeżcie się, ciężarne kobiety – wołali żacy.

– I wy, co macie ochotę stać się ciężarnymi – dorzucił Jan.

Kobiety rzeczywiście zasłaniały sobie twarze.

– Och, wstrętna małpa! – rzekła jedna.

– Jest równie zły jak i brzydki – odezwała się druga.

– To diabeł – powiedziała trzecia.

– Mam nieszczęście mieszkać w pobliżu katedry, nieraz słyszę w nocy, jak się włóczy po rynnach.

– Razem z kotami.

– Ciągłe łazi po naszych dachach.

– I rzuca uroki przez kominy.

– Kiedyś wieczorem wykrzywił się do mnie przez okienko na moim poddaszu. Wzięłam go za jakiegoś mężczyznę. Ale się najadłam strachu!

– Pewna jestem, że lata na sabaty. Raz nawet zapomniał swojej miotły koło naszego ścieku.

– Wstrętna gęba! Garbus!

– Cóż za dusza obrzydliwa!

Mężczyźni – przeciwnie: byli zachwyceni i klaskali.

A Quasimodo, przyczyna tego całego zamętu, ciągle jeszcze stał w drzwiach kaplicy poważny i ponury, stał i pozwalał się podziwiać.

Jeden z żaków (Robin Kociubka chyba) podbiegł doń i roześmiał mu się w sam nos z nazbyt bliska. Quasimodo ujął go tylko za pasek i odrzucił w tłum, o dziesięć kroków dalej. Nie odezwał

się przy tym ani jednym słowem.

Zachwycony mistrz Kopenol podszedł do niego.

– Na Krzyż Pański! Ojcie święty! Przez całe życie nie widziałem jeszcze piękniejszej niż twoja brzydota. Zaslugujesz na tron papieski nie tylko w Paryżu, lecz i w Rzymie.

Mówiąc to, wesoło poklepał go po ramieniu, Quasimodo nie poruszył się. Kopenol ciągnął dalej:

– Chętka mnie bierze na hulankę z tobą, hultaju, choćby miało to mnie kosztować z tuzin nowiutkich turskich grzywien. A ty co na to?

Quasimodo nie odpowiedział nic.

– Na Krzyż Pański! – rzekł pończoszniczek – czyżbyś był głuchy?

Był rzeczywiście głuchy.

Tymczasem rubaszne maniery Kopenola zaczęły niecierpliwić Quasimodo; obrócił się nagle ku niemu i tak straszliwie zazgrzytał zębami, że olbrzym flamandzki cofnął się niby buldog przed kocurem.

Wtedy dookoła dziwacznej postaci powstał pusty krąg o promieniu co najmniej piętnastu kroków, zakreślony szacunkiem i strachem. Staruszka jakaś objaśniła Kopenolowi, że Quasimodo jest głuchy.

– Głuchy! – powiedział pończoszniczek wybuchając swym hałaśliwym flamandzkim śmiechem – na Krzyż Pański! Toż to papież doskonały!

– O, poznaję go! – wykrzyknął Jan, który zlął wreszcie z kapitela, aby z bliska przyjrzeć się Quasimodo. – To dzwonnik mojego brata archidiakona. Dzień dobry, Quasimodo!

– Czart, nie człowiek – powiedział Robin Kociubka potłuczony od upadku. – Pojawia się: garbus. Zacznie chodzić: kulawy. Spójrzy na człowieka: ślepy na jedno oko. Zagada człowiek do niego: głuchy. A jakże tam jest z językiem tego Polifema?

– Kiedy zechce, mówi – rzekła stara. – Ogłuchł od dzwonienia. Nie jest niemową.

– Tego mu tylko brakuje – zauważył Jan.

– I ma o jedno oko za wiele – dorzucił Robin Kociubka.

– Nie, co to, to nie – odrzekł rozsądnie Jan – ślepy na jedno oko jest bardziej ułomny niż zupełny ślepiec. Wie, czego nie ma.

Tymczasem wszyscy żebracy, wszyscy śludzy, wszyscy złodzieje z żakami pospołu poszli w uroczystym orszaku po tekturową tiarę i płaszcz koronacyjny Papieża błaznów, złożone w szafie palestranckiej. Quasimodo dał się przyodziać w to wszystko nie mrugnawszy okiem, z jakąś dumną jakby potulnością. Następnie posadzono go na pstrokato przybranych noszach. Dwunastu dostojników bractwa błaznów podniosło go na ramionach w górę; a gdy ów cyklop ujrzał u swoich potwornych stóp głowy tych wszystkich ludzi, ładnych, kształtnych i prostych, na posępnym jego obliczu ukazała się radość, gorzka i pogardliwa. Po czym rozwrzeszczana i obszarpana procesja ruszyła, aby według zwyczaju obejść wszystkie wewnętrzne galerie Pałacu Sprawiedliwości i powędrować dalej, przez ulice i place miasta.

VI

ESMERALDA

Z prawdziwą satysfakcją oznajmić możemy czytelnikom, że Gringoire i jego sztuka

niewzruszenie trwali na stanowisku podczas całej tej sceny. Aktorzy ponaglani przez autora, nie przestali ani na chwilę grać jego moralitetu, autor zaś ani na chwilę nie przestał go słuchać. Pogodził się z hałasem i postanowił wytrwać aż do końca, nie tracąc nadziei na odzyskanie uwagi publiczności. Kiedy zobaczył, że Quasimodo, Kopenol i rozwrzeszczany orszak papieża błaznów z wielkim hałasem opuszczają salę – ów płomyk nadziei zaświecił mu jeszcze jaśniej. Tłum rzucił się skwapliwie w ślad za orszakiem. „Dobrze – rzekł sam do siebie – wyniosą się wszystkie mąciwody”. Na nieszczęście „wszystkie mąciwody” – była to cała publiczność. Wielka sala opustoszała w mgnieniu oka.

Co prawda, pozostali w niej jeszcze nieliczni widzowie, jedni samotni, inni skupieni w niewielkich gromadkach przy filarach. Były to kobiety, dzieci i starcy, którzy dość już mieli zamieszania i hałasu. Poniektórzy żacy też siedzieli jeszcze okrakiem na parapetach okien i wyglądali na plac.

„Cóż – pomyślał sobie Gringoire – jest ich dość do wysłuchania końca mojego misterium. Niewielu ich, lecz to publiczność wybrana, publiczność oświecona.”

W chwilę później rozbrzmiała muzyka, która miała być efektem najpotężniejszym podczas pojawienia się Przenajświętszej Dziewicy. Gringoire spostrzegł, że jego kapela porwana została przez orszak papieża błaznów.

– Mniejsza o to, grajcie dalej! – rzekł po stoicku.

Zbliżył się do grupy mieszczan, którzy jak mu się wydało rozmawiali o jego sztuce. A oto i strzępki ich rozmów, które udało mu się usłyszeć:

– Wiecie, mistrzu Kratko, pałac książąt Nawarry, ten, co należał do pana de Nemours...

– Tak wiem, naprzeciwko kaplicy Braque.

– Ten sam właśnie. Otóż Skarb wynajął go Wilhelmowi Alixandre, iluminatorowi, za sześć grzywien i osiem solidów paryskich rocznie.

– Jak te czynsze drożeją!

„Pójdźmy dalej! – powiedział sobie Gringoire wzdychając. – Inni słuchają.”

– Koledzy! – krzyknął nagle jeden „z łobuziaków siedzących na parapecie. – Esmeralda, Esmeralda na placu!

Słowo to wywołało magiczny skutek. Wszystko, co jeszcze pozostało na sali, rzuciło się ku oknom i wdrapywało na ściany, aby zobaczyć. Powtarzano: „Esmeralda! Esmeralda!”

Z placu słyhać było rzęsiste oklaski.

– Cóż to znowu znaczy: Esmeralda? – rzekł Gringoire, w rozpaczycy załamując dłonie. – Ach, mój Boże, zdaje się, że teraz nadeszła kolej na okna!

Odwrócił się w stronę marmurowego stołu i zobaczył, że przedstawienie ostało przerwane. Teraz właśnie miał się pojawić Jowisz ze swym piorunem. Oto Jowisz stał bez ruchu pod sceną.

– Michale Giborne! – krzyknął rozgniewany poeta. – Co tam robisz? Czy taka jest twoja rola? Wchodź na górę!

– Niestety – rzekł Jowisz – jakiś żak zabrał drabinę.

Gringoire spojrział. Tak, była to prawda. Przecięte zostało wszelkie połączenie między węzłem dramatu i jego rozwiązaniem.

– Hukaj! – szepnął. – A po cóż on zabrał tę drabinę?

– Po to, żeby zobaczyć Esmeraldę – odrzekł żałośnie Jowisz. – Powiedział: „O, jakaś niepotrzebna drabina!” I zabrał ją.

Był to cios ostateczny. Gringoire przyjął go z rezygnacją.

– A niech was wszyscy diabli! – rzekł aktorom. – Jeżeli mnie zapłacą, to się z wami rozliczę. I wyszedł z sali ze spuszczoną głową, ale ostatni, jak generał, który bił się dzielnie.

Schodząc po krętych schodach Pałacu Sprawiedliwości pomrukiwał przez zaciśnięte zęby:

– Cóż to za stado osłów i baranów z tych paryżan. Przychodzą na misterium i nie słuchają go wcale. Zajmowało ich wszystko: Klopin Postraszgłupca, kardynał, Kopenol, Quasimodo... wszystko prócz Przenajświętszej Dziewicy. Gdybym ja był wiedział, dałbym wam Najświętsze Marie Panny, gapie! To mi los! Przyszedłem, żeby oglądać twarze, a tylko plecy oglądałem. Być poetą i odnosić sukcesy jak byle pigularz, byle wędrowny znachor! Wprawdzie Homer zebrał po greckich miasteczkach, a Naso umarł u Moskowitów na wygnaniu. Ale niech mnie diabeł obedrze ze skóry, jeśli wiem, co to jest takiego ta ich Esmeralda? Przede wszystkim – cóż to znowu za słowo? Cygańskie chyba!

Księga druga

I

Z CHARYBDY W SCYLLĘ

W styczniu zmrok zapada wcześniej. Kiedy Gringoire wyszedł z Pałacu Sprawiedliwości, ciemno już było na ulicach. Ucieszyła go ta ciemność; pilno mu było dotrzeć do jakiejś nie oświetlonej i pustej uliczki, gdzie by swobodnie mógł oddać się rozmyślaniom – gdzie by filozof położył pierwszy opatrunek na ranę poety. Filozofia była zresztą w tej chwili jego jedynym schronieniem, nie wiedział bowiem, gdzie zanojuje. Po całkowitej klęsce swego teatralnego debiutu nie śmiał powrócić do zajmowanego dotychczas mieszkania przy ulicy Nadrzecznych Spichlerzy, naprzeciw przystani, gdzie wyladowywano siano, liczył bowiem, że z tego, co dać mu miał bajliw za wiersze na cześć książęcych zaślubin zapłaci mistrzowi Wilhelmowi Doulx-Sire, dzierżawcy myta kopytkowego w mieście Paryżu, zaległe mu półroczne komorne, czyli dwanaście solidów paryskich, dwunastokrotną wartość wszystkiego, co Gringoire posiadał na tym świecie razem ze spodniami, koszulą i czapką. Przystanął więc na chwilę koło furty więzienia skarbnika Kaplicy Królewskiej, zastanawiając się, jakie by obrać sobie na tę noc schronienie, a miał wszystkie bruki Paryża do wyboru. Przypomniało mu się wreszcie, że w ubiegłym tygodniu na ulicy Szewskiej, przed drzwiami radcy Parlamentu Paryża spostrzegł stopień kamienny, po którym ów radca wsiadał na swego muła, i że powiedział wówczas sobie, iż kamień ten mógłby być w potrzebie znakomitą poduszką dla żebraka albo dla poety. Podziękował Opatrzności za zesłanie mu tak doskonałego pomysłu, lecz kiedy miał właśnie przejść przez plac koło Pałacu i zagłębić się w kręty labirynt Cité, po której wiją się stare, jak siostry do siebie podobne uliczki: Bednarska, Starosukiennicza. Szewska, Żydowska itd., ze swymi dziewięciopiętrowymi domami po dziś dzień stojącymi jeszcze – ujrzał, że procesja papieża błaznów również wychodzi z Pałacu i wpada na dziedziniec z wrzaskiem, z jasnymi światłami pochodni i przy dźwiękach jego, Gringoire'a, kapeli. Widok ten rozjątrzył rany zadane jego ambicji; Gringoire uciekł. Po przykrej przygodzie z dramatem tyle w nim było gorczy, że wszystko, co przypominało obchodzone w owym dniu święto, rozdrażniało go i jątrzyło jego ranę.

Chciał przejść przez most Św. Michała; biegały po nim dzieci z pochodniami i racami.

– Niech zaraza wydusi sztuczne świece – rzekł Gringoire i szybko skręcił w stronę mostu Wymiany. Na domach stojących u wejścia na ten most wywieszono trzy wielkie chorągwie z portretami króla, delfina i Małgorzaty Flandryjskiej i sześć mniejszych chorągiewek, na których widniały konterfekty księcia Austrii, kardynała Bourbon, pana de Beaujeu, pani Joanny Francuskiej pana bastarda de Bourbon i jeszcze kogoś; oświetlały to wszystko pochodnie. Tłum stał i podziwiał.

– Szczęśliwy malarz Jan Fourbeault! – rzekł z ciężkim westchnieniem Gringoire i odwrócił się

od chorągwi i chorągiewek. Stał u wylotu ulicy; wydała mu się pusta i ciemna, miał nadzieję, że tam uda mu się wreszcie schronić przed wszelkimi odgłosami i odbłaskami święta; poszedł tą ulicą. Po chwili zawadził o coś nogą; potknął się i upadł. Było to naręcze zielonych gałęzi, które pisarze palestry złożyli rankiem tego uroczystego dnia u progu prezydenta Parlamentu. Gringoire po bohatersku zniósł to nowe spotkanie; wstał i poszedł nad brzeg rzeki. Minąwszy wieżyczkę miejską i wieżę więzienną, i mur ogrodów królewskich, idąc po nie brukowanym wybrzeżu, gdzie błoto sięgało mu po kostki, znalazł się wreszcie na zachodnim krańcu Cité i chwilę patrzył na wysepkę Przewoźników Krów, która znikła później pod koniem z brązu i Nowym Mostem. Wysepka wydała mu się w mroku jakąś czarną bryłą, od której oddzielał go wąski pas rzeki bielejący w ciemności. Światelko jarzące się na wysepce ukazywało bardziej domyślny niż rzeczywisty kształt podobnego do ula szałas, w którym przewoźnik krów miał swoje nocne schronienie.

„Szczęśliwy przewoźniku krów! – pomyślał Gringoire. – Nie śniesz o sławie i nie układasz wierszy na cześć królewskich zaślubin. I cóż cię obchodzą żeniący się królowie i księżniczki burgundzkie? Nie znasz innych margerytek prócz tych, które łąka kwietniowa daje do skubania twoim krowom. A ja, poeta, jestem wygwizdany, dygocę z zimna, winien jestem dwanaście solidów, a podeszwa mego buta tak jest przezroczyta, że mógłbyś jej używać zamiast szybki w twej latarni. Dziękuję ci, przewoźniku krów! Chatka twoja daje ukojenie memu oku, pozwala mi zapomnieć o Paryżu.”

Z tej lirycznej prawie ekstazy zbudziła go wielka świętojańska petarda, która nagle wystrzeliła w niebo z błogosławionej chatki. To przewoźnik krów wziął także udział w zabawie i urządził sobie sztuczne ognie.

Ta petarda doprowadziła rozdrażnienie Gringoire’a do szczytu.

– Przekłete święto! – zawołał – czyż wszędzie będziesz mnie ścigać? O, mój Boże, nawet tutaj, w chatce przewoźnika krów!

Spojrzał na płynącą u swych stóp Sekwanę i uczuł straszliwą pokusę.

– O! – rzekł – jakże chętnie utopiłbym się, gdyby woda nie była taka zimna!

Wówczas powziął rozpaczliwe postanowienie. Nie może umknąć przed papieżem błaznów, przed chorągwiami Jana Fourbeault, przed zielonymi gałęziami, racami, petardami. A więc trudno, wkroczy śmiało w samo serce święta, pójdzie na plac Grève.

„Tam się może przynajmniej zagrzeję przy świętecznym ognisku – myślał sobie – i może uda mi się zjeść na wieczerzę choć parę okruszyn z trzech ogromnych cukrowanych kołaczy, w kształcie królewskich herbów, które postawiono na stołach dla ludności.”

II

PLAC GRČVE

Z ówczesnego placu Grčve przetrwał do naszych czasów jeden tylko szczątek, prawie że niedostrzegalny. Jest nim śliczna wieżyczka znajdująca się w południowym rogu placu, wieżyczka znajdująca się w południowym rogu placu, wieżyczka już dziś pogrzebana pod lichym tynkiem, który oblepił żywy rysunek pokrywających ją rzeźb; wieżyczka ta być może w ogóle zniknie już wkrótce, wchłonięta przez ów proces rośnięcia nowych domów, który tak szybko pożera wszystkie stare fasady Paryża.

Ci, którzy przechodząc przez plac Grève, podobnie jak my, rzucają spojrzenia pełne litości i sympatii tej biednej wieżyczce zduszonej pomiędzy dwiema ruderami z czasów Ludwika XV, łatwo mogą odtworzyć w myśli kompleks budynków, których częścią ona była, i wyobrazić sobie w całości stary gotycki plac z piętnastego wieku.

Wówczas – podobnie jak dzisiaj – miał on kształt nieregularnego trapezu zamkniętego z jednej strony bulwarem nadrzecznym, a z trzech pozostałych wysokimi, wąskimi, ciemnymi domami. W dzień można było podziwiać różnorodność tych budynków pokrytych rzeźbami w kamieniu lub drzewie, dających już wówczas pełny obraz rozwoju mieszkalnej architektury średniowiecza cofając się od piętnastego wieku aż po wiek jedenasty, od prostokątnych obramień okiennych, które zaczynały już rugować ostrołuk, aż po romański łuk półpełny wyparty niegdyś przez łamany łuk gotyku; ów łuk półpełny pod ostrołukiem, który z niego wyrasta, przetrwał tu jeszcze na pierwszym piętrze starego domu zwanego Wieżą Rolanda. Dom ten stał na rogu placu tuż przy Sekwanie, od strony ulicy Garbarskiej. Nocą z tej zwartej bryły budynków wyróżnić można było tylko czarne profile dachów otaczających plac łańcuchem swoich spiczastych zrębów. Gdyż jedna z zasadniczych różnic pomiędzy ówczesnym a teraźniejszym miastem na tym polega, że dzisiaj domy fasadami zwracają się ku placom i ulicom, wówczas zaś obrócone były do nich ścianami szczytowymi. Przez dwa ostatnie stulecia domy odwróciły się.

W samym środku wschodniego boku placu wznosiła się ciężka i niejednolita pod względem stylu budowla, utworzona z trzech zestawionych ze sobą domów. Nazywano ją trojako, objaśniając tym sposobem jej historię, przeznaczenie i architekturę; albo „Domem pod Delfinem”, bo Karol V mieszkał tam jako delfin, albo „Dworem Kupieckim”, bo była miejskim ratuszem, albo wreszcie „Domem pod Filarami” (*domus ad piloria*) dla rzędu potężnych filarów, które podtrzymywały jej trzy piętra. Miasto miało tam wszystko, czego tylko zacnemu miastu, jakim jest Paryż, potrzeba: kaplicę, żeby się pomodlić, salę, żeby sprawować sądy i ofuknąć w potrzebie urzędników króla – i na poddaszach arsenał pełen broni. Mieszczanie Paryża wiedzą bowiem, że nie w każdej okoliczności modlitwą i krasomówstwem da się obronić miejsce swobody, zawsze trzymają więc w rezerwie na strychu ratusza kilka starych pocziwych, zardzewiałych rusznic.

Plac Grève już i wówczas robił to ponure wrażenie, które po dziś dzień budzą strasznie, związane z nim wspomnienia i posepny Ratusz Dominika Boccador, który powstał na miejscu dawnego Domu pod Filarami. Wspomnieć również trzeba, że szubienica i pręgierz – „sprawiedliwość i drabina”, jak wówczas mawiano jedno obok drugiego na stałe ustawione na środku bruku przyczyniały się niemało do tego, iż odwracano głowy mijając ów plac fatalny, gdzie skonało tyle istot w pełni życia i siły i gdzie w pięćdziesiąt lat później miała się narodzić „goraczka św. Walerego”, owa choroba strachu przed szafotem, najpotworniejsza ze wszystkich chorób, bo nie od Boga pochodząca, lecz od człowieka.

Pocieszającą jest myśl (wspomnijmy o tym mimochodem), że kara śmierci która trzysta lat temu jeszcze zapełniała swymi żelaznymi kołami, kamiennymi szubienicami i całym swoim sprzętem tortur, na stałe wbudowanym w bruk, plac Grève, Hale, plac Delfina, Croix du Trahoir, targ prosięcy, wstrętne Montfaucon, roгатkę straży, Koci Rynek, bramę Św. Dionizego, Champeaux, bramę Baudets, bramę Św. Jakuba, nie licząc już nawet mnogich pręgierzów prefektów, biskupów, kapituł, opatów i przeorów, mających prawo sądu, nie licząc straceń przez utopienie w Sekwanie – pocieszającą jest myśl, że dziś, utraciwszy po kolei wszystkie części swojej zbroi, cały przepych swych męczarni, całą swą fantastykę, swoje tortury, dla których co pięć lat zaścierała nowe skórzane łoże w Wielkim Châtelet – ta stara władczyni feudalnego społeczeństwa, niemal że postawiona poza prawem i poza granicami naszych miast, przepędzana z kodeksu do kodeksu, z miejsca na miejsce, rozporządza teraz w naszym ogromnym Paryżu

tylko jednym niesławnym zakątkiem placu Grève, tylko jedną nędzną gilotyną, niespokojną, zawstydzoną, pracującą ukradkiem, która zrobiwszy swoje, szybko znika, jakby się bała, że zostanie złapana na gorącym uczynku.

III

BESOS PARA GOLPES

Kiedy Piotr Gringoire dotarł do placu Grève, był całkiem skostniały z zimna. Szedł przez most Młynarzy, chciał bowiem ominąć tłum na moście Wymiany i chorągwie Jana Fourbeault; opryskały go tam koła biskupich młynów i ubranie miał mokre. Wydawało mu się zresztą, że klęska sztuki uczyniła go bardziej niż zwykle wrażliwym na zimno. Spieszył się więc do świątecznego ogniska, które wspaniale płonęło na środku placu. Lecz wielki tłum otoczył je zwanym kręgiem.

– Przekłęci paryżanie! – rzekł do siebie Piotr Gringoire, gdyż jako prawdziwy poeta dramatyczny miał słabość do monologu – teraz znów zatarasowali mi dostęp do ogniska! A tak mi potrzeba ciepłego miejsca przy kominie... I buty mam przemoczone, i ochlapały mnie te zatraczone młyny. Diabli nadali biskupa Paryża razem z jego młynami! Chciałbym wiedzieć, po co biskupowi młyn? Czyżby spodziewał się z biskupa zostać młynarzem? Jeżeli mu brak do tego tylko mojego przekleństwa, chętnie mu je daję – jemu, jego katedrze i jego młynom. Może by się wreszcie ci gapie trochę rozsunęli! Co oni tam robią właściwie? Grzeją się... ogromna przyjemność! Patrzą, jak się pali sto wiązek chrustu – piękny widok!

Kiedy jednak podszedł bliżej, zauważył, że krąg jest o wiele za duży na to, żeby się tylko grzać przy królewskim ogniu, i że ową ciżbę gapiów przyciągnęło tutaj nie tylko samo piękno stu płonących wiązek chrustu.

Na pustej, obszernej przestrzeni między tłumem a ogniskiem tańczyła dziewczyna.

Czy dziewczyna ta była ludzką istotą, czy też może wróżką albo aniołem – tego Gringoire, choć sceptyczny filozof i satyryczny poeta, nie potrafił rozstrzygnąć w pierwszej chwili, tak bardzo zafascynowało go to olśniewające zjawisko.

Choć nieduża, wydawała się wysoka, tak prostą i smukłą miała kibić. Włosy jej były ciemne, ale czuło się, że przy dziennym świetle skóra dziewczyny musi mieć piękny odcień złocisty, właściwy Andaluzyjkom i Rzymiankom. Jej mała nóżka była również andaluzyjska – tak wydawała się wąska, a zarazem swobodna w swojej ślicznej cizemce. Dziewczyna tańczyła, kręciła się, wirowała na starym perskim dywanie niedbale rzuconym na bruk; a kiedy w tańcu odwracała ku tobie swą promienną twarz, jej wielkie czarne oczy rzucały ci błyskawice.

Wszyscy stojący w krąg gapie wlepili w nią oczy i pootwierali gęby. Tańcząc tak bowiem przy brzęku baskijskiego bębenka, który w podniesionych, krągłych i ślicznych rękach trzymała nad głową, szczupła, wiotka i zwrotna niczym osa, w gładkim złotym staniczku i w szerokiej, pstrej spódnicy – która unosząc się przy wirowaniu odsłaniała niekiedy jej smukłe nogi – z obnażonymi ramionami, czarnymi włosami i płomiennymi oczyma wyglądała jak istota nadprzyrodzona.

„Zaiste – pomyślał Gringoire – to salamandra, to nimfa, to boginka, to bachantka z góry Mainalon!”

W tej właśnie chwili jeden z warkoczy „salamandry” rozplótł się, z włosów wypadła jej

miedziana moneta i potoczyła się po bruku.

– Oj, nie! – rzekł. – To Cyganka!

Złudzenie się rozwiało.

Dziewczyna dalej tańczyła; podniosła z ziemi dwie szpady, ostrza ich oparła sobie o czoło i szpady zawirowały nagle w jedną stronę, podczas gdy ona obracała się w drugą – tak, była to rzeczywiście po prostu Cyganka. Gringoire doznał rozczarowania, cały ten obraz jednak nie pozbawiony był jakiegoś magicznego uroku, żywy blask jaskrawego, czerwonego światła ogniska drżał na stłoczonych w krąg twarzach i na smagłym czole dziewczyny i padał w głęb placu, coraz bledszy, pełen chwiejących się w nim ludzkich cieni, na siarą, czarną i popękaną fasadę Domu pod Filarami i na kamienne ramię szubienicy.

Pośród tysiąca twarzy, które to światło powlokło szakarłatem, jedna wydawała się bardziej jeszcze niż wszystkie inne pochłonięta widokiem tancerki. Była to twarz męska, surowa, spokojna i posępna. Mężczyzna ten, którego ubioru nie można było dostrzec wśród ciasno otaczającego go tłumu, wyglądał na lat najwyżej trzydzieści pięć; mimo to był łyśy, na skroniach tylko miał jeszcze trochę włosów przerzedzonych i już posiwiałych; czoło jego, wyniosłe i szerokie, porały przedwczesne zmarszczki; lecz głęboko osadzone oczy płonęły niezwykłą młodością, żarem życia, głęboką namiętnością. Oczy te ani na chwilę nie odrywał się od Cyganki; kiedy szalona szesnastoletnia dziewczyna tańczyła i fruwała w powietrzu ku uciesze wszystkich, zamyślenie jego stawało się coraz bardziej posępne. Czasem uśmiech i westchnienie spotykały się na jego wargach, lecz uśmiech był jeszcze bardziej bolesny niż westchnienie.

Dziewczyna zatrzymała się w końcu, zadyszana, a lud zaczął ją oklaskiwać z wielką sympatią.

– Dżali! – zawołała Cyganka.

Wówczas podeszła do niej kózka, mała, ładna, biała, zwinna, żywa, o lśniącej sierści z pozłaczanymi różkami, z pozłaczanymi kopytkami, w pozłaczanej obróżce. Gringoire nie spostrzegł jej do tej pory, leżała bowiem spokojnie na skraju dywanu i patrzyła na taniec swojej pani.

– Dżali – powiedziała tancerka – teraz twoja kolej.

Usiadła i wdzięcznym ruchem podsunęła kózce swój baskijski bębenek.

– Dżali – odezwała się znowu – który jest teraz miesiąc roku?

Kózka podniosła przednią nóżkę i uderzyła jeden raz w bębenek. Rzeczywiście był to pierwszy miesiąc roku. Tłum zaczął klaskać.

– Dżali – zapytała znów dziewczyna odwracane bębenek na drugą stronę – a który jest dziś dzień miesiąca?

Dżali podniosła małe złote kopytko i uderzyła sześć razy w bębenek.

– Dżali – pytała dalej Cyganka ciągle odwracając bębenek – a która jest teraz godzina?

Dżali stuknęła kopytkiem siedem razy. I w tej samej chwili zegar na Domu pod Filarami wydzwonił godzinę siódmą.

Zebrany lud był zachwycony.

– W tym są czary! – odezwał się z tłumu jakiś ponury głos. To przemówił łyśy mężczyzna, który nie odrywał oczu od Cyganki.

Dziewczyna zadrżała i odwróciła się, lecz głośnie oklaski zagłuszyły złowieszczy okrzyk.

Zagłuszyły go nawet tak dalece w jej pamięci, że w dalszym ciągu zaczęła wypytywać kózkę:

– Dżali, a jak wygląda mistrz Guichard Grand-Remy, kapitan miejskich pachołków w procesji na Matkę Boską Gromniczną?

Dżali stanęła na tylnych nóżkach i zaczęła beczeć i chodzić z tak zabawną powagą, że cały krąg widzów wybuchnął śmiechem na widok tej świetnej parodii zgoła niebezinteresownej pobożności kapitana miejskich pachołków.

– Dżali – zapytała znów dziewczyna ośmielona wzrastającym powodzeniem – a jak

przemawia mistrz Jakub Charmolue, prokurator królewski przy kościelnym sądzie?

Koza usiadła na ogonie i zaczęła beczeć, tak przemyślnie przebieając w powietrzu przednimi nóżkami, że brakowało tylko złej francuszczyzny i złej łaciny – bo z gestykulacji, z modulacji głosu, z postawy był to Jakub Charmolue jak wykapany.

Tłum klaskał coraz siarczyściej.

– Świętokradztwo! Bezeczeństwo! – odezwał się znowu głos łysego mężczyzny.

Cyganka odwróciła się po raz wtóry.

– A! to ten niedobry człowiek! – rzekła. Wysunęła dolną wargę, zrobiła minkę, która musiała chyba często pojawiać się na jej twarzy, zakręciła się na pięcie i poczęła wśród ciżby zbierać datki na swój baskijski bębenek.

Posypały się srebrniaki – i duże, i małe, i szkojce, i szelągi z orłem. Tancerka przeszła obok Gringoire'a. A że Gringoire przez rozstargnienie wsunął rękę do kieszeni, zatrzymała się.

– Do diaska! – rzekł poeta znajdując na dnie kieszeni tylko rzeczywistość, czyli pustkę. Tymczasem śliczna dziewczyna stała przed nim, patrzyła nań swymi wielkimi oczami, podsuwała mu swój bębenek i czekała. Kroplisty pot wystąpił mu na czole.

Gdyby miał w kieszeni wszystkie skarby Peru, niewątpliwie oddałby je tancerce; ale Gringoire nie miał w kieszeni wszystkich skarbów Peru, a zresztą Ameryka nie była jeszcze wówczas odkryta.

Na szczęście wybawiło go z kłopotów nieoczekiwane wydarzenie.

– A pójdiesz precz, ty szarańczo cygańska! – wrzasnął z najciemniejszego kąta placu jakiś przeraźliwy głos.

Dziewczyna odwróciła się, przerażona. Tym razem nie był to już głos łysego mężczyzny, lecz głos kobiecy, głos pobożny i zły.

Krzyk ten, który tak przstraszył Cygankę, wprowadził w wielką uciechę gromadkę kręcących się w pobliżu dzieci.

– To pustelnica z Wieży Rolanda! – wołały pokładając się ze śmiechu. – Samotnica złości się. A może nie jadła wieczerzy? Zanieśmy jej trochę resztek z miejskich stołów.

I dzieci popędziły w stronę Domu pod Filarami.

Gringoire skorzystał tymczasem z zaniepokojenia tancerki i ulotnił się. Krzyki dzieci przypomniały mu, że on również nie jadł jeszcze wieczerzy. Pobiegł więc do stołów. Lecz mali hultaje mieli lepsze nogi. Nim zdążył dobiec, wyprzątnęli wszystko do czysta. Nie zostawili nic, nic zgoła, ani kawałka bodaj nędznego placka, którego funt kosztował pięć solidów. Na murze pozostały tylko smukłe kwiaty lilii zmieszane z różami, które wymalował w roku 1434 Mateusz Biterne. Chuda to była wieczerza.

Niemilo jest kłaść się spać bez wieczerzy; kiedy zaś człowiek nie jadł wieczerzy i w dodatku nie wie jeszcze, gdzie ma na noc głowę złożyć, położenie staje się zgoła niewesołe. W tej właśnie sytuacji był Gringoire. Bez chleba, bez dachu nad głową; nędza cisnęła go ze wszystkich stron, nędza – stara zrzęda. Od dawna już odkrył był tę wielką prawdę, że Jowisz stworzył ludzi w przystępie mizantropii i że przez cały żywot mędrca los trzyma w stanie obłączenia jego filozofię. Lecz nigdy jeszcze w życiu nie czuł się tak osaczony; żołądek jego bił głośno w bęben na znak kapitulacji; zły los głodem zwyciężał jego filozofię, co mu się, jako żywo, wydawało całkiem niestosowne.

Pogrążał się coraz głębiej w te melancholijne rozważania, gdy nagle wyrwał go z nich śpiew, dziwny jakiś a słodki. To śpiewała młoda Cyganka.

Śpiew jej podobny był do jej tańca, do jej urody. Nieokreślony a uroczy, czysty dźwięczny, lekki, rzec by można, skrzydlaty. Było to jakby nieustające rozkwitanie dźwięków: melodie, nieoczekiwane kadencje, to znów najprostsze fazy, wśród których wybijały się ostre, świszczące

tony, i znowu skoki gamy tak nagłe, że nawet i słowika mogłyby zmylić, lecz zawsze harmonijne; oktawy falowały miękko, wznosiły się i opadały, podobnie jak pierś młodej śpiewaczki. Na jej pięknej, wrażliwej i ruchliwej twarzy odbijał się każdy kaprys piosenki, od najbardziej wyzywającej zalotności do najbardziej niewinnej dumy. Raz, rzekłbyś, że to szalona, to znów, że królowa.

Cyganka śpiewała w języku nie znanym Gringoire'owi, w języku nie znanym również chyba jej samej, gdyż wyraz, jaki głos jej nadawał melodii, niewielki miał związek ze znaczeniem słów. Cztery wiersze:

Un cofre de gran riqueza
Hallaron dentro un pilar,
Dentro del, nuevas banderas
Con figuras de espantar...²

zabrzmiały w jej ustach szaloną wesołością. Po chwili zaś tak śpiewała zwrotkę:

Alarabes de cavallo
Sin poderse menear,
Con espadas, y los cuellos,
Ballestas de buen echar...³

że Gringoire'owi stanęły łzy w oczach. Lecz śpiew jej był nade wszystko radosny, śpiewała jak ptak beztrosko, pogodnie.

Piosenka Cyganki zamała rozmyślenia Gringoire'a; tak samo łabędź maści powierzchnię wody. Słuchał jak urzeczony, zapomniał o wszystkim. Po raz pierwszy od kilku godzin przestał cierpieć.

Lecz krótko trwało zapomnienie.

Śpiew Cyganki został przerwany przez ten sam głos kobiecy, który przedtem przerwał jej taniec.

– A zamilkiesz ty wreszcie, świerszczu piekielny? – wrzasnął ze swego ciemnego kąta placu Grève.

Biedny „świerszcz” przerwał piosenkę. Gringoire zatkał sobie uszy.

– Przekłeta wyszczerbiona piła przecięła i złamała lirę! – krzyknął.

Inni słuchacze poczęli również szemrać. Niejeden powtarzał:

– A niechby diabli porwali pustelnicę!

I kto wie – może stara zrzęda pożałowałaby jeszcze swoich napaści na Cyganek, lecz w tej właśnie chwili uwaga ciżby zwróciła się w inną stronę; procesja z papieżem błaznów, przeszedłszy przez wiele ulic i placów, wkraczała na plac Grève ze swoimi wszystkimi pochodniami i z całym swoim zgiełkiem.

Procesja ta, której wyjście z Pałacu Sprawiedliwości oglądali czytelnicy, uformowała się po drodze w pochód, szeregi jej powiększyły się o wszystkich, jacy tylko byli w Paryżu, łazików, próżnujących złodziei i włóczęgów, i teraz, wkraczając na plac Grève, prezentowała się zaiste bardzo okazale.

Pierwsi szli Cyganie. Książę Cygański jechał konno na przedzie, hrabiowie jego kroczyli pieszo przy koniu, przytrzymując uzdę i strzemię, za nimi sunął tłum Cyganów i Cyganek z wrzeszczącymi dzieciakami na plecach, a wszyscy: i książę, i hrabiowie, i prosty lud – w łachmanach i w świecidłach. Za nimi szli Poddani królestwa gwary, czyli wszyscy złodzieje

² Wewnątrz kolumny znaleźli wspianiałą skrzynię, a wewnątrz tej skrzyni – nowe chorągwie ze straszonymi wizerunkami (hiszp.).

³ Arabowie na koniu, nieruchomo, z mieczami i łukami na ramieniu (hiszp.).

Francji, ustawieni w ordynku według dostojęstwa, poczynając od najmniej znacznych. Maszerowali czwórkami z najprzeróżniejszymi oznakami stopni swych w tej niezwyklej dyscyplinie, same prawie połamańce i kuternogi: ci kulawi, tamci jednoręcy, proszalnicy, wydrwigrosze, fałszywi pątnicy, pogorzelnicy i epileptycy, paralitycy, łże-sieroty, kociumiarze, buchacze, szulerzy, łaziki, koniokrady, potoczniczy, rzezimieszki. Wyliczenie wszystkich znużyłoby nawet Homera. W otoczeniu konklawe buchaczy i rzezimieszeków z trudem tylko można było poznać króla tego królestwa złodziei, wielkiego koezre jadącego na małym wózku zaprzężonym w dwa wielkie psy. Za królestwem złodziei szło cesarstwo Galilei. Wilhelm Rousseau, władca cesarstwa Galilei, kroczył majestatycznie w szkarłatnej szacie poplamionej winem, w otoczeniu swych popleczników, dworzan niosących buławy i pisarzy swej izby skarbowej, przed nim biegł korowód skoczaków tańczących taniec wojenny i poszturchujących się nawzajem. Za cesarstwem Galilei szła palestra w czarnych szatach, niosąc tyczki przystrojone kwiatami, z muzyką godną sabatu czarownic, z wielkimi świecami z żółtego wosku. A w samym środku całej tej ciżby dostojnicy bractwa błaznów dźwigali na ramionach nosze, na których płonęło więcej świec niż przed relikwiarzem świętej Genowefy podczas zarazy. Wśród tych światel, z pastorałem, w mitrze i kapie, promieniał w swojej chwale nowy papież błaznów, dzwonnik z katedry Marii Panny, garbus Quasimodo.

Każdy członek tej dziwacznej procesji miał swoją kapelę. Cyganie dobywali przeraźliwych dźwięków ze swych drumli i bębenków afrykańskich. Poddani królestwa złodziei, naród niezbyt muzykalny, do tej pory grali tylko na wioli, na myśliwskim rogu i gotyckiej rebabie z dwunastego wieku. Cesarstwo Galilei nie stało pod tym względem wyżej od nich: kapela jego składała się z kilku zaledwie nędznych rebeków, instrumentów pochodzących z niemowlęctwa sztuki, uwięzionych w swoich trzech strunach. Za to wokół papieża błaznów rozpętały się we wspaniałej kakofonii dźwięków wszystkie skarby muzyczne owych czasów. Były tu przeróżne rubelle o niskich, średnich i wysokich strojach i niezliczone flety i blachy. Niestety! czytelnicy pamiętają, że była to orkiestra Gringoire'a.

Trudno jest wyrazić słowami to błogie i próżne rozradowanie, jakie podczas podróży z Pałacu Sprawiedliwości na plac Grève rozlewało się coraz przemożniej na smutnej i odpychającej twarzy Quasimodo. Po raz pierwszy w życiu schlebiano jego miłości własnej. Dotychczas zaznał tylko upokorzeń, pogardy dla swej kondycji i wstrętu do swej osoby. Toteż choć był głuchy niczym najprawdziwszy papież, upajał się wiewatami tej ciżby, której nienawidził, bo czuł, że jest przez nią znienawidzony. Lud jego był zgrają błaznów, połamańców, opryszków, żebraków – lecz cóż z tego! Był to lud, a on był władcą. Przyjmował więc z powagą ironiczne wiewaty i drwiący szacunek, nie pozbawione zresztą, przyznać trzeba, pewnej całkiem rzeczywistej obawy. Bo ten garbus był siłaczem, bo ten kulas był zwinny, bo ten głuchy był zły – trzy właściwości osłabiające wszelką śmieszność.

Nie wydaje się nam zresztą, aby nowy papież błaznów zdawał sobie jasno sprawę z uczuć, które wzbudzał i których doznawał. Duch, zamieszkujący w tym nieudanym ciele, musiał być z konieczności też ułomny i głuchy. I to, co Quasimodo odczuwał w tej chwili, było dlań niejasne, niewyraźne, nieokreślone. Tylko radość przebijała przez to wszystko, a górowała nad nią próżność. Ta posepna i nieszczęsna twarz promieniała.

Toteż kiedy Quasimodo w upojeniu mijał triumfalnie Dom pod Filarami, ze zdumieniem ujrano, że jakiś człowiek wybiega z tłumu i gniewnym ruchem wyrzywa mu z rąk pastorał z pozłacanego drewna, insygnium błazeńskiego papieństwa.

Tym człowiekiem, tym śmiałkiem był ów łysy mężczyzna, który przed chwilą, zgubiony w tłumie otaczającym Cyganek, zmroził biedną dziewczynę słowami nienawiści i groźby. Nosił suknie duchowne. Kiedy roztrącał tłum, Gringoire, który go nie widział do tej pory, poznał go:

– O! – zawołał ze zdziwieniem – tak, to mój mistrz w Hermesie, wielbny Klaudiusz Frolo, archidiakon! I czegoż on chce, u licha, od tego obrzydliwego garbusa? Tamten pożre go, to pewne.

Rzeczywiście na placu podniósł się krzyk przerażenia. Straszliwy Quasimodo zeskoczył z noszy, a kobiety poodwracały głowy, by nie widzieć, jak będzie rozdierał archidiakona.

Garbus dopadł księdza, spojrział nań i runął na kolana.

Ksiądz zdarł mu tiarę z głowy, połamał pastorał, poszarpał na nim kapę wyszywaną świecidłami. Quasimodo klęczał ze spuszczoną głową i złożonymi rękami. I oto rozpoczął się między tymi dwoma dziwaczny dialog gestów, bo nie odezwał się ani jeden, ani drugi. Ksiądz stał i gniewał się, groził, rozkazywał. Quasimodo korzył się na klęczkach i błagał. Nie ulegało wszakże wątpliwości, że Quasimodo mógłby jednym palcem zmiażdżyć księdza.

Wreszcie, potrząsając szorstko potężnym ramieniem Quasimodo, archidiakon dał mu znak, by wstał i poszedł za nim.

Quasimodo podniósł się.

Wówczas bractwo błaznów, w pierwszej chwili znieruchomiało w osłupieniu, chciało stanąć w obronie swego, tak nagle zrzuconego z tronu papieża. Cyganie, łotry i palestranci z wrzaskiem ruszyli na księdza.

Quasimodo osłonił go sobą, naprężył mięśnie swoich atletycznych ramion i spojrział na napastników, zgrzytając zębami jak rozgniewany tygrys.

Ksiądz, znów poważny i posepny, skinał nań i ruszył bez słowa.

Quasimodo kroczył przed nim, torując przejście przez tłum.

Kiedy dotarli do końca pełnego ludzi placu, chmara gapiów ruszyła ich śladem. Wówczas Quasimodo objął straż tylną i tyłem cofał się tuż za archidiakonem, krępy, zły, potworny, najeżony; naprężył mięśnie, lizał językiem swoje wystające jak u dzika kły, powarkiwał niczym dzikie zwierzę, a przy każdym jego ruchu, przy każdym spojrzeniu tłum falował i cofał się.

Znikli wreszcie obaj w ciemnej, wąskiej uliczce i nikt nie ośmielił się pójść za nimi, bo zamknęło ją wspomnienie zgrzytu szczęk Quasimodo.

– Cudowne wydarzenie! – rzekł Gringoire. – Ale gdzież, u licha, znajdę wreszcie coś do zjedzenia?

IV

NA CO NARAŻA SIĘ TEN, KTO W NOCY WĘDRUJE ULICAMI W ŚLAD ZA ŁADNĄ DZIEWCZYNĄ

Gringoire, sam dobrze nie wiedząc dlaczego, poszedł za Cyganką. Widział, jak razem ze swoją kózką zniknęła w ulicy Nożowników; wszedł także w ulicę Nożowników.

– Czemuż by nie! – rzekł sobie.

Gringoire, praktyczny filozof paryskich ulic, spostrzegł już dawno, że nic tak nie sprzyja marzeniu jak wędrówka śladami ładnej kobiety, kiedy człowiek nie wie, dokąd ona idzie. W tym dobrowolnym wyrzeczeniu się swojej wolnej woli, w tej zachciance, która się innej zachciance – nic o tym nie wiedzącej – podporządkowuje, jest i kapryśna niezależność, i ślepe posłuszeństwo, coś pośredniego między niewolnictwem a swobodą, i to się właśnie Gringoire'owi podobało; będąc bowiem duchem z natury niejednorodnym, chwiejnym, złożonym, łączył on w sobie wszelkie

krańcowości i żył zawieszony nieustannie pomiędzy wszelkimi ludzkimi skłonnościami, które się wzajemnie unicestwiały. Chętnie sam siebie porównywał do przyciąganego w dwie przeciwne strony przez dwa magnetyczne głązy grobu Mahometa, który wiecznie waha się między górą i dołem, między sklepieniem a posadzką, między wniebowstąpieniem a upadkiem, między zanitem a nadirem.

Gdyby Gringoire żył w naszych czasach, jakże złoty środek zajmowałby między klasykami i romantykami!

Lecz nie był dość pierwotny, aby przeżyć trzysta lat, a szkoda! Nieobecność jego stwarza pustkę, która aż nazbyt dotkliwie daje się nam odczuć.

Nic zresztą bardziej nie skłania człowieka do snucia się po ulicach w ślad za przechodniami – co Gringoire zawsze chętnie czynił (zwłaszcza jeśli byli to przechodnie rodzaju żeńskiego) – niż niewiedza, gdzie ma spędzić noc.

Szedł więc w zamyśleniu za dziewczyną, która oddalała się coraz szybciej ze swą kózką drepczącą u boku, widząc, że mieszczanie wracają już do domu, że zamykają się już gospody – jedyne sklepy otwarte w tym dniu.

„Cóż! – tak to sobie mniej więcej rozmyślał poeta – gdzie ona chyba mieszka. Cyganki mają dobre serca. Kto wie?...”

A w wielokropku, który stawiał w duchu, przemilczając resztę zdania, kryła się jakaś myśl nieokreślona jeszcze, lecz pociągająca.

Idąc tak mijał po drodze ostatnich zapóźnionych mieszczan, którzy już zamykali drzwi swoich domów, a posłyszane mimochodem strzępki ich rozmów przerywały raz po raz łańcuch uśmiechających się doń domysłów:

Raz byli to dwaj staruszkowie zajęci pogwarką:

– Mistrzu Tybaldzie Fernicle, zimno dzisiaj, wiecie?

(Gringoire wiedział o tym od początku zimy.)

– Ano, zimno, mistrzu Bonifacy Disome! Chyba będziemy mieli taką zimę? jak trzy lata temu, w roku osiemdziesiątym, kiedy to sag drzewa kosztował osiem solidów.

– Ba, mistrzu Tybaldzie, wszystko to nic jeszcze wobec zimy z roku 1407, kiedy mróz trzymał od świętego Marcina aż do Matki Boskiej Gromnicznej, i to taki tęgi, że w wielkiej izbie inkaust zamarzał pisarzom sądowym na piórach co v słowa, aż musiano przerwać pisanie sądowych rejestrów.

Nieco dalej rozmawiały dwie sąsiadki stojąc w oknach ze świecami, których płomień skwierczał we mgle.

– Pani La Boudraque, czy wasz mąż opowiedział wam już o nieszczęściu?

– Nie! A co się stało, pani Turquant?

– Koń imć pana Idziego Godin, notariusza z Châtelet, przestraszył się Flamandów i ich procesji i przewrócił Filipa Kwietnia, oblata od ojców celestynów.

– A prawda to?

– Najszczęstsza prawda!

– Mieszczkański koń! czy to nie za wiele? Gdyby to chociaż był koń rycerski!

I okna zamknęły się. Lecz Gringoire zgubił już nić swoich rozmyślań.

Na szczęście szybko odnajdywał ją i wiązał dzięki Cygance, dzięki Dżali, które szły przed nim, dzięki dwu istotom drobnym, uroczym i delikatnym, których małe nóżki, śliczne kształty i wdzięczne ruchy zlewały się niemal w jego zachwyconym spojrzeniu; i brał je to za dwie dziewczyny – tak ściśle łączyło je porozumienie przyjacielskie, to znów za dwie kózki – tak lekki i zwinny był ich krok.

Tymczasem ulice z każdą chwilą stawały się coraz ciemniejsze, coraz bardziej puste. Dawno

już odtrąbiono wieczorne wezwanie do gaszenia świateł i coraz rzadziej spotykało się przechodniów, coraz mniej widziało się oświetlonych okien. Gringoire zapuścił się w trop za Cyganką w ów powikłany labirynt uliczek, zakrętów i zaułków, otaczających stary cmentarz Św. Młodzianków, i podobny do pasma nici, które poplątał kot.

– Cóż za nielogiczne ulice! – powtarzał Gringoire, zagubiony wśród tysiąca nieustannie zwijających się i kołujących zakrętów, lecz dziewczyna, dobrze wiedząc znającą drogę, szła bez wahania i coraz spieszej. Gringoire nie wiedziałby wcale, gdzie jest, gdyby mijając jakiś zakręt nie spostrzegł na placu Hal ośmiokątnego kształtu pręgierza, którego ażurowy wierzchołek odcinał się ostrym czarnym konturem na tle oświetlonego jeszcze okna gdzieś przy ulicy Zielonej.

Dziewczyna zauważyła wreszcie, że Gringoire za nią idzie; kilkakrotnie oglądała się z niepokojem, raz nawet przystanęła nagle i korzystając z promienia światła, który się przedostawał przez nie domknięte drzwi piekarni, obejrzała go uważnie do stóp do głów, a przyjrzawszy mu się, zrobiła minkę, którą nasz poeta już raz zauważył na jej twarzy, i poszła dalej.

Minka ta zmusiła Gringoire'a do zastanowienia. W tym uroczym skrzywieniu ust kryła się niewątpliwie wzgarda i drwina. Toteż coraz częściej spuszczał głowę i liczył kamienie bruku – coraz bardziej powiększała się odległość między nim i dziewczyną, aż nagle spoza zakrętu ulicy, w której właśnie zniknęła mu z oczu, usłyszał jej przeraźliwy krzyk.

Pobiegł naprzód. Ulica była bardzo ciemna. Tylko u stóp figury Matki Boskiej, za żelazną kratą, paliła się lampa oliwna i w świetle jej Gringoire mógł zobaczyć, że Cyganka wyrywa się z rąk dwu mężczyzn, którzy usiłują zdławić jej krzyki. Biedna, przerażona kózka nastawiła różki i beczała.

– Panowie strażnicy, tutaj, na ratunek! – krzyknął Gringoire i śmiało poszedł naprzód. Jeden z trzymających dziewczynę mężczyzn odwrócił się w jego stronę. Zobaczył potworną twarz Quasimodo.

Gringoire nie uciekł, lecz też nie postąpił już naprzód ani krokiem.

Quasimodo podszedł doń, jednym ruchem dłoni odrzucił go w tył, zwałił na bruk i natychmiast znikł w ciemnościach unosząc dziewczynę, którą przerzucił sobie przez ramię, jak jedwabny szal. Towarzysz jego poszedł za nim, a biedna kózka becząc żałośnie też ich śladem pobiegła.

– Ratunku! Ratunku! – krzyczała nieszczęśliwa Cyganka.

– Stój, nędzniku, i puszczaj mi zaraz tę dziewczkę! – odezwał się nagle do grzmotu podobny głos jeźdźca, który wyłonił się niespodzianie z sąsiedniej przecznicy.

Był to kapitan przybocznych łuczników królewskich, uzbrojony od stóp do głów, z mieczem w dłoni.

Wyrwał Cygankę z uścisku oszołomionego Quasimodo i przerzucił ją sobie w poprzek siodła; a kiedy groźny garbus ochłonął ze zdumienia i rzucił się nań, aby odebrać swoją zdobycz, w ślad za kapitanem wypadło zza węgła piętnastu czy szesnastu łuczników z obnażonymi szpadami. Był to przyboczny oddział królewski, który patrolował ulice z rozkazu pana Roberta d'Estouteville, dowódcy straży starościńskiej miasta Paryża.

Quasimodo został pojmany, obezwładniony, związany, ryczał, piana wystąpiła mu na usta, gryzł; i gdyby było widno, niewątpliwie sama twarz jego, jeszcze bardziej zeszepecona wściekłością, zmusiłaby do ucieczki cały oddział. Lecz ciemność nocy odebrała mu najgroźniejszą broń: brzydotę.

Towarzysz jego znikł podczas walki.

Cyganka usiadła z wdziękiem na siodle oficera, położyła ręce na ramionach młodzieńca i

przez kilka chwil wpatrywała się uważnie w jego twarz, jaby zachwycona tą dziarską miną i skwapliwością z jaką pośpieszył jej na ratunek. A potem, pierwsza przerywając milczenie, zapytała go, czyniąc swój miły głos jeszcze miłszym:

– Jak wam na imię, panie oficerze?

– Nazywam się kapitan Febus de Châteaupers do usług twych, ślicznotko – odrzekł oficer poprawiając się w siodle.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna. A kiedy kapitan Febus podkręcał swego z burgundzka przystrzyżonego węża, ześliznęła się z konia jak spadająca na ziemię strzała – i uciekła.

Znikła szybciej niż błyskawica.

– Na pępek papieża! – rzekł kapitan poprawiając rzemienie, którymi skrepowano Quasimodo – wolałbym zatrzymać dziewczę.

– Cóż, kapitanie – rzekł jeden z łuczników – ptak uciekł, został nietoperz.

V

DALSZY CIĄG NIEPOWODZEŃ

Gringoire, ogłuszony upadkiem, leżał na bruku przed figurą Matki Boskiej stojącą na rogu ulicy. Powoli odzyskiwał zmysły; najpierw przez kilka minut kołysało go jakieś marzenie, na pół senne a słodkie, w którym lekkie, zwiewne postacie Cyganki i kozy łączyły się przedziwnie z ciężarem pięści Quasimodo. Stan ten trwał krótko. Przenikliwie zimno w tych częściach jego dała, które bezpośrednio dotykały bruku, rozbudziło go nagle i przywołało do przytomności. „Skąd się bierze ten chłód, który mnie przenika?” – zdziwił się. I spostrzegł wówczas, że leży w samym środku rynsztoku.

– Cyklop garbaty z piekła rodem – mruknął przez zęby i chciał wstać. Lecz zbyt był ogłuszony, zbyt potłuczony. Nie mógł się podnieść. Ręką tylko poruszał dość swobodnie; zatkał więc sobie nos i poddał się losowi.

„Paryskie błoto – pomyślał w duchu (gdyż wydawało mu się, że na pewno już rynsztok będzie mu zacisznym schronieniem na tę noc, a «w zaciszu cóż nam pozostaje? Rozmyślanie») – paryskie błoto jest osobliwie cuchnące. Musi zawierać wiele soli azotowych i lotnych. Taka jest zresztą opinia mistrza Mikołaja Flamela i hermetyków...”

Słowo „hermetycy” przywiodło mu nagle na myśl archidiakona Klaudiusza Frolo. Przypomniał sobie scenę porwania, która mignęła mu niedawno przed oczyma, przypomniał sobie, że Cyganka wyrywała się z rąk dwu mężczyzn, że Quasimodo miał towarzysza – i posepna a wyniosła twarz archidiakona przesunęła się mgliście w jego pamięci.

„Dziwna, bardzo dziwna historia!” – pomyślał sobie. I z tej przesłanki, i na tej podstawie zaczął budować fantastyczny gmach przypuszczeń, ten domek z kart każdego filozofa. Lecz po chwili znów powrócił do rzeczywistości.

– No tak! zamarnę tutaj! – zawołał.

Rzeczywiście, coraz trudniej było wytrzymać tam, gdzie się znalazł. Każda cząsteczka wody rynsztoka zabierała jedną cząsteczkę ciepła promieniującego z krzyżów Gringoire’a, i równowaga między temperaturą jego ciała a temperaturą rynsztoka zaczynała się ustalać w sposób nieco przykry.

Nagle zaskoczyła go jeszcze jedna przykrość, zgoła innej już natury.

Banda dzieci, małych, bosych dzikusów, które od niepamiętnych czasów biegają po ulicach Paryża, nazywane odwiecznym imieniem gamins, tych dzieci, które kiedy my również byliśmy jeszcze dziećmi, co wieczór, gdy wychodziliśmy ze szkoły, rzucały w nas kamieniami za to, że nasze spodnie nie były podarte – cała zgraja tych małych hultajów biegła właśnie w tę stronę, gdzie leżał Gringoire, a śmiechy ich i wrzaski dowodziły, że niewiele zaiste robią sobie ze snu mieszkańców sąsiednich domów. Ciągnęli jakiś wór dziwnego kształtu, a sam hałas ich chodaków mógłby obudzić umarłego. Gringoire, który nie był nim jeszcze całkowicie, uniósł się nieco z ziemi.

– Hej, Henrysiu Dandeché! Hej, Janku Pincebourde! – darli się wniebogłosy – umarł stary Eustachy Moubon, żelaznik z rogu. Mamy jego siennik, zrobimy sobie ognisko, co się zowie. Przecie dzisiaj święto ognia.

Dobiegli do Gringoire’a, ale go nie spostrzegli i rzucili siennik wprost na niego. Jeden z chłopców schwycił garść słomy i zaczął ją zapalać od lampki oliwnej sprzed figury Matki Boskiej.

– Chryste Panie! – szepnął Gringoire – czyżby teraz miało mi się zrobić aż nadto gorąco?

Chwila była krytyczna. Oto znalazł się pomiędzy ogniem i wodą; zrobił nadludzki wysiłek, wysiłek fałszerza pieniędzy, którego mają za karę ugotować i który próbuje umknąć. Wstał, odrzucił siennik na chłopców i uciekł.

– Matko Boska! – wrzasnęły dzieci – żelaznik wrócił!

I uciekły w drugą stronę.

Siennik został sam na placu – zwycięski. Bellefret, ojciec Le Juge i Corrozet zapewniają, że nazajutrz duchowieństwo z tej dzielnicy zabrało go z wielką pompą i przeniosło do skarbcza kościoła Świętej Oportuny, a zakrystian tamtejszy aż do roku 1789 ciągnął niemałe zyski z wielkiego cudu u figury Matki Boskiej na rogu ulicy Złej Rady, która to figura pamiętnej nocy z 6 na 7 stycznia 1482 roku samą obecnością swoją wypędziła złego ducha z nieboszczyka Eustachego Moubon, co to, chcąc diabłu spłatać figła, umierając, złośliwie ukrył swą duszę w sienniku.

VI

STŁUCZONY DZBAN

Poeta nasz przez czas pewien biegł, ile tylko miał sił w nogach, nie wiedząc dokąd, wpadając na niejedyn dom na zakrętach ulicy, przeskakując przez niezliczone rynsztoki, mijając niezliczone ulice, uliczki i zaułki, biegi szukając ratunku i przejścia poprzez wszystkie zawile meandry starej dzielnicy Hal, przeszukując w panicznym strachu to, co piękna łacina starych dokumentów nazywa: *tota via, cheminum et viaria*; nagle zatrzymał się, przede wszystkim dlatego, że tchu mu zabrakło, po wtóre zaś – za kołnierz niejako schwycił go dylemat, który ni stąd ni zowąd zjawił się w jego umyśle.

– Zdaje mi się, mistrzu Piotrze Gringoire – rzekł do siebie, dotykając palcem czoła – że biegiesz jak wariat. Mali hultaje nie mniej zlekli się ciebie niż ty ich. Zdaje mi się mój mistrzu, żeś usłyszał, jak hałas ich chodaków ucieka na południe, wtedy kiedy ty sam uciekałeś na północ. Otóż dwie są możliwości: albo uciekli – w takim razie siennik, o którym na pewno zapomnieli ze strachu jest przecież właśnie tym gościnnym łóżem, za którym uganiaasz się od rana, a które

Najświętsza Maria Panna zsyła ci cudownym sposobem w nagrodę za to, żeś na jej cześć ułożył moralitet z panegirykami i tańcami; albo też dzieci nie uciekły – w takim razie podpaliły siennik i jest to przecież właśnie ów wspaniały ogień, którego tak ci potrzeba, by rozweselić się, osuszyć i zagrzać. W obu wypadkach – czy jako dobre łoże, czy jako dobry ogień – siennik jest darem niebios. Matka Boska Łaskawa z rogu ulicy Złej Rady być może po to tylko sprawiła, że umarł Eustachy Moubon; i prawdziwe to z twojej strony szaleństwo, że uciekasz tak na łeb na szyję, niczym Pikardyjczyk przed Francuzem, zostawiając za sobą to, czego przed sobą szukasz; jesteś głupcem.

Zawrócił i z uwagą, namysłem, nasłuchując i węsząc, usiłował odnaleźć błogosławiony siennik. Lecz daremnie. Wahał się ciągle i błędził wśród budynków, zaułków i rozdroży, które go omotały, w których się zgubił; łatwiej by mu przyszło wydostać się z labiryntu w pałacu Tournelles. Stracił wreszcie cierpliwość i zawołał uroczyście:

– Niech przekłete będą rozdroża! to diabeł je zrobił na podobieństwo swoich wideł!

Okrzykiem tym ulżył sobie nieco, a czerwonawy blask, który w tej chwili zamigotał przed nim u samego końca długiej i wąskiej uliczki, do reszty pokrzepił go na duchu.

– Chwała Bogu! – rzekł. – To tam! Tam płonie mój siennik – i porównując się do tonącego w ciemności sternika: – *Salve* – dorzucił pobożnie – *salve, maris stella!*

Czy zwracał się do Matki Boskiej tym fragmentem litanii, czy też de siennika, tego już nie wiemy.

Wszedł w tę uliczkę nie wybrukowaną, coraz bardziej błotnistą i dość ostro spadającą w dół i już po kilku krokach zauważył rzecz dość osobliwą. Ulica nie była pusta: tu i tam, wzdłuż domów, czołgały się jakieś kształty niewyraźne, dziwaczne, a wszystkie poruszały się w kierunku migocącego w oddali światełka, niby ciężkie owady, co nocą pełzną z trawy na trawę ku pasterskiemu ognisku.

Człowiek, który w kieszeni swojej nie czuje najmniejszego nawet ciężaru sakiewki, śmiało wkracza w każdą przygodę.

Gringoire poszedł naprzód i już po chwili dogonił jedną z tych larw, tę, która najleniwiej wlokła się na końcu.

Zbliżywszy się zobaczył, że jest to po prostu beznogi nędzarz, co z trudem porusza się na swoich dwóch rękach, podobny do rannego pająka, któremu tylko Pozostały dwie łapy.

Kiedy go mijał, ów niby-pająk o człowieczej twarzy zawołał nań żalonym

– *La buona mancia, signor! La buona mancia!*

– A niech cię licha porwie – rzekł Gringoire – i mnie z tobą razem, jeżeli wiem, co znaczą twoje słowa.

I poszedł dalej

Dogonił drugą z kolei wędrującą bryłę i przyjrzał się jej. Ten znów był paralitykiem i kulawym i jednorękim jednocześnie, i to tak bardzo jednorękim i kulawym, że skomplikowana machina kul i drewnianych nóg, która go podtrzymywała, upodabniała go do murarskiego rusztowania w ruchu. Gringoire, miłośnik porównań wzniosłych i klasycznych, nazwał go w myśli żywym trójnogiem Wulkana.

Ów trójnog pozdrowił go, podsunął mu swój kapelusz tuż pod brodę, niczym cyrulik miszkę, i wrzasnął w samo ucho:

– *Senior caballero, para comprar lin pedazo de pan!*

– Zdaje się – rzekł Gringoire – że ten także mówi; ale trudny to język, jeżeli sam go rozumie, szczęśliwszy jest niż ja.

Tu uderzył się w czoło, bo przyszło mu nagle do głowy skojarzenie:

– Ano właśnie, cóż, u licha, znaczyć mogło to, co mówili dziś rano: Esmeralda?

Chciał przyśpieszyć kroku, lecz po raz trzeci coś zastąpiło mu drogę. To coś, a raczej ten ktoś był ślepcem, małym ślepcem o żydowskiej brodatej twarzy. Holowany przez dużego psa, ślepiec ten poruszając przed sobą swym kijem wymamrotał z węgierska:

– *Facitote caritatem!*

– Nareszcie! – rzekł Gringoire – nareszcie któryś z nich odzywa się w jakiejś chrześcijańskiej mowie. Widać, że mimo chudości mego mieszka hojną muszę mieć minę, skoro tak zebrzą u mnie jałmużny. – Przyjacielu (zwrócił się do ślepca), w zeszłym tygodniu sprzedałem ostatnią koszulę, czyli... ponieważ znany ci jest tylko język Cyceron: *Vendidi hebdomade nuper transita meam ultimam chemisam.*

Rzekłszy tak, odwrócił się od ślepca i poszedł przed siebie, lecz ślepiec razem z nim przyśpieszył kroku, a paralytyk i beznogi rzucili się skwapliwie w jego ślady hałasując po kamieniach kulami i miską uczeponą u pasa. I wszyscy trzej, popychając się i przewracając nawzajem, zaczęli ścigać biednego Gringoire'a, zawodząc głośno każdy swoje:

– *Caritatem!* – jęczał ślepiec.

– *La buona mancia!* – jęczał beznogi.

A kulawy podejmował nutę powtarzając: – *Un pedazo de pan!*

Gringoire zatkał uszy.

– O wieżo Babel! – zawołał.

I zaczął biec. Więc pobiegł i ślepy, pobiegł i kulawy, pobiegł i beznogi.

A potem, kiedy głębiej zapuścili się w ulicę, rozmnożyli się dokoła beznodzy, ślepi, kulawi, jednoręcy, jednoocy i trędowaci pokryci ranami; wyłaniali się z bram domów, z przyległych zaułków, z otworów piwnicznych – z wyciem, z rykiem, z piskiem, i kuśtykając, potykając się, jeden przez drugiego, runęli ku światłu; tarzali się w błocie niby ślimaki po deszczu.

Gringoire, nie mogąc opędzić się swoim trzem prześladowcom i nie bardzo wiedząc, co z tego wszystkiego wyniknie, szedł, przerażony, wśród nich wszystkich, wymijając kulawych, przeskakując przez beznogich, a stopy jego zapadały się w to mrowisko wszelakich kalek. I podobny był do owego angielskiego kapitana, co to ugrzązł w stadzie krabów.

Próbował zawrócić, lecz było już za późno. Cały ten legion zamknął za nim swoje szeregi, a trzej żebracy nie odstępowali go. Szedł więc, pchany naprzód przez tę niepokonaną falę, przez strach i oszołomienie, które przemieniło to wszystko w jakiś koszmarny sen.

Dotarł wreszcie do krańca ulicy. Wychodziła ona na wielki plac, na którym tysiące drgających ogni płonęło wśród nocnej mgły. Gringoire popędził naprzód, spodziewając się, że dzięki chyżości swych nóg umknie trzem kalekim widmom, które się doń przyczepiły.

– *Onde vas, hombre?* – krzyknął paralytyk odrzucając kule i pobiegł za nim na dwóch nogach, najzdrowszych ze wszystkich, jakie kiedykolwiek przemierzały bruk Paryża.

Beznogi zaś, wstając nagle, nasadził Gringoire'owi na głowę swoją ciężką okutą w żelazo miskę, a ślepy zajrzał mu w twarz płonącymi oczami.

– Gdzie ja jestem? – zawołał przerażony poeta.

– Na Dziedzińcu Cudów – odrzekła czwarta zjawa, która przystanęła obok.

– Na mą duszę! – powiedział Gringoire – jako żywo, widzę tutaj ślepców, którzy widzą i beznogich, którzy chodzą, ale gdzież jest Zbawiciel?

Odpowiedzieli mu złowrogim śmiechem.

Biedny poeta rozejrzał się dookoła. Był rzeczywiście na tym strachu budzącym Dziedzińcu Cudów, gdzie nigdy jeszcze ucziwy człowiek nie znalazł się o tak późnej porze; w magicznym kręgu, gdzie znikał bezpowrotnie każdy urzędnik grodzki, każdy strażnik starościński, jeśliby się ośmielił tu zapędzić, w państwie złodziei, tej obrzydliwej brodawce na obliczu Paryża; w cuchnącym ścieku, z którego co ranka wypływały i do którego co wieczór wracały, by gnić w

nim przez całą noc, brudne wody rynsztoka występku, żebractwa i włóczęgostwa, zalewające zawsze ulice wszystkich stolic; w potwornym ulu, do którego o zmroku powracały ze swym łupem wszelakie trutnie społecznego porządku; w łże-szpitalu, gdzie Cygan, zbiegły mnich, wykolejony żak, łotry każdej nacji – Hiszpanie, Włosi i Niemcy, każdej religii: żydzi, chrześcijanie, mahometanie i poganie, w dzień – żebracy, pokryci malowanymi ranami, przeobrażali się nocą w zbójów, był, krótko mówiąc, w ogromnej garderobie, gdzie ubierali się i rozbierali wówczas wszyscy aktorzy komedii, którą kradzież, prostytutka i zbrodnia od niepamiętnych czasów odgrywają na bruku Paryża.

Był to obszerny plac, nieregularny i lichy zabrukowany jak wszystkie ówczesne place paryskie. Tu i ówdzie paliły się ogniska, a dokoła nich poruszało się mrowie ludzkie o niecodziennym wyglądzie. Ludzie ci chodzili, krzatali się, krzyczeli. Słychać było głośne śmiechy, płacz dzieci, piski kobiet. Ręce ich i głowy, czarne na oświetlonym tle, układały się w tysiączne a dziwaczne figury. Drżący blask ognia i wielkie, nieokreślone cienie kładły się na ziemię i ujrzeć mogłeś, jak przemyka się po niej pies podobny do człowieka, człowiek podobny Psa. Zdawało się, że w państwie tym, niby w jakimś pandemonium, zatarły się granice gatunków i ras. Mężczyźni, kobiety, zwierzęta, wiek, płeć, zdrowie, Choroba – wszystko wydawało się wspólne całemu temu ludowi; wszystko łączyło się, mieszało, zlewało, nawarstwiało; każdy miał tu swój udział we wszystkim.

W drżącym i skąpym świetle ognisk Gringoire zdołał poprzez swój ogromny lęk zobaczyć plac w ohydny obramowaniu starych domków; ich zmurszałe, popękane, karłowate fasady, przedziurawione oświetlonymi okienkami, jednym lub dwoma, wydały mu się w ciemności niby ogromne głowy staruch poczwarnych i pokrzywionych, które usiadły wkoło i przypatrują się sabatowi mrugając oczyma.

Był to jakiś świat nowy, nieznan, niezwykły, kaleki, płazi, mrowiący się, fantastyczny.

Gringoire, coraz bardziej przerażony, ujęty przez trzech żebraków jak w trzy pary kleszczy, ogłuszony przez stado innych twarzy kłębiących się i wrzeszczących wokół niego, nieszczęsny Gringoire usiłował pozbić jakoś całą swoją przytomność umysłu i przypomnieć sobie, czy nie jest to przypadkiem sobota. Lecz daremne były jego wysiłki, nie pamięci i myśli została zerwana, więc zwątpiwszy już we wszystko, wahał się pomiędzy tym, co widział, a tym co czuł, i zadawał sobie pytanie, na które odpowiedzieć niepodobna: „Jeżeli ja istnieję – to czy istnieje to wszystko? Jeżeli to wszystko istnieje – to czy istnieję ja?”

W pewnej chwili z gwarnej cizby, co otoczyła go zwartym kręgiem, podniósł się wyraźny okrzyk:

– Prowadźmy go do króla! Prowadźmy go do króla!

– Matko Boska! – szepnął Gringoire – tutejszy król to musi być chyba cap!

– Do króla! Do króla! – powtórzyły wszystkie głosy.

Zaczęli go szarpać, ciągnąć i wrywać sobie nawzajem. Ale trzech żebracy nie puścili z rąk zdobyczy i odpychali wszystkich wrzeszcząc: „Jest nasz!”

Chory już kaftan naszego poety wydał w tej walce swe ostatnie tchnienie.

Ruszyli w głąb straszliwego placu: oszołomienie Gringoire’a rozproszyło się. Już po kilku krokach powróciło mu poczucie rzeczywistości. Zaczynał się przyzwyczajać do panującej tutaj atmosfery. W pierwszej chwili z jego głowy poety lub też może po prostu i całkiem prozaicznie z jego pustego żołądka wzbil się jakiś dym, jakiś swego rodzaju opar, który się rozsunął pomiędzy nim a otaczającymi go przedmiotami, i sprawił, że dostrzegał je jakby we mgle koszmaru – w owych mrokach snu, wśród których drgają kontury, wykrzywają się kształty, przedmioty tworzą skupiska niepomiarne wielkie, rzeczy rozrastają się w chimery, a ludzie w widma. Powoli jednak halucynacja ta zaczęła ustępować spojrzeniu mniej zmaconemu, mniej wyolbrzymiającemu

wszystko. Otaczająca go rzeczywistość wychodziła na jaw, kłuła w oczy, uderzała po nogach i burzyła, część po części, całą przerażającą poezję, wśród której znalazł się w swym mniemaniu. Musiał spostrzec wreszcie, że brodzi nie w Styksie, lecz w błocie, że potracają go nie demony, lecz złodzieje, że zagrożona jest tutaj nie jego dusza, lecz całkiem po prostu życie (gdyż brakowało mu cennego pojednawcy, który tak skutecznie potrafi pogodzić bandytę z uczciwym człowiekiem – sakiewki). W końcu przypatrując się orgii bardziej z bliska, bardziej trzeźwo, z sabatu spadł do karczmy.

Rzeczywiście, Dziedziniec Cudów był po prostu karczmą, ale karczma rozbójników, tyleż czerwoną od krwi, co od wina.

Widok, który ukazał się jego oczom, kiedy eskorta w łachmanach dostawiła go wreszcie do kresu tej wędrówki, nie miał w sobie nic zgoła, co by mogło przywrócić mu w mniemaniu Gringoire'a poezję, bodaj nawet poezję piekła. Była to jak najbardziej prozaiczna i brutalna rzeczywistość szynku. Gdyby nie działo się to w piętnastym wieku, powiedzielibyśmy, że Gringoire z wyżyn Michała Anioła zszedł do poziomu Callota.

Na dużej i okrągłej płycie kamiennej paliło się wielkie ognisko, a wśród jego płomieni stał na prętach poczerwieniałych od ognia trójnóg żelazny, w tej chwili pusty, wokół ogniska porozstawiano bezładnie zmurszałe stoły, żaden zaiste lokaj-geometra nie poprawił ich układu, nie czuwał, aby przynajmniej nie stykały się ze sobą pod nazbyt już niezwykłymi kątami. Na stołach tych połyskiwały dzbany ociekające winem i piwem zbożowym, wokół dzbanów zaś tłoczyły się gęby pijackie, purpurowe od gorąca i trunków. Tam jakiś drab z wielkim brzuchem i jowialną twarzą całował hałaśliwie tłustą dziewczkę. Tam znów fałszywy żołnierz pogwizdując zdejmował bandażę ze swej sztucznej rany i rozcierał zdrętwiałą nogę, silną i zdrową, a od rana zgietą w pół w kolanie i skrepowaną niezliczonymi sznurkami. Po drugiej stronie stołu jakiś „kaleka” szykował sobie przy pomocy jaskółczego ziela i krwi wołowej „bożą nogę” na dzień jutrzejszy. O dwa stoły dalej fałszywy pątnik ubrany jak najprawdziwszy pielgrzym uczył się na pamięć słów pobożnej pieśni o Królowej Niebios i jej monotonnej, przez nos śpiewanej melodii. Gdzie indziej znów młody adept padaczki brał lekcje padaczki u starego symulanta, który uczył go sztuki wydobywania piany na usta ze ssanego kawałka mydła. Obok jakiś chory na wodną puchlinę wypuszczał z siebie wodę, aż musiały sobie pozatykać nosy cztery żebraczki, które przy tym samym stole kłóciły się o ukradzione wieczorem dziecko. Wszystkie te sceny, wszystkie te sytuacje w dwieście lat później „tak zabawne wydawały się na królewskim dworze – powiada Sauval – że, ku rozrywce króla, przedstawione zostały w czterech obrazach wstępu do baletu *Noc i odtąnczone* w teatrze Petit-Bourbon...” „Nigdy jeszcze – stwierdza naoczny świadek z roku 1653 – nagle metamorfozy z Dziedzińca Cudów nie zostały pokazane udatniej. A treść baletu opowiedział nam w bardzo zgrabnych wierszach Benserade.”

Zewsząd dolatywały grube śmiechy i nieprzystojne pieśni. Każdy śpiewał co innego, nie słuchając sąsiada, nie szczedząc przekleństw i obelg. Trącano się kubkami, a przy ich stuku rozdziły się kłótnie i przez te wyszczerbione kubki nawzajem darto na sobie łachmany.

Duży pies siedział z podwiniętym ogonem i patrzył na ogień. Kilkoro dzieci plątało się wśród tej orgii, skradzione dziecko płakało i wrzeszczało. Drugie – gruby, czteroletni chłopczyk – siedziało na za wysokiej ławie, nóżkami nie sięgając do ziemi, z brodą tuż nad stołem. Trzecie z powagą rozmazywało palcem po stole stopiony łoż, który spływał ze świecy. Czwarte wreszcie maleństwo przykucnęło w błocie, całkiem prawie wlaźło do przewróconego kotła i uderzało weń dachówką wydobywając dźwięki, od których zemdlałby Stradivarius.

Tuż przy ognisku stała beczka, jakiś żebrak siedział na beczce. Był to król na swoim tronie.

Trzej żebracy, którzy schwytali Gringoire'a, przyprowadzili go przed beczkę i całą bachanalia ucichła na chwilę z wyjątkiem kotła, w którym zagnieździł się dzieciak.

Gringoire nie śmiał ani odetchnąć, ani podnieść oczu.

– *Hombre, quita tu sombrero!* – rzekł jeden z trzech trzymających go łotrów i nim Gringoire zdążył zrozumieć, co to znaczy, zerwał mu kapelusz z głowy. Nędzyn był, to prawda, ale dobry jeszcze na słońce czy na deszcz. Gringoire westchnął z żalem.

Tymczasem król przemówił doń z wysokości swojej beczki:

– Cóż to znowu za ladaco?

Gringoire zadrżał. Głos ten, choć brzmiący w tej chwali groźbą, przypomniał mu inny głos, który tego samego ranka zadał pierwszy cios jego misterium, jęcząc żałośnie na widowni: „Litości! Proszę o wsparcie!” Podniósł głowę. Tak, był (o rzeczywiście Kłopin Postraszgłupca.

Kłopin Postraszgłupca w całym blasku swojego majestatu przyodziany był w te same, co i w dzień, łachmany.

Z ramienia znikła rana. Trzymał w dłoni bat z jasnego rzemienia. Takim batami pacholkiwie miejscy powstrzymywali wówczas napór tłoczącej się ciżby i nosiły one nazwę „miotelek”. Na głowie miał dziwne jakieś nakrycie z okrągłym otokiem, lecz trudno było rozpoznać, czy to jest królewska korona, czy też dziecinna czapeczka, tak bardzo bywają podobne do siebie oba te przedmioty.

Kiedy Gringoire w królu tego Dziedzińca Cudów rozpoznał owego przeklętego żebraka z wielkiej sali, nie wiadomo czemu odzyskał odrobinę nadziei.

– Mistrzu... – wybełkotał – jaśnie panie... Wasza królewska mość... Jakże mam was zwać? – zapytał wreszcie, *crescendo* szacunku doszło bowiem do punktu kulminacyjnego i nie wiedział ani jak piąć się wyżej, ani jak zejść.

– Jaśnie panie, wasza królewska mość albo kamracie, nazywaj mnie, jak ci się podoba. Ale śpiesz się. Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

„Na swoją obronę? – pomyślał Gringoire. – To mi się nie podoba.” – I wybełkotał znów:

– Jestem tym, który dzisiejszego ranka...

– Na czarcie pazury! – przerwał mu Kłopin – imię twoje, ladaco, i nic więcej. Słuchaj, stoisz w obliczu trzech potężnych władców: mnie, Kłopina Postraszgłupcy, króla Pięciu Franków, spadkobiercy Wielkiego Koezre, najwyższego zwierzchnika królestwa złodziei; Macieja Hungadi Spicali, wielkiego księcia Cyganów, tego poźółkłego starucha, którego widzisz tam z gałganem okręconym dookoła głowy; Wilhelma Rousseau, cesarza Galilei, tego grubasa, który nas nie słucha, tylko gzi się z gamratką. Jesteśmy twoimi sędziami. Wszedłeś do królestwa złodziei nie będąc jego poddanym, pogwałciłeś przywileje naszego miasta. Musisz ponieść karę, chyba że sam jesteś buchaczem albo rzezimieszkiem, czyli jak się to nazywa w gwarze uczciwych ludzi, złodziejem, żebrakiem albo włóczęgą. Czy jesteś kimś takim! Odpowiadaj! Wymień swoje tytuły!

– Niestety! – rzekł Gringoire – nie mam tego zaszczytu. Jestem autorem...

– Dość! – odparł Postraszgłupca nie dając mu dokończyć. – Będziesz powieszony. Nic prostszego, panowie uczciwi mieszczanie! jak wy nas u siebie traktujecie, tak my was traktujemy u siebie. Żebracy wymierzają wam tę sami sprawiedliwość, jaką wy wymierzacie żebrakom. A jeżeli jest ona zła, to z waszej winy. Trzeba, abyśmy co pewien czas oglądali wykrzywającą się znad konopnego stryczka twarz uczciwego obywatela; sama rzecz staje się w ten sposób bardziej zaszczytną. Nuże, przyjacielu, rozdziel żwawo swoje łachmany między te piękne panie! Każę cię powiesić ku uciechu żebraków, a ty dasz im swoją sakiewkę, żeby mieli za co wypić. A jeżeli chcesz jeszcze wyczyniać jakieś błazeństwa, mamy tam, w starej ambonie, bardzo ładnego Pana Boga z kamienia, którego skradliśmy u Świętego Piotra z Wołami. Masz cztery minuty czasu, żeby mu polecić duszę.

Przemówienie to zrobiło wrażenie!

– Na mą duszę, dobrze gada! Klopın Postraszgłupca każe niczym ojciec święty papież! – zawołał cesarz Galilei tłukąc swój kubek, by skorupkę podłożyć pod chwiejąc? się nogę stołu. – Wielmożni królowie i cesarze – rzekł z zimną krwią Gringoire (gdyż sam nie wiem w jaki sposób odzyskał pewność siebie i śmiałość) – nie mówicie tego na serio. Nazywam się Piotr Gringoire, jestem poetą, a moralitet mój został odegrany dzisiaj w Pałacu Sprawiedliwości.

– Aaa... to ty, mistrzu! – powiedział Klopın. – Byłem tam, jak Boga kocham, byłem. Bardzo pięknie, kamracie, ale czyż to, żeś nas w dzień nudził, ma być powodem, żeby cię nie powiesić w nocy?

„Trudno mi się będzie wykaraskać” – pomyślał Gringoire. Uczynił mimo to jeszcze jeden wysiłek.

– Nie wiem właściwie – rzekł – dlaczego poeci nie zostali zaliczeni do cechu waszych poddanych. Ezop był włóczęgą, Homer był żebrakiem, Merkury był złodziejem.

Klopın przerwał mu:

– Wydaje mi się, że chcesz nas tutaj zakołować swoją gadaniną. Dalibóg, daj się już powiesić, nie rób tyle ceregieli!

– Za pozwoleniem, jaśnie wielmożny królu Pięciu Franków – odparł Gringoire usiłując jeszcze się bronić – rzecz to warta zachodu... Chwilkę... Wysłuchajcie mnie... Nie możecie mnie skazać, póki nie wysłuchacie...

Jego żalony głos ginął bowiem wśród hałasów i wrzawy. Malec uderzał w kocioł z coraz to większym zapalem; a na domiar złego jakaś starucha postawiła właśnie na rozpalonym trójnogu patelnię tłuszczu, który strzelał na ogniu z hałasem podobnym do wrzasku bandy dzieciaków pędzących za karnawałową maską.

Klopın Postraszgłupca naradzał się przez chwilę z księciem cygańskim i z cesarzem Galilei kompletnie już pijanym. Potem krzyknął ostro:

– Cicho!

Ale że kocioł i skwiercząca patelnia nie usłuchały go i nie przerwały swojego duetu, zeskoczył z beczki, kopnął kocioł – kocioł potoczył się razem z dzieckiem, kopnął patelnię – cały tłuszcz z patelni wylał się w ogień, i z powagą powrócił na swój tron, nie zwracając uwagi na stłumiony płacz dziecka i na wyrzekania staruchy, której wieczera paliła się oto wielkim jasnym płomieniem.

Postraszgłupca dał znak, wielki książę, cesarz, buchacze i rzeźmieszki ustawili się przy nim w podkowę, Gringoire, ciągle jeszcze pod strażą, znalazł się w samym jej środku. Było to półkole łachmanów, błyskotek, wideł, siekier, nóg chwiejnych od wina, potężnych, gołych ramion, brudnych, tępych, ogłupiałych twarzy. Ponad tym „okrągłym stołem” żebractwa Klopın Postraszgłupca – doża tym senacie, król nad tymi parami, papież w tym konklawe – górował, przede wszystkim całą wysokością swojej beczki, a poza tym jakąś dziką i groźną wyniosłością, która iskrzyła się w jego źrenicach i łagodziła zwierzęce cechy żebraczej rasy w jego twarzy. Rzekłbyś – morda dzika wśród świńskich ryjów.

– Słuchaj! – rzekł Klopın do Gringoire’a gładząc chropowatą ręką swą potworną brodę – nie widzę, dlaczego nie miałbyś być powieszony. Wydaje mi się, co prawda, że ci się to wcale nie uśmiecha; nic w tym dziwnego, wy mieszczanie, nie jesteście do tego przyzwyczajeni. Wyobrażacie sobie od razu Bóg wie co. Cóż, ostatecznie nie chcemy cię przecież skrzywdzić. Jest sposób abyś na pewien czas wybrnął z tej kabały. Czy chcesz zostać jednym z naszych?

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie uczyniła ta propozycja na Gringoirze, który widział już, jak życie mu się wymyka, i coraz słabiej usiłował je zatrzymać Przyszał więc energicznie.

– Chcę, pewnie, że chcę, jeszcze jak! – zawołał.

– Zgadzasz się – ciągnął Klopın – zaciągnąć się do bractwa krótkiego miecza?

– Do bractwa krótkiego miecza, tak, właśnie – odrzekł Gringoire.

– Czy uznajesz się członkiem gminy wolnych mieszczan?

– Gminy wolnych mieszczan!

– Poddanym królestwa złodziei?

– Królestwa złodziei!

– Żebrakiem?

– Żebrakiem.

– W swojej duszy?

– W mojej duszy.

– Zwracam ci uwagę – rzekł znów król – że i tak zostaniesz powieszony.

– A, do licha! – zawołał poeta.

– Tylko – niewzruszenie ciągnął swoje Klopiny – zostaniesz powieszony nieco później, z większą ceremonią, na koszt zacnego miasta Paryża, na pięknej kamiennej szubienicy i przez uczciwych ludzi. Zawsze to jakaś pociecha.

– Macie słuszność – odrzekł Gringoire.

– Są też i inne korzyści. Jako wolny mieszczanin, nie będziesz musiał płacić ani za sprzątanie błota, ani na biednych, ani na latarnię, z których to opłat uiszczać się muszą obywatele Paryża.

– Niech i tak będzie! – rzekł poeta. – Zgadzam się. Jestem żebrakiem, członkiem cechu złodziei, wolnym mieszczaninem, krótkim mieczem, wszystkim, co się wam żywnie podoba; i już przedtem byłem tym wszystkim, panie królu Pięciu Franków, gdyż jestem filozofem; *et omnia in philosophia, omnes in philosopho continentur*, jak wiecie.

Król Pięciu Franków zmarszczył brwi.

– Za kogóż to mnie bierzesz, przyjacielu? W jakiejż to żydowskiej z Węgier rodem śpiewasz nam tutaj mowie? Nie umiem po hebrajsku. Może ci się zdaje, że każdy łotr to Żyd? A ja już nawet nie kradnę, wyżej ponad to stoję, ja zabijani. Podrzynam gardła, owszem, ale nie obcinam sakiewek.

Gringoire między te krótkie, rwane przez złość słowa usiłował wcisnąć coś na swe usprawiedliwienie.

– Przepraszam, jaśnie oświecony panie. To nie po hebrajsku, to po łacinie.

– Raz jeszcze ci mówię – zawołał z gniewem Klopiny – że nie jestem Żydem i że cię każe powiesić, brzuchu z synagogi, razem z tym małym oszustem z Judei, co tam stoi obok ciebie, a którego niedługo już, spodziewam się, przybiją gdzieś gwoździem do lady jak fałszywy pieniądz, bo jest nim właśnie!

Mówiąc to wskazywał palcem na małego, brodatego Żyda z Węgier, tego co zaczepił był Gringoire'a swoim *facitote caritatem*. A że nie rozumiał on żadnej innej mowy, więc dziwił się, czemu to złość króla Pięciu Franków na nim się właśnie skrupiła.

Wreszcie jaśnie oświecony Klopiny uspokoił się.

– No i co hultaju? – rzekł do naszego poety. – Chcesz być żebrakiem?

– Bez wątpienia – odparł poeta.

– Samo chcenie nie wystarczy jeszcze – powiedział Klopiny szyderczo. – Dobre chęci nie dodadzą ani jednej cebuli do zupy i pomagają się dostać tylko do raj; otóż raj i bractwo złodziei to dwie całkiem różne rzeczy. Aby zostać przyjętym do naszego bractwa, musisz dowieść, że coś potrafisz, i dlatego musisz okraść manekin.

– Okradnę – rzekł Gringoire – okradnę wszystko, co się wam podoba!

Klopiny skinął. Kilku żebraków wyszło z półkola i po chwili wróciło. Przynieśli dwa słupy zakończone u dom podstawkami z desek, dzięki którym mogli łatwością ustawić je na ziemi. Na słupach tych umieścili poprzeczną belkę; wszystko razem tworzyło całkiem zgrabną przenośną

szubieniczkę; szubienica ta kil satysfakcji Gringoire'a, wyrosła tuż przed nim w mgnieniu oka. Nie brakowało nic, nawet sznura, który kołysał się zachęcająco pod poprzeczną belką.

„Cóż to ma znaczyć?” – z pewnym lękiem zastanawiał się Gringoire. Dźwięk dzwoneczków, który usłyszał w tej właśnie chwili położył kres jego niepokojom; żebracy wieszali na stryczku manekin, coś na kształt stracha na wróble, kukłę ubraną na czerwono i obwieszoną takim mnóstwem grzechotek i dzwoneczków, że starczyłoby ich na przybranie upręży trzydziestu kastylijskich mułów. Dzwoneczki te brzęczały jeszcze przez pewien czas w rytm wahań sznura, potem zaczęły cichnąć i wreszcie umilkły, kiedy manekin zawisł nieruchomo, zgodnie z zasadą wahadła, które zdetronizowało klepsydrę i zegar słoneczny.

Wówczas Klopın wskazał Gringoire'owi stary, kulawy stołek, ustawiony tuż pod manekinem.

– Wejdz na stołek! – rzekł.

– Na rany Jezusa! – sprzeciwił się Gringoire – kark sobie skręć! Wasz stołeczek kuleje niczym dystych Martialisa – jedna noga z heksametru, druga z pentametru.

– Wejdz na stołek! – powtórzył Klopın.

Gringoire wszedł na stołek i przy pomocy ruchów ramion i szyi zdołał jakoś znaleźć jego środek ciężkości.

– A teraz – odezwał się znowu król – załóż prawą stopę na lewą nogę i stań na palcach lewej stopy.

– Jaśnie oświecony panie – rzekł Gringoire – czyżby naprawdę tak zależało ci na tym, żebym sobie połamał kości?

Klopın pokiwał głową.

– Słuchaj, przyjacielu, za dużo gadasz. Powiem ci więc w dwu słowach, o co chodzi. Staniesz na jednej nodze, na palcach, jak ci kazałem; będziesz wtedy mógł sięgnąć do kieszeni manekina; wsuniesz tam rękę i wyciągniesz sakiewkę, która się w niej znajduje; jeżeli dokonasz tego tak, że nie zadzwoni ani jeden dzwoneczek – to dobrze, zostaniesz żebrakiem. Jeszcze tylko przez tydzień będziemy cię bić na kwaśne jabłko i już nic więcej.

– Rany boskie! Jakże nie miałbym uważać – rzekł Gringoire – jeżeli jednak dzwoneczki zadzwonią?

– Będziesz wisiał. Zrozumiałeś?

– Nic nie rozumiałem – odparł Gringoire.

– Posłuchajże raz jeszcze. Masz wyjąć manekinowi sakiewkę z kieszeni; jeżeli podczas tej operacji drgnie bodaj jeden dzwoneczek będziesz wisiał. Zrozumiałeś?

– Dobrze – powiedział Gringoire – teraz rozumiem. I co dalej?

– Jeśli uda ci się ukraść sakiewkę tak, by nie zadzwonić – jesteś żebrakiem i będziesz bity i kopany codziennie przez cały tydzień. Teraz już chyba rozumiałeś?

– Nie, jaśnie oświecony panie, teraz już nic nie rozumiem. I gdzie tu korzyść dla mnie? W jednym wypadku stryczek, w drugim kij.

– Ale będziesz żebrakiem! – odparł Klopın – żebrakiem, czyż to nic dla ciebie nie znaczy? A bić cię będziemy dla twojego dobra, żeby cię uodpornić na cięgi.

– Stokrotne dzięki – odpowiedział poeta.

– No, dalej, żywo! – rzekł król i tupnął w beczkę która zahaczała niby wielki bęben. – Zabieraj się do manekina i niechże się to wreszcie skończy. Uprzedzam cię po raz ostatni: jeżeli usłyszę jeden brzęk – zajmiesz miejsce kukły.

Żebracza banda przyklasnęła słowom Klopina i otoczyła zwartym kołem szubienicę, śmiejąc się tak bezlitośnie, że Gringoire spostrzegł wreszcie, iż zanadto ich bawi, aby mógł spodziewać się po nich czegokolwiek prócz okrucieństwa. Nie miał już żadnej nadziei; pozostawała mu jedynie wątpliwa szansa pomyślnego przeprowadzenia groźnej operacji, którą mu kazano wykonać.

Postanowił zaryzykować więc i gorącymi słowy błagalnej modlitwy zaklinał manekin, który miał obrabować, czując, że łatwiej by mu było wzruszyć tę kukłę niż żebraków. Miriady dzwoneczków z maleńkimi języczkami z miedzi wydały mu się paszczami żmij, gotowymi kąsać i syczeć.

– Ach! – szepnął cichutko – czyż to możliwe, żeby moje życie zależało od najmniejszego drgnienia najmniejszego z tych dzwoneczków? Ach, dzwoneczki, nie zadzwonieć! Brzękadełka, nie brzęknijcie! – dodał ze złożonymi modlitewnie rękami.

Raz jeszcze spróbował targu z Klopinem Postraszgłupcą.

– A jeżeli wiatr powieje? – zapytał.

– Będziesz wisiał – odparł bez wahania król.

Widząc, że nie ma co liczyć na zwłokę ani na litość, że nie pomogą już żadne wykręty, Gringoire dzielnie poddał się losowi. Założył prawą stopę na lewą nogę, stanął na palcach, wyciągnął rękę... lecz kiedy już dosięgnął manekina, ciało jego, które miało tylko jedną nogę, zachwiało się na stołku, który miał ich tylko trzy; instynktownie chciał oprzeć się o manekin, stracił równowagę i runął na ziemię ogłuszony straszliwym dzwonieniem tysiąca dzwoneczków zawieszonych na kukle, która, pchnięta jego ręką, zakręciła się raz jeden dookoła własnej osi, a potem zaczęła majestatycznie kołysać się między słupami.

– Przekleństwo! – krzyknął padając i leżał jak martwy z twarzą obróconą ku ziemi.

Słyszał jednak okrutne dzwonienie nad głową, słyszał szatański śmiech żebraków i głos Postraszgłupcy, który mówił:

– Podnieść mi hultaja i powiesić go, raz dwa!

Podniósł się. Manekin już odczepiono, aby jemu zrobić miejsce.

Żebracy kazali mu wejść na stołek. Klopין podszedł, założył Gringoire'owi sznur na szyję i klepnął go po ramieniu:

– Żegnaj, przyjacielu! Nic ci już teraz nie pomoże, choćbyś miał w brzuchu kiszki samego papieża.

Słowo: „łaski!” zamarło na wargach Gringoire'a. Powiódł spojrzeniem dookoła. Żadnej nadziei, wszyscy się śmiali.

– Bellevigne de l'Étoile – rzekł król Pięciu Franków do olbrzymiego łotra, który na dźwięk swego imienia wystąpił z szeregu – włącz na belkę!

Belleyigne de l'Étoile wdrapał się zręcznie na szubienicę i gdy po chwili Gringoire spojrział w górę, zobaczył z przerażeniem, że ten potężny drab przysiadł na poprzeczce, tuż nad jego głową.

– Dobrze – rzekł Klopין Postraszgłupcą. – A teraz, kiedy klasnę w dłonie, ty, Ryży Andrzeju, przewrócisz kopniakiem stołek; ty, Franciszku Śpiewająca Śliwko, uwieszysz się u nóg tego ladaco; ty zaś Bellevigne, skoczysz mu z góry na plecy; a wszyscy trzej równocześnie, słyszycie?

Gringoire zadrżał.

– Gotowi? – zapytał Klopין trzech żebraków, którzy ustawili się tak, aby się rzucić na Gringoire'a niczym trzy pająki na jedną muchę. Nieszczęsny skazaniec przeżywał chwilę potwornego oczekiwania, a Klopין tymczasem spokojnie końcem buta przysuwał do ogniska te gałązki chrustu, których jeszcze nie zajęły płomienie.

– Gotowe? – powtórzył Klopין i rozłożył dłonie, żeby klasnąć. Jeszcze sekunda... a byłoby po wszystkim.

Lecz Klopין opuścił ręce, jakby powstrzymany jakąś nagłą myślą.

– Zaraz... – rzekł – zapomniałem... Nim powiesimy mężczyznę, obyczaj nakazuje, byśmy zapytali, czy nie zechce go któraś z kobiet. To już ostatni ratunek dla ciebie, przyjacielu. Musisz poślubić albo żebraczkę, albo szubienicę.

To stare prawo cygańskie, które może się wydać dziwaczne czytelnikowi, po dziś dzień

wypisane jest czarno na białym w starym ustawodawstwie angielskim. Zobacz *Uwagi Buriugtona*.

Gringoire odetchnął. Po raz wtóry już powracał do życia w ciągu pół godziny. Nie śmiał więc nadmiernie uwierzyć.

– Hola! – krzyknął Klopın włączając na swoją beczkę. – Hola! kobiety, samice! Słuchajcie wszystkie, od czarownicy aż do jej kotki! Czy jest wśród was jaka dziewczka, która by tego chłopca chciała? Hola, Koletto Charonne! Elżbieto Trouyam, Simono Jodouyne, Mario Piedebou, Długa Antosiu, Berardo Fanouel, Michalino Genaille, Klaudio Gryziucho, Małgosiu Giroron. Hola! Izabelo Thierrey! Zbliżcie się i oglądajcie! Mężczyzna za darmo! która go chce?

Niewątpliwie Gringoire niezbyt ponętnie prezentował się w tym żalonym stanie. Żebraczki przyjęły propozycję z niewielkim zapalem. Nieszczęśnik słyszał, jak odpowiadały: „Nie, nie, wieszajcie go! Niech wszyscy mają uciechę!” Trzy kobiety wyszły jednak z tłumu i zbliżyły się do Gringoire’a, żeby go wachać. Pierwsza była to tłusta dziewczka o kwadratowej twarzy. Przyjrzała się uważnie nędzemu kaftanowi filozofa. Kaftan był wytarty i bardziej podziurawiony niż patelnia do pieczenia kasztanów. Dziewka skrzywiła się.

– Stary łach! – mruknęła. I rzekła do Gringoire’a:

– Pokaż płaszcz!

– Zgubiłem go – odparł Gringoire.

– Kapelusz?

– Zabrali mi kapelusz.

– Buty?

– Nie mają już prawie podeszew.

– Pokaż sakiewkę.

– Niestety! – wystękał Gringoire – nie mam ani grosika.

– Daj się powiesić i podziękuj jeszcze! – rzekła mu na to żebraczka i poszła sobie.

Teraz zbliżyła się doń druga kobieta, stara, szerniała, pomarszczona i tak wstrętna, że brzydota jej zwracała uwagę nawet tutaj, na Dziedzińcu Cudów Gringoire zadrzał prawie na myśl, że a nuż go wybierze. Ale starucha mruknęła tylko: „Za chudy!” I też sobie poszła.

Trzecia – była to dziewczyna dość świeża jeszcze i niebrzydka.

– Uratuj mnie! – szepnęła jej biedak.

Przez chwilę przypatrywała mu się z litością, potem spuściła oczy, poczęta miąć w palcach spódnice i stała niezdecydowana. Śledził spojrzeniem każdy jej ruch, było to ostatnie światło nadziei.

– Nie – rzekła wreszcie dziewczyna – nie! Wilhelm Długa Gęba zbiłby mnie.

I znikła w tłumie.

– Nie masz szczęścia, kamracie – rzekł Klopın.

Stanął znów na swej beczce i krzyknął, ku wielkiej uciechy gawiedzi naśladowując głos licytatora: – Kto kupuje? Po raz pierwszy! Po raz drugi! Po raz trzeci! – I zwracając się w stronę szubienicy skinął głową: – Przesądzony!

Bellevigne de l’Étoile, Ryży Andrzej i Franciszek Śpiewająca Śliwka zbliżyli się do Gringoire’a.

W tej chwili, właśnie wśród tłumu podniósł się okrzyk:

– Esmeralda! Esmeralda!

Gringoire zadrzał i odwrócił się w tę stronę, skąd szedł krzyk. Tłum rozstał się czyniąc przejście jasnej, olśniewającej istocie.

Była nią Cyganka z placu Grève.

– Esmeralda! – rzekł Gringoire, zdumiony mimo wszystkich swoich wzruszeń tym, jak nagle

to magiczne słowo połączyło wszystkie przeżycia tego dnia.

Nawet tutaj, na Dziedzińcu Cudów, niezwykła ta istota królowała urokiem swym i pięknnością. Zebracy i żebraczki w milczeniu rozstępowali się przed nią a na jej widok rozpromieniały się ich zwierzęce twarze.

Esmeralda podeszła do skazańca swoim lekkim krokiem. Śliczna Dżali podreptała za swoją panią. Gringoire bardziej był martwy niż żywy. Cyganka przypatrywała mu się chwilę w milczeniu.

– Chcecie powiesić tego człowieka? – z powagą zapytała Klopina.

– Tak, siostrze – odparł król Pięciu Franków. – Chyba że ty weźmiesz go sobie za męża.

Wysunęła dolną wargę i zrobiła swoją śliczną minkę.

– Biorę go za męża – powiedziała.

Gringoire nabrał niezachwianej pewności, że od rana śnił tylko i że to jest dalszy ciąg jego snu.

Rzeczywiście, rozwiązanie to, mimo całego uroku, był bardzo gwałtowne.

Odwiązano pętlę, sprowadzono poetę ze stołka. Musiał usiąść, tak mocny przeżył wstrząs.

Książę cygański bez słowa przyniósł gliniany dzban. Cyganka podała go Gringoire'owi.

Rzuć nim o ziemię! – rzekła.

Dzban rozłukł się na cztery części.

Bracie – rzekł wówczas książę Cyganów kładąc im na głowach dłonie – ona jest twoją żoną; siostrze, on jest twoim mężem. Na cztery lata. A teraz idźcie sobie!

VII

NOC POŚLUBNA

W kilka chwil później poeta nasz znalazł się w niewielkiej izdebce o ostrołukowym sklepieniu, szczelnie zamkniętej i dobrze ogrzanej; siedział za stołem, który chyba tylko czekał na to, aby zapożyczyć coś niecoś z zawartości kredensika zawieszono tuż obok, na ścianie, sam na sam z prześliczną dziewczyną i z wygodnym łóżkiem w perspektywie. W przygodzie tej było coś z czarów. Gringoire całkiem serio zaczynał już uważać samego siebie za postać z baśni; od czasu do czasu rozglądał się wokół, jakby sprawdzając, czy nie stoi gdzie jeszcze ognisty wóz zaprzężony w dwie skrzydlate chimery, bo chyba tylko taki wóz mógł go przenieść tak szybko z piekła do raju. Chwilami zaś zaczynał wpatrywać się uporczywie w dziury swego kaftana, żeby uczepić się rzeczywistości i żeby nie stracić do reszty ziemi pod nogami. Była to ostatnia nić przytrzymująca jego rozum, bujający w urojonych przestrzeniach.

Dziewczyna jakby wcale nie zwracała na niego uwagi; chodziła po izdebce, przesuwając jakiś stołek, mówiła do kózki, czasem skrzywiła się po swojemu. Wreszcie usiadła przy stole i Gringoire mógł się jej przypatrzeć do woli.

Byłeś kiedyś dzieckiem, czytelniku, a może na twoje szczęście do tej pory jeszcze pozostałeś dzieckiem. Na pewno nieraz (jeśli chodzi o mnie, spędzałem tak całe dni, najlepiej zużyte dni mojego życia) goniłeś z krzewu na krzew, nad brzegiem strumienia w piękny dzień słoneczny cudną łątkę, zieloną lub też błękitną, która wzbijała się w górę i opadała nagle, całując jak gdyby koniuszki gałązek. I przypominasz sobie, z jak tkliwą ciekawością myśl twoja i twoje spojrzenie śledziły ten malutki gwizdzący i bzykający wir purpurowo-lazurowych skrzydełek, między

którymi unosił się jakiś kształt nieuchwytny, osłonięty szybkością własnego ruchu. Zwiewna istota, ledwie majacząca poprzez to drżenie skrzydełek, wydawała ci się nieprawdziwa, urojona – mniemałeś, że nie można jej ani dotknąć, ani zobaczyć. Kiedy jednak łątka przysiadła wreszcie na czubku trzciny, kiedy wstrzymując oddech mogłeś obejrzeć przejrzyste podłużne skrzydełka, długi pancerzyk z emalii i dwie kryształowe kuleczki, jakże wielkie ogarniało cię zdziwienie i jaki lęk, żeby kształt nie zmienił się znów w cień, a istota – w przywidzenie. Przypomnij sobie, czytelniku, te wrażenia, a łatwo zdasz sobie Prawe z tego, co czuł Gringoire oglądając w widzialnym i dotykającym kształcie tę Esmeraldę, która dotychczas migiała mu tylko poprzez wir tańca, śpiewu i zgiełku.

Coraz głębiej pogrążał się w rozmarzeniu.

„Oto, kim jest «Esmeralda» – powtarzał sobie wodząc za nią roztargnionym wzrokiem. – Niebiańskie stworzenie! Uliczna tancerka! Tak wiele i tak mało. To ona dzisiaj rano zadała ostatni śmiertelny cios mojemu misterium, to ona wieczorem uratowała mi życie. Mój zły duch! mój dobry anioł!... Śliczna kobieta, daję słowo!... I musi mnie kochać do szaleństwa, skoro wybrała mnie sobie w taki sposób... Właśnie! – rzekł podnosząc się nagle, tknięty tym poczuciem rzeczywistości, które tworzyło podstawę jego charakteru i filozofii. – Sam nie wiem, jak się to dzieje, ale jestem jej mężem.”

Z tą myślą w głowie i w spojrzeniu podszedł do dziewczyny tak obcesowo a zalotnie, że cofnęła się.

– Czego chcesz ode mnie? – zapytała.

– Jakże możesz o to pytać, cudna Esmeraldo? – odparł Gringoire głosem tak namiętym, że sam się zdziwił słysząc jego brzmienie. Cyganka otworzyła szeroko oczy:

– Co ty mówisz? Nie rozumiem.

– Jak to! – zawołał Gringoire podniecając się coraz bardziej i myśląc, że ostatecznie ma tu przecież do czynienia tylko z cnotą z Dziedzińca Cudów. – Czyż nie jestem twój, słodka przyjaciółko? Czyż nie jesteś moja?

I objął ją w prostocie ducha.

Stanik Cyganki wysliznął mu się z rąk niczym skóra węgorza. Jednym skokiem znalazła się w przeciwległym kącie izdebki, schyliła się i wyprostowała z małym sztyletem w dłoni, zanim Gringoire w ogóle zdążył zobaczyć, skąd tę broń wyjęła; stała gniewna i dumna, z wydętymi wargami, drgającymi nozdrzami, policzkami czerwonymi jak jabłuszko, z oczami pełnymi błyskawic. A biała kózką stanęła przed nią i nadstawiła ku Gringoire'owi gotowe do walki czoło, uzbrojone w dwa śliczne różki, złożone i bardzo spiczaste. Stało się to wszystko w mgnieniu oka.

Łątka przeobraziła się w osę i gotowa była kąsać. Filozof nasz zdumiał się i zaczął wodzić ogłupiałym wzrokiem od kozy do dziewczyny.

– Matko Boska! – rzekł wreszcie, skoro tylko zdumienie pozwoliło mu się odezwać. – A to mi dopiero dwa chwaty!, Cyganka również przemówiła:

– Zuchwały z ciebie hultaj!

– Stokrotnie przepraszam waćpannę – rzekł z uśmiechem Gringoire. – Ale po cóż, u licha, wzięłaś mnie za męża?

– Czy miałam pozwolić, żeby cię powiesili?

– Ach tak! – rzekł poeta, zawiedziony nieco w swoich miłosnych nadziejach. – A więc zaślubiając mnie tylko to miałaś na myśli, żeby mnie uratować od szubienicy?

– Cóż więcej mogłam mieć na myśli?

Gringoire zagryzł wargi.

– Cóż robić – rzekł. – Widać Kupido mniej ma mnie w swojej opiece, niż mi się to przez chwilę wydawało. I po co było tłuc ten nieszczęsny dzbanek?

Sztylet Esmeraldy i rogi kózki trwały ciągle w pogotowiu.

– Panno Esmeraldo – rzekł poeta – złóżmy broń! Nie jestem skrybą z Châtelet, nie narobię gwałtu, że tu, w Paryżu, nosisz przy sobie sztylet wbrew wszelkim nakazom i zakazom imć pana prefekta. A wiesz chyba, że Noël Lescribain zaledwie tydzień temu został skazany na zapłacenie dziesięciu solidów paryskich, bo miał przy sobie mieczyk. Lecz mnie to nic nie obchodzi.

A teraz do rzeczy! Przysięgam ci na mój kącik w raju, że nie zbliżę się do ciebie bez twojej zgody i przyzwolenia; ale daj mi jeść.

W gruncie rzeczy Gringoire, podobnie jak i pan Despréaux, był „bardzo mało lubieżny”. Nie należał do tego kawalerskiego, muszkieterskiego gatunku, który zdobywa dziewczęta szturmem. W materii miłosnej, podobnie jak w każdej innej sprawie, był zwolennikiem zwlekania i półśrodków; smakowita wieczerza w przyjacielskim nastroju we dwoje wydawała mu się, zwłaszcza gdy był głodny, znakomitym antraktem między prologiem a rozwiązaniem miłosnej przygody.

Cyganka nic mu na to nie odrzekła. Zrobiła swoją pogardliwą minkę, podniosła głowę jak ptaszek i wybuchnęła śmiechem; a sztylecik znikł tak, jak się pojawił – nie wiadomo kiedy – i Gringoire nie zdołał zobaczyć, gdzie pszczoła ukryła swoje żądło.

Po chwili na stole znalazł się żytńi chleb, kawałek słoniny, kilka pomarszczonych jabłek i dzban piwa. Gringoire z zapalem zabrał się do jedzenia. Słyszac dźwięk zawziętych uderzeń żelaznego widelca o fajansowy talerz, można było pomyśleć, że cała jego miłość zamieniła się w apetyt.

Dziewczyna siedziała z drugiej strony stołu i przyglądała mu się w milczeniu, zajęta najwidoczniej jakąś inną myślą, do której uśmiechała się czasami, a delikatna jej ręka głaskała mądrą główkę kozy, miękko opartą o jej kolana.

Żółta woskowa świeca oświetlała ten obraz żarłoczności i rozmarzenia.

Kiedy Gringoire uciszył wreszcie jako tako burczenie w żołądku, poczuł spóźniony nieco wstyd, widząc, że zostało na stole tylko jedno jabłko.

– Nie będziecie jedli, panno Esmeraldo? – spytał.

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową i utkwiała zamyślane spojrzenie w sklepieniu izdebki.

„Cóż ją tam, u licha, tak zajmuje? – pomyślał Gringoire i też spojrział w górę, ciekawy, czemu się przypatruje dziewczyna. – Nie może to być, żeby grymas tego kamiennego karła wyrzeźbionego na zworniku tak przyciągał jej uwagę. Na czarta, to porównanie mogę wytrzymać zwycięsko.”

I odezwał się głośno:

– Mościa panno!

Wyglądało na to, że go nie słyszy.

Zawołał więc jeszcze głośniej:

– Panno Esmeraldo!

Daremny trud. Myśli dziewczyny były gdzie indziej, a głos Gringoire’a nie miał dość mocy, aby je przywołać. Na szczęście przyszła mu z pomocą koza. Zaczęła delikatnie ciągnąć za rękaw swoją panią.

– Czego chcesz, Dżali! – zapytała żywo Cyganka, jakby nagle obudzona.

– Chce jeść – powiedział Gringoire, uszczęśliwiony, że udaje mu się nawiązać rozmowę.

Esmeralda nadrobiła chleba i Dżali jadła go z jej dłoni.

Gringoire nie pozwolił dziewczynie powrócić do marzeń. Odważył się na drażliwe pytanie:

– A więc nie chcesz mnie za męża?

Dziewczyna spojrzała nań uważnie i odparła:

– Nie.

– A za kochanka? – ciągnął Gringoire.

Skrzywiła się po swojemu i odparła:

– Nie.

– A za przyjaciela? – pytał dalej.

Jeszcze raz przyjrzała mu się i po chwili namysłu odrzekła:

– Być może.

To „być może”, tak drogie filozofom, ośmieliło Gringoire’a.

– Czy ty wiesz, co to jest przyjaźń? – zapytał.

– Tak – odrzekła Cyganka. – To kiedy się jest siostrą i bratem, to dwie dusze, co się dotykają nie zlewając w jedną, to dwa palce u ręki.

– A miłość? – pytał dalej Gringoire.

– O! miłość... – odezwała się, a głos jej drżał i oczy pały. – To być dwojgiem, co w jedno się zlewają. To mężczyzna i kobieta stopieni w jednego anioła. To niebo!

Mówiąc to, uliczna tancerka była piękna tą pięknością, która szczególnie uderzyła Gringoire’a i wydała mu się doskonale zharmonizowana ze wschodnią niemal egzaltacją jej słów. Jej różane i czyste wargi rozchyliły się w lekkim uśmiechu; jej pogodne i jasne czoło wydawało się chwilami zamglone myślami jak oddechem zwierciadło; a spod jej czarnych długich spuszczonej rzęs bił jakiś blask niewysłowiony, nadając jej rysom tę idealną słodycz, którą odnalazł później Rafael w punkcie mistycznego zespolenia się dziewiczości, macierzyństwa i boskości.

Gringoire nie dał za wygraną:

– Jakimże trzeba być, aby się tobie podobać?

– Trzeba być mężczyzną – odrzekła.

– A ja – rzekł – kimże ja jestem!

– Mężczyzna ma hełm na głowie, szpadę w dłoni i złote ostrogi u obcasów.

– Pięknie! – powiedział Gringoire. – A więc bez konia nie ma mężczyzny. Czy kochasz kogoś?

– Miłością?

– Miłością.

Chwilę milczała, zamyślona, potem odezwała się jakimś szczególnym głosem:

– Będę to wiedziała już niedługo.

– A dlaczegoż by nie dzisiaj wieczór? – odparł na to czule poeta. – A dlaczegoż by nie mnie?

Spojrzała na niego z powagą:

– Mogę pokochać tylko takiego mężczyznę, który potrafi mnie obronić.

Gringoire zaczerwienił się i nie pytał więcej. Zrozumiał, że dziewczyna miała na myśli to, jak niewiele jej dopomógł w owej straszliwej przygodzie, która ją spotkała przed dwiema godzinami. Wspomnienie, zatarte przez tyle innych przeżyć tego wieczora, nagle powróciło. Uderzył się w czoło.

– Właśnie, panno Esmeraldo, od tego powinienem był zacząć. Wybacz mi moje szalone roztargnienie. Jak ci się udało wyrwać ze szponów Quasimodo?

Cyganka zadrżała słysząc to pytanie.

– Ach, potworny garbus! – zawołała kryjąc twarz w dłoniach; trzęsła się cała jakby z zimna.

– Rzeczywiście potworny – powiedział Gringoire myśląc ciągle o tym samym. – Ale jak ci się udało umknąć?

Esmeralda uśmiechnęła się, westchnęła i nie odrzekła ani słowa.

– A czy wiesz, dlaczego za tobą szedł? – zapytał znów Gringoire usiłując okólną drogą uzyskać odpowiedź na swoje pytanie.

– Nie wiem – odparła dziewczyna; po czym dodała żywo: – Ale ty też przecie szedłeś za mną. Dlaczego?

– Na honor! – odpowiedział Gringoire – ja sam tego nie wiem.

Umilkli. Gringoire nacinał nożem deskę stołu. Dziewczyna uśmiechała się, jak gdyby przyglądała się czemuś poprzez ścianę. I nagle zanuciła cichutko:

Quando las pintadas aves
Mudas estany, y la tierra...⁴

Urwała i zaczęła głaskać Dżali.

– Ładne zwierzątko – rzekł Gringoire.

– To moja siostra – odpowiedziała.

– Dlaczego nazywają cię Esmeralda? – zapytał poeta.

– Nie wiem.

– A może jednak wiesz?

Wyjęła zza stanika niewielki podłużny woreczek, który nosiła na szyi, na łańcuszku z ziarn azedarachu. Woreczek silnie pachniał kamforą. Zrobiony był z zielonego jedwabiu z naszytym pośrodku dużym zielonym szkiełkiem imitującym szmaragd.

– Może dlatego – odpowiedziała.

Gringoire chciał wziąć woreczek do ręki. Dziewczyna odsunęła się.

– Nie dotykaj, to amulet. Albo ty zaszkodziłbyś urokowi, albo urok tobie.

Ciekawość poety rosła coraz bardziej.

– Kto ci to dał?

Położyła palec na ustach i schowała amulet za stanik. Gringoire próbował zadawać inne pytania, lecz Cyganka odpowiadała krótko i niechętnie;

– Co znaczy słowo: „Esmeralda”?

– Nie wiem.

– A w jakim to jest języku?

– To chyba po cygańsku.

– Domyślałem się – rzekł Gringoire. – Nie urodziłaś się we Francji?

– Nie wiem.

– Znasz swoich rodziców?

Dziewczyna zaśpiewała mu strofkę starej piosenki:

Z ojca ja sokoła,
Z sokolicy matki,
By wodę przepłynąć,
Nie trzeba mi łódki.
Z ojca ja sokoła,
Z sokolicy matki.

– Dobrze – rzekł Gringoire. – Ale ile miałaś lat, kiedy przyjechałaś do Francji?

– Byłam jeszcze malutka.

– A do Paryża?

– W zeszłym roku. Kiedy wchodziliśmy przez Papieską bramę, zobaczyłam lecącą piegżę; było to w końcu sierpnia; powiedziałam wtedy: zima będzie ciężka.

– I była – rzekł Gringoire, uszczęśliwiony takim początkiem rozmowy. Spędziłem ją na chuchaniu w ręce. Masz więc dar przepowiadania?

Odpowiedziała mu znów lakonicznie:

⁴ Kiedy perliczki zmieniają pióra, a ziemia... (hiszp.)

- Nie.
- Człowiek, którego nazywacie księciem cygańskim, jest wodzem waszego szczepu, prawda?
- Tak.
- To on dawał nam ślub – zauważył nieśmiało poeta.
- Skrzywiła się po swojemu:
- Nie znam nawet twojego imienia.
- Imię moje? Jeśli chcesz, oto ono: Piotr Gringoire.
- Znam piękniejsze – odparła.

– Niedobra! – rzekł poeta. – Trudno, nie gniewam się na ciebie. Kto wie? Może mnie pokochasz, kiedy mnie poznasz lepiej, a ponieważ z tak wielką ufnością opowiedziałaś mi swoją historię, muszę też opowiedzieć ci coś niecoś o sobie. Dowiedz się zatem, że się nazywam Piotr Gringoire i jestem synem dzierzawcy notariatu w Gonesse. Ojca mego powiesili Burgundczycy, a matkę zarżnęli Pikardyjczycy podczas oblężenia Paryża przed dwudziestu laty. W szóstym roku życia zostałem więc sierotą za jedyną podeszwę mając bruk Paryża. Sam nie wiem, w jaki sposób przeżyłem od lat sześciu do szesnastu. Tu sprzedawczyni owoców dała mi śliwkę, tam znów piekarz rzucił skórkę chleba, wieczorami pozwalałem się chwycić straży miejskiej, zamykano mnie do więzienia, tam miałem przynajmniej wiązkę słomy. Wszystko to nie przeszkodziło mi jednak rosnąć i chudnąć, jak sama widzisz. Zimą grzałem się na słońcu w przedsionku pałacu Sens i uważałem za największe dziwactwo rozpalanie ognisk świętojańskich akurat podczas kanikuły. Kiedy ukończyłem lat szesnaście, postanowiłem obrać sobie zawód. Próbowałem wszystkiego po kolei. Zaciągnąłem się do wojska, ale nie byłem dość odważny. Wstąpiłem do klasztoru, ale nie byłem dość pobożny, no i pić nie umiem. Z rozpaczony zostałem terminatorem u cieśli, ale nie byłem dość silny. Już więcej czułem powołania na bakalarza; prawda, że nie umiałem czytać, ale to przecie nie najważniejsze. Zauważyłem po jakimś czasie, że do wszystkiego czegoś mi brakuje; i widząc, że na nic się nie nadam, z własnej i nieprzymuszonej woli zostałem poetą i rymopisem. Jest to zawód, który zawsze może sobie obrać włóczęga, a leniej być poetą niż kraść, tak mi doradziło kilku moich przyjaciół, młodych złodziejasków. Szczęśliwym trafem pewnego pięknego poranka spotkałem ojca Klaudiusza Frollo, wielbnego archidiakona katedry Marii Panny. Zainteresował się mną, jemu to właśnie zawdzięczam, że jestem dziś człowiekiem prawdziwie wykształconym, znającym łacinę od *De officiis* Cyserona aż po *Mortuologium* ojców celestynów, człowiekiem mającym jakie takie pojęcie o scholastyce i o poetyce, i o rymotwórstwie, i nawet o hermetyce, tej nauce nauk. To ja jestem autorem misterium, które grano dzisiaj z wielkim powodzeniem wobec tłumnie zebranej gawiedzi w wielkiej sali Pałacu Sprawiedliwości. Napisałem również księgę mającą blisko sześćset stronic przy ogromnej hakownicy Jana Maugue, która, jak wiesz, rozerwała się na moście Charenton, kiedy chciano ją wypróbować, i zabiła dwudziestu czterech gapiów. Widzisz więc, że nie jestem złą partią. Znam też wiele nader uciesznych sztuczek i wyuczę ich twoją kózkę; nauczę ją na przykład naśladować biskupa Paryża, tego przekłętą faryzeusza, którego młyny ochlapują przechodniów wzdłuż całego mostu Młynarzy. Prócz tego moje misterium przyniesie mi bardzo dużo pieniędzy, jeżeli mi za nie zapłacą. A wreszcie jestem na twoje rozkazy – ja i mój rozum, i moja wiedza, i moja poezja, gotów żyć z tobą, panienko, jak ci się spodoba: w czystości czy wśród uciech, jako mąż i żona, jeżeli tak zechcesz; jako brat i siostra, jeżeli tak wolisz.

Gringoire umilkł czekając na skutek swojej przemowy. Dziewczyna uporczywie patrzyła w podłogę.

– Febus – wymówiła półgłosem. Potem zwracając się do poety zapytała: – Co to znaczy: „Febus”?

Choć Gringoire nie bardzo pojmował, jaki związek z jego przemową może mieć to pytanie,

chętnie skorzystał z okazji, by zabłysnąć erudycją. Odparł, prostując się godnie:

– To słowo łacińskie. Znaczy ono: „słońce”.

– Słońce! – powtórzyła dziewczyna.

– Jest to imię bardzo pięknego łuczника, który był bogiem – dodał Gringoire.

– Bogiem! – powtórzyła Cyganka. W głosie jej brzmiało rozmarzenie i namiętność.

W tej właśnie chwili jedna z bransoletek zsunęła się jej z ręki i upadła na podłogę. Gringoire schylił się po nią, a kiedy podniósł głowę, nie było już ani dziewczyny, ani kózki. Usłyszał zgrzyt zasuwki. To zamykano z zewnątrz niewielkie drzwiczki prowadzące zapewne do sąsiedniej izdebki.

„Czy zostawiła mi przynajmniej jakieś legowisko?” – powiedział sobie nasz filozof.

Obszedł izdebkę dookoła. Ze sprzętów na łożę nadawała się tylko dość duża drewniana skrzynia; chociaż i ta miała rzeźbione wieko, co sprawiło, że Gringoire wyciągając się na skrzyni, doznał takich uczuć, jakich musiał doświadczać Mikromegas układając się na Alpach.

– Trudno! – rzekł do siebie, usiłując ułożyć się jak najwygodniej. – Trzeba pogodzić się z losem. Dziwna to noc poślubna! A szkoda, bo w tym małżeństwie, w tym rozbitym dzbanie było coś naiwnego, coś przedpotopowego, coś, co mi się podobało.

Księga trzecia

I

KATEDRA MARIII PANNY

Kościół Marii Panny w Paryżu jest jeszcze niewątpliwie i dzisiaj budowlą majestatyczną i wspaniałą. Lecz mimo że katedra starzejąc się pozostała piękna, trudno nie westchnąć, trudno się nie oburzyć na widok niezliczonych uszkodzeń i niezliczonych ran, które czas i człowiek zadawali tej czcigodnej budowli lekce sobie ważąc wspomnienie Karola Wielkiego, który położył jej pierwszy kamień, i Filipa Augusta, który położył jej kamień ostatni.

Na obliczu tej sędziwej królowej naszych katedr obok zmarszczki znajdziesz zawsze bliznę. *Tempus edax, homo edacior*, które to słowa chętnie tak bym oto przetłumaczył: Czas jest ślepy, a człowiek głupi.

Gdybyśmy mogli razem z czytelnikiem uważnie obejrzeć po kolei przeróżne ślady zniszczenia, wyciśnięte na starym kościele, zobaczylibyśmy, o ile mniejszy jest w nich udział czasu, o ile większy i dotkliwszy udział ludzi, nade wszystko zaś ludzi sztuki. Tak, tak ich nazywać trzeba, „ludźmi sztuki”, skoro przez dwa ostatnie stulecia różnego rodzaju osobnicy zaczęli sobie rościć prawo do tytułu architekta.

A więc – ograniczając się tutaj do kilku główniejszych przykładów – niewiele jest na pewno piękniejszych kart architektury niż ta fasada, gdzie kolejno a równocześnie trzy portale wykrojone głębokimi ostrołukowymi archiwoltami, fryz dwudziestu ośmiu nisz królewskich, cały haftowany i dziergany w kamieniu, ogromna rozeta środkowa w asyście dwu bocznych okien, niby kapłan między diakonem i subdiakonem, wysoka i lekka galeria trójlistnych arkad dźwigających ciężkie belkowanie na swych smukłych kolumnkach i wreszcie dwie masywne i ciemne wieże z okapami z łupku – harmonijne części przepysznej całości? ułożone w pięć gigantycznych kondygnacji – wznoszą się przed ludzkim okiem, tak rozmaite a tak uporządkowane, w bogactwie swych niezliczonych detali, rzeźbionych, rżniętych, kutyh, związanych silnie i pewnie ze spokojnym – ogromem całości; ta wielka symfonia kamienna, że tak powiem, to kolosalne dzieło człowieka i narodu, jednolite a złożone zarazem, jak *Iliada* czy *romanceros*, których jest siostrą; ten cudowny wytwór współdziałania wszystkich sił epoki, gdzie z każdego kamienia tysiącem form wytryska fantazja rzemieślnika podporządkowana geniuszowi artysty; jednym słowem – ten swoisty twór człowieka, potężny i płodny niczym twór boski, któremu jego podwójną właściwość: różnaitość i wiecznotrwałość, wykradła chyba i przywłaszczyła sobie ta fasada.

A to, co powiedzieliśmy o fasadzie, trzeba powiedzieć o całym kościele; to, co powiedzieliśmy o katedrze paryskiej – trzeba powiedzieć o wszystkich średniowiecznych kościołach chrześcijaństwa. W tej samorodnej i logicznej sztuce wszystko wiąże się w całość, wszystko z siebie nawzajem wynika. Zmierz duży palec u stopy, a wymierzysz olbrzymia.

Powróćmy do tej fasady kościoła Marii Panny, jaka zjawia się przed nami i dzisiaj jeszcze,

kiedy przychodzimy podziwiać w pobożnym skupieniu poważną i potężną katedrę, która przeraża, jak powiadają jej kronikarze: *quae mole sua terrorem incutit spectantibus*.

Fasadzie tej brakuje dzisiaj trzech ważnych rzeczy: przede wszystkim – jedenastostopniowych schodów, które niegdyś wynosiły ją ponad poziom gruntu; następnie dolnego rzędu posągów w niszach trzech portali i górnego rzędu dwudziestu ośmiu najdawniejszych królów Francji – od Childeberta do Filipa Augusta – których figury, dzierżące w dłoni „jabłko cesarskie”, zdobyły galerię pierwszego piętra.

Schody znikły wchłonięte przez czas, który nieubłaganie i wolno postępując naprzód coraz to wyżej podnosił poziom gruntu w Cité. Lecz czas, co sprawił, że podnoszący się nieustannie przypływ bruku Paryża pożarł stopień po stopniu owe jednaście schodów, które przyczyniały się do majestatycznej wysokości budynku, dał kościołowi więcej być może, niż mu wziął, gdyż to czas właśnie powłókł fasadę tą ciemną barwą wieków, która starość gmachów czyni okresem ich piękności.

Lecz kto stracił dwa rzędy posągów? Kto opróżnił nisze? Kto wyciął w samym środku głównego portalu ten ostrołuk nowy i obcy? Kto ośmielił się wstawić mdłe i ciężkie drzwi drewniane, rzeźbione w stylu Ludwika XV, obok arabesków Biscornette'a? Ludzie; architekci, artyści naszych dni.

A jeśli wejdziemy do wnętrza – kto obalił kolosalną figurę świętego Krzysztofa, przysłowiową wśród rzeźb figuralnych z tego samego tytułu co wielka sala Pałacu Sprawiedliwości wśród sal, a wśród dzwonnicy dzwonnica w Strasburgu? A miriady posągów, które zaludniały wszystkie interkolumnia nawy i prezbiterium, klęczących, pieszych i konnych, mężczyzn, niewiast, dzieci, królów, biskupów, rycerzy, z kamienia, z marmuru, ze złota, ze srebra, z brązu, nawet z wosku – któż je tak brutalnie wymiół? Bo nie był to czas.

A kto na miejscu starego gotyckiego ołtarza, szczerlnie a świetnie zastawionego relikwiarzami, umieścił ów ciężki sarkofag marmurowy z obłokami i głowami aniołów, który wydaje się jakimś zdekompletowanym okazem z Val-de-Grâce czy Kaplicy Inwalidów? Kto w głupocie swej wmurował ten niezdarzony anachronizm kamienny w karłowińską podłogę Nercandusa? Czy przypadkiem nie Ludwik XIV wypełniający ślubowanie Ludwika XIII?

A któż to wstawił zimne, białe szyby na miejsce tych jaskrawych witraży, które prowadziły zachwycone oczy naszych ojców od rozety nad wielkim portalem do ostrołukowych okien absydy? A co powiedziałyby najlichszy kleryk z szesnastego wieku, widząc śliczne, żółte tynkowanie, którym usmarowali swoją katedrę nasi arcybiskupi-wandale? Przypomniałyby sobie, że jest to barwa, którą kat zamalowywał budynki zhańbione zbrodnią; przypomniałyby sobie Pałac Petit-Bourbon cały pomazany na żółto za zdradę konetabla, „farbą żółtą, i to tak wysokiej próby – powiada Sauval – tak przednią, że przez sto lat z górą nie utraciła swojej barwy”. Pomyślałyby, że święte miejsce zostało zbezczeszczone, i uciekłyby.

A jeżeli wejdziemy na dach katedry, nie zatrzymując się nawet po drodze obok tysiąca najróżnorodniejszych barbarzyństw – co zrobiono z prześliczną niewielką dzwonnica, która stała na przecięciu nawy i transeptu i – równie krucha i równie śmiała jak i jej sąsiadka (też zniszczona) dzwonnica z Kaplicy Królewskiej – uderzała w niebo wyżej niż wieże swoim wysmukłym, strzelistym, dźwięczącym i ażurowym hełmem? Pełen dobrego smaku architekt (w roku 1787) zdjął hełm i osądził, że wystarczy zamaskować ranę szerokim plastrem ołowianym, podobnym do pokrywy garnka. W ten to właśnie sposób poczynano sobie z cudowną sztuką średniowiecza we wszystkich prawie krajach, a zwłaszcza we Francji. Na ruinach jej odróżnić można uszkodzenia trzech rodzajów, które sięgają trzech różnych głębokości. Przede wszystkim czas tu i ówdzie wyszczerbił bezlitośnie, a wszędzie rdzą pokrył jej powierzchnię; po wtóre rewolucje polityczne i religijne, z natury ślepe i gniewne, runęły na nią całą potęgą zawieruchy i

poszarpały jej bogaty strój z rzeźb, potłukły witraże w rozetach, połamały naszyjniki z arabesków i figurynek, roztrzaskały jej posągi, te – za mitrę, tamte – za koronę; po trzecie wreszcie mody, coraz bardziej dziwaczne i głupie, poczynając od anarchistycznych, a świetnych szaleństw „renesansu”, następowały po sobie, nieubłagane wiodąc architekturę do upadku. Mody zrobiły więcej złego niż rewolucje. Krajały one na żywo, pastwiły się nad samym kośćcem sztuki, cięły, wrzynały się, niszczyły, zabijały budowlę, zarówno jej kształt, jak symbol, zarówno jej logikę, jak piękno. A potem zaczęły odbudowywać; ambicja, której nie miały przynajmniej ani czas, ani rewolucje. W imię „dobrego smaku” bezwstydnie ustawiały na ranach gotyku swoje nędzne, jednodniowe fidrygałki, swoje marmurowe wstążki i metalowe pompony, ów prawdziwy trąd jajeczek, ślimacznic, obramień, draperii, girland, frędzli, płomyków z kamienia, obłoczków z brązu, tłustych amorków, pyzaty cherubinów – który zaczyna zżerać oblicze sztuki w pałacowej kaplicy Katarzyny Medycejskiej, a w dwa stulecia później uśmierca ją udręczoną i wijącą się w kurczach w buduarze pani du Barry.

Tak więc, by streścić wszystkie wymienione punkty, trzy rodzaje zniszczeń zniekształcają dzisiaj architekturę gotycką. Zmarszczki i brodawki na naskórku to dzieło czasu; czynne zniewagi, gwałty, kontuzje, złamania – to dzieło rewolucyj od Lutra aż po Mirabeau. Okaleczenia, amputacje, wykręcania członków, „restauracje” to praca grecka i rzymska, a barbarzyńska profesorów ze szkoły Witruwiusza i Vignoli. Akademie zabiły wspaniałą sztukę, które stworzyli Wandale. Do stuleci, do rewolucji, które burzą przynajmniej bezstronnie i z rozmachem, przyłączyła się chmara architektów wykształconych, dyplomowanych i zaprzysiężonych, którzy niszcząc z rozmysłem, nieomylnie kierując się złym smakiem, wymieniają gotyckie koronki na liście cykorii Ludwika XV ku tym większej chwale Partenonu. To kopniaki, których osioł nie oszczędzi umierającemu lwu. To stary dąb, którego wierzchołek usycha i który jeszcze na domiar złego jest kluty, obgryzany, cięty przez liszki.

Jakże odległe są czasy, kiedy to Robert Cenalis, porównując katedrę paryską do słynnej świątyni Diany z Efezu, „tak rozslawionej przez starożytnych pogan”, która unieśmiertelniła Herostratesa, uważał katedrę galijską za „doskonalszą w długości, szerokości, wysokości i strukturze”

Katedra Marii Panny w Paryżu nie jest zresztą zgoła tym, co by nazwać można było budowlą jednolitą, określoną, skończoną. Nie jest to już kościół romański, nie jest to jeszcze kościół gotycki. Budowla ta nie stanowi typu. Katedra Marii Panny w Paryżu nie odznacza się – jak na przykład opactwo w Tournus – poważnym, masywnym korpusem, okrągłym i szerokim sklepieniem, chłodną nagością, majestatyczną prostotą gmachów, które rodzą się z łuku półpełnego. Nie jest też ona – jak katedra w Bourges – dziełem świetnym, lekkim, wielokształtnym, przeładowanym, najeżonym szczegółikami, wykwittem ostrołuku. Nie sposób jej zaliczyć do tej starożytnej rodziny ciemnych tajemniczych, niskich, jak gdyby przygniecionych łukiem półpełnym kościołów, egipskich niemal, z wyjątkiem stropu, hieroglificznych i symbolicznych, pełnych kapłańskiej dostojności, o ornamentacji, w której więcej jest geometrycznych wzorów niż kwiatów, więcej kwiatów niż postaci zwierzęcych, więcej postaci zwierzęcych niż postaci ludzkich; kościołów będących dziełem raczej biskupa niż architekta, produktem okresu pierwszej przemiany sztuki, na wskroś jeszcze przesiąkniętej teokratyczną i wojskową dyscypliną, która zaczyna się w Bizancjum, a kończy za Wilhelma Zdobywcy. Nie sposób także umieścić naszej katedry w tej drugiej rodzinie kościołów, wysokich, lekkich, bogatych w witraże i rzeźby, ostrych w kształcie, śmiałych w postawie, gminnych i mieszczańskich jako symbole polityczne, swobodnych, kapryśnych, niepodległych jako dzieła sztuki. Jest to druga przemiana architektury – już nie hieroglificzna, niezmienna, kapłańska, lecz artystyczna, postępową, ludową, która się rozpoczyna po powrocie z wypraw krzyżowych, a

kończy za panowania Ludwika XI. Katedra Marii Panny w Paryżu nie jest czystej krwi romańskiej, jak pierwsze, ani czystej krwi arabskiej – jak drugie.

Jest to budowla okresu przejściowego. Architekt saksoński kończył wznoszenie pierwszych filarów nawy, kiedy przybyły z wyprawy krzyżowej ostrołuk stanął zwycięsko na szerokich, romańskich kapitelach, które miały dźwigać łuki półpełne. Ostrołuk, panujący wszechwładnie od tej pory, zbudował resztę kościoła. Lecz niedoświadczony jeszcze i nieśmiały na początku swego panowania rozszerza się, spłaszcza, powściąga, nie śmie wznieść się, nie śmie się uwymuklić w strzeliste wieże, jak to uczyni później w tylu cudownych katedrach. Rzecz by można, że go krępuje sąsiedztwo ciężkich filarów romańskich

Takie budowle z okresu przechodzenia romańszczyzny w gotyk nie są zresztą zgoła mniej cenne, mniej warte poznania niż typy czyste. Wyrażają pewien kształt sztuki, który zaginęłby bez nich. Wyrażają moment zaszczipiania się ostrołuku na łuku półpełnym.

Katedra Marii Panny w Paryżu jest szczególnie ciekawym okazem tej odmiany. Każdy bok, każdy kamień tej czcigodnej budowli jest stronicą nie tylko historii kraju, lecz także historii nauki i sztuki. A więc na przykład – że wymienimy tutaj tylko parę najważniejszych detali – niewielka Czerwona Furta dosięga nieomal szczytów gotyckiego wykwintu piętnastowiecznego, a filary nawy masowością swą i powagą cofają się aż w karłowińskie opactwo Saint-Germain-des-Prés. Jak gdyby sześć stuleci dzieliło te drzwi i te filary. I nawet hermetrycy w symbolach tympanonu wielkiego portalu znajdują zadowalający skrót swojej nauki, której kościół Świętego Jakuba koło Rzeźni był tak doskonałym zaszyfrowaniem. A więc opactwo romańskie, kościół filozoficzny, sztuka gotycka, sztuka saksońska, ciężki okrągły filar, który przypomina Grzegorza VII, i symbolizm hermyków, który z Mikołaja Flamela uczynił poprzednika Lutra, jedynowładztwo papieża, schizma, Saint-Germain-des-Prés, Święty Jakub koło Rzeźni – wszystko to stopiło się, połączyło i zespoliło w katedrze paryskiej. Ten kościół główny i macierzysty jest wśród starych kościołów Paryża czymś w rodzaju chimery – ma głowę jednego, kończyny drugiego, grzbiet trzeciego; coś z każdego z nich.

Powtórzmy raz jeszcze: takie budowle-hybrydy są bardzo ciekawe i dla artysty, i dla antykwariusza, i dla historyka. Mówią nam, jak bardzo pierwotnym zjawiskiem jest architektura, dowodząc (podobnie jak szczątki murów cyklopowych, piramidy egipskie, gigantyczne pagody hinduskie), że najwspanialsze osiągnięcia tej sztuki są bardziej dziełami społeczeństw niż jednostek; że rodzą się one raczej z pracy ludów, niż wytryskają z geniuszu jednego człowieka; że jest to wkład całego narodu, spuścizna stuleci; pozostałość po znikających kolejno pokoleniach społeczeństwa ludzkiego, jednym słowem, są to jak gdyby nawarstwione formacje humanistyczne. Każda fala czasu nanosi swój namuł, każde plemię układa swoją warstwę gmachu, każda jednostka przynosi swój kamień. Tak postępują bobry, tak postępują pszczoły, tak postępują ludzie. Wielki symbol architektury, wieża Babel, ma kształt ula.

Wielkie budowle, jak wielkie góry, są dziełem wieków. Często sztuka przeobraża się, kiedy nie są jeszcze ukończone; „*pendent opera interrupta*”, spokojnie wzrastają dalej, zgodnie z regułami przeobrażonej sztuki. Nowa sztuka przejmując budowlę tak, jak ją zastała, wrasta w nią, przyswaja ją sobie, rozwija podług swego widzimisię i kończy, jeśli zdoła. Dokonuje się to bez wstrząsu, bez wysiłku, bez protestu, zgodnie z naturalnym i spokojnym prawem. Pojawia się nowy szczep, krążą soki, krzewi się roślinność. Tak, zaiste, w tych kolejnych spawaniach się kilku odmian sztuki na różnych wysokościach tego samego gmachu jest dość materiału na wiele grubych ksiąg, a często na historię powszechną ludzkości. Człowiek, artysta, jednostka zaciera się, ginie w tych ogromnych masach bez imienia autora. Czas jest ich architektem, lud jest im murarzem.

Europejska architektura chrześcijańska – do niej tylko ograniczymy się tutaj – ta młodsza

siostra wielkich budownictw Wschodu, stanowi ogromną formację złożoną z trzech oddzielnych, nakładających się na siebie warstw: warstwy romańskiej⁵, warstwy gotyckiej i warstwy renesansowej, którą chętnie nazwalibyśmy grecko-rzymską. Warstwą romańską, najstarszą i najgłębiej sięgającą, włada łuk półpełny, który pojawia się znowu, tym razem wsparty na greckiej kolumnie, w nowożytnym, najbliższym nam pokładzie renesansu. Ostrołuk leży pomiędzy nimi dwoma. Budowle należące wyłącznie do jednej z tych trzech warstw są łatwe do rozpoznania, jednolite, pełne. To opactwo w Jumièges, to katedra w Reims, to kościół Świętego Krzyża w Orleanie. Lecz te trzy warstwy zlewają się, zachodzą na siebie na brzegach, jak barwy w widmie słonecznym. Stąd gmachy niejednolite, budowle odcieni i przejść. Niekiedy budowla taka ma nogi romańskie, korpus – gotycki, a grecko-rzymską głowę. Gdyż budowano ją przez sześćset lat. Taka odmiana jest rzadka. Przykładem jej jest donżon w Étampes. Częstsze są gmachy o dwóch nawarstwieniach. Taką właśnie jest paryska katedra Marii Panny, budowla ostrołukowa, swymi pierwszymi filarami tkwiąca jeszcze w warstwie romańskiej, w której mieszczą się całkowicie portal Świętego Dionizego i nawa Saint-Germain-des-Prés. Takim jest uroczy kapitularz półgotycki w Bocheryville, w którym warstwa romańska dochodzi aż do połowy wysokości. Taką jest katedra w Rouen, która byłaby całkowicie gotycka, gdyby szczytem helmu swej wieży środkowej nie sięgała do strefy renesansu.

Zresztą wszystkie te odcienie, wszystkie te różnice dotyczą tylko powierzchni budowli. Sztuka zmieniła skórę. Lecz plan i zasada chrześcijańskiego kościoła nie zostały naruszone z tej przyczyny. Szkielet wnętrza jest zawsze ten sam i zawsze ten sam jest logiczny układ części. Jakakolwiek by była rzeźbiona i wycinana powłoka katedry, odnajdziemy zawsze pod nią bodaj w stadium zaczątku, bodaj w stadium zarodka bazylikę rzymską. Podług odwiecznie tego samego prawa rozkłada się ona na ziemi. Są to niezmiennie dwie nawy przecinające się na krzyż, którego część najwyższa, zaokrąglona w absydę, tworzy prezbiterium, są to zawsze nawy boczne – dla procesji odbywających się wewnątrz kościoła i dla kaplic, niby dwa boczne trakty, na które nawa główna otwiera się arkadami. Oto założenie, a ilość kaplic, portali, kolumn i wież zmienia się bez końca, zależnie od kaprysów epoki, narodu i sztuki. Skoro zapewnione i zabezpieczone zostały warunki dla wypełniania religijnego obrzędu – architektura może robić wszystko, co się jej podoba. Układa sobie i zestawia posągi, witraże, rozety, arabeski, ząbkowania, kapitele płaskorzeźby, wszystko, co tylko jest zdolna wymyślić, według takiego logarytmu, jaki jej najbardziej odpowiada. Stąd to się bierze cudowna różnorodność zewnętrzna tych gmachów, u których podstaw leży tak wielki ład i jednolitość. Pień drzewa jest niezmienny, liście są kapryśnie różnorodne.

⁵ Przepis autora: Która się zwie również, zależnie (od miejsca, klimatu i ludności, saksońską i bizantyjską, i Są to cztery style architektury, siostrzane, równoległe; każdy z nich ma swe cechy odmienne, lecz wywodzą się z tej samej zasady: z łuku półpełnego.

Facies non omnibus una,
Non diversa tamen qualem, etc.
(Nie mają wszystkie jednego oblicza,
Są jednak podobne itd.)

II

PARYŻ Z LOTU PTAKA

Przed chwilą spróbowaliśmy odtworzyć dla czytelnika cudowną katedrę Marii Panny w Paryżu. Wymieniliśmy pobieżnie piękności, które posiadała w piętnastym wieku, a których jej dzisiaj brak, pominęliśmy jednak najważniejszą: widok Paryża, jaki otwierał się wówczas z wysokości jej wież.

Kiedy bowiem po długim posuwaniu się po omacku w mrocznej spirali, przewierconej prostopadle w grubym murze wież, wydostawał się wreszcie człowiek nagle na jeden z dwu płaskich, zalanych światłem i powietrzem tarasów, piękny widok rozpościerał się ze wszystkich stron równocześnie przed jego wzrokiem; widok *sui generis*, który łatwo mogą sobie wyobrazić ci spośród naszych czytelników, którzy zaznali radości oglądania miasta całkowicie i jednorodnie gotyckiego; miasta, jakich jeszcze kilka się zachowało: Norymberga w Niemczech, Vittoria w Hiszpanii lub nawet mniejsze okazy, byleby dobrze zakonserwowane – Vitré w Bretanii, Nordhausen w Prusach.

Paryż sprzed lat trzystu pięćdziesięciu, Paryż piętnastego wieku był już miastem olbrzymim. My, paryżanie, mylnie na ogół oceniamy rozmiary terenów, o jakie powiększyliśmy nasze miasto. Od czasów Ludwika XI Paryż urósł o jedną trzecią zaledwie. I zaiste o wiele więcej stracił na piękności, niż zyskał na wielkości.

Paryż narodził się, jak wiadomo, na starej wyspie Cité, która ma kształt kołyski. Wybrzeże tej wyspy było pierwszym ogrodzeniem miasta. Sekwana – jego pierwszą fosą. Przez kilka stuleci Paryż był wyspą z dwoma mostami, jednym na północy, drugim na południu, i dwoma przyczółkami mostowymi – bramami i warowniami zarazem – Wielkim Châtelet na prawym brzegu i Małym Châtelet na lewym brzegu. Później, za czasów pierwszej dynastii królewskiej, Paryż, zbyt ścieśniony na swojej wyspie, nie mając już gdzie się obrócić, przekroczył rzekę. Wówczas to pierwszy pierścień murów i baszt zaczyna wgryzać się w pola i ogrody po obu stronach Sekwany, zamykając w swym obrębie i Wielkie Châtelet i Małe Châtelet. Szczątki tych najstarszych murów przetrwały aż do ubiegłego stulecia, dziś pozostało po nich już tylko wspomnienie i, tu i ówdzie, resztką tradycji w nazwie – brama Baudets lub Baudoyer, *Porta Bagauda*. Powoli jednak fala domów, pchana od serca miasta na zewnątrz, przelewa się przez tę zaporę, niszczy ją i znosi. Filip August stawia nową tamę. Zamyka on Paryż w kolisty łańcuch wielkich, wysokich, potężnych baszt. Przez lat przeszło sto domy tłoczą się w tym zamknięciu, wzbierają i podnoszą w górę niby woda w zbiorniku. Stają się coraz głębsze, kładą piętro na piętrze, wspinają się jeden na drugi, wytryskują ku górze jak wszelka sprężona, życiodajna siła, każdy stara się wysunąć głowę ponad sąsiada, by zaczerpnąć odrobinę powietrza. Ulice stają się coraz głębsze i węższe; wszelkie puste miejsca zapełnia się. Aż wreszcie domy przeskakują przez mur Filipa Augusta i rozpraszają się po równinie, radośnie, bezładnie, byle jak, niby zbiegowie, co wyrwali się na swobodę. Rozsiadają się tutaj, wycinają sobie ogrody z pól, urządzają się wygodnie. W roku 1367 miasto tak szeroko rozprzestrzeniło się w przedmieścia, że trzeba mu już nowego zamknięcia, zwłaszcza na prawym brzegu. Zbudował je Karol V. Lecz miasto takie jak Paryż wzbiera nieustannie. I tylko takie miasta mogą stać się stolicami. Są to leje, do których prowadzą wszystkie – geograficzne, polityczne, moralne i umysłowe – zbocza kraju, wszystkie naturalne stoki i skłonności narodu; studnie cywilizacji, a zarazem, rzecz by można, jej rynsztoki; handel, przemysł, inteligencja, ludność, wszystko, co jest siłą życiodajną, wszystko, co jest

zyciem, wszystko, co jest duszą narodu, wlewa się tam nieustannie, kropla po kropli, wiek po wieku, i tam się gromadzi. Mury Karola V podzieliły losy murów Filipa Augusta. U schyłku piętnastego stulecia miasto przeskoczyło je, wyminęło przedmieście, wybiegło poza nie. Ma się wrażenie, że w szesnastym wieku mury te na oczach cofają się coraz bardziej w głąb miasta, tak bardzo rosną już poza nimi nowe dzielnice.. Tak więc, do końca piętnastego wieku, w którym to okresie na chwilę zatrzymamy się, Paryż zużył już trzy koncentryczne koła murów, których załączek tworzyły niejako za czasów Juliana Apostaty Wielkie Châtelet i Małe Châtelet. Na potężnym mieście pękały kolejno cztery pasy ochronne, niby zeszlóroczne ubranie na dziecku, które rośnie. Za panowania Ludwika XI z morza domów wystawały tu i ówdzie rozwalone baszty starych obwarowań niby wierzchołki wzgórz podczas powodzi, niby archipelagi starego Paryża zalanego przez nowy Paryż.

Od tamtej pory Paryż przeobraził się znowu, na nieszczęście naszych oczu; przekroczył jednak jedno już tylko ogrodzenie, dzieło Ludwika XV, nędzny wał z błota i plwocin, godny króla, który go zbudował, godny poety, który go opiewał:

*Le mur mwant Paris rend Paris murmurant.*⁶

W piętnastym stuleciu Paryż podzielony był jeszcze na trzy odrębne miasta; każde z nich miało własne oblicze, własną specjalność, własne obyczaje, zwyczaje, przywileje, własną historię: Cité, Uniwersytet i Nowe Miasto. Cité, położone na wyspie, było miastem najstarszym, najmniejszym, miastem-matką; wciśnięte pomiędzy tamte dwa, wyglądało (proszę nam wybaczyć to porównanie) jak drobna staruszczenka między dwiema dorodnymi dziewczynami. Uniwersytet zagarnął lewy brzeg Sekwany od Tournelle aż po wieżę Nesle; odpowiednikami tych miejsc w dzisiejszym Paryżu są Hale Winne i Mennica. Mury jego wykroiły szerokie półkole z tych pól, gdzie Julian wybudował był swoje termy. Zamknięta w nich też została góra Świętej Genowefy. W tym łuku murów punktem najdalej wysuniętym była brama Papiaska, czyli to mniej więcej miejsce, na którym dziś stoi Panteon. Nowe Miasto, największe z trzech części Paryża, zajęło brzeg Prawy. Wybrzeże jego, w kilku miejscach przerwane, biegło wzdłuż Sekwany od wieży Billy do wieży Bois, czyli od miejsca, w którym dzisiaj znajduje się Spichlerz Obfitości, do miejsca, w którym dzisiaj znajdują się Tuilerie. Te cztery punkty, w których Sekwana przecinała pierścień murów otaczających stolicę – Tournelle i wieża Nesle na lewym brzegu, wieża Billy i wieża Bois na prawym zamykający Paryż, sprawia, Paryż szemrze brzegu – nazywały się „czterema basztami Paryża” w pełnym tych słów znaczeniu. Nowe Miasto dalej jeszcze niż Uniwersytet wybiegło w pole. W murach otaczających Nowe Miasto (murach Karola V) punkt wysunięty najdalej stanowiły bramy Świętego Dionizego i Świętego Marcina, które stoją do dzisiaj.

Jak już powiedzieliśmy, każda z tych trzech wielkich części, na które dzielił się Paryż, była całym miastem, lecz miastem zbyt specyficznym, aby mogło być całkowitym, i żadne z nich nie mogło się obejść bez dwu pozostałych. Stąd też zupełna ich odmienność. Cité obfitowało w kościoły, Nowe Miasto – w pałace, Uniwersytet – w kolegia. Pomijając tutaj mniej ważne osobliwości starego Paryża i kaprysy jurydyk, powiemy ogólnie, wydobywając z chaosu jurysdykcji gminnych większe i bardziej zwarte całości, że wyspa należała do biskupa, prawy brzeg do starszego gildii kupców, a lewy brzeg do rektora. Nad wszystkim stał starosta paryski, urzędnik nie miejski, lecz królewski. Cité miało Marię Pannę, Nowe Miasto – Luwr i Ratusz, Uniwersytet – Sorbonę, Nowe Miasto miało Hale, Cité – Dom Boży, Uniwersytet – Łąkę Żaków. Przepęstwo popełnione przez żaka na lewym brzegu sądzone było na wyspie, w Pałacu Sprawiedliwości, a karano winnego na prawym brzegu, na Montfaucon. Chyba że wkroczył

⁶ Mur, zamykający Paryż, sprawia, że Paryż szemrze.

rektor, czując, iż Uniwersytet jest silny, a król słaby; żakom przysługiwał bowiem przywilej zawiśnięcia na szubienicy u siebie. (Wspomnijmy przy tej okazji, że większość tych przywilejów – a były wśród nich i lepsze od wymienionego – wymuszona została na królach przez rewolty i bunty. Tak dzieje się od niepamiętnych czasów. Król się tego zbywa, co mu lud wyrywa. Pewien stary dokument, mówiąc o wierności, naiwnie sformułował to prawo: – *Civibus fidelitas in reges, quae tamen aliquoties seditionibus interrupta, multa peperit privilegi'a.*)

W piętnastym wieku Sekwana omywała w obrębie murów Paryża pięć wysp: wyspę Louviers, na której wówczas rosły drzewa, a dzisiaj sprzedaje się drzewo; wyspę Krów i wyspę Matki Boskiej, obie nie zamieszkane, jeśli nie liczyć kilku ruder, obie – lenna biskupie (w siedemnastym wieku dwie te wyspy połączono ze sobą i zabudowano, dziś noszą one wspólną nazwę – wyspy Świętego Ludwika), i wreszcie wyspę Cité ze znajdującą się tuż koło jej cypla wysepką Przewoźnika Krów, która znikła później pod nasypem Nowego Mostu. Wyspa Cité miała w owym czasie pięć mostów. Trzy przerzucone na prawy brzeg: dwa kamienne most Matki Boskiej oraz most Wymiany – i jeden drewniany – most Młynarzy; dwa zaś przerzucone na lewy brzeg: kamienny Mały Most i drewniany most Świętego Michała – wszystkie były zabudowane domami. Uniwersytet miał sześć bram wzniesionych jeszcze przez Filipa Augusta; a więc, poczynając od Tournelle, brama Świętego Wiktora, brama Bordelle, brama Papieska, brama Świętego Jakuba, brama Świętego Michała i brama Saint-Germain. Nowe Miasto miało również sześć bram, wzniesionych przez Karola V; były to, poczynając od wieży Billy, brama Świętego Antoniego, brama Tempie, brama Świętego Marcina, brama Świętego Dionizego, brama Montmartre i brama Świętego Honoriusza. Wszystkie te bramy były potężne i piękne, piękno bowiem nie osłabia potęgi. Wody szerokiej, głębokiej fosy, wartkie i wysoko zimą wezbrane, omywały stopy murów dokoła całego Paryża; nawadniała tę fosę Sekwana. Nocą ryglowano bramy, zamykano rzekę na obu krańcach miasta grubymi żelaznymi łańcuchami i Paryż spał w spokoju.

I Cité, i Uniwersytet, i Nowe Miasto – oglądane z lotu ptaka ukazywały oczom powikłaną sieć dziwnie splątanych ulic. Lecz już na pierwszy rzut oka można było poznać, że te trzy części miasta stanowią jedną całość. Już od pierwszego spojrzenia widać było dwie długie, równoległe ulice, bez żadnych przerw, bez powikłań, biegnące prawie po linii prostej, które przecinały wszystkie trzy części miasta od krańca do krańca, z południa na północ, prostopadle do Sekwany, łączyły je ze sobą, mieszały, wlewały, wylewały i przelewały nieustannie ludność jednej w mury drugiej, z trzech miast czyniąc jedno miasto. Pierwsza z tych ulic biegła od bramy Świętego Jakuba do bramy Świętego Marcina; nazywała się ulicą Świętego Jakuba w Uniwersytecie, ulicą Żydowską w Cité i ulicą Świętego Marcina w Nowym Mieście; ulica ta dwukrotnie przeprowadzała się przez rzekę, raz pod nazwą Małego Mostu, drugi raz – mostu Matki Boskiej. Druga, która na lewym brzegu nazywała się ulicą Harfy, na wyspie – ulicą Bednarską, na prawym brzegu – ulicą Świętego Dionizego, mostem Świętego Michała na jednym z ramion Sekwany, a mostem Wymiany na drugim, biegła od bramy Świętego Michała w Uniwersytecie do bramy Świętego Dionizego w Nowym Mieście. Zresztą pomimo tylu różnych nazw były to zawsze te same dwie ulice, dwie ulice-matki, dwie ulice-rodzicielki, dwie arterie Paryża. Czerpały z nich lub też wlewały się w nie wszystkie inne żyły potrójnego miasta.

Niezależnie od dwu tych ulic głównych, średnicowych, przecinających Paryż od krańca do krańca na całej jego szerokości i wspólnych całej stolicy. Nowe Miasto i Uniwersytet miały swoje własne magistrale, biegnące w kierunku ich długości, równoległe do Sekwany, i przecinające po drodze pod kątem prostym dwie ulice-arterie. Tak więc idąc prosto przed siebie w Nowym Mieście można było dojść do bramy Świętego Antoniego do bramy Świętego Honoriusza; w Uniwersytecie zaś – od bramy Świętego Wiktora do bramy Saint-Germain. Dwa

te duże trakty, skrzyżowane z dwoma poprzednimi, tworzyły kanwę, na której spoczywała pełna węzłów, gęsta i zawila dedalowa sieć ulic Paryża. Wpatrują się uważnie w trudny do odcyfrowania rysunek tej sieci, można było odróżnić jeszcze dwa pęki dużych ulic, jeden – w Uniwersytecie, drugi – w Nowym Mieście, niby dwa snopy idące od mostów i rozszerzające się w kierunku bram.

Szczątki tego geometrycznego planu przetrwały jeszcze po dziś dzień.

A jak wyglądało to wszystko z wysokości wież katedry Marii Panny w roku 1482? Spróbujemy opowiedzieć.

Człowiekowi, który wydostawał się wreszcie, zadyszany, na tę wyżynę, aż się ćmiło w oczach na widok tyłu dachów, kominów, ulic, mostów, placów, hełmów wież. Wszystko naraz tłoczyło się w jego spojrzeniu – wyciosany szczyt, spiczasty dach, wieżyczka podwieszona na narożu murów, kamienna piramida z jedenastego wieku, łupkowy obelisk z piętnastego, okrągła i naga wieża donżonu, kwadratowa i wycinana wieża kościoła, rzeczy wielkie i małe, masywne i lekkie. Wzrok długo błędził, zanurzając się w głębinach tego labiryntu, gdzie wszystko miało swoją oryginalność, swój sens, swój geniusz, swoje piękno, gdzie wszystko wywodziło się zawsze ze sztuki, poczynając od najmniejszego drewnianego domku z belek z malowaną i rzeźbioną fasadą, z drzwiami wyciętymi niskim łukiem, z nadwieszonym pięterkiem, a kończąc na królewskim Luwrze, który miał wówczas kolumnadę z wież. A oto główne masywy gmachów, które można było rozróżnić, kiedy oko przystosowało się już do tego natłoku budynków.

Najpierw Cité. Wyspa Cité – jak powiada Sauval, który rzy całym swym pustym gadulstwem miewa niekiedy szczęśliwe określenia – „wyspa Cité jest jak wielki okręt, który ugrzązł w mule płynąc z prądem rzeki i osiadł na mieliźnie na środku Sekwany”. Wyjaśnialiśmy już, że w piętnastym wieku okręt ten przycumowany był do obu brzegów za pomocą pięciu mostów. Ten kształt okrętu uderzył również Heraldyków; stąd to bowiem według Favyna i Pasquera, a nie z oblężenia Normandów wywodzi się okręt na starej tarczy herbowej miasta Paryża. Herb – to znak algebraiczny, herb – to cały język dla tego, kto potrafi go odszyfrować. Cała historia drugiej połowy średniowiecza zapisana jest w herbach, podobnie jak historia pierwszej jego połowy w symbolice romańskich kościołów. Herby – to hieroglify feudalizmu, które nastąpiły po hieroglifach teokracji.

Najpierw więc ukazywała się oczom wyspa Cité zwrócona rufą ku wschodowi, a dziobem ku zachodowi. Patrząc w kierunku jej dzioba miałeś przed sobą nieprzeliczone stado starych dachów, ponad którymi zaokrąglą się kulista, szeroka, kryta ołowiem absyda Kaplicy Królewskiej, podobna do grzbietu słonia dźwigającego palankin. Tylko że tutaj palankinem tym była wieża najśmielsza, najkunsztowniej wypracowana – i najbardziej ażurowa ze wszystkich wież, jakie kiedykolwiek pozwalały oglądać błękit nieba poprzez swój koronkowy stożek. Tuż przed Marią Panną trzy ulice wpadały w plac przedkatedralny, piękny plac zabudowany starymi domami. Nad wschodnią stroną tego placu pochylała się pomarszczona i jakby skrzywiona niechętnie fasada szpitala pod wezwaniem Domu Bożego i jego dach, który wydaje się pokryty brodawkami i krostami. Dalej, na prawo i na lewo, na wschodzie i na zachodzie, w tym tak ciasnym przecie obrębie wyspy Cité, wznosiły się wieże jej dwudziestu i jednego kościołów – wszystkich okresów, wszystkich kształtów, wszystkich wielkości – od niskiej i spróchniałej kampanili romańskiej Świętego Dionizego z Pas (Carcer Glaucini) aż po smukłe iglice Świętego Piotra z Wołami i Świętego Landry. Tuż za katedrą, po jej północnej stronie – klasztor z gotyckimi krużgankami, po stronie południowej – pałac biskupi, na wpół romański; po stronie wschodniej – pusty cypel Wygonu. Wśród tego nagromadzenia domów oko rozpoznać mogło jeszcze po wysokich trójkątach, ażurowych wimpergach kamiennych, które wówczas, wystając ponad krawędź dachu, wieńczyły okna najwyższych pięter pałaców, pałacyk ofiarowany przez

miasto Juvenalowi des Ursins za panowania Karola VI; nieco dalej – pomazane smołą budy targu Paulus; jeszcze dalej – nową absydę Saint-Germain-le-Vieux, która w roku 1458 przedłużona została kosztem części ulicy Febrés; a dalej jeszcze – tu tłoczny, i gwarny placyk na skrzyżowaniu ulic, tam pręgierz na jakimś rogu, tu pozostałości pięknego bruku Filipa Augusta – wspaniałe płyty kamienne, ścielące się pasami środkiem drogi pod kopyta wierzchowców, tak nieszczęśliwie zastąpione w szesnastym wieku nędznym żwirem, nazywanym „brukiem Ligi” – tam pusty dziedziniec wewnętrzny z jedną z tych przejrzystych wieżyczek klatki schodowej, jakie budowano w piętnastym stuleciu i jakie po dziś dzień jeszcze oglądać można choćby przy ulicy Bourdonnais. Wreszcie, na prawo od Kaplicy Królewskiej, w stronę zachodu – rozsiadł się nad wodą swymi wieżami Pałac Sprawiedliwości. Drzewa gęstwiną wysepkę Przewoźnika. Wody zaś nie było wcale widać po obu stronach wyspy Cité z wysokości wież Marii Panny. Sekwana znikła pod mostami, mosty pod domami.

A kiedy, przeszedłszy przez te mosty, których dachy przedwcześnie zbutwiały od pary wodnej pokrywała coraz to zieleńsza patyna, spojrzenie kierowało się na lewo, ku Uniwersytetowi, pierwszą budowlą, na której musiało się zatrzymać, była wiązka grubych i niskich wież – Małe Châtelet; czeluść jego szerokiej bramy wchłaniała wylot Małego Mostu; potem, przebiegając wybrzeże ze wschodu na zachód, od Tournelle do wieży Nesle, wzrok nasz napotykał długi sznur domów z rzeźbionych belek, z kolorowymi szybami, z piętarkami, które w miarę narastania wysuwały się coraz bardziej przed lico ściany wisząc nad brukiem; nie kończący się zygzak mieszczkańskich kamieniczek, często przerywany wylotem ulicy, niekiedy zaś czołem lub łokciem wielkiego pałacu z kamienia, który rozsiadł się wygodnie z dziedzińcem i ogrodami, ze skrzydłami i oficynami wśród tego pospólstwa ściśniętych, karłowatych budynków – niczym możny pan wśród tłumu ciurów. Pięć czy sześć takich pałaców stało przy samym bulwarze, poczynając od dworu Lotaryńskiego, dzielącego wielki, ogrodzony teren przylegający do Tournelle z opactwem Bernardynów, aż po pałac Nesle, którego główna wieża znaczyła kraniec Paryża, a spiczaste dachy przez trzy miesiące w roku wykrawały czarne trójkąty ze szkarłatnej tarczy zachodzącego słońca.

Po tej stronie Sekwany mniej mieściło się sklepów niż po stronie przeciwległej; rojno tu było i gwarno, nie od rzemieślników jednak, ale od żaków, właściwy zaś bulwar ciągnął się tylko od mostu Św. Michała do wieży Nesle. Reszta wybrzeża Sekwany była albo naga i piaszczysta jak za opactwem Bernardynów, albo też szczelnie zabudowana domami, które schodziły do samej wody jak pomiędzy dwoma mostami. Wielki hałas robiły tu praczki; nawoływały się, rozmawiały i śpiewały od świtu do zmroku nad brzegiem z całych sił bijąc kijankami białinę, jak i dzisiaj. Jest to jeden z weselszych uśmiechów Paryża.

Uniwersytet był dla oka jedną bryłą. Stanowił od krańca do krańca jednorodną i zwartą całość. Tysiące ciasno do siebie przylegających kanciastych dachów, prawie zawsze takich samych w swym geometrycznym kształcie, wyglądały z góry jak kryształki tej samej substancji. Kapryśny wąwóz ulic przecinał tę bryłę domów na podobne do siebie części. Czterdzieści dwa kolegia rozmieszczone tu były dość równomiernie i na całej przestrzeni. Rozmaite i zabawne szczyty tych pięknych gmachów wywodziły się z tej samej sztuki co zwykłe dachy, ponad którymi się wznosiły, i stanowiły właściwie tylko podniesienie do kwadratu albo do sześciangu tej samej figury geometrycznej. Urozmaicały więc całość nie mącąc jej, uzupełniały ją nie przeciążając. Geometria jest harmonią. Piękne pałace również wznosiły się pysznie tu i ówdzie ponad malownicze poddasza lewego brzegu: Dwór Niwerneński, Dwór Rzymyński, Dwór Arcybiskupów Reims, które znikły z powierzchni ziemi, i pałac Cluny, który istnieje po dziś dzień na pociechę artysty, pałac Cluny, z którego przed kilku laty tak bezmyślnie zdjęto hełm. Obok Cluny stał pałac rzymski o pięknych sklepionych łukach – Termy Juliana. Niemało tam było również

opactw, bardziej świątobliwych w swej piękności, bardziej poważnych w swej wielkości niż pałace, lecz nie mniej pięknych, nie mniej wielkich. A więc najpierw pociągało wzrok opactwo Bernardynów ze swoimi trzema dzwonicami; dalej – opactwo Św. Genowefy, którego kwadratowa wieża istnieje po dziś dzień, każąc nam tak bardzo żałować reszty; dalej – Sorbona, na wpół kolegium na wpół klasztor, której cudowna nazwa żyje jeszcze, dalej piękny czworoboczny klasztor ojców Maturynów i sąsiadujący z nim klasztor Benedyktynów, w którego murach zdążano już sklecić teatr między siódmym a ósmym wydaniem tej książki; opactwo Franciszkanów, o trzech wielkich wieżach stojących obok siebie, augustyni, których strzelista wieżyczka była licząc od zachodu drugą po wieży Nesle ażurowo-koronkową dekoracją tej strony Paryża. Kolegia, które są właściwie pośrednim ogniwem pomiędzy klasztorem a światem, stanowiły w tym ciągu monumentalnym punkt równowagi między pałacami a opactwami, wyróżniając się wytworną surowością, ornamentem rzeźbiarskim mniej swobodnym niż ornament pałaców, architekturą mniej poważną niż architektura klasztorów. Niestety, nic już prawie nie pozostało z tych budowli, w których sztuka gotycka tak nieomylnie wyważała środek między oszczędnością a bogactwem. Kościoły (a liczne były w Uniwersytecie i świetne, i rozstawiły się również i tutaj na całych dziejach architektury chrześcijańskiej, od łuków półpełnych Św. Juliana po ostrołuki Św. Seweryna), kościoły dominowały nad wszystkim; i niby jeszcze jeden akord, dodany do całej tej harmonii dźwięków, przebijały się co chwila poprzez złożony różnorodny kontur szczytów swoimi ciosanymi hełmami, ażurowymi dzwonicami, smukłymi iglicami, których linia była przeciw tylko wspaniałą przesadą ostrego kąta dachów.

Teren w Uniwersytecie był pagórkowaty. Góra Św. Genowefy wyrzuciła się potężnie na południowym zachodzie; warto było doprawdy obejrzeć z wysokości wież Marii Panny to mnóstwo wąziutkich i krętych uliczek (dziś – Dzielnica Łacińska) i te grona domków, którymi ze wszystkich stron obwieszony był wierzchołek tej wyniosłości, a które spadały beładnie i prawie prostopadle po zboczach jej aż nad brzeg wody; jedne jak gdyby staczały się w dół, inne – wspinały się pod górę, a wszystkie razem podtrzymywały się nawzajem. Wezbrany wciąż potok tysięcy czarnych punkcików poruszających się we wszystkich kierunkach po ulicach sprawiał, że cały obraz ruszał się w oczach patrzącego. Był to lud Paryża oglądany z daleka i z wysoka.

Między tymi dachami, tymi wieżami, tymi wyskokami niezliczonych budynków, które tak dziwnie wyginały, wykręcały i strzępiły kontur dzielnicy Uniwersytetu, widać było tu i ówdzie – to wielki kawał muru porośły mchem, to potężną, okrągłą basztę, to blankowaną bramę miejską, istną fortecę: były to mury Filipa Augusta. A dalej zieleń się łąki, w dal biegnęły drogi, wzdłuż których wlokły się jeszcze nieliczne domki przedmieścia, tym rzadsze, im dalej od miasta. Niektóre z tych przedmieść dość znaczne były nawet i ważne. A więc przede wszystkim poczynając od Tournelle osada Św. Wiktora z jednołukowym mostem na rzece Bièvre, opactwem, w którym można było odczytać epitafium Ludwika Grubego, *epitaphium Ludovici Grossi*, i kościołem z ośmiokątną dzwonicą otoczoną czterema wieżyczkami z jedenastego wieku (podobną dzwonicę można obejrzeć w Étampes, jeszcze jej nie zburzono); dalej – osada Św. Marcelgo, która już wówczas miała trzy kościoły i klasztor. Dalej, zostawiając po lewej ręce młyn Gobelinów i jego cztery białe ściany, miałeś przedmieście Św. Jakuba z pięknym rzeźbionym krzyżem u rozstaju dróg, kościół Św. Jakuba z Haut-Pas, który był wówczas gotycki, strzelisty, uroczy, kościół Saint-Magloire z piękną nawą z czternastego wieku, w której Napoleon urządził skład siana, kościół Matki Boskiej Polnej z bizantyjskimi mozaikami. Wreszcie, zostawiwszy w szczyrim polu klasztor Kartuzów, bogaty gmach, współczesny Pałacowi Sprawiedliwości, otoczony małymi ogródkami wśród opłotków, i nawiedzane przez strachy ruiny Vauvert, na zachodzie wzrok zatrzymywał się na trzech romańskich wieżach Saint-Germain-des-Prés. Leżąca za opactwem osada Saint-Germain, spora już wówczas gmina, miała piętnaście czy

dwadzieścia ulic. Spiczasta dzwonnica Św. Sulpicjusza wyznaczała jeden kraniec tej osady. Tuż obok widać było kwadratowe ogrodzenie targowiska Saint-Germain, tam gdzie i dziś jest rynek; potem – pręgierz opacki, ładną, okrągłą wieżyczkę, przykrytą ołowianym stożkiem. Jeszcze dalej znajdowała się cegielnia, ulica Przedpiecek prowadząca do piekarni należącej do opata, w której ludność musiała piec chleb, młyn na pagórku i szpital dla trędowatych, nieduży domek stojący na uboczu i obchodzony z daleka. Lecz tym, co przede wszystkim przyciągało spojrzenie i długo je zatrzymywało na sobie, było samo opactwo Saint-Germain. Klasztor ów bowiem, tak pyszny i jako kościół, i jako wielkopański zamek, ów pałac opacki, w którym spędzenie jednej bodaj nocy biskupi Paryża za zaszczyt sobie poczytywali, refektarz, któremu budowniczy dał wspaniałość, piękno i ogromną rozetę prawdziwej katedry, śliczna kaplica Matki Boskiej, monumentalne dormitorium, rozległe ogrody, brona, most zwodzony, blanki murów, odcinające się ostro na tle zieleni okolicznych łąk, dziedzińce, gdzie lśniące zbroje rycerzy mieszały się ze złotem. kap biskupich – wszystko to, skupione wokół trzech wysokich wież romańskich, mocno osadzonych na gotyckiej absydzie, tworzyło wspaniałą sylwetę na horyzoncie.

Kiedy patrzący nasycił się wreszcie długim i uważnym oglądaniem Uniwersytetu i obrócił się ku prawemu brzegowi, ku Nowemu Miastu, widok odmieniał nagle charakter. Nowe Miasto o wiele większe od Uniwersytetu, było zarazem mniej jednolite. Od pierwszego już rzutu oka widać było, że rozpada się na kilka zupełnie odrębnych całości. Najpierw więc na wschodzie, w tej części Paryża, co po dziś dzień nazywa się Bagno na pamiątkę grzędawiska, w które Kamulogenus wciągnął Cezara, miałeś prawdziwe skupisko pałaców. Gęsto obok siebie stojące, schodziły aż nad brzeg rzeki. Wody Sekwany odbijały łupkowe dachy, przerywane smukłymi wieżyczkami czterech z nich: pałaców Jouy, Sens, Barbeau i pałacu Królowej. Budowle te wypełniały przestrzeń pomiędzy ulicą Nonaindičres a opactwem Celestynów, którego smukła wieża jakże pięknie uwydatniała równy rząd ich blanków i szczytów. Pozieleniałe ze starości rudery chyląc się tuż nad wodą przed tymi przepysznymi budowlami, nie przesłaniały widoku pięknych linii ich fasad, ich szerokich kwadratowych okien w kamiennych obramieniach, ostrołukowych portyków, uginających się pod ciężarem posągów, naroży ściętych w skarpy i wszystkich tych uroczych niespodzianek architektury, które sprawiają wrażenie, że sztuka gotycka przy każdej budowie rozpoczyna od nowa zestawianie swoich elementów. Za pałacami tymi we wszystkich kierunkach rozchodziły się – raz umocnione palisadami i blankowane niby warownia, to znów ukryte w cieniu wielkich drzew niby pustelnia – obszerne a wielokształtne mury pałacu Saint-Pol, w którym król Francji mógł z przepychem gościć dwudziestu dwóch książąt rangi delfina i księcia Burgundii, razem z ich służbą i świtą, nie licząc wielmożów, nie licząc cesarza, kiedy ten przyjeżdżał do Paryża, i lwów, które miały swój osobny pałac w królewskim pałacu. A pamiętać trzeba, że apartament godny księcia składał się wówczas z jedenastu co najmniej sal – odkapielowych, łaźniach i innych „dodatkowych ubikacjach”, w które wyposażony był każdy apartament; nie mówiąc o ogrodach, oddzielnych dla każdego królewskiego gościa; nie mówiąc o kuchniach, piwniczkach, kredensach, wspólnych jadalniach dla czeladzi; o podwórzu, w którym znajdowały się dwadzieścia dwa oddzielne budynki gospodarcze, mieszczące w sobie wszystko, co tylko potrzebne było dla dworu, od piekarni aż po piwnice z winami; nie mówiąc o pomieszczeniach na rozmaite gry – w kule, w piłkę, w pierścień; o ptaszarniach, stawach rybnych, menażeriach, stajniach, oborach, bibliotekach, arsenalach i ludwisarniach. Oto, czym był wówczas pałac królewski, taki Luwr, taki pałac Saint-Pol – miastem w mieście.

Z wieży, gdzie stoimy, pałac Saint-Pol w połowie prawie zasłonięty przez cztery wielkie pałace, o których mówiliśmy przed chwilą, był jednak piękny jeszcze i ze wszech miar godny oglądania. Wyróżnić w nim można było od razu – choć zrećnie zespolono je z korpusem

głównym długimi galeriami z kolumnami i witrażami – trzy pałace, które Karol V przyłączył do swojej siedziby: pałac Petit-Muce z koronkową attyką wdzięcznie okalającą jego dach, pałac opata Świętego Maura, istną warownię z wyglądu, z wielką basztą, mahikułami, strzelnicami, żelaznymi dymnikami na kominach, z herbem opata umieszczonym nad szeroką, saksońską bramą między dwoma wrębami zwodzonego mostu, i pałac hrabiego d'Étampes, z donżonem, którego zburzony szczyt zaokrąglął się w oczach, wyszczerbiony niczym koguci grzebień; stare dęby, co stojąc tu i ówdzie po trzy i po cztery tworzyły kępy podobne do ogromnych kalafiorów; łabędzie pluskające się wesoło w spokojnych wodach sadzawek, pomarszczonych cieniem i światłem; malownicze zakątki wewnętrznych dziedzińców; pałac lwów, jego niskie, gotyckie łuki wsparte na krępych filarach saksońskich, jego żelazne kraty, pałac lwów, z którego wydobywał się nieustający ryk; a hen, w dali za pałacem – smukłą wieżę kościoła Zwiastowania, pokrytą łuską dachówek; na lewo – siedzibę starosty Paryża w otoczeniu czterech misternie żłobionych wieżyczek; w środku, w głębi – właściwy pałac Saint-Pol z dobudowanymi fasadami, upiększany stopniowo od czasów Karola V, obrastający przez dwa stulecia w najrozmaitsze płody fantazji architektów, właściwy pałac Saint-Pol, z wszystkimi absydami kaplic, z wszystkimi pinaklami galerii, wszystkimi blaszanymi chorągiewkami obracającymi się za łada powiewem i dwoma wysokimi, obok siebie stojącymi wieżami, których stożkowe hełmy, obrzeżone u nasady blankami, podobne były do spiczastych kapeluszy z podwiniętym rondem.

Pnąc się ciągle ku górze, po piętrach tego rozległego amfiteatru pałaców, spojrzenie – przeprawiwszy się przez głęboki, wyżłobiony wśród dachów Nowego Miasta wąwóz, który wskazywał, że przechodzi tamtędy ulica Św. Antoniego (ograniczamy się ciągle do głównych gmachów) – docierało do dworu książąt Angoulême, obszernej, wznoszonej przez kilka epok budowli, której nowe, oślepiająco białe części zlewały się z całością akurat tyle, co czerwona łąta z niebieską materią kaftana. Niemniej jednak, osobliwie ostry i wysoki dach nowego pałacu, najeżony rzeźbionymi rynkami, pokryty ołowianymi płytkami, wśród których wiły się tysiącem fantastycznych arabesków połyskliwe inkrustacje z pozłacanej miedzi, ów dach, dziwerowany tak niezwykle, z gracją dźwigał się ku górze z brunatnych ruin starego gmachu, którego odwieczne, potężne baszty, niby beczki rozdęte latami, zapadały się pod własnym ciężarem, i pękając za uworem Angoulême, wyrastał las wieżyczek pałacu Tournelles. Nigdzie na całym świecie, ani w Chambord, ani w Alhambrze, nie było bardziej czarodziejskiego, bardziej nierealnego w swej lekkości, bardziej urzekającego widoku niż ta gęstwina hełmów, dzwonniczek, kominów, blaszanych chorągiewek, kwiatonów, fiał, latarni podziurawionych światłem, jak gdyby na wskroś przebitych dłutem, baldachimów i igliczek, a wszystko jakże różne kształtem, wysokością i ustawieniem. Rzekłbyś – gigantyczna szachownica z kamienia.

Na prawo od pałacu Tournelles – ta wiązka baszt potężnych, czarnych jak atrament, wstawionych jedna w drugą i jak gdyby przewiązanych pierścieniem fosy, ten donżon, w którym więcej strzelnic przebito niż okien, ten zawsze podniesiony most zwodzony, ta zawsze spuszczone brona – to Bastylia, a te niby-dzioby czarne, które wystają pomiędzy blanków i które z daleka bierzecie za rynny – to armaty.

Pod gardłami ich, u stóp potężnego i groźnego gmachu, widać bramę Św. Antoniego, wciśniętą między dwie swoje wieże.

Za pałacem Tournelles aż do murów Karola V rozpościerał się aksamitny kobierzec królewskich ogrodów i parków, bogatych w zielen i kwiaty, wśród których, po labiryncie drzewami wysadzanych alei, można było rozpoznać słynny ogród Dedala, подарowany przez Ludwika XI Coictierowi. Obserwatorium doktora wznosiło się nad labiryntem niby ogromna samotna kolumna z domkiem zamiast kapiteła. W pracowni tej zestawiano groźne horoskopy.

Tam właśnie znajduje się dziś plac Królewski.

Jak to już powiedzieliśmy, dzielnica pałaców, którą staraliśmy się czytelnikowi opisać w ogólnych zarysach, wymieniając zresztą tylko najwspanialsze gmachy, wypełniała sobą kąt, jaki na wschodzie tworzył się między murami Karola V i Sekwaną. Środek Nowego Miasta zajmowało skupisko mieszczańskich kamieniczek. Tam to właśnie wlewały się tłumy trzema mostami przerzuconymi na prawy brzeg z Cité, mosty zaś obrastają w domy prędzej niż w pałace. To nagromadzenie mieszczańskich kamienic, ściśniętych niby komórki w plastrze miodu, miało również swoje piękno. Dachy stolic są jak fale mórz – mają w sobie wielkość. Najpierw więc splecione i przecinające się ulice wiły się wśród tej masy w setki zabawnych wzorów. Okolica Hal wyglądała jak gwiazda o tysiącu promieni. Ulice Św. Dionizego i Św. Marcina z niezliczonymi swoimi rozgałęzieniami pięły się ku górze jedna obok drugiej, niby dwa wielkie drzewa splecione konarami. A wszystko osnuwały krętymi wężykami ulice: Sztukatorska, Szklarska, Tkacka itp. Można tam było również znaleźć piękne budynki, które wybijały się ponad skamieniałe falowanie tego morza dachów. Był tam u wejścia na most Wymiany, za którym pod kołami mostu Młynarzy pieńka się Sekwaną -Châtelet, już nie rzymska baszta, jak za czasów Juliana Apostaty, lecz wieża feudalna z trzynastego wieku, zbudowana z kamienia tak twardego, że uderzając przez trzy godziny oskardem z trudnością można byłoby wybić w niej dziurę wielkości pięści. Była tam bogata kwadratowa dzwonnica Św. Jakuba koło Rzeźni, o węglach ściętych w rzeźby, już piękna, choć wtedy, w wieku piętnastym, jeszcze nie skończona. (Brakowało jej przede wszystkim czterech maszkar, które, uczezione po dziś dzień na rogach dachu, wyglądają jak cztery sfinksy zadające nowemu Paryżowi zagadkę starego Paryża; Rault rzeźbiarz umieścił je tam w roku 1526 i za trud swój otrzymał dwadzieścia franków). Był przedstawiliśmy czytelnikowi. Był tam kościół Św. Gerwazego, zeszpecony później portalem „w dobrym smaku”; kościół Saint-Méry, którego stare ostrołuki są jeszcze prawie romańskie; kościół Św. Jana ze wspaniałą, przysłowiową iglicą; było tam ze dwadzieścia innych jeszcze gmachów, które nie wzdragały się przed ukryciem cudów swojej architektury w tym chaosie ciemnych, wąskich i głębokich uliczek. Dodajcie kamienne, rzeźbione krzyże, jeszcze hojniej niż szubienice rozrzucone po rogach ulic i po placach; cmentarz Św. Młodzianków, którego piękne ogrodzenie wznosiło się w oddali ponad dachy, przęgierz w Halach, którego wierzchołek dostrzegało się między dwoma kominami kamienic stojących przy ulicy Cossonnerie, drabinę przy krzyżu Trahoir na placu tejże nazwy, tak zawsze zatłoczonym, że aż czarnym od ludzi; ustawione w krąg budy Targu Zbożowego; resztki starych obwarowań Filipa Augusta, które można jeszcze było dostrzec tu i ówdzie wśród powodzi domów, baszty przeżarte bluszczem, zburzone bramy, szczątki rozpadających się murów, bulwar z tysiącem sklepów i jatek zalanych krwią; Sekwanę pełną statków od Przystani Siennej aż po Targ Biskupi – a otrzymacie w zarysie obraz tego, czym w roku 1482 było centrum Nowego Miasta mające kształt trapezu.

Prócz tych dwu dzielnic – dzielnic pałaców i dzielnic mieszczańskich kamieniczek – trzecim elementem ogólnego widoku Nowego Miasta był długi pas opactw, który obrzeżał cały prawie jego obwód od wschodu do zachodu i za pierścieniem zamykających Paryż fortyfikacji otaczał stolicę drugą, wewnętrzną obręczą klasztorów i kościołów. Tuż przy parku Tournelles, między ulicą Św. Antoniego i starą ulicą Tempie, stał klasztor Św. Katarzyny, a jego olbrzymie sady podchodziły aż pod same mury miasta. Pomiędzy starą i nową ulicą Tempie stał zamek Templariuszów, posępna wiązka wież, wysoka, wyniosła, samotna, zamknięta w szerokim kręgu blankowanych murów. Pomiędzy nową ulicą Tempie i ulicą Św. Marcina stało wśród swoich ogrodów opactwo Św. Marcina, potężny kościół warowny; opasujące go wieże i tiara dzwonnicy sprawiały, że powagą i świetnością ustępował chyba tylko Saint-Germain-Des-Prés. Pomiędzy ulicami Św. Marcina i Św. Dionizego rozłożyły się mury Świętej Trójcy. I wreszcie między ulicą Św. Dionizego i ulicą Montorgueil – klasztor Bożych Dziewic. Obok zaś widniały przegniłe

dachy i kocie łby Dziedzińca Cudów. Było to jedyne świeckie ogniwo w tym świątobliwym łańcuchu klasztorów.

Czwartym wreszcie zespołem, który wyodrębnił się sam przez się z masy dachów prawego brzegu i zajmował zachodni róg obwarowań i górny brzeg rzeki – była druga pętla pałaców i pałacyków zaciśnięta u stóp Luwru. Stary Luwr Filipa Augusta, gmach ponad miarę wielki, z potężną wieżą otoczoną dwudziestoma trzema wielkimi wieżami, nie licząc mniejszych wieżyczek, wydawał się z daleka jakby oprawiony w gotyckie szczyty pałaców Alençon i Petit-Bourbon. Ta hydra z wież, potężna stróżka Paryża, o dwudziestu czterech zawsze podniesionych głowach, o olbrzymich grzbietach ołowianych lub pokrytych łuską z łupku, i ociekających metalicznym połyskiem, w zdumiewający sposób zamykała Nowe Miasto od zachodu.

A więc olbrzymie skupisko mieszczańskich kamienic – to, co Rzymianie nazywali *insula* – obrzeżone po prawej i po lewej stronie dwoma blokami pałaców, zwieńczonych, jeden – przez Luwr, a drugi – przez pałac Tournelles, otoczone od pomocy długim pasem opactw i sadów, a wszystko to łączące się i zlewające w spojrzeniu w jedną całość; ponad tysiącami tych budynków krytych dachówką i łupkiem, których dachy zachodziły na siebie nawzajem tworząc najprzedziwniejsze wzory – malowane, wytłaczane i rzeźbione dzwonnice czterdziestu czterech kościołów prawego brzegu; niezliczone ulice wijące się we wszystkich kierunkach; jako zamknięte z jednej strony wysokie mury o kwadratowych wieżach (mury Uniwersytetu miały wieże okrągłe), z drugiej – Sekwana pocięta mostami i unosząca ze swym nurtem liczne statki; oto Nowe Miasto w piętnastym wieku.

Za murami do bram miejskich cisnęły się przedmieścia, mniej jednak liczne i bardziej rozrzucone niż po stronie Uniwersytetu. Za Bastylią ze dwadzieścia nędznych chat przykucnęło dookoła dziwnych rzeźb krzyża Faubin i przyporowych łuków opactwa Św. Antoniego Polnego, dalej było Popincourt, zagubione wśród zbóż; potem Courtille, miasteczko wesołych gospod; osada Św. Wawrzyńca, z kościołem, którego dzwonnica widziana z oddalenia jakby łączyła się ze spiczastymi wieżami bramy Św. Marcina; przedmieście Św. Dionizego z obszernym ogrodem klasztoru Św. Łazarza; za bramą Montmartre – Grange-Batelière, otoczona białymi murami; za nimi – kredowe zbocza Montmartre’u, gdzie znajdowało się wówczas tyle samo prawie kościołów co i młynów, a gdzie dzisiaj już tylko młyny pozostały, społeczeństwo bowiem żąda teraz już tylko chleba dla ciała. Wreszcie, za Luwrem, ciągnęło się między łąkami przedmieście Św. Honoriusza, już wówczas dość duże, i zieleniła się Petite-Bretagne, tuż obok znajdował się Targ Prosięcy, a w środku Targu okrągły budynek straszliwego pieca, gdzie wrzucano w ukrop fałszerzy pieniędzy. Pomiędzy Courtille a Św. Wawrzyńcem wzrok nasz dostrzegł już zapewne na szczycie pagórka, który przykucnął wśród pustej równiny, dziwną budowlę, podobną z oddali do zburzonej kolumnady stojącej na osypującym się podmurowaniu. Nie był to ani Partenon, ani świątynia Jowisza Olimpijczyka. Był to Montfaucon.

Teraz, jeśli wyliczanie tylu gmachów, nawet tak pobieżne jak zamierzyliśmy, nie rozproszyło w wyobraźni czytelnika ogólnego obrazu starego Paryża, w miarę jak go budowaliśmy – zestawimy go. Powtórzmy jeszcze raz w kilku słowach. W środku – wyspa Cité, podobna z kształtu do olbrzymiego żółwia, wysuwająca swoje mosty, pokryte łuską dachówek, niby łapy spod szarej skorupy dachów. Na lewo – jednorodny, zwarty, gęsty, najeżony trapez Uniwersytetu. Na prawo – szerokie półkole Nowego Miasta, o wiele bardziej urozmaicone ogrodami i wspaniałymi budowlami. Trzy bloki – Cité, Uniwersytet i Nowe Miasto żyłkowane niezliczonym mnóstwem ulic. Środkiem – Sekwana, „Sekwana-żywicielka”, jak powiada ojciec du Breul, zatarasowana wyspami, mostami i statkami. A dookoła ogromna równina, pocięta tysiącem uprawnych pól, usiana ślicznymi wioskami; na lewo – Issy, Vanvres, Vaugirard, Montrouge, Gentilly ze swą okrągłą wieżą i ze swą kwadratową wieżą, itd.; na prawo – ze

dwadzieścia innych, od Conflans aż po Ville-l'Évêque. Na widnokregu rąbek pagórków rozstawionych wkoło, niby obrzeżenie basenu. I wreszcie w oddali, na wschodzie – siedem czworokątnych wież zamku Vincennes; na południu ostre wieżyczki Bicêtre; na Północy – wysoka wieża opactwa Świętego Dionizego; na zachodzie – donżon Saint-Cloud. Oto Paryż, jaki z wysokości wież katedry oglądały kruki żyjące w 1482 roku.

A przecież o tym właśnie mieście powiedział Wolter, że „przed Ludwikiem XIV posiadało ono tylko cztery piękne budynki: kopułę Sorbony, Val-de-Grâce, nowy Luwr i jeszcze czwarty, sam już nie wiem który, może pałac Luksemburski. Na szczęście Wolter prócz tego napisał jeszcze Kandyda i ze wszystkich ludzi, którzy następowali po sobie w długim życiu ludzkości, był tym, który z największym mistrzostwem władał szatańskim śmiechem. Te słowa jego dowodzą tylko, że można być nie lada geniuszem i nic nie rozumieć z tej dziedziny sztuki, której się nie uprawia. Czyż Molier nie uważał, że wielki zaszczyt czyni Rafaelowi i Michałowi Aniołowi nazywając ich „Mignardami swojego czasu”?

Powróćmy do Paryża i do piętnastego wieku.

Było to wówczas miasto nie tylko piękne; było to miasto jednolite, architektoniczny i historyczny twór średniowiecza, kronika w kamieniu. Było to miasto uformowane z dwu tylko warstw, z warstwy romańskiej i warstwy gotyckiej, bo warstwa rzymska znikła już dawno i tylko w Termach Juliana przebijała się jeszcze poprzez grubą skorupę średniowiecza. Warstwy celtyckiej zaś nawet przy wierceniu studni nie można się było doszukać.

W pięćdziesiąt lat później, kiedy pojawił się renesans i w tę jedność tak surową, a tak zarazem różnorodną wmieszał olśniewający przepych swoich metod i pomysłów, istną rozpustę rzymskich łuków półpełnych, kolumn greckich i gotyckich belkowań, swoją rzeźbę tak delikatną i tak doskonałą, swoje zamiłowanie do arabesków i liści akantu, całą pogańskość swojej współczesnej Lutrowi architektury, Paryż stał się być może jeszcze piękniejszy, choć mniej harmonijny dla oka i dla myśli. Lecz ta świetna chwila trwała krótko. Renesans nie był bezstronny; nie zadowolił się budowaniem, zapragnął burzyć – to prawda, że potrzebował miejsca. Toteż Paryż gotycki był całkowity tylko przez chwilę. Kończono zaledwie Św. Jakuba koło Rzeźni, a już rozpoczęto burzenie starego Luwru.

Odtąd wielkie miasto zmienia się i przekształca z dnia na dzień. Paryż gotycki, pod którym znikł był Paryż romański, też z kolei ginie. Czy można jednak powiedzieć, jaki Paryż pojawił się na jego miejsce?

Paryż Katarzyny Medycejskiej przetrwał w Tuileriach, Paryż Henryka II – w Ratuszu, dwóch budowli zaiste jeszcze w wielkim stylu, Paryż Henryka IV – w placu Królewskim: fasady z cegły, kamienne naroża i dachy z łupku – domy trój kolorowe; Paryż Ludwika XIII – w Val-de-Grâce: architektura spłaszczona, przysadzista, koszarowe sklepienia, kolumny jakby brzuchate, kopuła niby garb; Paryż Ludwika XIV – w Inwalidach: wielki, bogaty, pozłacany i chłodny; Paryż Ludwika XV – w kościele Św. Sulpicjusza: woluty, kokardy, obłoczki, makaroniki, liście cykorii, a wszystko to z kamienia; Paryż Ludwika XVI – w Panteonie: nieudolnej kopii bazyliki Św. Piotra w Rzymie (gmach ten niezgrabnie osiadł, co bynajmniej nie wpłynęło korzystnie na jego kształty); Paryż republikański – w Szkole Medycznej, żalonym budynku w stylu greckim i rzymskim, który tyle podobny jest do Koloseum czy Partenonu, ile konstytucja z III roku” do praw Minosa; w architekturze nazywa się to „stylem messidora”; Paryż Napoleona – w placu Vendôme: ten jest naprawdę wzniosły ze swoją kolumną z brązu z armat odlaną; Paryż Restauracji – w gmachu Giełdy: bardzo biała kolumnada dźwigająca bardzo gładki fryz; całość ma kształt kwadratu i kosztowała dwadzieścia milionów.

Z każdym z tych charakterystycznych gmachów wiąże się podobieństwem stylu, kształtu i wyglądu – pewna ilość domów rozrzuconych w różnych dzielnicach, oko znawcy z łatwością

odróżnia je i datuje. Kto potrafi widzieć, odczyta ducha epoki i wizerunek króla nawet z kołatki u drzwi.

Dzisiejszy Paryż nie ma więc jednolitego oblicza. Jest to kolekcja okazów z kilku stuleci, a najpiękniejsze egzemplarze zaginęły. Stolica wzbogaca się tylko w kamienice, i to w jakie kamienice! Rozwijając się w tym tempie, Paryż będzie się odnawiał co pięćdziesiąt lat. Toteż historyczne znaczenie jego architektury zaciera się z każdym dniem. Zabytkowe budowle stają się coraz rzadsze, wydawać by się mogło, że na naszych oczach toną powoli, zalewane przez kamienice. Ojcowie nasi mieli Paryż z kamienia, synowie nasi mieć będą Paryż z gipsu.

Jeżeli zaś chodzi o nowoczesne budowle Paryża, to wolelibyśmy o nich nie wspominać. Nie znaczy to wcale, żebyśmy ich należycie nie podziwiali. Święta Genowefa pana Soufflot jest na pewno najpiękniejszym ciastkiem sabaudzkim, jakie kiedykolwiek zrobiono z kamienia. Pałac Legii Honorowej również należy do doskonałych wyrobów cukierniczych. Kopuła Hal Zbożowych to czapka angielskiego dżokeja, zawieszona na wysokiej drabinie. Wieże kościoła Św. Sulpicjusza – to dwa olbrzymie klarnety, kształt nie gorszy od innych; telegraf koślawy i wykrzywiony stanowi miłe urozmaicenie ich dachów. Kościół Św. Rocha ma portal, który w całej jego wspaniałości porównany być może jedynie do portalu kościoła Św. Tomasza z Akwinu. Jest tam także w piwnicy Męka Pańska z gipsu i słońce z połączanego drewna. Rzeczy to naprawdę prześliczne. Belweder labiryntu w Ogrodzie Botanicznym jest również bardzo pomysłowy. Pałac Giełdy zaś – grecki z kolumnady, rzymski z półpełnych łuków, a renesansowy z wielkiego obniżonego sklepienia – jest niewątpliwie nieskazitelnie poprawnym, nieskazitelnie czystym pomnikiem budownictwa; świadectwem attyka, która go wieńczy, a jakiej nie widziano w Atenach: piękny prosty pas, tu i ówdzie wdzięcznie przecięty rurą pieca. Ponadto, jeśli z zasady budynek powinien być tak przystosowany do swego przeznaczenia, żeby już sam jego wygląd jasno na nie wskazywał – zabraknie chyba słów zachwyty dla gmachu, który z równym powodzeniem mógłby być: pałacem królewskim, izbą gmin, ratuszem, kolegium, ujeżdżalnią, akademią, składem towarów, sądem, muzeum, koszarami, grobowcem, świątynią, teatrem. Tymczasem jest Giełdą. Budynek powinien być również przystosowany do klimatu. Ten bez wątplenia stworzony został z myślą o naszym zimnym i deszczowym niebie. Dach ma prawie płaski, jak na wschodzie, co sprawia, że w zimie, kiedy spadnie śnieg, trzeba dach zamiatać; a przecież po to robi się dachy, żeby je zamiatać! Przeznaczenie zaś, o którym mówiliśmy przed chwilą, wypełnia znakomicie; jest Giełdą we Francji, tak samo jak w Grecji byłby świątynią. Wprawdzie architekt zadał sobie niemało trudu, aby jako tako ukryć tarczę zegara, która by niszczyła czystość pięknych linii fasady; lecz w zamian za to mamy kolumnadę biegnącą dookoła gmachu, a pod jej arkadami w wielkie dni uroczystości religijnych może się rozwinąć w całym swoim majestacie orszak maklerów giełdowych i handlowych pośredników.

– Są to niewątpliwie bardzo wspaniałe budynki. Dodajmy do nich, moc pięknych ulic, zajmujących i urozmaiconych, jak ulica Rivoli na przykład, a nie tracę nadziei, że Paryż oglądany z balonu będzie miał to bogactwo linii, ten przepych szczegółów, tę różnorodność widoków, to coś imponującego w prostocie i nieoczekiwanego w piękności, co charakteryzuje szachownicę.

A jednak, choćby dzisiejszy Paryż wydawał się wam jak najbardziej godnym podziwu, odtwórzcie sobie Paryż z piętnastego wieku, odbudujcie go na chwilę w wyobraźni, spojrzcie na światło dnia poprzez ten zadziwiający gąszcz iglic, wież i dzwonnicy, poprowadźcie przez środek ogromnego miasta Sekwanę rozlaną w wielkie żółte i zielone kałuże i mieniącą się bardziej niż wężowa skóra, potnijcie ją cyplami wysp, zmarszczcie jej wody przy filarach mostów; narysujcie wyraźnie na błękitnym widnokregu gotycki profil tego starego Paryża, rozchwieście jego kontur w mgłę zimowej, która się czepia niezliczonych jego kominów; zatopcie to miasto w głębokiej nocy i przyjrzyjcie się dziwacznej grze ciemności i światła wśród mrocznego labiryntu

budynków; rzućcie w ten labirynt promień księżyca, niech go rozświetli nieco, niech wydobędzie z mgły wielkie głowice wież; albo obwiedźcie ten profil czarnym konturem, ożywcie cieniem tysiączne ostre kąty hełmów i szczytów, niech wystąpi z miedzianego tła nieba o zachodzie, bardziej zębaty niż szczęka rekina. I wówczas porównujcie.

A jeżeli chcecie, by stare miasto dostarczyło wam przeżycia, którym nowe miasto nie jest już w stanie was obdarzyć, w dzień święta, w Wielkanoc czy też w Zielone Świątki, rankiem, o wschodzie słońca, wejdźcie gdzieś wysoko, tam, skąd można oglądać całą stolicę i posłuchajcie przebudzenia dzwonów. Zobaczcie, jak na znak dany z nieba, słońce bowiem go daje, tysiąc kościołów drgnie równocześnie. Najpierw pojedyncze uderzenia, które jeden kościół podaje drugiemu, niby grajkowie w orkiestrze przed rozpoczęciem, potem zobaczcie nagle – gdyż wydaje się, że czasem ucho miewa też swój wzrok – zobaczcie, jak z każdej dzwonnicy wzbija się jednocześnie w górę jak gdyby kolumna dźwięku, jak gdyby dym muzyki. Z początku wibracja każdego dzwonu podnosi się, prosta, czysta i samodzielna, we wspaniałe niebo poranne. Później rosnąc powoli, zlewają się, przenikają nawzajem i łączą w przepyszny koncert. Teraz już jedna ogromna masa dźwięcznych drgań wydobywa się nieustannie z nieprzeliczonych dzwonnicy i płynie, faluje, podrywa się, wiruje ponad miastem, rozszerzając hen, poza horyzont ogłuszający krąg swego drgania. Lecz to morze muzyki nie jest chaosem. Choć tak głębokie i tak ogromne, zawsze jest przezroczyste. Widzicie, jak przewijają się oddzielnie każdy zespół dźwięków, które się wydobywają z dzwonienia; możecie śledzić to poważny, to znów wrzaskliwy dialog grzechotki i wielkiego dzwonu; możecie zobaczyć, jak z dzwonu na dzwon przeskakują oktawy; widzicie, jak uskrzydłone, lekkie, świszczące wzbijają się w górę ze srebrnego dzwonu, jak połamane i kulawe spadają z dzwonu drewnianego; podziwiacie wśród nich bogatą gamę, która biegnie bez przerwy w górę i w dół po siedmiu dzwonach kościoła Św. Eustachego; widzicie, jak w poprzek niej przebiegają nutki jasne i szybkie, jak znaczą trzy lub cztery świetliste zygzaki i giną niby błyskawice. Tam opactwo Św. Marcina z głosem ostrym i pękniętym, tu – groźny i złowieszczy śpiew Bastylji; w drugim końcu miasta – niski bas wielkiej wieży Luwru. Królewski chór dzwonów Pałacu Sprawiedliwości rzuca bez przerwy na wszystkie strony swe olśniewające tryle, na które spadają równomiernie ciężkie uderzenia z wieży Marii Panny, wykrzesując iskry niczym miot uderzający w kowadło. Chwilami przelatują różnokształtne dźwięki trzech rozhuśtanych dzwonów Saint-Germain-des-Prés. Kiedy indziej znowu ta masa świetnych tonów rozstępuje się, aby uczynić przejście dla stretta z kościoła Zwiastowania, które' iskrzy się i lśni niby snop gwiazd. Spodem, w głębi koncertu, rozróżniacie niewyraźny wewnętrzny śpiew kościołów przenikający poprzez rozedrgane pory ich sklepień... Zaiste, jest to opera, której warto posłuchać. Szum unoszący się nad Paryżem w dzień – to mowa miasta; szmer unoszący się nad nim w nocy – to oddech miasta; A to jest śpiew miasta. Posłuchajcie więc owego tutti dzwonnicy; rozsnujcie ponad wszystkim szmer pół miliona ludzi, odwieczną skargę rzeki, nieskończone powiewy wiatru, kwartet poważny a daleki czterech lasów, rozstawionych na wzgórzach widnokregu niby ogromne organy; przytłumcie nim jak półcieniem to, co w muzyce dzwonów jest nazbyt ochryple i nazbyt wrzaskliwe, i powiedzcie, proszę, czy znacie na całym świecie coś bogatszego, radośniejszego, złocistszego, jaśniejszego niż ten zgiełk dzwonów i dzwonek; niż ten żar muzyki, niż te tysiące spiżowych głosów dźwięczących równocześnie w kamiennych fletach, wysokich na trzysta stóp; niż to miasto, które stało się kapelą, niż ta symfonia, która grzmi jak burza.

Księga czwarta

I

LITOŚCIWE DUSZE

W epoce, w której się rozgrywają te wydarzenia, upłynęło już szesnaście lat od owego ranka niedzieli Quasimodo, kiedy to po mszy w katedrze Marii Panny jakaś żywa istota została złożona na ławie ustawionej na placyku przed wejściem po lewej stronie, naprzeciwko wielkiego wizerunku świętego Krzysztofa – w który od 1413 roku wpatrywała się wyrzeźbiona w kamieniu klęcząca postać imć pana Andrzeja des Essarts, póki nie zdecydowano się wreszcie na zburzenie i świętego, i wiernego. Na tej ławie wystawiano zwykle na miłosierdzie publiczne podrzucone dzieci. Kto chciał, zabierał je sobie. Koło ławy stała miedziana miseczka na jałmużnę.

Żywa istotka, leżąca na tej ławie rankiem w niedzielę Quasimodo w roku pańskim 1467, wznieciła najwidoczniej w wysokim stopniu ciekawość dość licznie zgromadzonych przechodniów. Tłumek ten składał się głównie z osób płci pięknej. Były to prawie wyłącznie niewiasty leciwe.

W pierwszym rzędzie stały cztery kobiety, nisko pochylone nad ławą, a po ich szarych płaszczach z kapturami, podobnych w kroju do sutanny, można było odgadnąć, że należą do jakiegoś pobożnego bractwa. Nie widzę powodów, dla których historia nie miałaby przekazać potomności imion tych czterech skromnych i zacnych kobiet. Były to: Agnieszka la Herme, Joanna de la Tarme, Henryka la Gaultière i Goszera la Violette – cztery wdowy, cztery kobieciny z bractwa Stefana Haudry, które wyszły ze swego domu za pozwoleniem mistrzyni i zgodnie ze statutami Piotra z Ailly, aby posłuchać kazania.

Lecz jeśli poczciwe siostrzyczki haudrietki obserwowały w tej chwili ściśle statuty Piotra z Ailly, to z lekkim sercem łamały statuty Michała z Brache i kardynała pizańskiego, którzy tak niehumanie zalecili im milczenie.

– A to co znowu, siostro? – mówiła Agnieszka do Goszery, spoglądając na małe stworzenie wystawione na widok publiczny. Piszczalo ono i rzucało się na ławie, przestraszone tyloma spojrzzeniami.

– Co się z nami wszystkimi stanie – mówiła Joanna – jeżeli takie dzieci przychodzą teraz na świat?

– Ja się tam nie znam na dzieciach – odezwała się znów Agnieszka – ale grzech chyba patrzeć na to, które tutaj leży.

– To nie jest dziecko, Agnieszko.

– To pewnie miała być małpa – wtrąciła Goszera.

– To cud! – mówiła dalej Henryka la Gaultière.

– A więc trzeci cud od niedzieli Laetare – zauważyła Agnieszka – bo przecie jeszcze tygodnia nie ma, 'jak się wydarzył cud z kpiarzem wyszydającym pielgrzymów, którego Najświętsza Maria Panna z Aubervilliers pokarała swoją boską mocą; a był to już drugi cud w tym miesiącu.

– Ta znajda, to niby-dziecko to prawdziwy potwór, obrzydliwy odezwała się znowu Joanna.

– A drze się, że kantor by ogłuchł – przemówiła znów Goszera. – Cicho bądź, mały krzykaczu!

– I powiedzcie no tylko, że też jego przewielebność biskup Reims przysłał to okropieństwo jego przewielebności biskupowi Paryża! – dorzuciła la Gaultière składając dłonie.

– Myślę – rzekła Agnieszka la Herme – że to jest bestia, zwierzę, płód Żyda i maciory; w każdym razie stwór niechrześcijański, i trzeba go wrzucić w wodę albo w ogień.

– Spodziewam się, że nikt go nie przygarnie – odezwała się znów la Gaultière.

– O, mój Boże! – zawołała Agnieszka – to dopiero biedne te mamki z przytułku dla podrzutków, co się mieści tam, w tej uliczce, w dole koło rzeki, tuż obok pałacu jego przewielebności biskupa – a nuż każą im karmić tego małego potworka! Wolałabym już dawać piersi wampirowi.

– Biedna la Herme, jaka ona niewinna! – odezwała się Joanna. – Czy nie widzisz, siostrzyczko, że ten mały potworek ma już co najmniej cztery lata i że wolałby bułkę od twojej piersi?

Rzeczywiście, ów „mały potworek” (bo i nam również trudno byłoby określić go inaczej) nie był już noworodkiem. Na ławie leżał jakiś kształt niewielki, mocno kanciasty i mocno ruchliwy, a uwięziony w płóciennym worku naznaczonym cyframi wielebnego Wilhelma Chantier, ówczesnego biskupa Paryża. Z worka wystawała głowa. Głowa zaiste szpetna; widać było gęste, rude włosy, jedno oko, usta i zęby. Oko płakało, usta wrzeszczały, a zęby najwyraźniej gotowe były gryźć. Wszystko to miotano się w mroku ku wielkiemu zadziwieniu tłumu, który rósł i zmieniał się nieustannie dookoła ławy.

Pani Alojza de Gondelaurier, dama bogata i szlachetnie urodzona, trzymając za rączkę ładną dziewczuszkę mniej więcej sześciolletnią i wlokąc za sobą długi welon, który sphywał ze złotego różka zdobiącego kwef na jej głowie, przystanęła przechodząc koło ławy i przyglądała się przez chwilę nieszczęsnemu stworzeniu; a jej śliczna córeczka. Lilia de Gondelaurier przyodziana w aksamity i jedwabie, sylabizowała tymczasem, pomagając sobie paluszkami, napis na stałe umieszczony na brzegu ławy: PODRZUTKI.

– Sądziłam, że kładzie się tutaj tylko dzieci – rzekła pani Alojza odwracając się ze wstrętem.

I odeszła wrzuciwszy do miseczki srebrnego florena. Floren zadzwonił głośno wśród liardów, a ubogie kobieciny z bractwa Stefana Haudry szeroko pootwieraly oczy ze zdziwienia.

Po chwili nadszedł poważny i uczony Robert Mistricolle, protonotariusz królewski, który trzymał w jednej ręce ogromny mszał, a drugą ujął pod ramię małżonkę swoją (z domu Wilhelminę la Mairesse), mając w ten sposób obok siebie obu swoich przewodników: duchowego i doczesnego.

– Podrzutek! – rzekł obejrzawszy rzecz całą uważnie. – Znaleziono go chyba na brzegu rzeki Flegeton.

– Widać mu tylko jedno oko – zauważyła pani Wilhelmina – na drugim ma brodawkę.

– To nie brodawka – rzekł mistrz Robert Mistricolle – to jajo, które zawiera drugiego, podobniusińskiego demona; a tamten z kolei znów ma małe jajo, a to jajo zawiera jeszcze jednego szatana i tak bez końca.

– Skądże to wiecie? – zapytała Wilhelmina la Mairesse.

– Wiem z całą pewnością – odparł protonotariusz.

– Powiedzcie, imć protonotariuszu – zapytała Goszera – czegoż to zapowiedzią może być ten jakoby podrzutek?

– Najgorszych klęsk – odrzekł Mistricolle.

– O, mój Boże! – odezwała się jakaś starowinka z tłumu słuchających – i tak już przecie w zeszłym roku spadła na nas ciężka zaraza morowa, a teraz powiadają, że Anglicy mają wysadzać

swoje wojska w Harefleu.

– A może przez ten przeklęty pomiot królowa nie przybędzie we wrześniu do Paryża? – odezwała się druga starowinka. – Nic już teraz prawie nie można utargować.

– Wedle mego zdania – zawołała Joanna de la Tarme – trzeba tego małego czarownika położyć nie na desce, ale na stosie. Lepiej tak będzie dla mieszkańców Paryża.

– Na wspaniałym, płonącym stosie! – dorzuciła starowinka.

– Ano tak by było roztropnie – rzekł Mistricolle.

Już od kilku chwil jakiś młody ksiądz przysłuchiwał się uwagom siostrzyczek i sentencjom protonotariusza. Oblicze miał surowe, czoło szerokie, wzrok przenikliwy. Bez słowa rozsunał gapiów, przyjrzał się „małemu czarownikowi” i wyciągnął nad nim rękę. A pora była po temu. Wszystkie dewotki bowiem oblizywały się już na samą myśl o „wspaniałym płonącym stosie”.

– Adoptuję to dziecko – rzekł ksiądz.

Zabrał je, zawinął w fałdy swojej sutanny i odszedł. Zgromadzeni powiedli w ślad za nim zdumionym i przerażonym wzrokiem. Po chwili znikł za Czerwoną Furta, która łączyła wówczas kościół z klasztorem.

Kiedy pierwsze oszołomienie minęło, Joanna de la Tarme pochyliła się do ucha Henryki la Gaultière:

– A zawsze mówiłam, siostró, że ten młody kleryk, wielebny Klaudiusz Frollo, jest czarownikiem.

II

KLAUDIUSZ FROLLO

Klaudiusz Frollo rzeczywiście nie był człowiekiem pospolitym.

Pochodził z jednej z tych rodzin średniego stanu, które pogardliwie w ubiegłym stuleciu nazywano albo wysokim mieszczaństwem, albo też drobną szlachtą. Rodzina ta odziedziczyła po braciach Paclot zależne od biskupa Paryża lenno Tirechappe, którego dwadzieścia jeden dymów było w trzynastym wieku przedmiotem nie kończących się sporów toczonych przed oficjałem. Jako właściciel tego lenna, Klaudiusz Frollo był jednym ze stu czterdziestu jeden panów, mających prawo do czynszu lennego z ziem położonych w samym Paryżu i na przedmieściach; z tego też tytułu nazwisko jego widniało przez długie lata zapisane w kartularzu złożonym u Św. Marcina Polnego, między imieniem właściciela pałacu Tarcenville, mistrza Franciszka Le Rez, a kolegium Tours.

Klaudiusz Frollo już w dzieciństwie został przez rodziców przeznaczony do stanu duchownego. Nauczono go czytać na łacińskich księgach. Przyzwyczajono do spuszczenia oczu i mówienia szeptem. Kiedy był jeszcze dzieckiem, ojciec zamknął go w kolegium Torchi, w Uniwersytecie. I tam wzrastał nad mszałem i nad leksykonem.

Był to zresztą chłopiec smutny, poważny, uczył się żarliwie i szybko przyswajał sobie wiedzę. Na pauzach nigdy nie hałasował, rzadko brał udział w zabawach na ulicy Jarmarcznej, nie wiedział, co to *dare alapas et capillos laniare*, i w żadnej mierze nie był zamieszany w ów bunt z roku 1463, który z powagą zanotowali kronikarze pod tytułem: *Szósta rebelia w Uniwersytecie*. Nieczęsto też zdarzało się, aby wykpiwał ubogich żaków z kolegium Montagu za płaszczyki zwane *capettes*, od których wywodziło się ich przewisko, czy też żaków z bursy kolegium

Dormans za tonsury i trójbarwne peleryny z turkusowego, błękitnego i fioletowego sukna, *azurini coloris et bruni*, jak stwierdza karta kardynała Czterech Koron.

Pilnie uczęszczał natomiast do szkół i szkółek przy ulicy Św. Jana z Beauvais. Kiedy opat Świętego Piotra z Doliny rozpoczął wykład prawa kanonicznego w szkole pod wezwaniem Świętego Wandregezila, pierwszym uczniem, na którego padał jego wzrok był Klaudiusz Frollo, przyklepiony do filaru naprzeciwko katedry, z rogowym kałamarzem w dłoni, Klaudiusz Frollo, który gryzł pióro i pilnie notował na położonej na wytartym kolanie tabliczce, chuchając zimą w palce. Pierwszym słuchaczem, którego pan Miles d'Islier, doktor praw, widział zawsze nadbiegającego w poniedziałki rano, kiedy otwierano drzwi szkoły pod wezwaniem Głowy Św. Dionizego, był Klaudiusz Frollo. Toteż w szesnastym roku życia młody kleryk w dziedzinie teologii mistycznej mógł stanąć do dysputy z ojcem kościoła, w dziedzinie teologii kanonicznej – z członkiem soboru, a w dziedzinie teologii scholastycznej – z doktorem Sorbony.

Po ukończeniu teologii rzucił się na naukę prawa. Od Mistrza Sentencji przeszedł do *Kapitularzy Karola Wielkiego*. Pożerał kolejno, w swojej żądzy wiedzy, jeden za drugim, wszystkie dekretalia Teodora, biskupa Hispali, Boucharda, biskupa Wormacji, Iwona, biskupa Chartres, potem dekretalia Gracjana, który zastąpił kapitularze Karola Wielkiego; potem zbiór praw Grzegorza IX; potem list apostolski Honoriusza III *Super specula*. Przyswoił je sobie wszystkie i ze swobodą poruszał się po tym rozległym i burzliwym okresie prawa cywilnego i prawa kościelnego, rodzących się i walczących wśród chaosu średniowiecza, po tym okresie, który biskup Teodor rozpoczyna w roku 618, a papież Grzegorz zamyka w roku 1227.

Po przetrwaniu prawa rzucił się na medycynę i na sztuki wyzwolone. Poznał wiedzę o ziołach, wiedzę o maściach. Stał się biegły w leczeniu gorączek i obrażeń, ran i wrzodów. Jakub d'Espars z pewnością przyznałby mu dyplom lekarza; Ryszard Hellain – dyplom chirurga. Zdobył także kolejno wszystkie stopnie naukowe – licencjat, mistrzostwo i doktorat – sztuk wyzwolonych. Studiował języki – łacinę, grekę i hebrajski, a do tego potrójnego sanktuarium mało kto wówczas zaglądał. W dziedzinie nauki trawiła go prawdziwa gorączka zdobywania i gromadzenia. Mając lat osiemnaście ukończył już był cztery fakultety. Wydawało się młodzieńcowi, że życie ma tylko jeden cel: wiedzę.

Wtedy to właśnie w niezwykle upalne lato roku 1466, wybuchła straszliwa zaraza, która pochłonęła przeszło czterdzieści tysięcy istnień ludzkich w wicehrabstwie Paryża, a między innymi, według świadectwa Jana z Troyes, „mistrza Arnoula, królewskiego astrologa, człeka bardzo zacnego, mądrego i lubianego” Do Uniwersytetu dotarły wieści, że choroba poczyniła szczególnie wielkie spustoszenia przy ulicy Tirechappe. Tam to właśnie na swej lennej ziemi mieszkali rodzice Klaudiusza. Młody student pobiegł wielce zaniepokojony do ojcowskiego domu. Kiedy tam wszedł, ojciec i matka jego leżeli martwi już od poprzedniego dnia. Mały brat, niemowlę w pieluszkach, żył jeszcze i krzyczał zapomniany w swojej kołysce. Z całej rodziny Klaudiusza pozostał tylko on jeden. Młodzieniec wziął dziecko na ręce i wyszedł, głęboko zamyślony. Dotychczas żył tylko nauką; teraz po raz pierwszy zetknął się z życiem.

Katastrofa ta stała się przełomem w egzystencji Klaudiusza. W dziewiętnastym roku życia został sierotą i głową rodziny; zbudził się z marzeń szkolnych, brutalnie przywołany do rzeczywistości tego świata. I do głębi poruszony litością, pokochał namiętnie i zapamiętał to dziecko, swego brata; ludzkie wzruszenie – była to rzecz niezwykła a słodka dla niego, który do tej pory kochał tylko księgi.

Uczucie to rozwinęło się w nim z ogromną siłą. Dla duszy tak świeżej było ono niby pierwsza miłość. Od dzieciństwa rozłączony z rodzicami, których prawie nie znał, zamknięty, niejako zamurowany wśród swoich ksiąg, spragniony przede wszystkim nauki i wiedzy, pochłonięty dotychczas wyłącznie inteligencją swoją, która się pogłębiała przez poznanie nauk ścisłych, i

wyobraźnią, która się wzbogacała przez nauki humanistyczne, biedny żak nie zdążył jeszcze poczuć uderzeń swego serca. Ten mały brat bez matki i ojca, to dzieciątko, co tak nagle spadło mu z nieba na barki, zrobiło zeń innego człowieka. Spostrzegł, że na świecie istnieją jeszcze inne rzeczy oprócz spekulacji Sorbony i wierszy Homera, że człowiek potrzebuje uczucia, że życie bez tkliwości i bez miłości jest tylko bezdusznym, skrzypiącym i smutnym mechanizmem; wyobraził sobie jednak – był bowiem jeszcze w tym wieku, kiedy jedne złudzenia zastępują drugie – że uczucia rodzinne, oparte na związku krwi, zaspokoić mogą wszystkie potrzeby i że miłość do małego brata, wystarczy, aby wypełnić całe ludzkie życie.

Rzucił się więc w tę miłość do swego małego Jana z pasją właściwą charakterom już w młodym wieku głębokim, żarliwym, skupionym. Ta biedna, wątła istotka, śliczna i różowa, z jasnymi wijącymi się włoskami, ta sierota nie mająca innego oparcia oprócz niego, także sieroty, poruszyła do głębi Klaudiusza; a że przywykł do poważnych rozważań, z najgłębszym współczuciem zaczął się zastanawiać nad losem Jana. Zaopiekował się dzieckiem troskliwie, jak czymś bardzo kruchym, wymagającym wielkiej dbałości. Był dla dziecka więcej niż bratem, stał się dlań matką.

Mały Jan ssał jeszcze pierś matczyną, kiedy go matka odumarła. Klaudiusz umieścił go u mamki. Prócz lenna Tirechappe odziedziczył jeszcze po ojcu lenno Moulin, zależne od kwadratowej wieży Gentilly. Był to młyn na pagórku, niedaleko zamku Winchester (Bicêtre). Młynarka karmiła właśnie ładne, zdrowe dziecko; z Uniwersytetu było tam niedaleko. Klaudiusz sam zaniósł do niej swego małego Jana.

I odtąd, czując ciężar, który mu wypadło dźwigać, zaczął brać życie bardzo poważnie. Myśl o małym bracie była dlań nie tylko wypoczynkiem, lecz także celem jego studiów. Postanowił całkowicie poświęcić się przyszłości Jana, za którą odpowiadał przed Bogiem, i zdecydował, że nie będzie miał nigdy innej małżonki ani innego dziecka niż szczęście i powodzenie brata. Przywiązał się jeszcze silniej do swojego kapłańskiego powołania. Jego osobiste zalety, wiedza i godność bezpośredniego wasala biskupa Paryża otwierały przed nim na oścież wrota Kościoła. W dwudziestym roku życia za specjalną dyspensą Stolicy Apostolskiej został księdzem i jako najmłodszy z kapelanów katedry Marii Panny odprawiał późną mszę przy ołtarzu nazywanym z tej przyczyny *altare pigrorum*.

Zagłębił się teraz jeszcze bardziej w swoich ukochanych księgach, które porzucał po to tylko, by pójść na godzinę do młyna; to, tak rzadkie w jego wieku, połączenie wiedzy i surowości obyczajów szybko uczyniło go przedmiotem szacunku i podziwu całego klasztoru. Z klasztoru ta reputacja mędrca przedostała się do ludu i jak to często podówczas bywało, przemieniła się po trosze w sławę czarnoksiężnika.

Kiedy razu pewnego, w niedzielę Quasimodo, powracał po odprawieniu swojej mszy dla leniuchów przy ich ołtarzu, który znajdował się koło drzwi prowadzących z nawy do prezbiterium, z prawej strony obrazu Matki Boskiej, uwagę jego zwróciły starszki rozwrzeszczane i zgromadzone tłumnie dookoła ławy podrzutków.

Wtedy to zbliżył się do małego stworzenia, które ściągnęło na siebie tyle nienawiści i pogroźek. Ta straszliwa nędza, to kalectwo, to opuszczenie, myśl o młodszym bracie i nagłe a potworne jakieś przewidzenie, które poraziło mu wyobraźnię, że na wypadek jego śmierci, jego drogi, mały Janek mógłby również znaleźć się tutaj, ciśnięty na tę deskę podrzutków – wszystko to jednocześnie chwyciło go za serce, wzbudziło litość przeogromną – i zabrał dziecko.

Kiedy je wyjął z worka, zobaczył, że jest to rzeczywiście potworek. Nieszczęsny malec miał brodawkę na lewym oku, głowę wrośniętą w ramiona, wygięty kręgosłup, wypukły mostek i krzywe nogi; mimo to jednak wydawało się, że będzie żył; i choć nie sposób było zrozumieć, w jakim języku bełkocze, krzyk jego świadczył, że jest dość silny i zdrowy. Współczucie

Klaudiusza wzrosło jeszcze bardziej na widok tej brzydoty i złożył ślub w swoim sercu, że wychowa to dziecko z miłości do brata, aby mały Jan, jakiegokolwiek byłoby w przyszłości jego błędy i winy, miał zapisany na dobro swoje ten akt miłosierdzia dokonany na jego intencję. Była to swego rodzaju lokata dobrych uczynków zrobiona na imię małego brata; mały fundusz miłosierdzia, który Klaudiusz chciał zawczasu uciulać dla niego, na wypadek gdyby chłopcu zabrakło pewnego dnia tej monety, jedynej, którą można opłacić rogatek raję.

Klaudiusz ochrzcił swoje przysposobione dziecko i nazwał je Quasimodo; może chciał przez to upamiętnić dzień, w którym je znalazł, a może chciał wyrazić tym imieniem, do jakiego stopnia to małe, nieszczęsne stworzenie było niecałkowite i zaledwie naszkicowane. Rzeczywiście Quasimodo, ślepy na jedno oko, garbaty, koślawy, był tylko „jak gdyby” człowiekiem.

III

IMMANIS PECORIS CUSTOS, IMMANIOR IPSE

W roku 1482 Quasimodo już dorósł. Był od lat kilku dzwonnikiem w katedrze Marii Panny, a został nim z łaski swego przybranego ojca, Klaudiusza Frollo, który został archidiaconem jozajskim z łaski swego suzerena, wielmożnego Ludwika de Beaumont, który znów w roku 1472, po śmierci Wilhelma Chantier, został biskupem Paryża, z łaski protektora swego, Oliwiera le Daim, golibrody Ludwika XI, która z łaski Boga.

Quasimodo był więc dzwonnikiem w katedrze Marii Panny.

Z biegiem czasu wytworzyła się jakaś więź, trudna do określenia, a tajemnicza i głęboka, która łączyła dzwonnika z kościołem. Na zawsze oddzielony od świata podwójnym nieszczęściem – nieznanego urodzenia i szpetnej postaci – uwięziony od dzieciństwa w tym podwójnym, nieprzekraczalnym kręgu, ów nieszczęśliwy przyzwyczaił się do tych poświęconych murów, które przyciemniły go w swój cień, oprócz nich nic właściwie nie znał ze świata. W miarę jak wzrastał i rozwijał się, katedra Marii Panny była dlań kolejno jajkiem, gniazdem, domem, ojczyzną, wszechświatem.

I między tym stworem a tym gmachem istniała niewątpliwie jakaś harmonia tajemnicza i odwieczna. Kiedy jeszcze jako małe dziecko czołgał się i podskakiwał niezdarnie pod jego mrocznymi sklepieniami, ze swoją twarzą ludzką i postacią zwierzątka wyglądał jak jakiś płaz, którego naturalnym środowiskiem jest ta tajemnicza kamienna posadzka, wilgotna i ciemna, pokryta cudacznymi kształtami cieni rzucanych przez romańskie kapitele.

Później, kiedy po raz pierwszy bezwiednie uczeplił się sznura na wieży i zawisł na nim cały, i rozkołysał dzwon, Klaudiuszowi, przybranemu jego ojcu, wydało się, że słyszy dziecko, któremu język rozwiązał się i które zaczyna mówić.

I tak powoli rozwijając się i coraz to głębiej wnikając w katedrę, żyjąc w niej, śpiąc, nigdy z niej prawie nie wychodząc i nieustannie doświadczając jej tajemniczego oddziaływania, upodobił się do niej, wrósł w nią, niejako stał się jej nieodłączną częścią. Ostre kany jego postaci (niechże nam zostanie wybaczone to porównanie) tak pasowały do wklęsłych żłobień gmachu, że wydawał się być nie tylko ich mieszkańcem, lecz także ich naturalnym wypełnieniem. Rzec by nieomal można, że przyjął ich kształt, jak ślimak przyjmuje kształt swojej muszli. Było to jego mieszkanie, jego nora, jego powłoka. Łączyło go ze starym

kościółem porozumienie instynktowne i głębokie, tak wielkie pokrewieństwo magnetyczne i tak wielkie pokrewieństwo materialne, że przystał doń niby żółw do swojej pokrywy. Szorstkie kamienie katedry były jego skorupą.

Nie trzeba chyba przestrzegać czytelnika, by nie brał dosłownie przenośni, których musimy tutaj używać dla wyrażenia tego niezwykłego, symetrycznego, bezpośredniego, niejako organicznego zespolenia budowli i człowieka. Nie trzeba również chyba mówić, jak dokładnie człowiek ten poznał całą katedrę podczas tak długiego i tak bliskiego współżycia. Była jego domem. Nie miała głębi, do której by Quasimodo nie dotarł, ani wysokości, na którą by się nie wdrapał. Nieraz wspinał się po jej wielopiętrowej fasadzie posługując się tylko wypukłościami rzeźb. Wieże, na których zewnętrznej powierzchni często widywano go pełznącego niby jaszczurka, co potrafi ślizgać się po prostopadłych ścianach, te dwa bliźniacze olbrzymy, tak wysokie, tak groźne, tak niebezpieczne, w nim nie budziły strachu, nie wywoływały zawrotu głowy ani wstrząsu oszołomienia; widząc, jak są łagodne pod jego ręką, z jaką łatwością po nich się wspina – rzekłbyś, że je oswoił. Skacząc tak, wspinając się i swawoląc wśród przepaści gigantycznej katedry, stał się poniekąd małpą i kozicą, jak dziecko kalabryjskie, które nim chodzić zaczyna, już umie pływać i od najmłodszych lat igra z morzem.

Nie tylko zresztą ciało jego uformowało się podług katedry, lecz również i umysł. W jakim stanie znajdowała się ta dusza, jakich się nabawiła nawyków, jaki kształt przyjęła pod tą kaleką powłoką cielesną, w tym życiu dzikim, odludnym – trudno byłoby to ustalić. Quasimodo urodził się ślepy na jedno oko, garbaty i kulawy. Klaudiusz Frollo z wielkim trudem i wielką cierpliwością nauczył go wreszcie mówić. Lecz nad tym nieszczęsnym podrzutkiem ciążyło jakieś fatum. Czternastoletniego dzwonnika katedry Marii Panny nowe na dodatek dotknęło kalectwo: od bicia dzwonów pękły mu w uszach bębni – ogłuchł. Jedyne drzwi otwarte na świat, które pozostawiła mu natura, nagle zamknęły się na zawsze.

Zamykając się przecięły jedyny promień radości i światła, jaki przenikał leszcze do duszy Quasimodo. Dusza ta osunęła się w głęboką noc. Smutek nieszczęśliwego stał się nieuleczalny i całkowity jak jego brzydota. Głuchota uczyniła go również w pewnej mierze niemym. Skoro bowiem przekonał się, że jest głuchy, aby nie dawać ludziom okazji do drwiny, rozmyślnie nakazał sobie milczenie i przerywał je wtedy tylko, kiedy był sam. Z własnej woli zawiązał ten język, który Klaudiusz Frollo rozwiązał był z takim trudem. Toteż kiedy konieczność zmusiła go do odezwania się, mowa jego była ciężka, niezdarła, jak drzwi, których zawiasy zardzewiały.

Gdybyśmy teraz spróbowali przeniknąć poprzez tę grubą i twardą skorupę aż do duszy Quasimodo, gdybyśmy mogli przemierzyć głębiny tego źle zbudowanego organizmu, gdyby danym nam było zajrzeć z pochodnią w rękę za te nieprzejrzyste narządy, zbadać mroczne, niedostępne oku wnętrze tego stworzenia, rozjaśnić najciemniejsze zakątki, najbardziej bezsensowne zakamarki tego wnętrza i rzucić znienacka jasne światło na przykutą do dna tej pieczary duszę, znaleźlibyśmy zapewne nieszczęśnicę w jakimś żalonym stanie – rachityczną, skarłałą, jak ci więźniowie weneccy, którzy starzeli się wpół zgięci, pod ołowianym dachem za niskich i za krótkich cel.

To pewne, że duch zanika w niewydarzonym ciele. Quasimodo zaledwie czuł, jak się w nim porusza po omacku dusza uczyniona na jego podobieństwo. Obrazy rzeczy docierające do jego świadomości ulegały po drodze znacznemu zniekształceniu. Mózg jego był osobliwym środowiskiem, myśli, które przezeń przechodziły, wypaczały się cudacznie. Spostrzeżenie, które powstawało z tej refrakcji, musiało być skrzywione i mylne.

Stąd tysiące złudzeń optycznych, tysiące najopaczniejszych sądów, tysiące urojeń, wśród których błąkała się myśl jego, to szalona, to znów ogłupiała.

Pierwszym skutkiem tego nieszczęsnego ustroju organizmu były zaburzenia wzroku. Nie

odbierał bezpośrednich i prawidłowych wrażeń przedmiotów. Świat zewnętrzny wydawał mu się o wiele bardziej niż nam oddalony.

A po wtóre – nieszczęście uczyniło go złym.

Tak, był naprawdę zły, gdyż był dziki, a był dziki, gdyż był brzydki. Naturą jego rządziła taka sama logika jak i naszą.

Jego siła, tak niezwykle rozwinięta, była tego jeszcze jednym powodem. *Malusa puer robustus* – powiada Hobbes.

Należy mu zresztą oddać tę sprawiedliwość, że złość nie była mu może wrodzona. Od pierwszych kroków, jakie zaczął stawiać wśród ludzi, najpierw poczuł, później zrozumiał, że jest pogardzany, lżony, odpychany. Słowo ludzkie było dlań zawsze albo szyderstwem, albo przekleństwem. Wzrastając spotykał dookoła tylko nienawiść. Więc ją przejął. Pozyskał sobie niechęć powszechną. Więc podniósł broń, którą go raniono.

Niechętnie zresztą obracał twarz w stronę ludzi. Wystarczała mu katedra. Była zaludniona figurami z marmuru, królami, świętymi biskupami, którzy przynajmniej nie wybuchali mu w nos drwiącym śmiechem, którzy darzyli go spojrzeniem spokojnym i życzliwym. Inne rzeźby – potwory i demony – nie ziały nienawiścią ku niemu, Quasimodo. Zbyt był do nich podobny. Drwiły raczej z innych ludzi. Święci byli jego przyjaciółmi i błogosławili go, monstra były jego przyjaciółmi i strzegły go. Toteż otwierał przed nimi swe serce. Toteż spędzał nieraz całe godziny, przykucnąwszy przed którymś z tych posągów, na rozmowie z nim w samotności. Jeżeli ktoś nadchodził, uciekał niby kochanek przyłapany wśród swej serenady.

Katedra była dlań nie tylko społeczeństwem, lecz również wszechświatem, lecz również całą przyrodą. Nie śnił o innych grzędach niż witraże zawsze w kwiatkach, o innym cieniu niż cień kamiennego listowia, które wyrastało, bujne i pełne ptaków, z kęp saksońskich kapiteli, o innych górach niż gigantyczne wieże kościoła, o innym oceanie niż Paryż szumiący u ich stóp.

Lecz tym, co pokochał nade wszystko w ojczystym gmachu, tym, co budziło duszę Quasimodo, co prostowało jej skrzydła tak żałośnie stulone w pieczarze jego ciała, tym, co czasem czyniło go szczęśliwym, były dzwony. Kochał je, pieścił, mówił do nich, rozumiał je. Od dzwonek z wieżyczki na transepcie aż po największy dzwon wszystkie je miłował tkliwie Środkowa dzwonnica i obie wieże były dlań jak trzy ogromne klatki, w których ptaki, przez niego wyhodowane, jemu tylko śpiewały. A przecież to te właśnie dzwony odebrały mu słuch; lecz matki często najbardziej kochają to dziecko, przez które wycierpiały najwięcej.

Głos ich był jedynym, jaki mógł jeszcze słyszeć. Z tej też przyczyny ukochanym dzwonem Quasimodo był wielki dzwon. Jego to upodobał sobie w tej rodzinie hałaśliwych istot, które się wokół niego uwijały w dnie świąteczne, Wielki dzwon miał na imię Maria. Wisiał w wieży południowej sam ze swoją siostrą Jakubina, dzwonem średniej wielkości, którego klatka, mniejsza nieco, znajdowała się tuż obok jego klatki. Dzwon Jakubina, nazywany był od imienia małżonki Jana Montagu, który go kościołowi ofiarował, co zresztą nie przeszkodziło wcale ścięciu fundatora na Montfaucon. W drugiej wieży znajdowało się sześć mniejszych dzwonek, a sześć najmniejszych zamieszkiwało dzwonnice środkową, razem z dzwonem drewnianym, w który bito tylko w Wielki Tydzień, od południa Wielkiego Czwartku do świtu Wielkiej. Soboty. Quasimodo miał więc w swoim niezwykłym haremie piętnaście dzwonek, lecz ulubienicą jego była ogromna Maria.

Nie można nawet wyobrazić sobie radości Quasimodo w dniu bicia w dzwony. Kiedy archidiakon rozkazywał mu wreszcie: „Idź!” – wbiegał na górę po krętych schodkach szybciej, niżby ktokolwiek zejść po nich potrafił. Wpadał zdyszany do napowietrznej komnaty, w której mieszkał wielki dzwon, przez chwilę przypatrywał mu się ze skupieniem i miłością, po czym zaczynał doń łagodnie przemawiać i głaskał go, jak dobrego konia przed długą drogą. Litował się

nad nim, że tak wielki trud go czeka. Po tej pierwszej pieszczocie krzyczał swoim pomocnikom na niższym piętrze wieży, aby brali się do roboty. Tamci zawisali u sznurów, kołowrót skrzypiał i olbrzymi kielich z metalu zaczynał się powoli kołysać. Quasimodo, drżąc z podniecenia, wodził za nim wzrokiem. Pierwsze uderzenie serca dzwonu o spiżową ścianę wstrząsało rusztowaniem, na którym stał. Quasimodo wibrował razem z dzwonem. „Nuże!” – krzyczał z wybuchem szaleńczego śmiechu. Tymczasem ruchy wielkiego dzwonu stawały się coraz szybsze, a im bardziej rozszerzał się kąt jego wahań, tym bardziej rozszerzała się Jedyna źrenica Quasimodo świecąc jak fosfor. Rozpoczęło się wreszcie uroczyste bicie w dzwony, cała wieża drżała; drewno, metal i ciosy kamienne – wszystko huczało równocześnie – od pali w fundamentach po liście koniczyny w najwyższej balustradzie. A Quasimodo aż pienił się cały; biegał tu i tam; całym swoim ciałem drżał razem z wieżą. Dzwon, rozpętany, szalony, to jednej, to drugiej stronie świata pokazywał swoją paszczę z brązu, z której wydobywało się tchnienie burzy słyszalne na cztery mile. Quasimodo stawał przed tą rozwartą paszczką; przysiadł i podnosił się za każdym nawrotem dzwonu, wdychał to Potężne tchnienie, spoglądał kolejno to na rojny plac, położony głęboko w dole, o dwieście stóp niżej, to na ogromny język z miedzi, który co sekunda powracał i ryczał mu w ucho. Była to jedyna mowa, którą słyszał, jedyny dźwięk przerywający całkowitą ciszę, wśród której żył. Rozpręzał się cały jak ptak w promieniach słońca. I nagle – ogarniało go szaleństwo dzwonu; spojrzenie jego stawało się niesamowite, czatował na przelatującego olbrzyma niby pajak na muchę i zniemacka rzucał się nań całym ciałem. Wówczas, zawieszony nad przepaścią, miotany straszliwym rozhuśtaniem dzwonu chwycił spiżowego potwora za ucha, ścisnął go kolanami, bódł piętami niby ostrogami i podwajał całym ciężarem, całym naporem swego ciała furie rozdzwonienia. Wieża chwiała się, on wrzeszczał i zgrzytał zębami, jego rude włosy jeżyły się, pierś dyszała z hałasem kowalskiego miecha, oko ciskało płomienie, a dzwon-olbrzym rżał pod nim w pędzie; a wówczas był to już nie dzwon katedry i nie Quasimodo: był to sen, wir, burza; szął okrakiem na zgiełku; duch uczepony powietrznego rumaka: dziwaczny centaur – pół-dzwon, pół-człowiek, jakiś Astolfus straszliwy, porwany przez hipogryfa z żywego brązu.

– Obecność tego niezwykłego stwora sprawiała, że po całej katedrze krążyło jakieś żywe tchnienie. Wydawać by się mogło – jak niosła zabobonna i skłonna do wyolbrzymień wieść gminna – że wydziela on ze siebie jakąś tajemniczą emanację, która ożywia wszystkie kamienie katedry Marii Panny i przenika w najgłębsze zakamarki starego kościoła. Dość było, że wiedziano, iż on tam jest, aby ożyły i poruszyły się – w mniemaniu powszechnym – tysiączne posągi z galerii i portalów. Istotnie, pod jego dłonią katedra wydawała się stworzeniem łagodnym i posłusznym; czekała na jego rozkazy, aby przemówić swym ogromnym głosem; Quasimodo opętał ją i wypełnił niby jakiś geniusz tego miejsca. Rzekłbyś, że tchnął życie w tę olbrzymią budowlę. Był tu rzeczywiście wszędzie, równocześnie we wszystkich miejscach gmachu. Czasem – na najwyższym wierzchołku wieży można było z przerażeniem dostrzec jakiegoś cudaczego karła, który wspinał się, pełził i czołgał na czworakach, schodził w dół po zewnętrznej ścianie, nad przepaścią, przeskakiwał z występu na występ i grzebał w brzuchu jakiejś wyrzeźbionej gorgony: to Quasimodo szukał gniazd kruczych. Czasem w jakimś ciemnym zakamarku kościoła można było się natknąć na coś w rodzaju żywej chimery, która przykucnęła, marszcząc czoło; był to zadumany Quasimodo. Czasem znów na którejś z dzwonnicy widać było ogromną głowę i pokraczną postać potworka, który, uczepony sznura, huśtał się jak wściekły: to Quasimodo dzwonił na nieszpory lub na Anioł Pański. Nocami zaś często jakiś obrzydliwy kształt łąził po kručzej, koronkowej balustradzie, która wieńczy wieże i okala absydę: był to ciągle garbus z katedry Marii Panny. A wówczas – jak powiadały mieszkające w pobliżu katedry niewiasty – cały kościół stawał się jakiś fantastyczny, nadprzyrodzony, straszny; tu i tam otwierały się nagle

jakieś oczy, jakieś usta; słycać było szczekanie kamiennych psów, głosy jaszczurów i smoków, które dniem i nocą, z wyciągniętą szyją i z rozwartą paszczą, czuwają dookoła potwornej katedry; a jeśli była to noc Bożego Narodzenia, podczas gdy wielki dzwon ochrypłym, rzeżącym głosem wzywał wiernych na pasterkę, ciemna fasada przybierała taki wygląd, iż rzekłbyś, że wielki portal pożera tłum i że rozeta patrzy na ludzi wchodzących do kościoła. A działo się to wszystko za sprawą Quasimodo. Egipt uznałby go bogiem tej świątyni, średniowiecze uważało go za jej złego ducha; a był jej duszą.

I to tak bardzo, iż dla tych, którzy wiedzą, że Quasimodo kiedyś istniał, katedra Marii Panny jest dzisiaj pusta, nieżywa, umarła. Czuje się, że coś stąd znikło. To ogromne ciało jest próżne, jest szkieletem, duch porzucił je, widać jeszcze jego miejsce i to wszystko. Jest jak czaszka, w której są jeszcze oczodoły, ale już spojrzenia nie ma.

IV

PIES I JEGO PAN

Jedną tylko istotę ludzką postawił Quasimodo poza zasięgiem swej złośliwości i nienawiści do bliźnich i kochał ją tak samo, może nawet i bardziej jeszcze, jak swoją katedrę: był nią Klaudiusz Frolo.

Rzecz to całkiem prosta. Klaudiusz Frolo przygarnął go, usynowił, wykarmił, wychował. Jako dziecko szukał zwykle schronienia w fałdach sutanny Klaudiusza Frolo, kiedy psy i dzieci ujadają za nim, Klaudiusz Frolo nauczył go mówić, czytać, pisać. Dzięki Klaudiuszowi Frolo wreszcie został dzwonnikiem.

A kto dał Quasimodo za małżonkę wielką Marię – ten jakby Julię dał Romeowi.

Toteż wdzięczność Quasimodo była głęboka, namiętna, bezgraniczna, i choć oblicze jego przybranego ojca często bywało zachmurzone i surowe, choć mowa jego była zwykle krótka, twarda i rozkazująca, wdzięczności tej nie sprzeniewierzył się nigdy ani na jedną chwilę. Archidiakon miał w osobie Quasimodo najbardziej oddanego niewolnika, najbardziej uległego sługę, najczujniejszego psa. Kiedy nieszczęsny dzwonnik ogłuchł, wytworzył się pomiędzy nim a Klaudiuszem Frolo język znaków, tajemniczy i dla nich tylko zrozumiały. W ten sposób archidiakon stał się jedyną istotą ludzką, z którą Quasimodo zachował łączność i porozumienie. Związany był na tym świecie z tym dwojgiem tylko: z katedrą Marii Panny i z Klaudiuszem Frolo.

Nic porównać się nie da z władzą, jaką miał archidiakon nad dzwonnikiem, z przywiązaniem, jakie dzwonnik miał dla archidiakona. Dość byłoby jednego skinienia Klaudiusza i myśli, że może mu tym sprawić przyjemność, aby Quasimodo rzucił się ze szczytu wieży katedry. Godnym zaiste uwagi zjawiskiem była ta siła fizyczna, tak niezwykle u Quasimodo rozwinięta, a oddana ślepo pod rozkazy innego człowieka. Niewątpliwie, była w tym i miłość synowska, i zwierzęce przywiązanie; było również urzeczenie jednego ducha przez innego ducha. Ta biedna, niezdarna i niewydarzona istota nisko chyliła głowę przed umysłem wyższym, głębokim, potężnym i patrzyła nań błagalnym i pokornym wzrokiem. Wreszcie, i nade wszystko, była to wdzięczność. Wdzięczność posunięta do tak dalekich granic, że sami nie wiemy, z czym by ją można było Porównać. Najpiękniejszych przykładów tej cnoty zaiste nie wśród ludzi należałoby szukać. Powiemy więc, że Quasimodo tak kochał archidiakona, jak nigdy jeszcze żaden pies, żaden koń,

zaden słoń nie kochał swego pana.

V

O KLAUDIUSZU FROLLO CIĄG DALSZY

W roku 1482 Quasimodo miał około dwudziestu lat, Klaudiusz Frollo około trzydziestu sześciu; jeden wyrósł, drugi postarzał się. Klaudiusz Frollo nie był to już naiwny uczeń kolegium Torchi, troskliwy opiekun maleńkiego dziecka, młody i marzycielski filozof, który wiedział wiele rzeczy, a wielu rzeczy nie wiedział, lecz ksiądz, surowy, poważny, posępny, pasterz dusz, wielbny archidiakon jozajski, drugi akolita biskupa, mający na swojej głowie dwa dekanaty – Montlhéry i Châteaufort – i sto siedemdziesiąt cztery probostwa wiejskie. Była to osobistość imponująca i ponura, przed którą drżeli mali chłopcy z chóru w albach i sukienkach, dorośli śpiewacy kościelni, braciszczowie od Św. Augustyna i klerycy służący do mszy porannej w katedrze Marii Panny – kiedy przechodził wolno pod wysokimi ostrołukami prezbiterium, majestatyczny, zamyślony, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, z głową spuszczoną tak nisko, że z całej jego twarzy widać było tylko ogromne, łyse czoło.

Wielebny Klaudiusz Frollo nie zarzucił zresztą ani nauki, ani czuwania nad edukacją swego młodszego brata, tych dwu spraw, które wypełniły jego życie. Lecz z biegiem czasu obie te rzeczy, tak słodkie, nabrały posmaku pewnej goryczy. Najlepsza słonina także w końcu jełczeje, powiada Paweł Diacre. Mały Jan Frollo, przewany Janem z Młyna, dla miejsca, w którym został wychowany, nie rozwinął się zgoła tak, jakby nim pokierować pragnął Klaudiusz. Starszy brat rachował, że będzie to pobożny, posłuszny, pilny i zacny uczeń. Lecz młodszy brat, jak owe drzewka, co wbrew staraniom ogrodnika uparcie zwracają się w tę stronę skąd przychodzi do nich powietrze i słońce, wypuszczał piękne, gęste i bujne gałązki tylko w kierunku lenistwa, ignorancji i rozpusty. Był to istny diablik, tak niesforny, że wielbny Klaudiusz Frollo musiał marszczyć brwi, lecz tak ucieszny i tak sprytny, że starszy brat musiał się w końcu uśmiechnąć. Klaudiusz oddał go do tego samego kolegium Torchi, w którym spędził był swoje młode lata na nauce i rozmyślaniach, i z wielkim bólem patrzył, jak nazwisko Frollo, które niegdyś świeciło temu sanktuarium, wywołuje teraz w nim tylko zgorzenie. Prawił też Janowi bardzo długie i bardzo surowe kazania, których chłopiec dzielnie wysłuchiwał. Mały ladaco miał zresztą dobre serce, jak to się widzi w każdej komedii. Wysłuchawszy kazania, z niezmaconym spokojem powracał do swoich psot i wybryków. To wygrzmocił na powitanie „żółtodzioba” (tak nazywano w Uniwersytecie nowo przybyłych; drogocenna ta tradycja została zresztą troskliwie przechowana aż do naszych dni). To znów za jego namową żacy napadli całą bandą na karczmę, *quasi classico excitati*, obili oberżystę „kijami szturmowymi” i ochoczo obrabowali oberżę, rozbijając nawet baryłki z winem w loszku. Po czym monitor kolegium Torchi z żalną miną przynosił wielbnemu Klaudiuszowi piękny raport spisany po łacinie z taką oto bolesną adnotacją na marginesie: „Rixa; prima causa vinum optimum potatum”. Powiadano wreszcie, że nieobyčajność młodego Jana docierała niejednokrotnie aż na ulicę Glatigny; zgroza to prawdziwa, jeżeli się zważy, że chłopiec miał zaledwie szesnaście lat.

Z tych wszystkich względów wielbny Klaudiusz, zasmucony i zawiedziony w swych ludzkich uczuciach, rzucił się z jeszcze większym uniesieniem w ramiona nauki, tej siostry, która przynajmniej nie śmieje ci się w sam nos i odplaca zawsze – choć czasami monetą nieco wytartą

– za troskliwość i staranie. Stawał się więc coraz bardziej uczony, a zarazem – naturalnym biegiem rzeczy – coraz bardziej surowy jako ksiądz, coraz bardziej smutny jako człowiek. W każdym z nas bowiem istnieje jakaś współzależność inteligencji, obyczajów i usposobienia, których rozwój jest łączny i ciągły, a których związek może zostać zerwany tylko podczas wielkich przewrotów w naszym życiu.

A że Klaudiusz Frollo już we wczesnej młodości przebiegł prawie pełny krąg ludzkiego poznania, krąg nauk pozytywnych, zewnętrznych i dozwolonych, by nie zatrzymać się, *ubi defuit orbis* trzeba mu było iść dalej i poszukać innych pokarmów dla nie nasyconego w swej ruchliwości umysłu. Starożytny symbol węża zjadającego swój własny ogon pasuje przede wszystkim do nauki. Podobno Klaudiusz Frollo doświadczył tego na własnej skórze. Kilka wiarygodnych osób utrzymuje, że po wyczerpaniu *fas* wiedzy ludzkiej ośmielił się wkroczyć w *nefas*. Kosztował – jak powiadają – wszystkich po kolei jabłek z drzewa poznania i z głodu czy może z niesmaku ukąsił wreszcie owocu zakazanego. Jak to już wiedzą nasi czytelnicy, brał on udział i w naradach teologów na Sorbonie, i w zgromadzeniach mistrzów sztuk wyzwolonych pod wizerunkiem św. Hilarego, w dysputach prawników pod wizerunkiem św. Marcina i w kongregacjach medyków u kropielnicy katedry Marii Panny, *ad cupam nostrae Dominae*; pożarł był wszystkie dozwolone i zachwalane dania, jakie tylko te cztery, wielkie kuchnie, zwane czterema fakultetami, były w stanie przygotować i podać rozumowi ludzkiemu; pożarłszy je poczuł przesyty, lecz nie zdołał zaspokoić głodu; wówczas drążyć zaczął dalej, głębiej pod całą tą nauką, skończoną, materialną, ograniczoną; naraził, być może, zbawienie swojej duszy i zasiadł w podziemiu, u tajemniczego stołu alchemików, astrologów i hermytyków, którego średniowieczny koniec zajmują Averroes, Wilhelm z Paryża i Mikołaj Flamel i który ciągnie się w blasku siedmioramiennego świecznika aż do Starożytnego Wschodu, aż do Salomona, Pitagorasa, i Zoroastra.

Tak przynajmniej przypuszczano – może słusznie, może niesłusznie.

Rzecz to niewątpliwa, że archidiakon odwiedzał często cmentarz Św. Młodzianków, gdzie, prawda, byli pochowani jego ojciec i matka razem z innymi ofiarami zarazy 1466 roku – lecz modlił się tam podobno nie tyle u krzyża na ich mogile, co u dziwacznych figur, obficie zdobionych stojące obok siebie grobowce Mikołaja Flamela i Klaudii Pernelle.

Rzecz to niewątpliwa, że widywano, jak szedł ulicą Lombardczyków i wchodził ukradkiem do niewielkiego domku na rogu ulicy Pisarzy i ulicy Marivaal. Dom ten wybudował Mikołaj Flamel, tam też umarł w roku 1417; od tej pory dom stał pusty i zaczynał już się rozsypywać, tak bardzo bowiem hermytycy i poszukiwacze kamienia filozoficznego nadwątlili jego ściany ryjąc w nich swoje imiona. Niektórzy z mieszkających w pobliżu utrzymywali nawet, jakoby pewnego razu widzieli przez piwniczne okienka archidiakona Klaudiusza przekopującego i przesypującego ziemię w tych dwu piwnicach, których całe ściany zasmarowane zostały niezliczonymi wersetami i hieroglifami jeszcze przez samego Mikołaja Flamela. Przypuszczano, że Flamel zakopał kamień filozoficzny gdzieś w tych piwnicach i przez dwa stulecia alchemicy, poczynając od Magistriego, a kończąc na ojcu Pacyfiku, niezmordowanie ryli w ich klepsku, aż wreszcie dom, tak bezlitośnie podkopywany, rozsypał się w proch pod ich stopami.

Rzecz to również niewątpliwa, że archidiakon ze szczególną pasją umiłował symboliczny portal katedry Marii Panny, tę stronicę z czarodziejskiej księgi, zapisaną przez biskupa Wilhelma z Paryża, z pewnością potępionego za umieszczenie tak piekielnej karty tytułowej na świętym poemacie, który po wiek wieków wyśpiewuje reszta budowli. Utrzymywano również, że archidiakon Klaudiusz zgłębił tajemnicę kolosalnego posągu św. Krzysztofa i tej zagadkowej, wydłużonej figury, która stała wówczas u wejścia na plac Katedralny i którą lud przezwiał szyderczo „Szarym jegomościem”. Zaś wszyscy mogli naocznie stwierdzić, że przesiadywał nie

kończące się godziny na murku katedralnego placyku i oglądał z uwagą rzeźby portalu przypatrując się to pannom głupim z przewróconymi lampami, to znów pannom mądrym trzymającym w ręku swoje lampy; kiedy indziej znów obliczał ką, pod którym pada spojrzenie kruka umieszczonego na lewym portalu i wpatrującego się w jakiś tajemniczy punkt w kościele, gdzie z pewnością został ukryty kamień filozoficzny, jeżeli nie ma go w piwnicy Mikołaja Flamela. Wspomnijmy to mimochodem, że niezwykle zaiste los przypadł wówczas w udziale kościołowi Marii Panny: kochały go tak gorąco a tak rozmaicie dwie istoty tak do siebie niepodobne jak Klaudiusz i Quasimodo; jeden coś w rodzaju półczłowieka, pierwotny i dziki, kochał kościół za jego piękno, za ogrom, za harmonię, jaką tchnie jego wspianiała całość, drugi, o wyobraźni uczonej i namiętnej, kochał go za jego znaczenie, za mit, za sens, który zawarł w sobie, za symbol rozrzucony pod rzeźbami fasady niby pierwotny tekst pod drugim pismem w palimpseście, jednym słowem – za zagadkę, którą zadaje od wieków rozumowi człowieka.

Rzecz to niewątpliwa wreszcie, że archidiakon urządził sobie w tej z dwu wież, której otwory okienne wychodzą na plac Grève, tuż obok klatki dzwonów, niewielką celkę, odosobnioną, tajemniczą, do której nikt, nawet biskup, jak powiadano, nie wchodził bez jego zezwolenia. Celka znajdująca się prawie na samym szczycie wieży, wśród kruczych gniazd, służyła niegdyś biskupowi Hugonowi z Besançon, który uprawiał w niej swego czasu czarnoksiężskie praktyki. Nikt nie wiedział, co się tam kryło, lecz często nocą z piaszczystego wybrzeża Wygonu widywano w niewielkim okienku, przebitym w tylnej ścianie wieży, czerwony blask, który pojawiał się i znikał w krótkich a równych odstępach, blask migotliwy, dziwny, którego źródłem było nie światło chyba, lecz płomień rozniecany miarowym oddychaniem miecha. Blask ów – z tak wysoka, wśród ciemności czynił niesamowite wrażenie i kumoszki mawiały: „Archidiakon znów dmucha! Iskry piekielnie trzaskają tam w górze!”

Zapewne, wszystko to nie świadczyło jeszcze o uprawianiu czarów, ale dość było tego dymu, aby móc przypuścić, że ogień się pali; toteż groźne słuchy krążyły o archidiakonie. Choć przyznać trzeba, że nauki egipskie, że nekromancja, że magia – ta najbielsza nawet i najbardziej niewinna – nie miały zażartszego wroga i bezlitośniejszego oskarżyciela przed sędziami oficjałatu katedry. Czy była to szczerza odraza? Czy też podstęp rzezimieszka, który krzyczy: „Łapaj złodzieja!”, tak czy owak, archidiakon uważany był przez uczone głowy kapituły za duszę, co zapuściła się aż do przedsionka piekieł, zagubiła w jaskiniach kabalistyki i błąka się po omacku wśród mroków nauk tajemnych. Lud również nie dawał się zmylić: w oczach każdego, co miał w sobie choć odrobinę bystrości, Quasimodo uchodził za diabła, Klaudiusz Frolo za czarownika. Było oczywiste, że dzwonnik miał służyć archidiakonowi przez czas wyznaczony, po czym jako zapłatę zabierze jego duszę. Toteż archidiakon, mimo niezmiernej surowości obyczajów, nie cieszył się dobrą sławą wśród pobożnych dusz i nos najbardziej nawet niedoświadczonej dewotki musiał zwęszyć w nim czarnoksiężnika.

Lecz z latami nie tylko w wiedzy starzejącego się Klaudiusza, ale również i w sercu jego otworzyły się przepaście. Takie przynajmniej można było mieć wrażenie przyglądając się temu obliczu, na którym dusza przebłyskiwała poprzez jakiś posepny obłok. Skąd mu się wzięło to ogromne łyse czoło, ta głowa zawsze spuszczone, ta pierś zawsze poruszana westchnieniem? Jaka myśl tajemna kazała uśmiechać się tym ustom z taką goryczą w tej samej chwili, kiedy ściągnięte brwi jego zbliżały się ku sobie, niby dwa byki gotowe do walki? Dlaczego posiwiiała już resztką jego włosów? Jaki trawił go ogień wewnętrzny, buchający czasem z jego spojrzenia tak silnie, że oko wydawało się dziurą przewierconą w ścianie pełnego żaru pieca?

Te objawy gwałtownych trosk moralnych osiągnęły szczególnie wysoki stopień nasilenia w tej epoce, w której rozgrywa się nasza historia. Nieraz zdarzało się, że chłopiec z chóru uciekał w przestraszu, kiedy go spotkał samego w kościele, tak bowiem niesamowity i świecący był jego

wzrok. Nieraz zdarzało się, że w prezbiterium podczas nabożeństwa księża, siedzący obok archidiakona w stalli, słyszeli, jak w tekst kościelnego chorału *ad omnem tonum* wplata jakieś niezrozumiałe słowa. Nieraz zdarzało się, że praczka z Wygonu, która opierała kapitułę, nie bez przerażenia znajdowała ślady paznokci i zaciśniętych palców na komży archidiakona jozajskiego.

Równocześnie wzrosła surowość jego obyczajów, nigdy jeszcze nie żył tak przykładnie. Zarówno ze stanu swego, jak i z usposobienia zawsze stronił od kobiet, wydawało się, że teraz nienawidzi ich bardziej jeszcze niż kiedykolwiek. Od najlżejszego szelestu jedwabnej spódnicy spadał mu kaptur na oczy. Tak pod tym względem przestrzegał umiarkowania i wstrzeźliwości, że kiedy pani de Beaujeu, córka króla, przybyła zwiedzić w grudniu 1481 roku krużganek katedry Marii Panny, sprzeciwił się stanowczo jej wejściu powołując się wobec biskupa na statut Czarnej Księgi, wydany w wigilię św. Bartłomieja 1334 roku, który broni wstępu do krużganek kobietom, i to „każdej, młodej czy starej, pani czy służce”. W odpowiedzi na co biskup musiał przypomnieć mu rozporządzenie legata Odon, który wytacza z tego zakazu pewne wielkie damy, *aliquae magnates mulieres, quac sine scandalo evitari non possunt*. Archidiakon znów się sprzeciwił powołując się na to, że rozporządzenie legata pochodzące z roku 1207, jako wcześniejsze o sto dwadzieścia siedem lat od Czarnej Księgi, zostało przez nią siłą faktu uchylone. I nie wyszedł na powitanie księżny.

Zauważono ponadto, że nienawiść jego do Egipcjanek i Cyganków od pewnego czasu znacznie się wzmogła. Wyprosił u biskupa edykt, jak najsurowiej zakazujący Cygankom tańców i bicia w bębenek na placu przed katedrą; w tym samym też okresie począł wertować zapleśniałe archiwa sądu oficjałatu, szukając w nich wzmianek o czarownikach i czarownicach skazanych na stos lub stryczek za nieczyste kumanie się z capami, maciorami i kozami.

VI

NIEPOPULARNOŚĆ

Archidiakon i dzwonnik, jak to już powiedzieliśmy, mierną raczej cieszyli się miłością – i znaczniejszych mieszkańców, i pospólstwa z okolic katedry. Kiedy Klaudiusz i Quasimodo wychodzili razem – a zdarzało się to często – kiedy jeden za drugim, sługa za panem, szli przez chłodne, wąskie i ciemne uliczki przykościelne, niejedno przekleństwo, niejedna szydercza przyśpiewka, niejednen żart obraźliwy padał w ślad za nimi, chyba że Klaudiusz Frollo – a zdarzało się to bardzo rzadko – szedł z podniesioną głową; wtedy milkli szydercy na widok jego surowego, niemal dostojnego czoła.

W dzielnicy swojej byli jak ci „poeci”, o których mówił Régnier:

Wszelkiej miary ludzie w ślad poetów dążą,

Jak za sową piegże, kiedy wrzeszcząc krążą.

To podstępny jakiś dzieciak ryzykował swą skórę i kości dla niewysłowionej, przyjemności wbicia szpilki w garb Quasimodo. To znów jakaś ładna dziewczyna, swawolna i bardziej zuchwała, niżby należało, musnęła przechodząc czarną sutannę księdza i zanuciła mu prosto w nos drwiącą śpiewkę:

Cip, cip, złapali diabła!

Czasem bezzębne staruszki, które usadowiły się na schodkach, w cieniu przedsionka, na widok archidiakona, mijającego je w asyście dzwonnika, pomrukiwały niechętnie a głośno i

rzucały mu na powitanie: „O, widzicie go! Taką samą duszę ma, jak tamten ciało!” Kiedy indziej znów gromada żaków i uliczników grających w klasy podrywała się na ich widok i pozdrawiała z wrzaskiem po łacinie: „Eia, eia Claudius cum claudio!”

Najczęściej jednakże obelgi nie docierały ani do księdza, ani do dzwonnika. Quasimodo był zbyt głuchy, a Klaudiusz zbyt zadumany, by słyszeć wszystkie te uprzejmości.

Księga piąta

I

ABBAS BEATI MARTINI

Sława wielebnego Klaudiusza rozniosła się daleko. Tej właśnie sławie w tym samym mniej więcej czasie, kiedy odmówił był udziału w przyjmowaniu księżny, zawdzięczał wizytę, której wspomnienie na długo zachowało się w jego pamięci.

Był wieczór. Powrócił właśnie po nabożeństwie do swej kanonickiej celi w krużganku katedry. Cella ta, oprócz może tylko kilku butli szklanych, odsuniętych w kąt i napełnionych jakimś dziwnym proszkiem, który bardzo przypominał proch palny, nie miała w sobie nic niezwykłego, nic tajemniczego. Na ścianach widniały wprawdzie tu i ówdzie jakieś napisy, lecz były to sentencje naukowe i religijne zaczerpnięte z najlepszych autorów. Archidiakon zasiadł właśnie w świetle trójramiennego świecznika przed szerokim pulpitem zawalonym manuskryptami. Wsparł łokieć o rozłożoną księgę Honoriusza z Autun *De praedestinatione et libero arbitrio* i w głębokim zamyśleniu przerzucał karty drukowanego foliału, który przyniósł był przed chwilą, jedyne wytworu tłoczni drukarskiej, jaki się w jego celi znajdował. Kiedy tak siedział w zadumie, zapukano do drzwi.

– Kto tam? – krzyknął uczony uprzejmym głosem głodnego brytana, któremu ktoś przeszkadza w ogryzaniu kości.

Zza drzwi odezwano się w odpowiedzi:

– Przyjaciel wasz, Jakub Coictier.

Archidiakon otworzył.

Był to rzeczywiście lekarz króla, człowiek pięćdziesięcioletni, którego surową fizjonomię łagodziło tylko chytre spojrzenie. Towarzyszył mu jakiś drugi mężczyzna. Obaj mieli na sobie długie, szarobłękitne szaty podbite popielicami, zapięte aż po szyję i przewiązane w pasie, a na głowach – birety tej samej barwy i z tej samej tkaniny. Dłonie ich kryły się w rękawach, stopy pod długą szatą, oczy pod biretem.

– Boże, bądź mi miłościw! – rzekł archidiakon wprowadzając ich do swej celi. – Nie spodziewałem się tak zaszczytnych odwiedzin o tak późnej porze. – I przemawiając tymi grzecznymi słowy spoglądał to na lekarza, to na jego towarzysza wzrokiem niespokojnym i badawczym.

– Nigdy nie jest za późno na odwiedziny u tak znakomitego uczonego jak wielebny Klaudiusz Frollo – odparł doktor Coictier. Wymawiane przezeń z fraszkontyjskim akcentem zdania wlokły się majestatycznie, niby płaszcz z ogonem.

I oto pomiędzy lekarzem i archidiakonem rozpoczął się jeden z owych prologów polegających na wzajemnym prawieniu sobie grzeczności, które wówczas według obyczaju rozpoczynały każdą rozmowę między uczonymi, nie przeszkadzając im zresztą nienawidzić się jak najserdeczniej. Zdarza się to i po dziś dzień jeszcze, usta uczonego chwalać kolegę – to kielich z żółcią zaprawioną miodem.

Grzeczne słowa, z jakimi Klaudiusz Frollo zwracał się do Jakuba Coictier, odnosiły się przede

wszystkim do licznych korzyści doczesnych, które cny medyk w ciągu swej kariery tak wiele wzbudzającej zawiści potrafił wyciągnąć z każdej choroby króla, były to prawdziwe dzieła alchemii, i to lepszej i pewniejszej niż poszukiwanie filozoficznego kamienia.

– Szczerze powiadam wam, imię doktorze Coictier, z wielką radością dowiedziałem się o biskupstwie siostrzeńca waszego, przewielebnego pana Piotra Versé. Został on wszakże biskupem Amiens?

– Tak, wielebny archidiakonie, łaska to i miłosierdzie boże.

– Zaiste, w dzień Bożego Narodzenia na czele waszej izby skarbowej znakomicie prezentowaliście się, waszmość prezydencie.

– Drugi, tylko drugi prezydencie, ojczu Klaudiuszu! Nie więcej, niestety!

– A jakże tam postępuje budowa waszego pięknego domu przy ulicy Św. Andrzeja pod Arkadami? Toż to Luwr prawdziwy! Bardzo mi się spodobało drzewko morelowe wyrzeźbione nad drzwiami i ta ucieszna gra słów *A l-abri-côtier*.

– Niestety, słono mnie kosztuje ten dom, ojczu Klaudiuszu. Im dalej budowa postępuje, tym bardziej jestem zrujnowany.

– Ejże! Czyż nie macie dochodów z więzienia i urzędu bajliwa Pałacu Sprawiedliwości oraz dzierżawy ze wszystkich domów, jatek, kramów i straganów targowych w jego obrębie? Dojna to krówka!

– Z kasztelami Poissy nic nie dostałem w tym roku.

– Lecz myta z Triel, od Świętego Jana i Saint-Germain-des-Prés znaczne wam przecie przynoszą korzyści.

– Ledwie sto dwadzieścia grzywien, i to nawet nie paryskich.

– Zajmujecie przecież urząd radcy królewskiego ze stałą pensją.

– Tak, ojczu Klaudiuszu, ale ta przekłeta senioria w Poligny, koło której narobiło się tyle szumu, nie przynosi mi przeciętnie nawet i sześćdziesięciu złotych skudów na rok.

W grzecznych słowach, z jakimi wielebny Klaudiusz zwracał się do Jakuba Coictier, brzmiała ironia, gorycz i ukryta drwina zaprawiona smutnym a okrutnym uśmiechem człowieka nieprzeciętnego i nieszczęśliwego, który gwoli rozrywki przez chwilę szydzi z przyziemnego powodzenia miernoty. Lecz medyk tego nie spostrzegął.

– Na mą duszę! – rzekł wreszcie Klaudiusz ściskając mu dłoń – cieszę się, że w tak dobrym widzę was zdrowiu.

– Dziękuję, ojczu Klaudiuszu.

– A właśnie! – zawołał wielebny Klaudiusz. – Jakże się ma wasz królewski pacjent?

– Licho opłaca swego medyka – odrzekł lekarz rzucając z ukosa spojrzenie na swego towarzysza.

– Tak sądzicie, waszmość Coictier? – odparł nieznajomy. Słowa te wymówione ze zdziwieniem i wymówką zwróciły nań uwagę archidiakona, który, prawdę mówiąc, odkąd nieznajomy przekroczył próg jego celi, ani na chwilę nie przestał go obserwować. I zaiste, tylko wielu powodom, dla których Klaudiusz musiał się liczyć z doktorem Jakubem Coictier, wszechmocnym medykiem Ludwika XI, należało zawdzięczać, że zgodził się wpuścić go do swej celi w towarzystwie obcego. Toteż wyraz jego twarzy nie był bynajmniej serdeczny, kiedy Jakub Coictier rzekł:

– A właśnie, ojczu Klaudiuszu, przyprowadziłem do was kamrata, który, słysząc o was wiele, zapragnął was poznać.

– Jegomość zajmuje się nauką? – zapytał zwracając swój przenikliwy wzrok na towarzysza doktora Coictier. Spod brwi nieznajomego błysnęło spojrzenie nie mniej bystre, nie mniej zuchwałe.

O ile tylko pozwalało sądzić słabe światło lampy, był to starzec mniej więcej sześćdziesięcioletni, średniego wzrostu; wyglądał na schorowanego i steranego wiekiem. W rysach jego, pospolitych, mieszczańskich, była jakaś dziwna siła i surowość; źrenice połyskiwały pod wydatnym łukiem brwi, jak światełka w głębi pieczary, a pod biretem, nasuniętym prawie na nos, wyczuwało się szeroko sklepione czoło geniusza.

Na pytanie archidiakona odpowiedział sam.

– Wielebny ojciec – rzekł poważnym głosem – sława twoja dotarła do mnie i pragnę zasięgnąć twojej rady. Jestem tylko ubogim szlachcicem z prowincji, który zdejmuję obuwie, nim wejdzie w progi mędrca. Poznajcie imię moje. Nazywam się Tourangeau.

„Niezwykłe nazwisko dla szlachcica!” – pomyślał archidiakon. Czuł jednak, że znajduje się wobec jakiejś powagi i siły. Instykt wielkiej inteligencji kazał mu odgadnąć inteligencję nie mniej wielką pod podbitym futrem biretem imć Tourangeau, i kiedy tak przyglądał się poważnej twarzy gościa, ironiczny uśmiech, który obecność Jakuba Coictier przywiodła na jego posępne oblicze, nikł powoli, jak niknie zmierzch na nocnym niebie. Ponury i milczący usiadł w swym wielkim fotelu, zwykłym sobie ruchem łokieć wsparł na stole, czoło na dłoni. Rozmyślał przez chwilę, po czym skinął na swych gości, by usiedli i przemówił zwracając się do imć Tourangeau:

– A w jakiejże to dziedzinie wiedzy chcielibyście zasięgnąć mojej rady, panie?

– Wielebny ojciec – odparł imć Tourangeau – jestem chory, bardzo chory.

Powiadają, żeście wielkim eskulapem, przychodzę więc do was jako do medyka.

– Do medyka! – rzekł archidiakon i pokiwał głową. Przez chwilę zamyślił się, po czym odezwał się znowu:

– Panie Tourangeau, skoro takie jest imię waszmości, obróćcie się. Odpowiedź moja znajdziecie wypisaną na ścianie.

Tourangeau usłuchał i odczytał napis wyryty na murze, tuż nad jego głową: „Medycyna jest córą snów. Jamblich.”

A tymczasem doktor Jakub Coictier wysłuchał pytania towarzysza swego z niechęcią, która wzrosła w dwójnasób po odpowiedzi wielebnego Klaudiusza. Pochylił się do ucha imć Tourangeau i szepnął cicho, aby archidiakon nie usłyszał:

– Uprzedzałem was, że to szaleniec! Lecz chcieliście go jednak zobaczyć.

– Bardzo możliwe, że szaleniec ten ma słuszość, doktorze Jakubie – odparł równie cicho Tourangeau z gorzkim uśmiechem.

– Wasza wola! – odparł mu sucho Coictier. Po czym zwrócił się do archidiakona:

– Szybko dajecie odpowiedzi, ojciec Klaudiuszu, i poradziście sobie z Hipokratesem tak łatwo, jak małpa z orzechem. Medycyna – snem! Wątpię, czy fabrykanci leków i balsamów powstrzymaliby się od ukamienowania was, gdyby tutaj byli. A więc negujecie działanie wywarów na krew, działanie maści na ciało? Zaprzeczacie istnieniu tej odwiecznej apteki kwiatów i metali, zwanej światem, a stworzonej umyślnie dla odwiecznego chorego, któremu na imię człowiek?

– Nie zaprzeczam istnienia ani apteki, ani chorego – odparł chłodno wielebny Klaudiusz. – Nie wierzę tylko w lekarza.

– A więc to nieprawda – zawołał zapalczywie Coictier – że podagra to liszaj, co znajduje się we wnętrzu ciała, że ranę od kuli armatniej leczy się przykładaniem upieczonej myszy, że młoda krew stosownie zaparzona przywraca młodość starym żyłom; a więc nieprawda, że dwa i dwa to cztery i że po *emproshotonos* następuje *opisthotonos*?

– O pewnych rzeczach myślę w pewien sposób – odparł spokojnie archidiakon.

Coictier poczerwieniał ze złości.

– No, no, mój poczciwy Coictier, nie gniewajmy się – rzekł imć Tourangeau. – Wielebny

archidiakon jest naszym przyjacielem.

Coictier uspokoił się i tylko mruknął półgłosem:

– Ostatecznie... przecież to tylko szaleniec.

– Do licha, mistrzu Klaudiuszu – odezwał się znów imię Tourangeau po chwili milczenia – a to dopiero kłopot! Chciałem zasięgnąć u was dwóch rad, w sprawie mojego zdrowia i w sprawie mojej gwiazdy.

– Panie – odparł archidiakon – jeżeli mieliście ten tylko zamiar, daremnie zasapaliście się na stopniach moich schodów. Nie wierzę w medycynę. Nie wierzę w astrologię.

– Naprawdę? – rzekł ze zdziwieniem imię Tourangeau.

Coictier śmiał się z przymusem.

– Widzicie przecie, że to szaleniec – rzekł po duchu do imię Tourangeau. – Nie wierzy w astrologię.

– Czyż można wyobrazić sobie – ciągnął ojciec Klaudiusz – że każdy promień gwiazdy jest nicią przytwierdzoną do głowy człowieka?

– W cóż więc wierzycie? – zawołał imię Tourangeau.

Archidiakon jakby zawahał się chwilę, po czym na wargach jego pojawił się posępny uśmiech, który wydawał się zaprzeczać odpowiedzi:

– Credo in Deum.

– *Dominum nostrum* – dodał zegnając się znakiem krzyża imię Tourangeau.

– Amen – rzekł Coictier.

– Wielebny ojciec – powiedział imię Tourangeau – dusza moja raduje się wielce widząc was tak utwierdzonym w świętej wierze naszej. Lecz, o mędrze wielki, czyż jesteś nim do tego stopnia, że całkiem przestałeś wierzyć w naukę?

– Nie! – rzekł archidiakon, chwytając imię Tourangeau za ramię, a w jego matowej źrenicy zapaliła się błyskawica entuzjazmu. – Nie! Nie zaprzeczam istnieniu nauki. Długo czołgałem się ryjąc pazurami w ziemi, poprzez niezliczone rozgałęzienia tego lochu i zawsze widziałem przed sobą, w oddali, u samego końca ciemnego korytarza światło, płomień, coś, co jest chyba blaskiem oślepiającego, głównego laboratorium, w którym mądrym i cierpliwym udaje się zaskoczyć Boga!

– A więc – przerwał mu Tourangeau – cóż wreszcie uważacie za pewne i prawdziwe?

– Alchemię!

Coictier oburzył się:

– Dalibóg, ojciec Klaudiuszu, alchemia to wielka nauka bez wątpienia, ale czemuż to bluźnicie przeciwko medycynie i astrologii?

– Wasza wiedza o człowieku jest nicością. Wasza wiedza o niebie jest nicością – rzekł archidiakon władcym głosem.

– Szybko rozprawiliście się z Epidaurem i Chaldea – odparł medyk z drwiną.

– Posłuchajcie więc, imię Jakubie. Będę mówił uczciwie. Nie jestem królewskim lekarzem i najjaśniejszy pan nie obdarował mnie ogrodem Dedala, bym obserwował stamtąd konstelacje. Nie obrażajcie się i posłuchajcie! Jakąż to prawdę zawdzięczacie już nie medycynie, która jest czystą nedorzecznnością, ale astrologii? Wymieńcie mi właściwości pionowego bustrofedona³, wskażcie odkrycie dokonane przy pomocy liczby ziruph i liczby zephirod.

– Czyżbyście nie uznawali sympatycznej siły kluczykowej kostki i kabalistyki, która z niej wynika?

– Jesteście w błędzie, imię Jakubie! Żadna z waszych formułek nie prowadzi do prawdy rzeczywistej. Alchemia zaś dokonała odkryć. Czy możecie podać w wątpliwość takie oto jej wyniki: lód przez tysiąc lat leżący pod ziemią zamienia się w kryształ górski; ołów jest proajcem

wszystkich metali – gdyż złoto nie jest metalem, złoto jest światłem; ołów potrzebuje zaledwie czterech okresów trwających po dwieście lat, aby przechodzić kolejno ze stanu ołowiu w stan czerwonego arseniku, z czerwonego arseniku w cynę, z cyny w srebro. Są to fakty, prawda? Ale ci, co wierzą w kluczykową kostkę, w linię losu i gwiazdy są równie śmieszni jak ci, co by razem z mieszkańcami Wielkiego Kataju wierzyli, że wilga zmienia się w kreta, a ziarna zboża w złote rybki.

– Studiowałem hermetykę – zawołał Coictier – i utrzymuję...

Zapalczywy archidiakon nie pozwolił mu dokończyć:

– A ja studiowałem medycynę, astrologię i hermetykę. Tylko tutaj jest prawda (mówiąc te słowa, wziął stojącą na skrzyni butlę pełną proszku, o której już wspomnieliśmy wyżej). Tylko tutaj jest światło! Hipokrates to urojenie; Urania to urojenie; Hermes – to myśl. Złoto – to słońce; kto robi złoto – ten jest Bogiem.

Oto jedyna nauka. Zgłębiłem medycynę i astrologię i powiadam wam: nicość! Nicość! Ciało ludzkie – mroki, gwiazdy – mroki!

I upadł na fotel, a postać jego wyrażała moc i natchnienie. Imć Tourangeau przypatrywał mu się w milczeniu. Coictier usiłował uśmiechnąć się drwiąco, nieznacznie wzruszał ramionami i powtarzał po cichu:

– Szaleniec!

– No i co? – rzekł nagle Tourangeau – osiągnęliście ów cel cudowny? Zrobiliście złoto?

– Gdybym je zrobił – odparł archidiakon wymawiając słowa wyraźnie i wolno, jak człowiek, który się zastanawia – król Francji nie nazywałby się Ludwikiem, lecz Klaudiuszem.

Tourangeau zmarszczył brwi.

– Co ja mówię! – z pogardliwym uśmiechem ciągnął ojciec Klaudiusz. – Cóż znaczyłby dla mnie tron Francji, skoro mógłbym odbudować cesarstwo Wschodu.

– Niech i tak będzie! – rzekł Tourangeau.

– O, nieszczęsny szaleniec! – szepnął Coictier.

A archidiakon mówił dalej, jakby już tylko odpowiadając własnym myślom:

– Lecz nie, czołgam się jeszcze; ranie sobie twarz i kolana o kamienie podziemnych dróg. Czasem ujrzę na mgnienie, ale jeszcze nie oglądam, nie czytam jeszcze, a sylabizuję dopiero!

– A kiedy nauczycie się czytać – zapytał imć Tourangeau – to zrobicie złoto?

– Któż w to może wątpić – odparł archidiakon.

– W takim razie, a wie Najświętsza Maria Panna, jak bardzo potrzebuję pieniędzy, chciałbym nauczyć się czytać z waszych ksiąg. Powiedzcie, wielebny ojcze, czy nauka wasza nie jest wroga lub niemiła Najświętszej Marii Pannie?

Na to pytanie wielebny Klaudiusz spokojnie a wyniośle tyle tylko odpowiedział:

– A czym jestem archidiakonem?

– Prawda, prawda, ojcze. Czy zechcecie więc wtajemniczyć mnie? Pozwólcie mi sylabizować razem z wami.

Klaudiusz przybrał postawę majestatyczną i pontyfikalną, godną arcykapłana Samuela.

– Starcze, na przedsięwzięcie tej podróży poprzez tajemnicę trzeba wielu długich lat, których tobie już nie stanie. Głowa twoja jest całkiem siwa! Z podziemi tych wychodzi się wprawdzie zawsze siwowłosym, lecz wchodzić w nie trzeba wcześniej, póki jeszcze ani jeden włos nie zbiałał na głowie. Nauka sama dobrze umie orać, wysuszać i niszczyć ludzkie twarze, na co jej starość z obliczem pokrytym zmarszczkami? Jeżeli jednak władza wami jeszcze pragnienie rozpoczęcia nauki w waszym wieku i poznawania niebezpiecznego alfabetu mędrców, przyjdźcie do mnie, dobrze, spróbuję. Nie będę zalecał wam, słabemu li starcowi, oglądania izb grobowcowych piramid, o których mówi starożytny Herodot, ani ceglanej wieży w Babilonie, ani

ogromnego sanktuarium z białego marmuru – indyjskiej świątyni w Eklinga. I ja sam nie widziałem ani budowli chaldejskich, wznoszonych podług świętej formy Sikra, ani świątyni Salomona, która jest zniszczona, ani kamiennych bram u grobowca królów Izraela, które są zburzone. Zadowolimy się tymi fragmentami księgi Hermesa, które mamy tutaj. Wytłumaczę wam posąg świętego Krzysztofa, symbol siewcy i symbol dwu aniołów w portalu Kaplicy Królewskiej, z których jeden trzyma dłoń w wazie, a drugi w obłoku.

Przy tych słowach Jakub Coictier, zbity z pantafelów porywczą przemową archidiakona, odzyskał przytomność umysłu i przerwał mu triumfalnym tonem uczonego, który prostuje omyłkę innego uczonego.

– *Erras, amice Ciaudi*. Symbol to nie liczba. Orfeusza bierzesz za Hermesa.

– To wy błaznie – odparł z powagą archidiakon. – Dedal to cokół; Orfeusz to ściana; Hermes to budynek. To całość. Jeżeli chcecie, przyjdźcie do mnie – mówił dale j, obróciwszy się w stronę Tourangeau – pokażę wam cząsteczki złota, które pozostały na dnie tygla Mikołaja Flamela, i porównacie je ze złotem Wilhelma z Paryża. Nauczę was tajemnych właściwości greckiego słowa *peristera*. Przede wszystkim jednak nauczę was odczytywać po kolei marmurowe litery alfabetu, odczytywać granitowe karty księgi. Od portalu biskupa Wilhelma i rotundy Św. Jana przejdziemy do Kaplicy Królewskiej, stamtąd – do domu Mikołaja Flamela przy ulicy Marivault i do jego grobowca na cmentarzu Św. Młodzianków, i do jego dwu szpitali przy ulicy Montmorency. Nauczę was odczytywać hieroglify, którymi są pokryte cztery ogromne kraty żelazne w portalu szpitala Św. Gerwazego i przy ulicy Żelazników. Będziemy także sylabizowali wspólnie fasady kościołów: Św. Kosmy, Św. Genowefy, Św. Marcina i Św. Jakuba koło Rzeźni...

Tourangeau, choć spojrzenie jego było tak mądre i bystre, najwidoczniej od dawna już przestał rozumieć słowa ojca Klaudiusza. Przerwał mu:

– Do licha, a czymże są te wasze księgi?

– Oto jedna z nich – rzekł archidiakon.

I otwierając okno celi wskazał palcem na ogromny kościół Marii Panny, który, odcinając się od rozgwieżdżonego nieba ogromną czarną sylwetą swoich dwu wież i potężnych boków kamiennych, wyglądał jak jakiś olbrzymi dwugłowy sfinks, co usiadł w samym środku miasta.

Archidiakon wpatrywał się przez pewien czas w gigantyczną budowlę, po czym, z westchnieniem wyciągając prawą dłoń w kierunku drukowanej księgi, co leżała otwarta na stole, a lewą w kierunku katedry, rzekł przenosząc smutne spojrzenie z kościoła na książkę:

– Biada! To zabije tamto.

Coictier, który pospiesznie schylił się nad księgą, nie mógł powstrzymać okrzyku zdziwienia:

– Jakże to! I cóż w tym groźnego? Glossa in epistolas D. Pauli. Norimbergae, Antonius Koburger, 1474. To nic nowego. To księga Piotra Lombarda, mistrza sentencji. Czyżby dlatego, że drukowana?

– Rzekliście – odparł Klaudiusz, który stał pogrążony w głębokim zamyśleniu, opierając zgięty palec wskazujący na foliale, co wyszedł był spod słynnej tłoczni w Norymberdze. I z ust jego padły zagadkowe słowa:

– Biada! Biada! Małe rzeczy pokonują wielkie; żab zwycięża bryłę. Szczur z Nilu zabija krokodyla, mała ryba miecznik zabija rekina, księga zabija budowlę.

Kiedy doktor Jakub powtarzał po cichu towarzyszowi wciąż te same słowa: „To szalenie”, a tamten odparł mu tym razem: „I ja też tak sądzę”, zadzwonił klasztorny dzwon.

Po tej godzinie nikt obcy nie mógł pozostawać w klasztorze. Obaj goście wyszli.

– Mistrzu – rzekł imię Tourangeau żegnając się z archidiakonem – cenię uczonych i mędrców, was zaś w szczególnym mam poszanowaniu. Przyjdźcie jutro do pałacu Tournelles i pytajcie o

opata klasztoru Św. Marcina z Tours.

Archidiakon powrócił zdumiony do swojej celi. Zrozumiał nareszcie, kim był imię Tourangeau, przypomniał sobie pewien ustęp z kartularza klasztoru Św. Marcina z Tours: Abbas beati Martini, scilicet rex Franciae, est canonicus de consuetudine et habet parvam praebendam quam habet sanctus Venantius et debet sedere in sede thesaurarii.

Utrzymywano, że poczynając od tamtej chwili archidiakon miewał częste narady z Ludwikiem XI, kiedy jego królewska mość przybywał do Paryża, i że wpływ ojca Klaudiusza niepokoił wielce Oliwiera le Daim i Jakuba Coictier, który swoim zwyczajem ostro ganił za to króla.

II

TO ZABIJE TAMTO

Niechaj czytelniczki wybaczą, że zatrzymamy się na chwilę, aby się zastanowić, jaka to myśl kryła się pod tymi zagadkowymi słowami archidiakona: „To zabije tamto.” Księga zabije budowlę.

Naszym zdaniem myśl ta miała dwa oblicza. Była to przede wszystkim myśl księdza. Był to strach całego stanu kapłańskiego przed nowym czynnikiem – drukiem. Był to lęk i oślepienie człowieka przywykłego do mroków świętego przybytku wobec jasnego światła tłoczni Gutenberga. Bała to ambona i manuskrypt, słowo mówione i słowo pisane odręcznie, przerażone słowem drukowanym. Coś w rodzaju zdumienia wróbla, który by ujrzał anioła imieniem Legion, rozpościerającego swoje sześć milionów skrzydeł. Był to krzyk proroka, który słyszy już zgiełk i wrzawę wyzwolonej ludzkości, który widzi już, jak w przyszłości rozum podkopuje wiarę, jak przekonanie detronizuje religię, jak świat wstrząsa Rzymem. Przepowiednia filozofa, który widzi, jak myśl ludzka, uskrzydłona drukiem, ulatnia się z teokratycznego naczynia. Strach żołnierza, który przygląda się spiżowemu taranowi i powiada: „Runie wieża warowna!” Znaczyło to, że jedna potęga ustąpi miejsca innej potędze, znaczyło to: druk zabije kościół.

Pod tą myślą jednakże – pierwszą i najnaturalniejszą niewątpliwie – kryła się, naszym zdaniem, myśl inna, bardziej nowa, wniosek z tamtej wysnuty, nie tak łatwo jak tamta dostrzegalny i zapewne bardziej sporny, pogląd równie filozoficzny, ale już nie tylko księdza, kapłana, lecz także uczonego i artysty. Było to przecucie, że myśl ludzka, zmieniając swoją formę, zmieni również i środek wyrazu, że idea główna każdego pokolenia nie będzie już odtąd zapisywana w tym samym, co dotychczas, materiale ani w ten sam sposób, że księga kamienna, tak mocna i tak trwała, ustąpi miejsca księdze papierowej, jeszcze mocniejszej i jeszcze trwalszej. Takie było drugie znaczenie niejasnych słów archidiakona; mówiły one, że jedna sztuka zdetronizuje inną sztukę. Znaczyły: słowo drukowane zabije architekturę.

Albowiem od zarania wszechrzeczy aż do piętnastego wieku ery chrześcijańskiej architektura jest wielką księgą ludzkości, głównym sposobem wyrażania się człowieka na różnych stopniach rozwoju jego siły i myśli.

Kiedy pamięć pierwotnych ludów napełniła się, kiedy bagaż wspomnień rodzaju ludzkiego stał się tak ciężki i bezładny, że słowo, nagie i lotne słowo, mogłoby zeń wiele uronić po drodze, zaczęto je zapisywać na ziemi w sposób najbardziej widoczny, najtrwalszy i najprostszy zarazem. Każdą tradycję, każde podanie zamknięto w pomniku.

Pierwszymi takimi pomnikami były zwykle głązy skalne, których, jak powiada Mojżesz, „nie

tknęło żelazo”. Początek architektury podobny był do początków każdego pisma. Najpierw była alfabetem. Ustawiano kamień i była to litera, i każda litera była hieroglifem, i na każdym hieroglifie spoczywały jakieś pojęcia, jak głowica na kolumnie. Tak zaczęły postępować pierwotne ludy, wszędzie w tej samej chwili i na całej powierzchni globu. „Stojący kamień” Celtów odnajdujemy i w Azji, i na Syberii i w pampasach Ameryki.

Później zaczęto składać całe słowa. Położono kamień na kamieniu, połączono granitowe sylaby, pojawiły się nieśmiałe próby zestawiania słów. Celtycki dolmen i kromlech, etruski tumulus, hebrajski galgal – to słowa. Niektóre z nich, tumulusy przede wszystkim, są imionami własnymi. Czasem nawet, kiedy kamieni było dużo, a wybrzeże rozległe, pisano całe zdania. Nagromadzenie kamieni w Carnac jest już takim całym zdaniem.

Wreszcie zaczęto tworzyć księgi. Podania zrodziły symbole i znikły pod nimi, jak pień drzewa znika pod swoim listowiem; symbole te, w które wierzyła cała ludzkość, rosły, mnożyły się, krzyżowały i wikłały coraz bardziej, pierwsze pomniki nie mogły już pomieścić symboli, które przelewały się przez ich brzegi; pomniki te wyrazić były zdolne zaledwie tradycję pierwotną, jak one naga, dosłowną, niejako na ziemi leżącą.

Aby rozkwitnąć, symbol potrzebował budowli. Z rozwojem myśli ludzkiej rozwinęła się architektura; stała się olbrzymką o tysiącu głów i ramion i utrwaliła w kształcie wiecznotrwałym, widzialnym i dotykalnym cały ów chwiejny? niestały symbolizm. Kiedy Dedal, który jest siłą, mierzył, kiedy Orfeusz, który jest umysłem, śpiewał – filar, który jest literą, łuk, który jest sylabą, piramida, która jest słowem, poruszone równocześnie i prawem geometrii, i prawem poezji, łączyły się, wiązały, zespalały, schodziły w dół, wznosiły w górę, ustawiały się obok siebie na ziemi i spiętrzały pod niebo, aż wreszcie, pod dyktando głównej idei epoki, spisały sobą te księgi cudowne, które są zarazem cudownymi budowlami; pagodą w Eklinga, Rhamseion w Egipcie, świątynią Salomona.

Idea-matka, słowo, istniało nie tylko w treści wszystkich tych gmachów, lecz także w ich formie. Świątynia Salomona na przykład nie była tylko oprawą świętej księgi, była ona całą tą świętą księgą właśnie. Na każdym z koncentrycznych pierścieni jej ścian kapłani mogli odczytać słowo przekazane i ujawnione oczom i śledzić jego przemiany od sanktuarium do sanktuarium, by wreszcie w ostatnim tabernakulum uchwycić je w jego formie najbardziej konkretnej, a wciąż architektonicznej: w formie łuku. Tak więc słowo było zamknięte w budowli, lecz obraz jego znajdował się na jej powłoce, jak twarz ludzka na trumnie mumii.

I nie tylko kształt gmachów, lecz również miejsce, które sobie obierały, wskazywało na myśl, którą przedstawiały sobą. Zależnie od treści, radosnej lub posępnej, jaką wyrażał symbol, Grecja wieńczyła swoje pagórki świątynią harmonijną dla oka. Indie pruły swoje góry, by wydrążyć w nich owe niekształtne podziemne pagody, których sklepienia dźwigały gigantyczne rzędy granitowych słoni.

Tak więc przez pierwsze sześć tysięcy lat historii świata, od powstałej w najbardziej niepamiętnych czasach pagody Industanu aż do katedry w Kolonii, architektura była wielkim pismem ludzkości. A jest to tak bardzo prawdziwe, że nie tylko każdy symbol religijny, lecz i każda myśl człowiecza ma w tej ogromnej księdze swoją kartę i swój pomnik.

Każda cywilizacja rozpoczyna się od teokracji, a kończy się demokracją. Prawo, że po jedności następuje wolność, jest zapisane w architekturze. Gdyż, podkreślamy to z wielkim naciskiem, nie należy sądzić, jakoby budownictwo miało moc wzniesienia jedynie świątyni, moc wyrażenia jedynie kapłańskiego mitu i symbolu, moc zapisania w hieroglifach na swych kartach kamiennych jedynie tajemniczych tablic przykazań boskich. Gdyby tak było – ponieważ w każdym społeczeństwie ludzkim nadchodzi chwila, kiedy święty symbol zużywa się i zaciera pod działaniem wolnej myśli, kiedy człowiek wymyka się kapłanowi, kiedy narodził się teorii

filozoficznych i systemów zżera powłokę religii – architektura nie mogłaby odtworzyć tego nowego stanu ludzkiego umysłu; karty jej zapisane po prawej stronie byłyby puste na odwrocie, dzieło jej byłoby urwane, księga jej – niepełna. Lecz tak nie jest.

Weźmy jako przykład średniowiecze, w którym widzimy jaśniej, bo jest nam bliższe. W pierwszym jego okresie, kiedy teokracja organizuje Europę, kiedy Watykan zbiera i grupuje na nowo wokół siebie elementy tego Rzymu, który powstał z Rzymu leżącego w gruzach wokół Kapitolu, kiedy chrześcijaństwo, szperając wśród szczątków poprzedniej cywilizacji, odszukuje wszystkie piętra społecznego układu i odbudowuje z jego ruin nowy hierarchiczny wszechświat, którego kluczem sklepienia jest Kościół, słyhać jak wśród tego chaosu powstaje, po czym powoli pod tchnieniem chrystianizmu, pod dłonią barbarzyńców wyrasta z gruzów umarłych architektur greckiej i rzymskiej – tajemnicza architektura romańska, siostra teokratycznych budownictw Egiptu i Indii, trwałe emblemat czystego katolicyzmu, niezmienny hieroglif jedności papieżstwa. Cała myśl ówczesna została rzeczywiście zapisana w tym surowym stylu romańskim. Wyczuwa się w nim wszędzie władzę, jedność, tajemnicę, absolut, Grzegorza VII; wszędzie ksiądz, nigdzie człowiek; wszędzie kasta, nigdzie lud. Lecz nadchodzą wyprawy krzyżowe. Jest to wielki ruch ludowy; a wszelki wielki ruch ludowy niezależnie od jego przyczyny i celu pozostawia po sobie zawsze, jako osad ostateczny, ducha wolności. Nowe treści wydobywają się na światło dzienne. Oto otwiera się burzliwy okres Żakerii, Pragerii i Lig. Władza się chwiewie, jedność rozszczepia. Feudalizm żąda dla siebie udziału we władzy teokracji, dopóki nie pojawi się – co jest nieuniknione – lud i nie zabierze, jak zwykle, lwiej części. *Qui nominor leo*. Spod władzy Kościoła zaczyna się więc przebijać władza lennego pana, a spod władzy lennego pana – gmina miejska. Oblicze Europy zmieniło się. I cóż! Zmieniło się także oblicze architektury. W ślad za cywilizacją odwraca ona swoją kartę i nowy duch czasów zastaje ją gotową do pisania pod jego dyktando. Powróciła z wypraw krzyżowych z ostrołukiem, jak narody powróciły z wolnością. Wtedy to, podczas gdy Rzym rozpada się powoli, architektura romańska umiera. Hieroglif porzuca katedrę i przenosi się na tarczę herbową baszty rycerskiego zamku, aby dodać blasku feudalizmowi. Sama katedra, owa budowla tak niegdyś dogmatyczna, teraz zagarnięta przez mieszczaństwo, przez gminę, przez wolność, wymyka się księdzu i popada we władanie artysty. Artysta buduje ją wedle swojej chęci. Żegnaj, tajemnico, micie, żegnajcie, boskie przykazania! Oto nadchodzi fantazja i kaprys! Ksiądz, byleby dostał swoją bazylikę i swój ołtarz, nie ma już nic do powiedzenia. Cztery ściany są własnością artysty. Księga architektury nie należy już do duchowieństwa, do religii, do Rzymu; należy do wyobraźni, do poezji, do ludu. Stąd szybkie i niezliczone przemiany tej architektury, która rozwija się tylko przez trzy stulecia, przemiany tak uderzające po zastygłym bezruchu romańszczyzny, w którym trwała ona przez stuleci sześć czy siedem. Sztuka idzie naprzód krokami olbrzymia. Samorodny geniusz ludowy ima się roboty, którą przedtem wykonywali biskupi. Każde plemię wpisuje swoją linijkę do tej księgi; każde pokolenie zeskrobuje stare hieroglify romańskie z fasad katedr, co najwyżej jeszcze tu i ówdzie tylko dostrzec można dogmat prześwitujący spod nowego symbolu, który tu położyła świecka ręka. Pod ludową draperią można zaledwie odgadnąć religijny szkielet. Aż uwierzyć trudno, na ile swobody popalają sobie wówczas architekci, nawet i wobec kościoła. Mamy tu kapitele utkane z mnichów i mniszek, połączonych w bezwstydnym uścisku, w Sali Kominkowej w Pałacu Sprawiedliwości w Paryżu. Mamy przygodę Noego wyrzeźbioną ze „wszystkimi szczegółami” pod wielkim portalem w Bourges. Mamy pijanego mnicha z oślimi uszami, ze szklanicą w dłoni, który śmieje się w nos całemu klasztorowi ze studni opactwa w Bocheville. W epoce tej myśl zapisana w kamieniu korzysta z przywileju, który da się porównać z naszą obecną wolnością prasy. Jest to wolność architektury.

– Wolność ta sięga bardzo daleko. Niekiedy portal, fasada, a nawet cały kościół wyrażają sens

symboliczny, całkiem obcy kultowi lub nawet wrogi Kościołowi – Wilhelm Paryski już w wieku trzynastym, a Mikołaj Flamel w piętnastym zapisali takie buntownicze karty. Św. Jakub koło Rzeźni był całym kościołem sprzeciwu.

Myśl tylko w ten sposób mogła być wówczas wolna; toteż wypowiadała się całkowicie tylko w tych księgach, które zowią się budowlami. Wolna myśl ukształtowana w budowlę – oglądałaby samą siebie paloną ręką kata na placu publicznym, na stosie, gdyby ośmieliła się przybrać nierozważnie formę manuskryptu. Myśl pod postacią portalu kościoła byłaby obecna przy każdej myśli pod postacią książki. Skoro zaś tylko tą drogą, drogą budownictwa ujawnić się mogła, rzuciła się ku niej zewsząd. Stąd ogromna liczba katedr, które pokryły Europę, liczba tak zawrotna, że trudno w nią uwierzyć, nawet po sprawdzeniu. Wszystkie siły materialne, wszystkie siły umysłowe społeczeństwa zbiegły się w jednym punkcie: w architekturze. W ten sposób pod pozorem budowania kościołów Bogu sztuka rozwijała się wspaniale.

Ktokolwiek rodził się wówczas poeta, stawał się architektem. Talenty rozsiane wśród mas i uciskane zewsząd przez feudalizm, niby przez *testudo* spiżowych tarcz, jedno tylko znajdowały ujście – architekturę i ujawniały się w tej tylko sztuce, ówczesne Iliady przybierały kształt katedr. Wszystkie inne sztuki były posłuszne architekturze i służyły jej. Były robotnicami wielkiego dzieła. Architekt, poeta, mistrz łączył w swej osobie rzeźbę, która cyzelowała jego fasady, malarstwo, które iluminowało jego witraże, muzykę, która wprawiała w ruch jego dzwony i dęła w jego organy. A nawet i biedna poezja w dosłownym tego słowa znaczeniu, ta, która upierała się przy nędznej wegetacji w manuskrypcach, chcąc mieć jakieś znaczenie musiała wpasować się w gmach pod postacią hymnu czy chorału; tą samą rolę w gruncie rzeczy odgrywały tragedie Eschyla podczas religijnych świąt w Grecji i Księga Rodzaju w świątyni Salomona.

A więc aż do Gutenberga architektura jest pismem głównym, pismem powszechnym. W tej księdze z granitu, rozpoczętej przez Wschód, a podjętej przez starożytność grecką i rzymską, średniowiecze zapisało ostatnią stronicę. Zresztą to zjawisko następowania architektury ludowej po architekturze kastowej, które zaobserwowaliśmy w średniowieczu, powtarza się przy każdym podobnym ruchu umysłowym ludzkości również i w innych wielkich epokach historii. A więc, żeby pobieżnie bodaj sformułować tu prawo, które należałoby rozwinąć w tomach całych – na dalekim Wschodzie, w tej pierwszej kolebce ludzkości, po architekturze hinduskiej następuje architektura fenicka, ta bujna matka architektury arabskiej; w starożytności – po architekturze egipskiej, której odmianę tylko stanowi styl etruski i budowle cyklopowe, zjawia się architektura grecka i styl rzymski, który jest tylko jej przedłużeniem obciążonym kartagińską kopułą; w czasach nowożytnych – po architekturze romańskiej zjawia się architektura gotycka. A kiedy te trzy szeregi podzielimy na dwie grupy, u trzech starszych siostr – w architekturze indyjskiej, w architekturze egipskiej i w architekturze romańskiej – odnajdziemy ten sam symbol: a więc teokrację, kastę, jedność, dogmat, mit, Boga; a u trzech młodszych siostr – w architekturze femckiej – niezależnie zresztą od różnic w formach, właściwych ich naturze, w architekturze greckiej, w architekturze gotyckiej – odnajdziemy również tę samą treść: a więc wolność, lud, człowieka.

Czy zwie się on braminem, magiem czy papieżem – w budowlach hinduskich, egipskich czy romańskich zawsze czuje się kapłana, i tylko kapłana. Inaczej jest w architekturach ludowych. Są one bogatsze i mniej święte. W fenickiej czuje się kupca; w greckiej – republikanina; w gotyckiej – mieszczanina.

Główne cechy wszelkiej architektury teokratycznej to niezmiennosc, nienawiść do postępu, zachowania tradycyjnych linii, uświęcenie pierwotnych typów, stale podporządkowanie wszelkiego kształtu ludzkiego i przyrodniczego niezrozumiałym kaprysom symbolu. Są to ciemne księgi, które potrafią odczytywać tylko wtajemniczeni. Każdy kształt zresztą, a nawet

każde zniekształcenie ma tutaj swój sens, który mu nadaje nietykalność. Nie żądajcie od budownictw indyjskich, egipskich i romańskich, by zmieniły swój rysunek lub udoskonalily swoją rzeźbę. Dla nich wszelkie udoskonalenie jest bezbożnością. Wydaje się, że w architekturach tych sztywność dogmatu ogarnęła kamienie i po raz wtóry w głąz je obróciła. Główne cechy budownictw ludowych to, odwrotnie: różnorodność, postęp, samodzielność, bogactwo, nieustanny ruch. Oderwały się już od religii na tyle, by pomyśleć o swojej piękności, zadbać o nią i poprawiać nieustannie swój strój z posągów i arabesków. Są z tego świata. Mają w sobie coś ludzkiego, co łączy nieustannie z boskim symbolem, w którego imię w dalszym ciągu jeszcze powstają. Są to budowle przejrzyste, dostępne każdej duszy, każdemu umysłowi, każdej wyobraźni, jeszcze symboliczne, lecz łatwe do zrozumienia jak przyroda. Między architekturą teokratyczną a architekturą ludową istnieje taka sama różnica, jak między językiem liturgicznym a zwykłym językiem, jak między hieroglifem a sztuką, między Salomonem a Fidaszem.

Jeśli streścimy wszystko, co powiedzieliśmy tutaj dotychczas bardzo pobieżnie, opuszczając tysiące dowodów i tysiące drobnych, szczegółowych wyjątków, dochodzimy do wniosku, że do piętnastego wieku architektura była główną kroniką ludzkości, że w tym okresie każda idea nieco bardziej złożona, która się na świecie pojawiła, wyrażała się w budowlu; że miała swój pomnik każda myśl ludowa, że miało swój pomnik każde prawo religii. Że nie było myśli ważnej dla ludzkości, która by nie została zapisana w kamieniu. Dlaczego? Dlatego że każda myśl – czy religijna, czy filozoficzna, dąży do utrwalenia się; dlatego, że idea, która poruszyła jedno pokolenie, chce poruszać następne pokolenia, chce pozostawić po sobie ślad. A jakże niepewna jest nieśmiertelność rękopisu. Jakże inaczej mocną, trwałą i odporną księgą jest budowla. By unicestwić słowo napisane na papierze, dość jest jednej pochodni i jednego barbarzyńcy. By zniszczyć słowo wybudowane, trzeba rewolucji społecznej lub żywiołu. Przez Koloseum przewaliły się hordy barbarzyńców, fale potopu przewaliły się, być może, przez piramidy.

W piętnastym wieku wszystko się zmienia.

Myśl ludzka odkrywa sposób, by uwiecznić się nie tylko trwałej i mocniej niż w architekturze, ale i prościej, jaśniej, łatwiej. Architektura zostaje zdetronizowana. Miejsce kamiennych liter Orfeusza zajmą ołowiane litery Gutenberga.

Księga zabije gmach.

Wynalazek druku jest największym wydarzeniem w historii. To matka rewolucyj. Sposoby wyrażania się ludzkości odnawiają się zupełnie, myśl ludzka porzuca jeden swój kształt i przywdziewa inny, ów wąż symboliczny, który od Adama jest znakiem rozumu, całkowicie i ostatecznie zmienia skórę.

Pod postacią drukowanego słowa myśl ludzka jest bardziej niż kiedykolwiek niezniszczalna; jest lotna, nieuchwytna, wieczna. Frunęła w przestworza. Za czasów architektury stawała się górą, obejmowała w posiadanie jedno stulecie i jedno miejsce. Teraz staje się stadem ptaków, rozlatuje się we wszystkie strony i znajduje się równocześnie we wszystkich miejscach powietrza i przestrzeni.

Powtarzamy: któż nie dostrzeże, że stała się ona tym sposobem o wiele bardziej niezniszczalna? Była mocna, a oto staje się żywotna. Z trwałości przeszła w nieśmiertelność. Można zniszczyć bryłę, lecz jak unicestwić wszechobecność? Choćby nadszedł potop, choćby góra od dawna już nikła pod falami, ptaki będą jeszcze fruwały; i jeśli jedna bodaj arka pływająca będzie na powierzchni kataklizmu, ptaki siądą na niej, popłyną z nią razem, przetrwają z nią razem opadanie wód; i nowy świat, który się z tego chaosu wyłoni, ujrzy budząc się, jak unosi się nad nim skrzydlata i żywa myśl pochłoniętego przez potop świata.

A kiedy uświadomimy sobie, że ten sposób wyrazu nie tylko przechowuje się najtrwalej, lecz jest również najprostsz, najwygodniejszy, najdostępniejszy dla wszystkich, kiedy zdamy sobie

sprawę, że nie wymaga on wielkich, mozolnych przygotowań i ciężkiego sprzętu, kiedy porównamy myśl, która, chcąc wyrazić się w budowlu, musi poruszyć cztery czy pięć innych sztuk i tony złota, i całą górę kamieni, i cały las belek, i cały lud robotników, kiedy ją porównamy z myślą, która staje się książką i której wystarczy trochę papieru, odrobina atramentu i pióro, czyż możemy się dziwić, że rozum ludzki porzucił architekturę dla druku? Przetnijcie zniecka pierwotne łożysko rzeki kanałem wykopanym poniżej jej poziomu, a rzeka porzuci swe dawne łożysko.

Spójrzcie, proszę, jak od chwili wynalezienia druku architektura powoli usycha, marnieje, obumiera. Jakże się czuje, że woda opada, że życiodajne soki uciekają, że myśl czasów i ludów opuszcza ją coraz bardziej. Ostyganie to w wieku piętnastym jest prawie niedostrzegalne, tłocznia jest jeszcze zbyt słaba i wysysa z potężnej architektury co najwyżej tylko nadmiar żywotności. Lecz od szesnastego wieku choroba architektury staje się wyraźna; architektura przestaje treściwie wyrażać społeczeństwo; zmienia się żałośnie w sztukę klasycyzującą; z galickiej, europejskiej, narodowej – staje się grecką i rzymską; z prawdziwej i współczesnej – pseudoantyczną. Ten jej upadek nazwano Odrodzeniem. Upadek świetny wszakże, gdyż stary geniusz gotycki – owo słońce, zachodzące za gigantyczną tłocznią w Moguncji, przeświecła jeszcze przez pewien czas ostatnimi swymi promieniami całe to niejednorodne nagromadzenie łańskich łuków i korynckich kolumnad.

To zachodzące słońce bierzemy za jutrzeńkę.

Kiedy architektura staje się taką samą sztuką jak wszystkie inne, kiedy przestaje być sztuką powszechną, sztuką panującą, sztuką-tyranem – brak jej sił, by zatrzymać przy sobie inne sztuki. Wyzwalają się, zrzucają jarzmo architekta i odchodzą, każda w swoją stronę. I każda z nich zyskuje na tym rozstaniu. Samodzielność jest źródłem wszelkiej wielkości. Ornament rzeźbiarski staje się posągami, malowidło staje się obrazem, kanon staje się muzyką. Rzekłbyś, że Jakieś cesarstwo rozpadło się po śmierci swego Aleksandra i prowincje jego stały się królestwami.

Stąd Rafael, Michał Anioł, Jan Goujon, Palestrina – te chluby olśniewającego szesnastego wieku.

Równocześnie ze sztuką myśl także wyzwala się wszędzie. Już średniowieczni herezjarchowie zrobili w katolicyzmie wielkie szczyby. Wiek szesnasty łamie jedność religijną. Przed wynalazkiem druku reformacja byłaby tylko schizmą, druk zrobił z niej rewolucję. Odbierzcie jej tłocznie, a herezja utraci swą siłę. Z woli przeznaczenia czy z woli Opatrzności Gutenberg jest poprzednikiem Lutra.

Tymczasem, kiedy całkiem już zaszło słońce średniowiecza, kiedy geniusz gotycki zgasł na zawsze na widnokręgu sztuki, architektura traci blask, traci barwę, coraz bardziej zanika. Drukowana książka, ten kornik budownictwa, toczy ją i zżera. Traci korę, traci liście, usycha w oczach. Jest marna, jest biedna, jest żadna. Nic już nie wyraża, nawet i wspomnienia sztuki innego czasu. Ograniczona do samej siebie, porzucona przez inne sztuki, bo ją myśl ludzka porzuciła, nie mając już mistrzów wzywa pomocy rzemieślników. Szyba zastępuje witraż. Kamieniarz następuje po rzeźbiarzu. Zegnaj, siło życiodajna, oryginalności, mądrości! Żałosna żebraczka pracowni wlecze się od kopii do kopii. Michał Anioł, który już w szesnastym wieku wyczuł chyba, że architektura umiera, miał pomysł ostatni, pomysł rozpaczliwy. Ten tytan sztuki ustawił Panteon na Partenonie i zrobił bazylikę Św. Piotra w Rzymie. Dzieło wielkie, które zasługiwało, by pozostać jedyne, ostatni samodzielny czyn architektury, podpis artysty-olbrzyma położony pod ogromnym kamiennym rejestrem, który się zamykał. A po śmierci Michała Anioła cóż czyni ta nieszczęsna architektura, która przeżyła samą siebie pod postacią widma, cienia? Bierze bazylikę Św. Piotra, przerysowuje ją i parodiuje. To mania, żalosna mania. Każde stulecie ma swoją bazylikę Św. Piotra: wiek siedemnasty – Val-de-Grâce, wiek osiemnasty –kościół Św.

Genowefy. Każdy kraj ma swoją bazylikę Św. Piotra. Ma ją Londyn. Ma ją Petersburg. Paryż ma ich aż dwie czy trzy. Nieważny testament, ostatni belkot zgrzybiałej wielkiej sztuki, która przed śmiercią dziecinnieje.

Jeżeli zamiast mówić o budowlach znamiennych jak tamte, zastanowimy się nad ogólnym stanem sztuki budowania od wieku szesnastego po osiemnasty – ujrzymy te same objawy wyczerpania i osłabienia. Od Franciszka II architektoniczna forma gmachów zaciera się coraz bardziej, forma geometryczna występuje coraz wyraźniej, niby kości chorego, który wychudł. Piękne linie sztuki ustępują miejsca chłodnym, obojętnym liniom geometrii. Gmach nie jest już budynkiem, jest wielościanem. Architektura mozoli się jednak, aby ukryć tę nagość. Oto fronton grecki wpisuje się we fronton rzymski i na odwrót. Jest to zawsze Panteon w Partenonie – rzymska bazylika Św. Piotra. Oto domy z cegły Henryka IV, o narożach okładanych kamieniem: plac Królewski, plac Delfina. Oto kościoły Ludwika XIII, ciężkie, przysadziste, sklepione płasko, krępe, dźwigające kopułę niby garb. Oto architektura okresu Mazariniego: kolegium Czterech Nacji, kiepski pastisz włoski. Oto pałace Ludwika XIV, długie koszary dla dworzan, sztywne, zimne, nudne. Oto wreszcie Ludwik XV z cykorią, makaronikami, wszystkimi brodawkami i wszystkimi naroślami, które szpecą tę starą architekturę zgrzybiałą, bezzębną, a mizdrzącą się jeszcze. Od Franciszka II do Ludwika XV zło rośnie w postępie geometrycznym. Architektura to już tylko skóra i kości. Kona, nędznie kona.

A co się dzieje tymczasem z drukiem? Całe życie uchodzące z architektury przechodzi w druk. Im bardziej architektura słabnie, tym bardziej druk rozrasta się i rozwija. Cały kapitał sił, który myśl ludzka zużywała na budowle, zostaje teraz przez nią użyty na druk. Toteż, poczynając od szesnastego wieku, tłocznia, która dorosła już do poziomu schodzącej w dół architektury, walczy z nią i zabija ją wreszcie. W siedemnastym stuleciu druk jest już tak potężny, tak triumfujący? tak pewny siebie w swoim zwycięstwie, że urządza światu święto wielkiego wieku literatury. W osiemnastym stuleciu, po długim odpoczynku na dworze Ludwika XIV, druk chwyta za starą szpadę Lutra, uzbraja w nią Woltera i biegnie z hałasem, by uderzyć na tę sędziwą Europę, której wyraz architektoniczny zabił już przedtem. Kiedy kończy się wiek osiemnasty, druk zniszczył już wszystko. W wieku dziewiętnastym będzie budował od nowa. A teraz pytamy, która z tych dwu sztuk reprezentuje rzeczywiście od trzech stuleci ludzką myśl? Która ją przekazuje? Która wyraża nie tylko jej literackie i scholastyczne manie, lecz także jej szeroki, głęboki i powszechny ruch? Która sztuka towarzyszy, zawsze i nieustannie, maszerującej ludzkości, temu dziwowi o tysiącu nóg? Architektura czy druk?

Druk. Niechaj się nikt nie łudzi, architektura umarła, umarła, bezpowrotnie, zabita przez drukowaną książkę, zabita dlatego, że krócej trwa, zabita dlatego, że i drożej kosztuje. Każda katedra to miliard. Spróbujmy wyobrazić sobie tylko, jakich trzeba by środków, aby spisywać znów architektoniczną księgę, aby znów rozmrowiły się na ziemi tysiące budowli, aby powróciły te czasy, kiedy mnogość gmachów była tak wielka, że jak powiada naoczny świadek: „Rzekłbyś, iż świat otrząsnął się i zrzucił z siebie swe stare odzienie, by przywdziać biały strój z kościołów.” „Erat enim ut si mundus, ipse excutiendo semet, rejecta, vetustate, candidam ecclesiarum vestem indueret.” Glaber Radulphus.

Książka jest tak szybko gotowa, tak niewiele kosztuje i tak daleko dociera! Jakże się tu dziwić, że cała myśl ludzka popłynęła tędy właśnie? Nie znaczy to oczywiście, żeby architektura nie mogła tu czy tam zdobywać się jeszcze na piękny pomnik, na samotne arcydzieło. Na pewno niejedną jeszcze raz za panowania druku powstanie kolumna, odlana z wielu armat, przypuszczam, przez całą armię, podobnie jak niegdyś, za panowania architektury, powstawały iliady i *romanceros*, *Mahabharata* i *Nibelungi* tworzone przez całe narody z nagromadzonych i stopionych razem pieśni. Ów wielki przypadek – genialny architekt może się zdarzyć w

dwudziestym wieku, jak Dante w trzynastym. Ale architektura nie będzie już sztuką społeczną, sztuką zbiorową, sztuką dominującą. Wielki poemat, wielki gmach, wielkie dzieło ludzkości nie będzie budowane, będzie drukowane.

A jeżeli nawet architektura podniesie się na chwilę z upadku, nie będzie już ona panią. Będzie podlegała prawom literatury, której niegdyś dyktowała prawa. Wzajemny stosunek tych obu sztuk został odwrócony. To pewne bowiem, że w epoce wszechwładzy budownictwa poematy, wprawdzie rzadkie, podobne były do gmachów. W Indiach – księgi Vyasy są przeładowane, dziwaczne, zawile jak pagoda. Na egipskim wschodzie poezja, jak i budownictwo, jest potężna i prosta w liniach: w antycznej Grecji jest piękna, pogodna, spokojna; w Europie chrześcijańskiej ma w sobie majestat katolicki, ludową naiwność, bogate i bujne życie okresu odnowy. Biblia podobna jest do piramid, Iliada do Partenonu, Homer do Fidiasza. W wieku trzynastym – Dante to ostatni kościół romański; w wieku szesnastym – Szekspir to ostatnia gotycka katedra.

A więc by streścić to, co powiedzieliśmy dotąd z konieczności pokrótce tylko i niedokładnie: ludzkość ma dwie księgi, dwie kroniki, dwa testamenty – budownictwo i druk, biblię z kamienia i biblię z papieru. Kiedy się porównuje obie te biblie, tak szeroko rozłożone na przeszłości, wolno niewątpliwie żałować Widzialnego majestatu pisma z granitu, tych gigantycznych liter ułożonych z kolumn, słupów, obelisków, tych niby-gór, wzniesionych ręką człowieka, które pokryły świat i przeszłość od piramidy po dzwonnice, od egipskich piasków po Strasburg. Trzeba odczytywać przeszłość z tych marmurowych kart. Trzeba podziwiać i przeglądać nieustannie tę księgę, którą spisała architektura; nie wolno jednak zaprzeczać wielkości gmachu, który z kolei wznosi druk.

Gmach ten jest kolosalny. Ktoś, kto para się statystyką, obliczył, że gdyby ułożyć jeden na drugim wszystkie tomy, jakie wyszły spod prasy drukarskiej od czasów Gutenberga, wypełniłaby się przestrzeń dzieląca ziemię od księżyca; lecz nie o takiej wielkości chcemy mówić. Kiedy usiłujemy zgromadzić w myśli w jeden ogólny obraz wszystkie wytwory druku, jakie się aż do naszych dni pojawiły, czyż całość ta nie staje przed nami niby ogromna, wsparta na całym świecie budowla, przy której ludzkość pracuje bez przerwy, a której niesamowita głowa gubi się wśród głębokich mgieł przeszłości? Jest to mrowisko umysłów. Jest to ul, dokąd wszystkie wyobraźnie, te pszczoły złote, przylatują ze swoim miodem. Gmach ma tysiące pięter. Tu i tam widać wejścia do ciemnych jaskiń nauki, które się przecinają gdzieś w jej wnętrzu. Na całej powierzchni sztuka rozkrzewiła się bujnie w arabeski, rozety i koronki. Każde dzieło jednostki, choć wydaje się tak kapryśne i tak od innych różne, ma tu swoje miejsce, każde się uwydatnia. Wszystko składa się na harmonię. Od katedry Szekspira po meczet Byrona tysiąc wieżyczek tłoczy się bezładnie na tej metropolii powszechnej myśli. U fundamentów gmachu wypisano kilka starych tytułów ludzkości, których nie zanotowała architektura. Na lewo, u wejścia, wmurowano antyczną płaskorzeźbę z białego marmuru – Homera, na prawo – wielojęzyczna biblia podnosi siedem swoich głów. Hydra romanceros zjeżyła się dalej nieco, obok niej inne stwory dziwnokształtne – Vedy i Nibelungi. Ów cudowny budynek jest zresztą zawsze nieskończony. Prasa drukarska to olbrzymia maszyna, która bez przerwy wypompowuje ze społeczeństwa wszystkie żywe soki umysłu, wyrzuca z siebie nieustannie nowy budulec dla swego dzieła. Cała ludzkość stoi na rusztowaniach. Każdy mózg jest murarzem. Najskromniejszy nawet zamyka jakiś otwór, kładzie swoją cegłę. Rétif de la Bretonne przynosi pełen kosz gipsowego gruzu. Co dzień narasta nowa warstwa. Niezależnie od własnego, indywidualnego wkładu każdego pisarza mamy tu także wkłady zbiorowe. Wiek osiemnasty daje *Encyklopedię*, rewolucja daje „Monitora”. Zaiste, jest to również budowla, która powiększa się i rośnie w nie kończące się spirale; tu również mamy pomieszanie języków, nieustanne działanie, niezmordowaną pracę, w której bierze udział cała ludzkość; jest to schronienie obiecane rozumowi na wypadek nowego potopu, na wypadek zalewu barbarzyństwa. Jest to druga Wieża Babel ludzkości.

Księga szósta

I

BEZSTRONNY RZUT OKA NA DAWNE SADOWNICTWO

Prawdziwym zaiste ulubieńcom fortuny był w roku pańskim 1482 wielmożny Robert d'Estouteville, rycerz, pan na Beyne, baron Ivry i Saint-Andry w Marchii, doradca i szambelan królewski, piastujący urząd starościński miasta Paryża. Już prawie siedemnaście lat temu, 7 listopada 1465 roku, roku komety, otrzymał był z rąk króla ową piękną godność paryskiego starosty, którego uważano za udzielnego pana raczej niż za królewskiego urzędnika. „Dignitas – powiada Joannes Laemnaeus – quae cum non exigua potestate politiam concernente, atque praerogativis multis et iuribus coniuncta est.” Szlachcic piastujący w roku 1482 urząd powierzony mu przez króla w epoce małżeństwa córki Ludwika XI z panem bastardem de Bourbon był zaprawdę cudownym wręcz zjawiskiem. W dniu, kiedy to Robert d'Estouteville przejmował od Jakuba de Villiers urząd paryskiego starosty. Mistrz Jan Dauvert zasiadał na miejscu wielmożnego Hélye de Thorrettes jako pierwszy prezydent sądu najwyższego, Jan Jouvenel des Ursins wyrugował Piotra de Morvilliers z kanclerstwa Francji, a Regnault des Dormans wysadził Piotra Puy ze stanowiska nadwornego podskarbiego. Przez ileż to rąk wędrowały już prezydentura, kanclerstwo i podskarbiostwo od dnia, w którym Robert d'Estouteville został starostą paryskim. Starostwo zostało mu „oddane w opiekę”, powiadał przywilej publiczny; istotnie dobrze się nim opiekował. Schwycił swój urząd, wcielił się w niego, utożsamiał się z nim tak doskonale, że udało mu się ostać owej furii zmiany władającej Ludwikiem XI, królem nieufnym, przekornym i pracowitym, który pragnął przez częste mianowania i odwoływanie urzędników utrzymać sprężystość swojej władzy. Mało tego: dzielny rycerz uzyskał prawo przekazania starostwa synowi po swej śmierci i już od dwu lat nazwisko wielmożnego Jakuba d'Estouteville, szlachcica, giermka, figurowało obok jego nazwiska na czele rejestru urzędników starostwa paryskiego. Rzadka to była zaiste łaska i wielka. Robert d'Estouteville był wprawdzie dobrym żołnierzem, stał wiernie ze swą chorągwią i tarczą rycerską u boku króla, walcząc przeciwko Lidze Dobra Publicznego, i ofiarował królowej wielkiej piękności jelenia z konfitur w dniu wjazdu jej do Paryża w roku 14... Prócz tego zaś cieszył się przyjaźnią Tristana l'Hermite, najstarszego z marszałków królewskiego dworu. Życie imć pana Roberta płynęło tedy nad wyraz słodko i szczęśliwie. Przede wszystkim świetne uposażenie, z którym się łączyły, niby zwisające grona dodane do jego winnicy, dochody z cywilnej i karnej kancelarii sądowej starostwa oraz dochody z procesów cywilnych i karnych, prowadzonych w salach Dolnego Châtelet, nie licząc już nawet niewielkich, opłat mostowych z Mantes i Corbeil i korzyści z kopytkowego, i z opłat z węgla drzewnego i soli. Do tego dodajcie jeszcze przyjemność uroczystych przejazdów konnych przez miasto z liczną świtą ławników i pachołków odzianych w czerwień oraz skóry i możność ukazania swego pięknego wojskowego stroju, który możecie podziwiać dziś wyrzeźbiony na grobowcu Roberta d'Estouteville w opactwie Volmont w Normandii, i szyszaku pogiętego przez kule pod Montlhéry. Prócz tego zaś – czyż niczym jest posiadanie najwyższej i całkowitej władzy nad strażą miejską, nad

odźwiernym i dozorcą Châtelet, nad dwoma audytorami Châtelet, *auditores Castelleti*, nad szesnastoma komisarzami szesnastu dzielnic miasta, nad dozorcą więzienia w Châtelet, nad czterema strażnikami lennymi, stu dwudziestoma strażnikami konnymi, stu dwudziestoma strażnikami z różgą, nad dowódcą nocnej straży i jego pachołkami? Czyż niczym jest ferowanie wyroków sądowych w sprawach większej i mniejszej wagi, prawo wieszania, włóczenia i łamania kołem, nie licząc już nawet prawa sądenia drobnych przestępstw w pierwszej instancji (m prima instantia, jak powiadają ustawy) w tym wicehrabstwie paryskim, tak świetnie wyposażonym w siedem szlacheckich okręgów sądowych? Czyż można nawet wyobrazić sobie rzecz miłszą nad sądenie i wyrokowanie, jak to czynił co dzień wielmożny Robert d'Estouteville w Wielkim Châtelet, pod szerokimi i niskimi łukami sklepień Filipa Augusta? Nad powracanie, jak to czynił co wieczora, do ślicznego domu, który wniosła mu w posagu żona, pani Ambrozja de Lore, przy ulicy Galilei, tuż przy ogrodzeniu królewskiego pałacu, nad odpoczynek po trudzie, jakim było przecie wysłanie jakiegoś biedaka na całą noc do małej celki przy ulicy Oprawców, której starostowie i ławnicy Paryża używali jako więzienia, do owej celi „na jedenaście stóp długiej, na siedem stóp i cztery cale szerokiej i na jedenaście stóp wysokiej”?

Pan Robert d'Estouteville sprawował nie tylko jurysdykcję starosty i wicehrabiego Paryża, lecz także brał udział, miał wgląd i „wgrzy” i w królewski wymiar sprawiedliwości. Każda znaczniejsza głowa przechodziła przez jego ręce, nim spadła pod toporem kata. On to pojechał do Bastylii Św. Antoniego po księcia de Nemours i towarzyszył mu do Hal, on to odprowadzał na plac Grève pana de Saint-Pol, a ten oburzał się i protestował ku wielkiej uciezce wielmożnego starosty, który bardzo nie lubił wielmożnego konetabla.

Oto zaiste więcej, niż potrzeba, aby pędzić żywot szczęśliwy i świetny oraz zasłużyć sobie kiedyś na znakomitą kartę, w tej tak zajmującej historii starostów paryskich, z której dowiadujemy się, że Oudard de Villeneuve miał dom przy ulicy Rzeźniczej, że Wilhelm de Hangest kupił wielką i małą Sabaudię, że Wilhelm Thiboust ofiarował zakonnicom od Św. Genowefy swoje domy przy ulicy Clopin, że Hugon Aubriot mieszkał w pałacu Porc-Epic i o wielu innych jeszcze wydarzeniach życia codziennego.

Jednakże, mimo tylu powodów, by brać życie pobłażliwie i radośnie, pan Robert d'Estouteville zbudził się rankiem 7 stycznia 1482 roku w okropnym humorze. Skąd mu się wziął ten humor, nie potrafiłby sam tego wytłumaczyć. Czy że niebo było szare? Czy że sprzączka starego pasa spod Montlhéry dopinała się z trudem, zbyt po żołniersku ściskając wydatny brzuch starościński? Czy że ujrzał na ulicy żebraków, którzy kpiąc sobie zeń przechodzili pod jego oknami po czterech, bez koszul, w kaftanach tylko i dziurawych kapeluszach, z torbami i fiaskami u boku? A może było to mgliste przecucie trzystu siedemdziesięciu grzywien, szesnastu solidów i ośmiu denarów, które przysły król Karol VIII miał w następnym roku okroić z dochodów starostwa? Czytelnik może sam wybrać, my zaś skłonni jesteśmy sądzić, że był w złym humorze dlatego, że był w złym humorze.

Był to zresztą dzień po święcie, dzień przykry dla wszystkich, szczególnie zaś dla urzędnika, który musi wymiatać wszelkie śmiecie, w dosłownym i przenośnym znaczeniu, jakie zostawia po sobie święto w Paryżu. Prócz tego miał w tym dniu posiedzenie w Wielkim Châtelet. A otóż zauważyliśmy, że sędziowie tak się na ogół urządzają, by dzień by móc wygodnie wyładować go na kimś w imieniu króla, prawa i sprawiedliwości.

Tymczasem posiedzenie sądu rozpoczęło się przed jego przybyciem. Jego zastępcy w sprawach cywilnych, kryminalnych i niespornych, zgodnie z ustalonym zwyczajem, pełnili jego obowiązki. I już od ósmej rano kilkudziesięciu obywateli paryskich płci obojga, zgromadzonych i stłoczonych w mrocznym kącie dolnej sali rozpraw w Châtelet, między mocną barierą dębową a ścianą, przypatrywało się w zachwycie urozmaiconemu i rozweselającemu widowisku:

rozprawom sądowym, cywilnym i karnym, którym przewodniczył mistrz Florian Barbedienne, audytor Châtelet, zastępca pana starosty, wymierzając sprawiedliwość bez ładu i składu, zupełnie na chybił trafił.

Sala była niewielka, niska, sklepiona, W głębi stał stół ozdobiony rzeźbionymi kwiatami lilii, przy nim wielki fotel, również rzeźbiony, dla starosty, a po jego lewej stronie taboret dla audytora, mistrza Floriana. Obok stał pisarz i zapisywał. Naprzeciw był tłum, koło drzwi zaś i stołu liczni pacholkiwie starościńscy w kunach z fioletowego kamlotu, z białymi krzyżami. Dwóch strażników Rady Mieszczan przyodzianych w kamizele na wpół czerwone i na wpół niebieskie trzymało wartę przy niskich, zamkniętych drzwiach, widocznych w głębi sali, za stołem. Przez jedyne ostrołukowe wąskie okno, wycięte w grubym murze, sączył się błady blask styczniowego dnia i oświetlał dwie dziwaczne postacie: kamiennego maskarona, demona wyrzeźbionego na zworniku sklepienia, i sędziego siedzącego w głębi sali, na rzeźbionych kwiatach lilii.

Bo wyobraźcie sobie tylko za starościńskim stołem, między stosami aktów procesowych, mistrza Floriana Barbedienne, zgarbionego audytora sądu w Châtelet, opierającego się na łokciach, trzymającego nogi na ogonie swojej szaty brunatnego sukna, z twarzą czerwoną, zasępioną i prawie schowaną w futrze białego baranka, z którego brwi jego wydawały się jakby wyrwane, mrugającego oczkami i z powagą dźwigającego tłuste policzki, obwisłe i zlewające się z podbródkiem.

Audytor był głuchy. Drobny to mankament dla audytora. Nie przeszkadzało to przecie mistrzowi Florianowi wyrokować bezapelacyjnie i trafnie. Wystarcza z pewnością, by sędzia miał minę, że słucha; a czcigodny audytor tym lepiej wypełniał ten warunek, jedyny zasadniczy warunek dobrego wymiaru sprawiedliwości, że uwagi jego nie mógł rozproszyć żaden hałas.

Miał on zresztą wśród tłumu gapiów bezlitosnego kontrolera każdego swego ruchu i uczynku w osobie naszego przyjaciela, Jana Frolo z Młyna, małego żaka, z którym zawarliśmy znajomość w dniu wczorajszym, łazęgi, którego zawsze i wszędzie można było spotkać w Paryżu, byle nie przed katedrą profesora. S – Widzisz? – mówił szeptem do swego towarzysza, Robina Kociubki, bo razem tu stali, pokpiwając i komentując sceny rozgrywające się przed ich oczyma – Joaśka spod Krzaka! Urodziwa córeczka Wałkonja z Nowego Rynku. Na mą duszę, staruszek skazał ją! Czyżby tak samo nie miał oczu jak uszu? Piętnaście solidów i cztery denary paryskie grzywny za to, że się wystroiła w dwa sznurki paciorków. Żdziebko drogo. *Lex duri carminis*. A to kto znów? Robin Chief de Ville, płatnerz. Za to, że został wyzwolony na mistrza tego cechu? Aha, to wpisowe! Hej! wśród tych ciurów dwóch szlachciców: Aiglet de Soins, Hutin de Mailly. Dwóch giermków corpus Christi! Aha, w kości grali! Kiedyż ujrzę tutaj naszego rektora? Sto grzywien paryskich do królewskiego skarbu. Barbedienne łupi, ani słucha – no bo i głuchy. Niech będę moim własnym bratem archidiakonem, jeżeli to mnie powstrzyma od gry, od grania w dzień, od grania w nocy, od życia przy kościach, od śmierci przy kościach i od przegrania własnej duszy po ostatniej koszuli! Matko Boska, ile dziewczek! Jedna za drugą, owieczki moje! Ambrozja Lécuyère! Izabelka la Paynette! Berarda Gironin! Na Boga, znam wszystkie! Na grzywnę! Na grzywnę! To wybije wam z głowy pozłacane paski! Dziesięć solidów paryskich, rozpustnice! A, stara morda sędziowska, głucha i głupia! Florian-bałwan! Gruby Barbedienne! Siadł sobie za stołem i pożera pieniaczy, pożera skargi, żre, żuje, opycha się i brzuch sobie napełnia. Grzywny, zguby, taksy, koszty, opłaty, odszkodowania i procenty, śledztwa, więzienie i lochy, i żelaza – to dla niego ciasto świąteczne i świętojańskie marcepany. Spójrz no tylko na tego wieprza! Oho, jeszcze jedna ofiara miłości. Thibaud la Thibaude, ni mniej, ni więcej! Za to, że wyszła poza ulicę Glatigny. A czyj to syn? Gieffroy Mabonne, pacholek grodzki. Nadużył bożego imienia. Na grzywnę, la Thibaude! Na grzywnę, Gieffroy! Na

grzywnę skazać ich oboje! Stary głuszec pomieszał widać obie sprawy. Dziesięć przeciwko jednemu, że dziewce każe płacić za przekleństwo, a pachółkowi za miłość. Uwaga, Robinie Kociubko. Kogóż to teraz wprowadzą? Cały tłum pachółków. Na Jowisza, wszystkie charty ze sfory! Musi to być najgrubszy z upolowanego zwierza. Pewnie dzik! Dzik, tak, Robinie, dzik! I jeszcze jaki! Na Herkulesa! Toć to nasz wczorajszy władca, nasz papież błaznów, nasz dzwonnik, nasz ślepiec, nasz garbus, nasz pysk! Toż to Quasimodo...

On to był rzeczywiście.

Był to Quasimodo, skępowany, związany, skuty i pod dobrą strażą. Oddziałowi pachółków co go otaczali, towarzyszył we własnej osobie dowódca nocnych czatów z herbem Francji wyhaftowanym na piersi i herbem miasta Paryża wyhaftowanym na plecach. W samej osobie Quasimodo nie było zresztą, prócz zwykłej jego szpetoty, nic, co by mogło uzasadniać tę uroczystą asystę arkebus i halabard. Stał ponury, milczący i spokojny. Zaledwie jedyne jego oko co pewien czas rzucało na krępujące go więzy spojrzenia szybkie a złe.

Rozejrzał się dokoła, ale wzrok jego był tak wygasły i senny, że kobiety pokazywały go sobie palcami po to jedynie, żeby się zeń pośmiać.

Tymczasem mistrz Florian z uwagą kartkował akta skargi, wniesionej przeciw Quasimodo, które mu podał pisarz, a przejrawszy je trwał przez chwilę w skupieniu. Dzięki tej ostrożności, którą stosował zawsze przed przystąpieniem do przesłuchania, znał już z góry imiona, stan i występki oskarżonego, dawał przewidziane odpowiedzi na przewidziane pytania i brnął poprzez zawilości przesłuchania ukrywając jako tako swą głuchotę. Akta procesu były dlań tym, czym jest pies dla ślepca. Jeżeli zaś kalectwo zdradziło się czasem jakąś apostrofą bez związku, jakimś niezrozumiałym pytaniem, jedni brali to za głębię umysłu, inni za głupotę. W obu wypadkach honor i powaga urzędu nie ponosiły szwanku, opinii sędziego bowiem mniej szkodzi głupota czy głębia umysłu niż głuchota. Nie szczędził też starań, aby ją przed wszystkimi ukryć, i zazwyczaj udawało mu się to tak dalece, że wreszcie sam zaczął się ludzić. Łatwiej to zresztą przychodzi ludziom, niż się zazwyczaj zdaje. Wszystkie garbussy chodzą z podniesioną głową, wszystkie jąkały lubią przemawiać, wszyscy głusi mówią cicho. Mistrz Florian przyznawał co najwyżej, że ma słuch odrobinę przytępiony. Było to jedyne ustępstwo, jakie uczynił opinii publicznej w chwilach szczerości i rachunku sumienia.

Po starannym przeżuciu sprawy garbusa odrzucił więc w tył głowę i przymknął oczy, gwoli większemu dostojeństwu i większej bezstronności, co sprawiło, że stał się w tej chwili równocześnie i głuchy, i ślepy. Podwójny warunek, bez którego nie ma doskonałego sędziego. Przybrawszy tę urzędową postawę rozpoczął przesłuchanie.

– Imię?

Lecz zdarzył się wypadek, który nie został „przewidziany przez prawo” – głuchy zabrał się do przesłuchiwanie głuchego.

Quasimodo, którego nic nie ostrzegło o skierowanym doń pytaniu, patrzył tylko uporczywie na sędziego i nie odrzekł nic. Głuchy sędzia, którego nic nie ostrzegło o głuchocie oskarżonego, sądził, że tamten odpowiedział mu, jak zwykle czynili wszyscy oskarżeni, i przesłuchiwał dalej, z mechaniczną i bezmyślną pewnością siebie:

– Dobrze. Wiek?

Quasimodo i na to pytanie nie dał odpowiedzi. Sędzia sądząc, że ją otrzymał, Pytał dalej:

– Teraz... zajęcie?

Ciągle to samo milczenie. Tłum na sali zaczynał szeptać i spoglądać po sobie.

– Dość! – rzekł niewzruszony audytor, gdy mu się wydało, że oskarżony udzielił już trzeciej odpowiedzi. – Jesteście oskarżeni przed sądem naszym: *primo* – o zakłócenie nocnej ciszy, *secundo* – o czyny nieobyczajne na osobie rozpustnej dziewczki, *in praeiudicium meretricis*; *tertio*

– o bunt i nieposłuszeństwo wobec łuczników z oddziału króla, pana naszego. I cóż macie do wyjaśnienia w tym trojakim względzie? Pisarzu, czy spisaliście już dotychczasowe odpowiedzi oskarżonego?

Na to niefortunne pytanie rozległ się w całej sali, wśród kancelistów i w tłumie, śmiech tak gromki, szalony, zaraźliwy i powszechny, że nawet obaj głusi musieli zwrócić nań uwagę. Quasimodo obrócił się, pogardliwie wzruszając swym garbem; mistrz Florian zaś, równie zdziwiony, lecz przypuszczając, że śmiech ciżby wywołany został krnąbrną odpowiedzią oskarżonego, co potwierdził mu najoczywiściej ruch jego ramion, upomniał go z oburzeniem:

– Twoja odpowiedź, hultaju, zasługuje na stryczek. Czy wiesz, do kogo mówisz?

Słowa jego, jako żywo, nie mogły zahamować wybuchu powszechnej wesołości. Tak się wydały wszystkim ucieszne i dziwaczne, że szalony śmiech ogarnął nawet strażników Rady Mieszczan, durniów, u których głupota była nieodzowną częścią umundurowania. Tylko Quasimodo zachował powagę z tej prostej przyczyny, że nie rozumiał, co się dookoła działo. Sędzia, coraz bardziej rozdrażniony, pomyślał sobie, iż należy ciągnąć dalej tym samym tonem, spodziewał się bowiem, że przerazi oskarżonego i że strach jego udzieli się wszystkim słuchającym i przywróci w ich umysłach szacunek dla sądu.

– Czy wiesz, złoczyńco nędzny i przewrotny, żeś pozwolił sobie ubliżyć audytorowi Châtelet, urzędnikowi pełniącemu straż nad ładem publicznym w Paryżu, któremu powierzono tropienie zbrodni, przestępstw i zamieszek, kontrolę nad cechami i zakazywanie monopoli, utrzymywanie w porządku bruków, tępienie pokątnych handlarzy drobiu i dziczyzny, mierzenie belek i innych rodzajów drzewa, oczyszczanie miasta z błota, a powietrza z chorób zakaźnych, jednym słowem – czuwanie nieustanne nad publicznymi sprawami, bez żadnej zapłaty, bez nadziei na żadne korzyści. Czy wiesz, że jestem Florianem Barbedienne, bezpośrednim zastępcą pana starosty, a nadto komisarzem, sędzią śledczym i nadzorcą, z równą władzą w starostwie i urzędzie bajliwa?

Nie istnieje powód, dla którego by miał się zatrzymać głuchy przemawiający do głuchego. Bóg raczy wiedzieć, gdzie i kiedy wylądowałby mistrz Florian puściwszy się tak, z rozwiniętymi żaglami, na szerokie wody wymowy, gdyby niskie drzwi w głębi sali nie otwały się nagle i nie stanął na ich progu pan starosta we własnej osobie.

Kiedy wszedł, mistrz Florian nie przerwał sobie, ale odwracając się skierował do starosty zakończenie swego przemówienia, którym przed chwilą piorunował Quasimodo.

– Wielmożny panie – rzekł – żądam kary jaką wasza miłość uzna za stosowną, dla tego tu oskarżonego za ciężkie i nieprawdopodobne uchybienie sądowi.

I usiadł zadyszany, wycierając krople potu, które kapały mu z czoła na rozłożone na stole pergaminy, zostawiając na nich ślady jak od łez. Wielmożny Robert d'Estouteville zmarszczył brwi i skinął na Quasimodo gestem tak władczy i znaczącym, że głuchy pojął coś niecoś.

Starosta przemówił doń surowo:

– Za cóż to znalazłeś się tutaj, hultaju?

Biedaczysko, przypuszczając, że starosta pyta go o imię, przerwał swoje zwykłe milczenie i odrzekł ochrypłym, gardłowym głosem:

– Quasimodo.

Odpowiedź tak samo pasowała do pytania, że rozległy się znów śmiechy, a wielmożny Robert krzyknął czerwieniejąc ze złości:

– Podły, zawołany łotrze, czy sobie drwisz także ze mnie?

– Dzwonnik w katedrze Marii Panny – odrzekł Quasimodo sądząc, że należy powiedzieć sędziemu kim jest.

– Dzwonnik! – powtórzył starosta, który, jak już nadmienialiśmy, zbudził się tego ranka w tak kiepskim humorze, że do podniecenia jego gniewu nie trzeba było aż tak dziwacznej odpowiedzi.

– Dzwonnik! Już ja ci zadzwonię pałką po plecach na placach Paryża! Słyszysz, łajdaku?

– Jeżeli chcecie wiedzieć, ile mam lat – rzekł Quasimodo – to pewnie już będę ich miał ze dwadzieścia na świętego Marcina.

Tego było już za wiele; starosta stracił panowanie nad sobą.

– Drwisz sobie z władzy starościńskiej, nędzniku? Hej, pacholkiwie, zaprowadzić mi tego hultaja pod pręgierz na plac Grève, wychłostać go i obracać przez godzinę na kole. Zapłaci mi za to, klnę się na boską głowę! I niechaj wyrok ten zostanie obwieszczony w asyście czterech przysięgłych trębaczy we wszystkich siedmiu kasztelaniach paryskiego wicehrabstwa.

Pisarz zabrał się natychmiast do sporządzania wyroku.

– Na brzuch boski! Oto sprawiedliwy sąd! – krzyknął ze swego kąta mały zak, Jan Frollo z Młyna.

Starosta odwrócił się i ponownie utkwił w Quasimodo swe błyszczące oczy:

– Zdaje mi się, że ten hultaj powiedział: „Na brzuch boski”. Pisarzu, dorzuć dwanaście denarów paryskich grzywny za przekleństwo, z czego połowa niechaj zostanie oddana na kościół Św. Eustachego. Żywię szczególny kult dla Św. Eustachego.

W kilka minut wyrok sporządzono. Brzmienie jego było proste i krótkie. Zwyczaję sądowe starostwa i wicehrabstwa Paryża nie zostały jeszcze skodyfikowane przez prezydenta Tybalda Baillet i Roberta Barmine, królewskiego adwokata; nie przeszkadzały wówczas jeszcze sędziemu gęste zarośla kruczków procedury, które obaj wspomniani juryści zasadzili tam w początkach szesnastego stulecia. Wszystko było jasne, sprawne, wyraźne. Szło się wówczas prosto do celu i u końca każdej ścieżki, bez żadnych zawłości i zakrętów, można było zobaczyć od razu koło, szubienicę czy pręgierz. Wiedziało się przynajmniej dokąd się zmierza.

Pisarz przedłożył wyrok starości, ten położył na nim swoją pieczęć i udał się w dalszy obchód sądowych sal w stanie ducha, który niewątpliwie zaludnił tego dnia wszystkie więzienia Paryża. Jan Frollo i Robin Kociubka chichotali ukradkiem. Quasimodo rozglądał się dookoła z obojętną i zdziwioną miną.

Kiedy mistrz Florian Barbedienne zabrał się z kolei do czytania wyroku, aby go podpisać, pisarz, któremu zrobiło się żal skazanego nieboraka, spodziewając się, że w ten sposób uzyska dlań zmniejszenie kary, pochylił się do samego ucha audytora i rzekł wskazując palcem na Quasimodo:

– Ten człowiek jest głuchy.

Spodziewał się, że wspólnota kalectwa obudzi w mistrzu Florianie przychylność dla skazańca. Lecz po pierwsze, jak to już mogliśmy zauważyć, mistrz Florian nie pragnął zgoła, aby głuchota jego została zauważona. Po wtóre zaś słuch miał tak tępy, że nie usłyszał ani słowa z tego, co mówił pisarz; chcąc udawać jednak, że usłyszał wszystko, rzekł:

– O... to coś nowego! Tegom nie wiedział. A więc... jeszcze jedną godzinę pręgierza!

I podpisał wyrok takim sposobem poprawiony.

– Dobrze mu tak – rzekł Robin Kociubka, który miał na pieńku z Quasimodo. – Oduczy się poszturchiwania ludzi.

II

SZCZURZA NORA

Niech czytelnik zechce nam towarzyszyć teraz na plac Grève, który opuściliśmy wczoraj, ruszając razem z Gringoire'em w ślady Esmeraldy.

Jest dziesiąta rano. Wszystko tu przypomina o wczorajszym święcie. Na bruku walają się smętne szczątki – wstążki, gałganki, pióra z kit, krople wosku z pochodni, okruchy ludowej zabawy. Wielu mieszczan przechadza się powoli tam i sam, trącąc butem wygasłe główne świątecznego ogniska i przystając przed Domem pod Filarami, by wspominać z zachwytem piękno wczorajszych dekoracji i oglądać gwoździe, ostatnią rozrywkę, jaka im dzisiaj pozostała. Sprzedawcy jabłecznika i zbożowego piwa przetaczają między ludźmi swe baryłki. Tu i ówdzie zaaferowany przechodzień idzie przez plac. Kupcy nawołują się i rozmawiają z progów swoich sklepów. Święto, posłowie, Kopenol, papież błaznów – są na wszystkich ustach. Każdy stara się najucieszniej opowiedzieć to, co widział, i najgłośniej się pośmiać. Tymczasem zaś dookoła czterech pachołków konnych, którzy przed chwilą ustawili się po czterech stronach pręgierza, już zaczyna się gromadzić tłum kręcący się po placu gawiedzi, która w nadziei na jakąś niewielką egzekucję skazuje się dobrowolnie na nudę i bezruch czekania.

Jeżeli teraz – przyjrawszy się już żywym i wrzaskliwym scenom, jakie rozgrywają się na całym placu – czytelnik obróci wzrok swój ku starymu, na pół gotyckiemu, na pół romańskiemu budynkowi Wieży Rolanda, który stoi na zachodnim rogu od strony bulwaru, zobaczy u węgła fasady wielki brewiarz publiczny, bogato iluminowany i zabezpieczony przed deszczem niewielkim daszkiem, a przed złodziejami – kratą, która pozwala jednak na odwracanie kart. Obok brewiarza widać wąskie, ostrołukowe, zamknięte dwiema ułożonymi na krzyż żelaznymi sztabami okienko, które wychodzi na plac; przez ten jedyny otwór przedostaje się nieco powietrza i światła do małej celi bez drzwi, wyżłobionej w grubym murze starego domu, na parterze i pełnej tym głębszego spokoju, tym posepniejszej ciszy, że dookoła dudni i pulsuje życiem najludniejszy i najhałaśliwszy plac Paryża.

Cela ta słynna była w Paryżu już od trzech prawie stuleci, od czasu kiedy to pani Rolanda, z Wieży Rolanda, w żałobie po ojcu, który poległ na wyprawie krzyżowej, kazała ją wyżłobić w ścianie własnego domu, by zamknąć się w niej na resztę żywota, zachowując dla siebie ze swego pałacu tylko to schronienie z zamurowanymi drzwiami i okienkiem otwartym latem i zimą, całą zaś resztę oddając ubogim i Bogu. Pani ta, pogrążona w rozpacz, przez dwadzieścia lat wyczekiwała śmierci w tym swoim przedwczesnym grobie, dniem i nocą modląc się za duszę ojca, śpiąc w popiele, bez kamiennej nawet poduszki, przyodziana w czarny wór i żyjąca tylko o chlebie i wodzie, które miłosierdzie przechodniów stawiało na framudze okienka, i żyjąc z jałmużny, jak niegdyś jałmużnę dawała. W chwili śmierci, przed przejściem w inny grób, ten na wieczne czasy przekazała w spadku niewiastom w smutku pogrążonym, matkom, wdowom lub córkom, które by miały wiele powodów do modlenia się za innych albo za siebie i pragnęły pogrzebać się za życia w wielkim bólu czy w wielkiej pokucie. Ubodzy wyprawili jej piękny pogrzeb z błogosławieństw i łez, lecz ku ich wielkiemu rozżaleniu bogobojna dziewczica nie została kanonizowana z braku protekcji. Bardziej bezbożni żywili nadzieję, że pójdzie to z większą łatwością w niebie niż w Rzymie i skoro nie wysłuchał ich papież, po prostu modlili się do Boga za zmarłą. Większość zadowolili się tym, że uznała pamięć Rolandy za błogosławioną i z łachmanów jej porobiła sobie relikwie. Miasto zaś ufundowało na intencję pobożnej panny

brewiarz publiczny, który umieszczono tuż obok okienka celi, aby przechodnie mogli przystanąć tam czasem dla modlitwy, aby modlitwa przypomniła im o obowiązku jałmużny i aby ubogie pokutnice, spadkobierczynie lochu pani Rolandy, nie pomarły całkowicie z głodu i zapomnienia.

W średniowiecznych miastach groby tego rodzaju nie należały zresztą do rzadkości. Często na najruchliwszej ulicy, na najbardziej pstrokatym i gwarnym rynku, na samym środku, nieomal że pod kopytami koni i pod kołami wozów, można było napotkać loch, studnię, celę zamurowaną i okratowaną, a w niej modlącą się we dnie i w nocy istotę ludzką, która dobrowolnie poświęciła się jakiejś wieczystej rozpacz, jakiejś ogromnej pokucie. I rozważania, które by dzisiaj obudził w nas ten niezwykle widok – ta straszna cela, niby jakieś pośrednie ogniwo między mieszkaniem a grobem, między cmentarzem a miastem, ten człowiek odcięty od wspólnoty żywych i zaliczony między zmarłych, ta lampka, spalająca w mroku ostatnią kroplę oliwy, ta resztką życia pełgająca w głębokim dole, ten oddech, ten głos, te nieustanne modły w kamiennym pudle, ta twarz na zawsze już obrócona ku zaświatom, to oko innym już rozjaśnione światłem, to ucho przyłożone do ściany grobu, ten duch uwięziony w ciele, to ciało uwięzione w ciemnicy, a pod tą podwójną powłoką ciała i granitu szmer tej duszy udręczonej – tego wszystkiego gawiedź nie dostrzegała. Prostoduszna pobożność owych czasów nie była skłonna do rozważań i nie widziała tylu stron każdego aktu wiary. Traktowała rzecz całą ogólnie i wielbiła, czciła, uświęcała w potrzebie ofiarę, lecz nie analizowała cierpień związanych z nią i nie rozczulała się nimi nadmiernie. Przynosiła nieszczęśnikowi nieco jadła, zaglądała przez otwór, czy aby żyje jeszcze, nie znała jego imienia, zaledwie pamiętała, od ilu już lat tak kona, a przybyszowi pytającemu o żywy szkielet, który gnije w takiej ciemnicy, ludzie w okolicy mieszkający odpowiadali po prostu: „To pustelnik” – jeśli był to mężczyzna „to pustelnica” – jeśli to była niewiasta.

Patrzono tak wówczas na wszystko – bez metafizyki, bez przesady, bez powiększającego szkła, gołym okiem. Mikroskop nie został wynaleziony jeszcze ani w dziedzinie materii, ani w dziedzinie ducha.

Zresztą choć nikt się tym zbytnio nie rozczulał, przykłady takiego zamykania się w odosobnieniu, w samym środku miasta, były wówczas rzeczywiście bardzo częste, jak to powiedzieliśmy przed chwilą. W samym Paryżu wiele spotykało się takich cel dla pokuty i modlitwy, a prawie wszystkie byty zajęte. Wprawdzie duchowieństwo dbało o to, by nie stały puste, co dowodziłoby obojętności wiernych, i kiedy zabrakło pokutników, zamykało w nich trędowatych. Taka sama cela jak na placu Grève była na Montfaucon i przy kostnicy cmentarza Św. Młodzianków, i jeszcze gdzieś, przy pałacu Clichon, zdaje się. Były też i inne w wielu miejscach, a ślady ich odnajdujemy w tradycji z braku budynków. Uniwersytet miał również swoje cele. Na Górze Św. Genowefy jakiś średniowieczny Hiob przez trzydzieści lat śpiewał siedem psalmów pokutnych na kupie gnoju na dnie wyschłej studni, śpiewał je nieustannie, zawodząc głośniejszą nocą, *magna voce per umbras*, i po dziś dzień jeszcze miłośnikowi starożytności, który wchodzi w ulicę Gadającej Studni, zdaje się, że słyszy jego głos.

Jeśli zaś idzie o celę w Wieży Rolanda, wypada rzec, że nigdy nie czekała ona długo na pustelnice. Od śmierci pani Rolandy rzadko zdarzało się, by przez rok czy dwa lata była pusta. Wiele niewiast przyszło opłakiwać tu aż do śmierci rodziców, kochanków, grzechy. Złośliwość paryska wtrącająca się do wszystkiego, nawet do spraw, które nie powinny jej obchodzić, twierdziła, że wdów zdarzało się tam niewiele.

Według ówczesnej mody napis łaciński wyryty w murze oznajmiał przechodniom umiejącym czytać o pobożnym przeznaczeniu tej celi. Do połowy szesnastego wieku przetrwał zwyczaj objaśniania przeznaczenia gmachu za pomocą krótkiej dewizy wypisanej nad drzwiami. We Francji po dziś dzień jeszcze można przeczytać nad furtą więzienia w zamku Tourville: *Sileto et sperat*; w Irlandii, pod tarczą herbową, umieszczoną nad główną bramą zamku Fortescue: *Forte*

scutum, salus ducum, w Anglii, nad głównym wejściem do gościnnego dworu hrabiów Cowper; *Tuum est*. Każda budowla bowiem była wówczas myślą.

A że w zamurowanej celi Wieży Rolanda drzwi nie było, więc nad okienkiem wyryto wielkimi romańskimi literami te oto dwa słowa:

TU, ORA!

Co sprawiło, że lud, którego zdrowy rozsądek nie dostrzega tylu subtelności w rzeczach i chętnie tłumaczy Ludovico Magno przez „Bramę Św. Dionizego”, nadal tej jamie ciemnej, ponurej i wilgotnej nazwę: Trou aux Rats – Szczurzej Nory. Wyjaśnienie mniej może wzniosłe, ale za to bardziej malownicze.

III

HISTORIA PLACKA NA ROZCZYNIE Z KUKURYDZY

W epoce, w której dzieje się ta historia, cela w Wieży Rolanda była zamieszкана. Jeżeli zaś czytelnik chciałby dowiedzieć się, kto w niej mieszkał, niech posłucha rozmowy trzech poczciwych niewiast, które, kiedy zatrzymaliśmy uwagę na Wieży Rolanda, szły właśnie w tę samą stronę z Châtelet na plac Grève brzegiem rzeki.

Dwie były ubrane jak dostatnie paryskie mieszczyki. Ich krezy z białej i cienkiej materii, spódnice z tarlatanu w czerwone i niebieskie paski, pończochy z białego trykotu o haftowanych kolorowo brzegach, starannie obciągnięte na nodze, trzewiki o noskach kwadratowych, z żółtej skóry na czarnych podeszwach, nade wszystko zaś kwefy w kształcie kornetu, połyskujące świecidłami i przybrane we wstążki i koronki, jakie nosiły na głowie i jakie po dziś dzień jeszcze noszą kobiety w Szampanii i grenadierzy rosyjskiej gwardii cesarskiej, świadczyły, że należą one obie do tej sfery zamożnych żon kupców, która zajmuje pośrednie miejsce pomiędzy tym, co lokaje nazywają „niewiastą”, a tym, co nazywają „panią”. Nie miały ani pierścieni, ani złotych krzyżyków; łatwo odgadnąć, że nie z ubóstwa, lecz po prostu ze strachu przed karą. Towarzyszka ich była ubrana w ten sam mniej więcej sposób, lecz w stroju i wzięciu miała coś, co zdradzało żonę prowincjonalnego notariusza. Po sposobie, w jaki nosiła pasek nieco powyżej bioder, znać było, że dawno już nie odwiedzała Paryża. Do tego dodajcie jeszcze karbowaną krezę, kokardy na ciżmach i to, że paski na spódnicy szły wszerek, a nie wzdłuż, oraz tysiące innych okropności urągających dobremu smakowi.

Tamte dwie szły krokiem właściwym paryżankom pokazującym parafiance Paryż. Parafianka trzymała za rękę dużego już chłopaczka, ten zaś trzymał w ręku duży placek.

Z przykrością musimy tutaj dodać, iż – jako że pora roku była chłodna – dzieciak używał języka jako chusteczki do nosa.

Malec, którego trzeba było ciągnąć za rękę, *non passibus aequis*, jak powiada Wergiliusz, co chwila się potykał ku głośnemu oburzeniu matki. Prawda, że więcej patrzył na placek niż na bruk. Jakaś poważna zapewne przyczyna nie pozwalała mu ugryźć go (placka, oczywiście), bo tylko wpatrywał się weń tkliwie. Matka powinna była jednak sama nieść ten placek. Okrucieństwem było narażanie na męki Tantalą tego pyzatego grubaska.

Trzy jejmoście (bo nazwa „dam” zastrzeżona była wówczas dla kobiet szlachetnie urodzonych) mówiły jedna przez drugą.

– Kochana Majetto, spieszmy się – mówiła najmłodsza, a zarazem najtłuściejsza z trzech do

provincjałki – bardzo się boję, żebyśmy się nie spóźniły. powiedzieli przecież w Châtelet, że go zaraz zaprowadzą pod pręgierz.

– E tam, co też ty mówisz, Udardo Musnier. – wtrąciła się druga paryżanka. Dwie godziny będzie stał pod pręgierzem. Zdążymy! Czy widziałas kiedy pręgierz, kochana Majetto?

– Tak – odparła parafianka – w Reims.

– E tam, ważny mi pręgierz w Reims! Licha klatka, w której obracają tylko chłopów. Wielkie mecyje!

– Tylko chłopów? – zawołała Majetta. – Na Sukiennym Rynku? W Reims? Oglądaliśmy tam nie byle jakich zbrodniarzy, co to ojca i matkę zamordowali. Chłopów! Za kogóż to mnie bierzesz, Gerwazo?

Parafianka już-już miała się obrazić uniósłszy się honorem swojego pręgierza. Na szczęście taktowna jejmość Udarda Musnier w porę zmieniła temat rozmowy.

– A właśnie, Majetto, co powiesz o naszych flamandzkich posłach? Czy w Reims miewacie też równie świetnych?

– Muszę przyznać – odparła Majetta – że tylko w Paryżu można oglądać takich, jak ci, Flamandów.

– A czy widziałas wśród poselstwa tego ogromnego posła, co to jest pończoszkiem? – zapytała Udarda.

– Tak – odparła Majetta. – Wygląda jak Saturn.

– A tego grubego, co ma twarz podobną do gołego brzucha? – pytała Gerwaza. – A małego, co ma maluskie oczki i powieki czerwone, poszarpane, postrzępione niby główka bodiaka?

– A ich konie, to dopiero warto obejrzeć – rzekła Udarda. – Konie przystrojone według ich ojczyznej mody.

– O, moja droga – przerwała parafianka Majetta, a nuta wyższości zabrzmiała z kolei w jej głosie – ciekawam, co byście powiedziały, gdybyście zobaczyły w roku sześćdziesiątym pierwszym, podczas koronacji w Reims, osiemnaście lat temu, konie książąt i królewskiego orszaku. Te rzędy i czapaki przeróżne, jedne z cienkiego, złotem przetykanego adamaszku, podbite sobolowym futrem, inne z aksamitu, podbite łapkami gronostajów, inne znów aż ciężkie od złotych ozdób i kutasów ze srebra i złota. A jakie to sumy kosztowało! A jacy śliczni pazikowie jechali wierzchem na tych czaprakach!

– Być może – odparła sucho Udarda – mimo to Flamandowie mają bardzo piękne konie i biesiadowali wczoraj wieczorem z wielkim przepychem u starszego gildii kupców na Ratuszu, gdzie ich ugoszczono migdałami w cukrze, słodkim winem z cynamonem, piernikami i innymi osobliwościami.

– Co też ty mówisz, sąsiadko! – zawołała Gerwaza. – Przecież Flamandowie ucztowali u księcia kardynała w Pałacu Burbońskim.

– Nie. W Ratuszu.

– Właśnie, że w Pałacu Burbońskim.

– W Ratuszu, na pewno w Ratuszu – mówiła z rozdrażnieniem Udarda – i doktor Scourable miał do nich przemowę po łacinie, którą bardzo ich ukontentował. Mówił mi to mój mąż, księgarz Uniwersytetu.

– W Pałacu Burbońskim, na pewno w Pałacu Burbońskim – odparła nie mniej żywo Gerwaza – i powiem wam, czym ich traktował burgrabia księcia kardynała: dwanaście podwójnych kwaterek białego i czerwonego wina słodzonego, z korzeniami; dwadzieścia cztery skrzynki złożonych lionskich marcepanów; tyleż pochodni po dwie grzywny sztuka; i sześć miar wina z Beaune, białego i czerwonego, najlepszego, jakie tylko można było dostać. Spodziewam się, że to ci wystarczy. A wiem to wszystko od mego męża, który jest pięćdziesiątnikiem w Radzie

Mieszczkańskie; i który właśnie dzisiaj rano porównywał wjazd postów flamandzkich z wjazdem postów Prezbitera Jana i cesarza Trebizondy, którzy przybyli z Mezopotamii do Paryża za poprzedniego króla i nosili w uszach złote koła.

– Wieczierzali na pewno na Ratuszu – odparła Udarda, nie wzruszona bynajmniej tą ilością szczegółów – i nigdy jeszcze nie oglądano takiego mnóstwa cukrów i mięsiwa.

– A ja wam powiadam, że usługiwał im Le Sec, strażnik miejski w Pałacu Burbońskim, i może to właśnie zmyliło cię, Udardo.

– Ręczę, że na Ratuszu.

– W Pałacu Burbońskim, moja droga, na pewno, i słowo „Nadzieja” wypisane nad wielkim portalem było oświetlone magicznymi szkiełkami.

– Na Ratuszu! Na Ratuszu! A Husson le Voir przygrywał na flecie.

– Powiadam ci, że nie!

– Powiadam ci, że tak!

– Powiadam ci, że nie!

Pocziwa i tłusta Udarda już szykowała się do odpowiedzi i kto wie, czy skłócone przyjaciółki nie wzięłyby się za swoje kwefy, gdyby Majetta nie zawołała nagle:

– Patrzajcie, cóż to za zbiegowisko tam, u końca mostu. Ludzie stanęli w krąg i czemuś się przyglądają.

– Rzeczywiście – rzekła Gerwaza – słyszę bębenek. Pewnie mała Esmeralda pokazuje swoje sztuczki z kozą. Prędko, Majetto, przyspieszaj kroku, ciągnij chłopaka. Przyjechałaś, żeby obejrzeć osobiwość Paryża. Wczoraj widziałaś Flamandów; dziś zobaczysz Cyganek.

– Cyganek? – Majetta cofnęła się gwałtownie, mocniej ściskając rączkę malca.

– Niech Bóg zachowa! ukradnie mi dziecko! Chodź, Eustachy!

I pobiegła po bulwarze w kierunku placu Grève, dopóki most nie został daleko w tyle. Wreszcie dziecko, które ciągnęła za sobą, upadło; zatrzymała się, zdyszana. Udarda i Gerwaza dogoniły ją.

– Ta Cyganica miała ci ukraść dziecko. – rzekła Gerwaza. – Masz dziwne urojenia.

Majetta w zamyśleniu potrzęsała głową.

– A co jeszcze dziwniejsze – zauważyła Udarda – że pustelnica tak samo myśli o Cyganach.

– Jaka pustelnica? – spytała Majetta.

– Ho! – rzekła Udarda – siostra Gudula.

– Siostra Gudula? – znów zapytała Majetta. – Cóż to za jedna?

– Rzeczywiście, że trzeba przyjechać z twojego Reims, żeby tego nie wiedzieć – odrzekła Udarda. – Siostra Gudula to pustelnica ze Szczurzej Nory.

– Jak to? – zapytała Majetta – ta nieszczęśliwa niewiasta, której niesiemy placek?

Udarda potakująco skinęła głową.

– Ta właśnie. Za chwilę zobaczysz ją przez okienko celi, na placu Grève. Ma ten sam co i ty pogląd na te włóczęgi z Egiptu, co to biją w bębenki i przepowiadają ludziom przyszłość. Nie wiadomo, skąd się jej wzięła ta nienawiść do Cyganek. Ale czemu ty, Majetto, tak uciekasz na sam ich widok?

– O! – zawołała Majetta ujmując w obie dłonie okrągłą główkę swego synka – nie chcę, żeby mi się przytrafiło to, co się przytrafiło Stokrotce Wiosence.

– O, kochana Majetto, opowiedz nam o tym – rzekła Gerwaza, ujmując ją pod ramię.

– Z chęcią – odparła Majetta – ale rzeczywiście, że trzeba mieszkać w waszym Paryżu, żeby tego nie wiedzieć! A więc, moje kochane – ale nie musimy przecie zatrzymywać się do tego opowiadania – a więc, moje kochane, kiedy miałam osiemnaście lat, czyli osiemnaście lat temu Stokrotka Wiosenka też była śliczną osiemnastoletnią dziewczyną i jej to własna wina, jeżeli dziś

nie jest jak ja trzydziestosześcioletnią matką, nieszpętną jeszcze i żwawą, która ma męża i syna. Zresztą, ledwie czternaście lat skończyła, już było za późno! Była córką Guybertaut, menestrela z Reims przygrywającego na statkach, tego samego, który grał i śpiewał przed królem Karolem VII, kiedy to podczas uroczystości koronacyjnych król płynął po naszej rzece Vesle, od Sillery do Muison, i przed miłościwą panią Dziewicą Orleańską, która też znajdowała się w królewskiej łodzi. Ojciec umarł, kiedy Stokrotka była jeszcze mała; miała więc tylko matkę, siostrę imć Mateusza Pradon z Paryża, mistrza cechu mosiężników i kotlarzy z ulicy Parlin-Garlin, który zamknął oczy w zeszłym roku. Widzicie więc, że była z zacnej rodziny. Matka, dobra kobiecina, nauczyła ją niestety tylko sztuki wyszywania złotem i wyrabiania zabawek dziecięcych, co nie stanęło na przeszkodzie, że dziewczynka szybko dorosła, a biedna jak była, tak była. Mieszkały obie z matką w Reims, koło rzeki przy ulicy Ogromnego Zmartwienia. Zapamiętajcie to sobie, bo wydaje mi się, że to właśnie przyniosło Stokrotce nieszczęście. W roku sześćdziesiątym pierwszym, w roku koronacji naszego króla Ludwika XI – oby Pan Bóg miał go w swej opiece – Stokrotka była taka wesoła i taka ładna, że wszyscy dokoła nazywali ją Wiosenką. Biedna dziewczyna! Miała śliczne zęby, lubiła śmiać się, żeby je pokazywać. Otóż, dziewczyna, która lubi się śmiać, musi w końcu zapłakać, piękne zęby to zguba dla pięknych oczu. Taka była Stokrotka, taka była Wiosenka. Razem z matką zarabiała ciężką pracą na życie. Od śmierci grajka cierpiały wielką nędzę. Ich hafty mogły im przynieść w tygodniu najwyżej sześć denarów, to znaczy niecałe dwa liardy z orłem. Gdzie się podziały czasy, kiedy to ojciec Guybertaut zarabiał dwanaście paryskich solidów jedną piosenką podczas jednej tylko koronacji?... Pewnej zimy – a było to w tym samym sześćdziesiątym pierwszym roku – obie kobiety nie miały ani drzewa, ani chrustu na opał, a było bardzo chłodno i Stokrotka dostała tak pięknych rumieńców, że mężczyźni zaczęli ją nazywać Wiosenką, a niektórzy nawet najśliczniejszą Wiosenką! To ją zgubiło. Eustachy, nie jedz placka!... Zobaczyliśmy zaraz, że jest zgubiona, kiedy pewnej niedzieli przyszła do kościoła ze złotym krzyżykiem na szyi. W czternastym roku życia! Pomyślcie sobie! Z początku był to młody wicehrabia de Cormontreuil, który ma zamek o trzy czwarte mili od Reims; później – wielmożny Henryk de Triancourt z królewskiej jazdy; później – mniej już zacny pan Chiart z Beaulion, giermek; później, coraz to niżej i niżej, Gery Aubergeon, krojczy królewski; po nim Mace z Frépus, golibroda jaśnie oświeconego delfina; po nim Theveninle Moine, kucharz królewski; po nim, ciągle jednakowo, od starszego wiekiem do podlejszego stanem, spadła aż do Wilhelma Racine, grajka na wioli, do Thierry de Mer, latarnika. A wtedy – biedna Stokrotka! – kto chciał, ten ją brał. Przepułała ostatnie grosze ze swojej sztuki złota. Czy uwierzycie, jejmościanki? Podczas koronacji, w tym samym sześćdziesiątym pierwszym roku, ona to słała łożę nadzorcy zamtużow... W tym samym roku!

Majetta westchnęła i otarła łzę z oka.

– Nie ma w tej historii nic tak bardzo znowu niezwykłego – rzekła Gerwaza. – I nie widać jakoś ani Cyganów, ani dzieci.

– Cierpliwości! – podjęła swe opowiadanie Majetta. – Zaraz zobaczycie dziecko. W sześćdziesiątym szóstym roku, szesnaście lat już będzie tego miesiąca, na Św. Pawła, Stokrotka powiła córeczkę. Nieszczęsna! Wielka to była dla niej radość. Od dawna pragnęła mieć dziecko. Matka jej, dobra kobieta, która na wszystko przymykała oczy, matka jej już umarła. Stokrotka nie miała na świecie nikogo, kogo by kochała, nikogo, kto by ją kochał. Od pięciu lat, odkąd zbłądziła, stała się istotą godną pożałowania. Była sama, sama na świecie, wytykana palcami, obrzucana wyzwiskami na ulicy; strażnicy ją bili, drwili z niej mali obszarpańcy. A przy tym skończyła dwadzieścia lat, a dwadzieścia lat – to starość dla miłośnicy. Uciechy nie więcej teraz przynosiły jej korzyści niż kiedyś złote hafty, jedna zmarszczka więcej, jeden grosik mniej; zima znów była dla niej ciężka, drzewo znów stało się rzadkością na jej kominku, a chleb w jej

skrzyni. Nie umiała już pracować, bo lubieżność ciągnie za sobą lenistwo, a cierpiała tym więcej, że lenistwo ciągnie za sobą lubieżność. W taki to przynajmniej sposób ksiądz proboszcz od Św. Remigiusza tłumaczy, dlaczego te kobiety cierpią bardziej z zimna i głodu na starość niż inne nędzarki.

– Owszem – zauważyła Gerwaza. – Ale gdzie tu Cyganie?

– Poczekaj, Gerwazo – rzekła Udarda, której uwaga mniej była niecierpliwa. – Co by było na końcu, gdyby wszystko było na początku? Proszę cię, Majetto, opowiadaj dalej. Biedna Wiosenka!

Majetta podjęła swoją opowieść:

– Była więc bardzo smutna, bardzo nieszczęśliwa, policzki jej wklęsły od łez. Ale w tym swoim pohańbieniu, w tej rozpuście, w tym opuszczeniu wydawało się jej, że byłaby mniej godna pogardy, mniej rozpustna i mniej opuszczona, gdyby istniało na świecie coś lub ktoś, kogo by mogła kochać i kto by ją mógł kochać. Musiało to być dziecko, bo tylko dziecko jest dość niewinne, by kochać taką kobietę. Poznała to, kiedy spróbowała pokochać złodzieja, jedynego mężczyznę, który mógł ją jeszcze zechcieć, ale szybko spostrzegła, że i złodziej nią gardzi. Tym kobietom żyjącym miłością konieczny jest dla wypełnienia serca albo gach, albo dziecko. Bez tego są ogromnie nieszczęśliwe. A że nie mogła mieć gacha, tym goręcej zapragnęła dziecka; a że nie przestała być pobożną, prośba o dziecko stała się jej nieustającą modlitwą do Boga. Wreszcie Pan Bóg ulitował się nad nią i dał jej córeczkę. Nie będę wam opowiadała o jej radości. Był to istny szal łez, pieśczot i pocałunków. Karmiła dziecko piersią, zrobiła mu pieluszki z jedynego przykrycia, jakie jeszcze miała na posłaniu, i nie czuła już ani zimna, ani głodu. Znow stała się piękna. Ze starej dziewczki robi się młoda marka. Zaczęło się znow swawolne życie; ten i ów znow zaczął odwiedzać Wiosenkę, znaleźli się znow kupcy na jej towar, a za te wszystkie okropności szyła pieluszki, kaftaniczki, śliniaczki, koronkowe staniczki i jedwabne czapeczki i nie pomyślała nawet o tym, żeby kupić sobie nową kołdrę... Imć Eustachy, mówiłam ci już, żebyś nie jadł placka!... Z pewnością mała Agnieszka – takie było imię dziecka, chrzestne imię, bo nazwiska Wiosenka nie miała już od dawna – z pewnością ta mała więcej miała wstążek i haftów niż córka delfina z Delfinatu. A szczególnie jedna para buciczków! Sam król Ludwik XI nie miał na pewno równie pięknych. Matka sama je uszyła, sama wyhaftowała i zużyła na tę robotę całą swoją zręczność hafciarki i tyle świecideł, że starczyłoby ich na sukienkę Matki Boskiej. Były to na pewno najśliczniejsze różowe buciczki, jakie tylko można zobaczyć w świecie. O tycie, najwyżej na palec, trzeba było widzieć, jak się z nich wysuwa mała nóżka dziecka, żeby uwierzyć, że się tam mogła zmieścić. Prawda, że te nóżki były takie malutkie, takie śliczne, takie różowe! Jeszcze różowsze niż jedwab bucików! Kiedy będziesz miała dzieci, Udardo, przekonasz się, że nie ma nic śliczniejszego od tych małych rączek, od tych małych nóżek.

– Niczego bardziej nie pragnę – rzekła z westchnieniem Udarda – ale czekam na dobrą wolę imć Andrzeja Musnier.

– A zresztą – opowiadała dalej Majetta – dziecko Stokrotki miało nie tylko nóżki śliczne. Widziałam tę malutką, kiedy ledwie cztery miesiące miała. Istny anioleczek! Oczy większe niż usteczka i najcudowniejsze czarne włoski, które już się wily. Cóż za piękna brunetka wyrosłaby z niej za szesnaście lat! Matka co dzień bardziej za nią przepadała. Pieściła ją, całowała, łaskotała, myła, stroiła, pożerała. Straciła dla niej rozum, dziękowała za nią Bogu. A nade wszystko te śliczne różowe nóżki – cóż to był za zachwyty nieustanny, cóż za obłęd radości! Ust od nich prawie nie odrywała, nie mogła dość się nacieszyć, że takie malutkie. Wsuwała je w małe buciczki, wysuwała, podziwiała, zachwycała się nimi, oglądała pod światło paluszki, litowała się, pomagając im stawiać pierwsze kroczki na łóżku, i chętnie by spędziła całe życie na klęczkach, obuwając i rozbuwając te nóżki niby nóżki Chrystusika.

– Ładna to bajka i zajmująca – rzekła półgłosem Gerwaza – ale gdzie tu Cyganie?

– Już są – odparła Majetta. – Pewnego dnia przybyli do Reims bardzo niezwykajni goście. Byli to włóczędzy i żebracy, którzy wędrowali przez cały kraj, prowadzeni przez swego księcia i swoich hrabiów. Byli ogorzali, włosy mieli kręcone, a w uszach srebrne koła. Kobiety były jeszcze szpetniejsze od mężczyzn. Miały jeszcze ciemniejsze i niczym nie osłonięte lica, wstrętne kaftany na ciele, stare płachty konopne zawiązane na ramionach, a włosy jak koński ogon. Mały zląkłyby się dzieci, które w błocie czepiały się ich spódnic. Banda ekskomunikowanych; wszystko to przyszło wprost z Dolnego Egiptu przez Polskę do Reims. Papież wypowiadał ich, tak przynajmniej opowiadali, i za pokutę kazał, by przez siedem lat bez przerwy wędrowali po świecie nie sypiając w pościeli. Toteż nazywali siebie pokutnikami i śmierdzielami okrutnie. Podobno kiedyś byli to Saraceni, dlatego wierzyli w Jowisza i żądali dziesięciu liwrów turskich od wszystkich arcybiskupów, biskupów i opatów z pastorałem i w mitrze. Dała im takie prawo jedna bulla papieska. Przybyli do Reims, żeby przepowiadać przyszłość w imieniu algierskiego króla i niemieckiego cesarza. Rozumiecie chyba, że wobec tego wszystkiego zabroniono im wejścia do miasta. Wtedy banda potulnie rozłożyła się obozem koło bramy Braine, na tym pagórku, gdzie stoi młyn, w pobliżu jam po dawnych kopalniach kredy. Kto żyw był w Reims, biegł ich oglądać. Pokazywało się im rękę, a oni przepowiadali prawdziwe cuda. Samemu Judaszowi zdolni byli wywróżyć, że zostanie papieżem. Krążyły jednak różne słuchy o skradzionych dzieciach, obcinanych sakiewkach, jedzeniu ludzkiego mięsa. Roztropni ludzie ostrzegali lekkomyślnych: „Nie chodźcie tam!” – i sami tam szli potajemnie. Szał ogarnął miasto. Mówili co prawda rzeczy, które mogłyby zadziwić chyba i samego kardynała. Jakże dumne były matki ze swoich dzieci, odkąd Cyganki wyczytały im z rąk wszelkie cudowności zapisane tam po pogańsku i po turecku. Jedna miała cesarza, druga papieża, trzecia kapitana. Ciekawość ogarnęła biedną Wiosenkę, zapragnęła dowiedzieć się, kogo urodziła i czy jej śliczna malutka Agnieszka nie zostanie pewnego dnia cesarzową Armenii, czy też czym innym może. Zaniósła ją więc do Cyganek; a Cyganki wpadły w zachwyty nad dzieckiem i pieczęcią je, i całują swymi czarnymi ustami, i nadziwić się nie mogą tej maleńkiej rączynie, aż strach rzecz! – ku wielkiej radości matki. Nade wszystko wychwalały śliczne nóżki i śliczne buciczki. Dziewczynka nie miała jeszcze roku. Już zaczynała mówić, śmiała się do matki, jak szalona, była tłuściutka, okrągłutka, a przymilna niby aniołek z nieba. Okropnie się przestraszyła Cyganek i zaczęła płakać. Ale matka ucałowała ją silniej jeszcze niż zwykle i posłała, uszczęśliwiona przepowiednią, którą wróżki dały jej Agnieszce. Miała być piękną, cnotą, królową. Powróciła więc na swoje poddasze przy ulicy Ogromnego Zmartwienia, dumna, że królową przynosi. Nazajutrz kiedy mała usnęła w jej łóżku (bo zawsze kładła ją przy sobie), skorzystała z wolnej chwili i zostawiając drzwi nieco uchylone, pobiegła na ulicę Suchą do sąsiadki, żeby jej opowiedzieć, iż nadejdzie dzień, kiedy córce jej Agnieszce będą usługiwały przy stole król Anglii i arcyksiążę Etiopii, i o stu innych niespodziankach. Wracając nie słyszała płaczu dziecka na schodach i pomyślała sobie: „Chwała Bogu, śpi.” Drzwi szerzej były uchylone niż po jej wyjściu, weszła jednak, nieszczęśliwa matka, podbiegła do łóżka... Dziecka nie ma, łóżko puste. Nic nie zostało po malej! Nic, tylko jeden śliczny mały buciczek. Wypadła z izby, zbiegła ze schodów i zaczęła walić głową o mur i krzyżeć: „Moje dziecko! Gdzie jest moje dziecko? Kto zabrał mi moje dziecko?” Ulica była pusta, dom stał na odludziu, nikt jej nie mógł odpowiedzieć. Poszła przez miasto, szukała na wszystkich ulicach, biegała tam i z powrotem przez cały dzień, oszalała, obłąkana, straszna, węszyła u drzwi i okien, niby dzikie zwierzę, które straciło swoje małe. Pędziła, zdyszana, rozczochrana, przerażająca, a w oczach miała jakiś ogień, co wysuszał jej łyzy. Zatrzymywała przechodniów i krzyczała: „Moja córka! Moja córeczka! Moja śliczna mała córeczka! Kto mi odda moją córkę, temu sługą będę, sługą jego psa będę, a jeśli zechce, zje serce

moje!” Spotkała księdza proboszcza od Św. Remigiusza i powiedziała mu: „Księżu proboszczu, będę orać ziemię pazurami, niech tylko ksiądz odda mi moje dziecko!” Serce pękało, Udardo; widziałam mężczyznę, twardego człowieka, mistrza Poncjusza Lacarbe, prokuratora, który płakał. O, nieszczęsna matka! Wieczorem wróciła do domu. Podczas jej nieobecności sąsiadka widziała, jak dwie Cyganki weszły ostrożnie do mieszkania z jakimś zawiniątkiem, a potem wyszły, zamknęły za sobą drzwi, i szybko uciekły. A odkąd znikły, z izby Stokrotki słychać było coś niby kwilenie dziecka. Matka wybuchnęła śmiechem, wbiegła na schody jak na skrzydłach, pchnęła drzwi niby strzał armatni i weszła... O, Udardo, cóż za straszny widok! Zamiast jej milutkiej, tłuściutkiej, różowej Agnieszki, która była prawdziwym darem Boga – jakiś mały potworek, wstrętny, kulawy, ślepy na jedno oko, istna maskara, raczkująca po podłodze i wrzeszcząca. Oczy sobie zasłoniła ze zgrozy. „O! – zawołała – czyżby czarownice zakłęły moją córeczkę w tego straszliwego zwierzaka?” Zabrano co Prędzej to małe szkaradzieństwo. Byłaby zwariowała od jego widoku. Było to upiorne dziecko Cyganki, co się z diabłem pokumała! Chłopiec miał już ze cztery lata i mówił językiem niepodobnym do ludzkiej mowy; jakieś słowa zupełnie niesłychane. Wiosenka rzuciła się na malutki trzewiczek, wszystko, co jej pozostało z tego, co kochała. I tak długo leżała niema, bez ruchu, bez tchu, jak umarła. Nagle zatrzęsa się na całym ciele, przylgnęła ustami do swojej relikwii i wybuchnęła takim płaczem, jakby jej serce pękło. Wierzcie mi, żeśmy wszystkie również płakały. Powtarzała: „O, moja córuczno, moja śliczna córuczno, gdzie jesteś?” Bebechy skręcały się, kiedy człowiek to słyszał. I teraz jeszcze płaczę, kiedy sobie wspomnę. Bo przecie dzieci – to szpik naszych kości. Eustachy, moje biedne maleństwo, takie śliczne! Nawet nie wiecie, jaki on milutki. Wczoraj tak mówił do mnie: „Chcę być pacholkiem straży.” O mój Eustachy, gdybym ja miała ciebie stracić! – Wiosenka zerwała się nagle i pobiegła przez Reims krzycząc: „Do obozu Cyganów! Do obozu Cyganów! Pacholków, żeby spalić czarownice!” Cyganie już odjechali. Noc była ciemna. Ścigać ich – nie sposób. Nazajutrz o dwie mile od Reims, między Gueux i Tilloy znaleziono na wrzosowisku resztki ogromnego ogniska, wstążki, które należały do dziecka Stokrotki, krople krwi i bobki capa. Poprzedniego dnia była sobota. Nikt więc nie wątpił, że Cyganie odprawiali sabat na tym wrzosowisku i że zjedli dziecko w asyście Belzebuba, jak to jest u mahometan we zwyczaju. Kiedy Wiosenka dowiedziała się o tej strasznej nowinie, nie zapłakała, poruszyła tylko wargami, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Nazajutrz włosy jej były siwe. Następnego dnia znikła.

– To rzeczywiście przerażająca opowieść – rzekła Udarda. – Nawet Burgundczyk zapłakałby słuchając jej.

– Nie dziwię się teraz – dodała Gerwaza – że strach przed Cyganami tak cię pogał.

– Postąpiłaś tym słuszniej – powiedziała Udarda – uciekając przed chwilą ze swoim Eustachym, że są to również Cyganie z Polonii.

– Ależ nie – rzekła Gerwaza. – Ci przyszli podobno z Hiszpanii, z Katalonii.

– Z Katalonii? możliwe – odparła Udarda. – Polonia, Katalonia, Walenia, zawsze mi się mylą te trzy prowincje. Jedno pewne, że są to Cyganie.

– I mają dość długie zęby, żeby zjadać dzieci – dodała Gerwaza. – Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby Esmeralda pokosztowała też czasem tej strawy, choć ma taką niewinną minkę. Jej biała kózką pokazuje zbyt wymyślne sztuczki, by mogło w tym nie być żadnych czarów.

Majetta szła w milczeniu. Ogarnęła ją ta zaduma, która jest niejako przedłużeniem smutnej opowieści, a która wtedy dopiero ustaje, kiedy wstrząs, poprzez kolejne, coraz to głębsze drgnienia, dotrze aż do ostatniego zakątka serca. Aż wreszcie Gerwaza zagadnęła ją:

– I nie można było się dowiedzieć, co się stało z Wiosenką?

Majetta nic nie odpowiedziała. Gerwaza powtórzyła pytanie potrząsając ją za ramię i głośno

wołając po imieniu. Majetta jakby ocknęła się z zamyślenia.

– Co się stało z Wiosenką? – rzekła, machinalnie powtarzając słowa, które jeszcze brzmiały jej w uszach; i z wysiłkiem skupiając uwagę na znaczeniu tych słów:

– Oj! – zawołała głośno – nie! Tego nie dowiedziano się nigdy.

A po chwili milczenia dodała:

– Jedni twierdzą, że widzieli, jak wychodziła z Reims o zmierzchu przez bramę Flechembault; inni – że o świcie przez starą bramę Basée. Pewien ubogi żebrak znalazł je; złoty krzyżyk zawieszony na kamiennej kalwarii, na polu, na którym zwykle odbywają się jarmarki. To właśnie cacko zgubiło ją w sześćdziesiątym pierwszym roku. Dar pięknego wicehrabiego de Cormontreuil, jej pierwszego gacha. Stokrotka za nic nie chciała rozstać się z tym krzyżykiem, choć była w takiej nędzy. Zależało jej; na nim Jak na własnym życiu. Więc też, kiedyśmy zobaczyły, że ten krzyżyk została, pomyślałyśmy wszystkie, że umarła. Jednakże niektórzy ludzie z Cabaret de Vautes powiadali, że widzieli, jak szła gościńcem wiodącym do Paryża boso po kamieniach. Ale w takim razie musiałaby wyjść z Reims przez bramę Vesle i jakoś się to wszystko razem nie składa. Albo raczej myślę, że rzeczywiście wyszła przez bramę Vesle, ale że wyszła z tego świata.

– Nie rozumiem – rzekła Gerwaza.

– La Vesle – powiedziała ze smutnym uśmiechem Majetta – to rzeka.

– Biedna Wiosenka! – zawołała Udarda i zadrzała. – Utopiła się!

– Utopiła się. – odparła Majetta. – I czyż mógł przypuszczać poczciwy ojciec Guybertaut, kiedy z prądem rzeki przepływał pod mostem Tinquieux, śpiewając w swojej łodzi, że pewnego dnia jego kochana mała Stokrotka przepłynie tuż pod tym mostem, ale nie na barce i bez piosenki.

– A trzewiczek? – zapytała Gerwaza.

– Zginął razem z matką – odrzekła Majetta.

– Biedny trzewiczek – odezwała się Udarda.

Udarda, niewiasta gruba i uczuciowa, chętnie powzdychałaby już tylko razem z Majettą. Ale Gerwaza, bardziej dociekliwa, nie zaspokoila jeszcze swojej ciekawości.

– A potwór? – spytała nagle Majetty.

– Jaki potwór?

– Potworek egipski, którego czarownice podrzuciły Stokrotce zamiast jej córeczki. Cóżście z nim uczynili? Spodziewam się, żeście go również utopili.

– O nie – rzekła Majetta.

– Jakże to? Więc spaliliście go? Pewnie, że to sprawiedliwiej. Diabelskie nasienie.

– Ani go nie utopiono, Gerwazo, ani go nie spalono. Ksiądz arcybiskup zaopiekował się egipskim dzieckiem, odprawił nad nim egzorcyzmy, pobłogosławił, starannie wypędził zeń diabła i odesłał je do Paryża, a tu je wystawiono na drewnianej ławie przed katedrą jako podrzutka.

– Ci biskupi! – mruknęła niechętnie Gerwaza – ponieważ są uczeni, wszystko robią inaczej niż inni ludzie. Tego już za wiele, no, sama powiedz, Udardo, żeby diabłą kłaść pomiędzy podrzutków! Bo ten potworek na pewno był diabłem.

I cóż, Majetto, co się z nim stało w Paryżu? Spodziewam się, że się nie znalazła żadna miłosierna istota, która by zechciała go przygarnąć.

– Nie wiem – odparła mieszkanka Reims. – W tym właśnie czasie mój mąż kupił notariat w Beru, o dwie mile od miasta, i nie zajmowaliśmy się już więcej tą historią; poza tym przed samym Beru wznoszą się dwa wzgórze Cernay, które zasłaniają wieżę katedry w Reims.

Gawędząc w ten sposób trzy zacne mieszczki doszły do placu Gréve. Zajęte rozmową minęły

brewiarz publiczny koło Wieży Rolanda nie zatrzymując się przy nim i bezmyślnie skierowały się w stronę pręgierza, wokół którego tłum rósł nieustannie. Kto wie, czy dla widowiska, które pociągało wszystkie spojrzenia w tamtą stronę, nie zapomniałyby całkiem o Szczurzej Norze i zamierzonych odwiedzinach, gdyby tłuściutki sześciolatek Eustachy, którego Majetta ciągnęła za rękaw, nie przypomniał im nagle o ich przedmiocie.

– Mamo – powiedział, jakby jakiś instynkt podszeptął mu, że Szczurza Nora już pozostała w tyle – czy teraz mogę zjeść ciastko?

Gdyby Eustachy był zręczniejszy, to znaczy mniej łakomy, zaczekałby jeszcze i dopiero po powrocie, w Uniwersytecie, w mieszkaniu mistrza Andrzeja Musnier przy ulicy Madame la Valence, oddzielony od Szczurzej Nory dwoma ramionami Sekwany i pięcioma mostami Cité, zaryzykowałby to nieśmiałe pytanie: „Mamo, czy teraz mogę zjeść placek?”

W tej chwili pytanie było nierozważne i tylko rozbudziło uwagę Majetty.

– A właśnie! – zawołała. – Zapomniałyśmy o pustelnicy. Pokażcież mi waszą Szczurzą Norę, niechże jej zaniosę ten placek.

– Zaraz! – rzekła Udarda – to przecież jałmużna.

Nie na to liczył Eustachy.

– Ojej! Mój placek – powiedział przechylając główkę raz w lewo, raz w prawo, co w podobnych wypadkach jest oznaką najwyższego niezadowolenia.

Trzy niewiasty zawróciły, a kiedy znalazły się znów koło domu nad Wieżą Rolanda, Udarda odezwała się:

– Nie trzeba, żebyśmy wszystkie trzy równocześnie zaglądały przez okienko, pustelnica mogłaby się przestraszyć. Udawajcie, że odcytujecie modlitwę z brewiarza, a ja zerknę do Nory; pustelnica zna mnie trochę; dam wam znak, kiedy będziecie mogły podejść.

I przystanąła koło okienka. Gdy zajrzała do środka, w oczach jej ukazała się głęboka litość, a otwarta i wesoła jej twarz zmieniła tak nagle kolor i wyraz, jakby spod światła słońca przesunęła się w światło księżyca. Oczy jej zwilgotniały, usta skrzywiły się jak do płaczu. Po chwili przyłożyła palec do warg i skinęła na Majettę, by podeszła popatrzeć.

Wzruszona Majetta bez słowa zbliżyła się na palcach – tak podchodzi się do łoża umierającego.

Rzeczywiście, smutny widok ukazał się oczom obu niewiast, które bez ruchu, wstrzymując dech, zaglądały przez okratowane okienko Szczurzej Nory.

Celka była wąska, płytka i podłużna, sklepiona ostrołukiem, i temu, kto zaglądał do środka, przypominała z kształtu wnętrze jakiejś ogromnej mitry biskupiej. W rogu, na gołej płycie kamiennej, która była tu podłogą, siedziała, a raczej skuliła się niewiasta. Brodę wsparła na kolanach, które silnie przycisnęła do piersi skrzyżowanymi rękoma. Skurczona, odziana w brunatny wór, którego szerokie fałdy przykryły ją całą, z długimi, siwymi, odrzuconymi do przodu włosami, które zakrywały jej twarz i spływały wzdłuż nóg aż po stopy, na pierwszy rzut oka wydawała się jakimś kształtem dziwnym, odcinającym się na mrocznym tle celi, jakimś ciemnym trójkątem, który promień światła przez okienko wpadający przeciął ostro na dwie części: ciemną i jasną. Była niby te widma ze światła i cienia, które można oglądać we snach i w przedziwnym dziele Goyi – blade, nieruchome, posępne, pochylone nad grobem albo oparte o więzienne kraty. Ani kobieta, ani mężczyzna, ani żywa istota, ani określony kształt, lecz upostaciowana zjawia, w której zmieszały się rzeczywistość i fantastyka, jak ten cień i to światło. Zaledwie poprzez włosy rozsypane aż do ziemi można było dostrzec żary twarzy wychudzonej i surowej; zaledwie spod sukni wysuwały się palce bosej stopy, skurczone na zimnym i twardym kamieniu. Odrobina ludzkiego kształtu przezierająca poprzez te żałobne przykrycia wywoływała dreszcz zgrozy.

W postaci tej, przykutej, sądziłbyś, do kamiennej posadzki, nie było ani ruchu, ani świadomości, ani oddechu. Pod cienkim płóciennym workiem leżąca w styczniu na gołym granicie, w mroku pozbawionej ognia celi, której wąskie okienko dawało dostęp tylko wiatrom i deszczom, nigdy zaś słońcu – zdawała się nie cierpieć, zdawała się w ogóle nie mieć czucia. Rzekłbyś, że skamieniała razem z celą, że zlodowaciała razem z porą roku. Dłonie jej były splecione, oczy utkwione w jakiś jeden punkt. Na pierwszy rzut oka można było wziąć ją za widmo, później za posąg.

Jednakże sine jej wargi co pewien czas rozchyłały się w oddechu i drżały, lecz tak martwo i tak mimowolnie, jak liście poruszane wiatrem.

Jednakże z jej posepnych oczu wymykało się spojrzenie niewysłowione, spojrzenie głębokie, ponure, nieprzeniknione, utkwione niezmiennie w ten kąt celi, którego nie było widać z zewnątrz; spojrzenie, które jakby wiązywało wszystkie posepne myśli tej udręczonej duszy z jakimś tajemniczym przedmiotem.

Taka była istota, którą od mieszkania nazywano „pustelnicą”, od odzienia zaś „pokutnicą w worze”.

Trzy niewiasty, gdyż Gerwaza również się przyłączyła do Majetty i Udarady, zaglądały przez okienko. Głowy ich zasłoniły słabe światło, które przedostawało się do lochu, lecz nędzarka, która została go w ten sposób pozbawiona, chyba ich nawet nie spostrzegła.

– Nie przeszkadzajmy jej – rzekła cicho Udarada. – Jest w ekstazie: modli się.

Tymczasem Majetta z rosnącym niepokojem przyglądała się tej zmizerowanej, zwiędłej, rozczochranej głowie, a oczy jej napęły się łzami.

– Byłoby to bardzo dziwne... – szepnęła.

Wsunęła głowę pomiędzy kraty okienka i udało jej się dotrzeć spojrzeniem aż w ten kąt, w który niezmiennie utkwiony był wzrok nieszczęśliwej.

Kiedy wysunęła głowę z okienka, miała twarz zalaną łzami.

– Jak nazywacie tę niewiastę? – zapytała Udaradę.

– Nazywamy ją siostrą Gudulą – odparła.

– A ja – rzekła Majetta – ja nazwę ją Stokrotką, Wiosenką.

I kładąc palec na ustach, skinęła na zdumioną Udaradę, by wsunęła głowę pomiędzy kraty i popatrzyła.

Udarada zajrzała i w kącie, tam gdzie było utkwione w posepnym zapamiętaniu oko pustelnicy, zobaczyła trzewiczek z różowego jedwabiu, zahaftowany tysiącem złotych i srebrnych świecidełek.

Gerwaza także z kolei zajrzała do środka i trzy niewiasty patrząc na tę nieszczęśliwą matkę rozplakały się.

Ani ich spojrzenia jednak, ani łzy nie zbudziły z odrętwienia pustelnicy. Dłonie jej nadal były splecione, usta nieme, oczy utkwione w jeden punkt; a temu, kto znał historię jej życia, musiało ścisnąć się serce, kiedy widział, jak wpatruje się w ten dziecinny buciczek.

Trzy niewiasty nie wyrzekły jeszcze ani słowa; nie odważyły się odezwać, choćby nawet szeptem. Ta wielka cisza, ten wielki ból, to wielkie zapomnienie, w którym znikło wszystko oprócz jednej rzeczy, wydały im się niby ołtarz główny w Wielkanoc czy w Boże Narodzenie. Milczały w skupieniu i gotowe były uklęknąć. Wydało się im, że weszły do kościoła w czasie Ciemnej Jutrznii.

Wreszcie Gerwaza, najciekawsza ze wszystkich trzech, a więc i najmniej czuła, próbowała przemówić do pustelnicy:

– Siostro! Siostro Gudulo!

Powtórzyła to wołanie aż trzykrotnie, coraz głośniej za każdym razem. Pustelnica nie

poruszyła się. Ani słowa, ani spojrzenia, ani westchnienia – nic, żadnego znaku życia.

Z kolei Uarda zawołała tkliwszym, bardziej pieszczotliwym głosem:

– Siostró! Siostró święta Gudulo!

To samo milczenie, ten sam bezruch.

– Dziwna kobieta! – zawołała Gerwaza. – Nie poruszyłby jej strzał z hakownicy.

– Może jest głucha? – powiedziała Uarda z westchnieniem.

– Może ślepa – dodała Gerwaza.

– Może nieżywa – rzekła Majetta.

Istotnie, jeżeli nawet dusza nie opuściła jeszcze tego nieruchomego, uspiętego w letargu ciała, to z pewnością cofnęła się i skryła w takich głębokościach, do których nie dociera postrzeżenie narządów zmysłowych.

– Trzeba będzie zostawić placek na parapecie – rzekła Uarda. – i jakiś urwis go świśnie! Jak by tu ją obudzić?

Eustachy, zajęty do tej pory małym wózkiem zaprzężonym w dużego psa, który właśnie przejeżdżał, spostrzegł nagle, że jego trzy przewodniczki przyglądają się czemuś przez okienko i również, ciekawością zdjęty, wdrapał się na kamienny stopień, wspiał na palce i przysunął swoją pyzatką, różową twarz do otworu wołając:

– Mamo! Ja też chcę zobaczyć!

Na ten głos dziecinnie, jasny, dźwięczny, świeży pustelnica zadrżała. Głowa jej odwróciła się, jakby nagle w bok odrzucona stalową sprężyną, długie, wysuszone dłonie rozgarnęły włosy na czole i oto utkwiała w dziecku oczy zdziwione, gorzkie, rozpaczliwe. Spojrzenie to nie trwało dłużej, niż trwa błyskawica.

– O, Boże mój! – krzyknęła nagle, kryjąc twarz w kolana, i wydało się, że ten ochrypły głos rozdierał pierś, z której się wydobywał. – Nie pokazujcie mi przynajmniej cudzych dzieci!

– Dzień dobry pani! – rzekł z powagą malec.

Wstrząs ten jednak jakby obudził pustelnicę. Długi dreszcz przebiegł po całym jej ciele od głowy aż do stóp, zęby jej zadzwoniły, uniosła nieco głowę i przyciskając łokcie do ud, a dłońmi chwytając stopy, jakby je chciała rozgrzać, odezwała się:

– O! Jak zimno!

– Biedna kobieto! – rzekła Uarda zdjęta ogromną litością. – Może chcielibyście odrobinę ognia?

Odmownie poruszyła głowę.

– A więc macie tutaj wino z korzeniami, które was rozgrzeje – odezwała się znowu Uarda podając jej flaszkę. – Wypijcie!

Znów potrząsnęła głową, spojrzała na Uardę i rzekła:

– Wody!

Uarda nalegała jednakże:

– Nie, siostró, woda nie styczniowy to napój. Musicie wypić trochę wina i zjeść ten placek na rozczywie z kukurydzy, który upiekłyśmy dla was.

Odepchnęła placek, który jej podsunęła Majetta, i rzekła:

– Czarnego chleba!

– Siostró – powiedziała Gerwaza, poruszona z kolei litością, rozwiązując swój wełniany płaszcz. – Oto okrycie cieplejsze nieco od waszego. Odziejcie się w nie.

Nie przyjęła płaszcza, jak nie przyjęła ani flaszki, ani ciasta, i odpowiedziała:

– Wór!

– Ale przecie wiecie chyba o tym, że wczoraj było święto – nalegała dobra Uarda.

– Wiem o tym – rzekła pustelnica. – Już od dwu dni nie ma wody w moim dzbanie. – I dodała

po chwili milczenia: – Było święto, o mnie zapomnieli.

I dobrze się stało. Czemuż świat miałby pamiętać o mnie, która o nim zapomniała? Na wygasły żar – zimny popiół.

I jakby znużona rym, że powiedziała aż tak wiele, oparła głowę o kolana.

Udarda, litościwa i prostoduszna, która zrozumiała jej ostatnie słowa jako skargę na zimno, odpowiedziała naiwnie:

– Ano właśnie, może wam przecie przynieść ognia?

– Ognia! – rzekła pustelnica dziwnym głosem. – A czy dacie zagrzać się przy nim tej biednej okruszynie, która od piętnastu lat leży w ziemi?

Zadygotała całym ciałem, głos jej zadrżał, oczy zabłyśły, dźwignęła się na kolana i wyciągając nagle swą białą i chudą rękę ku dziecku, które przyglądało się jej zdumione:

– Zabierzcie dziecko – zawołała. – Zaraz przyjdzie Cyganka.

I przypadła twarzą do podłogi, a czoło jej uderzyło o płytę z hałasem kamienia uderzającego o kamień. Trzem niewiastom wydało się, że skonała. Po chwili jednak poruszyła się i ujrzały, jak poczołgała się na łokciach i kolanach w kącie celi, tam, gdzie znajdował się dziecinny trzewiczek. Nie śmiały zaglądać do wnętrza; nie widziały jej; słyszały tylko pocałunki i jęki, przeraźliwe krzyki i głucho uderzenia, jakby ktoś głową walił o mur. Później, po jednym z takich uderzeń, tak potężnym, że wszystkie trzy zatrzęśły się, wszystko ucichło.

– Czyżby się zabiła? – rzekła Gerwaza odważając się zajrzeć przez okienko. – Siostró! Siostrzyczko Gudulo!

– Siostró Gudulo! – powtórzyła Udarda.

– O mój Boże, już się nie rusza! – zawołała Gerwaza. – Pewnie nie żyje. Gudulo! Gudulo!

Majetta, której wzruszenie odebrało mowę, przemogła się.

– Zaczekajcie! – powiedziała i przysunęła się do okienka. – Stokrotko! – zawołała. – Stokrotko! Wiosenko!

Dziecko, które nierozważnym dmuchnięciem na ledwie tłący się knot puszki z prochem sprawia, iż wybucha mu ona prosto w oczy, nie mogłoby bardziej być tym przerażone od Majetty, kiedy zobaczyła, jaki skutek wywołało to imię ciśnięte tak nagle do wnętrza celi siostry Guduli.

Pustelnica zatrzęsała się na całym ciele, zerwała się i skoczyła ku okienku z tak płonącymi oczyma, że i Majetta, i Udarda, i trzecia ich towarzyszka, i dziecko cofnęły się aż na sam skraj chodnika. Lecz posępna twarz pustelnicy pojawiła się w otworze, przyciśnięta do kraty.

– O! o! o! – krzyknęła z przerażającym śmiechem. – To Cyganka mnie woła.

W tej właśnie chwili pręgięz i to, co się na nim działo, przyciągnęło jej nieprzytomne spojrzenie. Czoło jej zmarszczyła zgroza, wyciągnęła przez okienko celi swoje długie szkieletowe ręce i wrzasnęła głosem podobnym do przedśmiertnego rżenia:

– To znowu ty, córo Egiptu. To ty mnie wołasz, złodziejko dzieci. A więc bądź przeklęta! Przeklęta! Przeklęta! Przeklęta!

IV

ŁZA ZA KROPLĘ WODY

Słowa te były – żeby tak rzec – związaniem dwu scen, które się do tej chwili rozwijały

równolegle w tym samym czasie, każda w swoim osobnym teatrze: jedna, którą przed chwilą opisaliśmy, w Szczurzej Norze, druga, którą zaraz opiszemy, na pręgierzu.

Świadcami pierwszej z nich były tylko trzy niewiasty, z którymi czytelnik właśnie się zapoznał, zaś widzem drugiej ciżba, która na naszych oczach zgromadziła się na placu Grève, dokoła pręgierza i szubienicy. Ciżba ta, w której czterech pachółków rozstawionych już od dziewiątej rano po czterech rogach pręgierza roznieciło nadzieję na jaką taką egzekucję, pewnie, że nie wieszanie, ale może chłostę albo też obcinanie uszu, na cokolwiek w każdym razie – ciżba ta urosła tak szybko, że pachółkowie, zbyt już z bliska osaczeni, musieli niejedną raz „napierać” na nią, jak to wówczas powiadano, i biczem, i koniem.

Gawiedź, wyćwiczona w czekaniu na publiczne egzekucje, nie okazywała nadmiernej niecierpliwości. Zadowalała się tymczasem oglądaniem pręgierza, budowli niezwykle prostej, bo składającej się z murowanego sześcianu, wysokiego na jakie sześć stóp i pustego wewnątrz. Strome stopnie z nieciosanego kamienia, które nazywano „drabiną”, prowadziły na górną platformę, gdzie położone było na płask dębowe, masywne drewniane koło. Skazaniec musiał uklęknąć na tym kole, z rękoma skrępowanymi z tyłu. Drewniana belka, umieszczona w środku i poruszana przez kołowrót, znajdujący się wewnątrz budynku, wprawiała koło w ruch i wszyscy zgromadzeni na placu wokół pręgierza mogli oglądać kolejno twarz skazańca. To właśnie nazywało się obracaniem zbrodniarza.

Jak widać, pręgierz z placu Grève ani się umywał do pręgierza z Hal i o ileż mniej mógł dostarczyć rozrywek! Żadnej architektury. Żadnej monumentalności. Nie było tu ani dachu z żelaznym krzyżem, ani ośmiobocznej latarni, ani smukłych kolumnienek, co pod samym okapem rozkwiatały w kapitele z kwiatów i liści akantu, ani rynien – chimer i monstrów, ani ciesielki ozdobnej, ani pięknych rzeźb, głęboko rytých w kamieniu.

Trzeba było zadowolić się czworobokiem wymurowanym z ciosów, który podpierały dwie skarpy z piaskowca, i nędzną kamienną szubienicą, chuderławą i naga, która stała obok pręgierza.

Skromna była to uczta dla miłośników gotyckiej architektury. Prawda, że nikt nie był mniej ciekaw uroków budownictwa od wesołych średniowiecznych gapiów i że niewiele dbali oni o urodę pręgierzy.

Delikwent przybył wreszcie, związany i na dno wozu ciśnięty; a kiedy dźwignięto go w górę i skrępowanego sznurami i rzemieniami ustawiono na kole pręgierza tak, że można go było zobaczyć z każdego punktu placu, wybuchł nieopisany wrzask i śmiech. Gawiedź poznała Quasimodo.

Był to rzeczywiście on. Jakże dziwny powrót! Stawiano go na pręgierzu tu, na tym samym placu, gdzie go poprzedniego dnia witano, obwoływano błazeńskim papieżem i władcą, wiwatowano na jego cześć i gdzie miał w swoim orszaku księcia Egiptu, króla Pięciu Franków i cesarza Galilei. Z pewnością jednak w całym tym tłumie nikt, nawet on sam – wczorajszy triumfator, dzisiejsza ofiara – nie uczynił wyraźnie w myśli tego zestawienia; zabrakło temu widowisku Gringoire’a i jego filozofii.

Wkrótce Michał Noiret, przysięgły trębacz króla jegomości, uciszył pospólstwo i ogłosił wyrok z rozkazu imć pana starosty. Po czym cofnął się za wóz wraz ze swymi ludźmi w kaftanach sądowych pachółków.

Quasimodo, obojętny, nawet nie mrugnął. Wszelki opór był uniemożliwiony przez to, co się wówczas w języku sądowych kancelarii nazywało „tęgością i wytrzymałością więzów”, a co znaczy, że rzemienie i łańcuchy głęboko wpiły mu się w ciało. Nie zginęła zresztą ta tradycja więzień i kaźni, kajdany przechowują ją troskliwie wśród nas, narodu cywilizowanego, łagodnego, humanitarnego (tu w nawiasie – galery i gilotyna).

Pozwolił prowadzić się, popychać, nieść, wciągać na rusztowanie, skrępować i przywiązać. Z

twarży jego nie można było odgadnąć nic prócz zdziwienia dzikusa lub idioty. Wiedziano, że jest głuchy, zdawało się, że jest ślepy.

Kazano mu uklęknąć na desce koła; uklęknął. Zdarto zeń kaftan i koszulę, obnażono go do pasa; nie opierał się. Omotano go nową siecią rzemieni i wiązadeł; pozwolił skrępować się i związać. Tylko co pewien czas sapał głośno jak cielak, którego łeb kiwa się wystając z rzeźnickiego wozu.

– Bydlę! – odezwał się Jan Frollo z Młyna do swego przyjaciela Robina Kociubki (bo obydwaj żacy poszli oczywiście trop w trop za skazańcem) – tyle rozumie, co chrabąszcz zamknięty w pudle.

Cóż za szalony śmiech ogarnął gawieź, kiedy ujrzała obnażony garb Ouasimodo, jego wielbłądzą pierś i ramiona pokryte stwardniałą skórą i włochate! Wśród g tej ogólnej uciechy mężczyzna w stroju pacholka miejskiego, krępy i krzepki, wszedł na pręgierz i stanął obok skazańca. Imię jego szybko rozeszło się wśród zgromadzonych. Był to mistrz Piotrek Kręcikoło, przysięgły oprawca Châtelet.

Najpierw ustawił na rogu pręgierza czarną klepsydrę, której górna bańka napełniona była czerwonym piaskiem przesypującym się do dolnego zbiornika, później zdjął kaftan i ujrzano w jego dłoni cienki bat spleciony z długich rzemieni surowych, lśniących, powiązanych w supły i zakończonych metalowymi haczykami. Lewą ręką zawinął niedbale prawy rękaw koszuli wysoko aż po pachę.

Tymczasem Jan Frollo wysunąwszy ponad ciźbę swą jasnowłosą i kędzierzawą głowę (stanął w tym celu na ramionach Robina Kociubki) darł się:

– Patrzajcie, patrzajcie, damy i kawalerowie! oto będą chłostać mistrza Quasimodo, dzwonnika mego brata, wielebnego archidiakona jozajskiego, cudaka wschodniej budowy, co ma plecy jak kopuła, a nogi jak kręcone kolumny!

A gawieź w śmiech, zwłaszcza dzieci i dziewczęta.

Wreszcie oprawca tupnął nogą. Koło ruszyło. Quasimodo zachwiał się, choć skrępowany łańcuchami. Osłupienie, które się nagle ukazało na jego potwornej twarzy, zdwoiło jeszcze powszechną uciechę.

Raptem, kiedy koło w swym obrocie podsunęło mistrzowi Piotrkowi wypukłe plecy Quasimodo, mistrz Piotrek podniósł ramię; cienkie rzemienie syknęły przeciągle w powietrzu jak żmije schwycone w dłoń i spadły z furją na barki nieszczęśliwego.

Quasimodo szarpnął się, jakby nagle przebudzony. Zaczynał pojmować. Naprężył mięśnie pod krępującymi go więzami; gwałtowny skurcz zdziwienia i bólu wykrzywił mięśnie jego twarzy; ale nie westchnął nawet. Obejrzał się tylko w lewo, potem w prawo, kołysząc głową po raz drugi, po raz trzeci i jeszcze, i jeszcze, i znowu. Koło obracało się niezmiennie, razy niezmiennie spadały. Wkrótce trysnęła krew i ujrzano, jak spływa tysiącem wąskich strużek po czarnych plecach garbusa; cienkie rzemienie wirując rozdzierały powietrze i rozpryskiwały krople krwi na ciźbę.

Quasimodo odzyskał przynajmniej pozornie swoją pierwotną obojętność. Z początku nie szarpał się, nie miotał, tylko po kryjomu próbował zerwać więzy. Ujrzano, jak rozbłysło mu oko, jak naprężył mięśnie, jak się skupił w sobie, jak napięły się łańcuchy i rzemienie. Był to wysiłek potężny, niezwykły, rozpaczliwy; ale stare okowy starostwa wytrzymały. Skrzypnęły tylko i nic więcej. Quasimodo opadł z sił, wyczerpany. W miejsce zdumienia – gorycz i głęboka rezygnacja pojawiły się na jego twarzy. Przymknął swe jedyne oko, spuścił głowę na pierś, zamarł w bezruchu.

I już nie poruszył się więcej. Nic nie zdołało wyrwać mu jednego choćby gestu. Nic – ani krew, która nie przestawała broczyć, ani razy, które spadały nań coraz bardziej wściekłe, ani

złość oprawcy, który coraz silniej podniecał się i upajał wymierzaniem chłosty, ani świst straszliwych rzemieni, ostrzejszych i bardziej świszczących niż łapki moskitów.

Wreszcie woźny Châtelet, w czarnej opończy i na czarnym koniu asystujący od początku wykonywaniu wyroku, wyciągnął ku klepsydrze swą pałeczkę z hebanu. Oprawca zatrzymał się. Koło zatrzymało się. Oko Quasimodo otwarło się wolno.

Chłosta była skończona. Dwaj pomocnicy przysięgłego oprawcy obmyli krwawiące plecy skazańca, natarli je jakimś balsamem, który natychmiast zamknął wszystkie rany, i zarzucili mu na ramiona żółtą płachtę skrojoną na kształt ornatu. Piotrek Kręcikoło wyżywał tymczasem na bruk czerwone, nasiąkło krwią rzemienie.

Lecz nie wszystko skończyło się dla Quasimodo. Do odcierpienia pozostała mu jeszcze owa godzina pręgierza, ta właśnie, którą mistrz Florian Barbedienne dodał tak sprawiedliwie do wyroku imć pana Roberta d'Estouteville, co stało się ku tym większej chwale starego, fizjologiczno-psychologicznego kalamburu Jana de Cumičre; *Surdus absurdus*.

Odwrócono więc klepsydrę i pozostawiono związanego garbusa na pręgierzu, aby sprawiedliwości stało się zadość aż do końca.

Prosty lud, zwłaszcza w średniowieczu, jest w społeczeństwie tym, czym w rodzinie jest dziecko. I dopóki trwa w stanie owej pierwotnej niewiedzy, owej małości umysłowej i moralnej, można powiedzieć o nim to samo, co o dziecku: „Wiek ten nie zna litości.”

Wspominaliśmy już, że Quasimodo był powszechnie znienawidzony; prawda, że nie bez racji. Wśród tej ciżby nie było chyba człowieka, który by nie miał – słusznie czy niesłusznie – powodu do chowania urazy do złego garbusa z katedry Marii Panny. Kiedy zjawił się na pręgierzu, radość była ogólna, a sroga kara, której został poddany, i żalony stan, do jakiego doprowadziła go chłosta, nie rozczuliły bynajmniej gawiedzi, lecz uczyniły nienawiść jej bardziej złośliwą, uzbrajając ją w ostrze wesołości.

Toteż, kiedy już odbył się „publiczny wymiar sprawiedliwości”, jak to bełkocą i dzisiaj jeszcze kwadratowe birety, nadeszła kolej zaspokajania tysiącznych zemst osobistych. I tu, jak przedtem na wielkiej sali, najnamiętniej wystąpiły kobiety. Wszystkie żywiły doń urazę, jedne za jego złośliwość, inne – za szpetotę. I te szalały najbardziej.

– O! maska Antychrysta! – mówiła jedna.

– Jeździec na kiju od miotły! – krzyczała druga.

– Piękna tragiczna mina! – darła się trzecia. – Kto by obrał go papieżem błaznów, gdyby dziś było wczoraj?

– Dobrze mu tak! – odezwała się jakaś staruszka. – Oto macie minę spod pręgierza. A kiedy to pokażesz nam minę spod szubienicy?

– Kiedy z twoim wielkim dzwonem na łbie znajdziesz się wreszcie na sto stóp w ziemi, dzwonniku przeklęty?

– I to ten diabeł dzwoni na Anioł Pański!

– O, głuszec! Ślepiec! Garbus! Potwór!

– Gęba, od której łatwiej można poronić niż od wszystkich leków i ziół!

A dwaj żacy: Jan z Młyna i Robin Kociubka, wyśpiewywali wniebogłosy starą ludową piosenkę:

Powrozy, stryki
a szubieniczniki,

A smolne stosy

Na małpinosy!

Sypały się przekleństwa, wyzwiska, złorzeczenia, śmiechy, a tu i ówdzie kamienie.

Quasimodo był głuchy, ale wzrok miał bystry, a furia gawiedzi malowała się na twarzach

równie wyraziście, co i w słowach. Zresztą kamienie tłumaczyły śmiechy.

Z początku trzymał się. Z wolna jednak cierpliwość, która okrzepła pod batem oprawcy, zmiękła i zachwiała się pod ukąszeniami tych wszystkich żądań. Byka asturyjskiego, obojętnego na ataki pikadora, rozdrażniają psy i chorągiewki.

Najpierw wolno powiódł po ciżbie spojrzeniem pełnym groźby. Ale związane go mocno i spojrzenie jego nie mogło przepędzić tych much, co obsiadły jego rany. Więc szarpnął się wysiłkiem tak wściekłym, że aż stare koło pręgierza zatrzeszczało na swej drewnianej osi. I tyle zyskał, że spotężniały tylko urągania i wrzaski.

Wówczas nieszczęsny – niby dziki zwierz, uwiązany i nie mogący zerwać swej obroży – uspokoił się. Tylko od czasu w czasie wściekłe westchnienie podnosiło wszystkie wklęsłości jego piersi. Na jego twarzy nie było ani wstydu, ani rumieńca. Zbyt był daleki społeczeństwu ludzkiemu, zbyt bliski naturze, aby wiedzieć, co to wstyd. Czy zresztą będąc tak szpetnym można odczuwać hańbę? Ale gniew, nienawiść i rozpacz zaciągały powoli tę ohydłą twarz chmurą coraz ciemniejszą, coraz to bardziej naładowaną elektrycznością, która wybuchała tysiącem błyskawic w cyklopowym oku.

Chmura ta rozjaśniła się na jedną tylko chwilę, kiedy przez tłum przejechał ksiądz na mule. Skoro tylko, z daleka jeszcze, ujrzał tego muła i tego księdza, twarz nieszczęśliwego skazańca złagodniała. Na miejsce wykrzywającej ją wściekłości zjawiał się dziwny uśmiech, pełen niewymownej tkliwości, słodczy i dobroci. Im bardziej zbliżał się ksiądz, tym uśmiech ten stawał się wyraźniejszy i jaśniejszy. Jak gdyby nieszczęśliwy witał nadejście zbawiciela. Wszelako, kiedy muł znalazł się dość blisko pręgierza, by jeździec mógł poznać skazańca, ksiądz spuścił oczy, z miejsca zawrócił i przynaglił wierzchowca, jakby mu było pilno uciec od upokarzających próśb, jakby nie chciał zostać poznany i przywitany przez biedaka znajdującego się w takiej sytuacji.

Księdzem tym był wielebny archidiakon Klaudiusz Frollo.

Na czole Quasimodo legła jeszcze ciemniejsza chmura. Uśmiech przetrwał w niej przez pewien czas, ale gorzki, zawiedziony, bardzo smutny.

Czas płynął. Dzwonnik był tam już od półtorej co najmniej godziny, chłostany, dręczony, wyszydzany nieustannie, nieomal ukamienowany.

Nagle poruszył się znów, szarpnął łańcuchami ze zdwojoną rozpaczą, od której zadrzało dźwigające go rusztowanie, i przełamując milczenie, w którym tak uporczywie trwał aż do tej pory, krzyknął głosem ochryplym i złym, który bardziej był podobny do szczeknięcia niż do ludzkiego wołania, a który przebił się poprzez szydercze wrzaski:

– Pić!

Ten krzyk udręki nie wzruszył, nie obudził współczucia, lecz silniej jeszcze rozniecił uciechę owej ciekawej gawiedzi paryskiej, która otaczała pręgierz, a która – trzeba to powiedzieć – była wówczas w tłumie, w masie nie mniej okrutna i nie mniej nieludzka od straszliwego żebraczego plemienia, między które zawiedliśmy już czytelnika, gawiedzi, będącej po prostu najniższą warstwą ludu. Jeśli wśród otaczających nieszczęśliwego skazańca odzywały się jakieś głosy, to po to tylko, by zadrwić z jego pragnienia. To pewne, że w owej chwili był bardziej śmieszny i odrażający niż żaloszny, z twarzą nabiegłą krwią i zalaną potem, z nieprzytomnym okiem, z ustami, z których ciekła piana złości i cierpienia, z na poły wywalonym językiem. Trzeba też dodać, że nawet gdyby znalazła się wśród ciżby jakaś miłosierna dusza, męska czy niewieścia, która by zapragnęła podać wody tej udręczonej, poniżonej istocie – wokół haniebnych stopni pręgierza panował wówczas tak silny przesąd wstydu i upodlenia, że już on sam tylko zatrzymałby dobrego Samarytanina.

Po kilku minutach Quasimodo powiódł znów po tłumie wzrokiem pełnym rozpacz i

powtórzył głosem jeszcze bardziej rozdzierającym:

– Pić!

Śmiech zatrzęsł ciżbą.

– Masz, napij się! – krzyknął Robin Kociubka rzucając mu w twarz gąbkę umoczoną w ścieku. – Trzymaj, głuszczo obrzydliwy! Jestem ci dłużny!

Jakaś kobieta cisnęła mu kamieniem w głowę!

– To cię oduczy od budzenia nas po nocach twoim przeklętym dzwonieniem.

– Hej, synu – wrzeszczał jakiś paralytyk usiłując dosięgnąć go swą kulą – a będziesz ty jeszcze rzucał na nas uroki z wież katedry?

– Masz tu czarę do picia! – krzyknął ktoś inny i palnął go w pierś zbitym dzbankiem. – To ty raz tylko koło niej przeszedłszy uczyniłeś, że moja żona urodziła dziecko o dwu głowach.

– A moja kotka kociaka z sześcioma łapami – pisnęła jakaś starucha ciskając weń dachówką.

– Pić! – powtórzył po raz trzeci Quasimodo oddychając z trudem.

I w tej chwili ujrzał, że ciżba rozstąpiła się. Jakaś dziewczyna dziwnie ubrana wyszła z tłumu. Niosła w ręku baskijski bębenek, a towarzyszyła jej biała kózka ze złoconymi różkami.

Oko Quasimodo zabłysło. Była to Cyganka, którą usiłował porwać ubiegłej nocy; czuł mgliście, że za ten właśnie gwałt karano go w tej chwili; co zresztą zgoła nie było słuszne, bo karano go za to tylko, że miał nieszczęście być głuchym i przez głuchego sądzonym. Nie wątpił, że dziewczyna ta przychodzi także po to, żeby się zemścić i uderzyć go tak jak wszyscy inni.

Ujrzał rzeczywiście, że Cyganka wchodzi szybko po drabinie. Złość i gniew dusiły go. Jakże pragnął sprawić, by runął cały pręgierz; gdyby błyskawica w jego oku mogła uderzać jak piorun. Cyganka obróciłaby się w proch, nimby doń dotarła.

Zbliżyła się bez słowa do skazańca, który nadaremnie wił się chcąc jej umknąć, odpięła od paska płaską flaszkę i przysunęła ją łagodnie do wyschłych warg nieboraka.

A wówczas w jego oku, tak suchym, tak trawionym ogniem, ukazała się ogromna łza i spłynęła wolno po tej twarzy szpetnej i od tak dawna już zakrzepłej w grymasie rozpacz. Była to może pierwsza łza, jaką uronił kiedykolwiek ten nieszczęśliwy.

Zapomniał, że chce pić. Cyganka zrobiła swoją zwykłą minkę, ze zniecierpliwieniem i z uśmiechem przechyliła bardziej flaszkę przytkniętą do ust Quasimodo, z których sterczał jeden ząb. Wypił łapczywie. Paliło go pragnienie.

Skończywszy nieszczęśnik wyciągnął swe spieczone usta, po to pewnie, żeby ucałować dłoń, która go napoiła. Lecz dziewczyna, trochę nieufna może i pamiętająca gwałtowność nocnego porwania, usunęła rękę przestraszonym ruchem dziecka, które boi się, żeby zwierzę nie ugryzło.

Wówczas biedny głuchy utkwiał w niej spojrzenie pełne wyrzutu i niewymownego smutku.

Wszędzie, na każdym miejscu, widok tej dziewczyny ślicznej, świeżej, niewinnej, uroczej i tak słabej równocześnie, co tak litościwie pospieszyła z pomocą owej ogromnej nędzy, brzydocie, złu, byłby wzruszający. Na pręgierzu widok ten był wzniosły.

Nawet gawiedź rozczuliła się, tłum zaczął klaskać w dłonie wołając: – Noël! Noël!

Wtedy właśnie pustelnica ujrzała przez okienko swej celi Cygankę na pręgierzu i rzuciła jej swe złowrózne słowa:

– Bądź przeklęta, córo Egiptu! Przeklęta! Przeklęta!

V

ZAKOŃCZENIE HISTORII PLACKA

Esmeralda zbladła i chwiejąc się zeszła z pręgierza. Gonił ją głos pustelnicy:

– Schodź, schodź, złodziejko cygańska, wrócisz tam jeszcze!

– Pustelnica zaczyna swoje harce – zaszemrała niechętnie ciżba, ale nie uczyniła nic więcej. Gdyż lękano się takich niewiast i to dawało im nietykalność. W owych czasach ludzie niechętnie zaczepiali kogoś, kto dniem i nocą się modlił.

Nadszedł koniec kary. Quasimodo odwiązano, ciżba rozeszła się.

Koło Wielkiego Mostu Majetta, która razem z dwiema towarzyszkami wracała z placu Grève, przystanęła nagle:

– A właśnie, Eustachy, coś ty zrobił z plackiem?

– Mamo – odparło dziecko – kiedy wy rozmawiałyście z tą panią, co siedziała w dziurze, jakiś duży pies przyszedł i ugryzł kawałek placka, i wtedy ja też trochę zjadłem.

– Jak to, mój panie – zapytała Majetta – zjadłeś cały placek?

– Mamo, to pies! Powiedziałem mu, ale nie posłuchał. Więc ja też ugryzłem, i już!

– Straszne dziecko! – rzekła matka uśmiechając się i gromiąc jednocześnie. – Widziałeś, Udardo? Już teraz sam jeden zjada wszystkie wiśnie z naszego sadu w Charlerange. Nie na próżno powiada jego dziadek, że będzie kapitanem. Niech no ja cię jeszcze raz przyłapię, imć Eustachy! Chodź, mój mały lewku!

Księga siódma

I

O NIEBEZPIECZEŃSTWIE POWIERZANIA TAJEMNICY KOZIE

Upłynęło kilka tygodni. Nadeszły pierwsze dni marca. Słońce, którego Dubartas, ten klasyczny ojciec peryfrazy, nie nazywał był jeszcze „wielkim księciem świc”, niemniej mimo to było radosne i promienne. Był to jeden z owych dni wiosennych, które są tak piękne, tak ciepłe i łagodne, że cały Paryż, wysypując się na place i aleje, święci je jak niedziele. W te jasne i pogodne dni portal katedry Marii Panny trzeba podziwiać, nade wszystko o pewnej godzinie, w owej chwili kiedy słońce, chyląc się ku zachodowi, niemalże prosto w twarz katedrze spogląda. Promienie jego, coraz to bardziej poziome, schodzą powoli z kamieni, którymi wybrukowany jest plac, i wstępują prostopadle na pion fasady, uwydatniając tysiączne rzeźby na tle cieni od nich padających, a ogromna środkowa rozeta płonie, niby oko cyklopa rozpalone blaskiem kuźni.

Była to właśnie ta godzina.

Naprzeciwko wysokiej katedry, całej w czerwieni zachodzącego słońca, na kamiennym balkonie, umieszczonym nad przedsionkiem ozdobnej gotyckiej kamienicy stojącej na rogu placu i ulicy Katedralnej, siedziało kilka pięknych dziewcząt śmiejąc się, gwarząc i swawoląc mile. Po długości welonów, co z wierzchołka ich spiczastych, przybranych sznurkami pereł kwefów spływały aż po obcas pantofelka, po cienkości haftowanych staniczków, które okrywały ich ramiona, głęboko – wedle zalotnej mody ówczesnej – odsłaniając piękne dziewczęce szyje, po sutości halek, cenniejszych jeszcze niżli zwierchnie suknie (jakże cudowne wyszukanie w stroju!), po gazach, jedwabiach i aksamitach, z których Czystko to uszyte było, a nade wszystko po białości ich rąk świadczącej, że nie nawykły do pracy, łatwo odgadnąć mogłeś dziedziczki bogatych, szlacheckich rodów. Rzeczywiście, była to Lilia de Gondelaurier z towarzyszkami swymi: Dianą de Christeuil, Amelottą de Montmichel, Kolombą de Gaillefontaine i panną de Champchevrier, małą jeszcze dziewczynką; córki znakomitych domów, zebrane w tej chwili u pani de Gondelaurier, czcigodnej wdowy, w oczekiwaniu na przybycie jaśnie oświeconego pana de Beaujeu i małżonki jego, którzy w kwietniu zjechać mieli do Paryża i dokonać wyboru towarzyszek honorowych dla księżniczki Małgorzaty, przyszłej żony delfina Francji. Panny te udać się miały do Pikardii w orszaku, który przywita księżniczkę i przejmie ją z rąk Flamandów. Otóż cała szlachta, na trzydzieści mil dookoła, zabiegała o to wyróżnienie dla swych córek i wiele rodzin już zwiozło je czy też wysłało do Paryża. Siedzące na balkonie panienki powierzone zostały przez rodziców przezornej i ze wszech miar zaufania godnej opiece pani Alojzy de Gondelaurier, wdowy po dawnym dowódcy halabardników królewskich, która z jedyną córką mieszkała w swoim domu przy placu przed katedrą Marii Panny w Paryżu.

Z balkonu, na którym siedziały panienki, wchodziło się do komnaty bogato obitej flandryjską

skórą płowej barwy, tłoczoną w żółty deseń. Równoległe belki stropu cieszyły oko mnóstwem rzeźb misternych, złożonych i malowanych. Na rzeźbionych skrzyniach lśniły pyszne emalie, fajansowy łeb dzika wieńczyły wspaniałe kredens, którego dwa stopnie świadczyły, że gospodyni domu jest małżonką udzielnego pana lub wdową po nim. W głębi, przy wysokim kominku ozdobionym obficie herbowymi tarczami, w bogatym fotelu, czerwonym aksamitem krytym, siedziała pani de Gondelaurier, której pięćdziesiąt pięć lat życia równie wyraźnie wypisane były w stroju, jak i na twarzy. Przy niej stał młodzieniec dość okazałej postawy, ale nieco pyszałkowaty i próżny, jeden z tych pięknych kawalerów, którzy podbijają serca wszystkich kobiet, choć ludzie stateczni i umiejący odczytywać z twarzy charaktery pogardliwie machają na ich widok ręką. Kawaler ów nosił świetny strój kapitana królewskich łuczników, strój nazbyt podobny do kostiumu Jowisza, który podziwiać można już było w pierwszej księdze tej opowieści, byśmy mieli nużyć czytelnika powtórny opisywaniem.

Panny rozsiadły się i w komnacie, i na balkonie, na poduszkach z utrechckiego aksamitu lamowanych złotem, i na taboretach z dębowego drzewa, rzeźbionych w kwiaty i różne figury. Każda trzymała na kolanach część haftowanej na kanwie tkaniny, nad którą wspólnie pracowały. Tkanina spadała aż na kobierzec przykrywający posadzkę.

Rozmawiały ze sobą owym szeptem pełnym stłumionych śmiechów, którym zwykle rozmawiają dziewczęta, gdy znajduje się wśród nich młody kawaler. A kawaler ów, którego obecność była przyczyną tylu zabiegów kobiecych ambicji, niewiele jakoś dbał o nie i kiedy piękne panny na wyścigi starały się zwrócić – na siebie jego uwagę, on całkowicie był pochłonięty polerowaniem zamszową rękawicą sprzączki u pasa.

Co kilka chwil stara matrona zwracała się doń z jakimś cichym słowem, a on odpowiadał z uprzejmością jakby przyciężką i wymuszoną nieco. Po uśmiechach, po nieznacznych znakach porozumiewawczych, po spojrzaniach, które pani de Gondelaurier, odzywając się po cichu do kapitana, rzuciła w stronę swej córki Lili, nietrudno można było zauważyć, że mamy tu do czynienia z postanowionym już narzeczeństwem, niedalekim zapewne, młodego kawalera i Lili. A po chłodnym zakłopotaniu oficera też nietrudno można było zauważyć, że – z jego przynajmniej strony – z miłością nie mamy tu już do czynienia. Mina jego wyrażała przymus i nudę, którą nasi garnizonowi podporucznicy określiliby nieźródlnie słowami: „pieska służba”.

Zacna matrona, zadurzona w córce jak wszystkie matki na świecie, nie dostrzegała, jak umiarkowanym był zapał oficera, i po cichu starała się usilnie, by nie przeoczył żadnej z niezliczonych doskonałości, z jakimi Lilia wbija igiełkę w tkaninę czy snuje nić z motka.

– Spójrz, miły krewniaku – mówiła ciągnąc go za rękaw, by móc mu to szepnąć na ucho – spójrzże na nią! O, pochyla się właśnie!

– W samej rzeczy – odpowiadał młodzieniec i ponownie pograżał się w swym lodowatym i roztargnionym milczeniu.

Po chwili znów trzeba się było schylić i pani Alojza mówiła doń:

– Czy widzieliście kiedy twarzyczkę miłszą i weselszą niż twarzyczka waszej narzeczonej? Czyż można mieć bielszą pleć i złocistsze włosy? Czyż dłonie jej nie są doskonałe? A ta szyja czyż nie przegina się zachwycająco niby u łabędzia? Jakże wam zazdroścę czasem! Jakże szczęśliwi jesteście, żeście mężczyzną, brzydki swawolniku! Prawda, że moja Lilia jest zachwycająco piękna i że jesteście w niej do szaleństwa zakochani?

– Bez wątpienia – odpowiadał myśląc o czym innym.

– Przemówcie do niej – rzekła nagle pani Alojza trącając go w ramię. – Porozmawiajcie z nią! Staliście się bardzo nieśmiali.

Możemy zapewnić czytelnika, że nieśmiałość nie była ani cnotą, ani wadą kapitana. Zabrał się jednak do wypełnienia tego, czego odeń zażądano.

– Piękna kuzynko – rzekł zbliżając się do Lilii – cóż to przedstawia haft, nad którym tak pilnie pracujesz?

– Miły kuzynie – niechętnym tonem odpowiedziała Lilia – już trzy razy powtarzałam wam, że grocie Neptuna.

Nietrudno było pojąć, że Lilia o wiele jaśniej niż matka zdaje sobie sprawę z obojętności i roztargnienia kapitana. Poczuł, że wypada z nią porozmawiać.

– I dla kogo to całe neptuństwo? – zapytał.

– Dla opactwa Św. Antoniego Polnego – odparła Lilia nie podnosząc oczu.

Kapitan ujął dłonią brzeg haftu.

– A któż to taki, miła kuzynko, ów gruby hajduk, co nadał policzki i w trąbę dmucha?

– To Tryton – odpowiedziała.

W krótkich odpowiedziach Lilii brzmiała wciąż nutka dąsu. Młodzieniec zrozumiał, że należy szepnąć jej coś na uszko, jakieś głupstwo, jakąś grzeczność, byle co. Pochylił się więc, lecz nie umiał znaleźć w wyobraźni swojej nic czulszego, nic tkliwszego nad takie oto słowa:

– Dlaczego wasza pani matka ciągle jeszcze nosi spódnicę haftowaną w herby, jak nasze prababki z czasów Karola VII? Powiedcież jej, miła kuzyneczko, że to moda niedzisiejsza i że te zawiasy i wywrzyny na sukni wyszyte czynią ją podobną do chodzącego parawanu sprzed kominka. Wierście mi, że nie siada się już na swej herbowej tarczy, przysięgam wam!

Lilia podniosła nań piękne oczy i spojrzała z wyrzutem.

– I to już wszystko, co mi przysięć chcecie? – rzekła cicho.

Tymczasem cna pani Alojza, uradowana, że tak szepczą pochyleni ku sobie, rzekła bawiąc się zapięciem swej książki do nabożeństwa:

– Wzruszający obrazek miłości!

Kapitan, coraz bardziej zakłopotany, znów uchwycił się haftu.

– Naprawdę, prześliczna robótka! – zawołał.

Słyszając to Kolomba de Gaillefontaine, też piękna blondynka o białej cerze, wdzięcznie przyodziana w błękitny adamaszek, odezwała się nieśmiało, niby to do Lilii, lecz w nadziei, że piękny kapitan odpowie na jej słowa:

– Droga Lilio de Gondelaurier, czy oglądałaś kiedy kobierce w pałacu Roche-Guyon?

– W tym pałacu, co to stoi przy ogrodzie Bieliźniarni Luwru? – zapytała ze śmiechem Diana de Christeuil; miała śliczne zęby, więc śmiała się też przy każdej okazji.

– Tam gdzie jest ta stara, wielka wieża z dawnych murów warownych Paryża? – dorzuciła Amelotta de Montmichel, ładna, świeża brunetka w lokach, która miała zwyczaj wzdychać, jak Diana śmiać się, sama nie wiedząc czemu.

– Droga Kolombo – odezwała się pani Alojza – czyżbyś mówiła o tym pałacu, który za panowania Karola VI należał do pana de Bacqueville? Są tam w istocie wspaniałe i wielkiej ceny kobierce.

– Za Karola VI! Za Karola VI! – mruknął młody kapitan podkręcając wąsa. – Mój Boże! Stare dzieje przypomina sobie zacna matrona. A pani de Gondelaurier mówiła dalej:

– Piękne, prawdziwie piękne kobierce. Roboty tak misternej, że za osobliwość uchodzą.

W tej chwili Beranżera de Champchevrier, szczuplutka siedmioletnia dziewczynka, która spoglądała na plac przez przeźrocza w kształcie liścia koniczyny wycięte w balustradzie balkonu, krzyknęła:

– O, spójrzcie, Lilio, miła matko chrzestna! Jaka śliczna tancerka z bębenkiem tańczy tam na placu wśród zbiorowiska miejskiego pospólstwa!

Rzeczywiście, słychać było dźwięk baskijskiego bębenka.

– Pewnie jakaś Cyganka – rzekła Lilia, niedbale odwracając się w stronę placu.

– Zobaczmy! Zobaczmy! – zawołały wszystkie jej ciekawe towarzyszki i podbiegły do balustrady; Lilia wolno poszła za nimi rozmyślając o obojętności narzeczonego, a on, uradowany wydarzeniem, które kres kładło kłopotliwej rozmowie, cofnął się w głąb komnaty z zadowoloną miną złuzowanego ze służby żołnierza. A przecież służba przy pięknej Lilii miła była i słodka i taką mu się niegdyś wydawała; lecz spowszedniała już kapitanowi, a bliskość ślubu sprawiała, że z każdym dniem coraz bardziej obojętniał. Był zresztą w uczuciach niestały, a gust – czyż trzeba mówić o tym? – dość miał pospolity. Choć znakomitego rodu, nabawił się pod swą zbroją niejednego wojackiego przyzwyczajenia. Lubił oberże i wszelkie jej uciechy. Swobodnie czuł się tylko wśród grubych żartów, żołnierskich umizgów, wśród łatwych piękności i łatwych zdobyczy. Wyniósł był wprawdzie z rodzinnego domu nieco wykształcenia i poloru; lecz zbyt młodo wyruszył w świat, zbyt młodo zaznał obozowego życia i twarde rapcie żołnierskiej szabli starły połysk szlachectwa. Odwiedzał jeszcze czasem Lilię, powodowany resztkami ludzkiego uczucia szacunku, lecz odczuwał podczas tych wizyt podwójny przymus: przede wszystkim dlatego, że roztrwoniwszy swe uczucia po przygodnych kwaterach niewiele dla niej zachował miłości, a po wtóre dlatego, że wśród tylu pięknych dam, sztywnych, wymuskanych i skromnych, drżał nieustannie, by z ust jego, do przekleństw nawykłych, nie wymknął się nagle? mimo ciasno założonego wędzidla, jakiś karczemny zwrot. Piękne by to wywołało!

Zresztą wszystkim tym cechom jego usposobienia towarzyszyły ogromne pretensje do wykwintu ubioru i pięknej prezencji. Niechże czytelnik połączy sobie te rzeczy, jak potrafi. Ja jestem tylko dziejopisem.

Już od paru chwil stał więc w milczeniu oparty o rzeźbiony gzyms kominka, myśląc czy też nie myśląc o niczym, kiedy Lilia, odwracając się nagle, przemówiła doń. Bo biedna dziewczyna wbrew swemu sercu dąsała się na kapitana.

– Miły kuzynie, opowiadaliście nam przecie o małej Cygance, którą wyrwaliście z rąk dwunastu złodziei, prowadząc patrol nocny przed dwoma miesiącami?

– Tak było, miła kuzynko – odparł kapitan.

– Może to właśnie ta Cyganka tańczy teraz na placu przed katedrą? Pójdźcie tu i spójrzcie, może poznacie ją, miły kuzynie Febusie.

Ukryta chęć pojednania brzmiała w tej zachęcie, aby podszedł do niej, i w tym nazwaniu go z imienia. Kapitan Febus de Châteaupers (gdyż jego to właśnie ma przed oczami czytelnik od samego początku niniejszego rozdziału) wolnym krokiem wyszedł na balkon.

– Spójrzcie – rzekła Lilia, czule kładąc dłoń na ramieniu Febusa – spójrzcie na tę dziewczynę, która tańczy wśród kręgu gapiów. Może to wasza Cyganka?

Febus spojrział i rzekł:

– Tak, poznaję ją po kozie.

– O rzeczywiście, jaka śliczna kózka! – zawołała Amelotta składając dłonie w zachwycie.

– Czy różki ma naprawdę ze złota? – pytała Beranżera. Nie powstając ze swego fotela odezwała się pani Alojza:

– Czy to nie jedna z tych Cyganek, które w zeszłym roku weszły do miasta przez bramę Gibard?

– Pani matko – rzekła łagodnie Lilia – ta brama nazywa się dzisiaj bramą Piekielną.

Panna de Gondelaurier wiedziała, jak bardzo rażą kapitana staroświeckie odezwania się jej matki. W samej rzeczy, już zaczynał kpić z niej sobie pomrukując pod nosem:

– Brama Gibard! Brama Gibard! A wjeżdża przez nią król Karol VI!

– Matko chrzestna! – zawołała Beranżera, która rozglądając się nieustannie spojrziała w górę, ku szczytom wież katedry Marii Panny. – Cóż to za czarny człowiek stoi tam wysoko? – Wszystkie panny podniosły oczy. Rzeczywiście, o najwyższą balustradę północnej wieży, tej, z

której widać plac Grève, wsparł się Jakiś człowiek. Był to ksiądz. Wyraźnie dostrzegało się sutannę i twarz jego, ujętą w obie dłonie. Był zresztą nieruchomy jak posąg. Oko jego spoglądało uparcie w dół, na plac. Było w nim coś z bezruchu kani, która, wytropiwszy gniazdo wróbli, patrzy na nie.

– To jego wielebność archidiakon jozajski – rzekła Lilia.

– Dobry masz wzrok, skoro stąd potrafiłaś go poznać – zauważyła Kolomba de Gaillefontaine.

– Jak wpatruje się w tę tancerkę! – rzekła Diana de Christeuil.

– Cyganka powinna się mieć na baczności – rzekła Lilia – bo on nie lubi Cyganów.

– Szkoda, że ten człowiek tak na nią patrzy – dorzuciła Amelotta de Montmichel – tańczy wprost precudnie.

– Miły kuzynie Febusie – rzekła nagle Lilia – skoro znacie tę Cyganekę, skńicie na nią, niech tu przyjdzie. To nas zabawi.

– O, tak! – zawołały wszystkie panny, klasnąwszy w dłonie.

– Ależ to szaleństwo! – odparł Febus. – Już mnie na pewno zapomniała, a ja nie znam jej imienia. Jednakże, jeśli taka jest wasza wola, moje panny, spróbuję. I wychyliwszy się z balkonu zawołał:

– Hej, mała!

Tancerka przestała właśnie potrząsać bębenkiem. Obróciła głowę w tę stronę, z której rozległo się wołanie, jej błyszczące oczy spostrzegły Febusa i stanęła jak wryta.

– Hej, mała! – powtórzył kapitan i skinął na nią palcem, aby przyszła.

Dziewczyna znów nań spojrzała, poczerwieniała, jakby nagły płomień policzki jej ogarnął, i ze swym bębenkiem pod pachą, wymijając oniemiałych ze zdumienia gapiów, poszła ku bramie domu, z którego przyzywał ją Febus; szła wolno, niepewnie, a spojrzenie jej było trwożne i trochę nieprzytomne, jak u ptaka urzeczonego przez węża.

W chwilę później podniosła się suta zasłona u drzwi i na progu komnaty pojawiła się Cyganka, zarumieniona, zadyszana, ze spuszczoneymi wielkimi oczyma; stanęła i nie śmiała dalej iść.

Beranzera klasnęła w rączki.

Tancerka nieruchoma stała u wejścia. Pojawienie się jej w niezwykle sposób podziało na panny. Niewątpliwie, że wszystkie je ożywiało nieświadome pragnienie podobania się pięknemu oficerowi, że świetny mundur był celem zabiegów ich zalotności, że wraz z jego przybyciem powstało między nimi ukryte i nieświadome współzawodnictwo, a choć ledwie że zdawały sobie z tego sprawę, ujawniało się ono co chwila w każdym ruchu, w każdym słowie. Lecz że wszystkie ładne były w jednakowej niemal mierze, walczyły równą bronią i każda mogła się spodziewać zwycięstwa. Wejście Cyganki zniweczyło nagle tę równowagę. Uroda jej była tak niezwykła, że kiedy pojawiła się na progu, wydało się, iż komnatę wypełniła jakimś światłem sobie tylko właściwym. W tym ciasnym pokoju, w ciemnym obramowaniu malowideł i boazerii była nieskończenie piękniejsza i promienniejsza niż na publicznym placu. Była jak pochodnia, z dziennego światła przeniesiona w mrok. Szlachetnie urodzone panny zostały mimo woli olśnione. Każda z nich poczuła się jakby zraniona w swej urodzie. Toteż i zmieniły swój szyk bojowy (niech czytelnik wybaczy nam to wyrażenie) natychmiast, nie zamieniwszy ze sobą ani jednego słowa, zrozumiały się znakomicie. Instynkty kobiece pojmują się i porozumiewają szybciej niż umysły mężczyzn. Oto zjawił się wróg – wszystkie to odczuły, wszystkie sprzymierzyły się. Od jednej kropli wina cała szklanka wody różowieje; aby wprowadzić w jednolity stan ducha zgromadzenie ładnych kobiet wystarczy pojawienie się jednej, piękniejszej od nich – szczególnie zaś, jeżeli wśród nich znajduje się jeden tylko mężczyzna.

Toteż przywitały Cyganekę z doskonałym chłodem. Obejrzały ją badawczo od stóp do głów,

potem spojrzwały na siebie i wszystko zostało powiedziane. Zrozumiały się wzajemnie. A dziewczyna, tak wzruszona, że nie śmiała podnieść powiek, czekała, żeby ktoś przemówił do niej.

Kapitan pierwszy przerwał milczenie.

– Na honor! – rzekł tonem kawaleryjskiej zaczepki – cóż za prześliczne stworzenie! A wam, miła kuzynko, jak się wydaje?

Spostrzeżenie, które bardziej tkliwy wielbiciel uczyniłby przynajmniej po cichu, w żadnej mierze nie mogło rozproszyć zazdrości kobiet przypatrujących się badawczo Cygance.

Lilia odpowiedziała mu pogardliwym, wymuszenie grzecznym tonem:

– Niebrzydka.

Towarzyszki jej szeptały po cichu.

Wreszcie pani Alojza, nie mniej niż one zazdrosna, boć przecie chodziło tu o jej córkę, odezwała się do tancerki:

– Podejdź bliżej, moja mała!

– Podejdź bliżej, moja mała – powtórzyła z komiczną powagą Beranzera, która sięgała jej ledwie do biodra.

Cyganka podeszła do matrony szlacheckiego rodu.

– Piękne dziecię – rzekł pompatycznie Febus i zbliżył się do niej – nie wiem nawet, czy dostąpiłem tego wielkiego szczęścia i zostałem poznany przez ciebie...

Przerwała mu uśmiechem i spojrzeniem pełnym niewymownej słodyczy.

– O tak! – rzekła.

– Pamięć ma niezłą – zauważyła Lilia.

– Bo też przyznać trzeba – mówił dalej Febus – że szybko uciekłaś mi tamtego wieczora. Czyżbym strach obudził w tobie?

– O nie! – rzekła Cyganka.

W tonie, którym to „o tak!”, a potem „o nie!” wymówione zostało, było coś, co określić trudno, a co uraziło Lilię.

– Zostawiłaś mi w zamian, moja ty ślicznotko – mówił dalej kapitan, któremu rozwiązał się język w rozmowie z dziewczyną z ulicy – dość niedowarzonego hultaja, garbusa i ślepca; zdaje mi się, że jest on dzwonnikiem biskupim. Powiedziano mi, że to bękart archidiakona i diabeł z urodzenia. Śmieszne ma imię: nazywa się Zielone Świątki czy Tłusty Czwartek, sam już nie wiem. Jakaś taka nazwa uroczystego święta z biciem w dzwony. On to ośmielił się porywać na ciebie, jakbyś była w sam raz stworzona dla kościelnych dziadów! Niesłychane! Czegóż, u diabła, chciał od ciebie ten puszczek? Co? Powiedźże!

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Któż by uwierzył w taką zuchwałość! Dzwonnik porywa dziewczkę niby wicehrabia! Chamkłusownik poluje na szlachecką zwierzynę! Rzecz to niebywała. Ale już za to zapłacił, i drogo. Mistrz Piotrek Kręcikoło to giermek o najcięższej łapie ze wszystkich, którzy kiedykolwiek zajmowali się chłostaniem huncwotów, i powiem, by ci zrobić przyjemność, że skóra twojego dzwonnika przeszła przez jego czułe łapki.

– Biedny człowiek! – rzekła, Cyganka, w której przy tych słowach odżyło wspomnienie sceny na pręgierzu.

Kapitan roześmiał się.

– Na róg bawoli! Oto mi litość umieszczona stosownie niby piórko w tyłku wieprza! Niechaj mi kałdun wyrośnie jak u papieża... – urwał nagle. – O, darujcie, miłe panny. Zdaje mi się, że omal nie palnąłem głupstwa!

– Fe, kawalerze! – rzekła Kolomba de Gaillefontaine.

– Przemawia do tego stworzenia takim językiem, żeby zrozumiała – dorzuciła półgłosem Lilia coraz bardziej gniewna. Ale ten gniew nie zmalał bynajmniej, kiedy ujrzała że kapitan, zachwycony Cyganką, a nade wszystko sobą, przytupując nogą, powtarza z grubą, naiwną żołnierską galanterią:

– Na mą duszę, prześliczna dziewczyna!

– Ubrana dość cudacznie – rzekła Diana de Christeuil szczerząc w uśmiechu śliczne ząbki.

Ta uwaga stała się dla wszystkich panien jakby rzuconym nagle światłem. Ukazało im ono słabe miejsce Cyganki. Nie mogąc ugryźć jej urody rzuciły się na jej odzież.

– Ależ tak, to prawda, moja mała – rzekła Amelotta de Montmichel – skąd przyszło ci do głowy biegać po ulicy bez czepeczka i z odkrytą szyją?

– Drzę widząc, jak krótką ma spódniczkę – dorzuciła Kolomba de Gaillefontaine.

– Moja droga – odezwała się dość kwaśno Lilia – pacholkiwie miejscy zatrzymają cię w końcu za ten pozłacany pasek.

– Ej, mała, mała – odezwała się znowu z niechętnym uśmiechem Diana de Christeuil – gdybyś ramię zakrywała rękawkiem, jak nakazuje skromność, nie byłoby tak spalone od słońca!

Zaiste, widowisko to godne było widza inteligentniejszego niż Febus – owe piękne panny, wysunawszy w gniewie jadowite języczki, prześlizgiwały się, skręcały i wiły, jak zmije, dookoła ulicznej tancerki. Były okrutne i pełne wdzięku: przetrząsnęły, przeszukały złośliwie cały jej strój, ubogi i szalony, z cekinów i świecideł. Śmiechom, drwinie, upokorzeniu nie było końca. Sypały się na Cygankę szyderstwa i wyniosła dobroduszość, i złośliwe spojrzenia. Mógłbyś sądzić, że oglądasz młode rzymskie domy, zabawiające się wkłuwaniem złotych szpilek w pierś pięknej niewolnicy. Mógłbyś rzec, że oglądasz sforę zwinnych charcie krążących z rozdętymi nozdrzami i płonącymi oczyma dookoła biednej leśnej łani, którą spojrzenie pana zabrania im zadusić.

Czymże była wreszcie dla tych panien z wielkich rodów nędzna tancerka z publicznego placu? Toteż jakby nie dostrzegały jej obecności; wobec niej mówiły o niej i do niej – głośno, niby o przedmiocie brudnym, lada jakim i dość ładnym.

Cyganka czuła te ukłucia. Chwilami rumieniec wstydu i błysk gniewu rozplómił jej oczy i policzki; słowo pogardy jakby już drżało na jej ustach;

niechętnie wydeła wargi – czytelnik widywał już tę minę na jej twarzy; lecz stała bez ruchu wpatrując się w Febusa zawiedzionym, smutnym, łagodnym spojrzeniem. W spojrzeniu tym było jednak i szczęście i tkliwość. Rzekłbyś, że panuje nad sobą ze strachu, żeby jej stąd nie przegnano.

A Febus śmiał się i brał ją w obronę litością dość grubiańską.

– Pozwól im, niech się wygadają – powtarzał często, podzwaniając złotymi ostrogami. – Prawda, że twój strój jest dość niezwykły i dziwaczny; lecz cóż to może szkodzić tak ślicznej, jak ty, dziewczynie?.

– Mój Boże! – zawołała jasnowłosa Kolomba de Gaillefontaine z gorzkim uśmiechem prostując swą łabędzią szyję. – Widzę, że panowie łucznicy z królewskiej straży łatwo zapalają się od ognia pięknych oczu cygańskich.

– A czemuż by nie? – odparł Febus.

Po tej odpowiedzi, którą kapitan rzucił niedbale niby kamyk, gdy go ciskasz za siebie, nie patrząc nawet, gdzie upadnie, wybuchnęły śmiechem wszystkie i Kolomba, i Diana, i Amelotta, i Lilia, choć równocześnie łzy stanęły jej w oczach.

Po słowach Kolomby de Gaillefontaine Cyganka wbiła wzrok w ziemię. Teraz podniosła oczy promieniejące radością i dumą i utkwiała je w Febusie. Jakże była piękna w tej chwili!

Leciwa matrona asystująca przy tej scenie poczuła się obrażoną, choć nie pojmowała, o co

chodzi.

– Matko Boska! – wykrzyknęła nagle. – A cóż to płacze mi się koło nóg? Ach, paskudne zwierzę!

Była to kózka. Weszła szukając swojej pani, pobiegła ku niej i od razu zaplątała się różkami w stos materii, który suknie siedzącej w fotelu szlachetnej damy utworzyły u jej stóp.

Uwaga wszystkich zwróciła się w tamtą stronę. Cyganka nie rzekłszy ani słowa uwolniła kózkę z tej pułapki.

– O, kózka, kózeczka ze złotymi kopytkami! – zawołała Beranżera podskakując z uciechy.

Cyganka przyklekła i pieszczotliwie przytuliła pyszczek kozy do swej twarzy. Rzekłabyś, iż ją przeprasza za to, że ją tak porzuciła.

Diana tymczasem pochyliła się do ucha Kolomby.

– O Boże! – szepnęła – że też się tego nie domyśliłam wcześniej! Toć to przecie Cyganka z kozą! Podobno czarownica, a jej koza pokazuje cudowne sztuczki.

– Niechże więc teraz zabawi nas z kolei koza – rzekła Kolomba. – Niech pokaże jakąś cudowną sztukę.

Diana i Kolomba odezwały się głośno do Cyganki:

– Mała, rozkaż swojej kozie, niech pokaże cudowną sztukę!

– Nie rozumiem, o czym mówią panienki – odpowiedziała tancerka.

– Sztukę, cudowną, magiczną, czarodziejską!

– Nie wiem.

I zaczęła głaskać swoje miłe zwierzątko powtarzając: „Dżali! Dżali!”

Wtedy właśnie Lilia spostrzegła woreczek z haftowanej skóry, zawieszony na szyi kózki.

– Co to jest? – spytała Cyganki.

Cyganka podniosła na nią swe ogromne oczy i odpowiedziała z powagą:

– To moja tajemnica.

„Chciałabym wiedzieć, jaka jest twoja tajemnica” – pomyślała Lilia.

Tymczasem pani Alojza podniosła się z fotela i niechętnym głosem rzekła:

Otóż właśnie, moja Cyganko, jeżeli ani ty, ani twoja koza nic nam zatańczyć nie chcecie, to czego tu szukacie właściwie?

Cyganka, nic nie odpowiedziawszy, wolno poszła ku drzwiom. Lecz im bliżej była progu, tym bardziej zwalniała kroku. Jakby ją przytrzymał jakiś magnes niewidzialny. Nagle obróciła na Febusa swe oczy wilgotne od łez i stanęła.

– Święta racja! – zawołał kapitan. – Nie godzi się tak odchodzić. Wróc i zatańcz nam coś. A właśnie, moja ty luba ślicznotko, jakże ci jest na imię?

– Esmeralda – odrzekła tancerka nie odrywając odeń oczu.

Na dźwięk tego niezwykłego imienia panny wybuchnęły szalonym śmiechem.

– Straszne imię dla dziewczyny! – rzekła Diana.

– Widzicie teraz, że to na pewno czarownica, co umie rzucać uroki – odezwała się Amelotta.

– Moje dziecko! – zawołała uroczyście pani Alojza – rodzice twoi na pewno nie wyłowili dla ciebie takiego imienia z kościelnej chrzcielnicy.

A tymczasem już przed dobrą chwilą Beranżera, nie dostrzeżona przez nikogo, kawałkiem marcepana zwabiła kózkę w kąt komnaty. I zaprzyjaźniły się obie natychmiast. Ciekawa dziewczuszka odwiązała woreczek zawieszony na szyi kozy, otworzyła i wytrząsnęła zawartość jego na kobierzec. Były to wszystkie litery alfabetu wypisane, każda oddzielnie, na niewielkich drewnianych tabliczkach. A ledwie dziecko rozłożyło na kobiercu tę zabawkę, ujrzało zdumione, że koza swą nóżką ze złożonym kopytkiem wysuwa pewne litery i układa powoli drewniane tabliczki w specjalnym porządku. Była to zapewne jedna z „cudownych” sztuk. Po chwili

tabliczki ułożyły się w słowo. Kózka była najwidoczniej wyćwiczona w jego wypisywaniu, gdyż wybierała litery bez wahania. I oto Beranzera, składając ręce w podziw, zawołała nagle:

– Lilio, matko chrzestna, popatrzcie, co zrobiła koza!

Lilia podbiegła i zadrżała. Litery ułożone na posadzce tworzyły słowo: FEBUS.

– To napisała koza? – zapytała nieswoim głosem.

– Tak, chrzestna matko – odpowiedziała Beranzera.

Nie można było nie uwierzyć, dziecko przecież nie umiało pisać.

„Taka jest jej tajemnica!” – pomyślała Lilia.

A tymczasem na okrzyk dziecka podeszli wszyscy: i pani matka, i panny, i Cyganka, i oficer.

Cyganka zobaczyła, jakie głupstwo zrobiła jej koza. Zaczerwieniła się, potem zbladła i drżeć zaczęła jak winowajczyni, nie śmiać spojrzeć na kapitana, który patrzył na nią z uśmiechem, zdziwiony i zadowolony.

– Febus... – szeptały zdumione panny – przecież to jest imię kapitana.

– Masz podziwienia godną pamięć – odezwała się Lilia do jakby skamieniałej Cyganki. I wybuchnęła płaczem. – O! – szlochała boleśnie, kryjąc twarz w swych pięknych dłoniach – tak, to czarownica.

A głos jakiś, jeszcze bardziej gorzki, szeptał w głębi jej serca: „To rywalka”

Zemdląca.

– Córka! Moja córka! – zawołała przestraszona matka. – Idź precz, Cyganko z piekła rodem!

Esmeralda w mgnieniu oka zebrała nieszczęsne litery, skinęła ręką na Dżali i wyszła jednymi drzwiami, drugimi zaś wynoszono równocześnie zemdloną Lilię.

Kapitan Febus został sam. Przez chwilę wahał się, które obrać drzwi... i poszedł śladem Cyganki.

II

KSIĄDZ I FILOZOF TO NIE TO SAMO

Księdzem, którego na szczycie północnej wieży, pochylonego nad placem i przypatrującego się tak uważnie tańczącej Cygance, spostrzegły panny, był rzeczywiście archidiakon Klaudiusz Frolo.

Czytelnik nie zapominał chyba tajemniczej celi, którą archidiakon miał w tej wieży. (Sam nie wiem, by wspomnieć o tym mimochodem, czy nie jest to aby ta cela, której wnętrze i dzisiaj jeszcze oglądać można z krużganku, otaczającego podstawę obu wież, przez niewielkie kwadratowe okienko we wschodniej ścianie umieszczone na wysokości ludzkich oczu. Jest to komórka naga teraz, pusta, zaniedbana; jej niechlujne pobielane ściany „przyozdobione” są w obecnej chwili obrzydliwymi, żółkłymi rycinami, przedstawiającymi fasady katedr. Przypuszczam, że w dziurze tej mieszkają nietoperze z pajakami pospołu i że toczy się tam wobec tego na dwóch frontach wojna wyniszczająca przeciwko muchom.)

Co dzień, na godzinę przed zachodem słońca, archidiakon wchodził po schodach wieży, zamykał się w tej celi i spędzał w niej niekiedy całe noce. W owym dniu, kiedy dotarłszy do niskich drzwi swej samotni wkładał właśnie w zamek niewielki, niezwykle kształtu kluczyk, który zawsze nosił przy sobie w woreczku zawieszonym u boku – do uszu jego doszedł hałas kastaniet i bębenka. Hałas ten dochodził z placu Katedralnego. Cela, jak już wspominaliśmy,

miała tylko jedno okienko na absydę kościoła wychodzące. Klaudiusz Frolo szybko wyjął z zamku swój klucz i w chwilę później stał już na szczycie wieży, posepny, skupiony, taki, jakim ujrzały go z balkonu panny.

Stał poważny, nieruchomy, jedną myślą i jednym widokiem pochłonięty. U stóp jego leżał Paryż z tysiącami iglic swoich gmachów, z widnokretem łagodnych pagórków, z rzeką wijącą się pod mostami, ze swym ludem płynącym poprzez ulice, z chmurą swoich dymów, z nierównym łańcuchem swoich dachów, wielokrotnie zaciskającym katedrę Marii Panny. Lecz z całego tego miasta archidiakon widział jeden tylko kawałek bruku: plac przed katedrą, a z całej cizby ludzkiej jedną tylko postać – Cygankę.

Trudno byłoby orzec, jakiej natury jest to spojrzenie, skąd bierze się płomień buchający z tego oka. Było to spojrzenie uparte, lecz zarazem niepewne i płochliwe. A sądząc po zupełnym bezruchu całego jego ciała, czasem tylko wstrząsanego mimowolnym dreszczem, niby drzewo wichrem, sądząc po zeszywnieniu rąk bardziej marmurowych niż balustrada, o którą się opierały, sądząc po skamieniałym uśmiechu, który mu wykrzywił twarz, rzekłbyś, że w Klaudiuszu Frolo żywe pozostały tylko oczy.

Cyganka tańczyła. Obracała swój bębenek na jednym palcu i podrzucała go w górę, wirując w prowansalskich sarabandach; zwinna, lekka, radosna i nie czująca ciężaru groźnego spojrzenia, co padało wprost na jej głowę.

Dokoła niej tłoczyła się cizba; co pewien czas jakiś mężczyzna odziany w czerwono żółty kaftan ustawiał gapiów wkoło, a potem siadał na swym stołku w pobliżu tancerki i głąskał po główce kozę, która się doń łasiła. Mężczyzna ów był zapewne towarzyszem Cyganki. Klaudiusz Frolo z wysokości, na której znajdował się, nie mógł dojrzeć jego twarzy.

Kiedy archidiakon spostrzegł tego człowieka, uwaga jego jakby rozszczepiła się pomiędzy nieznajomego i tancerkę, a oblicze coraz to bardziej posepniało. Nagle wyprostował się, drzenie przebiegło całą jego postać.

– Kim jest ten mężczyzna? – wyrzekł przez zaciśnięte zęby. – Zawsze widywałem ją samą.

Znikł pod ślimakowatym sklepieniem krętych schodów i zaczął schodzić na dół. Mijając drzwi prowadzące tam, gdzie zawieszane były dzwony, drzwi otwarte w tej chwili, ujrzał coś, co go uderzyło: ujrzał, że Quasimodo wychylając się przez otwór osłonięty jednym z tych łupkowych daszków, co są podobne do ogromnych żaluzji, patrzy również na plac. A tak głęboko był pochłonięty tym, co oglądał, iż nie zauważył nawet, że jego przybrany ojciec przechodzi mimo. Niezwykły wyraz miało jego złe, dzikie oko. Pełne było zachwyty i tkliwości.

– Dziwnie! – szepnął Klaudiusz. — Czyżby patrzył tak na Cygankę?

Schodził dalej. W kilka minut później zafrasowany archidiakon wyszedł na plac przez drzwi znajdujące się u dołu wieży.

– Co się stało z Cyganką? – zapytał wchodząc w tłum gapiów, których ściągnął tutaj brzęk bębena.

– Nie wiem – odparł jeden z nich – dopiero co znikła. Pewnie poszła zatańczyć coś w tamtym domu naprzeciwko, skąd ją zawołano.

Tam, gdzie tańczyła Cyganka, na tym samym kobiercu, którego wzór przed chwilą jeszcze przysłonięty był kapryśnym rysunkiem jej płasu, ujrzał archidiakon tylko żółto-czerwonego mężczyznę, który pozostał sam i aby też zarobić parę groszy, obchodził krąg widzów, ujawszy się pod boki, z głową do tyłu przechyloną, poczerwieniałą twarzą i naprężoną szyją, trzymając w zębach stołek. Do stołka zaś przywiązany był kot pożyczony od mieszkającej w pobliżu niewiasty. Kot fukał, bardzo przestraszony.

– Panno Święta! – zawołał archidiakon, kiedy kuglarz, cały ociekający potem, przeszedł koło niego ze swoją piramidą ze stołka i kota – a cóż to robi tutaj mistrz Piotr Gringoire?

Surowy głos archidiakona tak silnie wstrząsnął biedakiem, że stracił równowagę razem z tym wszystkim, co niósł w zębach, i stołek, i kot zleciały na głowy widzów wywołując wielki wrzask oburzenia.

To pewna, że Piotr Gringoire (on to był bowiem) miałby teraz niemiłe porachunki do uregulowania z właścicielką kota i z tymi, którzy z jego winy zostali potłuczeni i podrapani, gdyby nie skorzystał szybko z zamieszania i posłuszny skinieniu Klaudiusza Frollo nie schronił się do kościoła.

Katedra była już ciemna i pusta, boczne nawy wypełnił mrok, a lampki w kaplicach mrugały jak gwiazdki w czarnym niebie sklepień. Jeszcze tylko wielka rozeta fasady, w której tysiącznych barwach zanurzał się promień słońca, błyszczała wśród ciemności jak rozsypane diamenty i rozjaśniała całą nawę główną swym oślepiającym odbiciem.

Uszli razem kilka kroków, po czym wielebny Klaudiusz przystanął przy filarze i uważnie spojrzął na Gringoire'a. Nie takiego jednak spojrzenia lękał się Gringoire, jakże zawstydzony, że uczona i poważna osoba spotyka go w tym kuglarskim przyodziewku! We wzroku księdza nie było szyderstwa ani drwiny; spoglądał poważnie, spokojnie, badawczo. Archidiakon pierwszy przerwał milczenie.

– Zbliżcie się, proszę, mistrzu Piotrze. Chcę, byście mi wytłumaczyli wiele rzeczy. Najprzód: dlaczegoż to nie widać was było od dwu prawie miesięcy, a dziś odnajdujecie się oto na publicznym placu, w pięknym zaiste stroju: półzółty, półczerwony, niczym jabłuszko z Caudebec?

– Ojciec czcigodny – odparł żałośnie Gringoire – w samej rzeczy niezwykły to przyodziewek i wierzajcie mi, więcej się wstydzę tego pstrego kaftana, niżby się kot wstydził tykwy na głowie. Złe to jest, czuję, kiedy się wielmożnych pacholków miejskich naraża na wygrzmocenie pod tym kuglarskim płaszczem gnatów pitagorejskiego filozofa. Ale cóż chcecie, wielebny mistrzu? Wina to mego starego kaftana, który na początku zimy porzucił mnie podle pod pozorem, że się w strzępy rozpada i że potrzebuje odpoczynku w koszu gałganiarza. Co miałem począć? Cywilizacja nie doszła jeszcze do tego, żeby można było chodzić nago, jak pragnął starożytny Diogenes. I dodajcie też, że wiały bardzo zimne wiatry i że zaiste, nie w styczniu można z powodzeniem nakłaniać ludzkość do tego właśnie kroku. Nadarzył się ten kaftan. Wziąłem go i zrzuciłem mój stary czarny przyodziewek, który jak na hermetryka – a jestem nim przecie – zapinany był bardzo mało hermetycznie. I oto chodzę w stroju histryka jak święty Genest. Czegóż chcecie? chwila zaćmienia. Sam Apollo pasał świnię u Admeta.

– Pięknego jęliście się rzemiosła – rzekł archidiakon.

– Przyznaję, mistrzu, że lepiej jest zajmować się filozofią i poezją, dmuchać w płomień w piecu lub też otrzymywać go z nieba niżli obnosić po ulicach koty w zębach. Dlatego też, słysząc głos wasz pełen nagany, zgłupiałem jak osioł wobec kuchennego rożna. Ale co robić, czcigodny ojciec? Co dzień trzeba żyć, a najpiękniejsze aleksandryny nie zastąpią w gębie kawałka sera Brie. Ułożyłem przecie dla pani Małgorzaty Flandryjskiej owe słynne a znane wam wiersze na cześć jej zaślubin i miasto nie zapłaciło mi, pod pretekstem, że nie były doskonałe, jak gdyby człowiek mógł za cztery skudy dawać tragedię Sofoklesa! I byłbym umarł z głodu. Szczęśliwym trafem okazało się, że jestem mocny w szczękach, rzekłem tedy mojej szczęce: „Wyćwicz się w sztukach wymagających siły i zręczności, karm się sama. Ale te ipsam. „Obszarpańcy, którzy stali się moimi dobrymi przyjaciółmi, nauczyli mnie dwudziestu rodzajów herkulesowych sztuk i teraz co wieczora dają moim zębom chleb, na który zapracowały we dnie w pocie mego czoła. Mimo to, *concedo*, zgadzam się, że smutne to jest zastosowanie zdolności mojego umysłu i że człowiek nie po to został stworzony, żeby spędzać życie na biciu w bębenek i gryzieniu stołków. Lecz, wielebny ojciec, spędzać życie to nie dosyć jeszcze, trzeba na nie zarabiać.

Wielebny Klaudiusz Frolo słuchał w milczeniu. Nagle w jego głęboko zapadniętych oczach pojawił się wyraz tak bystry i przenikliwy, że Gringoire poczuł, iż spojrzenie ich przeszukuje go – by rzec tak – aż do samego dna duszy.

– Ślicznie, mistrzu Piotrze, ale dlaczegoż to stale chodzicie razem z tą cygańską tancerką?

– Na honor! – rzekł Gringoire. – Dlatego że jest ona moją żoną i że ja jestem jej mężem.

Posępne oczy księdza zapłonęły.

– Byłbyś wstanie tak postąpić, nędzniku? – krzyknął chwytając z wściekłością ramię Gringoire’a. – Byłbyś tak dalece opuszczony przez Boga, by sięgnąć po tę dziewczkę?

– Na moją cząstkę w raju, ojcie wielbny – odparł Gringoire drżąc na całym ciele – przysięgam wam, że jej nie tknąłem, jeśli to was właśnie niepokoi.

– Czemu zatem mówisz o mężu i o żonie? – rzekł ksiądz.

Gringoire jak najspieszniej i jak najzwężlej opowiedział mu to wszystko, co czytelnik już wie, o swej przygodzie na Dziedzińcu Cudów i o swym małżeństwie zawartym przez rozbicie dzbana. Zdaje się zresztą, że małżeństwo to nie miało jeszcze żadnego wyniku i że Cyganka co wieczora zrećnie wykręcała się od nocy poślubnej, podobnie jak pierwszego dnia.

– Przykre to – rzekł kończąc – ale pewnie dlatego się tak dzieje, że miałem nieszczęście poślubić dziewicę.

– Co rzec chcecie? – zapytał archidiakon, który uspokajał się stopniowo, słuchając tej opowieści.

– Wytłumaczyć trudno by było – odparł poeta. – To zabobon. Moja żona, wedle tego, co rzekł mi stary złodziejasek, którego zowią u nas księciem cygańskim, jest znajdą czy też podrzutkiem, co na jedno wychodzi. Nosi ona na szyi amulet, który, jak utrzymują, pozwoli jej odnaleźć kiedyś rodziców, ale który utraci tę swą cnotę, jeśliby dziewczyna swoją utraciła. Wskutek czego ciągle jeszcze jesteśmy oboje niesłychanie cnotliwi.

– A więc – odezwał się znowu wielebny Klaudiusz, któremu coraz bardziej wypogadzało się czoło – sądzicie, mistrzu Piotrze, że żaden mężczyzna nie zbliżył się jeszcze do tej istoty?

– Cóż mężczyzna może poradzić na zabobon, wielebny Klaudiuszu? Wbiła to sobie do głowy. Wedle mego rozumienia, z pewnością rzadkość to wielka: cnota mniszki zachowana w całej swej surowości pośród cygańskich dziewcząt, które przecież tak łatwo dają się oswajać. Lecz ta ma trzech obrońców do pomocy: cygańskiego księcia, który roztoczył nad nią opiekę, rachując, być może, że ją sprzeda jakiemuś przekłętym opatowi, całe swe plemię, które czci ją szczególnie, niby jakąś Matkę Boską, i pewien milusi sztylecik, który, szelma, stale gdzieś nosi przy sobie, lekceważąc rozkazy pana starosty, i który wyskakuje z jej dłoni, ilekroć uściśniesz jej talię. To ci dopiero osa.

Archidiakon przydusił Gringoire’a pytaniami.

Esmeralda – wedle mniemania poety – była istotą bezbronną i czarującą, śliczną, wyjąwszy pewną minkę, którą czynić zwykła była, dziewczyną naiwną i namiętą, nic nie wiedzącą, a wszystkim zachwyconą; nie poznała jeszcze różnicy między mężczyzną i kobietą, nawet we śnie; taka już była z natury; aż do szaleństwa kochała taniec, zgiełk, przestrzeń; coś w rodzaju kobiety-pszczoły, która ma u stóp niewidzialne skrzydełka i żyje w wiecznym wirze. Tę naturę swoją zawdzięczała koczowniczemu życiu, które zawsze wiodła. Gringoire’owi udało się dowiedzieć, że we wczesnym dzieciństwie przewędrowała przez Hiszpanię i Katalonię aż po Sycylię; przypuszczał nawet, że razem z karawaną cygańską, do której należała, dotarła do królestwa Algieru, krainy położonej w Achai, która to Achaja z jednej strony dotyka do małej Albanii i Grecji, z drugiej zaś do Morza Sycylijskiego leżącego na drodze do Konstantynopola. Cyganie, mówił Gringoire, są wasalami króla Algieru, który jest władcą narodu białych Maurów. Pewnym zaś było, że Esmeralda jako całkiem młodziutka dziewczyna przybyła do Francji przez Węgry.

Ze wszystkich tych krain przywiozła ze sobą strzępki najprzeróżniejszych narzeczy, piosenki i cudzoziemskie pojęcia, które język jej czyniły równie pstrokaty jak jej strój – na połę paryski, na połę afrykański. Lud zresztą tych dzielnic miasta, w których pojawiać się zwykła, lubił ją za wesołość, urodę, zwinność, za jej tańce i za jej piosenki. W całym mieście – tak się jej wydawało – dwoje tylko ludzi nienawidziło jej i często wspominała ich z lękiem: pustelnica z Wieży Rolanda, zła samotnica, która, nie wiedząc za co, miała urazę do Cyganki i przeklinała nieszczęsną tancerkę, ilekroć ta przechodziła koło okienka jej celi, i jakiś ksiądz, który przy spotkaniu zawsze jej rzucał spojrzenia i słowa takie, że zdejmował ją strach. Archidiakon zmieszał się mocno, usłyszawszy o tym szczególe, lecz Gringoire nie zwrócił bacniejszej uwagi na jego mieszanie; beztroskiemu poecie dość było dwu miesięcy, by zapomnieć o osobliwych okolicznościach, wśród których poznał był Cygankę, i o udziale archidiakona w tym wydarzeniu. A zresztą mała tancerka nie bała się niczego; nie wróżyła, co chroniło ją przed owymi procesami o magię, które tak często wszczynano przeciwko Cygankom. Gringoire zaś był dla niej jeżeli nie mężem, to bratem. Ostatecznie filozof znosił nader cierpliwie tę platoniczną odmianę małżeństwa. Zawszeć był to dach nad głową i kawałek chleba. Każdego ranka wyruszał z żebraczego państwa, najczęściej razem z Cyganką; pomagał jej w zbieraniu srebrników i miedziaków na placach publicznych. Każdego wieczora powracał razem z nią pod wspólny dach, ona zamykała się na zasuwę w swej izdebce, a on zasypiał snem sprawiedliwego. A wszystko razem składało się, jak powiadał, na egzystencję bardzo miłą i bardzo sprzyjającą marzeniom. Wreszcie zaś w duszy i sumieniu swoim filozof nie był zupełnie pewny, czy naprawdę jest do szaleństwa zakochany w Cygance. Prawie tak samo miłą mu była jej koza. Zwierzątko śliczne, łagodne, mądre, zmyślne, koza uczona! Owe uczone zwierzęta, którymi się tak często zachwycono, a które tak często wiodły na stos swych nauczycieli, należały w średniowieczu do najzwyklejszych zjawisk. Lecz czarnoksiężskie sztuczki kózki o złożonych kopytkach okazały się całkiem niewinnymi f igielkami. Gringoire wyłożył archidiakonowi, na czym one polegają, gdyż ksiądz najwidoczniej bardzo był tego ciekaw. Chcąc, by kózka wykonała żadaną sztukę, przeważnie dość było podstawić je; bębenek w taki lub inny sposób. Została bowiem wytresowana przez Cygankę, która do tej misternej bakałarki miała talent tak rzadki, że wystarczyło jej dwóch miesięcy, by wyuczyć kozę pisania ruchomymi literami słowa „Febus”.

– Febus? – rzekł ksiądz. – Dlaczego właśnie Febus?

– Nie wiem – odparł Gringoire. – Może wierzy, że słowo to posiada jakąś magiczną i tajemną moc. Często powtarza je półgłosem, kiedy sądzi, że jest sama.

– Czy jesteście pewni – podjął Klaudiusz patrząc nań przenikliwie – że to słowo, że to nie jest imię?

– Czyje imię? – zapytał Gringoire.

– Skądże mogę wiedzieć? – odrzekł ksiądz.

– Oto, co myślę o tym, ojczye wielebny: ci Cyganie to po trosze Gwebrowie, czczą słońce. I stąd Febus.

– Mnie się to nie wydaje takie jasne jak wam, mistrzu Piotrze.

– A wreszcie, co mi do tego. Niechaj sobie mruczy swojego Febusa, ile tylko zapragnie. Jedno jest pewne: że Dżali kocha mnie już prawie tyle samo co i ją.

– Któż to jest ta Dżali?

– Ano koza.

Archidiakon podparł dłonią brodę i jak gdyby zadumał się na chwilę. Nagle odwrócił się gwałtownie ku Gringoire'owi.

– I przysięgasz mi, żeś jej nie tknął?

– Kogo? – zapytał Gringoire. – Kozy?

- Nie, tej kobiety.
 - Mojej żony? Przysięgam wam, że jej nie tknąłem.
 - A czy często bywasz z nią sam na sam?
 - Co wieczora, przynajmniej przez godzinę. Wielebny Klaudiusz zmarszczył brwi.
 - O! o! *Solus cum sola non cogitabuntur orare „Pater noster”*.
 - Na mą duszę, mógłbym zmówić i Pater, i Ave Maria, i *Credo in Deum patrem omnipotentem*, a ona zważałaby na mnie akurat tyle co kura na kościół.
 - Przysięgnij mi na żywot matki twojej – powtórzył gwałtownie archidiakon – żeś nawet i końcem palca nie tknął tej istoty.
 - Przysięgnę również i na głowę ojca mego, gdyż dwie te rzeczy mają niejaki związek ze sobą. Lecz, mój mistrzu czcigodny, pozwólcie mi teraz z kolei was zapytać.
 - Mówcie, panie.
 - Co was to obchodzi?
- Błada twarz archidiakona stała się purpurowa niby dziewczęca jagoda. Milczał chwilę, po czym odpowiedział z widocznym zakłopotaniem:
- Posłuchajcie mnie, mistrzu Piotrze Gringoire. O ile mogę wiedzieć, nie jesteście jeszcze potępieni. Nie jesteście mi też obojętni i dobrze wam życzę. Otóż, najłżejsze nawet obcowanie z tą Cyganką pochodzącą od demona uczyniłoby was wasalem szatana. Wiecie, że zawsze ciało gubi duszę. Biada wam, jeśli zbliżycie się do tej kobiety. Tyle chciałem wam rzec.
 - Raz spróbowałem – rzekł Gringoire drapiąc się w ucho. – Pierwszego dnia, ale ukłułem się.
 - Ważyliście się na to zuchwalstwo, mistrzu Piotrze?
- I czoło księdza znów się zasepiło.
- Innym znów razem – z uśmiechem mówił dalej poeta – przed położeniem się spać zajrzałem przez dziurkę od klucza do jej izdebki i zobaczyłem dokładnie najrozkoszniejszą damę w białej bieliźnie, pod której bosą stopą kiedykolwiek zaskrzypiał tapczanik.
 - Wyoś się do diabła! – wrzasnął ksiądz ze straszliwym wyrazem oczu i odepchnąwszy rozmarzonego Gringoire’a, wielkimi krokami odszedł pod najciemniejsze arkady katedry.

III

DZWONY

Od tamtego poranka na pręgierzu ludziom, którzy mieszkali w pobliżu katedry Marii Panny, wydawało się, jakoby ostygł dzwonnicy zapal Quasimodo. Niegdyś dzwonił przy każdej okazji; długie jutrznie trwały od prymarii do pierwszej wotywy, rozhuśtywał największy dzwon przy sumie, a przy ślubie czy chrzcie bogate gamy przebiegały po dzwonach i splatały się w powietrzu jakby w koronki z różnorodnych a prześlicznych dźwięków. Stary kościół, cały rozedrgany, cały dźwięczący, żył w nieustannej radości rozdzwonienia. Wyczuwało się w nim stale obecność ducha zgiełku i kaprysu, który śpiewał przez wszystkie te usta ze spiżu. Teraz ów duch jakby znikł gdzieś; katedra wydawała się posępna i chętnie milczała. Świętom i pogrzebom towarzyszyło tylko zwykłe dzwonicie, nagie, suche – tyle, ile obrzęd nakazywał, nie więcej. Z dwojakiego zgiełku, jaki każdy kościół czyni, organów w środku, a na zewnątrz dzwonów, pozostały już tylko organy. Rzekłbyś, że w dzwonicach nie stało grajka. A jednak Quasimodo był tam ciągle jeszcze. Co się z nim stało? Czyżby wstyd i rozpacz spod pręgierza przetrwały w

głębi jego serca, czyżby razy bata oprawcy odbijały się nieustającym echem w jego duszy, czyżby smutna pamięć o tym, jak się z nim obeszli ludzie, zgasiła w nim wszystko, wszystko, nawet i namiętność do dzwonów? A może Maria miała rywalkę w sercu dzwonnika katedry Marii Panny, i olbrzymi dzwon i czternaście jego sióstr-dzwonów zostały zaniedbane dla czegoś, co miłsze było i piękniejsze niż one?

Tak się zdarzyło, że w owym roku łaski 1482 Zwiastowanie wypadło we wtorek 25 marca. Dnia tego powietrze było tak czyste, tak lekkie, że Quasimodo poczuł, iż odżyło w nim nieco miłości do dzwonów. Wszedł więc na północną wieżę, a tymczasem na dole zakrystian otwierał szeroko drzwi kościoła, których skrzydła zrobione były wówczas z mocnego drzewa, pokryte blachą miedzianą, nabijane złożonymi ćwiekami i obramowane rzeźbami „bardzo misternej roboty”.

Kiedy Quasimodo wszedł do klatki dzwonnicy wysoko umieszczonej na wieży, przez pewien czas spoglądał na sześć dzwonów i smutno potrząsał głową, jakby biadał nad tą jakąś obcością, która powstała w jego sercu i wszystkie je odeń oddzieliła. Lecz kiedy rozkołysał dzwony, kiedy uczuł, jak poruszyły się pod jego ręką, kiedy zobaczył – bo nie usłyszał jej przecież – jak oktawa drgnęła, jak w górę się pnie i w dół schodzi po tej dźwięcznej drabinie, niby ptak, co przeskakuje z gałęzi na gałąź, kiedy szatan, któremu na imię jest Muzyka, ów demon potrząsający roziskrzoną wiązką strettryłów i arpedżjów, zawładnął głuchym biedakiem – wówczas stał się on znowu szczęśliwy, zapomniał o wszystkim i radość, przepełniająca jego serce, uśmiechem rozkwitła na twarzy.

Chodził tam i z powrotem, uderzał w dłonie, biegał od sznura do sznura, przynaglał swoich sześciu śpiewaków i głosem, i ruchem, niby kapelmistrz kierujący pojętną kapelą.

– Nuże! – mówił – nuże, Gabrielo, zalej zgiełkiem cały plac! Święto dzisiaj, Tybaldzie, nie leń się! Zwalniasz! Ruszajże się, ruszaj, czyżbyś zardzewiał, próżniaku? Dobrze! prędzej, prędzej! Tak, żeby nie było widać serca! Oglusz ich wszystkich, jak mnie ogłuszyłeś. Dalej, dobrze, Tybaldzie, śmiało! Wilhelmie! Wilhelmie! największy jesteś, Paschalis najmniejszy, a jednak Paschalis najdzielniej dzwoni. Idę o zakład, że ci, co słyszą, jego lepiej słyszą niż ciebie... Dobrze, dobrze, moja Gabrielo, mocniej, jeszcze mocniej! Hej, wy tam na górze! Wróble! A wy co wyrabiacie? Nie widzę wcale, byście choćby najcichszy dźwięk wydawały! To mi dopiero dziobki spizowe, co ziewają, kiedy trzeba śpiewać! Dalej, do roboty, przecie dzisiaj Zwiastowanie! Słonko świeci ładnie, trzeba dzwonić ładnie... Biedny Wilhelm! Zasapałeś się, mój grubasie?

Całkowicie pochłonęło go podbechtywanie dzwonów, które huśtały się wszystkie sześć na wyprzody, wyrzucając w górę swe połyskujące zady, niby zaprząg hiszpańskich mułów popędzanych raz po raz pokrzykiwaniami poganiacza.

Nagle spojrzenie jego padło w dół poprzez szpary między szerokimi łuskami łupku, którymi na pewnej wysokości pokryta jest pionowa ściana wieży i zobaczył, że na placu jakaś cudacznie odziana dziewczyna zatrzymała się i rozwinęła na ziemi kobierczyk, mała kózka natychmiast ułożyła się na tym kobierczyku, a w krąg przystawali gapie. Widok ten odmienił nagle bieg jego myśli i ściał jego muzyczny zapał, jak podmuch wiatru ścina w kroplę żywicę spływającą z drzewa.

Przystanął, odwrócił się tyłem do dzwonów i kucnął za łupkowym okapem, utkwivszy w tancerce owo spojrzenie rozmarzone, czułe i tkliwe, które już raz zadziwiło archidiakona. A tymczasem zapomniane dzwony umilkły nagle wszystkie naraz ku wielkiemu rozczarowaniu miłośników dzwonięcia, którzy na moście Wymiany stali, szczerze zasłuchani w ich muzykę, a teraz poszli sobie, zawiedzeni, niby pies, któremu pokazano kość, a rzucono kamień.

IV

ΑΝΑΓΚΗ

Tak się zdarzyło, że pewnego pogodnego ranka, tego samego miesiąca marca – zdaje mi się, że była to sobota dwudziestego dziewiątego, dzień św. Eustachego – nasz młody przyjaciel żak Jan Frolo z Młyna spostrzegł ubierając się, że portki jego, w których znajdowała się sakiewka, nie wydają przy potrząśnięciu żadnego metalicznego dźwięku.

– Biedna sakiewko! – rzekł wyciągając ją z kieszeni – jakże to? Nic? Nawet najędźniejszego paryskiego grosza? Tak okrutnie wybebeszyły cię kości, kufle piwa i pani Wenus! Jakżeś pusta, pomarszczona, zwiotczała! Podobna jesteś do piersi starej wiedźmy! Zapytuję was, mości Cyceronie i mości Seneko, których dzieła w zbutwiałych oprawach walają się tu koło mnie na posadzce; i co mi po tym, że wiem lepiej niż zawiadujący mennicą czy też Żyd z mostu Wymiany, iż złoty dukat z koroną wart jest trzydzieści pięć jedynek po dwadzieścia pięć solidów i osiem paryskich denarów każda, iż dukat z półksiężycem wart jest trzydzieści sześć jedynek po dwadzieścia sześć solidów i sześć turskich denarów, sztuka w sztukę, jeśli nie mam nawet nędznego szeląga, który bym mógł postawić na podwójną szóstkę? Tak, konsulu Cyceronie, z tej opresji nie wygrzebię się z pomocą peryfrazy, *quemadmodum* i *verum enimvero*.

Ubierał się dalej, bardzo zasmucony. Kiedy sznurował trzewiki, nawiedziła go pewna myśl, lecz odsunął ją z początku, wróciła jednakże, aż włożył kamizelkę podszewką na wierzch, co bywa niechybną oznaką gwałtownej wewnętrznej walki. Wreszcie cisnął stanowczym ruchem czapkę o podłogę i zawołał:

– Trudno! Co będzie, to będzie! Pójdę do brata. Nie ominie mnie kazanie, ale i dukacik nie ominie.

Przywdział spiesznie swój kaftan z szerokimi, podbitymi futrem rękawami, podniósł czapkę i jak szalony wybiegł z domu.

Poszedł ulicą Harfy ku Cité. Kiedy mijał ulicę Huchette, cudowny zapach pieczeni z roznów, które się tam obracały bez ustanku, podrażnił jego węch, posłał więc miłosne spojrzenie buchającej żarem i dymem niczym jaskinia Cyclopa gospodzie, która pewnego dnia wyrwała taki oto patetyczny okrzyk z gardła franciszkanina Calatagirone: „Veramente, queste rotisserie sono cosa stupenda”. Lecz Jan nie miał za co zjeść śniadania, z głębokim westchnieniem znikł więc pod bramą Małego Châtelet – tej ogromnej podwójnej koniczyny z wież, która strzeże wejścia do Cité.

Nie zatrzymał się nawet, by – jak to było we zwyczaju – cisnąć kamieniem w nieszczęsny posąg owego Perineta Leclerc, który za Karola VI oddał Anglikom Paryż. Wizerunek jego z obliczem zmiądzonym kamieniami i umazanym błotem pokutował przez trzy stulecia za tę zbrodnię na rogu ulicy Harfy i Buci, niby na wieczystym pręgierzu.

Jan Molendino przeszedł przez Mały Most, minął ulicę Św. Genowefy i znalazł się przed katedrą Marii Panny.

A wówczas znów go ogarnęły wątpliwości i zaczął spacerować dokoła figury Szarego Jegomości powtarzając z niepokojem w sercu:

– Kazanie pewne, dukat na wodzie pisany.

Zaczeplił kościelnego, który wychodził z klasztoru:

– Gdzie jest wielebny archidiakon jozajski?

– Zdaje mi się, że jest w swojej skrytce w wieży – rzekł kościelny – i nie radziłbym wam go niepokoić, chyba że przychodziecie od kogoś takiego jak papież albo nasz król miłościwy.

Jan klasnął w dłonie:

– Do stu czartów! Wspaniała okazja, żeby zobaczyć tę słynną czarnoksięską celę.

I tą myślą przekonany wszedł śmiało pod ciemne sklepienie niewielkich drzwi i zaczął piąć się w górę po krętych schodach Św. Idziego, prowadzących na górne piętra wieży.

– Zobaczę! – powtarzał sobie po drodze. – Na wyprawkę Przenajświętszej Pani, ciekawą rzeczą musi być ta cela, której mój wielebny brat strzeże jak swojego *pudendum*. Powiadają, że rozpała tam ogromny ogień pod piekielną kuchnią i gotuje na nim kamień filozoficzny. Na czarcie pazurki! Tyleż mnie obchodzi kamień filozoficzny co i każdy kamyk przy drodze, i wolałbym znaleźć w jego piecyku jajecznicę z wielkanocnych jajek ze słoninką niż największy kamień filozoficzny, jaki tylko jest na świecie.

Wszedłszy na galerię kolumnienek wytchnął nieco i wysłał nie kończące się schody do iluś tam milionów fur diabłów; po czym powędrował wyżej przez wąskie drzwiczki w północnej wieży, dziś zamknięte dla publiczności. Przeszedł obok klatki dzwonów i w kilka chwil później napotkał niewielki podest umieszczony we wklęsłości bocznej ściany i niskie, ostrołukowe drzwi tuż pod sklepieniem. Okrągłe okienko przebite po przeciwległej stronie w kolistej ścianie klatki schodowej pozwoliło mu dostrzec ogromny zamek i potężne żelazne rygle. Osoby, które by dziś zniechęciła ciekawość do obejrzenia tych drzwi, rozpoznają je po napisie wyskrobanym białymi literami w czarnym murze: „UBÓSTWIAM KORALIĘ 1823 – PODPISANO: GENIO”, „podpisano” znajduje się w tekście.

– Uff! – rzekł żak – to pewnie tu.

Klucz tkwił w zamku. Drzwi były tuż, tuż. Pchnął je lekko i wsunął głowę w szparę.

Czytelnik nieraz zapewne obcował z cudownym dziełem Rembrandta, tego Szekspira malarstwa. Wśród tak wielu jego pięknych sztychów znajduje się akwaforta, która przedstawia przypuszczalnie doktora Fausta, a której niepodobna oglądać bez zachwytu. Jest to mroczna cela. Pośrodku stoi stół zastawiony potwornymi przedmiotami: są tu trupie czaszki, globusy, alembiki, cyrkle, pergaminy pokryte hieroglifami. Doktor siedzi przy tym stole, odziany w grubą opończę, w futrzanej czapie, naciśniętej aż po brwi. Widzimy tylko górną część jego ciała. Dźwignął się właśnie ze swego ogromnego fotela, zaciśnięte pięści wsparł na stole i wpatruje się z ciekawością i zgrozą w wielkie, świetliste koło utworzone z magicznych liter, które lśni na ścianie w głębi, niby widmo słoneczne w ciemnym pokoju. Rzekłbyś, że to kabalistyczne słońce drga w oczach i napełnia mroczną celę swym tajemniczym promieniowaniem. I straszne to, i piękne.

Kiedy Jan wsunął głowę do wnętrza przez uchylone drzwi, oczom jego ukazał się widok podobny do tej celi Fausta. Izba była równie mroczna, skąpo oświetlona. Stał tam również wielki fotel i wielki stół, były cyrkle, alembiki, szkielety zwierząt wisiały u stropu, okrągły globus potoczył się na posadzkę, gdzie stały słoje, w których drżały złote listki; trupie czaszki ludzkie i zwierzęce leżały na welinach upstrzonych literami i znakami, grube manuskrypty pootwierane były i jedne na drugich położone, bez litości dla pozałamywanych pergaminowych kart; czyli że miałaś tu wszelakie rupiecie nauki, a wszędzie na tym wszystkim legł kurz i pajęczyna; ale nie było koła z płomiennych liter, nie było doktora, który by wpatrywał się w ekstazie w tę płomienną wizję jak orzeł w słońce.

Jednakże cela nie była pusta. W fotelu siedział jakiś człowiek schylony nad stołem. Jan, do którego tyłem był odwrócony, widział tylko jego plecy i czaszkę; bez trudu jednak poznał tę łysą głowę, którą sama natura naznaczyła wieczystą wstydliwą część ciała tonsurą, jakby tym zewnętrznym symbolem chciała wyrazić nieprzeparte powołanie archidiacona do służby pańskiej.

Jan poznał brata, drzwi uchylily się jednak tak cicho, że nic nie ostrzegło wielebnego Klaudiusza o jego obecności. Ciekawy żak skorzystał z tego, by przez kilka chwil porozglądać się swobodnie po celi. Duży piec, którego nie zauważył od razu, stał po lewej stronie fotela, pod okienkiem. Promień światła przez ten otwór wpadający przedostawać się musiał przez okrągłą pajęczynę, która gustowną i delikatną rozetą wrysowana była w ostrołuk okna; a w samym jej środku tkwił nieruchomo owad-architekt, niby piasta tego koła z koronki. Na piecu były nagromadzone w nieładzie wszelakiego rodzaju wazy, butle z kamionki, szklane retorty, naczynia z węglem. Jan zauważył z westchnieniem, że patelni tam nie było. „Garnki wystygły” – pomyślał sobie.

Zresztą w piecu nie było ognia i wydawało się nawet, że go już od dawna nie rozpalano. Szklana maska, którą Jan zauważył wśród alchemicznych przyrządów, a która służyła zapewne do tego, żeby ochraniać twarz archidiakona podczas gotowania niebezpiecznych substancji, leżała w kącie, pokryta kurzem, jakby poniechana. Obok niej leżał miech, nie mniej zakurzony, a na jego górnej deszczulce widniał napis inkrustowany miedzianymi literami: *Spira, spera*.

Według przyjętego przez hermetryków obyczaju na ścianach widniały najprzeróżniejsze napisy, w wielkiej liczbie wymalowane atramentem i wydrapane metalowym szpikulcem. Miałaś tu bezładną zbieraninę liter gotyckich, hebrajskich, greckich i łacińskich; napisy jakby rozsypały się same, jedne na drugie upadając; świeższe zatarły dawniejsze i poplątały się wszystkie ze sobą, niby gałązki w zaroślach, niby dzidy wśród zamętu walki. Bo i rzeczywiście, ścierały się tu ze sobą wśród zamętu wszystkie filozofie, wszystkie marzenia, wszelka mądrość ludzka. Gdzieniedzie jakaś inskrypcja wybijała się spośród innych wyraźnie, jaskrawo, niby sztandar wśród żelaznych włóczni. Bywała to przeważnie krótka dewiza, grecka lub łacińska, jedna z tych, które z takim upodobaniem formułowało średniowiecze: *Unde? Inde? – Homo hommi monstrum.* – *Astra, castra, nomen, numen.* – *Μεγα βιβλίον, μέγα χαρον* *Sapere aude.* – *Flat ubi vult.* – itd. Czasami było to słowo pozbawione pozornie jakiegokolwiek sensu – np.: *Αναγχοαγια* – w którym kryła się, być może, gorzka aluzja do klasztornej reguły; czasami wreszcie była to zwykła maksyma z nauki kościelnej zaczerpnięta i ujęta w prawidłowy heksametr: *Caelestem dominum, terrestrem dicito domnum.* Były tam również *passim* z czarnoksięskich ksiąg hebrajskich, których Jan, już i w grece niezbyt mocny, nie rozumiał wcale, a wśród tego wszystkiego wszędzie były porozsiewane gwiazdy, postacie ludzkie i zwierzęce, przecinające się trójkąty, co również walnie przyczyniło się do tego, że zagryzmołona ściana celi podobna była do arkusza papieru, po którym małpa wodziła piórem umaczanym w atramencie.

Izdebka ta przedstawiała sobą obraz zaniedbania i nieładu, a zły stan przyrządów przypuszczać pozwalał, że jej gospodarz już dość dawno temu został oderwany od swoich prac przez jakieś inne kłopoty.

Gospodarz ów, pochylony w tej chwili nad wielkim rękopisem ozdobionym dziwaczными malowidłami, wydawał się jakby udęczony przez jakąś myśl, która nieustannie powracała i przeszkadzała mu w medytacji. Tak przynajmniej pomyślał Jan, kiedy usłyszał, że mówi z przerwami, głucho, w czczym rozmarzeniu, jakby śnił na jawie:

– Tak, Manu to powiada i Zoroaster naucza! Słońce rodzi się z ognia, księżyc ze słońca; ogień jest duszą wszechrzeczy. Jego pierwiastkowe atomy rozlewają się i spływają bez ustanku na świat niezliczonymi prądami. W tych punktach, gdzie te prądy przecinają się na niebie, powstaje światło; tam, gdzie przecinają się w ziemi, powstaje złoto. Światło, złoto – jedno i to samo! Zgęszczony ogień!... Różnica między widzialnym a dotykającym, między stanem płynnym a stałym tej samej substancji, przejście pary wodnej w lód, nic więcej! To przecież nie są mrzonki – to ogólne prawo natury! Ale jak to uczynić, by nauka wyłudziła od natury tajemnicę tego ogólnego prawa? Przebóg! To światło na mej dłoni – to złoto! I o to tylko chodzi, żeby te atomy

rozproszone według jakiegoś jednego prawa zespolić według jakiegoś drugiego prawa. Jak to uczynić? Niektórzy twierdzili, że należy promień słońca zakopać w ziemi. Averroes... tak, to był Averroes... Averroes zakopał taki promień pod pierwszym filarem z lewej strony w świątyni Koranu, w wielkim meczecie kordubańskim; lecz dopiero za osiem tysięcy lat wolno będzie otworzyć grobowiec i zobaczyć, czy się udało doświadczenie.

„Do diabła – mruknął Jan sam do siebie – rzeczywiście, długo jeszcze będą musieli czekać na tego dukata!”

– ...Inni sądzą – mówił dalej zadumany archidiakon – że lepiej próbować doświadczeń na promieniu Syriusza. Lecz bardzo jest trudno uzyskać czysty promień Syriusza, bo przeszkadza temu równoczesna obecność innych gwiazd. Flamel mniemał, że wygodniej będzie przeprowadzić doświadczenie na ogniu ziemskim. Flamel! Imię wybrańca – Flamma!... Tak, ogień! To wszystko! Diament jest w węglu, złoto jest w ogniu. Lecz jak je stamtąd wydobyć? Magistri twierdzi, iż w pewnych imionach kobiecych kryje się urok tak słodki i tajemniczy, że dość jest wymówić je podczas doświadczenia... Odczytajmy, co mówi o tym Manu: „Gdzie kobiety są poważane, tam bóstwa radują się; gdzie są one pogardzane, tam nie warto modlić się do Boga. Usta kobiety są zawsze czyste; to płynąca woda, to słoneczny promień. Imię kobiece powinno być miłe, słodkie, urzekające wyobraźnię, kończyć się powinno długą samogłoską i przypominać słowa błogosławieństwa...” Tak, mędrzec ma słuszość, to prawda, i Maria, i Zofia, i Esmeral... Przekleństwo! Wciąż ta sama myśl!

I gwałtownie zatrzasnął księgę.

Przesunął dłonią po czole, jakby chciał odegnać prześladowające go wspomnienie. Potem wziął ze stołu gwóźdź i mały młotek o trzonku pomalowanym niezwykle w kabalistyczne znaki.

– Od pewnego czasu – rzekł z gorzkim uśmiechem – nie udają mi się żadne doświadczenia. Opętała mnie jedna wszechwładna myśl, ognistym trójliściami legła na moim mózgu i wyżera go. Nie potrafiłem nawet odnaleźć tajemnicy Kassiodora, którego lampa paliła się bez knotu i bez oliwy. A przecie rzecz to taka prosta!

– A niech go diabli! – mruknął pod wąsem Jan.

– ... A więc dość jest – mówił dalej ksiądz – jednej nędznej myśli, by uczynić człowieka słabym i szalonym. O, jakby się śmiała ze mnie Klaudia Pernelle, ona, której ani na chwilę nie udało się odciągnąć Mikołaja Flamela od pracy nad wielkim dziełem! Jakże to! Trzymam przecież w dłoni magiczny młotek Zechieleja. Kiedy groźny rabbi, ukryty w swej celi, uderzał tym oto młotkiem w ten oto gwóźdź, za każdym uderzeniem ten z nieprzyjaciół jego, którego przeklął był – choćby znajdował się o dwa tysiące mil od niego – pogrążał się na łokieć w ziemi i ta pochłaniała go. Sam król francuski zapadł się aż po kolana w bruk swego Paryża za to, że pewnego wieczora dobijał się nierozważnie do drzwi czarnoksiężnika. Działo się to niespełna trzy wieki temu... Otóż posiadam ten młotek i ten gwóźdź, i w rękach moich te narzędzia nie są groźniejsze od młota w rękach kowala. A przecież potrzebne jest jedno tylko... odnalezienie magicznego słowa, które wymawiał Zechielej.

„Fraszka!” – pomyślał Jan.

– Próbujmy jednak! – archidiakon ożywił się. – Jeśli mi się uda, ujrzę błękitną iskierkę wytryskającą z gwoździa. – *Emen-Hetam! Emen-Hetam!* To nie to... *Sigeani! Sigeani!*... Niechaj ten gwóźdź otworzy grób każdemu, kto nosi imię Febus... Przekleństwo! ciągle, zawsze, wiecznie ta sama myśl!

I gniewnie odrzucił młotek. Potem zagłębił się w fotelu i tak nisko pochylił się nad stołem, że Jan nie mógł już go zobaczyć za ogromnym oparciem fotela. Przez kilka minut widział tylko jego dłoń konwulsyjnie zaciśniętą na księdze. Nagle wielebny Klaudiusz wstał, wziął cyrkiel i milcząco wyrzył wielkimi literami na ścianie greckie słowo:

ΑΝΑΓΚΗ

„Mój brat zwariował – rzekł sobie w duchu Jan – przecież o wiele prościej było napisać: *Fatum*; nie wszyscy muszą umieć po grecku”.

Archidiakon znów siadł w fotelu i wsparł głowę na dłoniach, jak chory, któremu cięży rozpalone czoło.

Żak ze zdziwieniem obserwował brata. Nie wiedział – on, który serce miał na dłoni, on, dla którego jedynym prawem na świecie było tylko dobre prawo natury, on, który pozwalał namiętnościom swym spływać wedle skłonności, on, w którego sercu jezioro wielkich wzruszeń było zawsze suche, bo każdego ranka otwierał mu coraz to inne, nowe śluzy – nie wiedział, z jaką furją to morze ludzkich namiętności wre i burzy się, kiedy zagradza mu się ujście, jak się ono gromadzi, zbiera, przelewa, jak drży serce, jak wybucha wewnętrznym szlochem i drga głucho, by wreszcie zerwać groble i wyźłobić sobie koryto odpływu. Surowa i chłodna powierzchowność Klaudiusza Frollo, ta zimna powierzchnia wyniosłej, stromej i niedostępnej cnoty jakże oszukała Jana. Wesoły żak nigdy by się nie domyślił, ile wrzącej, wścieklej, głębokiej lawy ukrywa się pod śnieżnym czołem Etny.

Nie wiemy czy od razu zdał sobie z tego sprawę, lecz – choć tak wielkim był lekkoduchem – zrozumiał, że ujrzał to, czego nie powinien był oglądać, że podpatrzył duszę swego starszego brata w jej najbardziej tajemnej postaci i że Klaudiusz nie powinien dowiedzieć się o tym. Widząc, że archidiakon znów zapadł w ów stan bezruchu, w jakim go zastał, cichutko cofnął głowę i zaszurał nogami z drugiej strony drzwi jak ktoś, kto właśnie nadchodzi i uprzedza o swoim przybyciu.

– Proszę wejść! – zawołał archidiakon z wnętrza swojej celi. – Oczekuję was. Umyślnie zostawiłem klucz w zamku. Wejdźcie, mistrzu Jakubie.

Żak wszedł śmiało. Archidiakon, któremu taka wizyta w takim miejscu była bardzo nie na rękę, aż podskoczył na fotelu.

– Jak to? To ty, Janie?

– Też na „j” – rzekł żak ukazując swe rumiane, bezczelne i radosne oblicze. Na twarzy wielbnego Klaudiusza pojawił się zwykły wyraz surowości.

– Po co przychodzisz tutaj?

– Mój bracie – odparł żak obracając z zakłopotaniem czapkę w rękach i starając się ze wszystkich sił przyoblec swoją twarz w niewinną, skromną i żalostną minę – przychodzę prosić cię...

– O co?

– O nieco nauki moralnej, której bardzo potrzebuję.

Jan nie śmiał dodać głośno: „i o nieco pieniędzy, których potrzebuję jeszcze bardziej”. Drugi człon tego zdania pozostał nie wymówiony.

– Panie bracie – rzekł archidiakon chłodnym tonem – jestem z ciebie bardzo nierad.

– O, ja nieszczęsny! – westchnął żak.

Wielebny Klaudiusz razem z fotelem zrobił ćwierć obrotu i uważnie spojrział Janowi w oczy.

– Cieszę się, że cię widzę.

Wstęp był groźny. Jan przygotował się na potężne natarcie.

– Janie, co dzień dochodzą mnie skargi na ciebie. Cóż to była za bijatyka, w której wytlukłeś kijem młodego wicehrabiego Alberta de Ramonchamp?...

– O! – rzekł Jan – wielka rzecz! Paskudny paż, który zabawiał się ochlapywaniem żaków galopując po kałużach.

– A kto to jest – mówił dalej archidiakon – ów Mahiet Fargel, któremu płaszcz rozdarłeś? *Tunicam dechiraverunt*, powiada skarga.

– E tam! Nędzna pelerynka kolegium Montaigu. Wszak o tym mówicie?

– Skarga powiada *tunicam*, a nie *cappettam*. Czy umiesz po łacinie?

Jan nie odpowiedział.

– Tak – odezwał się znowu ksiądz kiwając głową – tak to wygląda dzisiaj nauka i literatura. Język łaciński jest ledwie że zrozumiały, syryjski – nieznanym, a grecki w takim upodleniu, że najuczestszym nie poczytuje się za nieuctwo, jeśli przeskakują przy lekturze słowo greckie, powiadając: *Graecum est, non legitur*.

Żak spojrział rezolutnie na brata.

– Panie bracie, czy pozwolicie, że przełożę wam na francuską mowę to słowo greckie, które jest wypisane tam, na ścianie?

– Jakie słowo?

– ΑΝΑΓΚΗ

Na policzki archidiakona wystąpił blady rumieniec niby kłęb dymu, który wskazuje z zewnątrz utajony wstrząs wulkanu. Żak zaledwie to spostrzegł.

– Cóż więc znaczy to słowo, Janie? – rzekł cicho, z wysiłkiem starszy brat.

– Przeznaczenie.

Wielebny Klaudiusz znowu zbladł, a żak beztrąsko mówił dalej:

– A to słowo, które jest tam, niżej, tą samą ręką wyryte *Αναγνεία*: znaczy: nieczystość. A co, zna się grekę?

Archidiakon milczał. Zamyślił się pod wpływem tej lekcji greki. Młody Jan z całą przebiegłością zepsutego dziecka osądził, że nadeszła chwila stosowna, by się odważyć na prośbę. Zaczął więc najprzymilniejszym, najczulszym głosem:

– Mój dobry panie bracie, czyli wcale mnie już nie miłujecie, że aż z tak groźnym witacie mnie obliczem za kilka nędznych policzków i kuksańców, którymi wśród słusznej utarczki obdzieliłem sam już nie wiem jakich chłopaków i nicponiów, *quisbusdam marmosetis*? Widzicie, dobry panie bracie, że zna się łacinę, co?

Lecz cała ta pieszczotliwa obłuda tym razem nie wywarła zwykłego skutku na surowym archidiakonie. Cerber nie dał się przynęcić miodowym plackiem. Czoło księdza Klaudiusza nie wygładziło się.

– Do czego zmierzasz? – zapytał sucho.

– A więc do rzeczy! – odparł odważnie Jan. – Trzeba mi pieniędzy.

Na to bezwstydną wyznaniem twarz archidiakona przybrała wyraz jak najbardziej ojcowski i wychowawczy.

– Wiesz przecie, imć Janie, że nasze lenno Tirechappe razem z czynszami i intratą z dwudziestu i jednego dymów przynosi tylko trzydzieści dziewięć grzywien, jedenaście solidów i sześć denarów paryskich. Jest to dwukrotnie więcej niż za czasów dzierżawy braci Paclet, lecz nie jest to wiele.

– Trzeba mi pieniędzy – po stoicku powtórzył Jan.

– Wiesz przecie, że decyzją kapituły nasze dwadzieścia i jeden dymów zaliczono do lennych ziem biskupstwa i że aby wykupić się z tego zaszczytu, płacić musimy przewielebnemu biskupowi dwie srebrne pozłacane marki wartości sześciu grzywien paryskich. Otóż nie udało mi się jeszcze uzbierać tych dwóch marek. Wiesz o tym.

– Wiem, że trzeba mi pieniędzy – powtórzył Jan po raz trzeci.

– A na co ci trzeba?

Pytanie to zapaliło iskierkę nadziei w oczach Jana. Przybrał swą przymilną i niewinną minę.

– Wierzajcie mi, drogi bracie Klaudiuszu, nie zwróciłbym się do was w złym zamiarze. Za wasze jedynki nie będę się łajdaczyć po gospodach ani paradować po ulicach Paryża w opończy

ze złotego brokatu i z lokajem, *cum meo laquasio*. Nie, bracie mój, trzeba mi pieniędzy na dobry uczynek.

– Cóż to za dobry uczynek? – zapytał Klaudiusz, zdziwiony nieco.

– Dwu przyjaciół moich postanowiło kupić wyprawkę dla dziecka pewnej ubogiej wdowy z zakładu haudrietek. To dzieło miłosierdzia. A kosztować będzie trzy floreny i chciałbym dorzucić swojego do składki.

– Jakże się nazywają twoi dwaj przyjaciele?

– Piotr Maczuga i Baptysta Łowiptaszek.

– Hmm! – rzekł archidiakon – te nazwiska tak mi pasują do dobrego uczynku, jak bombarda do głównego ołtarza.

To pewna, że Jan nie najszcześliwiej wybrał sobie te dwa nazwiska przyjaciół. Ale za późno się spostrzegł.

– A po drugie – mowa dalej przenikliwy Klaudiusz – cóż to za wyprawka, co ma kosztować trzy floreny, i to jeszcze dla dziecka haudrietki? Od kiedy to wdowy z zakładu haudrietek miewają niemowlęta w pieluchach?

Jan jeszcze raz popróbowwał przełamać lód.

– A więc powiem! Trzeba mi pieniędzy, żeby się zejść dzisiejszego wieczora z Izabelką Thirreya w Dolinie Miłości.

– Rozpustniku nieczysty! – zawołał ksiądz.

– *Αναγνεία* – rzekł Jan.

Ta cytata, którą żak zaczerpnął, być może nie bez złośliwości, ze ściany celi, dziwny skutek wywarła na księdzu. Przygryzł wargi, a złość jego zgasła w rumieńcu.

– Odejdź – odezwał się wreszcie do Jana – oczekuję kogoś.

– Bracie Klaudiuszu, dajże mi choć jedną złotówkę paryską na jadlo.

– Jakie poczyniłeś postępy w dekretaliach Gracjana?

– Pogubiłem notatki.

– Jakie poczyniłeś postępy w literaturze łacińskiej?

– Skradziono mi moją księgę Horacego.

– Jakie poczyniłeś postępy w Arystotelesie?

– Na honor, bracie, a któryż to z ojców Kościoła powiedział, że błędy heretyków zawsze przyczyniały się w gęstwinie metafizyki Arystotelesia? Gardzę Arystotelesem! Nie chcę rozdzierać sobie mojej wiary o jego metafizykę.

– Młodzieńcze – rzekł archidiakon – przy ostatnim wjeździe króla znajdował się w orszaku szlachcic imieniem Filip de Comines. Wierzchowiec tego szlachcica miał na czapraku wyszyte godło, które radziłbym ci wziąć pod rozwagę: *Qui non laborat non manducet*.

Żak przez chwilę stał w milczeniu, założywszy palec za ucho, ze wzrokiem wbitym w ziemię i z obrażoną miną. Nagle obrócił się ku Klaudiuszowi, żwawo i zwinnie niczym pliszka.

– A więc, panie bracie miły, odmawiacie mi nawet paryskiego grosika, za który kupiłbym sobie czerstwego chleba u piekarza?

– *Qui non laborat non manducet*.

Wobec takiej odpowiedzi nieugiętego archidiakona Jan ukrył twarz w dłoniach, jak rozsłochana niewiasta, i rozpaczliwie wrzasnął:

– 'Oto totototoi!

– A to co ma znowu znaczyć, panie bracie? – zapytał Klaudiusz, zadziwiony niespodziewanym wybrykiem.

– Jak to co? – powiedział żak i podniósł na Klaudiusza bezczelne oczy, w które wtłoczył był sobie oba kułaki, żeby się zaczerwieniły jak od łez. – To po grecku! To anapest Eschyła,

niezrównanie wyrażający boleść.

I parsknął śmiechem tak gwałtownym, i komicznym, że archidiakon nie mógł się nie uśmiechnąć. Bo była to jego własna wina: dlaczego tak bardzo rozpieścił tego chłopca?

– O, miły bracie Klaudiuszu – odezwał się znów Jan, ośmielony tym uśmiechem – spójrz na moje dziurawe trzewiki. Czyż jest gdzie na świecie koturn bardziej tragiczny od bucików, których zelówka jest jak jezior wywalony z gęby?

Archidiakon szybko odzyskał swą utraconą na chwilę surowość.

– Przyślę ci nowe trzewiki, ale pieniędzy nie dam.

– Jedną jedyną złotóweczkę paryską, braciszku – błagał Jan. – Nauczę się na pamięć Gracjana, będę wierzył w Boga tak, że aż strach, zostanę prawdziwym Pitagorasem nauki i cnoty. Ale daj przez litość, jedną złotóweczkę. Czyż chciałbyś, by głód ugryzł mnie swoją paszczą, która już czyha na mnie tu, blisko, czarniejsza, bardziej smrodliwa i bardziej przepaścista niżli Tartar czy też niżli nos mnisi?

Ksiądz Klaudiusz przecząco poruszył głową i nie rozmarszczył czoła.

– *Qui non laborat...*

Jan nie dał mu dokończyć.

– A więc dobrze, do stu czartów! – wrzasnął. – Niech żyje radość! Będę pił, będę się rozbijał, będę tłukł garnki i będę gził się z gamratkami!

Po czym cisnął czapką o ścianę i trzasnął w palce niczym w kastaniety.

Archidiakon popatrzył nań chmurnie.

– Nie masz duszy, Janie.

– W takim razie, podług Epikura, brak mi nie wiadomo czego, zrobionego z czegoś, co nie ma nazwy.

– Powinieneś poważnie zastanowić się nad poprawą, Janie.

– Ojej! – zawołał żak spoglądając po kolei na brata i na alembiki na piecu – widzę, że wszystko tu rogate: i myśli, i butelki.

– Znajdujesz się na śliskiej pochyłości, Janie. Czy wiesz, dokąd dążysz?

– Do karczmy – odparł Jan.

– Przez karczmę droga wiedzie na pręgierz.

– To latarnia, jak i każda inna, i może z jej to pomocą właśnie znalazł Diogenes swojego człowieka.

– Przez pręgierz droga wiedzie na szubienicę.

– Szubienica to waga, która u jednego końca ma człowieka, a u drugiego całą ziemię. Być człowiekiem – piękna to rzecz.

– Przez szubienicę droga wiedzie do piekła.

– To tęgi ogień.

– Janie, Janie, skończysz źle.

– Ale za to dobrze zacznę.

W tej chwili na schodach dał się słyszeć odgłos kroków.

– Cicho! – rzekł archidiakon kładąc palec na ustach. – Oto mistrz Jakub. Posłuchaj, Janie – dodał szeptem – biada ci, jeśli kiedykolwiek powtórzysz coś z tego, co tutaj ujrzysz i usłyszysz. Ukryj się prędko pod piecem i nie piśnij ani słówka.

Żak wsunął się pod piec. I tu przyszła mu do głowy płodna myśl.

– Aha, właśnie, bracie Klaudiuszu! Florena, żebym nie piśnął ani słówka.

– Cicho! Obiecuję ci florena.

– Trzeba mi go dać.

– Więc bierz – rzekł archidiakon i ze złością rzucił mu trzos. Jan wsunął się głębiej pod piec i

drzwi się otworzyły.

V

DWAJ LUDZIE W CZERNI

Osoba, która weszła do celi, miała czarne szaty i posępne oblicze. Naszego przyjaciela Jana od pierwszego rzutu oka (bo, jak łatwo domyślić się można, tak się w swoim kącie uplasował, by móc wszystko dogodnie oglądać i słyszeć) uderzył doskonały smutek odzienia i twarzy przybysza. Na licach tych wszakże rozlana była również i odrobina słodyczy, lecz słodyczy kociej lub sędziowskiej, słodyczy fałszowanej. Był zupełnie siwy, pomarszczony, lat mieć mógł około sześćdziesięciu, mrugał oczyma, brwi miał białe, zwisającą dolną wargę i olbrzymie ręce. Kiedy Jan ujrzał, że jest to tylko jakiś lekarz czy też może urzędnik i że człowiek ten ma nos bardzo daleko od ust – oznaka głupoty – skulił się w swojej dziurze, zrozpaczony, że będzie musiał wytrwać, nie wiadomo jak długo, w tak niewygodnej pozycji i w tak nieodpowiedniej kompanii.

Archidiakon nawet nie podniósł się na powitanie tego człeka. Dał mu znak, by usiadł na stołku koło drzwi, i po paru chwilach milczenia, które wydawało się dalszym ciągiem rozważań przerwanych wejściem gościa, odezwał się doń nieco protekcyjnym tonem:

– Dzień dobry, mistrzu Jakubie!

– Dzień dobry, mistrzu! – odpowiedział człowiek w czerni.

W dwojakim sposobie, którym wymówione zostało z jednej strony owo „mistrzu Jakubie”, z drugiej – tylko i właśnie „mistrzu”, dźwięczała różnica między „jaśnie wielmożnym” a „panem” i *dominr* a *domne*. Najprawdopodobniej uczony przyjmował tu ucznia.

– No i jakże tam? – odezwał się archidiakon po nowej chwili milczenia, którego mistrz Jakub jakoś nie odważył się przerywać – udaje się wam?

– Gdzie tam, mistrzu – odparł Jakub uśmiechając się smutnie – dmucham i dmucham. Popiołu, ile dusza zapagnie. Ale ani iskierki złota. Wielebny Klaudiusz poruszył się niecierpliwie.

– Nie o to was pytam, mistrzu Jakubie Charmolue, lecz o proces waszego czarownika. Jakże się on zwie? Marek Cenaine, prawda? Klucznik Izby Obrachunkowej? Czy się przyznał do magii? Czy się wam udało badanie?

– Niestety, nie – odparł mistrz Jakub, wciąż smutnie uśmiechnięty – nie mamy tej pociechy. Ten człowiek to głaz; można by go gotować na Prosięcym Rynku i nic nie powie. A przecie nie szczędzimy niczego, byleby tylko dojść prawdy. Powykręcane ma już wszystkie stawy. Uciekamy się do wszelkich możliwych środków, jak stary komik Plaut powiada: *Adversum stimulos, laminas, crucesque, compedesque, Nervos, catenas, carceres, numellas, pedicas, botas.*

Nic nie pomaga, straszny to człowiek. Na nic wszystkie moje starania.

– Czy nie znaleźliście nic nowego w jego domu?

– A jakże! – odparł mistrz Jakub sięgając do swej sakwy – ten oto pergamin. Są na nim słowa, których nie rozumiemy. A imć prokurator Filip Lheulier umie przecie trochę po hebrajsku, wyuczył się tego języka przy sprawie Żydów z ulicy Kantersten w Brukseli.

Mówiąc to mistrz Jakub rozwijał jakiś pergamin.

– Pozwólcie – rzekł archidiakon i spojrział na kartę. – Czysta magia, mistrzu Jakubie! – zawołał. – Emen-Hetam! To krzyk, który wydają strzygi, kiedy na sabat przybywają. *Per ipsum, et cum ipso, et in ipso!* To zaklęcie diabła w piekle na kłódkę zamyka. *Hax, pax, max!* To znowu medycyna. Formuła zamawiająca ukąszenia wściekłego psa. Mistrzu Jakubie, jesteście królewskim prokuratorem przy sądzie biskupim: to szpetny pergamin.

– Znowu będziemy badać tego człowieka. O, proszę – dorzucił sięgając znowu do swej sakwy – jeszcze i to znaleźliśmy u Marka Cenaine'a.

I wyjął naczynie w rodzaju tych, jakimi zastawiony był piec księdza Klaudiusza.

– O! – rzekł archidiakon – tygiel alchemiczny.

– Wyznam wam – odezwał się mistrz Jakub uśmiechając się nieśmiało, półgębkiem – zem go próbował na moim piecu, ale powiodło mi się nie lepiej niż z własnym.

Archidiakon zaczął oglądać naczynie.

– Co on tu wrył na swoim tyglu? Och! Och! Zaklęcie, które przepędza pchły. Ten Marek Cenaine to nieuk. Ja myślę, że w tym nie zrobicie złota! Co najwyżej postawić możecie ten tygiel latem w waszej alkowii, ale nic więcej.

– Skoro już mowa jest o błędach – rzekł królewski prokurator – nim wszedłem tutaj, obejrzałem sobie portal na dole; czy wasza wielebność jest całkiem pewien, że po stronie Domu Bożego zostało przedstawione zapoczątkowanie dzieła fizyki i że wśród siedmiu nagich postaci u stóp Matki Boskiej ta, która ma u pięt skrzydła, jest Merkury?

– Tak – odparł ksiądz. – A pisze o tym Augustyn Nypho, ów doktor włoski, którego brodaty demon pouczał o każdej rzeczy. Zresztą przejdziemy razem i wytłumaczę wam to na przykładzie.

– Dzięki, mistrzu – rzekł Charmolue kłaniając się, aż do ziemi. – A właśnie, byłbym zapomniał! Czy już życzyście sobie, bym kazał pojmać tę czarowniczkę?

– Jaką czarowniczkę?

– Tę Cyganekę, wiecie przecież, która codziennie tu przychodzi i skacze na placu przed katedrą pomimo zakazu oficjała. Ma ona kozę z czarcimi różkami, opętaną przez złego ducha, która czyta, pisze i rachuje jak Picatrix. Tylko za tę kozę powywieszać by można wszystkich Cyganów! Proces już prawie gotów. Zajmiemy się nim niebawem, bądźcie spokojni. Na moją duszę, śliczne stworzenie z tej tancerki! Ma najpiękniejsze czarne oczy! Dwa egipskie karbunkuły! Kiedy zaczniemy?

Archidiakon był bardzo błądy.

– Dam wam znać – wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem; i z wysiłkiem dodał jeszcze: – Zajmujcie się Markiem Cenaine.

– Bądźcie spokojni – rzekł Charmolue i uśmiechnął się – skoro tylko powrócę, każę go rozciągnąć na skórzanym łożu. Ale to diabeł, nie człowiek: nawet Piotrka.

Jego, co ma tęższe od moich ręce. Jak ten poczciwy Plaut powiada: Kręcikoło umordował, jego, co ma tęższe od moich ręce. Jak ten poczciwy Plaut powiada:

Nudus vinctus, centum pando es, quando pendes per pedes.

Badanie kołowrotem to najlepsze, co mamy. Poddamy go temu badaniu.

Ksiądz Klaudiusz jakby odszedł gdzieś w swej posepnej zadumie. Obrócił się do Charmolue:

– Mistrzu Piotrku... chciałem rzec: mistrzu Jakubie, zajmujcie się Markiem Cenaine.

– Tak, tak, ojczye Klaudiuszu. Biedny człek! Nacierpi się niczym Mummole. Bo i miał też pomysł, żeby biegać na sabaty! I to klucznik Izby Obrachunkowej, któremu chyba powinny być znane teksty Karola Wielkiego: *Stryga vel masca*. A co się tyczy małej, tej Smeraldy, jak wołają na nią, czekać będę na wasze rozkazy. Aha! Gdy będziemy przechodzić pod portalem, wytłumaczycie mi również znaczenie tego ogrodnika wymalowanego na fresku, który widnieje u wejścia do kościoła. To chyba Siewca? Ejże, mistrzu, o czym to myślicie?

Ksiądz Klaudiusz jakby zapadł w siebie, nie słuchał go. Charmolue wyśledził kierunek jego spojrzenia i zobaczył, że archidiakon wpatruje się jakby bezwiednie w ogromną pajęczynę rozwieszoną na okienku. W tejże chwili jakaś nierozważna mucha szukając marcowego słońca wpadła wprost na tę sieć i uwięzła w niej. Pajęczyna drgnęła, olbrzymi pająk poruszył się nagle ze swego miejsca na samym jej środku, jednym skokiem rzucił się na muchę, zgiął ją we dwoje przednimi łapkami i swym obrzydliwym ryjkiem obmacywać zaczął jej głowę.

– Biedna muszka! – rzekł prokurator królewski i wyciągnął rękę, by ją uratować. Archidiakon, jakby nagle przebudzony, gwałtownie chwycił go za ramię.

– Mistrzu Jakubie! – krzyknął – niech się dopełni przeznaczenie!

Przerażony prokurator odwrócił się, wydało mu się, że to żelazne kleszcze ujęły go za ramię. Oczy księdza, dzikie, błędne, pałające, utkwione były w tej strasznej parze składającej się z muchy i pająka.

– O, tak – odezwał się znowu głosem wydobywającym się jakby z samych trzewi – oto jest symbol wszystkiego. Fruwa i jest radosna, niedawno się urodziła, szuka wiosny, powietrza, swobody! O tak, lecz niechaj tylko natknie się na tę sieć, przezroczystą i fatalną, a z sieci wyjdzie pająk, szkaradny pająk. Biedna tancerka! biedna mucha przez los naznaczona! Mistrzu Jakubie, cofnijcie dłoń, to przeznaczenie! O biada! Klaudiuszu, tyś jest pająkiem! Klaudiuszu tyś jest muchą zarazem. Leciałeś ku wiedzy, ku światłu, ku słońcu, dbałeś o jedno tylko, żeby wydostać się na otwarte jasne przestrzenie wiecznej prawdy; lecz rzucając się ku temu oślepijącemu okienku, które na inny świat wychodzi, na świat mądry i słoneczny, na świat nauki... O ślepa mucho! O doktorze nierozumny!... nie dostrzegłeś cieniutkiej pajęczyny rozpiętej przez los między tobą a światłem i runąłeś na nią na oślep, nieszczęsny szaleńcze, a teraz szamoczesz się z potłuczoną głową, z obłamanymi skrzydłami, ujęty przez żelazne macki przeznaczenia. Mistrzu Jakubie! Mistrzu Jakubie! Nie tykajcie pająka, niechaj spełni wyrok losu.

– Zapewniam was – rzekł Charmolue, który przyglądał mu się nie rozumiejąc nic zgoła – że go nie tknę. Ale puście, mistrzu, z łaski swojej, moje ramię! Palce macie jak obcegi.

Archidiakon nie słyszał go.

– O nierozumny! – powtórzył nie odrywając spojrzenia od okienka. – A gdyby ci się nawet udało przerwać tę groźną sieć twymi muszymi skrzydełkami, to czy sądzisz może, że osiągnąłbyś wtedy światła? Trud twój byłby daremny. Jak przedostałbyś się potem przez tę szybę, przez tę przezroczystą przeszkodę, przez tę ścianę kryształową od spizu twardszą, która wszystkie filozofie oddziela od prawdy? O marności nauki! Iluż to mędrców nadlatuje z daleka, by sobie o nią roztrzaskać czoło! Ileż systemów zagmatwanych i brzęczących głośno nadlatuje i rozbija się o tę odwieczną szybę!

Umilkł. Ostatnie słowa, które niedostrzegalnie odwróciły jego myśl od spraw własnego serca i skierowały na sprawy nauki, jakby uspokoiły go. Jakub Charmolue dopomógł mu do reszty powrócić do rzeczywistości zadając pytanie:

– Otóż to właśnie, mistrzu, kiedy przyjdiesz pomóc mi złoto robić? Bardzo mi już pilno.

Archidiakon uśmiechnął się gorzko i pokiwał głową.

– Mistrzu Jakubie, poczytajcie *Dialogus de energia et operatione daemonurm* Michała Psellosa. To, co robimy, nie jest całkiem bezgrzeszne.

– Ciszej, mistrzu! Domyślam się – rzekł Charmolue. – Ale trudno nie parać się choć trochę hermetyką, kiedy człek jest tylko prokuratorem królewskim przy biskupim sądzie za trzydzieści turskich eskudów na rok. Lecz mówmy cicho.

W tej samej chwili odgłosy chrupania i mlaskania, dobywające się spod pieca, dotarły do niespokojnego ucha Jakuba Charmolue.

– Co to? – zapytał.

Był to żak; wynudził się potężnie w swym niewygodnym ukryciu, a że znalazł jakimś trafem suchą skórkę chleba i trójkącik spleśniałego sera, zabrał się bez ceremonii do jedzenia, znajdując w tym i pociechę, i śniadanie. Że zaś był bardzo głodny, jadł głośno, hałaśliwie odgryzając każdy kęs, i to właśnie obudziło czujność i niepokój prokuratora.

– To mój kot – rzekł szybko archidiakon – raczy się pod piecem myszą.

Wyjaśnienie to całkowicie uspokoiło Jakuba Charmolue.

– To prawda, mistrzu – odpowiedział uśmiechając się z szacunkiem – każdy wielki filozof ma jakieś ulubione zwierzątko. Wiecie przecie, co mówi Serwiusz: *Nullus enim locus sine genio est.*

Wielebny Klaudiusz tymczasem, lękając się jakiejś nowej psoty Jana, przypomniał swemu szanownemu uczniowi, że mają przestudiować razem kilka figur w portalu, i obaj wyszli z celi, a żak odetchnął z ulgą, bo już poważnie zaczynał się bać, żeby mu się kształt własnej brody nie odcisnął na kolanie.

VI

ILE ZDZIAŁAĆ MOŻE SIEDEM PRZEKLEŃSTW WYMÓWIONYCH NA ULICY

– *Te Deum laudamus!* – zawołał mistrz Jan wylaząc ze swej kryjówki – poszły sobie dwa puszczyki! Och! Och! Hax! Pax! Max! Pchły, psy wściekłe, diabły! Ale zaleli mi sadła za skórę swoją rozmową! Głowa mi huczy jak dzwonnica. I spleśniały ser na dodatek! A teraz biegiem na dół, zabierzmy trzos starszego braciszka i zamieńmy tę monetę na butelki.

Z wyrazem tkliwości i uwielbienia w oku zajrzał do wnętrza drogocennego trzosa, poprawił na sobie odzienie, otarł trzewiki, otrzepał swe nieszczęsne szerokie i futrem podbite rękawy, całkiem szare od popiołu, zagwizdał jakąś skoczną melodię, zakręcił się na pięcie, rozejrzał, czy nie ma w celi jeszcze czegoś do zabrania, capnął z pieca kilka szklanych amuletów, zdalnych na ofiarowanie zamiast klejnotów Izabelce Thirreye, na koniec otworzył drzwi, które brat jego pozostawił nie zamknięte przez miłosierdzie, a które on pozostawił otwarte przez złośliwość, i zbiegł po krętych schodach, skacząc jak wróbel.

Wśród panujących tu mroków potrafił coś, co odsunęło się na bok, powarkując; domyślił się, że spotkał Quasimodo, i wydało mu się to tak śmieszne, że schodził z pozostałych stopni trzymając się za boki. Śmiał się jeszcze wybiegając na plac.

Kiedy znalazł się z powrotem na ziemi, tupnął nogą.

– O! – rzekł – bruku paryski, zacny i czcigodny! Przeklęte schody, na których anioły z jakubowej drabiny dostałyby zadyszki! Jakie lichy podkusiło mnie, żem się wpakował w ten kamienny świder, co niebo dziurawi; i po to tylko, żeby podjeść omszonego sera i obejrzeć sobie przez okienko paryskie dzwonnice.

Uszedł kilka kroków i spostrzegł oba puszczyki, czyli księdza Klaudiusza i mistrza Jakuba; oglądali uważnie jakąś rzeźbę w portalu. Przybliżył się na palcach i usłyszał, jak archidiakon mówi szeptem do Charmolue:

– To Wilhelm Paryski kazał wyryć Hioba w tym kamieniu barwy lapis-lazuli, o połączonych kantach. Hiob przedstawiać ma kamień filozoficzny, który aby stał się doskonałym, podobnie jak i on powinien być doświadczony i udręczony. *Sub conservatione formae specificae salva anima*, jak powiada Rajmund Lulle.

– Niech tam sobie! – rzekł Jan – ale sakiewkę ja mam.

W tejże chwili usłyszał, że ktoś klnie straszliwie, raz po raz, silnym i dźwięcznym głosem:

– Psia krew! Psia dusza! Psia wiara! Psia jucha! Na pępek Belzebuba! Na imię papieża! Trąby i pioruny!

– Na mą duszę! – zawołał Jan – nie może to być nikt inny, tylko mój druh kapitan Febus.

To imię „Febus” dotarło do uszu archidiakona wtedy właśnie, kiedy tłumaczył prokuratorowi znaczenie smoka z ogonem zanurzonym w naczyniu z cieczą, z której wydobywa się dym i głowa króla. Wielebny Klaudiusz zadrżał, przerwał ku wielkiemu zdumieniu Charmolue, odwrócił się i zobaczył, że koło bramy kamienicy Gondelaurier jego brat Jan wita się z jakimś dorodnym oficerem.

Był to rzeczywiście pan kapitan Febus de Châteaupers. Przystanął za węglem domu swojej narzeczonej, oparł się o ścianę i kłął jak poganin.

– Na honor, kapitanie Febusie – rzekł Jan ujmując go za rękę – przeklinacie z zadziwiającym zapalem.

– Trąby i pioruny! – odpowiedział kapitan.

– Samiście trąba i piorun – odparł żak. – Kapitanie miły, a skądże się wam bierze taka powódź najśliczniejszych słów?

– Wybacz, druhu Janie – zawołał Febus potrząsając jego dłoń rozpędzonego konia na miejscu nie osadzisz. A ja kłamię pełnym galopem. Właśnie byłem u tych cnotliwych skromniś, a kiedy stamtąd wychodzę, zawsze mam pełną gębę przekleństw; muszę je wypluć, bobym się udławił. Trąby i pioruny!

– Chcecie pójść na wino? – zapytał żak.

– Z ochotą, ale nie mam pieniędzy.

– Ale ja mam.

– Ojoj! Czyżby?

Jan z godnością i prostotą podsunął kapitanowi pod nos sakiewkę. A tymczasem archidiakon, bez pożegnania porzuciwszy osłupiałego Charmolue’a, podszedł bliżej, przystanął w odległości kilku kroków i przypatrywał się im obu, oni zaś nawet go nie spostrzegli, tak byli pochłonięci trzosem.

Febus zawołał:

– Sakiewka w waszej kieszeni, Janie, to księżyc w kuble wody! Widać go, ale go tam nie ma. To tylko odbicie. Do licha! Zakład, że w środku są kamyki.

Jan odparł chłodno:

– Otóż i macie kamyki, którymi obciążam moją kieszeń.

I nie dodając już ani słowa wytrząsnął zawartość mieszka na podmurówkę kamienicy z miną zbawiającego ojczyznę Rzymianina.

– Boże miłosierny! – mruknął Febus. – I paryskie denary, i najprawdziwsze liardy z orłem! Aż oślepie!

Jan stał godny i obojętny. Kilka liardów potoczyło się w błoto; kapitan schylił się po nie w zapale. Jan go powstrzymał.

– Fe, brzydko, kapitanie Febusie de Châteaupers.

Febus przeliczył pieniądze i rzekł zwracając się uroczyście do Jana:

– Wiecie, Janie, że jest tego dwadzieścia trzy paryskie solidy! Kogo to obskubaliście tej nocy przy ulicy Zbitej Mordy?

Jan w tył odrzucił swą jasnowłosą kędzierzawą głowę i odpowiedział, pogardliwie mrużąc oczy:

– Ano, ma się brata archidiakona i durnia.

– Do kaduka! – zawołał Febus – to godny człek!

– Chodźmy na wino! – rzekł Jan.

– Gdzie pójdziemy? – spytał Febus. – „Pod Jabłko Ewy”?:?

– Nie, kapitanie, chodźmy „Pod Gęś Magdusi”. Gęś mag dusi – to łamigłówka. Lubię łamigłówki.

– Do licha z łamigłówką, Janie! „Pod Jabłkiem Ewy” wino lepsze, a prócz tego tuż przy drzwiach rośnie na słońcu krzak wina i weselej mi pić, kiedy nań patrzę.

– Dobra, niechaj będzie Ewa i jej jabłko – rzekł żak i ujął Febusa pod ramię. – Aha, właśnie, mój kochany kapitanie, powiedzieliście tylko co: ulica Zbitej Mordy. Tak mówić nie przystoi. Przecież nie jesteście już dzikusami. Teraz mówi się: ulica Poderżniętego Gardziołka.

I dwaj przyjaciele ruszyli ku „Jabłku Ewy”. Chyba nie trzeba dodawać, że pozbiali przedtem pieniądze i że archidiakon poszedł za nimi.

Archidiakon szedł za nimi, ponury i niespokojny. Czy był to ten sam Febus, którego przekłete imię wplątywało się w każdą jego myśl od czasu rozmowy z Gringoire’em? Nie wiedział, ale przecież był to wreszcie jakiś Febus, i taka była siła tego czarodziejskiego słowa, że archidiakon kocim krokiem szedł za parą beztroskich kompanów podsłuchując, co mówią, śledząc każdy ich ruch z uważną trwogą. Zresztą nie było nic łatwiejszego niż usłyszeć, co mówili, bo rozmawiali głośno, wcale się tym nie krępując, że wszystkich przechodniów wtajemniczają po trosze w swe sekrety. Rozmawiali o pojedynkach, dziewczynach, dzbanach i hulankach.

Na rogu jednej z ulic doszedł ich z niedalekiego placu głos baskijskiego bębenka. Ksiądz Klaudiusz usłyszał, że oficer mówi do żaka:

– Do pioruna! Chodźmy prędzej!

– Czemuż to, Febusie?

– Boję się, żeby mnie Cyganka nie zobaczyła.

– Jaka znów Cyganka? Ta mała z kozą.

– Esmeralda?

– Właśnie ona, Janie. Nie mogę spamiętać tego diabelskiego imienia. Chodźmy prędzej, bo jeszcze mnie pozna. Nie chcę, żeby mnie ta dziewczka zaczepiała na ulicy.

– Więc ją znacie, Febusie?

Archidiakon zobaczył, że Febus uśmiechnął się pyszałkowato, pochylił się do ucha Jana i coś mu szepnął. Po czym parsknął śmiechem i zuchwale wstrząsnął głową.

– Naprawdę? – rzekł Jan.

– Na mą duszę! – odparł Febus.

– Dziś wieczór?

– Dziś wieczór.

– I przekonani jesteście, że przyjdzie?

– Czyście, Janie, rozum postradali? Czy w tych sprawach można wątpić?

– Kapitanie Febusie, szczęśliwy z was żołnierz.

Archidiakon słyszał całą tę rozmowę. Żeby mu zaszczeły. Drżenie widoczne oczom wstrząsnęło ciałem. Zatrzymał się na chwilę, oparł o róg domu jak człowiek pijany i znów ruszył śladem dwu wesołych hulaków.

Kiedy się do nich przybliżył, rozmawiali już o czym innym. Usłyszał, że śpiewają na całe gardło starą piosenkę:

Oj, ta wiara ukochana,
Oj, wiarusy niebożęta,
Jak rycerze doją z dzbana,
Dają gardła jak cielęta.

VII

MNICH-WIDMO

Słynna karczma „Pod Jabłkiem Ewy” znajdowała się w Uniwersytecie, na rogu ulic Tarczowej i Dziekańskiej. Była to parterowa izba, dość obszerna i bardzo niska, sklepienie jej podpierał w samym środku gruby drewniany słup, pomalowany na żółto; gęsto ustawione stoły, lśniące cynowe konwie porozwieszane na ścianach, pijących zawsze ciżba wielka, dziewczek całe krocie, wąskie okienko od ulicy, koło drzwi krzak wina, a nad drzwiami jaskrawa wywieszka blaszana z wymalowanym na niej jabłkiem i niewiastą, zardzewiała od deszczów i obracana wiatrem na żelaznej żerdzi. Ta niby chorągiewka, zwrócona w stronę bruku, była szyldem karczmy.

Zmierzch zapadał; ulice były już ciemne; karczma, licznymi świecami oświetlona, gorzała z daleka niby kuźnia w ciemnościach. Słysząc było stuk szklanek i pijackie wrzaski; przekleństwa i klótnie wydostawały się na zewnątrz przez wytłuczone szyby. Poprzez parę, co osiadła na oszklonym oknie ogrzanej sali, widać było z setką chyba niewyraźnych postaci, od czasu do czasu rozlegał się czyjś głośny śmiech. Przechodnie spieszący do swoich zajęć przechodzili mimo, nie zwracając uwagi na to rojne i gwarne okno. Czasami tylko jakiś mały obdartus wspinał się na palcach aż ponad parapet i ciskał do wnętrza karczmy stare szydercze zawołanie, którym prześladowano wówczas pijaków: „Na dzwonnice pijanicę!”

Jeden tylko człowiek przechadzał się niewzruszenie przed gwarną gospodą, mając ją ciągle na oku, i oddalał się tylko tyle, ile wartownik oddala się od swej budki. Zakutany był w opończę aż po oczy. Opończę tę nabył przed chwilą u handlarza starzyzną, którego kram sąsiadował z „Jabłkiem Ewy” – po to niewątpliwie, by zabezpieczyć się przed chłodem marcowych wieczorów, a i po to może, by ukryć swój strój. Co pewien czas przystawał przed zamglonym oknem złożonym z małych szybek w oprawie z łożu, nasłuchiwał, zaglądał i tupał nogą.

Drzwi karczmy otworzyły się wreszcie. Widocznie na to czekał. Wyszło z niej dwu pijanych. Światło padające przez otwarte drzwi oświetliło na chwilę swym czerwonym blaskiem ich rozweselone twarze. Człowiek w opończy przemknął na drugą stronę ulicy, skrył się pod portykiem i stamtąd ich obserwował.

– Trąby i pioruny! – rzekł jeden z kompanów. – Zaraz wybije siódma! To pora mojej schadzki.

– Powiadam wam – ciągnął swoje jego towarzysz, a język plątał mu się nieco – że nie mieszkam przy ulicy Złych Snów, *indignus qui inter mala verba habitat*. Mam kwatere przy ulicy Jana Pain-Mollet, in vico Johannis-Pain-Mollet. Bardziej rogaci jesteście od jednorożca, jeżeli utrzymujecie co innego. Każdemu wiadomo, że kto raz przejedzie się na niedźwiedziu, ten się już niczego nie boi; ale wy macie nos łasucha jak święty Jakub Szpitalnik.

– Janie, druhu mój, pijaniuteńcyście! – mówił tamten drugi.

A Jan zataczając się odpowiedział:

– Gadaj sobie, co chcesz, Febusie, a przecie wiadomo, że Platon miał nos gończego psa.

Czytelnik poznał już zapewne naszych dwóch chwackich przyjaciół, kapitana i żaka. Zdaje się, że człowiek czatujący w mroku także ich poznał, gdyż poszedł wolno, krok w krok, za nimi, opisując wszystkie ukosy, w które pijany żak pociągał kapitana, bo ten, pijak bardziej wytrawny, całkowicie panował nad sobą. Człowiek w opończy przysłuchując się pilnie zdołał podchwycić w

całości ich rozmowę, jakże ciekawą.

– Do kroćset diabłów, postarajże się chodzić prosto, imć bakałarzu, wiecie przecież, że muszę się z wami pożegnać. Siódma zaraz wybije. Mam schadzkę z niewiastą.

– A wy mnie zostawcie. Widzę gwiazdy i dzidy ogniste. Wy jesteście jak zamek Dampmartin, który pęka ze śmiechu.

– Na brodawki mojej babci, Janie, nazbyt uporczywie gadacie od rzeczy. Aha, właśnie, czy wam już nic pieniędzy nie zostało?

– Imć panie rektorze, tu nie ma błędu, mała rzeźnia, *parva boucheria*.

– Janie, zacny przyjacielu Janie, wiecie, że naznaczyłem schadzkę tej dziewczusce przy moście Św. Michała i że ją zaprowadzić mogę tylko do Falurdelichy, tej rajfurki, i że jej trzeba będzie za izbę zapłacić. Stara stręczycielka z siwym wąsem nie skredytuje mi. Janie, na litość boską, czyżbyśmy przepili cały trzos księżulka? Czy wam nie zostało już ani grosika?

– Świadomość, żeś z pożytkiem czas zużył, jest zdrową i smakowitą każdej uczy przyprawą.

– A bodaj ci kiszki skręciło! Dość tych bredni! Gadajcie, Janie diabelski, czy zostało wam co pieniędzy? Gadaj, diable nasienie, albo cię obszukam sam, choćbyś był trędowaty jak Hiob i parszywy jak Cezar!

– Panie, ulica Galiache to ulica, która zaczyna się od ulicy Szklarskiej, a kończy się na ulicy Tkackiej.

– Tak, tak, dobrze, mój kochany przyjacielu, mój najlepszy druhu, ulica Galiache, to ładnie, to ślicznie! Ale na miłość boską, oprzytomnij! Potrzeba mi niewiele, jeden grosik, i to zaraz, bo na siódmą.

– Uciszcie się wszyscy wkoło i posłuchajcie piosenki:

Niech no ród szcurzy tu się rozmnoży,
Wnet się królowi Arras ukorzy;
Wnet także morze, które tam wyje,
Lodem na święty Jan się pokryje.
Wtedy mieszkańcy Arras po lodzie
Przejdą rzucając gród i podgrodzie.

– O ty uczniu Antychrysta, ażebyś się był udławił flakami własnej matki! – zawołał Febus i odepchnął szorstko pijanego żaka, który osunął się po ścianie domu i miękko upadł na bruk Filipa Augusta. Kierowany resztką tej braterskiej litości, która nigdy nie opuszcza pijackiego serca, Febus popchnął nogą Jana na jedno z tych posłań nędzarzy, które ręka Opatrzności przygotowała u krawężników wszystkich ulic Paryża, a które bogaci bezczeszczą pogardliwym imieniem „kupy śmieci”. Kapitan ułożył głowę Jana na głąbach kapusty i żak natychmiast zachrapał potężnym, niskim barytonem. Resztką urazy tliła jednak jeszcze w sercu kapitana. – A niech cię uprzątnie śmieciarski wóz! – mruknął na dobranoc nieszczęsnemu żakowi i odszedł.

Człowiek w opończy, który ciągle szedł za nim, przystanął na chwilę koło leżącego żaka, jakby szarpnęło nim jakieś niezdecydowanie; wreszcie westchnął głęboko i również odszedł śladem kapitana.

My zaś, podobnie jak oni, zostawimy uśpionego Jana pod dobrotliwym okiem gwiazd i jeśli czytelnik się zgodzi, również pójdziemy za nimi.

Wchodząc w ulicę Św. Andrzeja pod Łukami kapitan Febus spostrzegł, że ktoś za nim idzie. Obejrawszy się przypadkiem, zobaczył jakiś cień pełznący jego śladem wzdłuż ścian. Zatrzymał się, cień zatrzymał się także; ruszył przed siebie, cień także ruszył przed siebie. Nie zaniepokoił tym się zbyt.

„Co mi tam! – rzekł sobie. – Nie mam ani grosza.”

Przed fasadą kolegium Autun przystanął. W tym kolegium właśnie liznął niegdyś tego, co

zwykł był nazywać swoją edukacją; pewien przekorny szkolarski obyczaj pozostał mu z tamtych czasów na zawsze i ilekroć przechodził koło tej fasady, zawsze wyrządzał figurze kardynała Piotra Bertrand, wyrzeźbionej po prawej stronie portalu, zniewagę taką właśnie, na jaką skarży się, jakże gorzko, Priap w satyrze Horacego: *Olim truncus eram ficulnus*. A czynił to tak zajadle, że inskrypcja *Eduensis episcopus* została nieomal zatarta. I teraz, jak zwykle, zatrzymał się przed figurą. Ulica była zupełnie pusta. Kiedy niedbale zawiązywał sznurówkę, zagapiony gdzieś w górę, zobaczył cień, który zbliżał się doń powoli, lak powoli, że miał dość czasu, by spostrzec, iż ten cień ubrany był w opończę i kapelusz. Cień, zbliżywszy się doń, zatrzymał się i stał, bardziej jeszcze nieruchomy od figury kardynała Bertranda. I tylko uporczywie wpatrywał się w Febusa parą oczu pełnych tego dziwnego blasku, jaki wydziela się nocą z kocich źrenic.

Kapitan był odważny i lekce sobie ważył łotra mając pałasz w garści. Ale ten chodzący posąg, ten w głąz obrócony człowiek sprawił, że przejął go chłód. Krążyły wówczas między ludem głuche wieści o widmie mnicha błakającym się nocami po ulicach Paryża; wszystko to mu się przypomniało. Stał przez kilka minut jak porażony, wreszcie przerwał milczenie usiłując się roześmiać:

– Panie, jeżeli, jak się spodziewam, złodziejem jesteście, nad podziw przypominacie mi czapłę rzucającą się na skorupkę orzecha. Jestem synem podupadłego rodu, mój miły. Zwróćcie się o tu, obok. W kaplicy tego kolegium mają drzewo prawdziwego krzyża w srebro oprawione.

Spod opończy wyłoniła się ręka cienia i spadła na ramię Febusa z siłą orlich szponów. W tej samej chwili cień przemówił:

– Kapitanie Febusie de Châteaupers.

– Co, u licha? – rzekł Febus. – Znacie imię moje.

– Znam nie tylko imię wasze – mówił dalej człowiek w opończy swym grobowym głosem. – Macie schadzki tego wieczora.

– Mam – odpowiedział zdumiony Febus.

– O godzinie siódmej.

– Za kwadrans.

– U Falurdelichy.

– Tam właśnie.

– U rajfury z mostu Św. Michała.

– Świętego Michała Archanioła, jak się to odmawia w litanii.

– Bezbożny! – mruknięło widmo. – Z niewiastą?

– *Confiteor*.

– Której jest na imię...

– Esmeralda – rzekł beztrąsko Febus. Odzyskał już stopniowo swą zwykłą fantazję.

Na dźwięk tego imienia szpony widma potrząsnęły wściekle ramieniem Febusa.

– Kapitanie Febusie de Châteaupers, kłamiesz!

Kto ujrzeć mógłby w tej chwili rozplomioną twarz kapitana, skok w tył, jaki uczynił, tak gwałtowny, że oswobodził się od ściskających go kleszczy, dumny gest, z jakim dłonią uchwycił rękę swego szpada, i posepną postać człowieka w opończy, nieporuszoną w obliczu tej furii – kto by ujrzał to, przeraziłby się. I rzekłby, że to walka don Juana z posągiem komandora.

– Jezusie i szatanie! – wrzasnął kapitan. – Takie słowo nieczęsto dociera do ucha Châteaupersa! Nie odważysz się go powtórzyć!

– Kłamiesz! – rzekł spokojnie cień.

Kapitan zgrzytnął zębami. Widmo mnicha, duchy, zabobony – o wszystkim zapomniał w tej chwili. Widział tylko człowieka, tylko zniewagę.

– Tak?... pięknie! – wybełkotał głosem dławionym wściekłością. Wyciągnął pałasz z pochwy i

zaczął wołać rwąc wyrazy, bo z gniewu człowiek drży jak ze strachu: – Tu! Sam tu bywaj! Do pałasza! Do pałasza! Krwi mi trzeba, tu, na tym bruku!

Tamten nie poruszał się. A kiedy ujrzał, że przeciwnik gotów jest natrzeć nań z gołą szpadą, rzekł z akcentem goryczy:

– Kapitanie Febusie, zapominacie o schadzce.

Uniesienia takich ludzi jak Febus – to mleczna zupa: dość jest jednej kropli zimnej wody, by przestała kipieć. Pod działaniem tych prostych słów pałasz połyskujący w dłoni kapitana opadł w dół.

– Kapitanie – mówił dalej nieznajomy – jutro, pojutrze, za miesiąc, za dziesięć lat, zawsze odnajdziesz mnie i w każdej chwili będę gotów poderznąć ci gardło, ale idź najpierw na schadzkę.

– W samej rzeczy – rzekł Febus jakby z samym sobą paktując – najmilsze to spotkania: z szablą i z dziewczyną; po cóż więc miałbym się jednej dla drugiej wyrzekać, jeśli obie mogę mieć.

Wsunął szpadę do pochwy.

– Idź na schadzkę – powtórzył nieznajomy.

– Panie – odparł Febus jakby zafrasowany nieco – dziękuję wam za waszą grzeczność. Rzeczywiście, i jutro zdążymy poprzecinać sobie dziurki w kaftanie praojca Adama. Wielce sobie cenię, że mi zezwolicie spędzić tę lubą godzinę. Spodziewam się, że zwałę was w rynsztok i zdążę na porę do mej miłej, tym bardziej że należy do dobrego tonu dać na siebie nieco czekać niewieście. Ale wyglądacie mi na zucha i przezorniej będzie przełożyć spotkanie na jutro. A więc ruszam na moją schadzkę. O siódmej, jak wiecie. – Tu Febus poskrobał się za uchem. – Oj, czarcie różki! Zapomniałem! Nie mam czym zapłacić za izdebkę, a stara jędza z góry zażąda należności. Nie ufa mi.

– Macie tu na zapłatę.

Febus uczuł, że zimna dłoń nieznajomego wsuwa mu w rękę duży pieniądz. Nie umiał się powstrzymać od przyjęcia tego pieniądza i uściśnięcia tej dłoni.

– Jak Boga kocham! – zawołał – pocziwy z was człek!

– Jeden warunek – rzekł nieznajomy – dowiedźcie mi, żem nie miał racji, żeście wy prawdę rzekli. Ukryjcie mnie gdzie w kąciku, skąd mógłbym zobaczyć, że niewiasta jest rzeczywiście tą, której imię padło z waszych ust.

– O! – odparł Febus – z miłą chęcią. Najmiemy izdebkę Świętej Marty, będziecie mogli przypatrywać się do woli z ciemnej nory, która jest tam obok.

– Chodźcie więc! – rzekł cień.

– Sługa waszmości – rzekł kapitan. – Nie wiem, może jesteście wielmożnym Lucyferem we własnej osobie, ale przez ten jeden wieczór bądźmy przyjaciółmi, jutro spłacę wam wszystkie długi: i sakiewką, i szablą.

Poszli szybkim krokiem. Po kilku minutach szum rzeki dał im znać, że są na moście Św. Michała, obudowanym wówczas domami.

– Najpierw was wprowadzę – odezwał się Febus do swego towarzysza. – Później pójde po moją lubą, która czeka na mnie koło Małego Châtelet.

Towarzysz nic nie odpowiedział; odkąd szli obok siebie, nie wymówił ani słowa. Febus zatrzymał się przed niskimi drzwiami i mocno zakołatał, w szparach drzwi ukazało się światło.

– Kto tam? – zawołał bezzębny głos.

– Psia krew! Psia jucha! Psia wiara! – odpowiedział kapitan.

Drzwi się natychmiast otworzyły i przybywający ujrzeli starą kobietę ze starą lampą w rękę, obie drżące. Starucha była zgięta wpół, odziana w łachmany, głowa jej, obwiązana szmatą,

trzęsła się, oczy w pomarszczonej twarzy wyglądały jak dwie dziureczki, szyja i ręce też były pomarszczone; wargi zapadły się na bezzębnych dziąsłach, a dookoła ust rosły kępki białe wasy upodabniające je do kociej mordki. Wnętrze jej nędznego domku zniszczone było tak jak i ona. Kredą pobielone ściany, czarne belki na pułapie, rozwalony komin, pajęczyny we wszystkich kątach, na środku chwiejące się stoły i kulawe stołki, brudny dzieciak w popiele, w głębi schody, a raczej drabina prowadząca do otworu z klapą w suficie. Wchodząc do tej nory tajemniczy towarzysz Febusa owinał się w opończę aż po same oczy. Kapitan zaś, klnąc jak muzułmanin, skwapliwie zaświecił „blaskiem słońca odbitym w talarze”, jak powiada nasz nieporównany Régnier.

– Izbę Świętej Marty! – rzekł.

Starucha nazwała go jaśnie panem, a talara schowała do szuflady. Był to pieniądz, który dał Febusowi człowiek w opończy. Kiedy się stara odwróciła, rozczochrany i obdarty chłopiec, który grzebał w popiele, przysunął się zwinnie do szuflady, zabrał talara, a na jego miejsce wsunął zeschnięte liście zerwane z wiązki chrustu.

Staruszka kiwnęła na „jaśnie panów”, jak ich zwała, żeby szli za nią, i pierwsza wlaźła po drabinie na górę. Wszedłszy na pięterko postawiła lampę na skrzyni, Febus zaś, który był tu jak u siebie, otworzył drzwi jakiegoś ciemnego zakamarka.

– Wejdźcie, moi mili! – rzekł do towarzysza.

Człowiek w opończy usłuchał, nie odezwawszy się ani słowem. Drzwi zamknęły się za nim. Usłyszał, że Febus zasuwa je na rygiel i że oboje ze staruchą schodzą na dół po drabinie. Światło znikło.

VIII

O UŻYTECZNOŚCI OKIEN WYCHODZĄCYCH NA RZEKĘ

Klaudiusz Frolo (przypuszczamy bowiem, że czytelnik, bardziej przenikliwy niż Febus, poznał archidiakona w tej przygodzie z widmem mnicha), Klaudiusz Frolo zaczął poruszać się po omacku w ciemnej ciupce, w której zamknął go kapitan. Był to niewielki stryszek, wydzielony przez budowniczego w tym miejscu, w którym dach dotyka do muru. Pionowy przekrój tej nory, jak ją trafnie nazwał Febus, miał kształt trójkąta. Nie było tu żadnego okienka, a pochyłość dachu nie pozwalała wyprostować się. Klaudiusz przysiadł wśród kurzu i grudek zeschniętego gipsu miażdżąc je swoim ciężarem. Głowa mu płonęła, poszukał rękami dookoła i znalazł na ziemi kawałek stłuczonej szyby; przyłożył go do czoła i zimne dotknięcie szkła ulżyło mu nieco.

Co się działo w tej chwili w mrocznej duszy archidiakona? On sam i Bóg tylko wiedzieć to mogli.

W jakim fatalnym porządku uszeregował w świadomości Esmeraldę, Febusa, Jakuba Charmolue, młodszego brata, tak ukochanego, a porzuconego w błocie na ulicy, i swoją sutannę archidiakona i, być może, swoje dobre imię narażone na szwank w podejrzanym speluncie Falurdelichy, te wszystkie obrazy, te wszystkie zdarzenia? Nie mógłbym tego powiedzieć. Ale jedno jest pewne: wszystkie te myśli układały się w jego mózgu w potworny kształt.

Czekał już piętnaście minut; zdawało mu się, że się postarzał o cały wiek. Nagle zaskrzypiały drewniane stopnie schodów. Ktoś wchodził. Kłapa podniosła się, pokazało się światło. W

spróchniałych drzwiach przygórka była szpara dość szeroka. Przyłgął do niej twarzą. Mógł teraz widzieć wszystko, co się dzieje w sąsiedniej izbie. Najpierw wyłoniła się z otworu starucha z kocią mordką, z lampą w rękę; potem Febus podkręcając węża, potem trzecia postać: piękna i urocza Esmeralda. Ksiądz ujrzał, jak wyszła spod podłogi niby cudowna zjawia. Klaudiusz zatrzęsł się, ciemny obłok przysłonił mu oczy, krew uderzyła do głowy, zaszumiało i zakręciło się wszystko dokoła. Nic już nie widział, nic nie słyszał.

Kiedy odzyskał przytomność, Febus i Esmeralda byli sami, siedzieli na drewnianej skrzyni tuż obok lampy, która ukazywała oczom archidiakona ich młode twarze i nędzne wyrko w głębi izdebki.

Przy wyrku było okno, a przez jego małe szybki, w wielu miejscach wytłuczone – jak przez zerwane oczka pajęczyny, którą pokropił deszcz – widać było kawałek nieba i księżyc leżący w dali na piernacie z mięciutkich obłoków.

Dziewczyna była zarumieniona, onieśmielona i drżąca. Jej długie, spuszczone rzęsy rzucały cień na purpurowe policzki. Oficer, na którego nie odważyła się podnieść oczu, promieniał. Machinalnie, ruchem wdzięcznym i wzruszająco niezgrabnym rysowała końcem palca po wieku skrzyni jakieś bezsensowne linie i wpatrywała się w swój palec. Stóp jej nie było widać, bo się na nich ułożyła kózka.

Kapitan przystroił się wielce wytwornie; u kołnierza i u mankietów miał pęki tasiemek złotą nitką przetykanych, co w owych czasach było szczytem elegancji.

Ksiądz Klaudiusz poprzez szum krwi pulsującej w skroniach usiłował, nie bez trudu, usłyszeć, o czym rozmawiali.

Rozmowa zakochanych to rzecz dość banalna. To nieustanne „kocham cię”. Fraza muzyczna bardzo uboga i bardzo nudna dla obojętnych słuchaczy, jeśli nie jest przystrojona jakimś „ozdobnikiem”. Lecz Klaudiusz nie był obojętnym słuchaczem.

– O – mówiła dziewczyna nie podnosząc oczu – nie gardźcie mną, wielmożny panie Febusie. Czuję, że robię źle.

– Gardzić tobą, piękne dziecię! – odparł oficer z nader wytworną galanterią. – Gardzić tobą!... A za co, na Boga żywego?

– Za to, że poszłam z wami.

– W tym względzie nie zgodzimy się ze sobą, moja ty ślicznotko! Nie powinienem gardzić tobą, ale nienawidzić ciebie.

Dziewczyna spojrzała nań z lękiem:

– Nienawidzić mnie? A cóżem uczyniła?

– Boś mi się kazała tak długo prosić.

– O, ja biedna! – rzekła. – Ja przecież ślub łamię... Nie odnajdę rodziców... amulet straci swoją moc. Ale co tam! Na co mi teraz ojciec i matka?

Tak mówiąc wlepiła w kapitana swoje duże czarne oczy, wilgotne od szczęścia i czułości.

– Niech mnie diabli porwą, jeśli cię rozumiem! – zawołał Febus.

Esmeralda milczała chwilę, wreszcie łzy ukazały się w jej oczach, westchnęła i rzekła:

– Ja was kocham, wielmożny panie.

Dokoła tej dziewczyny unosił się jakiś zapach czystości, jakiś urok cnoty, tak wielki, że Febus czuł się przy niej trochę skrępowany. Te słowa przywróciły mu swobodę.

– Kochasz mnie! – rzekł z uniesieniem i objął ramieniem kibić Cyganki. Przecież tylko czekał na tę sposobność.

Ksiądz ujrzał to i końcem palca spróbował ostrza sztyletu, który trzymał w ukryciu na piersi.

– Febusie – mówiła Cyganka, łagodnie odsuwając natarczywe ręce kapitana – jesteś dobry, jesteś szlachetny, jesteś piękny. Ocaliłeś mnie, mnie, biedne podrzucone dziecko cygańskie. Od

dawna już snię o rycerzu, który by mi uratował życie. To o tobie śniłam, Febusie, zanim cię jeszcze znałam. Mój sen miał piękny mundur... jak ty, i okazała postać, i pałasz. Nazywałeś się Febus, to piękne imię. Kocham twoje imię, kocham twoją szpadę... Wyjmij ją z pochwy, Febusie, chciałabym ją obejrzeć.

– Dziecko! – rzekł kapitan i uśmiechający się wydobył z pochwy swój płaszcz.

Cyganka oglądała rękojeść, klingę, z cudowną ciekawością przypatrywała się wyrytym na gardzie literom i ucałowała szpadę mówiąc do niej:

– Jesteś szpadą dzielnego rycerza. Kocham mego kapitana.

Febus znów skorzystał z okazji, aby złożyć na jej pięknej, pochylonej szyi pocałunek, od którego dziewczyna wyprostowała się, czerwona jak wiśnia. A ksiądz w swojej ciemnicy zazgrzytał zębami.

– Febusie – znów odezwała się Cyganka – pozwól mi mówić. Przejdź się po izbie, niech się przypatrzę twej postaci, niech usłyszę, jak dzwonią twoje ostrogi. Jakiś ty piękny!

Kapitan wstał, żeby jej dogodzić.

– Dzieciak z ciebie! – łajał ją z uśmiechem zadowolenia. – A czy widziałas mnie, ślicznotko, w paradnym kaftanie?

– Nie, niestety! – odparła.

– Bo w nim dopiero pięknie się prezentuję.

Febus znów usiadł przy niej, dużo bliżej tym razem.

– Posłuchaj, kochanie...

Cyganka lekko uderzyła go po ustach swoją śliczną ręką, dziecinnie, wesoło i zalotnie.

– Nie, nie, nie posłucham! Czy mnie kochasz? Chcę, żebyś powiedział, czy mnie kochasz.

– Czy ja cię kocham, aniele mego życia! – zawołał kapitan klękając przed nią na jedno kolano.

– Ciało moje, krew moja, dusza moja, wszystko jest twoje, wszystko jest dla ciebie! Kocham cię i żadnej innej nigdy jeszcze nie kochałem.

Kapitan tylokrotnie już powtarzał to zdanie w jakże licznych i jakże podobnych okazjach, że wymówił je jednym tchem, bez zająknięcia. Po tym namiętnym wyznaniu Cyganka wzniosła ku brudnemu pułapowi, który zastępował tu niebo, spojrzenie pełne anielskiego szczęścia.

– O! – szepnęła – w takiej chwili powinno się umierać!

Febus uznał, że „chwila” jest znakomita, żeby jej skraść nowego całusa, czym zadał nową torturę nieszczęsnemu archidiakonowi w komórcie.

– Umierać! – zawołał zakochany kapitan. – Co też ty mówisz, piękny aniele? W takiej chwili żyć trzeba albo też Jowisz jest zwykłym hultajem! Umierać na początku takiej słodkiej rzeczy! Na rogi bawole, to dopiero krotchwila! O, nie! Posłuchaj mnie, moja droga Similar... Esmeraldo... Wybacz, ale masz tak cudacznie saraceńskie imię, że mi się język poplątał. Niby gąszcz, przez który się przedrzeć nie mogę.

– Mój Boże – rzekła biedna dziewczyna – a ja myślałam, że to imię jest ładne, bo niezwykajne. Ale jeżeli ci się nie podoba, mogę się nazywać choćby Magda.

– No, nie ma o co płakać, ślicznotko! Trzeba się tylko przyzwyczaić do tego imienia. Skoro raz się go nauczę na pamięć, dalej pójdzie jak z płatka. Posłuchaj więc, moja droga Similar, ubóstwiam cię namiętnie. Tak cię kocham, że to cud prawdziwy! Znam dziewczkę, która pęka ze złości, właśnie dlatego...

– Kto to? – przerwała mu zazdrośnie dziewczyna.

– Czy nam nie wszystko jedno? – odparł Febus. – Kochasz mnie?

– O!... – odpowiedziała.

– No widzisz! Cóż więc potrzeba? Zobaczysz, jak ja ciebie kocham. Niech mnie wielki diabeł Neptunus nadzieje na widły, jeśli cię nie uczynię najszcześniejszym stworzeniem na świecie.

Znajdziemy sobie gdzieś śliczne mieszkanie. A moim łucznikom rozkażę paradować pod twymi oknami. Wszyscy są na koniach, na urągowisko łucznikom kapitana Mignon. Mają kopie, toporki ręczne i kusze. Zaprowadzę cię do szopy w Rully na przegląd cechowych oddziałów zbrojnych. Wspaniale, zobaczysz. Osiemdziesiąt tysięcy zbrojnych; trzydzieści tysięcy uprzęży, kolczug i pancerzy. Sześćdziesiąt siedem chorągwi cechowych, chorągwie sądu najwyższego, izby obrachunkowej, skarbcza, mennicy; orszak iście diabelski! Zaprowadzę cię do lwów w Królewskim Pałacu, które są dzikimi zwierzętami. Wszystkie kobiety lubią takie rzeczy.

Już od kilku chwil dziewczyna, we własnych rozkosznych myślach zatopiona, nie rozumiała znaczenia słów, rozmarzona dźwiękiem jego głosu.

– Tak, będziesz szczęśliwa – mówił kapitan i jednocześnie powolutku rozwiązywał jej pasek.

– Co robisz! – zawołała Cyganka. Zbudziło ją z rozmarzenia to przejście od słów do czynów.

– Nie! – odparł Febus. – Mówiłem tylko, że trzeba ci będzie rozstać się z tym dziwnym jarmarcznym strojem, kiedy będziesz ze mną.

– Kiedy będę z tobą, mój Febusie! – rzekła tkliwie dziewczyna.

Znów umilkła i zamyśliła się.

Kapitan, ośmielony uległością Cyganki, objął ją wpół, a ponieważ się nie opierała, zaczął delikatnie rozsznurowywać jej stanik i tak szeroko rozsunął falbankę u szyi, że ksiądz, dysząc ciężko, ujrzał, jak spośród cienkiej gazy wylania się piękne, nagie ramię dziewczyny, okrągłe i śniade, niby księżyc wstający z mgieł na widnokręgu.

Dziewczyna nie bronila się Febusowi. Jakby nie spostrzegła, co czyni. Oko dziarskiego kapitana zapalało.

Nagle odwróciła się ku niemu.

– Febusie – rzekła z wyrazem bezgranicznej miłości – naucz mnie twojej wiary!

– Mojej wiary! – zawołał kapitan parszcząc śmiechem. – Ja cię mam nauczyć mojej wiary! Trąby i pioruny! A na co ci moja wiara?

– Żebym cię mogła poślubić – odpowiedziała.

Twarz kapitana wyrażała jednocześnie zdumienie, pogardę, beztróskę i pożądanie.

– E tam! A na co nam ślub? – rzekł.

Cyganka zbladła i smutnie spuściła głowę na piersi.

– Moja ty ślicznotko – zaczął czule Febus – cóż to za szalone pomysły? Wielka mi rzecz ślub! Czyżby ludzie mieli się mniej kochać dlatego, że nie splunęli po łacinie w kleszowym kramie?

A przemawiając tak swym najtkliwszym głosem przysunął się, jak mógł, najbliżej, jego ręce znów objęły stanowisko wokół jej kibici, tak smukłej i tak giętkiej, oko jego rozplómięło się coraz bardziej i wszystko zwiastowało, że imć Febus zbliża się najwidoczniej do jednej z tych chwil, w których sam Jowisz tyle robi głupstw, że dobry Homer wzywać musi chmurę na ratunek boga.

Wielebny Klaudiusz jednakże widział wszystko. Pomiedzy całkiem już przegniłymi tarcicami, z których były zbite drzwi, potworzyły się szpary dla jego spojrzeń drapieżnego ptaka. Ten ksiądz o śniadej skórze i szerokich barach, skazany do tej pory na surowy celibat klasztoru, drżał i wrzał patrząc na tę scenę miłosną, nocną i namiętną. Widok tej młodej i pięknej dziewczyny w rozpiętej sukni, bezwolnej w ramionach roznamiętnionego młodzieńca, wlewał mu w żyły roztopiony ółow. Działy się z nim jakieś niezwykle rzeczy. Jego spojrzenie zazdrośnie i lubieżnie zanurzało się pod te porozpinane haftki. Kto by zobaczył w tej chwili przylepioną do zmurszałych bali twarz nieszczęśnika, pomyślałby, że jest to pysk tygrysa patrzącego z głębi klatki na szakala rozszarpującego gazelę. Żrenica archidiakona paliła się jak świeczka w szczelinie drzwi.

Nagle Febus szybkim ruchem zerwał stanik Cyganki. Biedna dziewczyna, aż do tej chwili

blada i rozmarzona, jakby się nagle obudziła. Odsunęła się gwałtownie od przedsiębiorczego oficera, spojrzała na swe obnażone piersi i ramiona i zarumieniona, zmieszana, niema ze wstydu, skrzyżowała piękne ramiona na swym łonie, by je zakryć. Gdyby nie płomień, który rozpałił jej policzki, rzekłbyś, że to posąg Wstydlivości, tak milcząca była i nieruchoma. Powieki miała spuszczone.

Nagły ruch kapitana odsłonił również tajemniczy amulet, który nosiła na szyi.

– Co to jest? – zapytał chwytając się tego pozoru, żeby przysunąć się do pięknego stworzenia, które spłoszył.

– Nie dotykaj! – odpowiedziała – on mnie ochrania. On mi pozwoli odnaleźć rodzinę, jeżeli będę tego godna. O, puśćcie mnie, panie kapitanie. Matko. Moja biedna matko! Matko moja! Gdzie jesteś? Ratuj! Ulituj się, panie Febusie, oddaj mi mój stanik!

Febus odsunął się i rzekł chłodno:

– O panienko, wcale mnie nie kochasz, jak widzę.

– Ja go nie kocham! – zawołała nieszczęśliwa dziewczeczka i rzuciła się kapitanowi na szyję, i znów usiedli tuż obok siebie. – Ja cię nie kocham, mój Febusie! Niedobry, czy po to tak mówisz, żeby mi serce rozkrwawić? Dobrze! Weź mnie! Weź wszystko! Uczyń ze mną, co zechcesz! Jestem twoja! Co mi amulet, co mi matka! Ty jesteś matką dla mnie, bo ciebie kocham! Febusie, mój Febusie ukochany, czy mnie widzisz? To ja, spójrz na mnie! To ta dziewczyna, której raczyłeś nie odepchnąć, która sama przysłała do ciebie! Moja dusza, moje życie, moje ciało – ja cała jestem twoją własnością, mój kapitanie. Nie, nie weźmiemy ślubu, nie masz na to chęci. A wreszcie, kimże ja jestem? Nędzną dziewczyną z rynsztoka – a ty, mój Febusie, ty jesteś szlachcicem. To śmieszne, naprawdę! Tancerka żoną oficera!... zwariowałam. Nie, Febusie, nie, będę twoją kochanką, twoją zabawką, twoją rozrywką, kiedy zechcesz, dziewczyną, która należy do ciebie. Na to zostałam stworzona. Pogardzana, zhańbiona, lecz cóż z tego, jeżeli kochana! Będę najdumniejszą i najszczęśliwszą ze wszystkich kobiet. A kiedy będę już stara i brzydka, Febusie, kiedy już nie będę godna kochać ciebie, panie mój, to ścierpisz przecież, bym ci usługiwała. Inne ci będą szarfy haftowały. A ja, służąca, będę o nie mieć staranie. Pozwolisz mi czyścić twoje ostrogi i kaftan, wycierać z kurzu twoje buty. Prawda, Febusie? Ulitujesz się nade mną? A tymczasem weź mnie, weź, Febusie... to wszystko jest twoje, tyko kochaj mnie! Nam, Cygankom, tylko tego potrzeba – powietrza i miłości.

I mówiąc tak zarzuciła ramiona na szyję oficera, wzniosłszy oczy ku górze wpatrywała się weń błagalnie i uśmiechała się prześlicznie poprzez łyzy. Jej delikatne piersi ocierały się o sukno kaftana i szorstkie hafty. Tuliła się do niego całym swym pięknym, półnagim ciałem. Kapitan, upojony, przycisnął gorące wargi do pięknego afrykańskiego ramienia. Dziewczyna, w tył przechylona, błędziła spojrzeniem po suficie, drżała, serce jej biło pod tym pocałunkiem.

Nagle nad głową Febusa zobaczyła inną głowę; twarz bladą, siną, wykrzywioną z oczyma potępieńca; a przy tej twarzy rękę ze sztyletem. Była to twarz i ręka księdza. Wyważył drzwi i stał tuż. Febus nie mógł go widzieć. Wobec tej strasznej zjawy dziewczyna zastygła nieruchomo, niema – jak gołąbka, która by podniosła głowę wtedy właśnie., kiedy orzeł okrągłymi oczami zagląda do jej gniazda.

Nie mogła nawet wydać krzyku. Ujrzała, że sztylet spada na Febusa i podnosi się, cały dymiący.

– Przekleństwo! – krzyknął kapitan i upadł.

Zemdląca.

Kiedy oczy jej zamykały się, kiedy zanikało w niej wszelkie czucie, wydało jej się jeszcze, jakby ogień przypalił jej wargi; spadł na nie pocałunek gorętszy niż czerwone katowskie żelazo.

Kiedy odzyskała zmysły, otaczali ją żołnierze nocnej straży, wynoszono zalanego krwią

kapitana, ksiądz znikł, okno w głębi izby, wychodzące na rzekę, było szeroko otwarte; ktoś podnosił z podłogi płaszcz, który jak przypuszczano, należał do oficera... Słyszała, jak mówiono:

- Ta czarownica zasztyletowała kapitana.

Księga ósma

I

TALAR W ZESCHŁY LIŚĆ ZAMIENIONY

Gringoire i cały Dziedziniec Cudów byli w śmiertelnym niepokoju. Już od przeszło miesiąca nie wiadano, co się stało z Esmeraldą, a to frasowało wielce księcia Egiptu i jego przyjaciół zebraków, nie wiadano też, co się stało z kózką – co podwajało boleść Gringoire'a. Pewnego wieczora Cyganka znikła i nie dawała znaku życia od tej pory. Wszystkie poszukiwania były bezskuteczne. Kilku przekornych symulantów padaczki usiłowało wmówić w Gringoire'a, że ją widzieli tego wieczora w okolicach mostu Św. Michała z jakimś oficerem; lecz ten małżonek na modłę cygańską był filozofem-niedowiarkiem, a prócz tego jeszcze lepiej niż ktokolwiek wiedział, jak bardzo niewinna jest jego żona. Mógł się przekonać, jak nieprzewyciężona wstydlivość wynikała z połączenia mocy amuletu z cnotą Cyganki, i matematycznie obliczyć odporność tej wstydlivości podniesionej do drugiej potęgi. Był więc spokojny od tej strony.

Tym bardziej nie potrafił wytłumaczyć sobie zniknięcia dziewczyny. Bardzo się martwił. Schudłby, gdyby to było możliwe. Wszystkiego poniechał w tym smutku, nawet swych literackich zamiłowań, nawet wielkiego swego dzieła *De figuris regularibus et irregularibus*, które postanowił drukować za pierwsze pieniądze, jakie będzie miał. (Gdyż od kiedy ujrzał był *Didascalon* Hugona de Saint-Victor, tłoczony słynną czcionką Videlina ze Spiry, dniami i nocami roił o druku.)

Pewnego dnia, kiedy smutny przechodził koło wieży, w której sądzono zbrodniarzy, zauważył tłum gapiów przy jednej z bram Pałacu Sprawiedliwości.

– Co to? – zapytał młodzieniaszka idącego stamtąd właśnie.

– Nie wiem, panie – odpowiedział. – Podobno sądzą niewiastę, która zamordowała żołnierza. Jak się zdaje, kryją się w tym jakieś czary, bo biskup i sąd duchowny wkroczyli w tę sprawę, i mój brat, który jest archidiakonem jozajskim, kamieniem siedzi w sali. Właśnie chciałem z nim pogadać, ale nie mogłem przebić się przez ciżbę, co mnie wielce martwi, bo potrzeba mi pieniędzy.

– Niestety, panie – rzekł Gringoire – chciałbym móc wam pożyczyć, lecz jeśli w moich kieszeniach są dziury, to jako żywo nie od skudów.

Nie ośmielił się rzec młodzieniaszkowi, że zna jego brata archidiakona, bo go od tamtej sceny w kościele nie odwiedził; wstyd mu było, że tak lekceważąco zachował się wobec księdza.

Żak powędrował dalej, a Gringoire razem z tłumem wszedł na schody do sali sądu prowadzące. Przekonał się już, że najlepszym sposobem na rozpędzenie melancholii jest widok kryminalnego procesu, głupota bowiem sędziów bywa zazwyczaj niezwykle ucieszna. Gawiedź, w którą się wmieszał, w milczeniu posuwała się i przepychała ku przodowi. Po nużącej powolnej dreptaninie pod niskim sklepieniem ciemnego, długiego korytarza, który zakręcał wielokrotnie – niby jelita tego starego gmachu, dotarł wreszcie do niskich drzwi prowadzących do sali; a że był wysokiego wzrostu, mógł się w niej rozejrzeć ponad falującymi głowami ciżby.

Sala była obszerna i ciemna, przez co się jeszcze obszerniejsza wydawała. Zmierzch zapadał; przez długie ostrołukowe okna przenikało do wnętrza blade światło i gasło nie dosięgnąwszy rzeźbionych belek kasetonowego stropu, a wszystkie te rzeźby jakby ruszały się w ciemności. Kilka świec już się paliło na stołach, oświetlając głowy schylonych nad papierami pisarzy. W tej części sali, przy drzwiach, stał tłum gapiów; po prawej i po lewej stronie siedzieli za stołem urzędnicy sądowi, w głębi, na podwyższeniu sędziowie, bardzo liczni – ostatnie ich rzędy pochłaniała ciemność; nieruchome i posępne twarze. Ściany usiane były nieprzelicznymi kwiatami lilii. Nad sędziami widać było niewyraźny kształt ogromnego krucyfiksu, dookoła wszędzie piki i halabardy, a na ich ostrzach ognistymi punktami kładło się światło świec.

– Panie – zapytał Gringoire jednego z sąsiadów – co to za osoby posiadały tu w rzędach jak prałaci na soborze?

– Panie – rzekł sąsiad – z prawej strony to konsyliarze wielkiej izby, z lewej strony to konsyliarze izby śledczej; niżsi rangą w czarnych szatach, a wyżsi w czerwonych.

– A kto to tam, nad nimi? – znów pytał Gringoire – ten czerwony, spocony grubas?

– To pan prezydent.

– A te barany za nim? – znów pytał Gringoire, który, jak już powiedzieliśmy, nie lubił sądownictwa. Co się wywodziło, być może, z urazy, jaką czuł do Pałacu Sprawiedliwości od chwili niesławnej klęski swojej sztuki.

– To panowie referendarze królewscy.

– A ten dzik przed nim?

– To pan pisarz sądu najwyższego.

– A ten krokodyl z prawej strony?

– Mistrz Filip Lheulier, nadzwyczajny prokurator królewski.

– A z lewej, ten gruby czarny kot?

– Mistrz Jakub Charmolue, prokurator królewski przy sądzie biskupim i członkowie tego sądu.

– Dobrze, panie – rzekł Gringoire – a co tu robią ci poczciwi ludzie?

– Sądzą.

– Kogo sądzą? Nie widzę oskarżonego.

– To niewiasta, panie. Zobaczyć jej nie możecie. Jest tyłem do nas odwrócona i zakrywa ją tłum. O, spójrzcie, tam siedzi, gdzie widać to skupisko halabard.

– Co to za niewiasta? – zapytał Gringoire. – Czy znacie jej imię?

– Nie, panie, dopiero co wszedłem. Ale przypuszczam, że są w tym jakieś czary, bo przedstawiciele biskupiego sądu asystują przy procesie.

– Ślicznie! – rzekł nasz filozof. – Zobaczymy, jak wszyscy ci prawnicy będą jedli ludzkie mięso. Widowisko nie gorsze od innych.

– Panie – zauważył sąsiad – czy nie znajdujecie, że mistrz Jakub Charmolue ma wielce łagodne oblicze?

– Hm... – odparł Gringoire – nie dowierzam łagodności, która ma zaciśnięte nozdrza i wąskie wargi.

Tu sąsiedzi zmusili ich do przerywania rozmowy. Słuchano ważnego zeznania.

– Wielmożni panowie – mówiła ze środka sali staruszka z twarzą tak ukrytą pod chustką, iż rzekłbyś, że jest to chodząca kupa łachmanów – wielmożni panowie, wszystko to prawda najszczęsza, jakem Falurdelicha, jak od czterdziestu lat mieszkam na moście Św. Michała, akuratnie płacąc podatki i czynsze, drzwi w drzwi z Tasin-Caillart, farbiarzem, który ma dom po drugiej stronie, w górę rzeki. Teraz uboga stara baba, niegdyś ładna dziewczucha, wielmożni panowie! Już od kilku dni mi gadali: „Falurdelicha, nie przedz tyle po nocy na kołowrotku – diabeł lubi wyczesywać rogami kądziele starych bab. Rzecz jest pewna, że widmo mnicha, które

widywano koło Tempie łońskiego roku, teraz włóczy się po Cité. Uważaj, Falurdelicha, żeby nie zapukało do twoich drzwi!” Pewnego wieczora przędę, ktoś puka do drzwi. Pytam, kto. Przeklina. Otwieram. Wchodzi dwóch ludzi. Jakiś czarny z pięknym oficerem. Temu czarnemu było widać tylko oczy – dwa rozżarzone węgle. Resztę zakryła opończa i kapelusz. I mówią do mnie: „Izbę Świętej Marty!” To moja izba na pięterku, wielmożni panowie, najschludniejsza w całym domu. Dają mi talara. Chowam talara do szuflady i myślę sobie: „Jutro kupię za to flaków w rzeźni Gloriette.” Idziemy na górę. Kiedyśmy weszli, ledwie się odwróciłam – czarny człowiek znika. To mi się wydało trochę dziwne. Oficer, który był piękny jak prawdziwy pan, schodzi na dół razem ze mną. Wyszedł. Ledwie uprzedłam z ćwierć motka, wraca z dziewczyną śliczną jak laleczka, która by jaśniała jak słońce, gdyby była uczesana. Miała ze sobą capa, wielkiego capa, czarnego czy białego, już sama nie wiem. „O, myślę sobie, co to!” Dziewka – nie moja rzecz, ale cap!... Nie lubię tych bydląt, ma to brodę i rogi. Do człowieka podobne. I sabatem śmierdzi. Ale nic nie gadam. Dostałam talara. Tak się należy, prawda, wielmożni panowie sędziowie? Zaprowadziłam dziewczynę i kapitana do izby na pięterku i zostawiłam ich samych, znaczy się z capem. Zeszłam na dół i dalej przędę. Bo to jeszcze trzeba powiedzieć, że mój domek ma parter i pięterko: od tyłu wychodzi na rzekę, jak wszystkie domy na moście, i oba okna – i na parterze, i na pięterku – otwierają się na wodę... Siedziałam więc i przędłam. I nie wiem czemu, myślałam o tym widmie mnicha, które mi się przypomniało przez capa, a i dziewczyna odziana była jakoś cudacznie. Nagle słyszę z góry krzyk, coś pada na podłogę i okno się otwiera. Biegnę do mego okna, tego na dole, i widzę, że mi coś czarnego przelatuje przed oczami i wpada do wody. To był upiór przebrany za księdza. Była pełnia. Dobrze widziałam. Popłynął w stronę Cité. Trzęsę się cała i wołam straż. Ichmościowie z nocnego patrolu przychodzą, a że byli podochoceni, w pierwszej chwili nie wiedzieli dobrze, o co idzie, i obili mnie. Wreszcie im wytłumaczyłam. Wchodzimy na górę i co tam zastajemy! Moja biedna izdebka cała krwią zalana, kapitan leży jak długi ze sztyletem w szyi, dziewczyna jak nieżywa, a cap spłoszony. „Rety! – myślę sobie – przez dwa tygodnie nie domyję podłogi. Trzeba będzie skrobać, okropność!” Wyniesiono oficera – biedny chłopczyzna! i dziewczkę, całą rozmamłaną. Zaraz, jeszcze nie koniec! Najgorsze, że na drugi dzień chcę wziąć talara, żeby kupić flaków, i znajduję zamiast pieniądza suchy liść.

Starucha umilkła. Szmer grozy przeszedł po całym zgromadzeniu.

– To widmo, ten cap, to wszystko pachnie magią – rzekł jeden z sąsiadów Gringoire’a.

– A ten suchy listek! – dodał drugi.

– Co tu gadać – rzekł trzeci – ta czarownica jest w zмовie z widmem mnicha i do spółki obskubują oficerów.

Sam Gringoire już się zaczynał skłaniać do uznania tej strasznej opowieści za prawdopodobną.

– Kobieto nazwiskiem Falourdel – rzekł majestatycznie prezydent – czy macie jeszcze coś do powiedzenia sądowi?

– Nie, wielmożny panie, chyba tylko to, że w protokole nazwano mój dom smrodliwą rudera, co jest ubliżające. Prawda, domy na moście są niepokazne, bo gnieździ się w nich całe mrowie biednego narodu, ale przecie i rzeźnicy tam raczą mieszkać, ludzie bogaci i piękne, schludne żony mający.

Tu podniósł się dygnitarz, który Gringoire’owi przypominał krokodyla.

– Dość! – rzekł. – Upraszam sąd, aby miał na względzie, że przy oskarżonej znaleziono sztylet. Kobieto nazwiskiem Falourdel, czy przyniosłaś liść, w który przemienił się talar dany tobie przez szatana?

– Tak, wielmożny panie – odpowiedziała – odnalazłam liść. Oto jest.

Woźny przekazał suchy liść krokodylowi, a ten ponuro pokiwał głową i podał go

prezydentowi, ten z kolei – prokuratorowi królewskiemu przy kościelnym sądzie i liść z rąk do rąk podawany, obszedł dookoła całą salę.

– To liść brzozy – rzekł mistrz Jakub Charmolue. – Nowy dowód magii.

Zabrał głos jeden z konsyliarzy.

– Świadku, dwu ludzi weszło równocześnie do twego domu. Czarny człowiek, który jak widzieliście, najpierw znikł, a potem pływał w Sekwanie w sukniach księdza, i oficer. Który z nich dał wam talara?

Starucha pomyślała chwilę i rzekła:

– Pan oficer.

Tłum zaszemrał.

„O! – pomyślał Gringoire – to podważa moje przekonanie.”

Lecz oto znowu zabrał głos mistrz Filip Lheulier, nadzwyczajny prokurator królewski.

– Przypominam Sądowni, że w zeznaniu, spisany u śmiertelnego łóża, zamordowany oficer oświadczywszy, iż kiedy czarny człowiek zaczepił go, sam przez chwilę myślał, że może to być widmo mnicha, dodał i to jeszcze, że upiór nalegał usilnie, by co szybciej wszedł w poufałość z oskarżoną, a na uwagę jego, kapitana, że jest bez pieniędzy, dał mu talara, który wymieniony oficer wypłacił kobiecie nazwiskiem Falourdel. A więc talar był pieniądzem piekielnym.

Słowo prokuratora, jak to można było zauważyć, rozproszyło wszystkie wątpliwości Gringoire’a i innych sceptyków w tłumie przysłuchującym się rozprawie.

– Panowie sędziowie mają w aktach wszystkie dokumenty – dodał jeszcze, siadając, prokurator królewski – i mogą zapoznać się z zeznaniami Febusa de Châteaupers.

Na dźwięk tego imienia oskarżona wstała. Głowa jej ukazała się nad głowami tłumu. Przerazony Gringoire poznał Esmeraldę.

Była blada, włosy jej, niegdyś tak ślicznie zaplecione i przystrojone cekinami, opadały w nieładzie; wargi były sine, oczy przeraźliwie zapadnięte. To była ona, niestety!

– Febus – powiedziała nieprzytomnie – gdzie on jest? O wielmożni panowie, zanim mnie zabijecie, ulitujcie się i powiedzcie mi, czy on żyje.

– Milcz, niewiasto! – odpowiedział prezydent. – Nie nasza to rzecz.

– Ulitujcie się, powiedzcie, czy on żyje – powtórzyła składając swoje śliczne, wychudzone dłonie; usłyszano, jak zadzwoniły łańcuchy aż po kraj sukni spadające.

– Więc powiem ci – rzekł oschle królewski prokurator: – umiera. Jesteś rada?

Nieszczęśliwa osunęła się na ławę bez jednego słowa, bez jednej łzy, blada jak figura z wosku.

Prezydent nachylił się do siedzącego u jego stóp człowieka w czarnym stroju, w złotej czapce na głowie, z łańcuchem na szyi i z różgą w dłoni:

– Woźny, wprowadzić drugą oskarżoną!

Wszyscy zwrócili oczy ku niewielkim drzwiom, które się otworzyły, i ku wielkiemu wzruszeniu Gringoire’a weszła na salę śliczna kózka ze złożonymi różkami i kopytkami. Gibkie zwierzątko zatrzymało się na chwilę na progu wyciągnawszy szyję, jakby stanęło na szczycie skały i miało przed oczyma rozległy widnokrąg. Nagle koza spostrzegła Cygankę i przeskoczywszy przez stół i przez głowę pisarza, w dwu susach znalazła się u jej kolan i ułożyła się na stopach swojej pani, łaszcząc się i prosząc o słowo lub pieszczotę. Lecz oskarżona siedziała nieruchomo i biedna Dżali, nawet ona, nie wyprosiła sobie jej spojrzenia.

– Zaraz... toć to właśnie owo paskudne zwierzę – rzekła stara Falurdelicha – dobrze je obydwie pamiętam.

Zabrał głos Jakub Charmolue.

– Za pozwoleniem Sądu przystąpimy do badania kozy.

Była to rzeczywiście druga oskarżona. Procesy o czary wszczynane przeciwko zwierzętom nie

były wówczas niczym niezwykłym. W rachunkach starostwa za rok 1446, na przykład, znaleźć można ciekawą pozycję: zestawienie kosztów procesu niejakiego Gillet Soulart i jego maciory „świętych za ich przestępstwa w Corbeil”. Spisano tu wszystko: koszty kopania jamy, w której zagrzebano maciorę, pięćset wiązek chrustu wziętych z portu Morsant, trzy kwaterki wina i chleb – ostatni posiłek skazańca po bratersku podzielony z katem – wszystko, aż do jedenastu dni pilnowania i żywienia maciory, na co łożono dziennie po osiem paryskich denarów. Niekiedy nie dość było kodeksom nawet i zwierząt. Kapitularze Karola Wielkiego i Ludwika Łaskawego nakładają ciężkie kary na płomieniste widma, które się ośmieliły ukazać w powietrzu.

Tymczasem prokurator przy sądzie kościelnym zawołał:

– Jeśli szatan, który tę kozę opętał mimo wszelakich egzorcyzmów, trwa w swej złośliwości, jeśli i sąd straszyć będzie, uprzedzam go, że zmuszeni będziemy zastosować przeciw niemu szubienicę lub stos.

Zimne poty oblały Gringoire’a. Charmolue wziął ze stołu baskijski bębenek Cyganki i podsunąwszy go w pewien sposób kozie, zapytał zwierzątko:

– Która godzina?

Koza spojrzała nań rozumnie, podniosła nóżkę ze złotym kopytkiem i stuknęła w bębenek siedem razy. Rzeczywiście była siódma. Dreszcz trwogi przebiegł po tłumie. Gringoire nie wytrzymał.

– Sama siebie gubi! – krzyknął głośno. – Widzicie chyba, że nie wie, co czyni.

– Pospólstwo na końcu sali, uciszyć się! – rzekł ostro woźny.

Jakub Charmolue odpowiednio manewrował bębenkiem, a koza pokazywała po kolei inne swoje sztuczki, znane już czytelnikowi, wystukując odpowiedni dzień miesiąca, miesiąc roku itd. I oto, dzięki złudzeniu optycznemu właściwemu wszystkim rozprawom sądowym, ci sami ludzie, którzy niejednokrotnie być może, podziwiali na ulicy niewinne figielki Dżali, przelecieli się ich tu, pod sklepieniem Pałacu Sprawiedliwości. Koza była na pewno opętana przez złego ducha.

A jeszcze większy strach ich ogarnął, kiedy prokurator królewski wysypał na posadzkę ze skórzanego woreczka, który Dżali nosiła na szyi, tabliczki z literami, i ujrzano, że koza z tego ruchomego alfabetu układa nóżką fatalne imię „Febus”. Zmowa z czartem, której ofiarą padł kapitan, wydała się dowiedziona nieodparcie, i Cyganka – prześliczna tancerka, która tak często olśniewała przechodniów swym urokiem – stała się dla nich wszystkich tylko straszną strzygą.

Nie dawała ona zresztą znaku życia. Ani wesołe figle Dżali, ani groźby prokuratora, ani głuchoe złorzeczenie publiczności – nic już do niej nie docierało.

Ocknęła się wtedy dopiero, kiedy strażnik potrząsnął nią bezlitośnie, a prezydent uroczyście podniósł głos:

– Dziewko, jesteś z cygańskiego plemienia, które się nieczystymi praktykami trudni. W nocy 29 marca tego roku do spółki z kozą, opętaną przez czarta i razem z tobą sądzoną, w zмовie z piekielnymi siłami, przy pomocy praktyk i uroków zamordowałaś sztyletem kapitana królewskich łuczników Febusa de Châteaupers. Czy nadal temu przeczysz?

– O, zgrozo! – krzyknęła dziewczyna kryjąc twarz w dłoniach. – Febusie mój! O, to piekło!

– Czy nadal temu przeczysz? – surowo powtórzył pytanie przewodniczący sądu najwyższego.

– Czy ja temu przeczę! – rzekła strasznym głosem i podniosła się, a wzrok jej pałał.

Przewodniczący mówił dalej:

– Jak więc wytłumaczysz okoliczności, które obciążają ciebie?

Odpowiedziała przerywanym głosem:

– Już mówiłam. Nie wiem. To ksiądz, to nie znany mi ksiądz, to piekielny ksiądz, który mnie prześladowa.

– Otóż właśnie – podjął sędzia – widmo mnicha.

- O wielmożni panowie! Ulitujcie się! Jestem tylko biedną dziewczyną...
- ...cygańską – dokończył sędzia.

Mistrz: Jakub Charmolue zabrał głos i rzekł ze słodyczą:

- Zważywszy przykry opór oskarżonej proszę o zastosowanie tortury.
- Zezwalam – rzekł prezydent.

Nieszczęśliwa zatrzęsa się cała. Wstała jednak na rozkaz halabardników i poszła dość pewnym krokiem między dwuszeregiem halabard, za Charmolue i księżmi delegowanymi przez oficjała, ku niewielkim drzwiom, które otworzyły się i szybko zamknęły za nią; smutnemu Gringoire'owi wydało się, że ją pożarła jakaś paszcza straszliwa.

Kiedy znikła, usłyszano żalospny bek. To płakała kózka.

Posiedzenie zostało zawieszono. Jeden z konsyliarzy zauważył, że sędziowie są zmęczeni i że za długo byłoby czekać tutaj aż do końca tortury; lecz prezydent odpowiedział, iż kto piastuje urząd, ten powinien umieć poświęcać się dla swych obowiązków.

– Cóż to za hultajka niecna i złośliwa! – rzekł jakiś stary sędzia. – Każe brać się na tortury, kiedy człowiek nie jadł jeszcze wieczerzy!

II

TALAR W ZESCHŁY LIŚĆ ZAMIENIONY, CIAĞ DALSZY

Esmeralda, wciąż otoczona swym posepnym orszakiem, szła w górę i w dół schodami, po korytarzach tak ciemnych, że je i we dnie oświetlano, aż wreszcie straż pałacowa wepchnęła ją do jakiejś złowrogiej izby. Ta okrągła izba zajmowała najniższą kondygnację jednej z tych masywnych wież, które jeszcze w naszym stuleciu przebijają się poprzez warstwę nowoczesnych budowli, jakimi nowy Paryż przykrył dawny Paryż. Nie było okien w tym lochu; nie było żadnych otworów prócz wejścia, niskiego i okutego ogromnymi żelaznymi drzwiami. Ale za to światła było dużo. W wydrążeniu grubego muru ustawiono piec. Palił się w nim wielki ogień, który napełniał loch swym czerwonym blaskiem, pochłaniając wszystkie promienie mizernej świeczki postawionej w kącie. Żelazna brona służąca do zamykania pieca była w tej chwili podniesiona i tylko dolne końce jej prętów, widoczne na ciemnym murze, sterczały nad rozszarżonym otworem niby rząd zębów czarnych, spiczastych i rzadkich, co sprawiało, że piec upodobił się do jednej z tych paszcz smoczyc, które w legendach zioną płomieniami. W blasku bijącym z pieca uwięziona zobaczyła jakieś przerażające przyrządy nie znanego jej użytku, rozstawione po całej izbie. Na środku, nad samą posadzką, był umieszczony skórzany materac, zwisał nad nim rzemień z pętlą umocowany; na miedzianym pierścieniu, który trzymał w pysku płaskonosy potwór wyrzeźbiony na zworniku sklepienia. Kleszcze, obcęgi i widły żelazne leżały w piecu, do czerwoności rozpalone w żarze. W izbie tej krwawy blask ogniska ukazywał same tylko zgrozę budzące przedmioty.

Ten Tartar nazywało się po prostu „izbą badań”.

Na łożu rozsiadł się niedbale Piotrek Kręcikoło, oprawca przysięgły. Pachołkowie jego, dwa gnomy o kwadratowych twarzach, w skórzanych fartuchach, w płóciennych portkach, przewracali żelastwo na palenisku.

Daremnie biedna dziewczyna przyzywała na pomoc całą swą odwagę. Kiedy weszła do tej izby, strach ją ogarnął.

Pachołkowie bajliwa pałacu ustawili się po jednej stronie, po drugiej stronie ustawili się księża, delegowani oficjała. W kącie, za stołem z kałamarzem, zasiadł pisarz. Mistrz Jakub Charmolue zbliżył się do Cyganki z uśmiechem pełnym słodyczy.

– Moje drogie dziecię – rzekł – czy nadal przeczysz?

– Tak – odpowiedziała głosem już bezdźwięcznym.

– W takim razie – rzekł Charmolue – bolejąc nad tym niezmiernie, będziemy musieli wy badać cię nalegając silniej, niżbyśmy pragnęli. Zechciej, proszę, usiąść na tym łożu. Mistrzowi Piotrkowi, ustąpcie miejsca paniencie i zamknijcie drzwi.

Piotrek dźwignął się pochrząkując.

– Jeśli zamknę drzwi – mruknął – ogień mi zgaśnie.

– A więc nie zamykajcie drzwi, mój kochany – odparł Charmolue.

Esmeralda nie poruszyła się. Przerażała ją to skórzane łoże, na którym tyle już ofiar wiło się w męce. Lęk przejął ją chłodem aż do szpiku kości. Stała otępiała z trwogi. Na znak dany przez Charmolue dwaj pachołkowie oprawcy unieśli ją i posadzili na łożu. Nic złego jej nie zrobili, lecz kiedy uczuła dotknięcie ich łap, kiedy uczuła dotknięcie skóry łoża, cała krew spłynęła jej do serca. Obląkanym wzrokiem powiodła po izbie. Zdało się jej, że powstały i że zewsząd idą do niej – żeby wpełznąć na jej ciało i kąsać ją, i szczypać – wszystkie wstrętne narzędzia tortury, które wśród przedmiotów, jakie do tej pory widywała, były tym, czym są nietoperze, stonogi i pająki wśród owadów i ptaków.

– Gdzie jest lekarz? – zapytał Charmolue.

– Jestem – odpowiedziała postać w czarnej szacie, której dziewczyną jeszcze nie spostrzegła.

Zadrżała.

– Mościa panno – odezwał się pieszczotliwy głos prokuratora przy kościelnym sądzie – po raz trzeci zapytuję cię, czy dalej zapierasz się czynów, o które jesteś oskarżona?

Tym razem już tylko ruchem głowy zdołała zaprzeczyć. Nie stało jej głosu.

– Trwasz w swoim uporze? – rzekł Charmolue. – A więc, bolejąc nad tym niezmiernie, przystąpić muszę do wypełnienia powinności mojego urzędu.

– Panie prokuratorze królewski, od czego zaczynamy? – zapytał bez ceregieli Piotrek.

Charmolue zawahał się chwilę, a na jego twarzy pojawił się trudny do określenia wyraz poety, który szuka rymu.

– Od buta – rzekł wreszcie.

Nieszczęśliwca poczuła się tak zupełnie opuszczona przez Boga i ludzi, że głowa jej opadła na pierś jak bezwładny przedmiot, pozbawiony jakiegokolwiek mocy.

Oprawca i lekarz podeszli do niej równocześnie. A wtedy dwaj pachołkowie zaczęli przebierać w swoim ohydny arsenale. Słyszając straszny szczęk żelastwa nieszczęśliwa dziewczeczka drgnęła, jak martwa żaba poruszona galwanicznym prądem.

– O! – szepnęła tak cicho, że nikt tego nie usłyszał. – O mój Febusie!

I znów zastygła, nieruchoma i niema jak marmur. Widok jej poruszyłby każde ludzkie serce prócz serca sędziego. Rzecz by można, że jest to biedna grzeszna dusza, którą bada Szatan u szkarłatnej furty piekła. A nieszczęsnym ciałem, które już za chwilę szarpać zacznie ten straszliwy rój kół, pił i haków, stworzeniem które wziąć miały w swe obroty szorstkie palce katów i kleszczy, była ta łagodna, biała i wątła istota. Małe ziarenko prosa, które ludzka sprawiedliwość zemleć kazała przerażającym żarnom tortury.

Tymczasem twarde dłonie pomocników Piotra Kręcikoła brutalnie obnażyły tę śliczną nogę, tę maleńką stopę, która tylekroć swą urodą i wdziękiem urzekwała przechodniów na placach Paryża.

– Szkoda! – burknął oprawca spojrzawszy na te kształty tak wdzięczne i tak kruche. Gdyby

znajdował się tu archidiakon, niechybnie przypomniałby sobie w tej chwili symboliczny obraz pająka i muchy. Nieszczęśliwa ujrzała niebawem poprzez mgłę, którą zaszyły jej oczy, zbliżający się „but”, ujrzała, jak jej stopa, ujęta między dwie belki okute żelazem, znika w okropnej maszynie. Wtedy strach przywrócił jej siły.

– Zdejmijcie to! – krzyknęła gwałtownie i zerwała się z włosami w nieładzie. – Łaski!

Zeskoczyła z łoża, żeby się rzucić do nóg królewskiemu prokuratorowi, lecz stopa jej uwięzła w ciężkim kłocu z dębowego drzewa i żelaza. Opadła na ów „but”, bardziej jeszcze bezsilna od pszczoły, która miałaby ołów u skrzydeł.

Na znak dany przez Jakuba Charmolue ułożono ją znowu na łożu i dwie potężne ręce przewięzały jej szczupłą kibić rzemieniem, który zwisał ze sklepienia.

– Po raz ostatni zapytuję cię, czy potwierdzasz fakty ujawnione w procesie? – zapytał Charmolue ze swoją niewzruszoną dobrocią.

– Jestem niewinna.

– Jak więc wytłumaczysz, panienko, okoliczności, które obciążają cię?

– Niestety, wielmożny panie, nie wiem.

– A więc zaprzeczasz?

– Wszystkiemu.

– Zaczynajcie – rzekł Charmolue do Piotrka.

Piotrek obrócił rękojeść dźwigni, but zacisnął się i nieszczęśliwa wydała jeden z tych straszliwych krzyków, których pisownia żadnego ludzkiego języka zanotować nie potrafi.

– Przerwijcie – rzekł Charmolue do Piotrka. – Czy przyznajesz się? – zapytał Cyganki.

– Do wszystkiego! – krzyknęła udręczona dziewczyna. – Przyznaję się! Przyznaję! Łaski!

Idąc na „badanie” nie obliczyła swoich sił. Pierwszy ból złamał biedne dziecko, które do tej pory żyło tak beztrudnie, szczęśliwie i radośnie.

– Miłosierdzie nakazuje mi uprzedzić cię – zwrócił się do niej prokurator królewski – że po przyznaniu się do winy oczekiwać możesz tylko śmierci.

– Wiem i pragnę jej – odpowiedziała. I upadła na skórzane łożo, konająca, w pół zgięta, bo zwisała na rzemieniu, którym ją przewięzano.

– Nuże, ślicznotko, podeprzyj się nieco – rzekł podnosząc ją mistrz Piotrek. – Podobna jesteś kubek w kubek do złotego barana, którego książe Burgundzki nosi na szyi.

Jakub Charmolue głośno i dobitnie zaczął mówić:

– Zapisuj, pisarzu... Dziewczyno cygańska, czy przyznajesz się do udziału w ucztach, sabatach i nieczystych knowaniach piekła wspólnie z larwami, maskarami i strzygami? Odpowiadaj!

– Przyznaję – odrzekła tak cicho, że głos jej rozplątał się w oddechu.

– Czy przyznajesz się, żeś oglądała tryka, którego Belzebub pokazuje w chmurach, aby zwołać sejm czarownic, a którego tylko czarownice oglądają?

– Tak.

– Czy przyznajesz się, żeś czciła łby Bofometa, te szpetne bałwany templariuszów?

– Tak.

– Żeś była w spółce z diabłem ukrytym w postaci kozy domowej, włączonej do procesu?

– Tak.

– I wreszcie, czy przyznajesz się i wyznajesz, żeś przy pomocy szatana i upiora, zwanego pospolicie widmem mnicha, w nocy z dwudziestego dziewiątego marca uśmierciła i zasztyletowała kapitana imieniem Febus de Châteaupers?

– Tak.

Było jasne, że załamało się w niej wszystko.

– Zapisz, pisarzu – rzekł Charmolue. A zwracając się do oprawców: – Odwiązać uwięzioną i

zaprowadzić ją przed oblicze trybunału.

Kiedy uwięzioną „rozzuto”, prokurator przy kościelnym sądzie obejrzał jej stopę jeszcze nabrzmiałą po torturze.

– No, nic złego się nie stało. Wrzasnęłaś w porę. Mogłabyś jeszcze tańczyć, ślicznotko.

Po czym odwrócił się do towarzyszących mu delegatów oficjała:

Oto wreszcie prawda została ujawniona! Lżej nam na sercu, mości panowie! A panienka musi przyznać, żeśmy ją potraktowali z największą łagodnością.

III

TALAR W ZESCHŁY LIŚĆ ZAMIENIONY, DOKOŃCZENIE

Kiedy blada i kulejąca, powróciła na salę, powitał ją powszechny szmer zadowolenia. Dla audytorium było to uczucie zaspokojonej niecierpliwości, które przeżywa każdy widz w teatrze po ostatnim antrakcie komedii, kiedy kurtyna idzie w górę i rozpoczyna się zakończenie. Dla sędziów była to nadzieja niedalekiej wieczery. Kózka też beknęła z radości. Chciała biec do swojej pani, ale przywiązano ją do ławy.

Noc już zapadła. Świece, których liczby nie zwiększono, rzucały tak niewiele światła, że nie było widać ścian sali. Ciemność jakby mgłą okryła wszystkie Przedmioty. Zaledwie tu i ówdzie wylaniały się z niej niewyraźne, znudzone twarze sędziów, którzy mogli dostrzec przed sobą, w przeciwnym końcu sali, tylko bielejący punkt na ciemnym tle. Była to oskarżona.

Dowlokła się na swoje miejsce. Kiedy zaś Charmolue uroczyście wrócił na swoje – usiadł, potem wstał i rzekł nie dając zbytnio poznać po sobie chętności z odniesionego sukcesu:

– Oskarżona przyznała się do wszystkiego.

– Dziewko cygańska – rzekł prezydent – czy przyznałaś się do praktyk czarnoksięskich, do nierządu i do popełnienia mordu na osobie Febusa de Châteaupers?

Serce jej się ścisnęło. Usłyszano jej szloch w ciemności.

– Do wszystkiego, co tylko zechcecie – odrzekła słabym głosem – ale zabijcie mnie już prędzej.

– Mości prokuratorze królewski przy kościelnym sądzie – rzekł prezydent – izba gotowa jest wysłuchać waszego wniosku.

Mistrz Charmolue wydobył przerażającej grubości rękopis i z obfitą gestykulacją i przesadnym oskarżycielskim patosem odczytywać zaczął mowę po łacinie, w której dowody procesu piętrzyły się na cycerońskich peryfrazach, obstawione po bokach cytatami z Plauta, jego ulubionego komediopisarza; żałujemy, że nie możemy zaprezentować tu czytelnikom tego wybitnego utworu. Mówca wygłaszał go z wręcz cudowną ruchliwością. Nie dobiegł jeszcze do końca wstępu, a już pot wystąpił mu na czoło, a oczy z orbit wylazły. Nagle, w samym środku zdania, uciął i spojrzenie jego, zazwyczaj łagodne, a nawet tępe, stało się piorunujące.

– Mości panowie! – krzyknął (tym razem po francusku, bo tego w rękopisie nie było) – szatan tak bardzo zamieszany jest w tę sprawę, że oto przytomny jest debatom naszym i przedrzeźnia majestat sądu! Spójrzcie!

Mówiąc to wskazał ręką na kózkę, bo kózka, ujrawszy, jak Charmolue szasta się i miota, rzeczywiście pomyślała sobie, że dobrze będzie robić to samo, i przysiadłszy na zadku,

przednimi łapkami i brodatym łebkiem zaczęła jak najwierniej odgrywać pantomimę prokuratora królewskiego przy kościelnym sądzie. Była to, jeśli pamiętacie, jedna z jej ucieszniejszych sztuczek.

To zajście – ostateczny „dowód” – wielkie wywołało wrażenie. Kozie związano nogi, a prokurator królewski podjął nić swej elokwencji. Trwało to długo, ale perora była piękna. Przytoczymy z niej zdanie ostatnie, niech czytelnik uzupełni je ochryplym głosem i znużoną już gestykulacją mistrza Charmolue:

– Ideo, domini, coram stryga demonstrata, crimine patente, intentione, criminis existente, in nomine sanctae ecclesiae Nostrae-Dominae Parisiensis, quae est in saisina habendi omnimodam altam et bassam iustitiam in illa hac intemerata Civitatis insula, tenore praesentium declaramus nos requirere, primo, aliquandam pecuniariam indemnitate; secundo, amendationem honorabilem ante portaliū maximum Nostrae-Dominae, ecclesiae cathedralis; tertio, sententiam in virtute cuius ista stryga cum sua capella, seu in trivio vulgariter dicto „la Grève”, seu in insula exeunte in fluvio Sequanae, iuxta pointam iardini regalis, executatae sint⁷

Nakrył głowę i usiadł.

– *Eheu!* – westchnął z boleścią Gringoire – *bassa latinitas.*

Z kolei podniósł się inny człowiek w czarnej szacie, siedzący w pobliżu oskarżonej. Był to jej adwokat. Sędziowie, głodni, zaczęli pochrząkiwać.

– Imć adwokacie streszczajcie się – rzekł przewodniczący.

– Wielmożny panie – odparł adwokat – ponieważ pozwana przyznała się do zbrodni, jedno tylko pozostało mi do powiedzenia sądowi. Prawo salickie mówi: „Jeśli strzyga pożre człowieka i jeśli jej to zostanie dowiedzione – zapłaci grzywnę osiem tysięcy denarów, czyli dwieście złotych solidów”. Racz prześwietna izbo, skazać mą klientką na grzywnę.

– Ta ustawa utraciła swoją moc – rzekł nadzwyczajny prokurator królewski.

– *Nego* – zreplikował adwokat.

– Głosujmy! – rzekł któryś z konsyliarzy – zbrodnia jest niewątpliwa i już późno.

Przystąpiono do głosowania nie opuszczając sali. Sędziowie „wetowali czapkę”; śpieszyli się. Widać było, jak ich przykryte głowy po kolei odsłaniają się w mroku, w odpowiedzi na posępne pytanie, z którym przewodniczący zwracał się do nich po cichu. Zdawało się, że nieszczęsna oskarżona patrzy na nich, ale jej zamglone oczy już nic nie widziały.

Następnie pisarz zabrał się do spisywania aktu, potem podał przewodniczącemu długi pergamin.

Wówczas nieszczęśliwa usłyszała szmer ludu, szcęk halabard i obojętny głos, który mówił:

– Dziewko cygańska, w dniu, w którym spodoba się królowi, panu naszemu, w samo południe, zawieszona zostaniesz na wózku, w koszuli, boso, z postronkiem na szyi, przed wielki portal katedry Marii Panny i tam odbędziesz publiczną pokutę ze świecą woskową wag? dwu funtów w dłoni; stamtąd zaś zaprowadzona zostaniesz na plac Grève, gdzie będziesz powieszona i uduszona na szubienicy miejskiej; i ta twoja koza tak samo; i zapłacisz oficjałowi trzy złote luidory jako zadośćuczynienie za popełnione i wyznane przez ciebie zbrodnie czarów, uroków, rozwiązłości i morderstwa dokonanego na osobie urodzonego Febusa de Châteaupers. Niechaj Bóg ma w swej opiece duszę twoją!

– O, to sen! – szepnęła i uczuła, że ją unoszą jakieś silne ręce.

⁷ Skoro, panowie; kobiecie tej udowodniono czary i popełnienie zbrodni z premedytacją, w imieniu świętego kościoła Marii Panny w Paryżu, która wymierza sprawiedliwość na owej nieskalanej wyspie Cité, oświadczamy zgromadzeniu, iż żądamy: po pierwsze, grzywny pieniężnej, po wtóre, publicznej skruchy przed wielkim portalem katedry, po trzecie, wyroku, na którego mocy ta wiedźma wraz ze swoją kozą zostanie stracona czy to na placu zwanym pospolicie Greve, czy to na wyspie na rzece Sekwanie w pobliżu ogrodów królewskich. (łac.)

IV

LASCIATE OGNI SPERANZA⁸

W średniowieczu każdy wykończony gmach pogrążony był w ziemi niemal tak głęboko, jak wysoko się nad nią wydzwignął. Każdy pałac, każdy zamek, każdy kościół miał podziemia – chyba że był zbudowany na palach, jak katedra Marii Panny. W katedrach była to jak gdyby druga katedra, podziemna, niska, ciemna, tajemnicza, ślepa i niema pod górną nawą przepelnioną światłem i rozbrzmiewającą we dnie i w nocy dźwiękami organów i dzwonów; niekiedy była to krypta grobowa. W pałacach, w warownych zamkach podziemie było więzieniem albo grobem, często i tym, i tantym równocześnie. Te potężne budowle, których kształtowanie się i „rośnięcie” gdzie indziej już objaśnialiśmy, miały nie tylko zwykłe fundamenty, lecz by tak rzec, korzenie rozgałęziające się pod ziemią w izby, korytarze, schody – podobnie jak i w górnym gmachu. Tak więc kościoły, pałace i twierdze były po pas w ziemi zakopane. Piwnice gmachu były drugim gmachem, do którego się schodziło w dół miast wchodzić w górę, jego podziemne piętra przylegały do piramidy zewnętrznych pięter budowli na podobieństwo przybrzeżnych lasów i wzgórz odwróconych w migotliwej wodzie jeziora.

W twierdzy Św. Antoniego, w paryskim Pałacu Sprawiedliwości, w Luwrze – te podziemne gmachy były więzieniami. Im niżej w głąb schodziły piętra tych więzień, tym się stawały ciemniejsze i ciasniejsze. Ile pięter – tyle kręgów stopniujących nasilenie grozy. Dante nie mógł nic lepszego wymyślić dla swojego piekła. Te leje ciemnic kończyły się zwykle dnem – kadzią kamienną, w której Dante umieścił Szatana, a społeczeństwo umieszczało skazanego na śmierć. Skoro raz zagrzebano tam czyjeś nieszczęsne istnienie – żegnaj, światło, powietrze, życie, *ogni sperama*. Stamtąd wychodziło się tylko na szubienicę albo na stos. Niekiedy więzień lata całe gnił w takim lochu. Sprawiedliwość ludzka nazywała to „zapomnieniem”. Skazaniec czuł, że legł nad nim zwał kamieni i stróżów więziennych i że go od ludzi odgradza; całe to więzienie, cała potężna twierdza była tylko olbrzymią kłódką o skomplikowanym mechanizmie, która go trzymała poza światem żywych. W takiej to kamiennej kadzi w lochu wykopanym na rozkaz świętego Ludwika, w *in pace* wieży Tournelle umieszczono skazaną na szubienicę Esmeraldę, bojąc się zapewne, żeby nie uciekła. Przywalił ją ciężar kolosalnego Pałacu Sprawiedliwości. Biedną muszkę która nie zdołałaby nawet poruszyć najmniejszego z jego gładów.

Zaiste, Opatrzność i społeczeństwo okazały się jednakowo niesprawiedliwe; nie był potrzebny aż tak wielki zbytek nieszczęścia i męki, by złamać istotę tak kruchą.

Była tam zagubiona w ciemnościach, pogrzebana, pochowana, zamurowana, Gdyby ją ujrzał w tym stanie ktoś, kto widział, jak się śmiała i tańczyła w słońcu – zadrżałby. Była zimna jak noc, zimna jak śmierć, włosów jej nie rozwiewał wiatr, ucho nie słyszało żadnego dźwięku życia, oko nie widziało światła; skurczona, skrzepowana łańcuchami siedziała obok dzbana i kromki chleba na wiązce słomy, w kałuży utworzonej z wody sączącej się po ścianach lochu, nie poruszając się, nieomal nie oddychając; nawet cierpieć nie miała siły. Febus, słońce, południe, powietrze, ulice Paryża, tańce wśród oklasków, słodkie gruchanie miłosne z oficerem, potem ksiądz, wstrętna baba, sztylet, krew, tortura, szubienica – wszystko to przewijało się jeszcze

⁸ Porzućcie wszelką nadzieję (wł.) – napis umieszczony na bramie piekła w *Boskiej komedii* Dantego.

przez jej świadomość, to jak zjawa złota i prześliczna, to znów jak koszmar potworny; lecz była to już tylko albo jakaś straszna a niewyraźna walka gubiąca się w ciemności, albo jakaś daleka muzyka grana tam, w górze, na ziemi, lecz niesłyszalna na dnie otchłani, w którą zapadła się nieszczęsna dziewczyna. Odkąd była tutaj – znajdowała się w stanie, który nie był ani czuwaniem, ani snem. W tej niedoli, w tym lochu nie odróżniała czuwania od spania, snu od jawy, tak samo jak i dnia od nocy. Wszystko to było zmieszane, rozchwiane, rozproszone w jej głowie. Nie czuła, nie wiedziała, nie myślała, tylko coś się jej roiło, coś się marzyło. Nigdy jeszcze żyjąca istota nie pograżyła się głębiej w nicości.

Odrętwiała, zziębnięta, skamieniała, zaledwie dwa czy trzy razy zwróciła uwagę na zgrzyt drzwi, które otwierały się gdzieś w górze – najmniejszego światełka nie przepuszczając; przez nie to jakaś ręka rzucała jej suchy glon czarnego chleba. A przecież te regularne odwiedziny dozorczy były ostatnim związkiem z ludźmi, jaki jej pozostawał. Ucho jej śledziło machinalnie jeden tylko dźwięk: nad jej głową wilgoć sączyła się między omszałymi kamieniami sklepienia i w jednakowych odstępach czasu spadała z góry kropla wody. Bezmyślnie słuchała plusku kropli wpadającej w kałużę obok niej.

Kropla wody padająca w kałużę był to jedyny ruch tu, w jej lochu, jedyny zegar odmierzający czas, jedyny głos ze wszystkich głosów rozbrzmiewających na powierzchni ziemi, który do niej docierał.

Co by jeszcze rzec o niej? Chyba to, że co pewien czas, w tym cuchnącym dole pełnym błota i mroku, coś zimnego chodziło po jej nodze albo po ramieniu i wtedy drżała.

Od jak dawna była tutaj? Nie wiedziała. Przypominała sobie, że gdzieś na kogoś ogłoszono wyrok śmierci, że ją później wyniesiono i że ocknęła się, zziębnięta, wśród nocy i ciszy. Poczęła czołgać się na rękach – wtedy żelazne obręcze rozkrwawiły kostki jej nóg i zadzwoniły łańcuchy. Stwierdziła, że dookoła jest tylko mur, pod nią kamienna płyta wodą zalana i wiązka słomy. Ani okienka, ani kaganka. Więc usiadła na tej słomie; a czasem, by zmienić pozycję, przysiadła na ostatnim stopniu kamiennych schodków, który się znajdował w jej ciemnicy. Próbowwała przez jakiś czas liczyć czarne minuty, które jej odmierzał plusk kropli, lecz ta smutna praca chorego mózgu sama przez się szybko się urwała i dziewczyna znów zapadła w odrętwienie.

Aż wreszcie jakiegoś dnia czy też jakiejś nocy (bo północ i południe tę samą barwę miały w tym grobie) usłyszała w górze hałas, głośniejszy od tego, jaki zwykł był czynić strażnik przynoszący jej chleb i wodę w dzbanie. Podniosła głowę i zobaczyła czerwonawe światło w szparach drzwi czy raczej klapy umieszczonej w sklepieniu tego *in pace*. I w tejże chwili szcęknięto ciężkie żelazo, drzwi skrzypnęły w swych zardzewiałych zawiasach, obróciły się i ujrzała latarnię, rękę i dwie męskie postacie, do pasa tylko, drzwi bowiem były zbyt niskie, żeby mogła ujrzeć ich głowy. Światło zraniło ją tak boleśnie, że zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, drzwi były zamknięte, kaganek palił się na kamiennym stopniu schodów, a przed nią stał tylko jeden człowiek. Czarny habit spadał mu aż do stóp, kaptur tejże barwy zakrywał twarz. Nic w nim nie było widzialne, ani ręce, ani lica. Był niby długi stojący całun, pod którym coś się poruszało. Dziewczyna przez kilka minut wpatrywała się uporczywie w to swego rodzaju widmo. Lecz nie przemówili – ani ona, ani ono. Rzekłbyś, że przyglądają się sobie dwa posągi. Wydawało się, że w tym lochu tylko dwie rzeczy są żywe – knot latarni trzaskający w wilgotnym powietrzu i kropla wody spadająca ze sklepienia, która akompaniowała nierównomiernemu skwierczeniu knota swym monotonnym pluskiem, i w nierówne, rozedrgane koncentryczne kręgi rozprawadzała światło latarni po oleistej powierzchni kałuży.

Wreszcie uwieczona przerwała milczenie:

– Kim jesteś?

– Księdzem.

Słyszając to słowo i dźwięk tego głosu zadrżała. Ksiądz znowu odezwał się głucho:

– Czy jesteś przygotowana?

– Na co?

– Na śmierć.

– O! – rzekła – czy to już wkrótce?

– Jutro!

Głowa jej, która się podniosła radośnie, znów ciężko opadła na pierś.

– Jeszcze tak długo! – szepnęła. Cóż by to im szkodziło, żeby dzisiaj.

– Jesteś więc aż tak bardzo nieszczęśliwa? – zapytał ksiądz po chwili milczenia.

– Bardzo mi zimno – odpowiedziała.

Objęła dłońmi stopy – ruch ten, wspólny wszystkim nieszczęśliwym, którym zimno, widzieliśmy już u pustelnicy z Wieży Rolanda – i zęby jej zadzwoniły.

Ksiądz jakby rozglądał się po lochu spod kaptura.

– Bez światła! Bez ognia! W wodzie! Straszne!

– Tak – odpowiedziała z wyrazem zdziwienia, które nieszczęście nadało jej twarzy. – Dzień jest dla wszystkich. Czemu mnie dana jest tylko noc?

– Czy wiesz – odezwał się ksiądz po chwili milczenia – dlaczego jesteś tutaj?

– Zdaje mi się, że kiedyś wiedziałam – odpowiedziała przesuwając chudymi palcami po czole, jakby chciała pomóc swej pamięci – ale już zapomniałam. :

I nagle zaczęła płakać jak dziecko.

– Chciałabym stąd wyjść, panie. Zimno mi, boję się, jakieś robaki łążą po mnie.

– A więc pójdź za mną.

Mówiąc to ujął ją za ramię. Nieszczęśliwa była przemarznięta na wskroś. Ale dotknięcie tej dłoni przejęło ją jeszcze większym chłodem.

– O! – szepnęła – to lodowa dłoń śmierci. Ktoś ty?

Ksiądz podniósł kaptur. Spojrzała. Była to ta sama posepna twarz, która prześladowała ją już od tak dawna, ta sama głowa szatana, która ukazała się jej u Falurdelichy nad ukochaną głową Febusa, to samo oko, które, kiedy widziała je po raz ostatni, zabłysło tuż przy ostrzu sztyletu.

To zjawienie, tak dla niej zawsze złowieszcze, które z niedoli w niedolę wepchnęło ją aż w tortury, wyrwało dziewczynę z odrętwienia. Jakby rozdarła się ta jakaś zasłona, co gęstą tkaniną legła na jej pamięci. Wszystkie szczegóły rozpaczliwej przygody, od nocnej sceny u Falurdelichy aż po ogłoszenie wyroku śmierci w Tournelle, powróciły do jej świadomości równocześnie, już nie rozchwiane i nie chaotyczne, jak do tej pory, ale wyraźne, ostre, określone, pulsujące krwią, straszne. Posepna twarz, którą zobaczyła przed sobą, ożywiła te na wpół wyblakłe, niemal zatarte już nadmiarem cierpienia wspomnienia, podobnie jak bliskość ognia ostro uwydatnia na czystej karcie papieru niewidzialne litery, wypisane sympatycznym atramentem. Zdało się jej, że wszystkie rany jej serca równocześnie otwierają się i krwawią.

– Ach! – krzyknęła drżąc konwulsyjnie i rękami zakrywając oczy – to ksiądz!

Potem bezwładnie opuściła ręce i siedziała ze spuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym w ziemię, niema, drżąca.

Ksiądz patrzył na nią spojrzeniem kani, która długo zataczała w powietrzu koła nad biednym, skulonym w zbożu skowronkiem, długo i ostrożnie zmniejszała potężne kręgi swego lotu i nagle spadła na swą zdobycz jak strzała błyskawicy i trzyma ją, drgającą, w swych szponach.

Zaczęła szeptać cichutko:

– Dobij, dobij! Dobij mnie! – i ze strachu wtuliła głowę w ramiona jak owieczka czekająca na uderzenie obucha rzeźnika.

– Boisz się mnie? – zapytał wreszcie.

Nie odpowiedziała.

– Boisz się mnie? – powtórzył.

Wargi jej ściągnęły się jakby w uśmiechu.

– Tak – rzekła – kat szydzi ze skazanej na śmierć ofiary. Już od miesiący ściga mnie, grozi mi, straszy. Gdyby nie on, o mój Boże, jakże byłabym szczęśliwa! To on mnie wtrącił w tę otchłań! O nieba! to on zabił... to on go zabił, mojego Febusa!

Zaniosła się płaczem i spojrzała na księdza.

– O nędzniku, kim ty jesteś? Co ja ci zrobiłam? Za co mnie nienawidzisz? O męko! Za co mnie prześladujesz?

– Kocham cię! – krzyknął ksiądz.

Przestała płakać w jednej chwili. Patrzyła na niego, jakby nagle rozum postradała. A on upadł na kolana i ogarnął ją pałającym wzrokiem.

– Czy słyszysz? Kocham cię! – krzyknął znowu.

– Cóż to za miłość! – rzekła nieszczęśliwa drżąc cała.

Odpowiedział:

– Miłość potępieńca.

Oboje trwali w milczeniu przez kilka chwil, zmiażdżeni ciężarem swoich wzruszeń – on obłąkany, ona otepiała.

– Posłuchaj! – rzekł wreszcie ksiądz. Jakiś dziwny spokój go ogarnął. – Posłuchaj, dowiesz się wszystkiego. Powiem ci to, co do tej pory rzadko kiedy ośmielałem się rzec samemu sobie, kiedy badałem ukradkiem swe sumienie w godzinach głębokiej nocy, które są tak ciemne, iż zda się, że sam Bóg nas nie widzi. Posłuchaj! Nim cię spotkałem, dziewczyno, byłem szczęśliwy.

– I ja! – westchnęła cichutko.

– Nie przerywaj mi! Tak, byłem szczęśliwy, a przynajmniej zdawało mi się, że Jestem szczęśliwy. Byłem czysty, miałem duszę pełną przejrzystej jasności. Nikt nie trzymał głowy wyżej i dumniej ode mnie. Księża do mnie przychodzili po radę w kwestiach moralności, doktorzy – po radę w kwestiach nauki. Tak, nauka była dla mnie wszystkim; była mi siostrą i ta siostra mi wystarczała. Inne wprawdzie pragnienia zaczęły się także zjawiać z wiekiem. Niejeden raz ciało moje doznawało wzruszenia na widok kształtów kobiecych. Ta siła płci i krwi męskiej, o której, szalony młodzieniec, sądziłem, że na zawsze ją stłumił w sobie, niejeden raz szarpnęła łańcuchem żelaznych ślubów, który przykuł mnie, nędznego, do chłodnych kamieni ołtarza. Ale post, modlitwa, nauka, klasztorne umartwienia sprawiały, że dusza odzyskiwała władzę nad ciałem. Prócz tego unikałem kobiet. Dość mi było zresztą otworzyć księgę, by wszelkie nieczyste wyziewy mego mózgu rozwiały się wobec blasku nauki. W kilka chwil to, co ziemskie i grube, oddalało się ode mnie, odzyskiwałem równowagę i pogodę ducha, czułem zachwyt w obliczu spokojnego promieniowania wiecznej prawdy. Dopóki szatan zsyłał mi na pokuszenie tylko niewyraźne cienie kobiet, które się czasem przesuwają przed moimi oczyma w kościele, na ulicy, na łące i które rzadko powracały w snach – pokonywałem pokusę bez trudu. Niestety! Jeśli nie odniósł zwycięstwa – jest to wina Boga, który nie dał równej siły człowiekowi i szatanowi. Posłuchaj! Pewnego dnia...

Tu ksiądz przerwał i dziewczyna usłyszała, że z piersi jego wyrwało się westchnienie podobne do rżężenia konających.

Znów mówić zaczął:

– Pewnego dnia stałem w oknie mojej celi... Jakąż to czytałem księgę? O, to wszystko wiruje mi w głowie! Czytałem. Okno było otwarte na plac. Usłyszałem muzykę i dźwięk bębenka. Zagniewany, że mi przerwano rozważania, spojrzałem. To, com ujrzał, widzieli przecież i inni ludzie, a jednak nie był to widok dla oczu człowieka. Tam, na placu, na bruku – a było samo

południe, słońce grzało tańczyła jakaś istota. Istota tak piękna, że Bóg dałby jej pierwszeństwo przed Najświętszą Panną, że ją obrałby sobie na matkę, że z niej chciałby się narodzić, gdyby żyła wtedy, kiedy on stał się człowiekiem. Oczy jej były czarne i promienne. Pasemka jej czarnych włosów, prześwietlone słońcem, jaśniały jak złote nitki. Nogi jej były niewidoczne w ruchu, jak szprychy zawrotnie obracającego się koła. Wokół głowy, wpięte w jej czarne warkocze, płytki metalowe połyskiwały w słońcu tworząc nad jej czołem koronę z gwiazd. Jej suknia, usiana cekinami, świeciła, błękitna i migotliwa od iskierek, jak letnia noc. Ramiona jej, smukłe i śniade, oplatały się i rozplatały dokoła kibici jak dwie wstążki. Kształt ciała był zdumiewająco piękny. O, ta postać promienna, nawet w jasnym świetle słońca jaśniejąca... Niestety, to ty byłaś, dziewczyno! A ja zapatrzyłem się w ciebie, zdziwiony, upojony, oczarowany. Tak się zapatrzyłem, że nagle zadrżałem z lęku. Uczułem, że mnie dosięgło przeznaczenie.

Udręczony ksiądz znów przerwał na chwilę. Po czym mówił dalej:

– Już na pół oczarowany, próbowałem uchwycić się czegoś, zatrzymać w moim upadku. Przypomniałem sobie sidła, jakie już zastawiał na mnie szatan. Istota, którą miałem przed oczyma, była piękna tą nadludzką urodą, która może być rodem tylko z nieba albo z piekła. Nie była to zwykła dziewczyna, z odrobiny ziemskiej gliny ulepiona i skąpo rozświetlona od wnętrza wątlm płomykiem kobiecej duszy. Był to anioł – ale anioł ciemności, z płomienia, nie ze światła. Kiedy to sobie pomyślałem, zobaczyłem obok ciebie kozę, nieczyste zwierzę sabatów, która śmiała się patrząc na mnie. W południowym słońcu jej rogi były jak z ognia. I wtedy odgadłem, że to szatańskie sidła, i już nie wątpiłem, żeś przyszła z piekła i żeś przyszła na mą zgubę. Uwierzyłem w to.

Tu ksiądz spojrział w oczy dziewczynie i dodał surowo:

– I jeszcze w to wierzę... A jednak czar działał coraz silniej; twój taniec wirował mi w mózgu; czułem, że się spełnia we mnie zły, tajemniczy urok. Usypiało w mej duszy to, co czuć powinno; i jak ci, co umierają zasypiani śniegiem, z rozkoszą pozwalałem się ogarniać senności. Nagle zaczęłaś śpiewać. Co miałem uczynić, nędzny i słaby? Twój śpiew był jeszcze bardziej urzekający niż twój taniec. Chciałem uciec. Nie mogłem. Byłem jak przygwożdżony, jak wrośnięty w ziemię. Zdawało mi się, że marmur posadzki sięga mi aż po kolana. Trzeba było dotrzeć do końca. Nogi moje były jak z lodu, głowa gorzała. Wreszcie – może ulitowałaś się nade mną, boś przestała śpiewać i znikła. Błaski oślepiającego widzenia, dźwięki czarodziejskiej muzyki zamierały stopniowo w moich oczach i w moich uszach. Upadłem na framugę okna, bardziej sztywny i bardziej bezwładny od przewróconego posągu. Obudził mnie dzwon wzywający na nieszpory. Podniosłem się, uciekłem; lecz zawaliło się we mnie coś, co się już nie mogło podnieść, pojawiło się we mnie coś, od czego nie mogłem uciec.

Znów przerwał i znów odezwał się:

– Tak, od tego dnia zamieszkał we mnie obcy mi człowiek. Próbowałem wszystkich znanych mi leków: klasztoru, ołtarza, pracy, ksiąg. Nadaremnie! O jakże pusty jest głos nauki, kiedy się o nią rozpaczliwie uderza głową pełną namiętności! Czy wiesz, dziewczyno, co widywałem odtąd zawsze między sobą a księgą? Ciebie, twój cień, obraz jasnego zjawiska, które pewnego dnia przemknęło przede mną. Ale ten obraz zmienił barwę – był ponury, żalobny, ciemny jak czarne koło, które długo prześladuje wzrok nierozważnego śmiałka, co się zapatrzył w słońce.

Nie mogłem się uwolnić od ciebie, ciągle mi dźwięczała w głowie twoja piosenka, twoje stopy ciągle tańczyły po moim brewiarzu, każdej nocy postać twoja zjawiała się we śnie i tuliła się do mnie; zapragnąłem ujrzeć cię jeszcze raz, dotknąć, dowiedzieć się, kim jesteś, zobaczyć, czy naprawdę wydasz mi się podobna do idealnego obrazu, który mi pozostał w pamięci. A nuż mój sen rozprysnie się o jawę? W każdym zaś razie spodziewałem się, że nowe wrażenie zatrze tamto

pierwsze – tamto stało się dla mnie nie do zniesienia. I zobaczyłem cię znowu. O rozpaczy! Kiedy cię po raz drugi ujrzałem, zapragnąłem oglądać cię PO tysiąc razy, zapragnąłem oglądać cię nieustannie. A wtedy – jakże miałem zatrzymać się na tej piekielnej pochyłości? – a wtedy straciłem władzę nad sobą. Szatan skrępował mi skrzydła, a drugi koniec sznura przywiązał do twojej nogi. Stałem się bezdomnym włóczęgą jak ty. Czekałem na ciebie pod podcieniami, czatowałem na ciebie za węglami domów, śledziłem cię z wysokości mojej wieży. Każdego wieczora powracałem coraz bardziej oczarowany, coraz bardziej nieszczęśliwy, coraz bardziej opętany, coraz bardziej zatracony.

Dowiedziałem się, kim byłaś; Cyganką, Egipcjanką! Jak tu nie wierzyć w czary? Posłuchaj! Przyszło mi na myśl, że może proces uwolni mnie od uroku. Czarownica rzuciła czar na Brunona d’Asti; kazał ją spalić i ozdrowiał. Wiedziałem o tym. Chciałem spróbować tego leku. Na początek spróbowałem zabronić ci wstępu na plac przed katedrą Marii Panny, myślałem, że nie widując cię – zapomnę. Ale nie usłuchałaś zakazu. Przychodziłaś. Później przyszło mi na myśl porwanie. Spróbowałem pewnej nocy. Byliśmy we dwóch. I już mieliśmy cię, kiedy się zjawił ten nikczemny oficer. Uwolnił cię. Tak się zaczęło twoje, moje i jego nieszczęście. W końcu, nie wiedząc już, co począć, co uczynić, oskarżyłem cię przed oficjałem. Myślałem, że ozdrowię jak Brunon d’Asti. Myślałem również wstydliwie, po cichu, że proces wyda cię w moje ręce, że w więzieniu zdobędę cię, że będziesz moja, że stąd mi nie umkniesz, żeś zbyt długo miała mnie w swojej władzy i że nadszedł czas, bym ja z kolei posiadał cię. Kiedy się czyni zło, trzeba je czynić do końca! Biada temu, kto w zbrodni zatrzyma się na połowie drogi. Bo u jej kresu leży radosne upojenie. Ksiądz i czarownica mogą się tu zespolić w rozkoszy na garści więziennej słomy!

Więc oskarżyłem cię. I wtedy to zaczęłaś się bać spotkania ze mną. Spisek, który przeciw tobie knułem, burza, która się gromadziła nad twoją głową, moją ręką sprowadzona, buchała ze mnie groźbą i gromem. Mój zamiar był tak przerażający, że sam się przed nim cofałem.

Może poniechałbym go, może ta myśl obrzydła uschłaby w mózgu moim nie wydając owocu. Sądziłem, że wdrożenie czy przerwanie procesu będzie zawsze zależało ode mnie. A wszelka grzeszna myśl jest nieubłagana i musi stać się czynem; ale tam, gdzie mniemałem, że wszechpotężny, przeznaczenie było silniejsze ode mnie. Biada mi, biada! To ono cię pochwyliło, to ono cię wrzuciło w straszliwe tryby maszyny, którą ja potajemnie zbudowałem! Posłuchaj! Kończę już.

Pewnego dnia – był to dzień równie słoneczny – spotykam człowieka, który wymawia twoje imię śmiejąc się i bezwstyd ma w oczach. Potępienie! Poszedłem za nim. Resztę wiesz.

Umilkł. A dziewczyna tylko jedno słowo znalazła w odpowiedzi:

– Febus!

– O, nie! – rzekł ksiądz gwałtownie ujmując ją za rękę – nie wymieniaj tego imienia! To ono zgubiło nas wszystkich, nieszczęsnych. A raczej – myśmy się wszyscy zgubili nawzajem w niepojętej grze przeznaczenia! Cierpisz, prawda? Zimno ci, noc cię oślepiła, zamknęły się za tobą drzwi ciemnicy, ale może masz jeszcze gdzieś w sobie jakiś promyk światła, choćby tę twą dziecinną miłość do pustego, marnego człowieka, który się bawił twoim sercem. A ja w sobie noszę ciemnicę; w sobie noszę zimę, lód, rozpacz; noc mam w duszy. Czy wiesz, ile wycierpiałem? Byłem obecny na twoim procesie. Siedziałem w ławie delegatów oficjała. Tak, pod jednym z mnisich kapturów kryła się wykrzywiona męką twarz potępieńca. Byłem tam, kiedy cię wprowadzono; byłem tam, kiedy cię przesłuchiowano. W tej wilczej norze! To była moja zbrodnia, moja to szubienica stanęła przy tobie. Zeznawali świadkowie, przedkładano dowody, padały oskarżenia – a ja tam byłem; mogłem policzyć wszystkie twoje kroki na drodze męki; i byłem tam, kiedy ten zwierz krwiożerczy!... O, nie przewidziałem tortury! Posłuchaj!

Poszedłem za tobą do tej izby cierpienia. Widziałem, jak cię rozbierano, jak cię półnagą pochwyciły haniebne ręce katów. Widziałem, jak twoją stopę – tę stopę, którą za cenę cesarstwa chciałyby raz tylko ucałować przed śmiercią, tę stopę, pod którą z rozkoszą położyłbym własną głowę, gdybyś ją zdeptać chciała – widziałem, jak twą stopę zaciskają w straszliwym bucie, który członki żywego człowieka przemienia w krwawe błoto. O, nędzny! Patrzyłem na to i przeorałem sobie pierś sztyletem, który pod habitem ukryłem. Kiedy krzyknęłaś – wbiłem go w ciało; gdybyś krzyknęła po raz wtóry – przebiłbym sobie serce! Spójrz! Chyba rana jeszcze krwawi.

Rozchylił sutannę. Rzeczywiście, pierś miał jakby pazurami tygrysa poszarpaną, a z boku nie zasklepioną jeszcze dużą ranę.

Uwięziona cofnęła się ze zgrozą.

– O! – rzekł ksiądz – zmiłuj się nade mną, dziewczyno! Sądzisz, że jesteś nieszczęśliwa... nie wiesz nawet, co to jest nieszczęście. O! kochać kobietę! I być księdzem! Być znenawidzonym! Kochać ją całą wściekłością duszy, czuć, że za jej jeden uśmiech oddałoby się krew, serce, imię, zbawienie, nieśmiertelność i wieczność, żywot ziemski i nieziemski; żałować, że nie jest się królem, geniuszem, cesarzem, archaniołem – Bogiem, by w większej potędze lec jak niewolnik u jej stóp; dniem i nocą obejmować ją myślą i marzeniem, i widzieć ją zakochaną w żołnierskim mundurze! I móc ofiarować jej tylko zbrukaną sutannę, której się lęka, która jest jej wstrętą! Z zazdrością i wściekłością w duszy oglądać, jak obdarowuje skarbami swej miłości i urody marnego, pustego pyszałka! Oglądać, jak to ciało, którego sam widok pali, jak ta pierś aksamitna drży i rozgrzewa się od pocałunków innego! O nieba! Kochać jej stopę, jej rękę, jej ramię, śnić o błękitnych żyłkach, o śniadej skórze i po całych nocach wieć się z pożądania po kamiennej podłodze celi – i zobaczyć, jak te pieszczoty, któreś wymarzył dla niej, przemieniają się w mękę. Położyć ją na łożu, ale na skórzanym łożu tortury! O! to dopiero są prawdziwe katowskie obcęgi, rozpalone w ogniu piekła! O! szczęśliwy ten, którego tną piłą, ten, którego końmi rozrywają! Czy ty znasz tortury, które przez długie godziny nocy zadaje człowiekowi krew, która wrze w żyłach, serce, które krwawi, głowa, która pęka, i zęby, które wbijają się w ręce?... nieustępliwi oprawcy, którzy bez chwili wytchnienia obracają cię na rozpalonej kracie wykutej z miłości, zazdrości i rozpacz! Dziewczyno, łaski! ulgi! Rzuć na ten żar garść popiołu! Zaklinam cię, zetrzyj pot, co wielkimi kroplami spływa z mego czoła! Dziecko! torturuj mnie jedną ręką, lecz pieść drugą! Zmiłuj się, dziewczyno, ulituj się nade mną!

Ksiądz tarzał się po mokrej posadzce i bił głową o kanty kamiennych schodów. Dziewczyna słuchała i patrzyła. Kiedy umilkł, wyczerpany, i tylko dyszał ciężko, powtórzyła półgłosem:

– O mój Febusie!

Ksiądz poczołgał się ku niej na kolanach.

– Błagam cię! – krzyknął – jeżeli masz serce, nie odpychaj mnie! O, kocham cię! Jakże jestem udęczony! Kiedy wymawiasz to imię, nieszczęsna, to jakbyś przegryzała wszystkie żyły mojego serca. Łaski! Jeśli przyszedł z piekła – pójdę za tobą do piekła. Zasłużyłem na nie. Piekło, w którym ty jesteś, będzie dla mnie rajem, twój widok jest mi rozkoszniejszy od widoku Boga. O, powiedz, przecież nie odepchniesz mnie! Jeśliby kobieta tak wielką miłość odepchnęła – toby się chyba góry poruszyły tego dnia. O, gdybyś zechciała!... Jakże moglibyśmy być szczęśliwi! Ucieklibyśmy... pomógłbym ci uciec... znaleźlibyśmy takie miejsce na ziemi, gdzie jest najwięcej słońca, drzew i pogodnego nieba. I tam byśmy się kochali i w jedno zespolili obie nasze dusze, i nigdy nie nasycone pragnienie siebie gasilibyśmy razem z czary miłości, która nigdy nie wysycha.

Przerwała mu głośnym, straszonym śmiechem:

– Spójrz, mój ojcze! Masz krew za paznokciami.

Ksiądz jak skamieniały stał przez kilka chwil i przyglądał się swym rękóm.

– Dobrze więc! – odezwał się wreszcie dziwnie łagodnie – znieważaj mnie, drwij ze mnie, depcz! Ale pójdz, pójdz! Spieszmy się! To już jutro, mówię ci. Szubienica na placu Grève, wiesz? Jest zawsze gotowa. Straszne! Zobaczyć, jak cię tam przywożą na więziennym wózku! O, łaski! Nigdy jeszcze nie czułem tak silnie, jak bardzo cię Kocham. Pójdz za mną! Pokochasz mnie później, kiedy cię już uratuję. Będiesz mnie nienawidziła tak długo, jak zechcesz. Ale chodź! Jutro! Jutro! Szubienica! Twoja śmierć! Uratuj mnie, oszczędź!

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą, nieprzytomny. Utkwiła w nim nieruchome spojrzenie:

– Co się stało z Febusem?

– O! – rzekł ksiądz puszczać jej dłoń – nie masz litości!

– Co się stało z Febusem? – powtórzyła obojętnie.

– Umarł! – krzyknął ksiądz.

– Umarł? – rzekła, lodowata i nieruchoma. – Więc po co mi mówisz o życiu?

Nie słyszał jej.

– O, tak – rzekł jakby do siebie – niewątpliwie umarł. Ostrze weszło głęboko. Zdaje mi się, że sięgnął aż do serca. Czułem to, sztylet był żywym przedłużeniem mojej ręki.

Dziewczyna rzuciła się na niego jak rozjuszona tygrysica i pchała go po stopniach schodów z jakąś nadludzką siłą.

– Idź precz, potworze! Idź precz, morderco! Pozwól mi umrzeć! Niechaj krew nas obojga spadnie na twoje czoło wieczną płamą! Twoją być, księżo? Nigdy! Nigdy! Nic nas nie połączy! Nawet piekło! Idź, przeklęty, nigdy!

Ksiądz potknął się na schodach. W milczeniu uwolnił stopy zaplątane w fałdach sutanny, wziął do ręki latarnię i zaczął iść wolno po stopniach prowadzących do drzwi; otworzył je i wyszedł. Nagle głowa jego znów się pojawiła w otworze; z przerażającym wyrazem twarzy krzyknął dziewczynie głosem charczącym z gniewu i rozpacz:

– Powiadam ci, że umarł!

Upadła twarzą do podłogi i cisza zaległa ciemnicę; tylko słyhać było plusk kropeł wody rozpryskujących się po ciemku w kałuży.

V

MATKA

Nie ma chyba na świecie nic radośniejszego niż myśli, jakie budzi w sercu matki widok małego dzieciennego trzewiczka. Zwłaszcza jeśli jest to trzewiczek świąteczny, niedzielny, od chrztu; trzewiczek, haftowany nawet i na podszewce; trzewiczek, w którym dziecko nie zrobiło jeszcze ani jednego kroku. Ten bucik jest taki śliczny i malutki, i tak zupełnie do chodzenia nieprzydatny, że kiedy matka go zobaczy, to jakby własne dziecko zobaczyła. Śmieje się do trzewiczka, mówi i całuje go, i dziwi się: czy to możliwe, żeby naprawdę istniała taka mała nóżka; i choćby dziecka przy niej nie było, wystarczy jej spojrzeć na trzewiczek, by stanęło jej przed oczyma miłe i delikatne stworzonko. Zdaje jej się, że je widzi, i widzi je w całej malutkiej postaci, żywe, wesole, widzi drobne raczki, okrągłą główkę, czyste usta, pogodne oczy, w których biało jest niebieskie. Jeśli jest to w zimie – raczkuje koło niej po dywanie, pracowicie przelazi przez stołeczek, a matka drży, żeby nie podeszło do ognia. Jeśli jest to w lecie – raczkuje po podwórzu, po ogrodzie, wrywa trawki rosnące między kamieniami, którymi wyłożono

ścieżki, naiwnie i bez lęku przygląda się wielkim psom, wielkim koniom, bawi się muszelkami, kwiatkami, a ogrodnik gniewa się, bo znalazł piasek na grządkach i ziemię na wybrukowanych alejkach. Wszystko dokoła śmieje się, błyszczy i bawi, jak ono samo, wszystko, nawet wiaterek i słoneczny promyk swawolące wśród jego kędziorków. Trzewiczek pokazuje matce to wszystko i jej serce topnieje za jego sprawą jak wosk na ogniu.

Ale kiedy dziecka już nie ma – te radosne, ładne i wzruszające obrazy, gromadzące się wokół trzewiczka, stają się czymś strasznym. Śliczny haftowany bucik staje się narzędziem tortury i wiecznie rozrywa serce matki. Drga w nim wiecznie ta sama struna, struna najczulsza i najgłębsza – ale nie anioł struny dotyka, lecz szatan ją szarpie.

Pewnego ranka, kiedy majowe słońce wstawało na niebie nasyconym błękitem – na tle takiego właśnie nieba Garofalo lubił umieszczać swoje Zdjęcia z krzyża – pustelnica z Wieży Rolanda usłyszała turkot kół, tupot koni i brzęk żelaza na placu Grève. Drgnęła niechętnie, nasunęła włosy na uszy, żeby nie słyszeć i dalej wpatrywała się na klęczkach w martwy przedmiot swej adoracji już od piętnastu lat. Ten trzewiczek, jak już czytelnik wie, był dla niej wszechświatem. W nim została zamknięta jej świadomość i opuścić go miała dopiero w chwili śmierci. Ile gorzkich złorzeczeń, rozdzierających skarg, modłów i szlochów posłała ku niebu wpatrując się w to cacko z różowego jedwabiu – o tym wiedziała tylko ciemna cela Wieży Rolanda. Nigdy chyba rozpacz nie oblewała łzami milszego i śliczniejszego przedmiotu.

Tego ranka ból pustelnicy objawiał się chyba jeszcze gwałtowniej niż zwykle i słychać było z ulicy jej głośny i monotony lament, od którego się ludziom ścisnęło serce.

– O moja córko – mówiła – moja córeczko, moje biedne, ukochane dzieciątko, a więc już cię nigdy nie zobaczę! Więc wszystko skończone! Mój Boże, mój Boże, po coś mi ją dawał, jeśli tak szybko zabrać miałeś? Czyżbyś nie wiedział, że dziecko jest częścią wnętrza matki i że matka, która dziecko straciła, przestaje wierzyć w ciebie? O, ja podła, dlaczego wyszłam z domu tamtego dnia!... Panie! Panie! Czemuś mi ją zabrał? Chybaś nigdy nas nie oglądał razem, chybaś nie widział, jak się cieszyła siedząc ze mną w ciepłym kominku, jak się do mnie śmiała ssąc moją pierś... jak do ust podnosiłam jej malutkie nóżki, jak je tuliłam do piersi? Gdybyś spojrzął na nas. Boże, ulitowałbyś się nad moją radością, nie odebrałbyś mi jedynej miłości, jaka w moim sercu pozostała. Czyż byłam aż tak nikczemnym stworzeniem, o Panie, żeś mnie potępił nie racząc nawet spojrzeć na mnie? Biada mi, biada, oto trzewiczek, a gdzie nóżka, gdzie reszta, gdzie dziecko? Moja córko, moja córeczko, co oni z tobą zrobili? Panie, oddaj mi ją! Przez piętnaście lat wyklęczałam kolana modląc się do ciebie. Boże, czy nie dosyć już? Oddaj mi ją na dzień, na godzinę, na minutę... na minutę, Panie – a potem na wieczność wydaj mnie szatanom! O, gdybym wiedziała, gdzie znaleźć połę twojej szaty, tobym się jej uczepliła obydwoma rękami i musiałbyś mi oddać moje dziecko! Czy nie żal ci. Panie, tego małego trzewiczka? Czy możesz skazywać biedną matkę na piętnaście lat katuszy? Przenajświętsza Panno, Przenajświętsza Panno w niebie! Mojego Jezuska zabrali mi, ukradli i zjedli na wrzosowisku, i wypili jego krew, i wyskali jego kości. Przenajświętsza Panno, zmiłuj się nade mną! Moja córka! Muszę mieć moją córkę! Co mi z tego, że jest w raju? Nie chcę waszego anioła, chcę mojego dziecka! Jestem lwicą, chcę mieć moje lwiątko. O, będę się tarzać po ziemi i będę głową rozbijać kamienie, i zgubię moją duszę, i przeklnę ciebie. Panie, jeśli mi nie oddasz me, dziecka! Widzisz przecie, że całe ręce mam pokąsane. Panie! Czyżbyś, óh Boże, nie znał litości? O! wystarczy mi czarny chleb i sól, bylebym miała córkę byleby mnie ogrzała jak słońce! Biada mi! Boże mój i Panie, jam nędzy grzesznica, ale córka pobożną mnie uczyniła. Przez miłość dla niej odzyskałam wiarę i poprzez jej uśmiech oglądałam ciebie, jak przez otwór w niebiesiech. O gdybym mogła choć raz jeszcze, choć jeden jedyny raz wsunąć jej małą różową nóżkę w ten trzewiczek – umarłabym. Przenajświętsza Panno, błogosławiąc ciebie! Ach, piętnaście lat! Byłaby już duża!...

Nieszczęśliwe dziecko! Jak to? Więc to prawda, więc już jej nigdy nie zobaczę, nawet w niebie? Bo ja nie pójdę do nieba... O niedolo! Pomyśleć, że to jest jej trzewiczek– i że nic więcej już nie ma!

Nieszczęśliwa przypadła do trzewiczka, pocieszenia swego i swej rozpaczki już od tylu lat, i wnętrznościami jej szarpnął szloch taki sam jak pierwszego dnia. Bo dla matki, która utraciła dziecko, każdy dzień jest tym pierwszym dniem. Ten ból nie starzeje się. Żałobne suknie spierają się i blakną – ale serce czernieje na zawsze.

W tej chwili usłyszała świeże i radosne głosy dzieci przebiegających koło celi. Ilekroć nieszczęśliwa matka usłyszała lub ujrzała dziecko, zaszywała się w najciemniejszy kąt swego grobu i rzekłaby, że usiłuje wtulić głowę w kamień, żeby się schronić przed tym głosem. Lecz tym razem jakby nagle ocknęła się i zaczęła chciwie słuchać. Jakiś chłopiec powiedział:

– A bo to dziś mają wieszać Cyganę.

Nagłym ruchem owego pająka, który – widzieliśmy to – rzucił się na muchę, skoro tylko drgnęła jego sieć, podbiegła do okienka wychodzącego na plac Grève, jak wiadomo. Rzeczywiście, przy szubienicy stała drabina i pacholek katowski czyścił łańcuchy zardzewiałe od deszczu. Pod szubienicą zaczęli już zbierać się gapię.

Roześmiana gromadka dzieci była już daleko. Pustelnica poszukała oczami przechodnia, którego by mogła zapytać. Tuż obok celi zobaczyła księdza; stał, niby to czytając z publicznego brewiarza, lecz bardziej niż „Pismo święte zamknięte za kratą” ciekawiła go szubienica i rzucał na nią co chwila ponure, niedobre spojrzenia. Poznała wielbego archidiakona jozajskiego, świętego człowieka.

– Ojciec – zapytała – kogo mają wieszać?

Ksiądz spojrział na nią i nie odpowiedział. Zapytała po raz wtóry. Wtedy rzekł:

– Nie wiem.

– Dzieci mówiły, że Cyganę.

– Mniemam, że tak – odparł ksiądz.

Stokrotka-Wiosenka zaśmiała się chichotem szakala.

– Siostrze – rzekł archidiakon – czy tak bardzo nienawidzicie Cyganek?

– Czy ich nienawidzę – krzyknęła pustelnica – to upiorzyce, złodziejki dzieci! Pożarły moją córeczkę, moje dziecko, moje jedyne dziecko! Nie mam już serca, one mi je zjadły.

Była straszna. Ksiądz patrzył na nią obojętnie.

A szczególnie jednej nienawidzę, a szczególnie jedną przeklinam – mówiła – jest młoda, tyle lat miałyby moja córka, gdyby jej matka nie zjadła mi córki. Ile razy ta mała żmija przechodzi koło celi, to się we mnie krew burzy.

– Jeśli tak jest, siostrze, to raduj się! – rzekł ksiądz, chłodny jak posąg na grobie – bo niebawem ujrzysz, jak umiera.

Głowa opadła mu na pierś i wolno odszedł.

Pustelnica aż ręce załamała z radości.

– Przepowiadałam jej, że tam wejdzie! Dziękuję, księżo! – krzyknęła.

I zaczęła chodzić wielkimi krokami przed kratą swego okienka, rozczochrana, z pałającym okiem, ocierając się ramieniem o ścianę, niby dzika wilczyca w klatce, która, głodna już od dawna, czuje, że zbliża się godzina żeru.

VI

TRZY MĘSKIE SERCA NIEPODOBNE DO SIEBIE

Febus nie umarł jednakże. Ludzie tego pokroju mają twarde życie. Kiedy mistrz Filip Lheulier, nadzwyczajny prokurator królewski, powiedział biednej Esmeraldzie: „umiera” – była to pomyłka albo żart. Kiedy archidiakon powiedział skazanej: „umarł” – nic pewnego nie wiedział, wierzył tylko w to, liczył na to, pragnął tego. Zbyt trudno mu było udzielić dobrej wiadomości o rywalu kobiecie, którą kochał. Każdy mężczyzna postąpiłby na jego miejscu tak samo.

Rana Febusa była ciężka, ale nie tak ciężka, jak pochlebiał sobie archidiakon. Znachor, do którego żołnierze z oddziału nocnej straży go zanieśli, przez tydzień lękał się o jego życie i nawet powiedział mu to po łacinie. Młodość jednak zwyciężyła i jak to się często zdarza, wbrew prognozom i diagnozom figlarna natura uratowała chorego na przekór medykowi. Tam to właśnie, kiedy leżał w łóżu u medyka, odwiedził go i przesłuchał po raz pierwszy Filip Lheulier i urzędnicy śledczy oficjała. Było to dlań bardzo przykre. Toteż pewnego ranka, czując się nieco lepiej, zostawił swe złote ostrogi medykowi jako zapłatę za leki i wymknął się cichaczem. Fakt ten w niczym zresztą nie zagmatwał trybu dochodzenia. Ówczesna sprawiedliwość niewiele się troszczyła o ścisłość i rzetelność w procesach kryminalnych. Byleby można było powiesić obwinionego – o resztę niewiele dbano. A sędziowie i tak mieli wystarczającą ilość dowodów przeciw Esmeraldzie. Pomyśleli, że Febus zmarł, i więcej się nim nie zajmowali.

Febus zaś nie uciekł zbyt daleko. Udał się po prostu do swojej kompanii stacjonującej w Queue-en-Brie, w Ile-de-France, kilka przepręgów od Paryża.

Szczerze mówiąc nie palił się zgoła do osobistego wystąpienia w tym procesie. Czuł, że wyszedłby z sądu ośmieszony. W gruncie rzeczy sam już nie wiedział, co ma sądzić o tej całej historii. Niedowiarek, lecz zabobonny jak każdy prawdziwy żołnierz, ilekroć rozmyślał o tej przygodzie, o kozie, o dziwnych okolicznościach, w których po raz pierwszy spotkał Esmeraldę, o nie mniej dziwnym sposobie, w jaki pozwoliła mu odgadnąć, że go kocha, o jej cygańskim pochodzeniu i wreszcie o mnichu-widmie – tylekroć czuł się nieswojo. I w tym wszystkim dopatrywał się raczej czarów niż miłości. Może były to sprawki czarownicy, może diabła, ale na pewno była to komedia czy – żeby się posłużyć ówczesnym językiem – misterium bardzo nieprzyjemne, w którym on sam grał niewdzięczną rolę obitego i wystrychniętego na dudka. Kapitan wolał się do tego nie przyznawać. Wstydził się, a uczucie, jakiego doświadczał, znakomicie określają słowa La Fontaine’a:

Zawstydzony jak lis, który kurze dał się wywieść w pole.

Spodziewał się zresztą, że się nie rozniesie wieść o tej przygodzie, że jeśli go nie będzie, imię jego ledwie że wspomniane zostanie, a w każdym razie nie wyjdzie poza posiedzenie sądu w Tournelle. I nie omylił się, nie było jeszcze wówczas „Gazety Sądowej”, a że każdy tydzień przynosił albo gotowanie fałszerza pieniędzy, albo wieszanie czarownicy, albo palenie heretyka w jednym z niezliczonych miejsc, na których w Paryżu „wymierzano sprawiedliwość” – ludzie tak przywykli do oglądania na każdym rogu starej feudalnej Temidy, z zakasаныmi rękawami zabierającej się do roboty przy szubienicy, stosie i pręgierzu, że mało kto zważał na to. Wytworny świat tamtych czasów rzadko kiedy znał imię skazańca prowadzonego ulicą, i co

najwyżej pospółstwo raczyło się jeszcze tak niewybredną potrawą. Egzekucja była zwykłym widokiem na publicznej drodze, jak ogień przed kuźnią czy bydło przed rzeźnią. Kat był właściwie rzeźnikiem, tyle tylko, że nieco bardziej posępny.

Febus szybko więc odzyskał spokój ducha i przestał się troszczyć o czarodziejkę Esmeraldę czy Similar, jak ją zwał, o cios sztyletem zadany przez Cygankę czy też przez widmo-mnicha (co mu jedno było) i o wynik procesu. A skoro jego serce uwolniło się od tej troski – zjawiał się w nim znowu obraz Lilii. Serce kapitana Febusa, jak ówczesna fizyka, nie uznawało próżni.

Setnie się zresztą wynudził w Queue-en-Brie, miasteczku kowali i doजारek o popękanych rękach, w miasteczku, które długim, półmilowym sznurem lepierek i chat rozciągało się po obu stronach gościńca. Prawdziwy queue, czyli po francusku: ogon.

Lilia była jego przedostatnią namiętnością – ładna dziewczyna, piękne wiano; a więc pewnego ranka, całkiem już zdrowy, słusznie rozumiejąc, że przez dwa miesiące sprawa Cyganki została dawno zakończona i zapomniana, zakochany kawaler osadził konia przed bramą domu Gondelaurier.

Nie zwrócił uwagi na dość liczne zbiegowisko, które się gromadziło na placu przed portalem katedry; był to przecież maj; pomyślał sobie, że będzie pewnie jakaś procesja, jakies Zielone Świątki, jakaś uroczystość – przywiązał konia do pierścienia przy bramie i wesoło pobiegł do swej pięknej narzeczonej.

Była sama z matką.

Scena z czarownicą, z kozą i z przeklętym alfabetem, długa nieobecność Febusa – wszystko to Lilia miała ciągle w sercu. Kiedy jednak ujrzała na progu swego kapitana, taki jej się wydał dorodny w nowym kubraku i połyskującym pasie, i tak namiętnie na nią spojrział, że zarumieniła się z radości. Bo też i panna piękniejsza była niż kiedykolwiek. Bujne jasne włosy zaplotła nad podziw przemyślnie i starannie, suknię miała jasnoblękitną – za radą Kolomby, która ją nauczyła, że blondynkom o jasnej cerze jest w tym kolorze do twarzy – a oczy tęskne i zakochane, z czym jest im jeszcze ładniej.

Febus, który, jeśli chodzi o urodę niewieścią, widywał ostatnimi czasy tylko szynkarki z Queue-en-Brie, był zachwycony Lilią i zaczął nadskakiwać jej tak gorliwie i czule, że natychmiast uzyskał przebaczenie. Nawet pani de Gondelaurier, która jak zwykle siedziała uroczyście w swym wielkim fotelu, nie potrafiła się nań gniewać. A wyrzuty Lilii rozplynęły się w tkliwej rozmowie.

Dziewczyna siedziała przy oknie i ciągle jeszcze haftowała grotę Neptuna. Kapitan stał za jej krzesłem, oparty o poręcz, a ona łajała go półgłosem, pieszczotliwie:

– Co się działo z wami przez te dwa długie miesiące, niedobry?

– Na honor! – odpowiedział Febus, trochę zakłopotany tym pytaniem – taka jesteś piękna, że i arcybiskup musiałby głowę stracić.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Dobrze, dobrze, mój panie. Zostawcie w spokoju moją piękność i odpowiedzcie mi. Widać nawet, jak wam ta piękność miła!

– Powiem wam, droga kuzynko. Wezwano mnie do oddziału.

– A gdzież to, jeśli wiedzieć można, i czemuście się ze mną nie pożegnali?

– W Queue-en-Brie.

Febus był bardzo rad, że odpowiedź na pierwsze pytanie pozwoliła mu pominąć drugie.

– Przecież to bardzo blisko. Czemuście mnie choć raz nie odwiedzili?

Febus zmieszał się nie na żarty.

– Bo to... służba... i widzicie, śliczna kuzyneczko, byłem chory.

– Chory! – powtórzyła, przestraszona.

– Tak... ranny.

– Ranny!

Biedna panienka aż zbladła ze wzruszenia.

– O, nie ma się czego trwożyć – rzekł lekceważąco Febus – to fraszka. Sprzeczką, pchnięcie szpadą... co to was może obchodzić?

– Co mnie to może obchodzić? – zawołała Lilia wznosząc ku górze swe piękne oczy pełne łez. – Chyba nie myślicie poważnie tego, co mówicie? Cóż to za pchnięcie szpadą? Chcę wiedzieć wszystko.

– A więc, droga moja, posprzeczałem się, wiecie, z Mahé Fédy, porucznikiem z miasteczka Saint-Germain-en-Laye, i rozpruliśmy sobie nawzajem po kilka cali skóry. Ot i wszystko.

Blagier kapitan dobrze wiedział, że pojedynek zawsze podnosi mężczyznę w oczach kobiety. Rzeczywiście, Lilia wpatrywała się w niego, wzruszona, z lękiem, radością i podziwem. Jednakże jej podejrzliwość nie całkiem jeszcze ustąpiła.

– Bylebyście tylko Febusie, już naprawdę byli zdrowi – rzekła. – Nie znam waszego Mahé Fédy, ale to zły człowiek. A o co była sprzeczką?

Febus, który nie odznaczał się twórczą wyobraźnią, sam już nie wiedział, jak się wykręcić ze swego walecznego czynu.

– O, czy ja pamiętam?... głupstwo, koń. Jakieś słowo... Miła kuzyneczko – zawołał, by zmienić kierunek rozmowy – cóż to za hałas na placu przed katedrą?

Stanął w oknie.

– O Boże, kuzyneczko, na placu tłumi ludzie.

– Nie wiem – rzekła Lilia – zdaje się, że jakaś czarownica ma odbyć dziś rano przed kościołem publiczną pokutę i że ją potem mają powiesić.

Kapitan przypuszczał, że sprawa Esmeraldy jest już dawno zakończona, i nie, przejął się wcale tym, co powiedziała Lilia. Zapytał tylko:

– Jak się nazywa ta czarownica?

– Nie wiem – odpowiedziała.

– A co zrobiła, czy wiadomo?

Po raz wtóry wzruszyła białymi ramionami.

– Nie wiem.

– O mój Jezu! – odezwała się matka – tyle jest teraz czarowników, że ich palą, zdaje mi się, nie turbując się zbytnio o imię. Tak jakbyś chciał znać imię każde chmurki na niebie! Ale nie trzeba się trwożyć. Pan Bóg wszystko zapisuje.

Tu czcigodna dama podniosła się z fotela i podeszła do okna.

– Panie święty! – rzekła – macie słusność, Febusie. Zbiegło się mnóstwo pospólstwa. Wszelki duch pana Boga chwali! Aż na dachy powłazili! Wiecie, Febusie, to mi przypomina moje młode lata. Wjazd króla Karola VII, kiedy też było tyle ludu... Już nie pamiętam w którym roku. Kiedy takie rzeczy wspominam – wam się zdaje, że to takie stare, prawda? A mnie, że to takie młode... I lud był piękniejszy niż teraz. Powdrapywali się aż na mahikuły bramy Świętego Antoniego.

Król z królową na siodle jechał na przedzie, a za nim rycerze; każdy rycerz miał na siodle swoją damę. Pamiętam, jak się śmiano, bo przy Amanyonie de Garlande, który był bardzo niewielkiego wzrostu, jechał pan de Matefelon, rycerz olbrzymiej postaci, który kupami zabijał Anglików. Jakie to było piękne! Całe rycerstwo Francji w procesji z bojowymi chorągwiami, aż w oczach ćmiło od czerwieni. Jedni mieli herby na tarczach, drudzy na proporcach. Zaraz, jak to było?... Pan de Calan z tarczą; Jan de Châteaumorant z proporcem; pan de Coucy z proporcem tak wspaniałym, jakiego nie miał nikt prócz księcia de Bourbon. Niestety! Jak smutno pomyśleć,

że to wszystko było kiedyś i że nic z tego nie zostało!

Zakochani nie słuchali czcigodnej matrony. Febus znów oparł się o poręcz krzesła swojej narzeczonej; z tego miłego sercu stanowiska rozpustne spojrzenie kapitana mogło się zapuścić we wszystkie rozchylenia jej stanika. A stanik rozchylał się tak akuratnie i tyle mu pięknych rzeczy ukazywał, i tylu innych domyślić się pozwalał, że Febus, zachwycony tą skórą o atlasowym połysku, myślał sobie: „Jakże można kochać inną niż blondynkę?” Milczeli oboje. Dziewczyna kiedy niekiedy podnosiła na niego oczy słodkie i szczęśliwe i włosy ich mieszały się w blasku wiosennego słońca.

– Febusie – rzekła nagle Lilia cichym głosem – mamy się pobrać za trzy miesiące. Przysięgnij mi, że nie kochałeś żadnej kobiety prócz mnie.

– Przysięgam ci, piękny aniele! – odpowiedział Febus, żeby zaś przekonać Lilię, że tak było, do szczerości w głosie dodał namiętność w spojrzeniu. Kto wie? Może sam w to uwierzył na chwilę.

A tymczasem pani matka, zachwycona czułą komitywą narzeczonych, wyszła z komnaty, żeby się zająć jakimiś domowymi sprawami. Febus spostrzegł to, i to sam na sam tak ośmieliło przedsiębiorczego kapitana, że bardzo dziwne pomysły przyszły mu do głowy. Lilia kochała go, był jej narzeczonym, byli sami; dawny pociąg do niej zbudził się w nim na nowo może nie w całej swej świeżości, lecz w całej swej sile; czy jest zbrodnią skosztować zielonej pszeniczki, i to własnej? Nie wiem, czy to właśnie przez myśl mu przeszło, lecz wiem na pewno, że nagle Lilia przelęknęła się wyrazu jego oczu. Rozejrzała się dookoła, ale matki nie było w komnacie.

– O Boże! – rzekła zarumieniona i niespokojna – jak mi gorąco!

– Rzeczywiście – odparł Febus – już południe blisko. Słońce zaczyna doskwierać. Trzeba zasunąć kotarę.

– Nie, nie! – krzyknęła biedna Lilia – przeciwnie, duszno mi.

I jak łania czująca bliskość gończych, zerwała się, podbiegła do okna, otworzyła je i wyszła na balkon.

Febus, nieco zawiedziony, poszedł za nią.

Na placu przed katedrą, na który wychodził balkon, jak wiemy, odbywało się właśnie posępne i niezwykle widowisko; przestrach lękliwej Lili i zmieniał swój charakter pod wpływem tego, co tam ujrzała.

Olbrzymi tłum, wypierany we wszystkie przyległe ulice, zapełnił właściwy plac. Niewielki murek sięgający człowiekowi do bioder, który otaczał dziedziniec katedralny przed portalem, nie powstrzymałby naporu, gdyby go nie wzmocniono gęstym żywopłotem pacholków starościńskiej straży i rusznikarzy z rusznicami w garści. Dzięki tym zasiekom z pik i arkebuzów dziedziniec katedralny był pusty. Wejścia pilnował oddział halabardników ze znakami biskupa. Ogromne wrota katedry były zamknięte, natomiast niezliczone okna wychodzące na plac wszystkie pootwierane, aż po najwyższe okienka poddaszy, a w oknach widniały głowy, mnóstwo głów, jedna przy drugiej, jedna nad drugą, niby kule armatnie ułożone w stos koło działa.

Ta ciżba oglądana z góry była szara, brudna, koloru ziemi. Widowisko, na które czekała, należało widocznie do tych widowisk, które mają przywilej przyciągania tego, co jest wśród ludu najplugawsze. Jakże ohydny był zgielk, jaki czyniło to rojowisko żółtych czepców i rozczochranych kudłów! W tym tłumie więcej było śmiechu niż krzyku, więcej kobiet niż mężczyzn.

Czasami jakiś ostry, przeraźliwy głos przebijał się przez ogólny hałas.

.....
– Hej, Maćku Baliffre! Czy to tu ją będą wieszali?

– Głupiś! Tu się odbędzie publiczna pokuta w koszuli! Dobry Pan Bóg napluje jej w gębę po łacinie! To się zawsze tutaj odbywa w południe. A jeśli masz chęć na szubienicę, to leć na plac Grève.

– Tam później polecę.

.....
– Powiedźcie no, kumo Boucanbry, czy to prawda, że nie chciała spowiednika?

– Tak powiadają, kumo Bechaigne.

– Patrzcie ją, poganka!

.....
– Taki jest zwyczaj, panie. Bajliw Pałacu Sprawiedliwości musi dostarczyć na egzekucję całkowicie osądzoną złoczynię. Jeśli to człowiek świecki, oddaje go staroście, a jeśli to duchowny – oficjałowi.

– Bóg zapłać, panie, już rozumiem.

.....
– O Boże! – odezwała się Lilia – nieszczęsne stworzenie!

Pod wpływem tej myśli spojrzenie, którym powiodła po tłumie gawiedzi, napełniło się żalem. Kapitan, daleko bardziej niż tym zbiegowiskiem jej osobą zajęty, objął w pół narzeczoną i pieszczotliwie miał z tyłu jej suknię w talii. Odwróciła się z błagalnym uśmiechem:

– Zmiłuj się, Febusie, puść mnie! Matka wejdzie do komnaty i zobaczy twoją rękę.

W tej chwili zegar katedralny zaczął powoli wydzwaniać dwunastą. Z tłumu wydobył się pomruk zadowolenia. I ledwie przebrzmiało dwunaste uderzenie zegara, wszystkie głowy zakołysały się jak fale pod podmuchem wiatru i ogromny wrzask buchnął z bruku, z okien i z dachów:

– Jedzie!

Lilia zakryła oczy rękami, żeby nie widzieć.

– Śliczna moja – rzekł Febus – wracajmy do komnaty.

– Nie – odpowiedziała. I oczy jej, które zamknął lęk, otworzyła ciekawość.

Wózek zaprzężony w silnego normandzkiego konika wjechał na plac z ulicy; Saint-Pierre-aux-Boeufs. Otaczali go jeźdźcy w fioletowych kubrakach z białymi krzyżami. Straż miejska pałkami torowała im drogę przez tłum. Za wózkiem jechało truchcikiem kilku sądowych i starościńskich urzędników, których łatwo było poznać po czarnym stroju i po kiepskim trzymaniu się w siodle. A na ich przedzie paradował mistrz Jakub Charmolue. Na złowróbnym wózku siedziała dziewczyna ze związanymi z tyłu rękoma. Nie było przy niej księdza. Miała na sobie tylko koszulę, a jej długie, czarne włosy (obcinano je według ówczesnego zwyczaju dopiero u stóp szubienicy) rozsypały się na pierś i półnagie ramiona.

Pod wijącymi się, lśniącymi niby krucze pióra włosami widać było gruby powróż, szary i szorstki, który jej zawiązano na karku; powróż ten do krwi otarł delikatne obojczyki dziewczyny i owinał się dookoła jej ślicznej szyi jak glista dookoła łodygi kwiatu. Pod powrozem błyszczał amulet z zielonymi szkiełkami, którego jej nie odebrano, dlatego pewnie, że niczego nie odmawia się skazanym na śmierć. Ci, co przyglądali się z okien, mogli zobaczyć na dnie wozu jej gołe nogi, które jakby powodowana resztką kobiecej wstydlivości, starała się ukryć pod sobą. U stóp dziewczyny leżała związana kózka. Skazana przytrzymywała zębami opadającą koszulę. Zdawało się, że ukazana ludzkim oczom półnago, cierpi tym dotkliwiej. Niestety! Drżąca wstydlivość niewieścia nie na takie chwile została stworzona.

– Jezu! – zawołała Lilia do kapitana – spójrzcie, miły kuzynie! Toć to ta paskudna Cyganka z kozą!

I obejrzała się na Febusa. Oczy miał wlepione w wózek. Był bardzo blady.

– Jaka Cyganka... z kozą? – odparł jękając się.
– Jak to? – rzekła Lilia – czyżbyście zapomnieli?

Febus przerwał jej:

– Nie wiem, o czym mówicie.

I cofnął się o krok, by wrócić do komnaty; lecz w sercu Lilii na nowo obudziła się zazdrość wzniecona niegdyś przez Cygankę. Popatrzyła na Febusa przenikliwie i nieufnie. Przypomniała sobie w tej chwili, że mówiono o jakimś kapitanie zamieszanym w proces tej czarownicy.

– Co wam się stało? – zapytała – można by rzec, że was przejął widok tej niewiasty.

Febus zdobył się na lekceważącą odpowiedź:

– Mnie? Skądże znowu! Bynajmniej!

– Więc zostańcie! – rzekła rozkazująco. – Obejrzyjmy wszystko do końca.

I nieszczęsny kapitan musiał zostać. Pokrzepiło go nieco na duchu to tylko, że skazana nie odrywała wzroku od dna wózka. Bo była to Esmeralda prawdziwa, aż nazbyt prawdziwa. Piękna nawet i na tym ostatnim szczeblu nieszczęścia i pohańbienia. Jej ogromne czarne oczy wydawały się jeszcze większe przy wychudłych policzkach, jej blady profil był szlachetny i czysty. Tak była podobna do dawnej siebie, jak madonna Masaccia podobna jest do madonny Rafaela – węższa, mizerniejsza, słabsza.

Wszystko w niej jakby zwiotczało; nie dbała już o nic, zrezygnowała ze wszystkiego prócz wstydu, tak głęboko poraziły ją rozpacz i zdumienie. Ciało jej podskakiwało przy każdym wstrząsie wózka jak martwy, połamany przedmiot; wzrok miała ponury i obłąkany. W oku jej widać było jeszcze łzę, ale nieruchomą, jakby w lód ściętą.

Posępna kawalkada przejechała między tłumem wśród radosnych wrzasków i ciekawie powyciąganych głów. By nie uchybić jednak wierności obowiązującej kronikarza, musimy powiedzieć, że widząc ją taką piękną i taką udręczoną, litość zdjęła wielu, i to najtwardszych. Wózek zajechał na plac przed katedrą.

Zatrzymał się przed głównym portalem. Eskorta ustawiła się po obu stronach. Tłum uciszył się i wśród tej ciszy uroczystej i pełnej napięcia oba skrzydła wielkich wrót otworzyły się, jakby same, z przeraźliwym skrzypieniem zawiasów. Ujrzano długą nawę kościoła, głęboką, ciemną, w żałobnych kirach, oświetloną ledwie kilkoma gromnicami płonącymi na głównym ołtarzu, rozwartą jak paszcza jaskini na ten zalany słońcem plac. W głębi, w mroku absydy, widać było zarysy Ogromnego srebrnego krucyfiksu, rozpostartego na czarnym suknie spadającym ze sklepienia aż na posadzkę. Nawa była pusta. Tylko w dalekich stallach prezbiterium poruszały się ledwie widzialne głowy księży, a kiedy wrota otworzyły się, z wnętrza kościoła zabrzmiał śpiew, poważny, donośny i monotony, padając na głowę oskarżonej wersetami posępnych psalmów.

„...Non timebo millia populi circumdantis me: exurge Domine; salvum me fac, Deus!

...Salvum me fac, Deus, quoniam intraverunt aquae usque ad animam meam.

...Infixus sum in limo profundi; et non est substantia”

A równocześnie pojedynczy głos wtórował chórowi ze stopnia głównego ołtarza, zawodząc melancholijnie ofertorium:

„Qui verbum meum audit, et credit ei qui misit me, habet vitam aeternam ei in iudicium non venit; set transit a morte in vitam.”

Te pienia, które kilku starców zagubionych w ciemnym wnętrzu swego kościoła zawodziło z daleka nad tą piękną istotą, pełną życia i młodości, owianą ciepłym tchnieniem wiosny, całą w słonecznym blasku – były mszą za umarłych.

Lud słuchał w skupieniu.

Nieszczęśliwa, porażona lękiem, jakby wzrok i rozum zgubiła w mrocznych wnętrznościach katedry. Jej białe wargi poruszały się jak w modlitwie, a kiedy pacholek kata zbliżył się do niej,

żeby jej pomóc zejść z wózka, usłyszał, że powtarza cicho jedno słowo: „Febus”.

Rozwiązano jej ręce, sprowadzono z wózka, a razem z nią kozę, którą również rozwiązano – koza zabeczkała z radości poczuwszy swobodę – kazano podejść bosą po twardych kamieniach bruku do schodów głównego portalu. Włókł się za nią powróż uwiązany na szyi. Rzekłbyś, że to wąż pełźnie jej śladem.

A wtedy śpiewy w kościele umilkły. Wielki złoty krzyż i rząd świec poruszyły się w ciemnościach. Stuknęły halabardy odźwiernych w pstrokatych kaftanach i w kilka chwil potem długa procesja księży w ornatach i diakonów w dalmatykach, sunąca z powagą i śpiewem w stronę skazanej, rozwinęła się przed jej wzrokiem i przed oczami tłumu. Ale spojrzenie dziewczyny zatrzymało się na tym, który szedł na przedzie, tuż za niosącym krzyż.

– O! – rzekła cicho, z drżeniem – to znowu on! Ksiądz!

Był to rzeczywiście archidiakon. Po lewej ręce miał podkantora, a po prawej kantora z pałeczką, oznaką godności kościelnej w dłoni. Zbliżał się, głowę odrzucił w tył, oczy miał nieruchome i otwarte i śpiewał silnym głosem:

„De ventre inferi clamavi, et exaudisti vocem meam, et projecisti me in profundum in corde maris, et flumen circumdedit me.”

Kiedy stanął wreszcie w jasnym świetle dnia pod wysokim ostrołukiem portalu, okryty szeroką srebrną kapą, czerwonym krzyżem przekreśloną, był tak blady, iż niejeden w tłumie pomyślał sobie, że to któryś z marmurowych biskupów kłęczących na płytach grobowców w prezbiterium wstał i przyszedł, by powitać na progu mogiły tę, która miała umierać.

Ona zaś, nie mniej blada i nie mniej do kamiennej figury podobna, zaledwie spostrzegła, że jej w rękę kładą ciężką, zapaloną świecę z żółtego wosku; nie słuchała piskliwego głosu pisarza, który odczytał z wyroku ustęp dotyczący publicznej pokuty; kiedy kazano jej odpowiedzieć „Amen”, odpowiedziała: „Amen”. Wróciło jej nieco życia i nieco siły wtedy dopiero, kiedy zobaczyła, że ksiądz oddalił skinieniem ręki strażników i sam zbliża się do niej.

Krew zawrzała jej w głowie i resztką oburzenia zapaliła się w tej zastygłej, zdrętwiałej duszy.

Archidiakon wolno zbliżał się; ujrzała, że nawet w tej przedśmiertnej chwili ślizga się po jej obnażonym ciele wzrokiem roziskrzonym lubieżnością, zazdrością i pożądaniem. Odezwał się głośno:

– Czyś prosiła Boga, dziewczyno, o przebaczenie za winy i grzechy?

Potem nachylił się do jej ucha i dodał (przyglądający się sądzili, że wysłuchuje jej ostatniej spowiedzi):

– Chcesz być moją? Mogę cię jeszcze uratować.

Spojrzała nań z mocą:

– Idź precz, szatanie, bo cię wydam!

Zaczął się uśmiechać straszliwym uśmiechem:

– Nie uwierzają ci. Tyle tylko zyskasz, że dodasz zgorszenie do zbrodni. Odpowiadaj prędko! Chcesz być moją?

– Coś uczynił z moim Febusem?

– Umarł! – rzekł ksiądz.

W tejże chwili podły archidiakon machinalnie podniósł głowę i po drugiej stronie placu, na balkonie kamienicy Gondelaurierów, ujrzał kapitana stojącego u boku Lilii. Zachmurzył się, dłonią przetarł oczy, znów spojrzał, szepnął jakieś przekleństwo i cała twarz jego wykrzywiła się gwałtownie.

– A więc umieraj ty! – wyrzekł przez zaciśnięte zęby. – Nikt cię nie będzie miał!

I podniósłszy dłoń nad Cyganką, zawołał grobowym głosem:

– I nunc, anima anceps, et sit tibi Deus misericors.

Ta złowroga formuła zamykała zazwyczaj posępną ceremonię. Był to umówiony sygnał dawany katu przez księdza. Lud poklekał.

– *Kyrie Eleison*. – odezwali się księża stojący pod sklepieniem portalu.

– *Kyrie Eleison!* – powtórzył tłum; szmer słów przebiegł nad głowami jak plusk fal po niespokojnym morzu.

– Amen – rzekł archidiakon.

Odwrócił się od skazanej, pochylił głowę, ręce skrzyżował na piersi, włączył się w orszak księży i w chwilę później ujrzano, że razem z krzyżem, świecami i ornatami znika pod ciemnymi łukami katedry; a jego dźwięczny głos gasł stopniowo w prezbiterium, śpiewając ów werset pełen rozpacz:

„*Omnes gurgites tui et fluctus tui super me transierunt!*”

Równocześnie miarowy stuk żelaznych okuć na drzewcach halabard odźwiernych, milknący wolno pod przęsłami nawy, był niby młot w zegarze wybijającym ostatnią godzinę oskarżonej.

Przez nie zamknięte wrota katedry widać było pusty kościół, smutny, żalobny, ciemny, głuchy.

Skazana stała bez ruchu na swoim miejscu, czekając, aż coś z nią uczynią. Wreszcie jeden z pachołków miejskich przypomniał o niej mistrzowi Charmolue, który podczas całej ceremonii oglądał uważnie płaskorzeźbę w głównym portalu, przedstawiającą podług jednych ofiarę Abrahama, podług innych alchemiczne doświadczenie, w którym anioł uosabiał słońce, stos – ogień, a Abraham – alchemika. Nie bez trudu wyrwano go z kontemplacji, ale wreszcie odwrócił się, dał znak i dwaj ludzie w żółtych strojach, pachołkowie kata, podeszli do Cyganki, żeby jej związać ręce.

W tej chwili kiedy miała znów wejść na złowrózby wózek i ruszyć w drogę ku ostatniej stacji męki, może ogarnął nieszczęśliwą rozdzierający żal życia... Zaczernione, suche oczy podniosła ku niebu, ku słońcu, ku srebrnym obłokom, spod których tu i ówdzie wylaniały się trójkąty i wieloboki czystego błękitu, potem obróciła je na ziemię, na tłum, na domy... Nagle, kiedy żółty człowiek związywał jej łokcie, wydarł się z jej ust straszny krzyk, krzyk radości. Tam, na tym balkonie, na rogu placu, zobaczyła jego, swego przyjaciela, swego pana, Febusa, drugą zjawę swego życia. Skłamał sędzia! Skłamał ksiądz! To był on, niewątpliwie on, stał tam, piękny, żywy, w swym świetnym mundurze, z piórem u kapelusza, ze szpadą u boku!

– Febusie! – krzyknęła. – Febusie mój!

I chciała wyciągnąć ku niemu ręce drżące z miłości i zachwycenia, ale ręce m były związane.

Zobaczyła wtedy, że kapitan zmarszczył brwi, że piękna panna wsparta na jego ramieniu spojrzała nań gniewnym okiem, pogardliwie krzywiąc usta; potem Febus powiedział coś, czego nie mogła usłyszeć, i oboje znikli szybko za oszklonymi drzwiami balkonu, które się za nimi zamknęły.

– Febusie! – krzyknęła ropaczliwie – czy ty temu wierzysz?

Przez głowę jej przemknęła potworna myśl. Przypomniała sobie, że skazano ją przecież za morderstwo dokonane na osobie Febusa de Châteaupers.

Wszystko zniosła dotychczas. Ale ten cios był za silny. Upadła bezwładnie na bruk.

– Nuże – rzekł Charmolue – nieście ją do wózka i kończmy jak najprędzej!

Nikt nie zauważył, że z galerii królewskich figur, biegnącej rzeźbionymi fryzem tuż nad archiwoltami portalu, jakiś dziwaczny widz przypatrywał się wszystkiemu tak nieruchomo, z tak wyciągniętą szyją, z tak szpetną twarzą, że gdyby nie odzienie w połowie czerwone, a w połowie fioletowe, wziąć by go można było za jednego z tych kamiennych potworów, przez których paszcze od sześciuset lat wypływają wodę długie rynny katedry. Widz ten pilnie patrzył na wszystko, co się działo od południa przed wrotami kościoła Marii Panny. I już na początku, kiedy

nikt nie spojrział nawet w jego stronę, uwiązał silnie u jednej z kolumnienek galerii grubym sznur z węzłami, którego koniec leżał na ostatnim stopniu schodów. Kiedy dokonał tego, zaczął spokojnie przypatrywać się ceremonii i tylko gwizdnął czasem na przelatującego szpaka. Raptem, kiedy pomocnicy kata zabierali się już do wykonania flegmatycznego rozkazu mistrza Charmolue – przerzucił nogi przez balustradę galerii i stopami, kolanami i rękami uchwycił się sznura; potem ujrano, że zsunął się po fasadzie jak spływająca po szybie kropla deszczu, podbiegł do pacholków z szybkością kota, co zeskoczył z dachu, obalił ich obu olbrzymimi pięściami, porwał Cygankę jedną ręką – jak dziecko lalkę – i jednym susem znalazł się na progu kościoła, unosząc dziewczynę wysoko nad swoją głową i wrzeszcząc ogromnym głosem:

– Azyl!

Stało się to tak szybko, że gdyby była noc, można by wszystko zobaczyć przy blasku jednej błyskawicy.

– Azyl! Azyl! – powtórzył tłum i oklaski dziesięciu tysięcy par rąk roziskrzyły radością i dumą jedyne oko Quasimodo.

Wstrząs zbudził z omdlenia skazaną. Uniosła powieki, spojrzała na Quasimodo i szybko je zamknęła, jakby przestraszona widokiem swego zbawcy.

Wszyscy zdrętwieli: i Charmolue, i kaci, i cała eskorta. Bo rzeczywiście w obrębie kościoła Marii Panny skazana była nietykalna. Katedra dawała jej azyl. Wszelka ludzka sprawiedliwość traciła swą moc na jej progu.

Quasimodo zatrzymał się pod głównym portalem. Jego potężne nogi stały na posadzce kościoła mocno, niby dwa ciężkie romańskie filary. Wielka, kudłata głowa wyrastała wprost z barów, jak u lwa, który też ma grzywę i też nie ma szyi. W swych stwardniałych dłoniach trzymał drżącą dziewczynę niby białą tkaninę, lecz niósł ją tak ostrożnie, jakby bał się złamać lub zgnieść. Rzec by można, iż czuje, że to rzecz delikatna, cudna i cenna, nie dla jego rąk stworzona. Chwilami wydawało się, że jej nawet oddechem nie śmie dotknąć. To znów przyciskał ją nagle z namietnością do garbatej piersi jak swoje dobro, jak swój skarb – jak tylko matka dziecko potrafi przytulić. Jego gnomie oko wpatrzone w nią promieniało tkliwością, bólem i litością, a gdy spojrział na tłum, jaśniało nagłym blaskiem. Wtedy kobiety śmiały się i płakały, cizba tupiała w uniesieniu i zachwycie, gdyż Quasimodo w tej chwili był naprawdę piękny. Był piękny, on, ten sierota, podrzutek, wypędek – czuł się silny i dostojny; patrzył prosto w twarz temu społeczeństwu, które go odeгнаło precz, a w którego sprawy wtrącił się oto tak władczo, patrzył prosto w twarz tej sprawiedliwości ludzkiej, której odebrał ofiarę, tym wszystkim tygrysom zmuszonym do żucia pustki w pysku, tym zbirom, sędziom, katom – tej królewskiej sile, którą on, najostatniejszy nędzarz, złamał siłą bożą.

Jakże przy tym wzruszająca była opieka, udzielona istocie tak nieszczęśliwej przez istotę tak potworną – Quasimodo ratujący skazaną na śmierć. Bo zetknęły się i wspomogły dwie skrajne krzywdy, jedna wyrządzona przez społeczeństwo, druga – przez przyrodę.

Tymczasem, po kilku minutach triumfu, Quasimodo nagle znikł w kościele ze swym brzemieniem. Lud, rozmiłowany w każdym świetnym czynie, szukał go oczami pod mroczną nawą, żałując, że tak szybko umknął przed jego podziwem. Lecz oto znów się pojawił na jednym krańcu galerii królów Francji i przebiegł ją w szalonym pędzie, unosząc na rękach swą zdobycz i wrzeszcząc: „Azyl!” Cizba znów zaczęła klaskać. Przebiegł galerię i znów znikł we wnętrzu kościoła. W chwilę później pojawił się na ganku u podnóża wież, wciąż z Cyganką w ramionach, wciąż biegnąc jak szaleniec, wciąż krzycząc: „Azyl!” A tłum go oklaskiwał. Wreszcie pojawił się po raz trzeci na szczycie wieży, w której wisiał wielki dzwon i stamtąd z dumą ukazał całemu miastu tę, którą uratował. Grzmiącym głosem, który słyszano tak rzadko, a którego on sam nigdy nie słyszał, w uniesieniu po trzykroć wrzasnął aż pod chmury:

– Azyl! Azyl! Azyl!

– *Noël! Noël!* – krzyczał lud w odpowiedzi i ten ogromny wybuch radości zadziwił cizbę zgromadzoną na drugim brzegu, na placu Grève, i pustelnicę, która wciąż czekała, wpatrzona w szubienicę.

Księga dziewiąta

I

GORĄCZKA

Klaudiusza Frolo nie było już w katedrze Marii Panny, kiedy jego przybrany syn tak niespodzianie rozciął fatalną pętlę, w którą nieszczęsny archidiakon schwycił Cyganekę i sam się zaplątał. Powróciwszy do zakrystii zdarł z siebie albę, kapę i stulę, cisnął to wszystko zdumionemu kościelnemu, bocznymi drzwiami wymknął się z klasztoru, przewoźnikowi z Wygonu kazał się przewieźć na lewy brzeg Sekwany i wszedł w krzywe i spadziste uliczki Uniwersytetu, nie wiedząc, dokąd idzie, na każdym kroku spotykając gromady mężczyzn i kobiet, którzy śpieszyli wesoło w stronę mostu Św. Michała spodziewając się jeszcze „zdażyć” na wieszanie czarownicy; był blady, nieprzytomny, bardziej bezradny, ślepy i dziki niż nocny ptak spłoszony i goniony w biały dzień przez dzieci. Nie wiedział, gdzie jest, nie wiedział, czy to jawa, czy sen. Szedł przed siebie; szedł, biegł, nie myśląc dokąd, z ulicy w ulicę, bo go pchał naprzód plac Grève, straszny plac Grève, który czuł za sobą.

Tak przeszedł przez Wzgórze Św. Genowefy i wyszedł wreszcie z miasta bramą Św. Wiktora. Uciekał dalej, dopóki tylko, odwróciwszy się, mógł dojrzeć wieże murów Uniwersytetu i rzadkie domki przedmieścia; aż wreszcie, kiedy nierówność terenu całkowicie zakryła wstrętny mu Paryż, kiedy mógł wyobrazić sobie, że jest o sto mil od miasta, w polu, na pustyni – stanął i wydało mu się, że oddycha.

A wtedy opadły go straszne myśli. Ujrzał wyraźnie wewnątrz swej duszy i zadrżał. Pomyślał o nieszczęśliwej dziewczynie, która zgubiła go i zginęła przez niego. Przerazonym spojrzeniem ogarnął dwie kręte ścieżki, którymi przeznaczenie wiodło ich dwa losy aż do punktu przecięcia, gdzie je bezlitośnie o siebie roztrzaskało. Pomyślał o obłądnej nedorzeczności ślubów wieczystych, o bezsensie czystości, o marności nauki, religii, cnoty, o bezużyteczności Boga. Zapamiętałe pograżał się w złych myślach coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie wybuchnął wewnętrznym, szatańskim chichotem.

A kiedy drażąc swoją duszę ujrzał, jak wiele miejsca przygotowała w niej przyroda dla namiętności, zaśmiał się jeszcze bardziej gorzko. Poruszył całą nienawiść, całą złość nagromadzoną w swym sercu i chłodnym spojrzeniem lekarza, który bada chorego, stwierdził, że ta nienawiść i ta złość były tylko zwyrodniałą miłością; że miłość, źródło wszystkich cnót człowieka, w sercu księdza obracała się w rzecz potworną, że mężczyzna, tak jak on ukształtowany, zostając księdzem stawał się demonem. Roześmiał się straszliwie i nagle znowu zbladł, bo ujrzał najposępniejszą stronę tej swojej przekłętej namiętności, tej miłości żrącej, trującej, nienawistnej, nieubłaganej, która zaprowadziła dziewczynę na szubienicę, a jego do piekła: ją skazała na śmierć, jego na potępienie.

I znów się roześmiał na myśl, że Febus żyje, że nie zginął, że jest wesoły i zadowolony, że ma najpiękniejszy w świecie kubrak i nową kochankę, którą przyprowadził, aby zobaczyła, jak będą wieszać jej poprzedniczkę. Jakże szydził z siebie, kiedy się zastanowił, że ze wszystkich istot

żyjących, których śmierci pragnął był, tylko Cyganka, jedyna istota, którą kochał, nie uszła jej. Myśl jego z kapitana przeszła na gawiedź i ogarnęła go zazdrość niesłychana, nieprawdopodobna. Pomyślał, że i lud, cały ten lud oglądał kochaną przez niego kobietę w koszuli, prawie nagą. Palce wykręcał sobie w stawach na myśl o tym, że kobieta – której kształty, gdyby je sam oglądał w mroku, mogłyby się stać dla niego największym szczęściem – ubrana jak na noc miłosną, została wydana na spojrzenia tłumu w biały dzień, w samo południe. Zapłakał z wściekłego bólu nad tymi tajemnicami miłości, które zostały sprofanowane, zbrukane, obnażone i pohańbione na zawsze. Zapłakał z wściekłego bólu, kiedy uświadomił sobie, ile bezwstydnym spojrzeń wśliznęło się pod tę osuwającą się koszulę, i pomyślał, że ta piękna dziewczyna, ta lilia dziewicza, ta czara czystości i rozkoszy, do której nie śmiałby przybliżyć warg bez drżenia, obrócona została w jakąś żołnierską manierkę, wszystkim wspólną, z której najpodlejszy motłoch Paryża – złodzieje, żebracy i pacholę – pili wyuzdaną, nieczystą i rozpustną rozkosz.

A kiedy usiłował wyobrazić sobie szczęście, którego mógłby zaznać na ziemi, gdyby ona nie była Cyganką, a on nie był księdzem, gdyby Febus nie istniał i gdyby ona kochała jego, Klaudiusza... kiedy sobie uświadomił, że pogodne, pełne miłości życie mogłoby być i jego udziałem, że przecież i w tej chwili istnieją gdzieś na ziemi szczęśliwe pary, co zasluchane w siebie wiodą długie rozmowy o pomarańczowych gajach nad brzegami strumieni, w łunie zachodzącego słońca, pod rozgwieżdżonym niebem nocy, że gdyby Bóg tylko zechciał i on mógłby razem z nią stworzyć jedno z tych błogosławionych stadeł – serce mu się krajało z tkliwości i rozpaczy.

Ona! Tak, ona! Wciąż ta uporczywa myśl nieustannie powracała, by go dręczyć, wgryzać się w mózg i serce mu rozrywać! Nie żałował, niczego nie żałował; wszystko co zrobił gotów był zrobić po raz wtóry, wołał widzieć ją w rękach kata niż w ramionach kapitana. Ale cierpiał, tak bardzo cierpiał, że garściami wyrywał sobie włosy z głowy, by zobaczyć, czy nie posiwiwały.

W pewnej chwili pomyślał, że może właśnie w tej minucie ohydny łańcuch, który obejrzał z rana, zaciska się żelazną pętlą dokoła jej szyi, tak smukłej i ślicznej. I pot wystąpił nań wszystkimi porami.

W innej chwili, szatańsko śmiejąc się nad sobą samym, wyobraził sobie jednocześnie Esmeraldę taką, jaką widział pierwszego dnia – żywą, beztroską, wesołą, wystrojoną, tańczącą, skrzydlatą, harmonijną... i Esmeraldę z ostatniego dnia – w koszuli ze sznurem na szyi, wchodzącą powoli i boso na twarde stopnie szubienicy. Kiedy zestawił w myśli te dwa obrazy, krzyknął przeraźliwie.

Huragan rozpaczy wszystkim potrzasał w duszy Klaudiusza, wszystko łamał, wywracał, gwałcił i wrywał, a on patrzył tymczasem na otaczającą go przyrodę. U jego stóp kury, dziobiąc coś, chodziły pod krzakami, błyszczące żuki wędrowały po nagrzanym słońcem ziemi; nad jego głową ławica drobnych, szarych chmur sunęła po błękitnym niebie; na widnokręgu strzelista wieża opactwa Św. Wiktora przebijała grzbiet pagórka swym łupkowym obeliskiem; a na wzgórzu Copeaux stał młynarz i pogwizdując przypatrywał się obrotom pracowitych skrzydeł wiatraka. Widok czynnego, uporządkowanego, spokojnego życia, które otaczało go tu tysiącem swych form, sprawił mu ból; znów zaczął uciekać.

Chodził i chodził po polach aż do wieczora. Przez cały dzień usiłował uciec od przyrody, od życia, od siebie samego, od ludzi, od Boga, od wszystkiego. Niekiedy rzucał się na ziemię i paznokciami wydrapywał z niej trawki zbóż. Niekiedy przystawał na pustej ulicy wioski; a własne myśli były mu tak nieznośne, że chwycił się oburącz za głowę, jakby chciał wyrwać ją sobie z ramion i roztrzaskać o kamienie.

O zachodzie słońca znów zagłębił się w siebie i stwierdził, że jest na progu obłędu. Po burzy, która w nim szalała, odkąd stracił nadzieję i wolę uratowania Cyganki, nie zostało się w jego

świadomości ani jedno zdrowe pojęcie, ani jedna myśl nietknięta. Jego rozum leżał tam niemal całkowicie w gruzach. Tylko dwa obrazy nadal były wyraziste w jego świadomości: Esmeralda i szubienica. Resztę pochłonęła ciemność. Przerazało go zestawienie tych dwu obrazów; a im uporczywiej wpatrywał się w nie, wyęzając resztki sił swego umysłu, tym bardziej rosły oba, posłuszne jakimś fantastycznym prawom postępu wyobraźni, i jeden obraz stawał się coraz czarowniejszy, coraz piękniejszy, coraz jaśniejszy, a drugi coraz bardziej przerażający; aż w końcu Esmeralda stała się podobna do gwiazdy, a szubienica do olbrzymiego ramienia szkieletu. Rzecz godna uwagi, że podczas tej całej męki ani razu nie pomyślał poważnie o samobójstwie. Taka była natura tego nędznego, nieszczęśliwego człowieka. Bał się śmierci. Może rzeczywiście widział piekło za jej progiem.

Tymczasem zapadał zmierzch. Instynkt żywej istoty, który ocalał w nim, zaczął się niewyraźnie domagać powrotu. Sądził, że znajduje się daleko za Paryżem, ale kiedy rozejrzył się uważnie, spostrzegł, że obszedł tylko mury Uniwersytetu. Po prawej ręce widział na widnokręgu wieżę Św. Sulpicjusza i trzy wesole iglice opactwa Saint-Germain-des-Prés. Skierował się w tę stronę. Kiedy usłyszał „Kto idzie?” zbrojnej straży opata rozstawionej za blankowanymi murami, zawrócił, skręcił w pierwszą z brzoza dróżkę biegnącą między młynem opackim i podmiejskim szpitalem i po kilku krokach znalazł się na skraju Łąki Żaków. Łąka ta służyła z awantur, które tam dniem i nocą urządzano; była to istna „hydra” dla nieszczęsnych braciszków od Saint-Germain: *Quod monachis Sancti Germani pratensis hydra fuit, clericis nova semper dissidiorum capita suscitantibus*. Archidiakon zląkł się, by nie spotkać tam kogo; bał się każdej ludzkiej twarzy, wyminął Uniwersytet, wyminął miasteczko Saint-Germain; chciał jak najpóźniej powrócić do miasta. Okrążył Łąkę Żaków, skręcił w samotną ścieżkę idącą między Łąką i Dieu-Neuf i stanął wreszcie nad Sekwaną. Tam ksiądz Klaudiusz znalazł przewoźnika, który za parę paryskich denarów zawiózł go w górę rzeki, aż do cypla Cité, i wysadził na pustej łasze, tam właśnie, gdzie jak czytelnik pamięta, marzył niegdyś Gringoire, za murami królewskich ogrodów, naprzeciwko wyspy Przewoźnika Krów.

Monotonne kołysanie łodzi i chlupotanie wody na pól uspiły nieszczęśliwego Klaudiusza. Przewoźnik odjechał, a on stał na brzegu, bezmyślnie patrząc przed siebie i widząc wszystko poprzez jakieś powiększające drganie, które każdy przedmiot przekształcało w fantasmagorię. Zmęczenie dotkliwym bólem często w taki sposób oddziałuje na umysł człowieka.

Słońce już zaszło za wysoką wieżę Nesle. Zapadał zmrok. Niebo było białe, biała była woda w rzece. Między tymi dwiema płaszczyznami bieli lewy brzeg, w który się wpatrywał, legł ciemnym masywem i coraz bardziej zwięzany przez perspektywę pogrążał się w mgłach widnokręgu, podobny do czarnego, wysmukłego klina. Kontury domów gęsto na nim stojących uwydatniały się ostrą czernią na jasnym tle nieba i wody. Gdzieniegdzie już się zapalały okna, podobne do otworów w piecu. Ksiądz Klaudiusz, patrząc na ten olbrzymi czarny obelisk oddzielony od świata białą płachtą nieba i białą płachtą rzeki, bardzo szerokiej w tym miejscu, doznał dziwnego wrażenia, jak człowiek, który by się położył u stóp dzwonnicy w Strasburgu i patrzył, jak ogromna iglica wyrasta mu nad głową i ginie w mroku wieczoru. Tylko że tym razem Klaudiusz stał, a obelisk leżał; lecz ponieważ rzeka, odbijając niebo, tworzyła u jego stóp przedłużenie otchłani, olbrzymi przylądek wbił się strzeliście w pustkę tak hardo jak każda iglica katedralna; i wrażenie było takie samo. Było ono nawet tym bardziej niezwykle, tym bardziej wstrząsające – że była to najprawdziwsza dzwonnica sztrasburska, ale wysoka na dwie mile, niebywała, gigantyczna, niepomierna budowla, jakiej nie widziało jeszcze ludzkie oko. Wieża Babel. Kominy domów, blanki murów, ostre szczyty dachów, strzelista wieża Augustianów, wieża Nesle postrzępiły kontur kolosalnego obelisku i potęgowały złudzenie, w zwodniczej grze ukazując się oku jako profil rzeźby fantastycznej i pogmatwanej. Klaudiusz, skłonny w tej chwili

do każdego przywidzenia, był pewien, że widzi, widzi na własne oczy dzwonnice piekła; tysiączne światła rozrzucone po fasadzie tej przerażającej budowli wydały mu się otworami ogromnego pieca, a głosy i szmery stamtąd dochodzące – wrzaskami i jękami potępieńców. Strach go ogarnął, zakrył uszy rękami, żeby nie słyszeć, odwrócił się, żeby nie widzieć, i ogromnymi krokami począł uciekać od straszliwego widziadła.

Ale widziadło było w nim samym.

Kiedy wszedł wreszcie w ulicę, przechodnie, potrącający się i poruszający w świetle okienek sklepowych, wydawali mu się ciągłym korowodem widm, sunącym w dwie strony obok niego. W uszach huczało mu niesamowicie; dziwaczne zmyły nie dawały spokoju myślom. Nie widział ani kamienic, ani bruku, ani wozów, ani mężczyzn, ani kobiet, tylko chaos nieokreślonych Przedmiotów, których kontury zlewały się ze sobą. Na rogu ulicy Bednarskiej znajdował się sklepik korzenny: na okapie dachu, zwyczajem od niepamiętnych czasów przestrzegany, umieszczone były żelazne obręcze, a na nich wisiały wkoło drewniane świeczki i poruszane wiatrem, uderzały o siebie jak kastaniety. Wydało mu się, że słyszy, jak chroboczą w mroku kości szkieletów na Montfaucon.

– O – szepnął – nocny wiatr je roztrąca i chrzęści łańcuchami, i chrobocze kośćmi. Może i ona tam jest, między nimi!

Nieprzytomny nie wiedział, którędy idzie. Wkrótce znalazł się na moście

Św. Michała. W jednym z parterowych okien paliło się światło; podszedł do tego okna. Przez pękniętą szybę zobaczył brudną izbę, która obudziła w nim jakieś niejasne wspomnienie. W izbie licho oświetlonej mizerną lampką siedział jasnowłosy i rumiany młodzieniec z rozradowanym obliczem i głośno śmiejąc się obejmował bezwstydnie rozchełstaną dziewczkę. W kręgu lampy zaś staruszka przędła i śpiewała drżącym głosem. Młodzieniec chwilami przestawał się śmiać i piosenka starej docierała wtedy urywkami aż do księdza; była niesamowita i straszna:

Skrzyp, skrzyp, drewno szubienicy!

Hulaj, wietrze, po ulicy!

Wij się, nici, wij i splataj

W długi, mocny sznur dla kata!

Skrzyp, skrzyp, drewno szubienicy!

Piękny konopny powrozie!

Zasiewajmy, gdzie kto może,

Konopie zamiast pszenicy!

Kołysz się na szubienicy,

Piękny konopny powrozie!

Skrzyp, skrzyp, drewno szubienicy!

By ujrzeć kaźń ladacznicy

Na szafocie, na wysokim,

Każde okno jest dziś okiem.

Skrzyp, skrzyp, drewno szubienicy!

Młodzieniec znów śmiał się i pieścił dziewczynę. Starucha była to Falurdelicha, dziewczka była dziewczką uliczną, młodzieniec – był to jego brat Jan.

Archidiakon wciąż patrzył. Ten widok czy jakikolwiek inny – wszystko mu było jedno.

Zobaczył, że Jan podchodzi do okna w przeciwległej ścianie izby, że je otwiera, że spogląda na wybrzeże, na światelka pozapalana w dalekich domach, i usłyszał, jak mówi zamykając okno:

– Na mą duszę! Już noc. Mieszczanie zapalają swoje świece, a Pan Bóg swoje gwiazdy.

Potem wrócił do ladacznicy i rozbił butelkę, która stała na stole, wołając:

– Psiakość, już pusta! I nie mam więcej ani grosza. Izabelko, serce moje, nie uczczone Jowisza, póki nie przemieni twoich białych cycków w dwie czarne flasze, z których ssałbym dniem i nocą wino z Beaune.

Dziewka zaczęła się śmiać z tego świetnego żartu, a Jan wyszedł.

Ksiądz Klaudiusz ledwie zdążył rzucić się na ziemię, żeby brat nie natknął się nań, nie zobaczył go i nie poznał. Na szczęście ulica była ciemna, a żak pijany.

Spostrzegł jednak archidiakona leżącego na błotnistym bruku.

– Ho! ho! – rzekł – ten się, widać, nieźle zabawił dzisiaj!

Trącił nogą księdza. Klaudiusz wstrzymał oddech.

– Pijany jak bela! – odezwał się znowu Jan. – No, ten ma dość! Prawdziwa pijawka, co odpadła od beczki. Łysy – dodał schylając się – to starzec! *Fortunate senex*. – Po czym ksiądz Klaudiusz usłyszał, jak odchodzi mówiąc:

– Wszystko jedno: rozsądek to piękna rzecz i szczęśliwy jest mój brat archidiakon; ten ma i rozsądek, i pieniądze.

Wtedy archidiakon podniósł się i pobiegł pędem ku katedrze Marii Panny, które; ogromne wieże wznosiły się w ciemności nad dachami kamienic.

Kiedy, dysząc ciężko, dobiegł do placu przed katedrą, cofnął się, nie śmiał spojrzeć na złowieszczy gmach.

– O! – rzekł cicho – czyżby to była prawda, że się to wszystko stało tutaj, dzisiaj, tego ranka?

Spojrzał wreszcie na kościół. Fasada była ciemna. Niebo za nią iskrzyło się gwiazdami. Sierp księżycy, który niedawno wyplłynął zza widnokregu, stanął właśnie u szczytu wieży z prawej strony i wyglądał jak świetlisty ptak uczepony krawędzi balustrady wycinanej w czarne trójliście.

Furta klasztoru była zamknięta. Lecz archidiakon zawsze miał przy sobie klucz od drzwi do wieży, w której było jego laboratorium. Przy pomocy tego klucza wszedł do kościoła.

Piwniczna ciemność i cisza zaległy kościół. Wielkie cienie padały zewsząd szerokimi płachtami, poznał więc, że nie zdjęto jeszcze czarnych kirów po rannej ceremonii. Wielki srebrny krzyż jaśniał wśród mroków, przysypany iskrzącymi się punktami, niby droga mleczna tej grobowej nocy. Z długich okien prezbiterium, zasłoniętych czarną draperią, widać było tylko same szczyty ostrołuków, a ich witraże, prześwietlone promieniami księżycy, miały nieokreślone nocne barwy, jakieś fiolety, biele i błękity w takich odcieniach, jakie tylko na twarzach umarłych można odnaleźć. Archidiakon spojrział na sine szczyty ostrołuków otaczające prezbiterium i wydało mu się, że widzi mitry potępionych biskupów. Zamknął oczy, a kiedy je znów otworzył, wydało mu się, że spogląda nań krąg bladych twarzy.

Zaczął uciekać przez kościół. I wydało mu się, że kościół też drgnął, poruszył się, ożył, że każda gruba kolumna staje się ogromną nogą i bije o posadzkę swym szerokim, kamiennym kopytem i że gigantyczna katedra zamieniła się w jakiegoś słonia z baśni, który dyszy i idzie na nogach z filarów, z wieżami zamiast trąb, w czapraku z czarnego sukna.

Gorączka czy też obłęd doszły, widać, do takiego stopnia nasilenia, że świat zewnętrzny stał się dla nieszczęśnika jakąś widzialną, dotykalską a przerażającą apokalipsą.

Na chwilę doznał ulgi. Wszedłszy głębiej w boczną nawę, dostrzegł czerwonawe światelko za wiązką filarów. Była to maleńka lampka, która paliła się dniem i nocą przed publicznym brewiarzem katedralnym, umieszczonym za żelazną kratą. Łapczywie rzucił się ku świętej księdze w nadziei, że znajdzie tu pociechę i otuchę. Księga była otwarta na ustępie z Hioba; powiódł po niej nieprzytomnym okiem:

„I duch przeszedł przed obliczem moim, i poczułem słabe tchnienie, i włos Powstał na ciele moim.”

Odczytawszy te ponure słowa doświadczył tego, czego doświadcza ślepiec, kiedy się uklękuje, po który się schylił. Kolana ugięły się pod nim i runął na Posadzkę, myśląc o tej, która w tym dniu umarła. Przez jego mózg przepływały jakieś dymy potworne i coraz nowe, wydało mu się, że jego głowa stała się jednym z kominów piekiel.

Pewnie długo tak leżał, bez pamięci, bez woli, przygnieciony ręką szatana. Odzyskał wreszcie odrobinę siły, pomyślał, że może schronić się w swojej wieży, u boku wiernego Quasimodo. Podniósł się, a że się bał, zabrał lampkę sprzed brewiarza, żeby sobie poświecić. Było to świętokradztwo, ale już nie zwracał uwagi na takie drobiazgi.

Szedł wolno po schodach wieży, pełen tajonego lęku, który udzielał się również nielicznym przechodniom mijającym plac przed katedrą, bo widzieli jego lampkę – tajemnicze światelko wędrujące od otworu do otworu, coraz wyżej i wyżej, aż na sam szczyt dzwonnicy.

Nagle poczuł chłód na twarzy; stanął pod drzwiami prowadzącymi na najwyższą galerię. Noc była zimna; niebo pokryte chmurami, których szerokie białe brzegi zachodziły na siebie, krusząc się po krajach jak kry na rzece, kiedy ruszą zimowe lody. Sierp księżycy osiadł wśród tych chmur i wyglądał jak okręt niebieski uwięziony między powietrznymi krami.

Spuścił wzrok i między sztachetami kolumnienek łączących obie wieże popatrzył przez chwilę w dal, poprzez tiul z mgieł i dymów, na ciche dachy Paryża, spiczaste, nieprzeliczone, ścieśnione i drobne jak fale spokojnego morza w letnią noc.

Słaba poświata księżycy nadawała niebu i ziemi barwę popiołu.

W tej chwili odezwał się wątył, ochrypliły głos zegara. Północ wybiła. Ksiądz wspomniął południe. Znów powracała godzina dwunasta.

– O! – rzekł cicho – już ostygła do tej pory!

Nagle podmuch wiatru zgasił lampkę i w tej samej prawie chwili na przeciwległym rogu wieży ujrzał jakiś cień, jakąś biel, kształt, kobietę. Zadrzał. U boku kobiety zjawiała się kózka, jej bek odezwał się razem z ostatnim beknięciem zegara.

Starczyło mu sił, żeby patrzeć. To była ona.

Była blada, była chmurna. Włosy, jak i z rana, miała rozpuszczone; ale znikł powróż z szyi, znikły więzy z rąk. Była wolna, była umarła.

Była ubrana biało i miała biały welon na głowie.

Powoli, patrząc w niebo, zbliżała się ku niemu. Widmo kozy szło za nią. Uczuł, że jest z kamienia, zbyt ciężki, żeby uciekać. Po każdym jej kroku naprzód – on cofał się o krok, to wszystko. Tak powrócił pod ciemne sklepienie schodów. Poczul lodowaty chłód na myśl o tym, że ona może też tam wejść. Gdyby to zrobiła, umarłby ze strachu.

A ona podeszła do drzwi prowadzących na schody, zatrzymała się chwil, uważnie popatrzyła w ciemność, ale widocznie nie spostrzegła księdza i przeszła. Wydała mu się wyższa niż za życia; zobaczył księżyc poprzez jej białą suknię; usłyszał jej oddech.

Kiedy przeszła, zaczął schodzić po schodach wolno, tak jak chodzą widma, bo miał samego siebie za upiora, obłąkany, ze zjeżonymi włosami, trzymając w ręku zgasłą lampkę; a schodząc tak po krętych stopniach wyraźnie słyszał głos, który śmiał się i powtarzał: „...I duch przeszedł przed obliczem moim, i poczułem słabe tchnienie, i włos powstał na ciele moim.”

II

GARBATY, JEDNOOKI, KULAWY

Każde miasto w średniowieczu, a do panowania Ludwika XII każde miasto we Francji miało swoje miejsce azylu. Wśród potopu ustaw karnych i barbarzyńskich praw, który zalewał grody, te miejsca azylu były jak wyspy wznoszące się ponad poziomem ludzkiej sprawiedliwości. Każdy zbrodniarz, który się tu dostał, był ocalony. W każdym okręgu miejskim nieomal tyle było miejsc azylu, co i miejsc kaźni. Było to nadużycie bezkarności obok nadużycia tortur, dwa zła, które usiłowały naprawić się wzajemnie. Prawo azylu przysługiwało przede wszystkim królewskim pałacom, dworom książęcym i kościołom. Niekiedy całe miasto, które trzeba było zaludnić, czyniono na jakiś czas miejscem schronienia. Ludwik XI w roku 1467 nadał prawo azylu Paryżowi.

Zbrodniarz, który postawił stopę w obrębie miejsca schronienia, był nietykalny; lecz nie wolno mu było stamtąd wyjść; jeśli choćby na krok przestąpił próg przybytku, na powrót wpadał w odmet. Koło, pręgierz i szubienica czujnie pilnowały miejsc azylu i czyhały bez ustanku na ofiarę jak rekiny dookoła statku. Widywano skazańców, którzy siwieli z wolna w klasztorze, na pałacowych schodach, w ogrodzie opactwa, w przedsionku kościoła; azyl był więc również więzieniem. Niekiedy zdarzało się, że uroczysty wyrok sądu najwyższego gwałcił prawo schronienia i wydawał skazańca katu, ale była to rzecz rzadka. Parlamenti nie lubiły zadzierać z biskupami i ilekroć te dwie sukienki otarły się o siebie, niełatwo było todze poradzić sobie z sutanną. Jednakże czasami – jak w sprawie morderców Małego Janka, kata Paryża, i w sprawie Emeryka Rousseau, zabójcy Jana Valleret – sprawiedliwość przeskakiwała ponad głowę Kościoła i wykonywała swe wyroki. Lecz biada śmiałkowi, który by zbrojną ręką targnął się na miejsce azylu bez specjalnego wyroku parlamentu! Wiadomo, jaka śmierć spotkała Roberta de Clermont, marszałka Francji, i Jana de Châlons, marszałka Szampanii; a przecie szło tylko o niejakiego Perrin Marc, pachołka bankiera, nędznego zbrodniarza; ale dwaj marszałkowie wyłamali drzwi kościoła Św. Méry. Była to potworna zbrodnia.

Miejsca schronienia otaczano tak wielką czcią, że jak głosi podanie, moc ich niekiedy rozciągała się także na zwierzęta. Aymoin opowiada, że gdy jeleń, na którego polował Dagobert, zapędził się do grobowca Św. Dionizego, nagonka szczerkając stanęła jak wryta.

W każdym kościele bywała zazwyczaj celka przygotowana na przyjęcie rających o ratunek. W roku 1407 Mikołaj Flamel kazał zbudować dla nich pod sklepieniem kościoła Św. Jakuba koło Rzeźni izbę, która kosztowała go cztery grzywny, sześć solidów i szesnaście paryskich denarów.

W katedrze Marii Panny celka taka znajdowała się nad sklepieniem bocznej nawy, pod przyporowymi łukami, naprzeciw klasztoru, tam właśnie, gdzie żona obecnego odźwiernego wież zrobiła sobie ogródek, który tak się ma do wiszących ogrodów Babilonu, jak się ma sałata do palmy, a odźwierna do Semiramidy.

Tam właśnie zaniósł Quasimodo Esmeraldę po triumfalnym i szalonym biegu przez galerie i wieże. Póki biegł, dziewczyna nie mogła odzyskać zmysłów; na pół; omdlona, na pół rozbudzona, czuła tylko, że unosi się w powietrzu, że w nim! płynie, frunie, że coś ją porwało i uniosło nad ziemię. Chwilami słyszała też koło ucha gromki śmiech i donośny głos Quasimodo i uchylała powiek; a wtedy w dole migał jej Paryż pocętkowany tysiącami dachów z łupku i wypalanej gliny, jak czerwona i niebieska mozaika, nad sobą zaś widziała przerażającą i rozradowaną twarz Quasimodo. Wtedy zamykała oczy; sądziła, że wszystko się skończyło, że ją

stracono w omdleniu i że szpetny duch kierujący jej losem pochwycił ją i uniósł. Nie śmiała mu się przypatrywać i poddawała się jego woli.

Lecz kiedy potargany i zdyszany dzwonnik złożył ją w celi przeznaczonej dla szukających schronienia, kiedy uczuła, że jego ogromne łapy ostrożnie rozwiązują powróż, który wpijał się jej w ramiona, Esmeralda doznała nagle takiego wstrząsu, jaki budzi pasażerów statku przybijającego do portu wśród ciemnej nocy. Świadomość jej również budziła się stopniowo. Zobaczyła, że jest w katedrze Marii Panny; przypomniała sobie, że wyrwano ją z rąk kata, że Febus żyje i że już jej nie kocha; te dwie myśli zjawily się jej równocześnie, a druga nasyciła pierwszą taką goryczą, że biedna dziewczyna obróciła się ku Quasimodo, który stał koło niej, i choć go się bała, tak mu rzekła:

– Po co mnie uratowałeś?

Spojrzał na nią boleśnie, jakby usiłował odgadnąć, co powiedziała. Powtórzyła pytanie. A wtedy rzucił jej spojrzenie pełne głębokiego smutku i uciekł.

Zdziwiła się.

Powrócił wkrótce, niosąc węzełek, który jej rzucił do stóp. Była to odzież złożona dla niej na progu kościoła przez litościwe niewiasty. Spojrzała wtedy na siebie, zobaczyła, że jest prawie naga i zaczerwieniła się. Życie wracało.

Quasimodo jakby zrozumiał jej wstyd. Zakrył oko swą szeroką dłonią i znów oddalił się, tym razem powolnym krokiem.

Ubrała się spieszenie. Dano jej białą sukienkę i biały welon. Był to strój postulantki od sióstr miłosierdzia z Bożego Domu.

Zaledwie skończyła, kiedy znowu ujrzała Quasimodo. Pod jedną pachą dźwigał kosz, pod drugą siennik. W koszu znajdowała się butelka, chleb i nieco żywności. Postawił kosz na ziemi i rzekł:

– Jedz!

Położył siennik na posadzce i rzekł:

– Śpij!

Dzwonnik przyniósł jej swój własny obiad i swoje własne posłanie.

Cyganka spojrzała nań i chciała mu podziękować, ale nie mogła wymówić ani słowa. Biedak był rzeczywiście okropny. Zadrzała z przerażenia i spuściła głowę.

Wtedy odezwał się Quasimodo:

– Boisz się mnie. Jestem bardzo brzydki, prawda? Nie patrz na mnie, ale posłuchaj! Przez cały dzień musisz tutaj siedzieć. W nocy możesz sobie chodzić po całym kościele. Ale nie wychodź z kościoła ani w dzień ani w nocy. Bo zabiliby cię, a ja bym umarł.

Wzruszona, podniosła głowę, żeby mu odpowiedzieć. Znikł. Znowu była sama; zamyśliła się nad dziwnymi słowami tej poczwornej istoty, zastanowił ją ton jego głosu, który był tak skrzeczący, a zarazem tak tkliwy.

Potem rozejrzała się po swojej celi. Była to izdebka o powierzchni sześciu stóp kwadratowych, z okienkiem i drzwiami wychodzącymi na nieco pochyły dach z płaskich kamieni. Rynny w kształcie zwierząt jakby umyślnie wychylały się zewsząd i wyciągały szyje, żeby ją zobaczyć przez okienko. Za okapem dachu widziała kominy, czubki tysięcy kominów, które aż do jej oczu przynosiły dymy wszystkich ognisk Paryża. Smutny widok dla ubogiej Cyganki, znajdy skazanej na śmierć, nieszczęśliwego stworzenia bez ojczyzny, bez rodziny, bez domu.

Kiedy tak z większym niż kiedykolwiek bólem pomyślała o własnej samotności poczuła, że jakaś kudłata i brodata głowa wsuwa się między jej dłonie, na jej kolana. Zadrzała (bała się teraz wszystkiego) i spojrzała. Była to biedna kózka, zwinna Dżali, która w ślad za nią uciekła, kiedy

Quasimodo rozpędzał pacholków Charmolue, a teraz łąsiła się do jej nóg już chyba od godziny, nie mogąc się doprosić choćby spojrzenia. Cyganka zasypała ją pocałunkami.

– O Dżali! – mówiła – widzisz, zapomniałam o tobie! A ty wciąż o mnie myślisz. O, ty umiesz być wdzięczna!

I w tejże chwili, jakby jakaś niewidzialna ręka uniosła ciężar, który już od tak dawna dławił łązy w jej sercu, rozplakała się i razem ze łzami spływało to, co było najbardziej piekące i gorzkie w jej bólu.

Kiedy się ściemniło, noc wydała jej się taka piękna, światło księżyca tak łagodne, że po najwyższej galerii obeszła dookoła cały kościół. Doznała dziwnej ulgi, bo tak bardzo spokojna wydała się jej ziemia oglądana z tej wysokości.

III

GŁUCHY

Nazajutrz rano budząc się spostrzegła, że spała. Zdziwiło ją to niezmiernie. Już od tak dawna odwykła od snu! Wesoły promień wschodzącego słońca wpadał przez okienko i muskał ją po twarzy. Lecz razem ze słońcem ujrzała w oknie coś, co ją przeraziło – nieszczęsną twarz Quasimodo. Mimo woli znów zamknęła oczy, ale nadaremnie, zdawało jej się, że przez różowe powieki ciągle jeszcze widzi tę maskę gnoma, jednooką i szczerbatą. Leżąc wciąż z zamkniętymi oczami, usłyszała gruby niemiły głos przemawiający jak najtkliwiej:

– Nie bój się. Jestem twoim przyjacielem. Przyszedłem tu, żeby popatrzeć jak śpisz. To ci chyba nie sprawi przykrości, że przyjdę popatrzeć, jak śpisz, prawda? Co ci szkodzi, że tu jestem, kiedy masz zamknięte oczy. Teraz pójdę sobie. Już się skryłem za ścianą. Możesz otworzyć oczy.

Bardziej jeszcze żaloszny niż słowa był ton, którym zostały wypowiedziane. Cyganka, wzruszona, otworzyła oczy. Istotnie, nie było go już w okienku. Podeszła do tego okienka i zobaczyła, że biedny garbus skulił się za rogiem muru, zrezygnowany i cierpiący. Z wysiłkiem pokonała odrazę, którą w niej budził.

– Chodź – powiedziała łagodnie.

Quasimodo z poruszeń warg Cyganki wywnioskował, że każe mu iść precz; wstał więc i odszedł kulejąc, ze zwieszoną głową, nie śmiać podnieść na dziewczynę wzroku pełnego rozpacz.

– Chodźże tu! – zawołała.

Lecz on odchodził coraz dalej. Wtedy wybiegła z celi, podeszła do niego i ujęła go za ramię. Kiedy Quasimodo poczuł dotknięcie jej ręki, zadrżał na całym ciele. Spojrzał na nią błagalnie, a widząc, że dziewczyna przyciąga go ku sobie, rozpromienił się na twarzy ze wzruszenia i radości. Chciała go zaprowadzić do swej celi; ale oparł się i został na progu.

– Nie, nie! – rzekł – sowa nie wchodzi do gniazda jaskółki.

Więc przysiadła wdzięcznie na swym posłaniu, a koza spała u jej stóp. I oboje trwali tak przez czas pewien, oglądając w milczeniu: on – jej urodę, ona – jego brzydotę. Co chwila odkrywała w Quasimodo coraz nową ułomność. Wzrok jej przenosił się z koślawego kolana na garbate plecy, z garbatych pleców na jedyne oko. Pojąć wprost nie umiała, że może istnieć stwór ukształtowany tak nieskładnie. Tak wiele jednak było w nim smutku i tkliwości, że zaczęła oswajać się z jego

widokiem.

Pierwszy przerwał milczenie Quasimodo:

– Powiedziałaś, żebym wrócił?

Twierdząco skinęła głową i rzekła:

– Tak.

Zrozumiał skinienie.

– Bo widzisz... – rzekł i jakby zawahał się, czy dokończyć – bo widzisz, ja jestem głuchy.

– Biedaku! – zawołała Cyganka z wyrazem życzliwego współczucia.

Uśmiechnął się boleśnie.

– Przyznasz, że tylko tego brakowało, prawda? Tak, jestem głuchy. Taki już jestem. To straszne, prawda? A ty jesteś taka piękna!

W głosie nieszczęśliwego Quasimodo brzmiało tak głębokie zrozumienie własnej niedoli, że zabrakło jej sił, by mu choćby jednym słowem odpowiedzieć. I tak by zresztą nie usłyszał. Mówił dalej:

– Nigdy jeszcze nie widziałem własnej brzydoty tak wyraźnie jak w tej chwili. Kiedy się porównam z tobą, jakże mi żal siebie, nieszczęśliwego potwora! Wydaję ci się jakimś zwierzem, prawda? A ty, ty jesteś promieniem słońca, kroplą rosy, śpiewem ptaka. Ja jestem obrzydliwy: ani człowiek, ani bydlę, coś, co jest twardsze, bardziej niekształtne i bardziej zatratowano niż kamień z bruku.

I zaczął się śmiać śmiechem najbardziej rozdzierającym, jaki kiedykolwiek słyszano na świecie. Mówił dalej:

– Tak, jestem głuchy, ale możesz ze mną rozmawiać na migi, za pomocą znaków. Mój pan porozumiewa się ze mną w ten sposób. Zresztą prędko nauczę się odgadywać twą wolę z poruszania twoich warg i ze spojrzenia.

– A więc dobrze! – odparła z uśmiechem. – Powiedz mi, czemuś mnie uratował.

Przyglądał się uważnie, kiedy mówiła.

– Zrozumiałem – odpowiedział. – Pytasz, dlaczego cię uratowałem. Zapomniałaś już nędzarza, który usiłował cię porwać pewnej nocy, nędzarza, któremu już następnego dnia przyszłaś z pomocą, gdy stał pod hańbiącym pręgierzem. Za kroplę wody i odrobinę litości nie wypłacę ci się nawet całym moim życiem. Zapomniałaś o tym nędzarzu, ale on ciebie zapamiętał.

Słuchała go z głębokim wzruszeniem. W oku dzwonnika stanęła łza, ale się nie stoczyła. Wydawać by się mogło, że jej połknięcie jest dla niego sprawą honoru.

– Posłuchaj – odezwał się znowu, kiedy przestał się obawiać, że tę łzę uroni – nasze wieże są bardzo wysokie; człowiek, który by spadł z tej wysokości, umarłby nie zdążywszy dotrzeć do bruku; jeśli zechcesz, żebym skoczył z wieży, nie potrzebujesz wymówić ani słowa, wystarczy jedno spojrzenie.

I wstał. Choć Cyganka była tak bardzo nieszczęśliwa, ten cudaczny stwór wzbudził w niej współczucie. Dała mu znak, żeby został.

– Nie, nie – rzekł – nie powinienem zostawać za długo. Jakoś mi nieswojo. Przecież tylko z litości nie odwracasz oczu. Pójdę sobie tam, skąd będę mógł cię widzieć niewidoczny – tak będzie lepiej.

Wyciągnął z kieszeni mały metalowy gwizdek.

– Weź to – rzekł. – Kiedy ci będę potrzebny, kiedy zechcesz, żebym przyszedł, kiedy mój widok nie będzie ci zbyt wstrętny – zagwizdziesz. Ten dźwięk usłyszę.

Położył gwizdek na ziemi i uciekł.

IV

GLINA I KRYSZTAŁ

Dni mijały.

Spokój powracał z wolna w duszę Esmeraldy. Nadmierny ból, jak i nadmierna radość, jest rzeczą gwałtowną i trwa krótko; serce człowieka nie wytrzyma zbyt długo żadnej krańcowości. Cyganka tak wiele wycierpiała, że pozostało w niej już tylko zdziwienie.

Powróciła pewno jutra, a razem z nią – nadzieja. Znalazła się poza społeczeństwem, poza życiem, czuła jednak, że może się jej jeszcze jakoś uda wrócić do świata. Była jak umarła, która miała gdzieś w zanadrzu klucz od własnego grobu.

Czuła, że oddalają się od niej z wolna wszystkie straszliwe obrazy, które ją tak długo prześladowały. Obrzydłe widziadła – Piotrek Kręcikoło, Jakub Charmolue – zacierały się w jej umyśle, zacierały się wszystkie, nawet i ksiądz.

Prócz tego Febus żył; była pewna, że żyje, widziała go. A życie Febusa było dla niej wszystkim. Po kolejnych wstrząsach, które wszystko w niej zawały, ostało się w jej duszy tylko jedno uczucie: miłość do kapitana. Bo miłość jest jak drzewo: sama z siebie rośnie, głęboko zapuszcza korzenie w całą istotę człowieka i nieraz na ruinie serca dalej się zieleni.

A co najtrudniej pojąć, im bardziej namiętność jest ślepa, tym jest uporczywsza. Wtedy bywa najtrwalsza, kiedy nie ma żadnej racji istnienia.

Zapewne, Esmeralda nie bez gorczy myślała o kapitanie. Zapewne, było to uła niej straszne, że i on również dał się oszukać, że uwierzył w tę straszną rzecz niesłychaną, że mógł przypuścić, iż pchnęła go sztyletem ona, która tysiąc razy oddałaby za niego życie. Lecz czy można było mieć doń o to aż tak wiele żalu? Czyż nie przyznała się do „zbrodni”? Czyż nie uległa, słaba kobieta, torturze? Sama była wszystkiemu winna. Trzeba było raczej dać sobie wyrwać paznokcie niż przyznać się do winy. Gdyby mogła zobaczyć Febusa choć raz, choć na chwilę, dość byłoby jednego słowa, jednego spojrzenia, żeby go wyprowadzić z błędu, żeby go odzyskać. Tego była pewna. Odsuwała od siebie myśli o wielu niejasnych sprawach, o przyczynie przypadkowego zjawienia się Febusa w dniu publicznej pokuty, o dziewczynie, z którą stał. Była to niewątpliwie jego siostra. Rozumowanie naiwne, ale zadowalała się nim, bo potrzebowała wiary w miłość Febusa, w jego wierną i stałą miłość. Czyż jej nie przysięgał? Czegóż więcej było trzeba tej prostej i ufnej dziewczynie? A wreszcie – czyż w tej całej sprawie pozory nie świadczyły bardziej przeciwko niej niż przeciwko niemu? Czekala więc. Nie straciła nadziei.

Dodajmy, że i kościół, ten ogromny kościół, który ją okrażył ze wszystkich stron, który ją chronił, który ją ratował, działał swoją kojącą potęgą. Uroczyste formy tej architektury, modlitewne skupienie wszystkich rzeczy, które otaczały dziewczynę, pobożne i pogodne myśli, które jeśli można tak rzec, przenikały przez wszystkie pory tych kamieni, uspokajały ją, choć sobie nie zdawała z tego sprawy. Szmary i głosy tego gmachu miały w sobie tyle błogosławionego majestatu, że uśmierzały ból tej chorej duszy. Monotonny śpiew księży odprawiających mszę, czasem niewyraźne, czasem grzmiące odpowiedzi ludu, harmonijne drżenie witraży, organy huczące jak sto trąb, trzy dzwonnice, hałaśliwe niby ule pełne ogromnych pszczoł – cała ta kapela, po której gama tonów biegła nieustannie od tłumu w dole aż po szczyty dzwonnicy, to wznosząc się, to spadając, zagłuszała w niej pamięć, wyobraźnię i cierpienie. Nade wszystko zaś ukołysały ją dzwony. Te olbrzymie przyrządy jakby służyły ku niej

szerokie fale potężnego magnetyzmu.

Toteż każdy wschód słońca zastawał ją spokojniejszą, lżej oddychającą, mniej bladą. Im bardziej zasklepiały się jej wewnętrzne rany, tym wyraźniej wdzięk i uroda znów rozkwitały na jej twarzy – coraz bardziej skupionej, coraz bardziej wypoczętej. Powracało również dawne usposobienie, a nawet i wesołość, śliczna minka, miłość do kózki, zamiłowanie do śpiewu, wstydlivość. Ubierając się rano kryła się trwożnie w kącie celki, żeby, jej nie zobaczył przez okienko jakiś mieszkaniec sąsiednich strychów.

Wśród marzeń o Febusie Cyganka znajdowała niekiedy chwilę, żeby pomyśleć o Quasimodo. Był on jedynym powiązaniem, jedyną nicią łączącą ją z żywymi ludźmi. Bo nieszczęśliwa dziewczyna znajdowała się jeszcze bardziej poza światem niż Quasimodo. Ten dziwny przyjaciel, którym ją los obdarował, był dla niej niepojęty. Często wyrzucała sobie, że wdzięczność nie potrafi zamknąć jej oczu, ale w żaden sposób nie mogła przywyknąć do biednego dzwonnika. Był zbyt brzydki.

Nie podniosła gwizdka, który jej dał. Mimo to Quasimodo przez pierwsze dni zjawiał się od czasu do czasu. Robiła, co mogła, żeby się nie odwracać z nazbyt wielkiej odrazy, kiedy przynosił jej kosz z jedzeniem albo dzban z wodą, ale on zawsze spostrzegał nawet najlżejszy odruch tego rodzaju i odchodził wtedy ze smutkiem.

Pewnego razu wszedł, kiedy głaaskała Dżali. Przez kilka chwil stał przypatrując się w zamyśleniu Cygance i kozie – tak ślicznie razem wyglądały – wreszcie odezwał się potrząsając swą ciężką i niekształtną głową:

– To całe moje nieszczęście, że zbyt jeszcze jestem podobny do człowieka. Chciałbym być całkowicie zwierzęciem jak ta koza.

Esmeralda spojrzała nań ze zdziwieniem.

Odpowiedział na jej spojrzenie:

– Tak, dobrze wiem dlaczego.

I poszedł.

Innym razem, kiedy stanął w drzwiach celi (do której nigdy nie wchodził), Esmeralda śpiewała starą, hiszpańską balladę; nie rozumiała jej słów, ale zapamiętała piosenkę, bo kiedy była mała. Cyganki ją śpiewały jej do snu. Na widok szpetnej twarzy, która zjawiała się nagle podczas tego śpiewu, dziewczyna przerwała z mimowolnym gestem przerażenia. Nieszczęśliwy dzwonnik ukląkł w progu i z błaganiem na twarzy złożył swe ogromne, brzydkie ręce.

– O! – rzekł boleśnie – zaklinam cię, śpiewaj dalej i nie wypędzaj mnie!

Nie chciała go zasmucić, więc drżąc cała, znów zanuciła swą piosenkę. Stopniowo jednak przestraszył się i poddawała się działaniu melancholijnej i powolnej melodii, którą śpiewała. On wciąż klęczał z rękami złożonymi jak do modlitwy, uważny, prawie nie oddychając, że spojrzeniem utkwionym w błyszczących źrenicach Cyganki. Rzekłbyś, że słyszy piosenkę w jej oczach.

Innym znowu razem przyszedł do niej jakiś zawstydzony i nieśmiały.

– Posłuchaj – rzekł z wysiłkiem – chcę ci coś powiedzieć.

Dała mu znak, że słucha. Wtedy zaczął wzdychać, rozchylił wargi, przez chwilę zdawało się, że przemówi, potem spojrzał na nią, przecząco poruszył głową i dłońmi ściskając czoło odszedł powoli, zostawiając Cygankę w najwyższym zdumieniu.

Wśród dziwacznych figur wyrzeźbionych w murze jedną szczególnie sobie upodobał i czasem zdawało się, że wymienia z nią braterskie spojrzenia. Pewnego razu Cyganka usłyszała, jak mówił do rzeźby:

– O, czemu nie jestem z kamienia jak ty!

Wreszcie, pewnego dnia rankiem, Esmeralda wyszła aż na samą krawędź dachu i patrzyła na

plac ponad spiczastą kopułą rotundy Św. Jana. Quasimodo stał za nią. Umyślnie ustawił się tak, żeby oszczędzić dziewczynie swego przykrego widoku. Nagle Cyganka zadrżała, w oczach jej rozbłysły równocześnie i łzy, i błyskawice radości, ukłękła na krawędzi dachu i rozpaczliwie wyciągnęła ręce w stronę placu krzycząc:

– Febusie, chodź! Chodź tutaj! Słowo, tylko jedno słowo na miłosierdzie nieba! Febusie! Febusie!

Jej głos, jej twarz, gest, cała jej postać wyrażały rozpacz rozbitka, który śle błagalne znaki w stronę statku przepływającego wesoło w dali po rozświetlonym widnokręgu.

Quasimodo wychylił się i zobaczył, że przedmiotem tego tkliwego, szalonego błagania był młodzieniec, kapitan, piękny jeździec w świetnym mundurze, z połyskującą bronią, który w galopie wjechał na plac i kłaniał się swym pióropuszem pięknej damie uśmiechającej się doń z balkonu. Oficer nie mógł zresztą usłyszeć wołania nieszczęśliwej dziewczyny: był za daleko.

Lecz biedny głuchy usłyszał. Pierś jego podniosła się głębokim westchnieniem; odwrócił się; jego serce napełniło się wszystkimi łzami, które łykał do tej pory, kurczowo uderzał się pięściami po głowie, a kiedy je odjął, trzymał w każdej ręce garść rudych włosów.

Cyganka nie zwracała na niego żadnej uwagi. Zgrzytając zębami powiedział cicho:

– Przekleństwo! Więc takim trzeba być! Więc wystarczy być pięknym po wierzchu!

Esmeralda wciąż klęczała i wołała w niezwykłym uniesieniu:

– O, zsiada z konia! Zaraz wejdzie do tego domu! Febusie! Nie słyszy... Febusie! Ta zła kobieta coś mówi do niego i dlatego mnie nie słyszy! Febusie! Febusie!

Głuchy patrzył na nią. Rozumiał tę pantomimę. Oko nieszczęśliwego dzwonnika napełniło się łzami, ale nie pozwolił popłynąć ani jednej. Nagle łagodnie pociągnął dziewczynę za kraj rękawa. Odwróciła się. Twarz miała już spokojną. Zapytał:

– Czy chcesz, żebym go przyprowadził?

Krzyknęła z radości.

– O, idź, biegnij, pędź! Prędko! Ten kapitan!... Przyprowadź mi go! Będę cię kochała!

Całowała mu nogi. Nie potrafił powstrzymać się od bolesnego potrząśnięcia głową.

– Przyprowadzę ci go – rzekł cicho. Potem odwrócił się i pobiegł pędem ku schodom, tłumiąc łkanie.

Kiedy wbiegł na plac, ujrzał już tylko pięknego konia uwiązanego przy bramie domu Gondelaurier. Kapitan wszedł do środka.

Spojrzał w górę, na dach kościoła. Esmeralda klęczała na tym samym miejscu, w tej samej pozycji. Dał jej znak smutnym skinieniem głowy. Po czym oparł się o ścianę przy sieni, zdecydowany czekać, póki kapitan nie wyjdzie.

W kamienicy Gondelaurier odbywała się jedna z tych biesiad, jakie zwykle poprzedzają wesele. Quasimodo widział, że wiele osób wchodziło, ale nikt nie wychodził. Od czasu do czasu spoglądał na dach. Cyganka nie ruszyła się jak i on. Przyszedł koniuszy, odwiązał konia i zaprowadził go do stajni.

Cały dzień minął im w ten sposób: Quasimodo za rogiem sieni, Esmeralda na dachu, Febus – u stóp Lili zapewne.

Wreszcie nadeszła noc; noc ciemna, bez księżyca. Quasimodo daremnie wyteżał wzrok. Tam, gdzie była Esmeralda, widniała jeszcze przez pewien czas biała plamka wśród zmroku; potem już nic. Wszystko się zatarło, wszystko pochłonęła ciemność.

Widział, jak z góry na dół zapalają się rzęście wszystkie okna kamienicy Gondelaurier. Widział, jak zapalają się po kolei wszystkie okna na placu, widział również, jak pogasty aż do ostatniego, gdyż przez cały wieczór stał na swoim stanowisku. Oficer nie wychodził. Kiedy ostatni przechodnie powrócili do swych domów, kiedy wszystkie okna w pozostałych

kamienicach pogasły, Quasimodo został sam, w zupełnym mroku. Nie było jeszcze wówczas latarni na placu przed katedrą Marii Panny.

Jedynie w oknach kamienicy Gondelaurier wciąż było jasno, nawet i po północy. Quasimodo, nieruchomy i uważny, widział, jak za wielobarwnymi witrażami przesuwa się tłum żywych i tańczących cieni. Gdyby nie był głuchy, to w miarę jak cichły hałasy usypiającego Paryża, coraz wyraźniej słyszałby dochodzący z wnętrza domu Gondelaurier zgiełk zabawy, śmiech i muzykę.

Okolo godziny pierwszej w nocy goście zaczęli się rozchodzić. Quasimodo okryty ciemnością, przyglądał się im, kiedy przechodzili przez oświetloną pochodniami sień. Nie było wśród nich kapitana.

Quasimodo był pełen smutnych myśli. Chwilami patrzył w niebo jak ci, co się nudzą. Wielkie czarne chmury, ciężkie, poszarpane, podarte, wisiały jak hamaki krepy Pod rozgwieżdżonym stropem nocy. Rzekłbyś, że są to pajęczyny niebieskiego sklepienia.

W jednej z takich chwil zobaczył nagle, że drzwi balkonu, którego kamienna balustrada zawisała tuż nad jego głową, uchyliły się tajemniczo. Ich kruche, oszklone skrzydło przepuściło dwie osoby – mężczyznę i kobietę – i zamknęło się za nimi bezszelestnie. Quasimodo nie bez trudu rozpoznał w mężczyźnie pięknego kapitana, w kobiecie zaś – młodą damę, którą widział z rana, jak z tego samego balkonu witała oficera. Plac był zupełnie ciemny, a podwójna szkarłatna kotara, która opadła po zamknięciu drzwi, nie przepuszczała na balkon światła z wnętrza domu.

Młodzieniec i dziewczyna – o ile mógł osądzić nasz głuchy, który nie słyszał ani jednego ich słowa – pogrążeni byli najwidoczniej w bardzo czułym sam na sam. Dziewczyna, jak się zdawało, pozwoliła oficerowi otoczyć się ramieniem i łagodnie uchylała się od pocałunku.

Quasimodo z dołu oglądał tę scenę, tym milszą oku, że nie dla widzów przeznaczoną. Z goryczą przyglądał się tej pięknej i szczęśliwej parze. Boć przecie w tym biedaku też odzywał się głos natury, a jego kręgosłup, choć pokręcony tak złośliwie, potrafił zadrzeć jak u każdego. Pomyślał o nędznej cząstce, jaką Opatrzność dała mu w udziale, pomyślał, że kobieta, miłość, rozkosz będą wiecznie tylko przesuwać mu się przed oczyma, że dane mu będzie tylko oglądać szczęście innych ludzi. Ale nie tylko niechęć i zazdrość wzbudził w nim ten widok; najbardziej zaboląła go i najbardziej oburzyła myśl o tym, jak cierpiałaby Cyganka, gdyby to widziała. Prawda, że noc była ciemna, że Esmeralda, jeśli nie odeszła jeszcze do tej pory z krawędzi dachu (a nie wątpił o tym), była daleko i że on sam zaledwie mógł odróżnić postacie kochanków od kamiennych ozdób balkonu. To go pocieszyło.

Rozmowa zakochanych stawała się tymczasem coraz bardziej ożywiona. Młoda dama zdawała się prosić oficera, żeby już nic więcej nie żądał. Quasimodo mógł zrozumieć tylko błagalne ruchy pięknych rąk, uśmiechy pomieszane ze łzami, słane ku gwiazdom spojrzenia dziewczyny – i wzrok kapitana wpijający się w nią namiętnie.

Na szczęście – gdyż dziewczyna bronila się coraz słabiej – otworzyły się nagle drzwi balkonu, stanęła w nich leciwa dama, dziewczę zmieszało się, kapitan zrobił gniewną minę i wszyscy troje wrócili do komnaty.

W chwilę później koń zarżał przed bramą i świetny oficer, owinięty w pelerynę, przeszedł szybko obok Quasimodo.

Dzwonnik pozwolił mu skrócić za róg ulicy, po czym zwinnie jak mała pobiegł za nim, wołając:

– Hej, kapitanie!

Kapitan zatrzymał się.

– Czego chcesz ode mnie, hultaju? – zapytał spostrzegając w ciemności postać o krzywych biodrach, która biegła za nim kulejąc.

Quasimodo dogonił go i śmiało schwycił konia za uzdę.

– Pójdźcie za mną, kapitanie, ktoś chciałby pomówić z wami.

– Na brodę Mahometa! – mruknął kapitan – chyba już gdzieś spotkałem tego rozkudłanego ptaszka. Hola, mój panie, a puścisz ty uzdę mego konia?

– Kapitanie – powtórzył głucho – nie pytacie, kto to taki?

– Powiadam ci, puszczaj konia – odburknął zniecierpliwiony Febus. – Czemuś się, hultaju, uwiesił uzdy mojego wierzchowca? Myślisz może, że mój koń to szubienica?

Quasimodo nie puszczał uzdy i usiłował zawrócić go z drogi. Nie potrafił sobie wytłumaczyć oporu kapitana i spiesznie dodał:

– Chodźcie, kapitanie, oczekuje was niewiasta! – i dorzucił z wysiłkiem: – Niewiasta, która was kocha.

– O rzadki durniu! Myślisz, żeś obowiązany lecieć na wezwanie każdej niewiasty, która mnie kocha lub przynajmniej tak twierdzi! – zawołał kapitan. – A jeżeli jest przypadkiem do ciebie podobna, ty sowa gębo? Powiedz tej, która cię przysyła, że się żenię i żeby sobie poszła do diabła.

– Posłuchajcie, wielmożny panie! – zawołał Quasimodo sądząc, że tym słowem przezwycięży opór kapitana. – Chodźcie za mną. To Cyganka, wiecie która.

Słowo to rzeczywiście zrobiło na Febusie wrażenie, nie takie jednakże, jakiego spodziewał się Quasimodo. Pamiętamy przecież, że nasz lekkomyślny oficer zszedł z balkonu razem z Lilią, zanim jeszcze Quasimodo uratował skazaną z rąk Charmolue. A później, podczas wszystkich odwiedzin w kamienicy Gondelaurier, pilnie wystrzegał się jakiegokolwiek słowa o tej kobiecie, której wspomnienie było mu mimo wszystko przykre; Lilia zaś ze swej strony też uważała za stosowne raczej mu nie mówić, że Cyganka żyje. Febus sądził więc, że biedna Similar umarła, i to już przed miesiącem czy też nawet przed dwoma miesiącami. Dodajmy, że kapitan, uderzony głęboką ciemnością nocy, nadprzyrodzoną szpetotą i grobowym głosem niezwyklego posłańca, już przed chwilą uświadomił sobie, że północ minęła, że ulica jest pusta jak wtedy, kiedy go zaczęło widmo mnicha, i że koń parska na widok Quasimodo.

– Cyganka! – zawołał niemal ze strachem. – Ejże, czyżbyś przychodził z tamtego świata?

I położył dłoń na rękojeści noża.

– Prędzej! prędzej! – mówił głuchy usiłując pociągnąć konia. – Tędy!

Febus z całej siły kopnął go w pierś.

Oko Quasimodo zabłysło. Zrobił taki ruch, jakby miał się rzucić na kapitana, po czym wyprostował się i rzekł:

– Macie szczęście, że jest ktoś, kto was kocha.

Słowo „ktoś” wymówił z naciskiem i puszczając uzdę konia dodał:

– Jedźcie sobie!

Febus zaklął i spał konia ostrogami. Quasimodo patrzył, jak znika we mgle zalegającej ulicę.

– O! – powiedział cichutko biedny głuchy – odmówić takiej rzeczy.

Wrócił do katedry, zapalił swoją lampkę i wszedł na wieżę. Jak przypuszczał, Cyganka siedziała wciąż na tym samym miejscu. Skoro go ujrzała z daleka, pobiegła w tę stronę.

– Sam! – zawołała, boleśnie załamując śliczne ręce.

– Nie mogłem go odnaleźć – rzekł chłodno Quasimodo.

– Trzeba było czekać całą noc – odparła podniesionym głosem.

Zobaczył jej gniewny ruch i zrozumiał wymówkę.

– Przypilnuję go lepiej innym razem – rzekł spuszczać głowę.

– Idź precz! – powiedziała.

Odszedł. Rozgniewał ją. Wolał ściągnąć na siebie jej gniew niż ją zasmucić. Cały ból zachował dla siebie.

Od tego dnia Cyganka już go nie widywała. Nie przychodził do jej celi. Co najwyżej mignęła jej przelotnie na wierzchołku wieży twarz dzwonnika, smutnie w nią zapatrzona. Lecz skoro go spostrzegła, zniknął.

Musimy przyznać, że nie bardzo się martwiła tą dobrowolną wstrzemięźliwością biednego garbusa. W głębi serca była mu wdzięczna. Quasimodo nie miał zresztą pod tym względem żadnych złudzeń.

Nie widywała go, ale czuła przy sobie nieustanną obecność dobrego ducha. Kiedy spała, niewidzialna ręka przynosiła jej żywność. Pewnego ranka znalazła na oknie klatkę z ptaszkami. Tuż nad jej celą była rzeźba, której się bała. Okazywała to nieraz w obecności Quasimodo. Pewnego ranka (bo wszystko to działo się nocą) nie zobaczyła już straszdyła. Ktoś rozłukł rzeźbę. Ten, kto się tam wspiał, ryzykował życie.

Niekiedy wieczorem spod dachu dzwonnicy dochodził ją głos śpiewający jej, jakby do snu, smutną i dziwaczną piosenkę. Były to wiersze bez rymów, wiersze głuchego:

Nie patrz na twarz, dziewczyno,
Patrz w serce.
Serce pięknego młodzieńca bywa często szpetne.
Są serca, w których miłość niedługo gości.

Dziewczyno, jodła nie jest piękna –
Nie jest tak piękna jak topola,
Ale jodła zieleni się w zimie.

Po co mówię to, po co?
To, co nie jest piękne, żyje niepotrzebnie.
Piękność kocha piękność jedynie,
Kwiecień odwraca się od stycznia.

Piękność jest doskonała,
Piękność wszystko może,
Piękność – to jedyna rzecz, która nie jest połowiczna.

Kruk lata tylko w dzień,
Sowa lata tylko w nocy,
Łabędź lata i w dzień, i w nocy.

Pewnego ranka, budząc się, zobaczyła na oknie dwa naczynia pełne kwiatów. Jedno było kryształowe, piękne i błyszczące, ale pęknięte. Woda, którą je napełniono, wyciekła i kwiaty w nim zwiędły. Drugi był gliniany garnek, zwykły, niepozorny, ale nie przeciekał i kwiaty, które w nim stały, były świeże i czerwone.

Nie wiem, czy naumyślnie Esmeralda wybrała zwiędły bukiet i przez cały dzień nosiła go na piersi.

Tego dnia nie słyszała śpiewu na wieży.

Niewiele ją to obeszło. Całymi dniami głaskała Dżali, pilnowała bramy kamienicy Gondelaurier, cichutko opowiadała sobie o Febusie i kruszyła chleb jaskółkom.

Nie widywała i nie słyszała już więcej Quasimodo. Biedny dzwonnik jakby znikł z kościoła. Lecz pewnej nocy, kiedy nie spała i marzyła o swoim pięknym kapitanie, usłyszała westchnienie gdzieś w pobliżu celi. Wstała, przestraszona i w świetle księżyca ujrzała, że jakaś niekształtna

bryła leży w poprzek pod jej drzwiami. To Quasimodo spał na kamieniu.

V

KLUCZ DO CZERWONEJ FURTY

Tymczasem wieść gminna doniosła archidiakonowi, w jaki to cudowny sposób Cyganka została ocalona. Kiedy się o tym dowiedział, sam nie potrafiłby powiedzieć, czego doświadczył. Pogodził się ze śmiercią Esmeraldy. I w ten sposób odzyskał spokój: osiągnął samego dna cierpienia. Serca ludzkie (ksiądz Klaudiusz wiele rozmyślał o tych sprawach) może pomieścić tylko pewną ilość rozpacz. Kiedy gąbka nasiąknie, choćby całe morze po niej przepłynęło, ani jedna łza więcej nie przemknie do środka.

Otóż kiedy Esmeralda umarła – gąbka nasiąkła i wszystko na tej ziemi skończyło się dla księdza Klaudiusza. Lecz świadomość, że ona żyje i że Febus żyje, była torturą niosącą nowe wstrząsy, nowe rozterki – życia. A Klaudiusz był już tym wszystkim zmęczony.

Kiedy się dowiedział tej nowiny, zamknął się w swojej klasztornej celi. Nie zjawiał się ani na narady kapituły, ani na nabożeństwa. Zamknął swoje drzwi przed wszystkimi, nawet i przed biskupem. Na kilka tygodni odciął się w ten sposób od świata. Mniemano, że jest chory. Był rzeczywiście chory.

Co robił zamknięty w celi? Z jakimi myślami mocował się ten nieszczęśnik? Czy wydał ostatnią bitwę swojej niebezpiecznej namiętności? Czy układał ostatni plan śmierci dla niej i zatracenia dla siebie?

Jan, jego ukochany brat, jego rozpieszczone dziecko, też raz przyszedł kiedyś do jego drzwi, stuknął, klął, błagał, dziesięć razy powtarzał swoje imię. Klaudiusz nie otworzył.

Całe dnie spędzał z twarzą przyklepioną do szyby okna. Z tego okna, znajdującego się w klasztorze, widział izdebkę Esmeraldy; widywał ją często z kozą, czasem z Quasimodo. Zauważył troskliwość obrzydliwego garbusa, jego potulność, nieśmiałość i pokorę w stosunku do Cyganki. Przypomniawszy sobie, gdyż pamięć miał dobrą, a pamięć jest źródłem udręczeń zazdrośników – jak dziwnie patrzył dzwonnik na tancerkę pewnego popołudnia. Zastanawiał się, jakie powody mogły skłonić Quasimodo do uratowania dziewczyny. Był świadkiem tysiąca drobnych scen między Cyganką i głuchym, które – oglądane z daleka i objaśniane przez namiętność – wydawały mu się bardzo czułe. Nie ufał kobiecym kaprysom. Poczul, że budzi się w nim zazdrość, której nigdy by się nie spodziewał, zazdrość, od której rumienił się ze wstydu i oburzenia. „Niechby jeszcze kapitan, ale ten!” Ta myśl nim wstrząsnęła.

Straszne były jego noce. Odkąd wiedział, że Cyganka żyje, mrozące krew w żyłach myśli o widmie i o grobie, które go prześladowały przez cały dzień, znikły i ciało przebudziło się znowu. Wił się na swym łożu, czując tak blisko tę smagłą dziewczynę.

Każdej nocy rozgorączkowana wyobraźnia ukazywała mu Esmeraldę w takich pozach, od których najgoręcej wrzała w nim krew. Widział, jak leży na zaszytych kapitanie, z zamkniętymi oczami, z piękną, nagą pierśią zalaną krwią Febusa, w owej rozkosznej chwili, kiedy on, archidiakon, wycisnął na jej białych wargach pocałunek, który odczuła jak oparzenie, choć była na wpół martwa. Widział, jak ją rozbierają dzikie ręce dręczycieli, jak obnażają i zamykają w bucie z żelaznymi śrubami jej okrągłą smukłą nogę, jej kształtne, toczące kolano. Widział to kolano, jakby wyrzeźbione w słoniowej kości, wyłaniające się ze straszego aparatu

Piotrka Kręcikolo. I wreszcie wyobrażał sobie dziewczynę w koszuli ze sznurem na szyi, z nagimi ramionami, z nagimi stopami, prawie naga, taką, jaką widział ostatniego dnia. Pod działaniem tych lubieżnych obrazów jego pięści zaciskały się, a dreszcz przebiegał przez plecy.

Wreszcie pewnej nocy tak okrutnie rozgrzały mu w żyłach dziewiczą, księżą krew, że pokasał poduszki, wyskoczył z łóżka, narzucił kornie na koszulę i wyszedł z celi z lampą w dłoni, półnagi, nieprzytomny, z pałającym okiem.

Wiedział, gdzie znaleźć klucz do Czerwonej Furty, która prowadziła z klasztoru do kościoła, a jak wiadomo, klucz od schodów na wieżę miał zawsze przy sobie.

VI

KLUCZ OD CZERWONEJ FURTY, CIĄG DALSZY

Esmeralda usnęła tej nocy w swojej izdebce, ukołysana nadzieją i najśłodszymi myślami. Spała już od pewnego czasu, śniąc, jak zwykle, o Febusie, kiedy się jej wydało, że słyszy jakiś hałas w pobliżu. Sen miała lekki i płochliwy, sen ptaka; lada szmer ją budził. Otworzyła oczy. Noc była bardzo ciemna. Dojrzała jednak w okienku jakąś twarz z utkwionymi w nią oczami; lampa oświecała tę zjawę. Zjawa zobaczywszy, że Esmeralda ją spostrzegła, w tej samej chwili zdmuchnęła lampę. Dziewczyna zdążyła jednak ją poznać, powieki jej zamknęły się z przerażenia.

– O! – powiedziała głuchym głosem – ksiądz!

Jak w świetle błyskawicy ujrzała wszystkie minione nieszczęścia. Upadła na posłanie złodowaciała.

W chwilę później uczuła wzdłuż całego ciała dotknięcie, od którego zadrżała tak gwałtownie, że aż zerwała się z posłania, rozbudzona i wściekła.

Ksiądz wsunął się do jej łóżka. Obejmował ją ramionami.

Chciała krzyczeć, ale nie mogła.

– Precz, potworze! Precz, morderco! – odezwała się głosem cichym i drżącym z gniewu i przerażenia.

– Zlituj się! Zlituj się! – szeptał ksiądz, przyciskając usta do jej ramion. Oburącz schwyciła jego łysą głowę za resztki włosów i usiłowała odsunąć jego pocałunki, jakby to były ukąszenia.

– Zlituj się! – powtarzał nieszczęśliwy ksiądz. – Gdybyś ty wiedziała, czym jest moja miłość do ciebie! To ogień! Roztopiony ołów! To tysiąc noży w sercu!

I z nadludzką siłą trzymał ją w objęciach.

Odchodząc od zmysłów krzyknęła:

– Puść, bo ci w twarz plunę!

Puścił.

– Pluj na mnie, bij mnie, rób co chcesz! Ale zlituj się! Pokochaj!

Wtedy zaczęła go bić z dziecinną wściekłością. Zaciśnęła śliczne ręce i tłukła go pięściami po twarzy.

– Precz szatanie!

– Pokochaj mnie, pokochaj mnie, litości! – krzyczał nieszczęsny ksiądz waląc się na nią i odpowiadając pieściami na uderzenia.

Nagle uczuła, że jest od niej silniejszy.

– Trzeba z tym skończyć! – wyrzekł przez zaciśnięte zęby.

Obezwładniona, drżąca, złamana, leżała w jego ramionach, zdana na łaskę. Poczula, że bezwstydną ręką błądzi po jej ciele. Zrobiła ostatni wysiłek i zaczęła krzyczeć:

– Ratunku! Ratunku! Wampir! Wampir!

Nikt nie przyszedł. Tylko Dżali obudziła się i rozpaczliwie beczała.

– Milcz! – rzekł ksiądz dysząc.

Nagle, wyrywając mu się i czołgając po posadzce, dotknęła ręką jakiegoś zimnego, metalowego przedmiotu. Był to gwizdek Quasimodo. Schwyciła go w skurczu nadziei, podniosła do warg i zagwizdała całą resztką sił. Rozległ się ostry, cienki, przejmujący świst.

– Co to? – rzekł ksiądz.

Nieomal w tej samej chwili poczuł, że go porwało jakieś mocne ramię; cela była ciemna. Nie mógł dojrzeć wyraźnie, co go trzyma; ale usłyszał wściekły zgrzyt zębów i dość było światła rozszanego wśród mroku, żeby mógł zobaczyć, jak błysnęło mu nad głową szerokie ostrze noża.

Księdzu wydało się, że poznaje kształty Quasimodo. Domyślał się, że nie może to być nikt inny. Przypomniał sobie, że się potknął przy wejściu o coś, co leżało na zewnątrz, w poprzek drzwi. Ponieważ jednak napastnik nie odezwał się ani słowem, sam nie wiedział, co ma sądzić. Schwycił rękę trzymającą nóż i krzyknął:

– Quasimodo!

Zapomniał w tej chwili rozpaczy, że Quasimodo jest głuchy. W mgnieniu oka ksiądz został obalony na ziemię i poczuł, że kolano z ołowiu przygniata mu pierś. Po ucisku tego kościstego kolana poznał Quasimodo; lecz co zrobić? Jak postąpić, żeby on go również poznał? Noc oślepiła głuchego.

Był zgubiony. Dziewczyna, bezlitosna jak rozjuszona tygrysica, nie próbowała go ratować. Nóż był coraz bliżej głowy. Nagle przeciwnik jak gdyby się zawahał.

– Jej nie powinna zachlapać krew – rzekł głuchym głosem. Był to rzeczywiście głos Quasimodo.

Ksiądz poczuł, że wielka ręka wyciąga go za nogę z celi; a więc tam, za progiem, miał umrzeć. Na jego szczęście przed chwilą właśnie wzeszedł księżyc.

Kiedy przedostali się przez drzwi izdebki, jego błądzący promień padł na twarz księdza. Quasimodo spojrzał na tę twarz, zadrżał, puścił księdza i cofnął się.

Cyganka, która wyszła na próg celi, ujrzała ze zdziwieniem, że role się nagle zmieniły. Teraz ksiądz groził, a Quasimodo błagał o litość.

Ksiądz wyraziście dał poznać głuchemu swój gniew i oburzenie i gwałtownym ruchem rozkazał mu odejść.

Głuchy zwiesił głowę, a potem ukląkł przed drzwiami Cyganki.

– Panie mój – odezwał się głosem pełnym powagi i rezygnacji – uczynisz później, co zechcesz, ale wpierw zabij mnie.

Mówiąc to podał księdzu swój nóż. Ksiądz, na nic niepomny, chciał go chwycić. Lecz uprzedziła go dziewczyna – wyrwała nóż z rąk Quasimodo i wybuchnęła złym śmiechem.

– Zbliź się! – powiedziała księdzu.

Trzymała nóż przed sobą. Ksiądz stał, niezdecydowany. Niechybnie uderzyłaby.

– Teraz nie odważysz się podejść, podły! – krzyknęła. Po czym, dobrze wiedząc, że przebijie tysiącem rozżarzonych ostrzy serce księdza, dodała bezlitośnie: – Ja wiem, że Febus żyje!

Ksiądz jednym kopnięciem przewrócił Quasimodo i, trzęsąc się z wściekłości, znikł pod sklepieniem schodów.

Kiedy odszedł, Quasimodo podniósł gwizdek, który ocalił Cygankę.

– Zardzewiał – rzekł oddając go jej. I zostawił ją samą.

Dziewczyna, wstrząśnięta tą gwałtowną sceną, padła wyczerpana na posłanie i zaczęła głośno płakać. Widnokrąg znów zasnuwały złowrogie chmury.

Ksiądz zaś wrócił po omacku do swojej celi.

Stało się. Archidiakon Klaudiusz był zazdrosny o Quasimodo. W zamyśleniu powtarzał fatalne słowa:

– Nikt jej mieć nie będzie.

Księga dziesiąta

I

NA ULICY BERNARDYNÓW GRINGOIRE MA KOLEJNO KILKA DOBRYCH POMYSŁÓW

Skoro Piotr Gringoire zobaczył, jaki obrót przybiera cała ta sprawa, i zrozumiał, że dla głównych postaci tej komedii rzecz skończy się niewątpliwie sznurem, powieszeniem i innymi przykrościami, postanowił więcej nie wtrącać się do niczego. Żebracy, wśród których pozostał, liznąwszy, że w rezultacie jest to jeszcze najlepsze w Paryżu towarzystwo, nadal interesowali się Cyganką. Wydawało mu się to całkiem zrozumiałe ze strony ludzi, którzy jak ona mieli w perspektywie tylko Charmolue i Piotrka Kręcikoło i którzy nie cwałowali jak on po wyimaginowanych przestworzach między skrzydłami Pegaza. Z ich rozmów dowiedział się, że małżonka, poślubiona mu wedle obrządku stłuczonego dzbana, znalazła schronienie w katedrze Marii Panny, i szczerze się tym uradował. Lecz nie czuł najmniejszej pokusy, żeby ją tam odwiedzić. Pomyślał czasem o kózce – to wszystko. Zresztą w dzień pokazywał sztuki, żeby żyć, a w nocy opracowywał memorandum przeciwko biskupowi Paryża, gdyż dobrze sobie zapamiętał, jak go raz ochlapały koła jego młynów i nie mógł mu tego darować. Zajmował się również komentowaniem pięknego dzieła Baudry-le-Rouge, biskupa Noyon i Tournay: *De cupa petrarum*, co w nim rozbudziło gwałtowne zainteresowanie architekturą, skłonność, która zajęła w jego sercu miejsce namiętności do hermetyzmu, będąc zresztą naturalnym wynikiem tej ostatniej, gdyż pomiędzy hermetyką i budownictwem istnieje ścisły związek. Gringoire od miłości idei przeszedł do miłości formy tej idei.

Pewnego dnia przystanął w pobliżu kościoła Saint-Germain-l'Auxerrois u węgła budowli, którą nazwano Więzieniem Biskupim, stojącej naprzeciwko budowli nazwanej Więzieniem Królewskim. W tym Więzieniu Biskupim znajdowała się prześliczna kaplica z czternastego wieku, a absyda jej wychodziła na ulicę. Gringoire z nabożeństwem oglądał rzeźby na jej zewnętrznej ścianie. Przeżywał właśnie jedną z tych chwil samolubnej, wyłącznej, najwyższej rozkoszy, kiedy wsta z całego świata widzi tylko sztukę – i w sztuce widzi cały świat. Nagle poczuł, że czyjaś ręka ciężko legła mu na ramieniu. Odwrócił się. Był to jego dawny przyjaciel, jego dawny mistrz, wielebny archidiakon. Zdumiał się i przeląkł. Od dawna już nie widział archidiakona; a ksiądz Klaudiusz należał do tych majestatycznych i pełnych pasji ludzi, których spotkanie zawsze wytrąca z równowagi filozofa sceptyka.

Archidiakon milczał kilka chwil i Gringoire mógł mu się przyjrzeć tymczasem. Spozstrzegł, że ksiądz Klaudiusz bardzo się zmienił: był blady jak zimowy ranek, oczy miał zapadnięte, włosy niemal całkiem siwe. Wreszcie ksiądz pierwszy przerwał to milczenie, odzywając się tonem spokojnym, lecz chłodnym:

– Jakże się miewacie, mistrzu Piotrze?

– Ze zdrowiem? – odparł Gringoire – ano, można by rzec o tym i tak, i owak. Ale w całości nieźle. Nie nadużywani niczego. Znacie, mistrzu, tajemnicę zachowania dobrego zdrowia, według Hipokratesa, *id est: cibi, potus, somni, venus, omnia moderata sint*.

– A więc nie macie żadnych zmartwień, mistrzu Piotrze? – zapytał archidiakon, uporczywie patrząc na Gringoire’a.

– Słowo daję, że nie mam.

– A co teraz robicie?

– Ano, jak widzicie, mistrzu, oglądam, jak są obciosane te kamienie, w jaki sposób jest zrobiona ta płaskorzeźba.

Ksiądz uśmiechnął się tym gorzkim uśmiechem, który unosi jeden tylko kącik warg.

– I to was bawi?

– To raj! – zawołał Gringoire. I pochylił się nad rzeźbami, z zachwyconą miną człowieka, który pokazuje żywe zjawiska. – Czy nie znajdujecie, na przykład, że ta płasko rzeźbiona metamorfoza jest niezwykle zręcznie, wdzięcznie i pracowicie wykonana? Spójrzcie na tę kolumnkę. Na jakim kapitelu znajdziecie liście delikatniejsze, bardziej wypieszczone? O! a te trzy figurki Jana Maillewin. Nie są to najpiękniejsze dzieła tego wielkiego artysty. Niemniej jednak prostota, słodycz twarzy, wesoła swoboda postawy i draperii i ten niewytłumaczalny urok, tkwiący nawet w błędach, sprawia, że figurynki są żywe i misterne, może nawet trochę za misterne. Czy sądzicie, że to nie jest zajmujące?

– Zapewne! – rzekł ksiądz.

– A gdybyście zobaczyli wewnątrz kaplicy! – mówił dalej poeta ze swym gadatliwym zapałem – wszędzie rzeźby. Gęsto ich, jak liści w kapuście. Absyda Jest ozdobiona bardzo pobożnie i tak przedziwnie, że nigdzie nie widziałem czegoś podobnego.

Ksiądz Klaudiusz przerwał mu:

– A więc jesteście szczęśliwi?

Gringoire odpowiedział z ogniem:

– Słowo honoru, tak. Najpierw kochałem kobiety, później zwierzęta. Teraz Kocham kamienie. Są równie zajmujące jak zwierzęta i kobiety, a mniej przewrotne...

Ksiądz przyłożył dłoń do czoła. Był to jego zwykły gest.

– To prawda.

– Chodźcie za mną – rzekł Gringoire – ile tu rozkoszy!

Wziął księdza za rękę. Ksiądz nie opierał się. Gringoire zaprowadził go do wieżyczki, w której znajdowały się schody Biskupiego Więzienia.

– To mi schody! Jestem szczęśliwy, ilekroć je oglądam. Najprostsze, a najbardziej wyszukane w całym Paryżu. Wszystkie stopnie są obciosane od spodu. Ich piękno i prostota polega na proporcjach tych trójkątnych płyt, szerokich mniej więcej na stopę, które są zastawione, zaklinowane, jedna w drugą wprawione jedna w drugiej osadzone, werżnięte, wgryzione jedna w drugą rzeczywiście solidnie, a lekko zarazem.

– I nic nie pragniecie?

– Nie.

– I nic nie żałujecie?

– Ani żalu, ani pragnień! Ułożyłem sobie życie.

– Co ludzie ułożą – rzekł Klaudiusz – to losy rozrzuca.

– Jestem filozofem pyrońskim – odparł Gringoire – i wszystko utrzymane w równowadze.

– A w jaki sposób zarabiacie na życie?

– Układam jeszcze niekiedy epepeje i tragedie, ale najwięcej mi przynosi rzemiosło, przy którego wykonywaniu jużście mnie, mistrzu, oglądali: noszenie w zębach piramidy ze stołków.

– Prostackie to rzemiosło dla filozofa.

– Zawsze to też równowaga – rzekł Gringoire. – Kto się raz przejmie jakąś myślą, ten ją wszędzie odnajduje.

– Wiem o tym – odpowiedział archidiakon.

Po chwili milczenia ksiądz znów się odezwał:

– Mimo to jesteście dość ubodzy.

– Ubogi – tak, nieszczęśliwy – nie.

W tym momencie dał się słyszeć tętent koni i dwaj nasi rozmówcy ujrzeni, jak u wylotu ulicy przejechała kompania królewskich łuczników z długimi włóczniami, z oficerem na czele. Świetna kawalkada głośno dudniła po bruku.

– Jakże wy się przypatrujecie temu oficerowi! – rzekł do archidiakona Gringoire.

– Zdaje się, że go poznał.

– Jak on się zowie?

– Zdaje mi się – rzekł Klaudiusz – że się zowie Febus de Châteaupers.

– Febus! Ciekawe imię. Jest również Febus hrabia de Foix. Przypominam sobie, że znałem dziewczynę, która dniem i nocą bredziła o jakimś Febusie.

– Pójdźcie za mną – rzekł ksiądz. – Chciałbym wam coś powiedzieć.

Od chwili kiedy oddział przejechał, archidiakon pod powłoką chłodu był najwidoczniej wzburzony. Ruszył przodem. Gringoire poszedł za nim; przywykł być mu posłuszny jak wszyscy, którzy choćby raz zetknęli się z tym człowiekiem, mającym tak wielki wpływ na ludzi. Doszli w milczeniu aż do ulicy Bernardyńskiej, dość pustej. Tu ksiądz Klaudiusz zatrzymał się.

– Co mi macie powiedzieć, mistrzu? – zapytał go Gringoire.

– Czy się wam nie wydaje – odparł z głębokim zastanowieniem archidiakon – że strój jeźdźców, których spotkaliśmy przed chwilą, jest piękniejszy od waszego i od mojego odzienia?

Gringoire potrząsnął głową.

– Na honor! Wolę mój żółto-czerwony kaftan od tej łuski z żelaza i stali. Wielka mi przyjemność robić za każdym krokiem tyle hałasu, co ulica Żelaznicza podczas trzęsienia ziemi!

– A więc nigdy. Piotrze Gringoire, nie zazdrościliście tym pięknym chłopcom w wojskowych kubrakach?

Czego miałbym im zazdrościć, wielbny archidiakonie? Siły, uzbrojenia, musztry? Więcej są warte filozofia i niezależność w łachmanach. Wolę być głową muchy niż ogonem lwa!

– To dziwne – rzekł ksiądz w zamyśleniu. – A jednak ładny mundur jest rzeczą piękną.

Gringoire widząc, że ksiądz się zamyślił, odszedł obejrzeć się sąsiedniego domu. Wrócił zacierając ręce.

Gdybyście byli mniej pochłonięci pięknymi strojami wojaków, wielbny archidiakonie, poprosiłbym, żebyście obejrzeli tę bramę. Zawsze mówiłem, że dwór pana Aubry ma najwspanialsze wejście na świecie.

– Piotrze Gringoire – rzekł archidiakon – co zrobiliście z tą cygańską tancerką?

– Z Esmeraldą? Dość nagle zmieniacie temat rozmowy.

– Czyż nie była waszą żoną?

– Tak, ożeniono nas przez rozbicie dzbana. Miało to być na cztery lata. Ano, właśnie – dodał Gringoire spoglądając z na wpół drwiącą miną na archidiakona wciąż jeszcze myśląc o niej?

– A wy, czy już o niej nie myślicie?

– Mało! Mam tyle do roboty! Mój Boże, jaka ta kózka była ładna!

– Czy ta Cyganka nie uratowała wam życia?

– To dalibóg, prawda.

– A więc co się z nią stało? Coście z nią zrobili?

– Nie umiem wam powiedzieć. Zdaje mi się, że ją powiesili.
– Zdaje się wam?
– Nie jestem tego pewny. Kiedy zobaczyłem, że się zanosi na wieszanie ludzi, wycofałem się z tej zabawy.

– I to wszystko, co o niej wiecie?

– Zaraz, zaczekajcie! Opowiadano mi, że się schroniła w katedrze Marii Panny i że tam jest bezpieczna, i bardzo się tym ucieszyłem, ale nie mogłem się dowiedzieć, czy koza też się razem z nią uratowała, i to wszystko, co wiem o tym.

– Ja powiem wam więcej! – krzyknął archidiakon, a jego głos, do tej pory cichy, powolny, niemal głuchy, stał się grzmiący. – Rzeczywiście schroniła się w katedrze. Ale za trzy dni sprawiedliwość zabierze ją stamtąd i zostanie powieszona na placu Grève. Sąd najwyższy wydał już wyrok.

– Oj, to przykre! – rzekł Gringoire.

Ksiądz w mgnieniu oka znów stał się chłodny i spokojny.

– A kto, u licha, starał się o powtórny wyrok? – mówił dalej poeta. – Czy nie można było zostawić sądu najwyższego w spokoju? Co to komu szkodzi, że się biedna dziewczyna schroniła pod łukami katedry Marii Panny, w sąsiedztwo jaskółczych gniazd?

– Są szatani na świecie – odpowiedział archidiakon.

– Diabelnie źle się stało – zauważył Gringoire.

Po chwili milczenia archidiakon znowu się odezwał:

– Więc ona uratowała wam życie?

– U moich najlepszych przyjaciół żebraków. Niewiele brakowało, abym zostaj powieszony. Dziś oni sami żałowaliby tego.

– Czy nie chcielibyście zrobić czegoś dla niej?

– Niczego bardziej nie pragnę, wielbny Klaudiuszu, ale jeżeli się zapłacą w jakąś szpetną sprawkę?

– Cóż z tego?

– Ba! Cóż z tego! Łatwo wam tak mówić, mistrzu. A ja mam dwa wielkie dzieła ledwie rozpoczęte.

Ksiądz uderzył się w czoło. Mimo udanego spokoju od czasu do czasu jakiś gwałtowny ruch zdradzał jego wewnętrzne wzburzenie.

– Jak ją uratować?

Gringoire rzekł mu na to:

– Mój mistrzu, odpowiem wam: U padelt, co znaczy po turecku: „Nasza nadzieja w Bogu.”

– Jak ją uratować? – powtórzył w zamyśleniu Klaudiusz.

Gringoire z kolei uderzył się w czoło.

– Poczekajcie, mistrzu. Ja mam wyobraźnię. Wynajdę sposób. A gdyby tak poprosić króla o łaskę?

– Ludwika XI? O łaskę?

– Czemu nie?

– Idź, odbierz kość tygrysowi.

Gringoire zabrał się do szukania nowych sposobów.

– Mam! Posłuchajcie! Chcecie, to wystosuję do położnych prośbę z oświadczeniem, że dziewczyna jest ciężarna.

Zapadła żrenica księdza roziskrzyła się.

– Ciężarna! Durniu! Czyżbyś coś wiedział o tym?

Gringoire przestraszył się wyrazu jego twarzy. Rzekł pospiesznie:

– Ja? Skądże! Nasze małżeństwo było prawdziwym *fons maritagium*. Nie wchodziłem w rachubę. Ale przecież uzyskałoby się odroczenie.

– Szaleństwo! Hańba! Milcz!

– Nie macie racji gniewając się – mruknął Gringoire. – Uzyskałoby się odroczenie; nie zaszkodziłoby to nikomu, a położne, ubogie niewiasty, zarobiłyby sobie czterdzieści paryskich denarów.

Ksiądz nie słuchał go.

– Musi wyjść stamtąd – szeptał. – Wyrok za trzy dni zostanie wykonany. A zresztą, choćby i nie było wyroku... Quasimodo! Kobiety mają bardzo przewrotne gusty. Mistrz Piotrze – rzekł głośniej – zastanowiłem się; jest tylko jeden sposób ocalenia dziewczyny.

– Jaki? Ja już żadnego nie znajduję.

– Posłuchajcie, mistrzu Piotrze, i pamiętajcie, że zawdzięczacie jej życie. Powiem wam otwarcie, jaki jest mój pomysł. Kościół jest pilnowany we dnie i w nocy; strażę wypuszczają z katedry tylko tych, których widziały wchodzących. Możecie więc wejść. Przyjdziecie. Ja was do niej zaprowadzę. Zamienicie się z nią odzieniem. Ona włoży wasz kaftan, wy włożycie jej spódnicę.

– Aż do tej pory wszystko idzie jak z płatka – zauważył filozof. – A co dalej?

– A co dalej? Dziewczyna wyjdzie w waszej odzieży. Wy zostaniecie w jej odzieży. Może was i powieszą, ale ona będzie uratowana.

Gringoire podrapał się w ucho z bardzo poważną miną.

– Swoją drogą – rzekł – na taki pomysł nigdy bym sam nie wpadł!

Wobec niespodziewanej propozycji księdza Klaudiusza otwarta i dobrodusznym twarzą poety zasępiła się nagle niby uśmiechnięty pejzaż włoski, kiedy niespodziany a niewczesny powiew wiatru przywali słońce chmurą.

– No i cóż, Piotrze Gringoire, cóż powiecie o tym?

– Powiem, mój mistrzu, że nie „może” mnie powieszają, ale na pewno mnie powieszają.

– To już nie nasza sprawa.

– O choroba! – rzekł Gringoire.

– Ona uratowała wam życie. Spłacie tylko dług.

– Mało to ja mam nie popłaconych długów!

– Mistrz Piotrze, musicie to zrobić!

Archidiakon rozkazywał.

– Posłuchajcie, ojcie Klaudiuszu – odpowiedział mocno zafrasowany poeta – obstajecie przy tym pomysłe i niesłusznie czynicie. Nie widzę, dlaczego miałbym się dać wieszać zamiast kogoś innego.

– A cóż was tak bardzo przywiązuje do życia?

– Ach! Tysiące powodów!

– Jakich, jeśli wolno wiedzieć?

– Jakich? Powietrze, niebo, ranek, wieczór, pełnia księżyca, moi najmilsi przyjaciele żebracy, wesołe zabawy z dziewczętami, piękne budowle Paryża, które oglądam, trzy wielkie księgi, które mam napisać – a jedna z nich przeciwko biskupowi i jego młynom – czy ja wiem? Anaksagoras mawiał, że po to żyje, żeby uwielbiać słońce. A prócz tego mam i tę radość, że codziennie od rana do wieczora obcuję z człowiekiem utalentowanym, czyli ze sobą, co jest bardzo przyjemne.

– Głowa w sam raz na grzechotkę! – mruknął archidiakon. – Powiedz no, a kto ci zachował to życie, które jest ci takie miłe? Komu zawdzięczasz, że oddychasz tym powietrzem, że widzisz to niebo, że możesz jeszcze radować swój ptasi umysł głupstwami i szaleństwami? Gdzie byś był bez niej? A więc chcesz, żeby umarła ta, której zawdzięczasz życie? Żeby umarła ta śliczna,

łagodna, rozkoszna istota, niezbędna dla blasku świata, bardziej boska od Boga? A ty – ni to mędrzec, ni to wariat, marny projekt nie wiadomo na co, jakieś zielsko, któremu wydaje się, że chodzi i myśli, ty dalej będziesz sobie żył tym życiem, które jej ukradłeś – równie bezużyteczny, jak świeca w południe? Miejże litość. Piotrze Gringoire! Bądź ty z kolei wspaniałomyślny! Ona pierwsza zaczęła.

Ksiądz był porywający. Gringoire z początku słuchał go bez większego przekonania, potem rozczulił się, a wreszcie skrzywił się tragicznie i jego blada twarz stała się podobna do twarzy niemowlęcia, które ma boleści.

– A toście patetyczni! – rzekł ocierając łzę. – No cóż, zastanowię się. Bo też cóż za dziwaczny pomysł przyszedł wam do głowy. W końcu – odezwał się znów po chwili milczenia – kto wie? Może mnie i nie powieszą. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Jak mnie znajdą w tej izdebce w czepku i w spódnicy, przebranego tak komicznie, może parskną śmiechem. A nawet jeśli mnie i powieszą... cóż, sznur to taka sama śmierć jak każda inna. Jest to śmierć godna mędrca, który Przez całe swoje życie chwiał się – śmierć ani z pierza, ani z mięsa, jak umysł prawdziwego sceptyka, śmierć naznaczona piętnem pyrronizmu i wahania, która leży między niebem a ziemią, w środku, i zostawia człowieka w zawieszeniu. Jest to śmierć filozofa i być może, została mi przeznaczona. Wspaniała to rzecz tak umrzeć, jak się żyło!

Ksiądz przerwał mu:

– Więc zgoda?

– Czym jest właściwie śmierć? – mówił dalej Gringoire w uniesieniu – zła chwila, rogatkowym, przejściem od byle czego do nicości. Kiedy zapytał ktoś Cercydasa megalopolitańczyka, czy chciałby umrzeć: „Czemu nie? – odpowiedział – gdyż po śmierci zobaczę wielkich ludzi: Pitagorasa spośród filozofów Hekateosa spośród historyków, Homera spośród poetów, Olimpa spośród muzyków.”

Archidiakon wyciągnął do niego rękę.

– A więc zgoda? Jutro przyjdiesz.

Ruch ten przywołał Gringoire'a do rzeczywistości.

– O, na honor, nie! – rzekł tonem człowieka, który właśnie się przebudził. – Dać się powiesić! To zbyt głupie. Nie chcę!

– Żegnaj więc! – rzekł archidiakon i mruknął jeszcze przez zęby: – Już ja cię znajdę!

„Nie chcę, żeby mnie znajdował ten diabeł w ludzkiej skórze” – pomyślał Gringoire i pobiegł za księdzem Klaudiuszem.

– Stójcie, wielbny archidiakonie, starzy przyjaciele nie powinni się klócić! Obchodzi was los tej dziewczyny, mojej żony, znaczy się, dobrze! Wymyśliliście podstępny sposób wydobycia jej cało z katedry, ale wasz sposób jest niezwykle nieprzyjemny dla mnie, Gringoire'a... A gdybym ja wymyślił coś innego? Uprzedzam was, że właśnie w tej chwili nawiedziło mnie olśniewające natchnienie. Gdybym wymyślił skuteczny sposób wyciągnięcia jej z opresji bez narażania własnej szyi na pętlę, co byście na to powiedzieli? Czy to by was nie zaspokoilo? Czy koniecznie muszę być powieszony dla waszej satysfakcji?

Ksiądz z niecierpliwości obrywał sobie guziki u sutanny.

– Istny potok słów! Jaki masz sposób?

– Tak... – mówił Gringoire sam do siebie, dotykając palcem nosa na znak zamyślenia. – No tak... Żebracy to dzielne chłopcy. Egipskie plemię kocha ją! Powstaną na pierwszy znak. Nic łatwiejszego! Napad! W zamieszaniu porwie się ją bez trudu!... Jutro wieczorem... Im w to graj.

– Sposób? Mówże! – potrząsając nim pytał ksiądz.

Gringoire majestatycznie obrócił się ku niemu,

– Zostawcie mnie! Widzicie chyba, że się zastanawiam.

Jeszcze przez kilka chwil rozmyślał, po czym zaczął klaskać na cześć własnego pomysłu i krzyzczeć:

- Cudownie! Niezawodne powodzenie!
 - Sposób? – powtórzył gniewnie Klaudiusz.
- Gringoire promieniał.

– Chodźcie, powiem wam na ucho. Jest to fortel prawdziwie zuchwały, który nas wszystkich wyciągnie z ambarasu. Do licha, trzeba przyznać, że nie kiep! – Przerwał. – Ale, ale! Czy kózka jest razem z dziewczyną?

- Tak! Niech cię diabli porwą!
- Więc i ją też powiesiliby, prawda?
- A co mnie to obchodzi?

– Tak, powiesiliby ją. Przecież w zeszłym miesiącu powiesili maciorę. Kaci lubią takie rzeczy, potem zjadają sobie zwierzątko. Powiesić moją śliczną Dzali! Biedną kózkę!

– Przekleństwo! – krzyknął ksiądz Klaudiusz. – Sam jesteś katem! Jaki sposób ocalenia jej znalazłeś, hultaju? Czy mam ci kleszczami pomóc, żebyś wreszcie urodził swoją myśl?

- Ślicznie, mistrzu! Posłuchajcie!

Gringoire pochylił się do ucha archidiakona i zaczął coś szeptać, niespokojnie rozglądając się po całej ulicy, na której zresztą nikogo nie było. Kiedy skończył, ksiądz Klaudiusz podał mu rękę i rzekł zimno:

- Dobrze. Do jutra!

– Do jutra – powtórzył Gringoire i kiedy archidiakon odchodził w jedną stronę, on poszedł w drugą, mówiąc do siebie półgłosem: – Śmiała sprawa, Piotrze Gringoire! Nie szkodzi, nigdzie nie jest powiedziane, że mali mają się bać wielkiego przedsięwzięcia. Biton nosił na plecach wielkiego byka; pliszki, piegże i drozdy przefruwają przez ocean.

II

PRYZSTAŃ DO CECHU ZŁODZIEI!

Powróciwszy do klasztoru archidiakon zastał przed drzwiami celi swego brata Jana z Młyna, który czekał nań i uprzyjemniał sobie nudę oczekiwania rysując węglem na ścianie profil starszego brata, upiększony ogromnym nosem.

Ksiądz Klaudiusz ledwie że spojrzał na Jana; co innego miał na głowie. Wesoła twarz urwipołcia, której uśmiech tyle razy rozchmurzał ponurą fizjognomię księdza, nie mogła teraz rozproszyć mgły, gęstniejącej z każdym dniem na tej zepsutej, cuchnącej, pleśniejącej duszy.

- Panie bracie – odezwał się nieśmiało Jan – przyszedłem odwiedzić was.

Archidiakon nawet nań nie spojrzał.

- No i co?

– Panie bracie – ciągnął obłudnik – jesteście tacy dobrzy dla mnie i tak zbawiennych udzielacie mi rad, że zawsze do was powracam.

- Co dalej?

– Niestety, panie bracie, ileż racji mieliście powtarzając mi wciąż: „Janie! Janie! *Cessat doctorum doctrina, discipulorum disciplina.*” Janie, bądź roztropny! Janie, bądź pilny! Janie, nie wąż się nocą poza murami kolegium bez godziwych powodów i bez pozwolenia nauczyciela!

Nie bij pikardyjczyków: *noli, Joannes, verberare Picardos*. Nie gnuśniej, jak niepiśmienny osioł, *quasi illitteratus*, na szkolnej ściółce. Janie pokornie przyjmuj kary z rąk preceptorów! Janie, chadzaj co wieczora do kaplicy i śpiewaj tam antyfonę z werselem z Pisma świętego i modlitwę do Przenajświętszej Marii Panny, królowej niebios! Niestety, jakże doskonale były wasze rady!

– Co jeszcze?

– Panie bracie, widzisz przed sobą winowajcę, zbrodniarza, nędznika, rozpustnika, okropnego człowieka! Mój bracie ukochany, Jan z twoich dobrotliwych rad zrobił słomę i podeptał je jak nawóz. Lecz zostałem za to ukarany przez Pana Boga, jakże sprawiedliwie! Dopóki miałem pieniądze, hulalem, piłem i łajdaczyłem się. O, jakże rozpusta, tak urocza z przodu, jest szpetna i krzywa od tyłu! Teraz nie mam już ani grosika, sprzedałem prześcieradło, koszulę i ręcznik koniec wesołego życia! Piękna świeca zgasła, pozostał tylko nędzny knot łożówki który mi kopci w nos. Dziewczyny śmieją się ze mnie. Piję wodę. Dręcą mnie wyrzuty sumienia i wierzyście.

– Więc co? – rzekł archidiakon.

– Niestety, mój bracie najukochańszy, jakże pragnąłbym rozpocząć lepsze życie! Przychodzę do ciebie pełen skruchy. Jestem pokutnikiem. Spowiadam się. Z całej siły uderzam się pięścią w pierś. Jakże słusznie życzyliście sobie, żebym zdobył licencjat i został pomocnikiem preceptora w kolegium Torchi. Otóż czuję w tej chwili potężne powołanie do tego stanu. Ale nie mam już piór, muszę kupić pióra; nie mam już papieru, nie mam już książek, muszę kupić papier i książki. Na to wszystko potrzebuję odrobiny mamony i przychodzę do was, panie bracie, z sercem pełnym skruchy.

– To wszystko?

– Tak – rzekł żak. – Trochę pieniędzy!

– Nie mam.

Na te słowa żak odezwał się z poważną i stanowczą miną.

– Wobec tego, panie bracie, z przykrością wyznać wam muszę, że otrzymałem z pewnej strony bardzo piękne i kuszące propozycje. Nie chcecie dać mi pieniędzy? Nie? W takim razie wstąpię do cechu złodziei.

Wymawiając to potworne słowo zrobił minę Ajaksa, pewny, że grom spadnie na jego głowę.

Archidiakon odpowiedział obojętnie:

– Wstąp do cechu złodziei.

Jan uklonił mu się nisko i gwizdząc zszedł ze schodów klasztoru. Kiedy przechodził przez dziedziniec klasztorny pod oknem celi brata, usłyszał, że okno otwiera się, zadarł brodę i zobaczył, iż przez otwór wychyla się surowa twarz archidiakona.

– Wynoś się do wszystkich diabłów! – rzekł ksiądz Klaudiusz. – To są ostatnie pieniądze, jakie dostajesz ode mnie.

I cisnął Janowi sakiewkę, która nabiła mu dużego guza na czole. Jan porwał ją i odszedł, jednocześnie obrażony i uradowany, jak pies, którego uderzono kością pełną szpiku.

III

HULAJ DUSZA!

Czytelnik może jeszcze nie zapomniał, że część Dziedzińca Cudów była otoczona dawnym obronnym murem miejskim; niektóre jego wieże zaczynały już w tej epoce rozsypywać się w

gruzy. Jedna z nich została obrócona przez żebraków na przybytek wszelkich uciech. W parterowej izbie była gospoda, a reszta – na piętrach. Ta wieża była najbardziej ożywionym, a tym samym i najobrzydliwszym miejscem w całej żebraczej dzielnicy. Był to jakby rodzaj potwornego ula, który brzęczał i we dnie, i w nocy. W nocy, kiedy cała żebracza rzesza spała, kiedy na glinianych fasadach placu nie było już ani jednego zapalonego okienka, kiedy żaden krzyk nie dobywał się z tych niezliczonych lepianek, z tego mrowiska złodziei, dziewczek i ukradzionych albo nieprawych dzieci, wciąż jeszcze można było rozpoznać wesołą wieżę po hałasie, jaki czyniła, po czerwonym świetle, które błyszcząc równocześnie w lufcikach, w oknach i w szczelinach popękanych ścian, przenikało na zewnątrz, by tak rzec wszystkimi jej porami.

Karczma znajdowała się więc w piwnicy. Schodziło się tam przez niskie drzwi, po schodach tak stromych jak klasyczny aleksandryn. Nad drzwiami jako szyld wisiał cudowny bohomasz przedstawiający nowiuteńkie miedziaki i porznięte kurczęta, z dowcipnym napisem u spodu: „U dzwonników pogrzebowych”.

Pewnego wieczora, kiedy na wszystkich basztach Paryża wydzwaniano porę gaszenia świateł, pachołkowie straży, gdyby dane im było wejść na niebezpieczny Dziedziniec Cudów – mogliby zauważyć, że w gospodzie żebraków panował zgiełk jeszcze większy niż zwykle, że więcej pito i soczyściej przeklinano. Na zewnątrz, na placu, ludzie zbici w gromady rozmawiali po cichu, jakby knuli jakiś wielki spisek, a tu i ówdzie jakiś łotr przykucnął i ostrzył o kamień nędną żelazną klingę.

W gospodzie jednakże wino i gra z taką siłą odciągały od myśli, które zajmowały tego wieczora cały cech żebraków, że z rozmów pijących trudno byłoby odgadnąć, o co idzie. Tyle tylko, że byli weselsi niż zwykle i że u każdego między kolanami błyszczła jakaś broń – nóż ogrodniczy, siekiera, duży miecz albo szpic starej piki.

Izba, kształtu okrągłego, była bardzo obszerna; lecz stoły rozstawiono tak gęsto, a pijacy byli tak liczni, że wszystko, co pomieściło się w gospodzie – mężczyźni, kobiety, ławy, dzbany z piwem, ci, co pili, ci co spali, ci co grali, odrowi i koślawi – wydawało się upchane bezładnie, z takim samym porządkiem i harmonią, co skorupki ostrzyg zrzuczone na kupę. Kilka łójówek paliło się na stołach; ale prawdziwym oświetleniem gospody, tym, czym w operze jest żyrandol, w tej karczmie był ogień komina. Piwnica była tak wilgotna, że komina nie gaszono nigdy, nawet i latem – ogromnego komina z rzeźbionym okapem, najeżonego ciężkimi żelaznymi wilkami i kuchennym sprzętem, w którym drzewo i torf paliły się płomieniem tak potężnym jak ten, co nocą na ulicach wioski rzuca szkarłatny blask z okien kuźni na ściany z przeciwka. Duży pies poważnie siedząc w popiele, obracał nad żarem rożen z mięsiwem.

Mimo zamętu, już od pierwszego wejrzenia można było odróżnić w tej ciżbie trzy główne grupy stłoczone wokół trzech osobistości znanych już czytelnikowi. Jedną z nich, dziwacznie przyodzianą w mnóstwo wschodnich łachmanów, był Matias Hungadi Spicali, książę egipski i cygański. Łotrzyk siedział na stole, nogi miał skrzyżowane, palec podniesiony w górę i głośno wykladał swoją wiedzę i białej i czarnej magii licznej zgrai, która otoczyła go rozdziawiwszy gęby. Drugi tłumek gęsto otoczył naszego dawnego przyjaciela, walecznego króla Pięciu Franków uzbrojonego po zęby. Kłopin Postraszgłupca z bardzo poważną miną i cichym głosem komenderował wypatroszaniem olbrzymiej beczki z bronią z odbitym dnem stojącej przed nim, z której, niby jabłka i winogrona z rogu obfitości, sypały się w nieładzie topory, szpady, panewki, kolczugi, ostrza pik i kopij i różnego rodzaju strzały. Każdy brał sobie coś z tej kupy, ten kask ów szablę, inny – krótki mieczyk z rękojeścią w kształcie krzyża. Zbroiły się nawet dzieci, nawet kaleki beznogie, które, okryte zbroją, pełzały pod nogami pijących, niczym ogromne żuki.

Trzecia wreszcie grupa, najhałaśliwsza, najweselsza i najliczniejsza, zaległa ławy i stoły, w środku których perorował i przeklinał piskliwy głos, wydobywający się spod ciężkiej zbroi,

kompletnej od kasku aż po ostrogi. Człowiek, który przyśrubował sobie do ciała ten rycerski rynsztunek, znikł w nim tak dalece, że z całej jego osoby widać było tylko zawadiacki, zadarty czerwony nos, kosmyk jasnych włosów, różowe usta i zuchwałe oczy. Za pasem miał pełno noży i sztyletów, ogromną szpadę u boku, z lewej strony zardzewiałą kuszę, przed sobą sporą konewkę z winem, a z prawej strony tłustą, rozchełstaną dziewczkę. Dokoła niego wszystkie gęby śmiały się, klęły i piły.

Dodajcie ze dwadzieścia pomniejszych grupek, posługujące dziewczyny i chłopaków biegających z dzbanami na głowach, graczy pochylonych nad kręglami, nad młynkiem, nad kośćmi, nad pasjonującą grą w oko, sprzeczki w jednym kącie, całusy w drugim, a będziecie mieli jakie takie pojęcie o tej całości, nad którą drgał odbłask ognia, ożywiając ściany karczmy tysiącem tańczących, olbrzymich, dziwacznych cieni.

Zgiełek zaś był tutaj taki jak we wnętrzu rozkołysanego dzwonu.

Patelnia podstawiona pod rożen, pryskająca smażącym się tłuszczem, wypełniała nieustannym skwierczeniem przerwy między rozmowami krzyżującymi się z kąta w kąt izby.

Wśród tego harmideru, w głębi gospody, na ławie koło komina, siedział zadumany filozof z nogami w popiele i okiem wpatrzonym w żar. Był to Piotr Gringoire.

– Prędzej, ruszaj się jeden z drugim, bierzcie broń! – Za godzinę wymarsz! – mówił Klopın Postraszczyłca do swoich żebraków.

Jakaś dziewczka nuciała:

Dobranoc, ojcze, matko,
Już ostatnie światła gasną.

Dwaj grający w karty klócili się.

– Walet! – krzyczał ten, który bardziej się rozindyczył, wygrażając pięścią partnerowi. – Ja ci wycisnę żołądz na pysku! Będiesz mógł zastępować żołędnego waleta w kartach miłościwego króla!

– Ufff! – wył jakiś Normandczyk, co łatwo było poznać po nosowej wymowie – ale się tu ludziska tłoczą! Jak święci w Caillouville.

– Dziatki! – falsetem przemawiał do swoich słuchaczy książę Egiptu – francuskie czarownice latają na sabaty bez miotły, bez smaru, bez siodła, a jedynie przy pomocy kilku magicznych słów. Włoskie czarownice mają capa, który zawsze czeka pod drzwiami. A wszystkie muszą wylatywać kominem.

Głos młodego hulaki, uzbrojonego od stół do głów, dominował nad zgiełkiem.

– *Noël! Noël!* – krzyczał. – Dziś mój chrzest bojowy. Jestem żebrakiem! Żebrakiem, na brzuch Chrystusa! Nalejcie wina! Przyjaciele moi, nazywam się Jan Frolo z Młyna i jestem szlachcicem. Według mego zdania, gdyby Pan Bóg był żołnierzem, przysłałby do rabusiów. Bracia, czeka nas piękna wycieczka! Dzielne z nas chłopcy! Mamy otoczyć kościół, wyważyć drzwi, porwać śliczną dziewczkę, ocalić ją od sędziów, ocalić ją od klechów, zburzyć klasztor, spalić biskupa w jego pałacu... i zrobimy to tak szybko, że burmistrz nie zdąży połknąć łyżki zupy. Nasza sprawa jest słuszna. Splądrujemy katedrę Marii Panny, i kwita! Powiesimy Quasimodo! Znacie, moście panny, Quasimodo? Czy widziałyście, jak cwałuje na wielkim dzwonie w dzień Zielonych Świątek? Na rogi papieża, to bardzo piękne! Rzekłbyś, że to diabeł jadący na oklep na paszczęce! Słuchajcie, przyjaciele moi, jestem żebrakiem z głębi serca, jestem poddanym królestwa Gwary z całej duszy, jestem urodzonym łotrzykiem! Byłem przebogaty, przehulałem majątek. Matka chciała zrobić ze mnie oficera, ojciec – subdiakona, ciotka – radcę sądowego, babka – królewskiego protonotariusza, stryjeczna babka – skarbnika wojennej

szkatuły, a ja przystałem do złodziei. Powiedziałem to ojcu i plunął mi w twarz przekleństwo, powiedziałem to matce i starszka zaczęła płakać i stękać jak to żywiczne polano tam w kominie. Hulaj dusza! Jestem najprawdziwszym szaleńcem. Szynkareczko, moja duszko, daj innego wina. Mam jeszcze czym zapłacić! Nie chcę już wina z Suresnes. W gardło mnie drapie. Z równym skutkiem, na bycze rogi! mógłbym je sobie przepłukać wikliną.

Cizba klaskała i zanosila się od śmiechu; widząc, że zgiełk dookoła rośnie, żak zawołał:

– O, cudowny hałas! *Populi debacchantis populosa debacchatio!* – I zaczął śpiewać z okiem tonącym w ekstazie, głosem kanonika intonującego nieszpory: – *Quae cantica! Quae organa! Quae cantilenae! Quae melodiae hic sine fine decantantur! Sonant melliflua hymnorum organa suavissima angelorum melodia, cantica canticorum mira!*⁹ ..

Przerwał.

– Szynkarko diabla, dawaj wieszczę!

Nastala chwila względnej ciszy, podczas której rozległ się z kolei przenikliwy głos księcia Egiptu, wykładającego swoim Cyganom:

– Łasiczka nazywa się Audina, lis – Niebieska Nóżka albo Biegacz Leśny, wilk – Szara Nóżka albo Złota Nóżka, niedźwiedz – Stary albo Dziadek... Czapka-niewidka krasnoluda robi człowieka niewidzialnym i pozwala mu widzieć rzeczy niewidzialne. Każda ropucha, którą się chrzci, powinna być ubrana w czerwony lub czarny aksamit, mieć dzwoneczek na szyi i dzwoneczek na nodze. Ojciec chrzestny trzyma za głowę, matka chrzestna trzyma za nogi. Tylko demon Sidragasum potrafi zmuszać do tańca gołe dziewczki.

– Na mszę świętą! – przerwał mu Jan – chciałbym być demonem Sidragasum!

Tymczasem w drugim kącie gospody żebracy, szepcząc, wciąż jeszcze brali broń.

– Biedna Esmeralda! – mówił jakiś Cygan. – To nasza siostra. Trzeba ją stamtąd wyciągnąć.

– Więc wciąż jeszcze jest w katedrze Marii Panny? – pytał wyglądający na Żyda żebrak, który wrzusał litościwe serca podając się za zrujnowanego kupca.

– Tak, do licha!

– A więc, towarzysze – zawołał żebrak – do katedry! Tym bardziej, że są tam w kaplicy Św. Fereola i Św. Ferucjana dwie figury: jedna św. Jana Chrzciciela, druga św. Antoniego, całe ze złota; wazą one razem siedemnaście marek złotniczych i piętnaście estelinów i mają podesty z połączanego srebra, wagi siedemnastu marek i pięciu uncji. Ja o tym wiem, jestem złotnikiem.

Tu podano Janowi wieszczę.

– Na świętego Vultusa z Lukki, którego prosty naród zowie świętym Gogelem, jestem doskonale szczęśliwy! – zawołał rozwalając się na biuście dziewczki, swojej sąsiadki. – Przede mną siedzi dureń z wygoloną gębą arcyksięcia i gapi się na mnie. Tamten znów na lewo ma takie długie zęby, że aż mu podbródek zakrywają. A prócz tego jestem, jak marszałek de Gié podczas oblężenia Pontoise, mam prawicę wspartą na cycku... Na brzuch Mahometa! Kolego, wyglądasz na sprzedawcę piłek i siadasz sobie koło mnie! Jestem szlachcicem, przyjacielu! Handel nie da się pogodzić ze szlacheckim klejnotem. Wynoś mi się stąd! Hej, wy tam, hola! Nie bijcie się! Jakże to. Baptysto Chrupigąsko, chcesz narazić swój piękny nos na wielkie pięści tego bałwana? Głupi! *Non cuiquam datum est habere nasum.*¹⁰ Jesteś doprawdy boska, Jakubko Gryziucho! Szkoda tylko, żeś łysa... Hola! Nazywam się Jan Frollo, a mój brat jest archidiakonem! Niech go diabli porwą! Wszystko, co wam powiadam, to szczerza prawda. Przystając do żebraczego cechu, z lekkim sercem zrezygnowałem z połowy kamieniczki stojącej w raj, którą przyobiecał mi mój

⁹ Co za śpiew! Co za instrumenty! Co za pieśni! Co za melodie rozbrzmiewają tu ciągle! Dźwięczą płynące miodem instrumenty, rozlegają się najśłodsze pienia aniołów, cudowna pieśń nad pieśniami (łac.)

¹⁰ Nie każdemu jest dane posiadać nos (łac.)

brat. *Dimidiam domum in paradiso*. Cytuję dosłownie. Mam lenno przy ulicy Tirechappe i wszystkie kobiety kochają się we mnie, co jest taką prawdą, jak prawdą jest, że święty Eloy był znamienitym złotnikiem, że pięć rzemioł dobrego miasta Paryża stanowią garbarze, rymarze, białoskórnicy, sakiewkarze i cholewkarze i że święty Laurenty został spalony na skorupkach od jaj. Przysięgam wam, koledzy:

Niech przez rok nie tknę pieprzówki,
Jeślim skłamał tu choć słówkiem.

Ślicznotko, księżyc świeci, spójrz tam, przez lufcik, jak wiatr miętosi chmury. Niczym ja twój stanik... Dziewczyny! Wycierać nosy dzieciom, obcinać knoty świecom!... Chrystusie i Mahomecie! Co ja jem, na Jowisza! Hej, matko! Włosy, które znikły z głów twoich dziewczek, można odnaleźć w twojej jajecznicy! Stara!

Ja lubię jajecznicę łysą. Niechby ci diabeł rozplaszczył nos! Piękna oberża Belzebuba, w której ladacznice czeszą się widelcami!

To rzekłszy roztlukł talerz o posadzkę i zaczął śpiewać na całe gardło:

Nie rzuci mnie, oj, dana! –
Przysięgam na Boga! –
Nigdy na kolana
Wiara ani trwoga
Pana
Czy Boga!

Tymczasem Klopın Postraszgłupca zakończył rozdawanie broni. Zbliżył się do Gringoire'a, który wydawał się pogrążony w głębokiej zadumie; siedział z nogami opartymi o wilka w kominie.

Przyjacielu Piotrze – rzekł król Pięciu Franków – o czym myślisz, u licha?

Gringoire z melancholijnym uśmiechem odwrócił się w jego stronę.

– Lubię ogień, drogi mój władco i panie. Nie z tej prostackiej przyczyny, że ogień rozgrzewa nasze nogi i gotuje naszą zupę, ale dlatego że są w nim iskierki. Czasami przez całe godziny przyglądam się iskierkom. Odkrywam tysiące tajemnic w tych gwiazdkach przyprószających ciemne dno komina. Te gwiazdki to są również światy.

– Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli rozumiem, co ty gadasz! – rzekł żebrak. – Może wiesz, która godzina?

– Nie wiem – odpowiedział Gringoire.

Klopın podszedł więc do księcia Egiptu.

– Towarzyszu Matiasie, chwila nie jest dobra. Mówią, że król Ludwik XI jest w Paryżu.

– Tym bardziej należy wyrwać z jego szponów naszą siostrę – odparł stary Cygan.

– Przemawiasz jak mężczyzna, Matiasie – rzekł król Pięciu Franków. – Zresztą sprawimy się z ręcznie. W kościele nie będą stawiać oporu. Kanonicy to zające, a my pójdziemy kupą. Pachołkowie z sądu najwyższego mocno zdziwią się jutro, kiedy po nią przyjdą. Na kieszki papieża, nie pozwolę powiesić ładnej dziewczyny!

Klopın wyszedł z gospody.

A Jan tymczasem darł się ochryple:

– Jem, piję, jestem pijany, jestem Jowiszem! Hej, Piotrze Zbóju, jeśli będziesz tak patrzeć na mnie, to ci prztyczkiem otrzępię nos!

Gringoire zaś, wyrwany z zadumy, zaczął się przypatrywać ruchliwym i wrzaskliwym scenom, które rozgrywały się dokoła; pomrukiwał z cicha:

– *Luxuriosa res vinum et tumultuosa ebnefas*. Niestety. Jakże słusznie czynię nie pijąc wina i jak trafnie powiada św. Benedykt: *Vinum apostatare facit etiam sapientes...*

W tej chwili wrócił Klopın i krzyknął grzmiącym głosem:

– Północ!

Na to słowo – niby biwakujący pułk na rozkaz: „Na koń!” – wszyscy żebracy: mężczyźni, kobiety, dzieci, wypadli tłumnie z gospody z wielkim szczękiem broni i żelastwa.

Chmury zakryły księżyc.

Dziedziniec Cudów był zupełnie ciemny. Ani jednego światełka. Jednak bynajmniej nie był pusty. Zaległ go ledwie widoczny tłum mężczyzn i kobiet rozmawiających po cichu. Słychać było ich szepty, widać było najprzeróżniejszą broń połyskującą wśród ciemności. Klopın wszedł na wielki kamień.

– Do szeregów. Gwaro! – krzyknął. – Do szeregów, Egipcie! Do szeregów, Galileo!

Coś poruszyło się w mroku. Jakby ogromna ciżba formowała się w kolumnę. Po upływie kilku minut znów odezwał się głos króla Pięciu Franków:

– Teraz milczenie, póki iść będziemy przez Paryż. Hasło: „pałasz i zabawa”. Pochodnie zapalimy dopiero przy katedrze. Naprzód, marsz!

W dziesięć minut później pachołkowie nocnej straży uciekali co koń wyskoczy przed długą procesją czarnych i milczących ludzi, idącą w stronę mostu Wymiany przez kręte uliczki, przecinające we wszystkich kierunkach gęsto zabudowaną dzielnicę Hal.

IV

NIEZRĘCZNY PRZYJACIEL

Quasimodo nie spał tej nocy. Odbył się już ostatni obchód kościoła. Zamykając wrota nie zauważył, że archidiakon przeszedł obok niego i wyraźnie był niezadowolony widząc, jak starannie dzwonnik zamyka i zasuwa ogromne żelazne rygle, które obu skrzydłom drzwi katedry nadawały odporność muru. Ksiądz Klaudiusz wydawał się jeszcze bardziej niż zwykle pochłonięty jakimiś myślami. Zresztą, od nocnej przygody w celi archidiakon znącał się nad Quasimodo; ale nadaremnie go lżył, a nieraz nawet i uderzył – nic nie zdołało zachwiać pokory, cierpliwości i bezgranicznego oddania wiernego dzwonnika. Od archidiakona bez słowa wymówki, bez słowa skargi znosił obelgi, groźby, uderzenia. Co najwyżej, kiedy ksiądz Klaudiusz wchodził na schody wieży, Quasimodo niespokojnie śledził go spojrzeniem, lecz archidiakon sam unikał ponownego spotkania z Cyganką.

Otóż tej nocy Quasimodo, zajrzawszy na chwilę do swych biednych, tak zupełnie opuszczonych dzwonów, Żakeliny, Marii i Tybalda, wszedł aż na sam szczyt północnej wieży i postawiwszy na ołowianym dachu swoją ślepa, szczelnie zamkniętą latarkę, zaczął patrzeć na Paryż. Noc, jak już powiedzieliśmy, była bardzo ciemna. Paryż, który w tej epoce właściwie nie był oświetlony, wyglądał stamtąd jak bezładne nagromadzenie czarnych brył, przecięte tu i ówdzie białawym łukiem Sekwany. W jednym tylko oknie dalekiego gmachu, którego niewyraźna, ciemna sylweta wznosiła się wysoko ponad dachy w okolicy bramy Św. Antoniego, Quasimodo zobaczył światło. Tam również ktoś czuwał.

Dzwonnik błądząc swym jedynym okiem po tym mglistym, nocnym widnokregu, poczuł, że nurtuje go jakiś dziwny niepokój. Od kilku dni zaostrzył czujność. Spostrzegł, że dokoła katedry

nieustannie wałęsają się jacyś ludzie ponurymi twarzami, nie spuszczający z oka schronienia dziewczyny. Pomyślał, że może knuje się jakiś spisek przeciwko nieszczęsnej. Wyobrażał sobie, że ją ściga nienawiść ludu, tak jak i jego, i że wkrótce może się coś stać. Wystawał więc na swojej dzwonnicy na czatach, „marząc w komnacie marzeń”, jak powiada Rabelais, patrząc kolejno to na celę, to na Paryż, pilnując czujnie, niby dobry pies, z tysiącem podejrzeń w duchu.

Nagle, kiedy badał wielkie miasto tym jednym okiem, które natura, jakby dla powetowania, uczyniła tak przenikliwym, że mogło nieomal zastąpić te organa, których Quasimodo brakowało, zdało mu się, że kontur Starokuśnierskiego Wybrzeża wygląda jakoś niezwykle, że coś się w tym miejscu porusza, że linia balustrady odcinająca się czarno od jasnego tła wody nie jest prosta i nieruchoma, jak na innych nadbrzeżnych ulicach, ale faluje w oku, jak woda w rzece albo jak głowy idącego tłumu.

Zastanowiło go to. Zdwoił uwagę. Ruch posuwał się jak gdyby w kierunku Cité. Zresztą bez światła. Trwał przez pewien czas na wybrzeżu, potem przepłynął powoli, jak gdyby to, co przechodziło, weszło do wnętrza wyspy; wreszcie ustał zupełnie i kontur bulwaru znów stał się prosty i nieruchomy.

Wkrótce potem, kiedy Quasimodo gubił się w domysłach, znów wydało mu się, że dostrzega ruch w ulicy Katedralnej, która przecina Cité prostopadle do fasady katedry Marii Panny. Wreszcie, choć ciemności były gęste, zobaczył, jak się wylania z tej ulicy czoło kolumny i jak w jednej chwili rozbiega się po placu tłum; bo w tej ciemności widać było tylko tyle, że jest to tłum.

Widok ów budził grozę. Ta niezwykła procesja, która najwidoczniej bardzo starała się skryć pod zasłoną ciemności, prawdopodobnie zachowała również głębokie milczenie. Musiała jednak wydawać jakiś szmer, choćby tupot kroków. Lecz nie docierał on do głuchego, a ta ogromna ciżba, którą zaledwie dostrzegł, której nie słyszał, wydała mu się legionem umarłych, niemym, nieuchwytnym, zgubionym w dymie. Zdawało mu się, że się zbliża ku niemu zaludniona mgła, że się cienie poruszają wśród cienia.

I wtedy powróciły obawy, myśl o zamachu na Cyganek znów zjawiała się w jego umyśle. Czuł niewyraźnie, że nadchodzi decydująca chwila. W tym krytycznym momencie rozumował lepiej i sprawniej, niżby się tego można było spodziewać po tak źle ukształtowanym mózgu. Czy powinien obudzić Cyganek? Wyprowadzić ją chyłkiem? Którędy?... Ulice były osaczone, kościół stał tuż nad rzeką. Nie było łodzi. Nie było wyjścia. Pozostało mu jedno: dać się zabić na progu katedry, stawiać opór przynajmniej tak długo, póki nie nadejdzie odsiecz, jeśli nadejść miała, i nie zamącić snu Esmeraldy. Śmierć i tak zawsze za wcześnie obudzi nieszczęśliwą dziewczynę. Powziąwszy to postanowienie nieco spokojniej zaczął przyglądać się „wrogowi”.

Tłum z każdą chwilą zdawał się rosnąć na placu katedralnym. Quasimodo wywnioskował jednak, że ciżba ta niewiele, widać, czyni hałasu, gdyż okna wychodzące na ulice i na plac nie otwierały się. Nagle zapłonęło światło i w jednej chwili siedem czy osiem zapalonych pochodni przebiegło po głowach tłumu, Potrząsając w ciemnościach swymi grzywami z płomienia. I wówczas Quasimodo zobaczył wyraźnie, jak na placu Katedralnym kłębi się przerażające stado mężczyzn i kobiet w łachmanach, uzbrojonych w kosy, piki, noże i halabardy tysiączne ostrza rozbłysły. Tu i ówdzie czarne widły sterczały jak rogi nad obrzydliwą twarzą. Przypomniał sobie niejasno ten motłoch, wydawało mu się, że poznaje głowy, które kilka miesięcy temu pozdrawiały go jako papieża błaznów. Jakiś człowiek trzymający w jednej ręce pochodnię, a w drugiej bat zwany „miotelką”, wszedł na kamienny cokół i wyglądało, że zaczął przemawiać. Jednocześnie cudaczna armia wykonała kilka obrotów, jak gdyby rozstawiając się wokół kościoła. Quasimodo wziął latarkę i zszedł na ganek położony między wieżami, żeby lepiej widzieć i obmyślić sposób obrony.

Klopin Postraszgłupca stanąwszy przed wysokim portalem katedry rzeczywiście uformował

swoje wojsko w szyk bojowy. Choć nie spodziewał się żadnego oporu, jako przezorny wódz, chciał utrzymać ład, który w potrzebie pozwoliłby mu stawić czoło nagłemu natarciu nocnej straży czy też pachołkom grodzkim. Rozstawił więc swoją brygadę w taki sposób, iż oglądając ją z daleka i z wysoka, sądziłbyś, że to rzymski trójkąt w bitwie pod Eknem, odyńcowa głowa Aleksandra lub słynny klin Gustawa Adolfa. Podstawa tego trójkąta opierała się o przeciwległy katedrze bok placu, zamykając ulicę Katedralną; jeden bok stał naprzeciwko Domu Bożego, drugi – naprzeciwko ulicy Saint-Pierre-aux-Boeufs. Kłopin Postraszgłupca stanął na wierzchołku trójkąta razem z księciem Egiptu, z naszym przyjacielem Janem i z najzuchwalszymi żebrakami.

Napad, którego żebracy usiłowali dokonać w tej chwili na katedrę Marii Panny, nie był zgoła wydarzeniem rzadkim w średniowiecznych miastach. To, co nazywamy dziś policją, wówczas nie istniało. W ludnych grodach, nade wszystko zaś w stolicach, nie było centralnej, jednej władzy porządkowej. Feudalizm uformował te wielkie gminy w dziwny sposób. Miasto składało się z tysiąca działek lennych, dzielących się na części najprzeróżniejszego kształtu i najprzeróżniejszej wielkości. I stąd tysiąc sprzecznych policji, czyli brak policji. W Paryżu na przykład niezależnie od stu czterdziestu i jednego udzielnych panów, roszczących sobie prawo do podatku gruntowego, było dwudziestu pięciu roszczących sobie prawo i do zbierania tego podatku, i do wymiaru sprawiedliwości, poczynając od biskupa Paryża, który miał sto pięć ulic, aż po przeora Matki Boskiej Polnej, który miał ich cztery. Feudałowie, mający prawo sprawowania sądów, tylko nominalnie uznawali zwierzchnią władzę króla. Wszyscy byli u siebie. Ludwik XI, niezmordowany wyrobnik, który z takim rozmachem rozpoczął dzieło burzenia gmachu feudalizmu, prowadzone dalej przez kardynała Richelieu i Ludwika XIV na korzyść absolutnej monarchii, a dokończone przez Mirabeau na korzyść ludu – Ludwik XI usiłował rozerwać tę siatkę ziem lennych okrywającą Paryż, gwałtownie rzucając na całe miasto dwa czy trzy ogólnie obowiązujące rozporządzenia porządkowe. W roku 1465 zatem – rozkaz, aby po zapadnięciu zmroku mieszkańcy oświetlali świecami okna i zamykali psy pod karą stryczka; w tymże samym roku – rozkaz zamykania na noc ulic żelaznymi łańcuchami i zakaz noszenia przy sobie na ulicy nocą noży i innej zaczepnej broni. Lecz po jakimś czasie wszystkie te próby gminnego ustawodawstwa poszły w niepamięć. Wiatr pogasił świece w oknach, nie dopilnowane przez mieszczan, bezpieczeństwa psów znów wałęsały się po ulicach, żelazne łańcuchy zakładano tylko podczas oblężenia; jedyną zmianą, jaka wynikła z zakazu noszenia noży, było przemianowanie ulicy Zbitej Mordy na ulicę Poderżniętego Gardła, co jest oczywistym postępem. Stare rusztowanie feudalnych jurysdykcji stało dalej: ogromne nagromadzenie uprawnień lennych, krzyżujących się nad miastem, przeszkadzających sobie nawzajem, wikłających się poplątanych, wrzynających się w siebie, bezużyteczne zasięki najprzeróżniejszych czat i straży, poprzez które przechodziły z bronią w rękę: rozbój, grabież i bunt. W całym tym bałaganie nie były więc niczym nadzwyczajnym takie zbrojne napady części gminu na pałac, na dwór, na kamienicę w najludniejszych nawet dzielnicach. W większości takich wydarzeń sąsiedzi wtedy dopiero wtrącali się do zajścia, kiedy łotrzykowie dobierali się do ich własnej skóry. Na odgłos strzelaniny zatykali uszy, zamykali okiennice, barykadowali drzwi, czekali na rozstrzygnięcie sporu, z udziałem czy też bez udziału nocnych czat, i następnego dnia opowiadano sobie w Paryżu: „Tej nocy napadnięto Stefana Barbette...” „Tej nocy pojmano marszałka de dermom...” – itd. I dlatego nie tylko królewskie siedziby, Luwr, Pałac Sprawiedliwości, Bastylia, Tournelles, lecz i rezydencje wielkopańskie, Pałac Bourboński, Dwór Sens, Dwór Angoulême itd., miały strzelnice w murach i mahikuły nad bramami. Kościołów strzegła ich świętość. Niektóre jednakże – lecz nie należała do nich katedra Marii Panny były ufortyfikowane. Opat Saint-Germain-des-Prés był oblankowany niczym baron i na bombardy więcej tu wydatkowano miedzi niż na dzwony. Jeszcze w r. 1610 można było obejrzeć

tę jego fortecę. Dziś pozostał już tylko kościół.

Powróćmy do katedry Marii Panny.

Kiedy zakończono wydawanie pierwszych zarządzeń (a musimy przyznać ku chwale żebraczej karności, że rozkazy Klopina zostały wykonane w milczeniu i z podziwu godną dokładnością), zacny wódz hałastry wszedł na dziedziniec katedralny i przemówił chrapliwym i gniewnym głosem, obracając się twarzą ku kościołowi i wymachując pochodnią, której płomień, szarpany wiatrem i zasłaniany co chwila swoim własnym dymem, to ukazywał, to znów krył przed oczyma czerwoną fasadę kościoła.

– Ludwiku de Beaumont, biskupie Paryża, radco sądu najwyższego, ja, Klopini Postraszgłupca, król Pięciu Franków, wielki koezre, książę Gwary, biskup błaznów, zwracam się do ciebie w te słowa: siostra nasza, niesłusznie skazana za czary, schroniła się do twego kościoła. Winien jej jesteś przytułek i opiekę. Lecz sąd najwyższy chce ją wyrwać stąd, a ty na to przystałeś, i powieszono by ją jutro na placu Grève, gdyby nie było Boga i żebraków. Więc przyszliśmy do ciebie, biskupie. Jeśli twój kościół jest święty, nasza siostra także jest święta; jeśli nasza siostra nie jest święta, twój kościół także nie jest święty. Dlatego wzywamy cię, byś nam oddał dziewczynę, jeżeli chcesz uratować swój kościół, albo porwiemy dziewczynę i złupimy kościół. Co będzie słuszne. W imię czego zatykam mój proporzec i niech Bóg ma cię w swojej opiece, biskupie Paryża.

Quasimodo nie mógł, na nieszczęście, usłyszeć tych słów, wypowiedzianych z jakimś posepnym i dzikim majestatem. Jeden z żebraków podał Klopiniowi proporzec, a on zatknął go uroczyście między dwiema płytami bruku. Były to widły a z ich zębów zwisał kawał krwawiącej padliny.

Uczyniwszy to król Pięciu Franków odwrócił się i powiódł okiem po swym wojsku, dziękię troszczy, której ślepa tak samo prawie błyszczała jak piki.

I po chwili milczenia krzyknął:

– Naprzód, dzieci! Do dzieła, kowale!

Trzydziestu mocnych chłopów, z kwadratowymi barami, z twarzami poczerniałymi w dymie kuźni, wystąpiło z szeregu; na ramionach nieśli młoty, obcęgi i żelazne sztangi. Podeszli do środkowych wrót kościoła, wstąpili na schody i ujrzano niebawem, jak przykucnąwszy pod łukami portalu, obcęgami i lewarami zabierają się do wyważenia wrót. Tłum żebraczy przysunął się do nich, żeby pomagać i żeby się przyglądać. Na jedenastu stopniach schodów portalu zrobiło się tłoczno.

Drzwi jednak nie ustępowały.

– Twarde, lichy, i uparte! – rzekł jeden z pracujących.

– Bo stare, więc ciężko chodzą w zawiasach – rzekł drugi.

– Odwagi, towarzysze! – zachęcał ich Klopini. – Stawiam o zakład własną głowę przeciwko trzewikowi, że zanim obudzi się pierwszy kościelny sługa, otworzycie drzwi, porwiecie dziewczynę i rozbierzecie główny ołtarz. Słyszycie, zdaje mi się, że zamek już puszcza.

Przerwał mu przerażający huk, który w tej chwili rozległ się z tyłu. Odwrócił się. Olbrzymia belka spadła z nieba, zmiażdżyła chyba z tuzin żebraków na placu i podskakiwała po bruku, hałasując jak armata i przetrącając jeszcze tu i ówdzie nogi komuś w tłumie usuwającym się wśród wrzasków trwogi. Dziedziniec katedralny, otoczony niskim murem, opustoszał w mgnieniu oka. Kowale, aczkolwiek chroniły ich głębokie archiwolty portalu, zaniechali wyważania drzwi, a nawet i sam Klopini cofnął się na przyzwoitą odległość od kościoła.

– Cud, zem uszedł cało! – krzyczał Jan. – Przeleciała mi tuż koło nosa, na byczą głowę! Ale Piotrkowi Rozbijgłowie rozwaliło łeb.

Nie sposób opowiedzieć, jak wielkie zdumienie i lęk spadło razem z belką na rzezimieszków.

Przez kilka minut stali i patrzyli w górę; dwudziestotysięczna armia łuczników królewskich mniej by ich przeraziła niż ten kawał drewna.

– Szatan! – mruknął książę Egiptu. – Czuć w tym czary.

– To księżyc cisnął w nas tym polanem – rzekł Ryży Andrzej.

– Przecie powiadają ludzie, że księżyc to przyjaciel Matki Boskiej – dorzucił Franciszek Śpiewająca Śliwka.

– Na tysiąc papieży! – krzyknął Klopin. – Wszyscy jesteście głupi!

Ale sam nie wiedział, jak objaśnić spadnięcie belki.

Nic nie było widać na fasadzie, a światło pochodni nie docierało do jej szczytu. Ciężka belka leżała na środku dziedzińca, słyszano jęki nieszczęśliwych, których przygniotła; kanty kamiennych schodów poprzecinały im brzuchy.

Kiedy pierwsze zdumienie minęło, król Pięciu Franków znalazł wreszcie wyjaśnienie, które trafiło do przekonania jego towarzyszących:

– Czarczi pysk! Czy to kanonicy chcą może się bronić? Na pohybel!

– Na pohybel! – powtórzył wściekły ryk tłuszczy. I salwa z kusz i rusznic uderzyła o fasadę kościoła.

Na odgłos salwy przebudzili się spokojni mieszkańcy okolicznych domów; tu i ówdzie otworzyły się okiennice, a szlafmyce i ręce ze świecami ukazały się w oknach.

– Strzelajcie do okien! – krzyknął Klopin.

Okiennice natychmiast zatrzasnęły się i nieszczęśni mieszczenie, ledwie zdążywszy łypnąć przerażonym okiem na tę zgiełkliwą i jaskrawo oświetloną scenę, powrócili, złani potem, do swych małżonek, nie wiedząc, czy to sabat odbywa się teraz na dziedzińcu katedry Marii Panny, czy też może szturmują Burgundczycy, jak w roku sześćdziesiątym czwartym. Mężowie myśleli o grabieży żony o gwałtach i wszyscy trzęśli się ze strachu.

– Na pohybel! – darli się żebracy, ale nie śmieli podejść bliżej. Spoglądali na kościół, spoglądali na belkę. Belka leżała nieruchomo, gmach wydawał się spokojny i pusty, lecz coś ich zmroziło.

– Nuże, kowale, do dzieła! – krzyknął Postraszgłupca. – Wyważajcie wrota!

Nikt się nie ruszył.

– Na brzuch i brodeń! – rzekł Klopin. – To mi dopiero mężczyźni! Belki się złąkli!

Odezwał się na to stary kowal:

– Wodzu, nie belki nam strach, ale drzwi są zbite z żelaznych sztab. Obcęgami nie damy rady.

– Czego więc wam trzeba, żeby je wywalić? – zapytał Klopin.

– Ba! Tu trzeba tarana!

Król Pięciu Franków podbiegł śmiało do groźnej belki i postawił na niej stopę.

– Macie taran! – krzyknął. — Przysyłają go wam kanonicy. – I kłaniając się szyderczo w stronę kościoła dodał: – Dziękujemy wam, kanonicy!

Ta brawura wywarła dobry skutek, czar belki przysł. Żebracy odzyskali odwagę; niebawem ciężki kloc, uniesiony jak piórko przez dwieście par potężnych ramion, uderzył z furią w środkowe drzwi, które już przedtem próbowano wyważyć. Ujrzawszy w słabym świetle, którym nieliczne pochodnie żebraków nieco rozjaśniały plac, ten długi dyl niesiony przez tłum mężczyzn, co biegli by uderzyć nim w katedrę – rzekłbyś, że widzisz monstrualną bestię z tysiącem nóg, ze spuszczoną głową, atakującą kamiennego olbrzyma.

Pod uderzeniem tarana drzwi, na pół z metalu, zahuczały jak olbrzymi bęben; nie pękły, ale cała katedra zatrzęsała się i usłyszano, jak zagrzmiało ogromne wnętrze gmachu. W tej samej chwili grad dużych kamieni zaczął sypać się na napastników z wyżyny fasady.

– Do diabła! – krzyknął Jan. – Czyżby wieże strząsały nam na głowy swoje balustrady?

Lecz zapal raz odzyskany nie przemijał. Król Pięciu Franków świecił przykładem. Niewątpliwie, to biskup się bronił, uderzali więc we wrota jeszcze zaciekłej, pomimo kamieni, od których na prawo i na lewo pękały czaszki.

Rzecz godna zastanowienia, że te kamienie spadały pojedynczo, bardzo często, ale jeden po drugim. Żebracy dostawali zawsze dwoma na raz, jednym w nogi, drugim w głowę. Rzadko który nie trafiał i szeroki pokład zabitych i rannych krwawił i drgał pod stopami szturmujących, którzy napływali, coraz to nowi i coraz bardziej rozwścieczeni. Długa belka wciąż uderzała we wrota, regularnie jak serce dzwonu, kamienie wciąż sypały się, wrota grzmiały.

Czytelnik odgadł już niewątpliwie, że nieoczekiwany opór, który rozwścieczył żebraków, był dziełem Quasimodo.

Przypadek dopomógł na nieszczęście dzielnemu głuchemu.

Kiedy zszedł na ganek między wieżami, myśli mąciły mu się w głowie. Przez kilka minut biegał wzdłuż galerii tam i z powrotem, jak wariat, przypatrując się z góry zwartej masie żebraków, gotowych rzucić się na kościół, i wzywając diabła i Boga, żeby ratowali Cyganek. Przyszło mu na myśl, żeby popędzić na południową dzwonnice i zadzwonić na trwogę. Lecz zanim zdąży rozkołysać dzwon zanim choćby raz odezwie się wielka Maria, czy wrota nie zostaną wyważone dziesięć razy? Była to właśnie chwila, w której kowale zbliżali się do nich ze ślusarskimi narzędziami. Co począć?

Nagle przypomniał sobie, że murarze pracowali przez cały dzień przy naprawie ściany, wiązań dachowych i dachu południowej wieży. Ściana była kamienna, dach – ołowiany, wiązania dachów – drewniane. (Te cudowne wiązania, tak gęste, że je nazywano „lasem”).

Quasimodo wbiegł na tę wieżę. W dolnych izbach rzeczywiście pełno było materiałów. Leżały tu kupy ociosanych kamieni, zwinięte arkusze ołowianej blachy, pęki krokwi, mocne belki już ponacinane piłą, stosy gruzu. Kompletny arsenał.

Nie było czasu do stracenia. Na dole pracowały drągi i młoty. Z siłą z wielokrotnioną poczuciem niebezpieczeństwa Quasimodo dzwignął jedną z belek, najcięższą, najdłuższą, wysunął ją przez okienko, potem wybiegł z wieży schwycił ją z zewnątrz, dociągnął aż na krawędź balustrady otaczającej ganek i strącił w przepaść. Olbrzymi słup spadający z wysokości stu sześćdziesięciu stóp, niby oderwane skrzydło wiatraka, które samo uleciało w przestworza, obrócił się kilkakrotnie, zawadzając o mur i tłukąc rzeźby. Wreszcie dosięgnął ziemi. Podniósł się potworny wrzask, a czarna belka, podskakująca na bruku, była podobna do rzucającego się węża.

Quasimodo zobaczył, że po zrzuceniu belki żebracy rozproszyli się jak popiół pod dmuchnięciem dziecka. Skorzystał z ich przerażenia i kiedy oni przypatrywali się z zabobonnym lękiem spadłej z nieba maczudze i gradem strzał wybijali oczy kamiennym świętym w portalu, on po cichu gromadził gruz, kamienie, ciosy – wszystko, nawet i worki z narzędziami murarzy, na krawędzi balustrady, tam, skąd strącił belkę.

Skoro tylko zaczęli uderzać w środkowe wrota, posypał się grad kamieni, jak gdyby kościół sam z siebie rozpadał się i sypał na ich głowy.

Przeląkłby się ten, kto by zobaczył w tej chwili Quasimodo. Niezależnie od pocisków, które ułożył na balustradzie, zgromadził stos kamieni na samym ganku. Kiedy wyczerpały się głązy przygotowane na krawędzi, zaczął je brać ze stosu. Schylał się i prostował, znów schylał się i znów się prostował z nieprawdopodobną ruchliwością. Wielka głowa gnoma wychylała się za balustradę i spadał ogromny kamień, potem drugi, trzeci. Od czasu do czasu Quasimodo śledził okiem co cięższy głaz i kiedy trafiał należycie, wydawał cichy pomruk.

Żebracy nie upadali jednak na duchu. Grube wrota, w które bili zażarcie, już co najmniej ze dwadzieścia razy zdrzały pod uderzeniem dębowego tarana wzmocnionego przez siłę stu

mężczyzn. Skrzydła wrót trzeszczały, blaszane ozdoby rozpryskiwały się w drzazgi, zawiasy gwałtownie podskakiwały na sworzniach przy każdym uderzeniu, tarcice rozstępowały się, sypało się drzewo starte na proch między żelaznym unerwieniem. Szczęściem dla Quasimodo, więcej tu było żelaza niż drzewa.

Czuł jednak, że wrota się chwieją. Choć nie słyszał, każde uderzenie tarana odbijało się równoczesnym echem i w piwnicach kościoła, i w sercu Quasimodo. Widział z góry, jak żebracy, triumfujący i rozwścieczeni, pięściami wygrażają mrocznej fasadzie, i sowom, które uciekały stadami ponad jego głową, zazdrość skrzydeł – jakżeby pragnął ich dla Cyganki i dla siebie!

Jego kamienny deszcz nie wystarczał do odparcia napastników.

W tej rozpaczliwej chwili tuż pod balustradą, z której raził głazami żebraków, zauważył dwie długie kamienne rynny, wprost nad głównym wejściem sterczące. Otwory tych rynien znajdowały się tuż obok, na kamiennym ganku. Wpadł na owy pomysł; pobiegł po chrust do swej izdebki w dzwonnicy, pokładł na tym chruscie pęki krokwi i zwoje ołowianej blachy, amunicję, której nie użył był jeszcze do tej pory, i starannie przysunawszy ten stos do otworów obu rynien, podpalił go swą latarką.

Ponieważ przez ten czas kamienie nie padały, żebracy przestali spoglądać w górę. Łotrzykowie sapiąc niby sfora psów, co dopadły dzika w jego legowisku, tłumnie cisnęli się do głównych wrót popękanych od tarana, ale jeszcze nie ustępujących. Czekali chciwie na ostatni cios, na cios, który je wyważy. Każdy usiłował stanąć jak najbliżej, żeby kiedy drzwi się otworzą, jak najszybciej wpaść do tej przebogatej katedry, wielkiego zbiornika, w którym nagromadziły się bogactwa trzech stuleci. Rycząc z uciechy i pożądliwości jeden drugiemu przypominał piękne krzyże ze srebra, piękne kapy ze złotogłowiu, piękne grobowce z pozłacanej srebrnej blachy, nieprzebrane wspaniałości prezbiterium, olśniewające święta: Boże Narodzenia iskrzące się pochodniami, Wielkanocę lśniąca od słońca, wszystkie świetne uroczystości, kiedy to monstrancję, świeczniki, cyboria, tabernakula, relikwiarze pokrywały ołtarze chropowatą skorupą ze złota i diamentów. W tej pięknej chwili buchacze i szulerzy, koniokradcy i rzeźmieszkowie o wiele mniej zaiste myśleli o uwolnieniu Cyganki niż o złupieniu katedry Marii Panny. A nawet byłibyśmy skłonni przypuszczać, że dla wielu z nich Esmeralda była tylko pretekstem, jeżeli złodziejowi jest potrzebny pretekst.

Nagle, kiedy skupieni przy taranie gotowali się do ostatniego wysiłku, kiedy każdy wstrzymywał oddech i napinał mięśnie, żeby całą swoją siłę włożyć w ten decydujący cios, ze środka tłumu podniósł się wrzask jeszcze straszliwszy od tego, który wybuchnął i zamarł pod belką. Ci, co nie wrzeszczeli, ci, co żyli jeszcze, spojrzeli. Dwa strumienie roztopionego ołowiu lały się ze szczytu gmachu w sam środek ciżby. To morze ludzi zapadło się pod wrzącym metalem, który w dwu punktach, tam gdzie spadał, zrobił w tłumie dwie czarne i dymiące dziury, jak gorąca woda wylana w śnieg. Ruszali się w nich konający, na pół spałym, rycząc z bólu. Wokół dwu głównych strumieni krople tego potwornego deszczu rozpryskiwały się na napastników wkręcając się im w czaszki jak ogniste śrubki. Ciężki, ołowiany ogień tysiącem śrucin smagał nieszczęśliwych.

Wrzask rozdarł powietrze. Cisnąwszy taran na trupy, uciekli na łeb na szyję Wszyscy – najodważniejsi i najtchórzliwsi – i dziedziniec katedralny opustoszał po raz wtóry.

Wszystkie oczy podniosły się ku szczytowi budynku. To, co ujrzeli, było niesamowite. Na najwyższej galerii, nad środkową rozetą ogromny ogień, sypiący iskry, wzbijał się w górę między dzwoniczami, ogromny ogień, żywiołowy, wściekły, którego dymiące strzępy porывał chwilami wiatr. Pod tym ogniem, pod ciemną balustradą w trójliście z żaru, dwie rynny w kształcie potwornych gęb rzygały nieustannie palącym deszczem, który lał się srebrzyście na tle mroków dolnych kondygnacji fasady. W miarę zbliżania się do ziemi dwa strumienie płynnego ołowiu

rozszerzały się w snopy, jak woda wytryskująca tysiącznych otworów polewaczki. Ponad ogniem olbrzymie wieże, z których widać było po dwie ściany ostro się od siebie odcinające, jedną całkiem czarną, drugą całkiem czerwoną, wydawały się wyższe o cały ogrom swego cienia, który rzucały aż w niebo. Ponuro wyglądały na nich niezliczone rzeźby diabłów i smoków. Poruszyło je niespokojne światło ognia. Rzekłbyś, że widzisz, jak się śmieją żarłoczne węże, że słyszysz, jak skomlą chimery, że salamandry dmuchają w ogień, że jaszczury kichają w dymie. A wśród potworów, zbudzonych ze swego kamiennego snu przez ten ogień i przez ten zgiełk, był jeden, który chodził, i od czasu do czasu widziano, jak się przesuwa przed gorejącym czołem ogniska niby nietoperz przed świecą.

W dali, na pagórkach Bicêtre, niejeden zapewne drwał, obudzony przez tę niezwykłą latarnię, patrzył z lękiem, jak się chwieje na jego wrzosowiskach cień gigantycznych wież katedry Marii Panny.

Żebracy ucichli, zdjęci zgrozą, a wśród ciszy słyhać było tylko wzywanie pomocy kanoników zamkniętych w klasztorze i bardziej zaniepokojonych niż konie w pałacej się stajni, słyhać było krótkie skrzypnięcia okien, szybko otwieranych i jeszcze szybciej zamykanych, ruch w kamienicach i w Bożym Domu, wiatr w płomieniach, ostatnie rżenia konających i nieustanne trzaskanie po bruku kropli ołowianego deszczu.

Tymczasem najznacniejsi żebracy wycofali się na naradę do sieni kamienicy Gondelaurier. Księżę Egiptu usiadł na stopniu i z religijnym lękiem wpatrywał się w fantasmagoryczne ognisko jaśniejące na wysokości dwustu stóp. Klopın Postraszgłupca gryzł ze złości swoje potężne pięści.

– Niepodobna wejść! – mruknął przez zęby.

– Stary zaklęty kościół! – burknął stary Cygan Matias Hungadi Spicali.

– Na was papieża! – rzekł siwiejący rzeźmieszek, który niegdyś był żołnierzem – te kościelne rynny lepiej od machikuł z miasta Lectoure plużą roztopionym ołowiem.

– Widzicie szatana, który spaceruje przed ogniem tam i z powrotem? – krzyknął Księżę Egipski.

– Dalibóg – rzekł Klopın – to przeklęty dzwonnik! To Quasimodo!

Cygan potrząsnął głową.

– A ja wam powiadam, że to duch Sabnak, wielki markiz, demon fortyfikacji. Ma kształt zbrojnego żołnierza z lwią głową. Ludzi przemienia w głazy i buduje z nich wieże. Dowodzi pięćdziesięcioma legionami. To on, poznaję go. Niekiedy bywa przyodziany w piękną, złotą suknię, na sposób turecki.

– Gdzie jest Bellevigne de l'Étoile? – zapytał Klopın.

– Nie żyje – odpowiedział jeden z żebraków.

Ryży Andrzej śmiał się głupkowato. Powiedział:

– Katedra Marii Panny dba o to, żeby Boży Dom nie próżnował.

– Więc nie ma sposobu wyważenia tych wrót? – zapytał tupnąwszy nogą król Pięciu Franków.

Księżę Egiptu wskazał smutnie na dwa strumienie wrzącego ołowiu, które wciąż jeszcze, niczym dwie długie kądziele z fosforu, spadały wzdłuż ciemnej fasady.

– Widywano już kościoły, które się same broniły – zauważył z westchnieniem. – Czterdzieści lat temu Święta Zofia w Konstantynopolu aż trzy razy zrzucała półksiężyc Mahometa potrząsając kopułami, które są jej głowami. Wilhelm Paryski, który budował tę katedrę, był czarnoksiężnikiem.

– Więc mamy odejść z kwitkiem, jak wędrowni zbiry z gościńca – rzekł Klopın i zostawić tam naszą siostrę, którą jutro powieszą te wilki w mnisich kapturach?

– I zakrycie, w której są fury złota? – dodał żebrak, którego imienia, niestety, nie znamy.

– Na brodzie Mahometa! – krzyknął Postraszgłupca.

– Spróbujmy jeszcze raz! – rzekł żebrak.
 Matias Hungadi potrząsnął głową.
 – Przez wrota nie wejdziemy. Trzeba znaleźć szczelinę w zbroi starej wiedźmy: dziurę, ukryty korytarz podziemny, jakąś szparę.
 – Kto wraca ze mną? – rzekł Klopín. – Ale powiedzcie, gdzie się podziewa Jan, ten opancerzony żaczek?
 – Pewnie poległ – odpowiedział ktoś – nie słychać jego śmiechu.
 Król Pięciu Franków zmarszczył brwi:
 – Szkoda! Odważne serce nosił pod tym żelastwem. A mistrz Piotr Gringoire? – Dowódcó Klopínie – rzekł Ryży Andrzej – drapnął jeszcze przed mostem Wymiany.
 Klopín tupnął nogą.
 – Na gębę poświęcaną! Sam nas tu wypycha i daje drapaką w najgorętszej chwili! Nędzny gaduła w kasku z pantofla!
 – Dowódcó Klopínie! – krzyknął Ryży Andrzej spojrzawszy w ulicę Katedralną – jest żaczek!
 – Chwała niech będzie Plutonowi! – rzekł Klopín. – Ale co on, u diabła, ciągnie?
 Był to rzeczywiście Jan; biegł tak szybko, jak tylko mu na to pozwalał ciężki rynsztunek paladyna i długie drabinisko, które dzielnie ciągnął po bruku, bardziej zasapany niż mrówka zaprzężona do dwadzieścia razy dłuższego od siebie źdźbła trawy.
 – Zwycięstwo! *Te Deum!* – krzyczał żak. – Zdobyłem drabinę wyładowywaczy z portu Św. Landry.
 Klopín poszedł mu naprzeciw.
 – Synu, co ty chcesz zrobić z tą drabiną, u licha?
 – Mam ją – powtórzył Jan dysząc. – Wiedziałem, gdzie jest. W szopie koło domu podstarościego. Znam tam jedną dziewczynę, która utrzymuje, że jest Piękny jak Kupido. Z jej pomocą zdobyłem drabinę i mam ją, na Mahometa! Biedaczka, otworzyła mi w samej koszuli.
 – Dobrze – rzekł Klopín – ale na co ci ta drabina?
 Jan popatrzył nań chytrze i sprytnie i klasnął w palce jak w kastaniety. wspaniale wyglądał w tej chwili. Na głowie miał jeden z tych ciężkich, piętnastowiecznych kasków, które przerażały wroga swymi fantastycznymi gnębieniami. Hełm jego najeżony był dziesięcioma żelaznymi dziobami, dzięki którym Jan mógłby się współubiegać o groźny przydomek δέχμβολος¹¹, z homeryckim określeniem Nestora.
 – Na co mi ta drabina, dostojny królu Pięciu Franków? A czy widzicie ten szereg figur z durnymi gębami, tam, powyżej trzech portali?
 – Widzę. I co z tego?
 – To galeria królów Francji.
 – No to co? – rzekł Klopín.
 – Zaraz, zaraz! W samym końcu tej galerii są drzwi, zamykane tylko klamką, włożę po drabinie na galerię i jestem w kościele.
 – Synu, dawaj drabinę, niechaj wejdę pierwszy!
 – O, nie, kamracie, drabina moja! Chodźcie, wejdziecie po mnie, jako drugi
 – Niech cię Belzebub zadławi! – burknął Klopín. – Nie będę drugim po nikim!
 – A więc poszukajcie sobie drabiny, Klopínie!
 Jan puścił się pędem przez plac, ciągnąc swoją drabinę i wrzeszcząc:
 – Do mnie, synkowie!
 W jednej chwili drabina została przystawiona do balustrady najniższej galerii nad jednym z

¹¹ dziesięciodzioby (gr.)

bocznych portali. Ciżba żebracza z triumfalnym wrzaskiem cisnęła się w dole, żeby wejść. Lecz Jan pilnował swego prawa i pierwszy postawił stopę na szczeblu. Droga była dość długa. Dziś galeria królów Francji jest położona na wysokości około sześćdziesięciu stóp nad poziomem placu. Wtedy podwyższyły ją jeszcze jedenastostopniowe schody. Jan wchodził powoli, gdyż przeszkadzała mu zbroja, jedną ręką przytrzymywał się szczebli, w drugiej dźwigał swoją kuszę. Kiedy doszedł do połowy drabiny, rzucił melancholijne spojrzenie na biednych pozabijanych poddanych królestwa złodziei, którymi usiane były schody.

– Pożal się Boże! – westchnął. – Stos trupów godny piątej pieśni Iliady

I poszedł wyżej. Żebracy szli za nim. Na każdym szczeblu stał żebrak. Widząc, jak się podnosi w ciemności ta falująca linia opancerzonych pleców, rzekłbyś, że to wstaje wąż w stalowej łusce, gotów do ataku na kościół. Jan, który szedł pogwizdując, stanowił jego głowę i dopełniał złudzenia.

Żak doznał nareszcie do balustrady galerii i przesadził ją dość zręcznie wśród oklasków całej żebraczej kohorty. Zdobywszy w ten sposób twierdzę, rzucił okrzyk radości i nagle skamieniał. Za jednym z królewskich posągów spostrzegł Quasimodo z roziskrzonym okiem, ukrytego w mroku.

Zanim drugi napastnik zdążył przedostać się na galerię, straszliwy garbus skoczył ku drabinie, nie odzywając się ani słowem, schwycił potężnymi rękami końce jej obu drągów, podniósł je, odsunął od ściany, wśród rozpaczliwych wrzasków chwiał przez chwilę długą, wyginającą się drabiną, od góry do dołu obciążoną żebrakami, i nagle z nadludzką siłą odepchnął tę kiść obwieszona ludźmi na plac. Była to chwila, kiedy zadrżało serce w najmężniejszych. Drabina, pchnięta w tył, przez moment stała, jakby wahała się, potem się zachwiała, a następnie opisawszy nagle przerażające półkole o promieniu długim na osiemdziesiąt stóp, runęła na bruk ze swym ładunkiem łotrzyków szybciej niż zwozdzony most, u którego pękają łańcuchy. Rozległ się ogromny, złorzeczący krzyk, potem wszystko ucichło i kilku ociekających krwią nędzarzy wypełzło spod stosu trupów.

Wśród szturmujących, po pierwszym wrzasku zwycięstwa, rozległ się z kolei ryk bólu i gniewu. Quasimodo patrzył na nich obojętnie, wsparty łokciami o balustradę. Wyglądał z grzywą włosów jak stary król, stojący w oknie swego zamku.

Jan Frolo znalazł się w rozpaczliwym położeniu. Był na galerii, sam na sam z niebezpiecznym dzwonnikiem, oddzielony od towarzyszy pionową ścianą wysoką na osiemdziesiąt stóp. Kiedy Quasimodo zabawiał się drabiną, żak pobiegł do ukrytych drzwi, jak mniemał, Otwartych. Były zamknięte. Głuchy, wszedłszy na galerię, zaryglował je. Wówczas Jan schował się za kamiennego króla, wstrzymując oddech i wpatrując się w potwornego garbusa z przerażoną miną jak ów człowiek, co się umizgał do żony dozorczy menażerii i poszedł pewnego wieczora na miłosną schadzkę, ale pomylił się, przełaził przez inny mur i stanął nagle oko w oko z białym niedźwiedziem.

W pierwszej chwili głuchy nie zwracał nań uwagi; lecz wreszcie odwrócił głowę i wyprostował się nagle. Spostrzegł żaka.

Jan przygotował się na nie lada cios, lecz głuchy nie ruszał się; patrzył tylko na żaka, odwrócony w jego stronę.

– Ho, ho! – rzekł Jan. – Czemu się na mnie gapisz tym jedynym, smutnym okiem?

A mówiąc to młody hukaj szykował chyłkiem kuszę.

– Quasimodo! – krzyknął – zmienię ci przezwisko; będziesz się nazywał: Ślepy!

Strzelił. Pierzasta strzała świsnęła i utkwiała w lewym ramieniu garbusa. Quasimodo wzruszył się tym akurat tyle, jak gdyby draśnięto nie jego, ale króla Faramonda. Sięgnął ręką do strzały, wyrwał ją sobie z ramienia i spokojnie przełamał na swym potężnym kolanie; po czym raczej

upuścił, niż cisnął na ziemię oba kawałki. Lecz Jan nie zdążył strzelić po raz wtóry. Quasimodo przełamawszy strzałę, prychnął gwałtownie, skoczył jak szarańcza i spadł na żaka, że aż jego zbroja spłaszczyła się na murze.

Wówczas w tym półmroku rozjaśnionym chwiejnym światłem pochodni ujrzano rzecz straszną. Quasimodo ujął lewą dłonią obie ręce Jana, który nawet nie wyrywał się, tak wyraźnie czuł, że jest zgubiony. Prawą zaś dłonią, w milczeniu, ze złowieszczą powolnością, głuchy zrywał zeń po kolei wszystkie części zbroi, szpadę, sztylet, kask, pancerz, naramienniki – jak małpa obierająca orzech. Całą żelazną skorupę żaka, kawałek po kawałku, rzucił na posadzkę.

Kiedy żak ujrzał, że rozbrojony, rozebrany, słaby i nagi znalazł się w tych niebezpiecznych rękach, nie próbował przemówić do głuchego, lecz bezczelnie roześmiał mu się prosto w nos i z nieustraszoną beztroską szesnastoletniego chłopca zaczął śpiewać popularną wówczas piosenkę:

Pięknie odziane
Miasto Cambrai
Ograbił Marafin...

Nie dokończył. Ujrzano, jak Quasimodo stanął na parapecie galerii, jedną ręką trzymając żaka za nogi i niby procą zamachnął się nim nad przepaścią; potem usłyszano hałas, jakby pudło z kośćmi roztrzaskało się o mur, i zobaczono, że coś spada i zatrzymuje się po drodze na sterczynie wystającej ze ściany. Było to martwe ciało, które zawisło tam, wpół zgięte, ze zgruchotanym krzyżem, z pustą czaszką.

Z żebraczej ciżby buchnął wrzask wściekłości.

– Zemsta! – krzyknął Klopın.

– Na pohybel! – odpowiedziała czerń. – Do szturm! Do szturm!

Rozległo się nieludzkie wycie, mieszanina wszystkich języków, wszystkich narzeczy, wszystkich akcentów. Na widok śmierci nieszczęśliwego żaka wściekły zapał ogarnął ciżbę. Wstyd i gniew zdjął żebraków, że tak długo pozwalali jednemu garbusowi trzymać się w szachu przed kościołem. Zażartość pomogła znaleźć drabiny, rozmnożyła pochodnie i nim minęło kilka minut przerażony Quasimodo ujrzał, że groźne mrowie ze wszystkich stron wdziera się na katedrę. Ci, co nie mieli drabin, mieli sznury z węzłami; ci, co nie mieli sznurów wdrapywali się po wypukłościach rzeźb. Jedni chwytali się łachmanów drugich Nie było sposobu odparcia tego wzbierającego przyływu przerażających twarzy dzikie oblicza lśniły z zaciekłości; ich ziemiste czoła ociekały potem; ich oczy błyszczały; szpetne gęby-maski osaczały zewsząd Quasimodo. Rzekłbyś, że to jakiś inny kościół posłał swoje gorgony, psy, smoki, szatany, swoje najbardziej fantastyczne rzeźby do szturm na katedrę Marii Panny. Zdawało się, że powłoka żywych potworów pokryła kamienne potwory fasady.

Plac rozgwieździł się tymczasem tysiącem pochodni. Ten chaotyczny, aż do tej pory pogrążony w mroku obraz nagle rozpalił się jasnym światłem. Dziedziniec katedralny lśnił i rzucał blask na niebo; stos, rozpalony wysoko na ganku, wciąż jeszcze płonął, padając luną daleko na miasto. Ogromna sylweta obu wież legła na dachach Paryża wyrzynając z tej jasności szeroką płachtę cienia. Miasto jak gdyby zaniepokoiło się. Słychać było dalekie dzwony na trwogę. Żebracy wyli, sapali, przeklinali, wchodzili coraz wyżej; a Quasimodo, bezsilny wobec tylu wrogów, drżał z lęku o Cyganekę, oglądał wściekłe gęby coraz bliżej przysuwające się do galerii, błagał niebo o cud i załamywał ręce z rozpacz.

V

ZACISZE, W KTÓRYM ODMAWIA PACIERZE JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ LUDWIK FRANCUSKI

Czytelnik może pamiętać, że zanim Quasimodo patrząc z wysokości swej dzwonnicy na Paryż dostrzegł nocny orszak żebraków, dojrzał tylko jedno światelko błyszczące jak gwiazdka za szybą na najwyższym piętrze wysokiego i ciemnego gmachu, tuż obok bramy Św. Antoniego. Tym gmachem była Bastylia. Tą gwiazdką była świeca Ludwika XI.

Król Ludwik XI przebywał bowiem od dwu dni w Paryżu. Za dwa dni miał odjechać do swojej twierdzy w Montilzès-Tours. Zazwyczaj rzadko i na krótko pojawiał się w swym zacnym grodzie Paryżu, uważając, że za mało jest w min tajemniczych przejść, szubienic i szkockich łuczników.

Tego dnia przybył na nocleg do Bastylii. Nie lubił swojej komnaty w Luvrze, ogromnej, na dwadzieścia pięć sążni, z wielkim kominkiem, z dwunastoma wielkimi zwierzakami i trzynastoma wielkimi prorokami, i swego wielkiego łoża, długiego na dwanaście, a szerokiego na jedenaście stóp. Gubił się w tych wszystkich ogromnościach. Ten król-mieszczanin wolał izdebkę z tapczanikiem w Bastylii.

Poza tym Bastylia była bardziej warowna od Luvru.

„Izdebka”, którą król kazał sobie wyporządzić w słynnym więzieniu stanu, była jednakże dość obszerna i zajmowała najwyższe piętro wieżyczki baszty wewnętrznej. Była to okrągła komnatka, wysłana matami z lśniącej słomy, ze stropem malowanym między belkami zdobionymi w kwiaty lilii z pozłacanej cyny; ściany jej pokrywała bogata boazeria, usiana rozetkami z cyny posrebrzanej i pomalowanej piękną jaskrawozieloną farbą z auripigmentu i najprzedniejszego indygo.

Było tu tylko jedno okno, wąskie, ostrołukowe, opatrzone kratą z żelaza i mosiężnego drutu, a oprócz tego zaciemnione pięknymi szybkami malowanymi w herby króla i królowej; każda z tych szyb kosztowała dwadzieścia dwa solidy.

Wejście było tu tylko jedno, drzwi nowej wówczas budowy o łuku obniżonym, zawieszzone wewnątrz kobiercem, a z zewnątrz ujęte w jeden z tych portalików z irlandzkiej sosny, kruchych konstrukcji nader misternej stolarskiej roboty, które jeszcze sto pięćdziesiąt lat temu można było zobaczyć w wielu starych domach. „A choć szpeciły one komnaty i wiele miejsca zabierały – powiada z rozpaczą Sauval – starcy nasi jednakowoż nie chcieli rozstawać się z nimi i zachowywali je na przekór wszystkim.”

Nie znalazłbyś w tej izbie żadnego ze sprzętów, jakie zazwyczaj znajdowały się w komnatach – żadnych ław, żadnych skrzyń, żadnych zydli, ani zwykłych, ani też pięknych, na toczonych nogach, z poprzeczkami, po cztery solidy sztuka. Stało tu tylko jedno krzesło składane, z poręczami, bardzo wspaniałe: drzewo jego malowane było w róże na czerwonym tle, siedzenie zaś obite szkarłatną skórą kordubańską, nabijane złotymi gwoździami i obszyte długą, jedwabną frędzlą. To samotne krzesło wskazywało, że w tej izbie tylko jedna osoba miała prawo usiąść. Obok krzesła, w bliskości okna, stał stół przykryty kobiercem w deseń z ptaków. Na stole kałamarz poplamiony inkaustem, kilka kart pergaminu, kilka piór i srebrny rżnięty puchar. Nieco dalej przenośny piecyk i klęcznik z karmazynowego aksamitu, nabijany złotymi guzami. W głębi wreszcie – proste łoże przykryte żółto-różowym adamaszkiem, bez świecideł i oblamowań, ze zwykłą frędzlą tylko. To właśnie łoże, słynne, bo dźwigało sen i bezsenność Ludwika XI, można

było jeszcze przed dwustu laty oglądać u pewnego radcy stanu, gdzie je widziała stara pani Pilon, uwieczniona w *Cyrusie* pod imieniem Arcydy i Ucieleśnionej Moralności.

Taka była izba zwana „zaciszem, w którym odmawia pacierze jego królewska mość Ludwik Francuski”.

W chwili, w której wprowadziliśmy tam czytelnika, w izbie było prawie ciemno. Ostatni hejnał wieczorny przebrzmiał już przed godziną, zapadła noc i tylko jedna woskowa świeca paliła się na stole, oświetlając swym chwiejnym płomykiem pięć osób, w różnych pozach stojących w komnacie.

Pierwszą, na którą padało światło, był możny pan, wspaniale odziany w kamizelkę i spodnie szkarłatne w srebrne pasy, i w płaszcz z szerokimi rękawami z sukna w czarny deseń przetykany złotem. Światło igrało po tym świetnym Stroju i każda jego fałda była jakby wypolerowana blaskiem. Człowiek, który nosił ten ubiór, miał wyhaftowane na piersi swoje herby: szewron z biegnącym daniem u szczytu, z prawej strony gałązka oliwna, z lewej danieli róg. Człowiek ów nosił u pasa bogaty puginał z rękojeścią z połączanego srebra, wyrzeźbioną w kształt kity u hełmu, zakończoną hrabiowską koroną. Twarz miał złą, dumną, głowę podniesioną. Przy pierwszym spojrzeniu widziałeś w tej twarzy pychę, przy drugim spojrzeniu – przebiegłość.

Stał z odkrytą głową, z długim pergaminem w dłoni, za krzesłem z poręczami na którym siedziała druga osoba, zgarbiona niezgrabnie, z nogą założoną na nogę z łokciem wspartym na stole, bardzo nędznie odziana. Bo i proszę tylko wyobrazić sobie na tym przepysznym siedzeniu z kordubańskiej skóry dwa koślawe, kościste kolana, chude uda, ubogo obciążone trykotem z czarnej wełny, pierś w barchanowym kaftanie obszytym futrem, w którym więcej widać było skóry niż sierści, i wreszcie dla uwieńczenia całości, stary wytłuszczony kapelusz z najlichszego czarnego sukna, otoczony opaską z ołowianych figurek. Jeszcze brudna mycka, spod której sterczał jeden włos – i to już wszystko, co było widać z siedzącej osoby. Człowiek ów spuścił głowę na pierś tak nisko, że z twarzy jego, ukrytej w cieniu, nie można było dojrzeć nic więcej prócz czubka nosa, na który padał promień światła, a który zapewne był długi. Z wychudzenia pomarszczonych rąk można było odgadnąć, że jest to starzec. Był to Ludwik XI.

W pewnym oddaleniu od nich rozmawiali po cichu dwaj mężczyźni odziani w szaty flamandzkiego kroju, którzy nie do tego stopnia byli zagubieni w cieniu, żeby ktoś, kto asystował przy przedstawieniu moralitetu Gringoire'a, nie mógł w nich rozpoznać dwu najzacniejszych z grona flamandzkich posłów: Wilhelma Ryma, przebiegłego dostojnika z Gandawy, i Jakuba Kopenola, pończoszника, ulubieńca tłumu. Pamiętajmy, że ci dwaj ludzie byli dopuszczeni do tajnej polityki Ludwika XI.

Wreszcie w najodleglejszym kącie, tuż przy drzwiach, stał w mroku, nieruchomo jak posąg, barczysty mężczyzna w żołnierskiej zbroi, w opończy naznaczonej herbem; jego kwadratowa twarz, prześwidrowana wylupiastymi oczami, rozcięta ogromnymi ustami, z uszami ukrytymi pod strzechą prostych, na dwie strony opadających włosów i pozbawiona czoła, przypominała zarazem i psa, i tygrysa.

Wszyscy, z wyjątkiem króla, mieli głowy odkryte.

Pan obok króla stojący coś mu odczytywał z długiego memorandum, czego jego królewska mość, jak się wydawało, słuchał z uwagą. Dwaj Flamandczycy rozmawiali szeptem.

– Na krzyż Pański – Burczał Kopenol – już mi nogi słabną od stania; nie ma tu gdzie stołka?

Rym zaprzeczył ruchem głowy, któremu towarzyszył dyskretny uśmiech.

– Na krzyż Pański! – znów odezwał się Kopenol, snadź bardzo nieszcześliwy, że musi tak tłumić głos – chęć mnie bierze, żeby usiąść na ziemi, skrzyżowawszy nogi, jak to zwykle czynię w moim pończoszniczym sklepie.

– Nie ważcie się, mistrzu Jakubie!

– Ojej, mistrzu Wilhelmie, więc tutaj tylko stać można?

– Albo klęczeć – odrzekł Rym.

W tej chwili rozległ się głos króla. Umilkli.

– Pięćdziesiąt solidów za suknie naszych pacholków i dwanaście grzywien za płaszcze naszej świty! Tak, sypcie beczkami złoto! Czyście zwariowali, Oliwierze?

Mówiąc to starzec podniósł głowę. Na jego szyi zabłyśły złote muszle Łańcucha Świętego Michała. Świeca oświetliła w całości jego suchy i posępny profil. Wyrwał dokument z rąk stojącego za krzesłem wielmoży.

– Rujnujcie mnie! – krzyczał wodząc okiem po zapiskach. – Co to jest? Na co nam taki wspaniały dwór? Dwu kapelanów, każdy pobiera po dziesięć grzywien na miesiąc, i jeden wikary kaplicy pobierający sto solidów! Jeden pokojowiec za dziewięćdziesiąt grzywien rocznie! Czterech krajczych, każdy za sto dwadzieścia grzywien rocznie. Jeden kuchmistrz, jeden pomocnik kuchmistrza do gotowania rosółów, jeden pomocnik kuchmistrza do przyrządzania sosów, jeden kuchcik do ostrzenia noży, jeden szafarz, dwu pomocników szafarza, a każdemu z nich po dziesięć grzywien miesięcznie! Dwu kuchcików po osiem grzywien! Jeden koniuszy i dwu masztalerzy po dwadzieścia cztery grzywiny miesięcznie, jeden posługacz, jeden pasztetnik, jeden piekarz, dwu woźniców, każdy po sześćdziesiąt grzywien rocznie. I kowal za sto dwadzieścia grzywien. I skarbnik naszej szkatuły – tysiąc dwieście grzywien. I rachmistrz pięćset grzywien. I czy ja wiem, co jeszcze! To istny obłęd! Pensje naszej służby rujnują Francję! Wszystkie skarby Luwru stopią się w takim ogniu wydatków. Wyprzedamy się z naczyń stołowych. I za rok, jeśli Bóg i Najświętsza Maria Panna (tu uchylił kapelusza) dożyć nam pozwolą, będziemy pić ziółka z cynowego kubka.

Mówiąc to spojrzął na srebrny puchar, który lśnił na stole. Zakaszłał i odezwał się znowu:

– Mistrzu Oliwierze, książęta, którzy panują na wielkich włościach, jak królowie i cesarze, nie powinni dopuścić, żeby w ich domach panoszył się zbytek, bo stamtąd ten ogień rozszerza się na prowincje. Otóż zapamiętaj sobie, mistrzu Oliwierze. Nasze wydatki rosną z roku na rok. To się nam nie podoba. Jakże to, na mękę Pańską, aż do roku siedemdziesiątego dziewiątego nie przekraczały trzydziestu sześciu tysięcy grzywien, w roku osiemdziesiątym wyniosły czterdzieści trzy tysiące sześćset dziewiętnaście grzywien – mam te liczby w głowie – w roku osiemdziesiątym pierwszym – sześćdziesiąt sześć tysięcy sześćset osiemdziesiąt grzywien; a tego roku – na zbawienie mojej duszy! – dojdą do osiemdziesięciu tysięcy grzywien! Suma w ciągu czterech lat została podwojona! Potworne!

Zatrzymał się, odsapnął i znów odezwał się porywczo:

– Wszyscy ludzie w moim otoczeniu tuczą się moją chudością. Wszystkimi porami wysysają ze mnie skudy!

Wszyscy milczeli. Był to jeden z tych napadów złości, które należało przeczekać. Odezwał się znowu:

– Albo i ta prośba po łacinie, z którą zwraca się do nas francuska szlachta, byśmy przywrócili to, co oni zowią wielkimi ciężarami korony. Rzeczywiście ciężary! Ciężary, które miażdżą! O mości panowie! Powiadacie, że nie jesteśmy prawdziwym królem panując *dapifero nullo, buticulario nullo*. Na mękę Pańską, już my wam pokażemy, czy nie jesteśmy królem!

Tu uśmiechnął się w poczuciu własnej potęgi; przy czym humor poprawił mu się nieco i obrócił się ku Flamandczykom:

– Widzicie, kumie Wilhelmie? Wielki podstoli, wielki podczaszy, wielki szambelan, wielki seneszał mniej są warci od najlichszego pacholika! Zapamiętajcie to sobie, kumie Kopenol! Do niczego nie są przydatni. Kiedy tak tkwią niepotrzebnie dookoła króla, wydają mi się niczym czterej ewangeliści otaczający tarczę wielkiego zegara w Pałacu Sprawiedliwości, których Filip

Brille właśnie świeżo odnowił. Są wyzłoceni, ale nie wskazują godziny; i wskazówka może się bez nich obejść.

Zamyślił się chwilę i, potrząsając starczą głową, dorzucił jeszcze:

– Ho, ho! Na Najświętszą Pannę jam nie Filip Brille, ja nie będę wyłacał moich wasali! Czytaj dalej, Oliwierze!

Osoba, którą nazwał tym imieniem, odebrała z jego rąk pergamin i znów zabrała się do głośnego odczytywania:

– „... Adamowi Tenon, podkanclerzemu starościńskich pieczęci miasta Paryża: za srebro, rysunek i wyrżnięcie rzeczonych pieczęci, które od nowa wykonano, poprzednie bowiem, wskutek starości i zużycia, nieprzydatnymi się stały dwanaście grzywien paryskich.

Wilhelmowi Frère – razem cztery grzywny cztery solidy paryskie za trud i wydatki poniesione na chowanie i karmienie gołębi w dwu gołębnikach pałacu Tournelles przez miesiąc styczeń, luty i marzec tego roku, na co dał sześć miar jęczmienia.

Franciszkaninowi za wypowiedanie zbrodniarza – cztery solidy paryskie”.

Król słuchał w milczeniu. Od czasu do czasu kaszłał; wówczas podnosił do warg puchar i krzywiąc się pociągał jeden łyk.

– „Na rozkaz trybunału, pięćdziesiąt sześć obwieszczeń odtrąbionych zostało w tym roku na placach Paryża. Rachunek do uiszczenia.

Za kopanie i poszukiwanie w pewnych miejscach, zarówno w Paryżu, jak i gdzie indziej, pieniędzy, które jak głosiła wieść, zostały tam ukryte, których tam jednakże nie znaleziono – czterdzieści pięć grzywien paryskich.”

– Zakopać dukata, żeby odkopać grosz! – rzekł król.

– „... Za wstawienie w pałacu Tournelles sześciu szyb z białego szkła w pomieszczeniu, w którym znajduje się żelazna klatka – trzynaście solidów. Za wykonanie i dostarczenie z rozkazu króla, w dniu przeglądu cechowych oddziałów zbrojnych, czterech tarcz z herbami rzeczzonego pana, otoczonych wieńcami z róż – sześć grzywien. Za dwa nowe rękawy u starego kaftana króla – dwadzieścia solidów. Za skrzyneczkę smarowidła do smarowania butów króla – piętnaście denarów. Za nowy chlewik dla czarnych prosiąt króla – trzydzieści grzywien paryskich. Za zagrody, deski i podnoszone kraty do zamykania lwów w pałacu Saint-Pol – dwadzieścia dwie grzywny.”

– Drogo te bydłatka kosztują! – rzekł Ludwik XI. – Trudno; jest to iście królewski zbytek. Mamy tam jednego rudego lwa, którego lubię za jego figle. Widzieliście go, mistrzu Wilhelmie? Książęta powinni posiadać te cudowne zwierzęta. Nam królom, lwy przystoją jako psy, a tygrysy jako koty. Koronom przystoi wielkość! Za czasów pogan czczących Jowisza, kiedy lud ofiarowywał świątyniom sto wołów i sto jagniąt, cesarze dawali sto lwów i sto orłów. Było to dzikie i bardzo piękne. Królowie Francji zawsze lubili słyszeć ryk lwa w pobliżu swego tronu. Przyszłość odda mi jednakowoż tę sprawiedliwość, że wydaję na to mniej niż oni i że się obchodzę skromniejszą liczbą lwów, niedźwiedzi, słoni i lampartów. Czytajcie dalej, mistrzu Oliwierze! Tyle rzecz chcieliśmy posłom flamandzkim, przyjaciołom naszym.

Wilhelm Rym uklonił się głęboko, zaś Kopenol ze swą nachmurzoną miną wyglądał jak jeden z tych niedźwiedzi, o których wspomniał jego królewska mość. Król nie zwrócił na to uwagi. Umoczył wargi w pucharze i splunął mówiąc

– Faj! Wstrętne ziółka.

Czytający podjął przerwany wątek:

– „Za wyżywienie zbiegłego piechura, zamkniętego od sześciu miesięcy w celi oprawcy, zanim wiadomym będzie, co z nim uczynić – sześć grzywien cztery solidy.”

– A to co znowu? – przerwał król. – Żywić to, co należy powiesić! Na mękę Pańską, nie dam

więcej ani solida na to jadlo. Oliwierze, porozum się wasze z panem d'Estouteville i jeszcze dziś wieczór przygotować mi wszystko do zaślubin franta z szubienicą. Dalej!

Oliwier zrobił znak paznokciem przy pozycji „zbiegłego piechura” i czytał w dalszym ciągu:

– „Henrykowi Couison, mistrzowi katowskiemu przy trybunale miasta Paryża – sumę sześćdziesięciu solidów, wyznaczoną mu i przyznaną przez imć starostę Paryża za zakupienie, na rozkaz rzeczono imć starosty, wielkiego obosiecznego miecza, służącego do ścinania osób skazanych przez trybunał za niecnotę; a również za pochwę do tegoż miecza i wszystko, co przynależy; a również za wyostrzenie i naprawę starego miecza, który pękł i wyszczerbił się przy wymierzaniu sprawiedliwości panu Ludwikowi Luksemburskiemu, co naocznie sprawdzić da się...”

Król przerwał:

– Dość! Zgadzą się chętnie na tę sumę. Nigdy nie skąpię na takie wydatki. Nigdy jeszcze nie żałował tak utraconych pieniędzy... Czytajcie dalej!

– „Za zbudowanie nowej wielkiej klatki...”

– Aha! – rzekł król kładąc ręce na poręczach krzesła – wiedziałem, że jednak nie na próżno przybyłem do tej Bastylii. Zaczekajcie, mistrzu Oliwierze. Chcę osobiście obejrzeć klatkę. Rachunki za jej wykonanie będziecie mi odczytywać podczas oglądania. Panowie Flamandczycy, chodźcie zobaczyć! To ciekawe!

Wstał, wsparł się na ramieniu Oliwiera, skinął na milczącą postać przy drzwiach, by ruszyła przodem, skinął na Flamandczyków, by szli za nim, i wyszedł z komnaty.

Za progiem przyłączyli się do królewskiego orszaku zbrojni, zakuci w żelazo, oraz smukli paziowie, którzy nieśli pochodnie. Orszak wędrował przez pewien czas po wnętrzu posępnej baszty, po schodach i korytarzach, niekiedy w samych jej murach przebitych. Gubernator Bastylii szedł przodem i otwierał tajemne drzwi przed starym, chorym i zgarbionym królem, który idąc kaszłał.

W każdych drzwiach wszystkie głowy musiały się pochylać, wyjąwszy głowę starca pochylonego wiekiem.

– Hm! – mrucał przez dziąsła, bo zębów już nie miał – jesteśmy już całkiem gotowi, by przejść przez drzwi grobowca! Dla pochylonego wędrowca – niskie drzwi.

Wreszcie po przejściu przez ostatnie drzwiczki, zaopatrzone w tyle zamków, że dobry kwadrans minął, nim je otwarto, weszli do wysokiej i obszernej sali z ostrołukowym sklepieniem; w środku w świetle pochodni ukazał się wielki masywny sześcian z cegieł, żelaza i drzewa. Wewnątrz był pusty. Była to jedna ze słynnych klatek dla więźniów stanu, nazywano je „królewskimi córeczkami”. w ścianach klatki znajdowało się kilka niewielkich okienek, tak gęsto zakratowanych żelaznymi prętami, że nie było widać szyb. Drzwi stanowiła wielka płaska płyta kamienna, jakie bywają w grobowcach; drzwi z rodzaju tych, przez które tylko wchodzić można. Lecz tutaj umarłym był żywy.

Król zaczął powoli obchodzić niewielki budynek oglądając go starannie, mistrz Oliwier zaś, idąc za królem czytał głośno:

– „...Za zbudowanie nowej wielkiej klatki z grubych drewnianych belek słupów i zastrzałów, długiej na dziewięć stóp, szerokiej na osiem, a wysokiej na siedem od podłogi do pułapu, heblowanej i okutej grubymi żelaznymi obręczami która to klatka ustawiona została w sali znajdującej się w jednej z wież Bastylii a w której z rozkazu króla, pana naszego, umieszczono i zamknięto więźnia uprzednio zamieszkującego klatkę starą, nadwątloną i zmurszałą... Przy budowie tej nowej klatki, zużyto dziewięćdziesiąt sześć belek na wieńce, pięćdziesiąt dwie belki na słupy i dziesięć, długich na trzy sążnie, na zastrzały; i dziewiętnastu cieśli pracowało nad wymierzaniem, przycinaniem i obróbką rzeczono drzewa na dziedzińcu Bastylii przez dni

dwadzieścia...”

– Przedni dąb! – rzekł król uderzając pięścią w drewnianą ścianę.

– „...Przy budowaniu tej klatki zużyto – czytał dalej Oliwier – dwieście dwadzieścia grubych sztab żelaznych, długich na dziewięć i na osiem stóp, płytki i zawiasy potrzebne do umocowania pomienionych sztab, które to żelazo waży trzy tysiące siedemset trzydzieści pięć funtów; okrom ośmiu wielkich pierścieni żelaznych służących do przytwierdzenia pomienionej klatki do podłogi, z klamrami i gwoździami, ważących razem dwieście osiemnaście funtów, nie licząc żelaza na kraty w oknach komnaty, w której ustawiono klatkę, żelaznych rygli na jej drzwiach i innych rzeczy...”

– Ileż to żelaza potrzeba, żeby poskromić jednego lekkoducha! – rzekł król.

– „...Co razem kosztuje trzysta siedemnaście grzywien, pięć solidów, siedem denarów”.

– Na mękę Pańską! – zawołał król.

Na to ulubione przez Ludwika XI zakłęcie ktoś jak gdyby przebudził się we wnętrzu klatki; usłyszano brzęk łańcuchów po podłodze i słaby głos, który wydawał się wychodzić z grobu:

– Miłościwy panie! Miłościwy panie! Łaski! Nie było widać człowieka, który tak przemówił.

– Trzysta siedemnaście grzywien, pięć solidów, siedem denarów! – powtórzył Ludwik XI.

Żaloszny głos, który wydobył się z klatki, przejął chłodem wszystkich obecnych, nawet i samego mistrza Oliwiera. Tylko król miał taką minę, jakby nic nie usłyszał. Na jego skinienie mistrz Oliwier zabrał się znów do czytania, a monarcha najspokojniej w świecie dalej oglądał klatkę.

– „...Okrom tego murarzowi, który przewiercił otwory do wstawienia żelaznych krat w okna i poprawił podłogę w sali, gdzie stoi klatka, gdyż podłoga nie mogłaby tej klatki udźwignąć dla jej ciężaru, wypłacono dwadzieścia siedem grzywien czternaście solidów paryskich”.

Głos znów zajęczał:

– Łaski, najjaśniejszy panie! Przysięgam wam, że to kardynał Angers zdradził, a nie ja!

– Murarz nieźle zdarł! – rzekł król. – Czytajcie dalej, Oliwierze.

Oliwier czytał dalej:

– „...Cieśli, za ramy okienne, listwy, stołek i inne rzeczy, dwadzieścia grzywien, dwa solidy paryskie”.

Głos jęczał w dalszym ciągu:

– Biada mi, najjaśniejszy panie! Czemu nie chcecie mnie wysłuchać? Przysięgam, że to nie ja napisałem do pana Guyenne, lecz kardynał Balue.

– Cieśla drogo wziął – zauważył król. – To wszystko?

– Nie, najjaśniejszy panie – „...szklarzowi, za szyby w tejże sali, czterdzieści sześć solidów osiem denarów paryskich”.

– Zlitujcie się, najjaśniejszy panie! Czy nie dosyć że cały mój majątek rozdano sędziom, że moją zastawę oddano panu de Torcy, moją bibliotekę mistrzowi Piotrowi Doriolle, moje kobierce gubernatorowi Roussillon? Jestem niewinny! Tuż czternaście lat trzęsę się z zimna w żelaznej klatce. Zmiłuj się, najjaśniejszy panie! Bóg ci to policzy w niebie.

– Mistrzu Oliwierze – rzekł król – ile to wynosi razem?

– Trzysta sześćdziesiąt siedem grzywien, osiem solidów, trzy paryskie denary.

– Matko Boska! – zawołał król. – Straszliwie kosztowna klatka!

Wyrwał rachunki z rąk Oliwiera i zaczął sam obliczać na palcach, spoglądając kolejno to na rejestr, to na klatkę. Tymczasem usłyszano szlochanie więźnia. W mroku brzmiało ono posepnie, obecni spojrzeli po sobie i twarze im pobladły.

– Czternaście lat, najjaśniejszy panie! Już czternaście lat! Od kwietnia 1469 roku! W imię Przenajświętszej Matki Bożej, najjaśniejszy panie, racz mnie wysłuchać! Przez cały ten czas

rozkoszowałaś się ciepłem słońca. Czyż nigdy już, nędzny, nie zobaczę światła dziennego? Łaski, najjaśniejszy panie. Bądź miłosierny! Łaskawość to piękna cnota królów, tamująca potoki gniewu. Czyżby się wydawało waszej królewskiej mości, że w godzinie śmierci wielką jest pociechą dla króla myśl, że nigdy nikomu nie darował zniewagi? Zresztą, najjaśniejszy panie, ja wcale nie zdradziłem waszej królewskiej mości, to kardynał Angers. I mam u nóg bardzo ciężki łańcuch, zakończony żelazną kulą o wiele większej wagi niż się godzi. O, najjaśniejszy panie, zlituj się nade mną!

– Oliwierze – rzekł król potrząsając głową – widzę, że mi beczkę gipsu, wartości dwunastu solidów, liczą dwadzieścia. Poprawicie ten rachunek!

Obrócił się tyłem do klatki i zbierał się do wyjścia z sali. Nieszczęśliwy więzień poznał po oddalaniu się pochodni i hałasów, że król odchodzi.

– Najjaśniejszy panie! Najjaśniejszy panie! – krzyknął z rozpaczą.

Drzwi zamknęły się. Nic już nie widział, nic nie słyszał, prócz ochryplego głosu dozorczy, który śpiewał mu w samo ucho piosenkę:

Kardynał Balue Jan,
Tak wielu ziemiom pan,
Że nie widać ich kresu.
A imć biskup Verdun
Nie ma już swoich ziem,
Bo przepadły z kretesem.

Król w milczeniu wracał na górę do swej komnaty, a jego orszak postępował za nim, przerażony ostatnimi jękami skazańca. Nagle jego królewska mość zwrócił się do gubernatora Bastylii:

– Aha, właśnie – rzekł. – Czy nie było tam kogo w tej klatce?

– Dalibóg, był, najjaśniejszy panie! – odparł zdumiony tym pytaniem gubernator.

– A któż taki!

– Biskup Verdun.

Król wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek, lecz taką miał manię.

– Aha! – rzekł z naiwną miną, jakby dowiadywał się o tym po raz pierwszy Wilhelm de Harancourt, przyjaciel kardynała Balue! Pocziwina biskup!

Nim upłynęło kilka chwil, drzwi królewskiej komnatki otworzyły się i znów się zamknęły za pięcioma osobistościami, które czytelnik obejrzał na początku niniejszego rozdziału; powróciły na swoje miejsca, podjęły te same ciche rozmowy, przybrały te same postawy.

Podczas nieobecności króla położono na jego stole kilka depez. Sam osobiście przełamał pieczęcie, po czym przeczytał je szybko jedną po drugiej, skinął na „mistrza Oliwierza”, najwidoczniej pełniącego przy nim funkcję ministra, żeby wziął pióro, i nie informując go o treści depez, zaczął mu po cichu dyktować odpowiedzi, które dworzanie pisał w dość niewygodnej pozycji, klęcząc przy stole.

Wilhelm Rym przypatrywał się temu.

Król mówił tak cicho, że Flamandzycy mogli usłyszeć z tego, co dyktował za ledwie strzępy, urwane i niezbyt zrozumiałe, na przykład:

– ...Okolice żyzne wspierać handlem, jałowe – rękodziełem... Pokazać angielskim magnatom, że nasze cztery wielkie moździerze, Londyn, Brabant, Bourg-En-Bresse, Saint-Omer... Armaty sprawiły, że wojna jest teraz prowadzona rozsądniej... Do pana de Bressuire, przyjaciela naszego... Wojsk nie da się utrzymać bez kontrybucji... – O tak dalej.

Raz jeden podniósł głos:

– Na mękę Pańską! Jego miłość król Sycylii pieczętuje swoje listy złotym woskiem, niczym król Francji! Być może, źle czynimy pozwalając mu na to. Mój zacny krewniak burgundzki nikomu nie dawał herbu z czerwonym polem. Wielkość dynastii stoi nienaruszalnością przywilejów. Zanotuj to, kumie Oliwierze!

Drugi raz rzekł:

– Ho, ho! Gruby list! Czegóż to żąda od nas brat nasz cesarz? – I przebiegł oczyma epistołę, przerywając sobie wykrzyknikami: – Zapewne! Cesarstwo niemieckie jest tak wielkie i potężne, że ledwie w to można uwierzyć! Ale my nie zapominamy o starym przysłowiu: Najpiękniejszym hrabstwem Flandria, najpiękniejszym księstwem Mediolan, najpiękniejszym królestwem – Francja. – Czyż nie tak, mości panowie Flamandczycy?

Tym razem skłonił się nie tylko Wilhelm Rym, lecz i Kopenol. Patriotyzm półczosznika został połączony.

Ostatnia depesza sprawiła, że Ludwik XI zmarszczył brwi.

– Co to jest? – krzyknął – skargi i żale na nasze garnizony w Pikardii! Oliwierze, piszcie jak najspieszniej do imć pana marszałka de Rouault... Że dyscyplina rozluźniła się... Że konnica, szlachta z pospolitego ruszenia, wolni łucznicy i szwajcarzy wyrządzają niezliczone krzywdy mieszkańcom... Że żołnierze, nie zadowolając się dobrem zastanym w chatach kmieci, zmuszają ich kijami i dzidami do przywożenia im z miast wina, ryby, przypraw korzennych i innych zbytkownych rzeczy... Że król jegomość wie o tym... Że musimy chronić nasz lud od krzywdy, kradzieży i łupiestwa... Że taka jest nasza wola, na Najświętszą! Pannę!... Że poza tym zgoła nie życzymy sobie, by pierwszy lepszy grajek, cyrulik czy pacholek zbrojny przyodziewał się jak księżę w aksamity, jedwabie i złote pierścienie... Że taka próżność jest Bogu niemiała... Że my, którzy jesteśmy szlachcicem, komentujemy się kaftanem z sukna po szesnaście solidów za łokieć paryski. ... Że ichmościowie ciury również na tym poprzestać mogą... Co polecić i nakazać należy... Do pana de Rouault, przyjaciela naszego... Dobrze!

Dyktował ten list głośno, twardym tonem, urywanymi zdaniami. Kiedy kończył, drzwi otwarły się przepuszczając jakąś nową osobę, która wpadła, przerażona do komnaty krzycząc:

– Najjaśniejszy panie! Najjaśniejszy panie! Rebelia pospólstwa w Paryżu! Poważne oblicze Ludwika XI nachmurzyło się; lecz to widoczne wzburzenie przeszło jak błyskawica. Opanował się i rzekł ze spokojną surowością:

– Czy nie zbyt raptownie wchodzicie, kumie Jakubie?

– Najjaśniejszy panie! Najjaśniejszy panie! Rebelia! – powtórzył zadyszany kum Jakub.

Król, który był powstał, silnie ujął go za ramię i rzucając z ukosa spojrzenie na Flamandczyków, z hamowanym gniewem rzekł mu na ucho tak, że on jeden tylko mógł usłyszeć:

– Milcz! Albo mów cicho!

Nowo przybyły zrozumiał i zaczął mu opowiadać szeptem coś bardzo przerażającego, czego król wysłuchiwał spokojnie. Wilhelm Rym zaś skierował tymczasem uwagę Kopenola na twarz i strój nowo przybyłego, na jego podbity futrem kaptur, *caputia fourrata*, na jego krótki płaszcz, *epitogia curta*, na jego suknię z czarnego aksamitu, zdradzającą, że jest to jeden z prezydentów Izby Obrachunkowej.

Ledwie osobistość ta zdążyła szepnąć kilka słów. Ludwik XI, parsknąwszy śmiechem, zawołał:

– Naprawdę! Mówcież głośno, kumie Coictier! Czemuż to tak cicho mówicie? Wie Najświętsza Panna, że nie mamy nic do ukrywania przed naszymi dobrymi flamandzkimi przyjaciółmi.

– Ależ, najjaśniejszy panie...

– Mówcie głośno!

„Kum Coictier” oniemiał ze zdziwienia.

– A więc – rzekł król – mówcie, ruszyło się więc pospólstwo w naszym pocziwym mieście Paryżu?

– Tak, najjaśniejszy panie.

– I ta rebelia kieruje się, jak powiadacie, przeciwko imć bajliwowi Pałacu Sprawiedliwości?

– Tak można sądzić – rzekł „kum”, który jeszcze się jąkał, oszołomiony nagłą odmianą, jaka się dokonała w umyśle króla.

Ludwik XI pytał dalej:

– Gdzie straż napotkały tłum?

– Na drodze z dzielnicy żebraczej do mostu Wymiany. Spotkałem się z nim osobiście, kiedym szedł tutaj, posłuszny rozkazowi waszej królewskiej mości. Słyszałem, jak ktoś wrzeszczał: „Precz z bajliwem Pałacu!”

– O cóż żywią oni urazę do bajliwa?

– O! – rzekł kum Jakub – przecież bajliw jest ich panem.

– Prawda.

– Tak, najjaśniejszy panie. To włóczędzy z Dziedzińca Cudów. Od dawna już skarżą się na bajliwa, którego są wasalami. Nie chcą uznać ani jego sądów, ani jego prawa do podatku drogowego.

– Więc to tak! – odparł król z uśmiechem zadowolenia, które daremnie usiłował ukryć.

– We wszystkich petycjach do Sądu Najwyższego – ciągnął dalej kum Jakub utrzymują oni, że mają tylko dwu panów: waszą królewską mość i swego Boga którym, myślę, jest sam diabeł.

– Tak! Tak! – rzekł król.

Zacierał ręce i śmiał się tym wewnętrznym śmiechem, który rozpromienia twarz; nie mógł ukryć swej radości, choć chwilami próbował nadać stosowny wyraz swemu obliczu. Nikt nie rozumiał, o co idzie, nawet sam „mistrz Oliwier”. Król pomilczał chwilę z miną zamyśloną, ale zadowoloną.

– Dużo ich? – zapytał nagle.

– O tak, najjaśniejszy panie! – odparł kum Jakub.

– Ile?

– Najmniej sześć tysięcy.

Król nie potrafił powstrzymać się od powiedzenia: „To dobrze!” Po czym dorzucił:

– Uzbrojeni?

– W kosy, piki, kusze, motyki. W niebezpieczną broń wszelakiego rodzaju. Król nie wydawał się wcale zaniepokojony tym wyliczeniem. Kum Jakub uznał, że należy dodać jeszcze:

– Jeśli wasza królewska mość nie pošle rychłej pomocy, bajliw będzie zgubiony.

– Poślemy – rzekł król z udaną powagą. – Dobrze! Poślemy niechybnie. Pan bajliw jest przyjacielem naszym. Sześć tysięcy! Rezulutni hultaje! Co za śmiałość! I wielce nas ona gniewa. Ale tej nocy mało mamy ludzi przy naszej osobie. Będzie na to czas jutro rano.

Kum Jakub zawołał:

– Natychmiast, najjaśniejszy panie! Do jutra pałac bajliwa zostanie dwadzieścia razy spłądrowany, prawo lenne pogwałcone i bajliw powieszony. Na Boga, najjaśniejszy panie, pošlij pomoc przed ranem!

Król spojrzał mu w twarz.

– Powiedziałem, że jutro rano.

Było to jedno z tych spojrzeń, na które nie ma odpowiedzi.

Po chwili milczenia Ludwik XI znów odezwał się:

– Kumie Jakubie, powinniście to wiedzieć. Jaka była... – poprawił się – jaka jest jurysdykcja lenna bajliwa?

– Najjaśniejszy panie, bajliw Pałacu Sprawiedliwości ma w swojej jurysdykcji ulice od Maglarskiej po Zielarską, plac Św. Michała i miejsce zwane pospolicie Murowankami, położone koło kościoła Matki Boskiej Polnej (tu Ludwik XI uchylił kapelusza), które to dwory są w liczbie trzynastu, oraz Dziedziniec Cudów, oraz szpital zakaźny zwany Podmiejskim, oraz cały gościniec, który zaczyna się przy tym szpitalu, a kończy przy bramie Św. Jakuba. We wszystkich tych miejscach ma on prawo pobierania drogowego, jest sędzią i udziałnym panem.

– Fiu! Fiu! – rzekł król drapiąc się prawą ręką w lewe ucho. – Ładny kawałek mojego miasta! I pan bajliw był królem tego wszystkiego! – Tym razem nie powściągnął się. Mówił dalej, w zamyśleniu, jakby do siebie samego: – Pięknie, panie bajliwie! Trzymaliście w zębach śliczny kęs naszego Paryża.

Nagle wybuchnął:

– Na mękę Pańską! Cóż to znów za ludzie roszczą sobie prawa do pobierania czynszów, do tytułu sędziów i panów w naszych włościach? Kazać sobie płacić czynsze z każdego kawałeczka pola? Mają swoje sądy i swoich katów dla naszego ludu u każdego rozstają? Jak Grek wierzył, że ma tylu bogów, ile jest źródeł, a Pers, że ma ich tylu, ile widzi gwiazd – Francuz tylu sobie liczy królów, ile widzi szubienic! Do licha, zła to rzecz, nie podoba mi się taki bałagan! Chciałbym wiedzieć, czy to z łaski bożej istnieje w Paryżu inny pan lenny prócz króla, inny sad prócz naszego parlamentu, inny prócz nas cesarz w tym cesarstwie. Na zbawienie mej duszy! Musi nadejść dzień, w którym we Francji będzie jeden tylko król, jeden władca, jeden sędzia, jeden karzący miecz – jak jeden tylko Bóg jest w raju.

Znów uchylił kapelusza i dalej mówił w zamyśleniu, z takim wyrazem twarzy i takim tonem, jak myśliwy co szczuje i spuszcza ze smyczy swoje gończe psy:

– Dobrze, mój ludzie! Śmiało! Skrusz tych fałszywych panów! Zrób, co do ciebie należy! Bierz go! Bierz go! Łup ich! Wieszaj ich! Płądruj ich mienie!... O, chcecie być królami, wielmożni panowie? Nuże, naprzód, mój ludzie!

Tu przerwał nagle, zagryzł wargi, jakby chciał przytrzymać myśl, która mu się wymknęła w połowie, spojrzał swym przenikliwym okiem po kolei na każdą z pięciu otaczających go osób i schwyciwszy raptem w obie ręce kapelusz, popatrzył weń i rzekł mu:

– O, spaliłbym ciebie, gdybyś wiedział, co jest w mojej głowie!

Po czym, znów wodząc dookoła czujnym i niespokojnym wzrokiem lisa wracającego chyłkiem do swej nory, rzekł:

– Trudna rada! Poślemy pomoc panu bajliwowi. Na nieszczęście mamy tu w tej chwili za mało wojska, żeby tak licznemu motłochowi stawić czoło. Trzeba poczekać do jutra. Jutro przywróci się porządek w Cité i powiesi bez pardonu wszystko, co w rękę wpadnie.

– A właśnie, najjaśniejszy panie! – rzekł kum Coictier; – Zapomniałem w pierwszej trwodze... straż ujęła dwu maruderów z bandy. Jeśli wasza królewska mość zechce obejrzyć tych ludzi, są tutaj.

– Czy ja zechcę ich obejrzyć! – krzyknął król. – Jakże to? Na mękę Pańską! Zapominacie o podobnych rzeczach! Biegnij czym prędzej, Oliwierze, przyprowadź ich!

Mistrz Oliwier wyszedł i w chwilę później powrócił z dwoma jeńcami, których otaczali łucznicy ze straży. Pierwszy miał wielką gębę idioty, zapijaczoną i zdziwioną. Był odziany w łachmany i szedł uginając kolana i powłócząc nogą, drugi był postacią bladą i uśmiechniętą, a czytelnikowi już znaną.

Król przez chwilę przypatrywał się im bez słowa, po czym zagadnął nagle pierwszego:

– Jak się zwiesz?

– Gieffroy Pincebourde.

– Twoje zajęcie?

– Żebrak.

– Po co brałeś udział w tej karygodnej rebelii?

Żebrak poruszył ramionami i tępo patrzył na króla. Była to jedna z tych źle przystosowanych głów, w których inteligencja ma pomieszczenie równie wygodne, co światło pod gasidłem.

– Nie wiem... – powiedział. – Wszyscy szli, poszedłem i ja.

– A czy aby nie mieliście zamiaru napaść i złupić waszego pana, bajliwa Pałacu Sprawiedliwości?

– Wiem, że coś komuś mieliśmy wziąć. To wszystko.

Jeden z żołnierzy pokazał królowi nóż ogrodniczy, który odebrał był żebrakowi.

– Poznajesz tę broń? – zapytał król.

– Tak, to mój nóż. Jestem winogradnikiem.

– A tego człowieka, twego towarzysza, poznajesz? – dodał Ludwik XI wskazując na drugiego więźnia.

– Nie. Nie znam go.

– Dość! – rzekł król. I skinął palcem na milczącą postać, nieruchomo stojącą przy drzwiach, którą polecaliśmy już uwadze czytelnika, dodał:

– Kumie Tristanie, zabierz go sobie!

Tristan l’Hermite skłonił się. Cichym głosem wydał rozkaz dwu łucznikom, a ci wyprowadzili biednego żebraka.

Król tymczasem zbliżył się do drugiego więźnia, z którego pot lał się ciurkiem.

– Twoje imię?

– Piotr Gringoire, najjaśniejszy panie.

– Twój zawód?

– Filozof, najjaśniejszy panie.

– Jak śmiesz pozwalać sobie, hultaju, na branie udziału w napadzie na naszego przyjaciela, imię pana bajliwa Pałacu Sprawiedliwości, i co masz do powiedzenia w sprawie rebelii pospólstwa?

– Nie brałem w niej udziału, najjaśniejszy panie.

– Gadaj zdrów! Rozbójniku! Alboż nie ujęli cię strażnicy w tej łajdackiej kompanii?

– Nie, najjaśniejszy panie, zaszła tu pomyłka. Układam tragedie. Najjaśniejszy panie, błagam waszą królewską mość, by mnie raczył wysłuchać! Jestem poetą. Ludzi mego zawodu melancholia skłania do nocnych wędrówek po ulicach. Przechodziłem tamtędy dzisiejszego wieczora. To zupełny przypadek. Ujęto mnie niesłusznie; jestem bez winy w tej rebelii. Wasza królewska mość widzi, że żebrak mnie nie zna. Zaklinam waszą królewską mość!

– Przestań gadać! – rzekł król między dwoma łykami ziółek. – W głowie nam trzeszczy.

Tristan l’Hermite zbliżył się i wskazując palcem na Gringoire’a zapytał:

– Najjaśniejszy panie, czy i tego też można powiesić?

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział.

– Phi! – odparł niedbale król – nie widzę przeszkód.

– A ja widzę wiele przeszkód! – rzekł Gringoire.

Nasz filozof był w tej chwili zieleńszy od oliwki. Po chłodnym i obojętnym tonie króla poznał, że może znaleźć ratunek tylko w czymś niesłychanie patetycznym i rzucił się Ludwikowi XI do nóg, wołając z rozpaczliwą gestykulacją:

– Najjaśniejszy panie, niech mnie wasza królewska mość raczy wysłuchać! Najjaśniejszy panie, nie raż swym gromem czegoś tak lichego jak ja! Wielki piorun boży nie uderza w główkę

kapusty. Najjaśniejszy panie, jesteś dostojnym, wszechpotężnym monarchą. Zlituj się nad biednym porządnym człowiekiem, który mniej jest zdolny do podsycania buntu niż sopel lodu do wykrzesania z siebie iskry. Najmiłociwszy Panie! Najmiłociwszy Panie, dobroć jest cnotą lwów i królów. Niestety, surowość tylko odstrasza umysły; porywce podmuchy wiatru nie zedrą płaszcz z przechodnia, a słońce, pomalutku działając swymi promieniami, rozgrzewa go wreszcie tak, że się rozbierze do koszuli. Wy, najjaśniejszy panie, jesteście słońcem! Zapewniam cię, mój wszechmocny królu i władco, że nie jestem z cechu żebraków, złodziei i buntowników. Rewolty i rozboje nie mieszczą się w rydwanie Apollina. Ja nie będę rzucał się w te chmury, z których wybucha zgielek rokoszów. Jestem wiernym wasalem waszej królewskiej mości. Dobry wasal winien być równie dbały o chwałę swego króla co małżonka o honor żony, co syn o miłość ojca; wszystkie swoje siły oddać winien dla dobra jego domu, dla wzrostu jego potęgi. Wszelka inna namiętność, która by nim zawładnęła, byłaby zdrożnym szaleństwem. Oto moje maksymy dotyczące spraw państwowych. Najjaśniejszy panie! Nie sądź więc wedle mego odzienia wytartego na łokciach, że jestem buntownik i rabuś. Jeśli darujesz mi, najjaśniejszy panie, wytrę sobie i kolana, rankiem i wieczorem modląc się do Boga o twoje zdrowie. Niestety, nie jestem nadzwyczajnie bogaty, to prawda. Jestem nawet raczej ubogi, lecz bynajmniej nie występny z tej przyczyny. To nie moja wina. Każdy wie, że wielkich bogactw nie czerpie się z literatury i że ci, co oddają życie literaturze, nie zawsze mają zimną ogień na kominie. Prawnicy wybierają sobie całe ziarno, innym naukowym profesjom tylko słomę zostawiając. Istnieje aż czternaście bardzo znakomych przypowieści o dziurawym płaszczu filozofa. O najjaśniejszy panie, łaskawość to jedyne światło, które rozświetlić potrafi wnętrze wielkiej duszy. Łaskawość przyświeca wszystkim innym cnotom. Bez niej są one jak ślepy po omacku szukający Boga. Miłosierdzie, które jest tym samym co łaskawość, tworzy miłość poddanych, a ona jest najpotężniejszą strażą przy osobie księcia. Cóż ci szkodzi, tobie, majestatowi, od którego ślepną oczy, że będzie na świecie o jednego biedaka więcej? O jednego biednego, niewinnego filozofa, ledwie zipiącego w mrokach niedoli, z pustą sakiewką stukającą o pusty brzuch? Wreszcie, najjaśniejszy panie, jestem literatem. Wielcy królowie dodają perłę do swojej korony popierając literaturę. Herkules nie gardził tytułem przewodnika Muz. Maciej Korwin opiekował się Janem de Monroyal, ozdobą matematyków. Otóż wieszanie literatów nie jest dobrym sposobem popierania literatury. Cóż za plama byłaby na imieniu Aleksandra, gdyby kazał powiesić Arystotelesa! Nie byłaby to zgoła upiększająca muszka na obliczu jego reputacji, lecz złośliwy szpecący wrzód! Najjaśniejszy panie, ułożyłem wcale udatny poemat na cześć zaślubin księżniczki flandryjskiej z jaśnie oświeconym delfinem. Nie tak postępuje podżegacz do rebelii! Wasza królewska mość sam widzi, że nie żaden gryziopiórek, że celowałem w nauki i że mam wiele wrodzonej elokwencji. Łaski, najjaśniejszy panie! Czyniąc to wyświadczasz grzeczność Najjaśniejszej Marii Pannie i przysięgam ci, że bardzo przeraża mnie myśl o powieszeniu.

Mówiąc tak, zrozpaczony Gringoire całował królewskie pantofle, a Wilhelm Rym mówił po cichu do Kopenola:

– Dobrze robi, że się czołga po ziemi. Królowie są jak Jowisz Kreteński; mają uszy w nogach.

Pończosznik zaś, nie przejąwszy się Jowiszem Kreteńskim, odpowiedział z pogardliwym uśmiechem wpatrując się w Gringoire'a:

– O tak, tak samo było. Zdaje mi się, że słyszę, jak mnie błaga o łaskę kanclerz Hugonet.

Gringoire zatrzymał się wreszcie, bo mu tchu zabrakło, i drżąc podniósł oczy na króla, który paznokciem zdrapywał ze spodni płamę na kolanie, potem jego królewska mość zaczął pić rumianek z pucharu. Nie wymówił przy tym ani słowa i milczenie króla było dla Gringoire'a torturą. Ludwik spojrział nań wreszcie.

– Cóż za straszny pyskacz! – rzekł.

Po czym odwracając się w stronę Tristana l’Hermite:

– A, niech tam, puśćcie go!

Gringoire aż usiadł, oszołomiony radością.

– Na wolność! – warknął Tristan. – A czy wasza królewska mość nie wolałby potrzymać go trochę w klatce?

– Kumie – odparł Ludwik XI – czy myślisz, że to na takie ptaszki każemy sposobić klatki za trzysta sześćdziesiąt siedem grzywien, osiem solidów i trzy denary? Puszczaj mi natychmiast tego zbereźnika (Ludwik XI lubował się w tym słowie, które razem z „męką Pańską” stanowiło cały zapas jego żartów), daj mu tylko szturchańca na drogę.

– Uff! – zawołał Gringoire. – Oto wielki król.

I bojąc się zmiany rozkazu, rzucił się ku drzwiom, które Tristan otworzył przed nim dość niechętnie. Żołnierze wyszli razem z nim nie szczedząc mu szturchańców, Gringoire zniósł to, jak przystało na filozofa-stoika.

Odkąd nadeszła wieść o buncie przeciwko bajliwowi, dobry humor króla ujawniał się we wszystkim. Ta niecodzienna łaskawość była nie najbliższą jego oznaką. Tristan l’Hermite stał w swoim kącie z ponurą miną psa, który zobaczył mięso, ale go nie dostał.

Król tymczasem wesoło wystukiwał palcami pontodemarskiego marsza na poręczach swego krzesła. Był to monarcha skryty, lecz o wiele lepiej umiejący taić troski niż radości. Te zewnętrzne objawy radości przy każdej dobrej nowinie, posuwały się niekiedy bardzo daleko: a więc, przy śmierci Karola Śmiałego aż do ofiarowania srebrnej balustrady Św. Marcinowi w Tours; przy wstąpieniu na tron zaś – aż do zapomnienia, że należałoby wyprawić pogrzeb ojcu.

– Jakże więc, najjaśniejszy panie – zawołał nagle Jakub Coicier – jak jest z tym ostrym atakiem choroby, dla którego wasza królewska mość polecił mnie wezwać?

– O! – rzekł król – naprawdę, ogromnie cierpię, mój kumie. W uszach mi dzwoni i ogniste grabie rozdzierają mi pierś.

Coictier ujął królewską rękę i z miną wtajemniczonego zabrał się do badania pulsu.

– Spójrz, Kopenolu! – rzekł cicho Wilhelm Rym. – Oto go widzisz między Coictierem i Tristanem. To cały jego dwór. Lekarz dla niego, a kat dla innych.

Coictier trzymając króla za puls przybierał coraz to bardziej zatroskany wyraz twarzy. Ludwik XI przyglądał mu się z niepokojem. Coictier posepniał w oczach. Jedyłą dzierzawą tego zacnego człowieka była królewska choroba, więc ciągnął z niej, ile mógł.

– O... – mruknął wreszcie – to rzeczywiście poważne.

– Naprawdę? – rzekł zaniepokojony król.

– *Pulsus creber, anhelans, crepitans, irregularis* – ciągnął dalej lekarz.

– Na mękę Pańską!

– To może w trzy dni zabić człowieka.

– Matko Boska! – krzyknął król. – A lekarstwo, kumie?

– Zastanawiam się, najjaśniejszy panie.

Kazał Ludwikowi XI pokazać język, pokiwał głową, skrzywił się i wśród wszystkich tych ceregieli nagle rzekł:

– Dalibóg, najjaśniejszy panie, muszę wam nadmienić, że wakuje urząd podskarbiego w koronnych dobrach i że mam siostrzeńca.

– Daję podskarbiostwo twojemu siostrzeńcowi, kumie Jakubie – odpowiedział król – ale wyciągnij mi ten ogień z piersi.

– Skoro wasza królewska mość jest tak łaskawy – ciągnął dalej lekarz – nie odmówi mi chyba odrobiny pomocy w budowie mego domu przy ulicy Św. Andrzeja pod Łukami.

– Hm... – rzekł król.

– Wysuplałem się z pieniędzy – ciągnął doktor – a naprawdę szkoda by było, żeby dom nie miał dachu; nie o dom chodzi, bo jest skromniutki, mieszczkański, ale o malowidła Jana Fourbault, które upiększają jego sufity. Jest tam Diana fruująca w powietrzu, tak przedniej roboty, taka milutka, taka delikatna, tak wyśmienita w ruchu, tak ładnie uczesana i z półksiężycem we włosach, o płci tak białej, że pokusy budzi w tych, którzy przyglądają się jej nazbyt ciekawie. Jest również Cerera. Także bardzo piękna bogini. Siedzi na snopie zboża, a na głowie ma gustowny wieniec z kłosów przeplatanych salsefią i innymi kwiatami. Nigdzie nie można zobaczyć czegoś tak rozkosznego jak jej oczy, czegoś tak krągłego jak jej nóżki, czegoś tak szlachetnego jak wyraz jej lic i lepiej udrapowanego niż jej spódnica. Jest to jedna z najniewinniejszych i najdoskonalszych piękności, jakie stworzył pędzel malarza.

– Kacie! – mruknął Ludwik XI – do czego zmierzasz?

– Trzeba by przykryć dachem te malowidła, najjaśniejszy panie, a choć to taka błahostka, zabrakło mi pieniędzy.

– Ile trzeba na ten twój dach?

– No... dach miedziany, malowany i złożony, najmniej dwa tysiące grzywien.

– A! morderca! – krzyknął król. – Każdy ząb, który mi wyrywasz, jest diamentowy.

– Dostanę na dach? – zapytał Coictier.

– Tak, i idź do diabła, ale wylecz mnie!

Jakub Coictier uklonił się głęboko i rzekł:

– Uratuje was, najjaśniejszy panie, środek ściągający. Przyłożymy wam do krzyżów duży plaster z woskowego balsamu, cebrowej glinki, białka, oliwy i octu. W dalszym ciągu pić będziecie rumianek i ręczę za wyleczenie waszej królewskiej mości.

Płomień świecy niejednego przyciąga komara. Widząc króla w łaskawym usposobieniu i osądziwszy, że chwila jest odpowiednia, zbliżył się z kolei mistrz Oliwier.

– Najjaśniejszy panie...

– Co tam znowu? – rzekł Ludwik XI.

– Najjaśniejszy panie, wasza królewska mość wie, że Szymon Radin umarł

– Więc co?

– Bo to on był radcą królewskim przy skarbowym trybunale.

– Więc co?

– Jego urząd wakuje, najjaśniejszy panie.

Przy tych słowach z dumnego oblicza mistrza Oliwiera znikła arogancja ustępując miejsca uniżoności. Twarz dworaka ma w zapasie tylko te dwa wyrazy Król przenikliwie spojrział mu w oczy i rzekł sucho:

– Rozumiem.

Po czym tak się odezwał:

– Mistrzu Oliwierze, marszałek de Boucicaut mawiał tak: „Jak po dar, to do króla – jak po połów, to na morze.” Widzę, że podzielacie zdanie imć pana de Boucicaut. A teraz posłuchajcie! Pamięć mamy dobrą. W roku sześćdziesiątym ósmym zrobiliśmy was pokojowcem naszym; w roku sześćdziesiątym dziewiątym strażnikiem grodu przy moście Saint-Cloud z poborami w wysokości stu grzywien turskich (wyście żądali paryskich). W listopadzie siedemdziesiątego trzeciego roku dokumentem wydanym w Gergeaule mianowaliśmy was strażnikiem lasu Vincennes na miejsce Gilberta Acle, giermka; w roku siedemdziesiątym piątym – łowczym lasu Rouvray-lès-Saint-Cloud na miejsce Jakuba Le Maire; w roku siedemdziesiątym ósmym – naszym królewskim pismem z podwójną pieczęcią z zielonego wosku przyznaliśmy najmiłościwiej wam i małżonce waszej rentę dziesięciu grzywien paryskich z targowiska położonego przy szkole Saint-Germain; w roku siedemdziesiątym dziewiątym zrobiliśmy was

łowczym lasu Senart na miejsce biednego Jana Daiz; następnie – komendantem zamku Loches; następnie gubernatorem Saint-Quentin; następnie – komendantem mostu w Meulan, od którego wzięliście sobie tytuł hrabiego. Z pięciu solidów kary, jaką za golenie w dniu świąteczne płaci każdy balwierz, trzy solidy są dla was, a dla nas reszta. Zgodziliśmy się miłostwie, żebyście zmienili nazwisko wasze Le Mauvais, zbyt podobne do waszego oblicza. W roku siedemdziesiątym czwartym przyznaliśmy wam, ku wielkiemu niezadowoleniu naszej szlachty, herb w barwach tak pstrokatych, że macie oto pierś niczym paw. Na mękę Pańską! czyście się upili? Czyżby połów nie dość był obfity i cudowny? I czy się nie boicie, że wasza łódź mogłaby się wywrócić po dorzuceniu jeszcze jednego łososia! Pycha was gubi, kumie! Pysze zawsze depczą po piętach hańba i ruina. Rozważcie to sobie i siedźcie cicho!

Te słowa wypowiedziane surowo sprawiły, że na zawiedzioną fizjonomię mistrza Oliwiera znów powrócił wyraz bezczelności.

– Trudno! – mruknął niemal głośno. – Widać, że król jest dziś chory. Wszystko daje lekarzowi.

Ludwik XI, wcale nie rozgniewany tym wybrykiem dorzucił raczej łagodnie:

– Zaraz, zapomniałem jeszcze, że zrobiłem was moim ambasadorem w Gandawie przy księżnie Marii. Tak, mości panowie – dodał odwracając się do Flamandczyków – to właśnie on był ambasadorem! No, kumie – ciągnął zwracając się znów do Oliwiera – bez urazy, starzy z nas przyjaciele. Już bardzo późno. Skończyliśmy pracę. Ogol mnie!

Czytelnicy nie czekając na te słowa poznali zapewne już w „mistrzu Oliwierze” owego straszliwego Figara, którego Opatrzność, ta wielka twórczym dramatów, wplotła tak misternie w długą i krwawą komedię panowania Ludwika XI Nie będziemy się tutaj zajmowali szczegółowiej tą niezwykłą osobistością. Ów królewski balwierz miał trzy nazwiska. Na dworze grzecznie nazywano go Olivier le Daim; wśród ludu – Olivier de Diable. Ale naprawdę nazywał się Olivier Le Mauvais.

Olivier Le Mauvais stał dalej, nieporuszony, obrażony na króla, i spoglądał z ukosa na Jakuba Coictier.

– Tak, tak... wszystko dla lekarza – pomrukiwał.

– A tak, dla lekarza – powtarzał z niecodzienną dobroduszością Ludwik XI. – Lekarz jest w większych łaskach niż ty. To proste! W jego rękach całe nasze ciało, w twoich – tylko broda. Nie bój się, mój biedny golibrodo, odbijesz sobie. A co byś powiedział i czym stałaby się twoja służba, gdybyśmy byli takim królem jak Chilperyk, który z przyzwyczajenia trzymał się jedną ręką za brodę? No, dalej, kumie, zabieraj się do swoich obowiązków, ogol mnie. Idź, przynieś, co ci potrzeba.

Olivier, widząc, że król postanowił się śmiać i że nawet rozgniewać go nie można, pomrukując poszedł spełnić rozkaz.

Król wstał, podszedł do okna i nagle, otwierając je, z niezwykłym wzburzeniem:

– O, tak! – zawołał i klasnął w dłonie. – Łuna na niebie nad Cité. To płonie pałac bajliwa. Tak, na pewno on! O, mój pocciwy ludu, pomagasz mi wreszcie w zniszczeniu magnatów!

I odwrócił się ku Flamandczykom:

– Mości panowie, chodźcie zobaczyć! Chyba to pożar tak się czerwieni?

Dwaj Gandawczycy zbliżyli się.

– Ogromny pożar – rzekł Wilhelm Rym.

– Ho! – dodał Kopenol, a oczy zabłyśły mu nagle – to przypomina mi spalenie rezydencji imię pana d’Hymbercourt. Widać się tam rozpętał wielki bunt.

– Tak sądzicie, mistrzu Kopenol? – spojrzenie Ludwika XI było niemal tak samo radosne jak spojrzenie pończoszniaka. – Prawda, że niełatwo będzie sobie z nim poradzić?

– Na krzyż Pański, najjaśniejszy panie! Wasza królewska moc wyszczerbiłby na nim niejedną chorągiew rycerską.

– O, ja to co innego – odparł król. – Gdybym zechciał...

Pończosznik odpowiedział śmiało:

– Jeśli ten bunt jest tym, czym mniemam, nadaremnie chcielibyście, najjaśniejszy panie.

– Kumie – rzekł Ludwik XI – moje dwie przyboczne chorągwie i jedna salwa z serpentyny wystarczą, żeby się rozprawić z tym zbuntowanym pospółstwem.

Pończosznik, niebaczny na znaki, które mu dawał Wilhelm Rym, postanowił Widocznie dotrzymać placu królowi.

– Najjaśniejszy panie. Szwajcarzy też byli pospółstwem. Książę Burgundzki był wielkim panem i kpił sobie z tej hołoty. W bitwie pod Grandson krzyczał: „Kanonierzy, ognia do tych kmiotków”. I zaklinał się na świętego Jerzego. Lecz wójt Scharnachtal runął na świętego księcia ze swoją maczugą i ze swoim ludem i w starciu z chłopstwem w bawolich skórkach lśniące wojsko burgundzkie rozprysło się, niby szyba uderzona kamieniem. Niemało tam poległo rycerzy zabitych przez chamów; a kasztelana z Guyon, największego pana Burgundii znaleziono na niedużej bagnistej łączce, gdzie zginął razem ze swoim koniem, wielkim siwkiem.

– Przyjacielu – odparł król – mówisz o bitwie. Tu chodzi o rokosz. I zrobię z nim porządek, skoro tylko spodoba mi się ściągnąć brwi.

Tamten odpowiedział obojętnie:

– To być może, najjaśniejszy panie. W takim razie znaczy, że godzina ludzi jeszcze nie nadeszła.

Wilhelm Rym uznał, że należy się wtrącić.

– Mistrzu Kopenol, mówicie do potężnego króla.

– Wiem o tym – poważnie odparł pończosznik.

– Nie przerywajcie mu, imć panie Rym, mój przyjacielu – rzekł król podobają mi się te szczerze słowa. Ojciec mój, Karol VII, mawiał, że prawda chorzeje. Ja sądziłem, że już umarła, i to bez spowiednika. Mistrz Kopenol dowiódł nam, że byłem w błędzie. – I poufale kładąc rękę na ramieniu Kopenola zaczął:

– Powiedzieliście więc, mistrzu Jakubie...

– Powiedziałem, najjaśniejszy panie, iż być może, macie słusność, że godzina ludu jeszcze u was nie nadeszła.

Ludwik XI spojrział nań swym przenikliwym okiem.

– A kiedy, mistrzu, nadejdzie ta godzina?

– Usłyszycie, jak wybije.

– A na jakimże to zegarze?

Kopenol ze swą spokojną i prostaczą swobodą podprowadził króla do okna:

– Posłuchajcie, najjaśniejszy panie! Jest tutaj baszta, strażnica, armaty, mieszczanie, żołnierze. Kiedy strażnica zahuczy, kiedy rykną armaty, kiedy baszta runie z ogromnym łoskotem, kiedy mieszczanie i żołnierze zawyją i skoczą sobie do gardła – wybije ta godzina.

Twarz Ludwika XI stała się posepna i zamyślona. Chwilę stał w milczeniu, potem lekko, tak jak się pięści grzbiet rumaka, poklepał dłonią gruby mur baszty.

– O, nie! – rzekł. – Niełatwo runiesz, prawda, moja ty poczciwa Bastylia?

I gwałtownym ruchem odwracając się w stronę hardego Flamandczyka spytał:

– Czy widzieliście kiedy bunt, mistrzu Jakubie?

– Robiłem bunty – rzekł pończosznik.

– A jak robicie bunt? – zapytał król.

– Ach, to wcale nie takie trudne – odpowiedział pończosznik. – Sposobów jest sto! Najpierw

trzeba, żeby ludzie w mieście byli niezadowoleni. Rzecz nie jest rzadka! Druga sprawa – to charakter mieszkańców. Nasi w Gandawie są skłonni do rokoszów. Zawsze kochają syna księcia, a nigdy samego księcia. No więc? przypuśćmy, jakiegoś ranka ktoś wchodzi do mojego warsztatu i tak powiada: „Ojcie Kopenol, to i tamto, księżna pani chce ratować swoich ministrów, wielki bajliw podwoił podatek od owocowych drzewek... albo jeszcze co innego. Co kto chce? Ja ciskam moją robotę, wychodzę z mojego warsztatu, idę na ulicę? i krzyczę: „Na pohybel!” Wszędzie znajdzie się jakaś porzucona beczka. Włożę na nią i mówię na cały głos to, co mi ślina na język przyniesie, to, co mi leży na sercu; a kiedy się jest z ludu, najjaśniejszy panie, to zawsze coś na sercu leży. Wtedy zbiegają się ludzie, krzyczą, biją w dzwony na trwogę, uzbrają się mieszczan rozbierając żołnierzy, ludzie z targowiska przyłączają się i idziemy! T tak będzie zawsze, dopóki istnieć będą panowie w pałacach, mieszczanie w miastach i wieśniacy po wsiach.

– A przeciw komuż to się tak buntujecie? – zapytał król. – Przeciwko waszym bajliwom? Przeciwko waszym wielmożom?

– Jak kiedy, różnie bywa. Czasami także i przeciw arcyksięciu.

Ludwik XI znowu usiadł i rzekł z uśmiechem:

– No, tutaj doszli dopiero do bajliwa.

W tej właśnie chwili powrócił Oliwier le Daim. Szło za nim dwóch paziów niosąc królewską gotownię; prócz nich – i to zdziwiło Ludwika XI – towarzyszyli mu starosta paryski i dowódca nocnej straży, którzy wydawali się czymś przestraszeni. Pamiętliwy balwierz również miał minę przestraszoną, lecz i zadowoloną pod powłoką strachu. On to odezwał się pierwszy:

– Najjaśniejszy panie, proszę waszą królewską mość o przebaczenie, że tak nieszczęśliwą przynoszę nowinę.

Król, odwracając się w pośpiechu, nogami krzesła rozdarł marę leżącą na podłodze.

– Co to znaczy?

– Najjaśniejszy panie – powtórzył Oliwier le Daim z niedobrym wyrazem twarzy człowieka, który się cieszy, że może zadać komuś dotkliwy cios – bunt pospólstwa nie w bajliwa mierzy.

– W kogóż więc?

– W was, najjaśniejszy panie.

Stary król podniósł się i stanął, wyprostowany jak młodzieniec.

– Tłumacz się jaśniej, Oliwierze, tłumacz się jaśniej. I dobrze pilnuj swojej głowy, kumie, bo ci przysięgam na Krzyż Św. Laudusa, że jeśli kłamiesz nam w tej godzinie, miecz, który odciął szyć imć pana de Luxembourg, nie tak bardzo się wyszczerbił, żeby nie mógł odciąć i twojej.

Strasliwa była to przysięga; Ludwik XI tylko dwa razy w życiu przysięgał na Krzyż Św. Laudusa. Oliwier otworzył usta, by odpowiedzieć:

– Najjaśniejszy panie...

– Na kolana! – przerwał mu gwałtownie król. – Tristanie, bacz na tego człowieka.

Oliwier ukląkł i rzekł chłodno!

– Najjaśniejszy panie, pewna czarownica została skazana na śmierć przez wasz najwyższy trybunał. Schroniła się w katedrze Marii Panny. Lud chce ją stamtąd zabrać przemocą. Imć pan starosta i imć pan dowódca straży, którzy przychodzą z miejsca zamieszek, mogą zaświadczyć, czy mówię prawdę. Lud oblega katedrę Marii Panny.

– Więc to tak! – rzekł król cichym głosem. Zbladł i trząsł się z gniewu. – Katedrę Marii Panny! Najświętszą Marię Pannę oblegają w jej katedrze, naszą Panią łaskawą! Wstań, Oliwierze! Masz słuszność! Daję ci urząd Szymona Radin! Masz słuszność! To we mnie mierzą. Czarownica jest pod opieką kościoła, kościół jest pod moją opieką. A ja sądziłem, że chodzi o bajliwa... Więc to przeciwko mnie!

Odmłodzony furją, zaczął chodzić wielkimi krokami. Nie śmiał się już, był straszny, chodził

tam i z powrotem po komnacie; lis zmienił się w hienę. Wydawało się, że w tej złości głos uwiązał mu w gardle; jego wargi poruszały się zacisnęły się jego chude pięści. Nagle podniósł głowę, zapadłe oko zapalało, a głos rozległ się jak surma bojowa:

– W pień wyciąć, Tristanie, w pień wyciąć hultajów! Dalej, Tristanie przyjacielu, bij! zabij!

Kiedy wybuch minął, usiadł i rzekł z zimną, hamowaną furją:

– Bywaj, Tristanie! Przy osobie naszej jest tutaj w tej twierdzy pięćdziesiąt włóczyń wicehrabiego de Gif, co razem czyni trzysta koni; weźmiecie je. Jest tu także kompania naszych przybocznych łuczników pana de Châteaupers, weźcie ją. Jesteście pierwszym marszałkiem dworu, macie swoją straż marszałkowską weźmiecie ją. W pałacu Saint-Pol znajdziecie czterdziestu łuczników z nowej straży jaśnie oświeconego delfina, weźcie ich. I z tym wszystkim pognacie pod katedrę! A, mości paryskie łyki, targnęliście się na koronę Francji, na świętość katedry Marii Panny, na spokój tej Rzeczypospolitej!... Rznij, Tristanie, rznij, żeby żaden z życiem nie uszedł, chyba że na Montfaucon!

Tristan skłonił się.

– Dobrze, najjaśniejszy panie. – Po chwili milczenia spytał jeszcze: – A co mam zrobić z czarownicą?

Król zamyślił się.

– Tak... – rzekł – czarownica! Panie d'Estouteville, co chciał z nią zrobić lud?

– Najjaśniejszy panie – odparł starosta Paryża – jeśli lud ruszył, żeby wywlec ją ze schronienia w katedrze, to mniemam, że go ta bezkarność oburza i że chce ją powiesić.

Król jak gdyby zastanowił się głęboko, po czym zwrócił się do Tristana l'Hermite:

– A więc, kumie, wyrznij lud i powieś czarownicę!

– Otóż to! – rzekł cichutko Rym do Kopenola – ukarać lud za to, że śmie żądać, i... zrobić to, czego żąda.

– Słucham, najjaśniejszy panie – odparł Tristan. – A jeśli czarownica jest jeszcze w katedrze, czy mam ją pojmać pomimo azylu?

– Na mękę Pańską! Azyl!... – rzekł król drapiąc się w ucho. – A jednak ta kobieta musi być powieszona.

Tu, jakby nagłą myślą tknięty, padł na kolana, zdjął kapelusz, położył go na krześle i wpatrując się pobożnie w jeden z ołowianych amuletów, którymi był on obwieszony, rzekł składając dłonie do modlitwy:

– O Matko Boska Paryska, moja wdzięczna patronko, przebacz mi! Tylko ten jeden, jedyny raz to uczynię. Trzeba ukarać tę zbrodniarkę. Zapewniam cię, Przenajświętsza Panienko, miłościwa Pani moja, że to czarownica, niegodna twojej miłosiernej opieki. Wiesz o tym. Panno Święta, że nieraz arcy-pobożni książęta łamali przywilej kościołów ku chwale bożej i dla dobra państwa. Święty Hugo, biskup Anglii, zezwolił królowi Edwardowi na pojmanie w twoim kościele czarnoksiężnika. Ludwik Święty, król Francji, mój pan, z takiej samej przyczyny naruszył świętość kościoła Św. Pawła, a jaśnie oświecony Alfons, syn króla Jerozolimy – samego kościoła Grobu Pańskiego. Przebacz mi więc tym razem, Matko Boska Paryska! Nie uczynię tego nigdy więcej i ofiaruję ci piękną figurę ze srebra, podobną do tej, którą dałem zeszłego roku Matce Boskiej z Écouys. Amen.

Przeżegnał się, wstał, przykrył głowę i rzekł do Tristana:

– Spieszcie się, kumie, weźcie ze sobą imię pana de Châteaupers! Kaźcie uderzyć w dzwony na trwogę! Wyrznicie pospólstwo! Powieście czarownicę! Tak rozkazuję! I chcę, żebyście osobiście dokonali egzekucji. Zdajcie mi z tego sprawę! Chodź, Oliwierze, nie położę się tej nocy. Ogol mnie.

Tristan l'Hermite skłonił się i wyszedł. Wówczas król pożegnał skinieniem Wilhelma Ryma i

Kopenola.

– Bogu was polecam, imć panowie Flamandzycy, przyjaciele nasi. Wypocznijcie nieco. Noc już późna, bliżej ranka niż wieczora.

Wyszli obaj. A kiedy gubernator Bastylji prowadził ich do przeznaczonych dla nich komnat, Kopenol tak się odezwał do Wilhelma Ryma:

– Hm! Sprzykrzył mi się ten kaszlący król! Widziałem pijanego Karola Burgundzkiego, nie był tak złośliwy jak chory Ludwik XI.

– Mistrzu Jakubie – odparł Rym – królowie mniej są okrutni po winie niż po rumianku.

VI

PAŁASZ I ZABAWA

Po wyjściu z Bastylji Gringoire popędził ulicą Św. Antoniego z szybkością konia, co umknął z uwięzi. Kiedy stanął przy bramie Baudoyer, skierował się wprost do kamiennego krzyża, który wznosił się w środku placu, jak gdyby dojrzał w ciemności postać mężczyzny w czarnej opończy z kapturem, siedzącego na stopniach krzyża.

– Czy to wy, mistrzu? – zapytał Gringoire.

Czarna postać podniosła się.

– Na śmierć i mękę Pańską! Gotujecie mnie na wolnym ogniu, Gringoire! Strażnik z wieży Św. Gerwazego odtrąbił w pół do drugiej po północy.

– O! – odparł Gringoire – to вина nie moja, lecz królewskiej straży. Cudem wyszedłem cało. Znów o mały włos, a byłbym wisiał. To moje przeznaczenie. Ale się to nie udało.

– Nic się wam nie udaje – rzekł tamten. – Chodźmy już! Znasz hasło?

– Wyobraźcie sobie, mistrzu, że widziałem króla. Od niego wracam. Ma barchanowe spodnie. Cóż to była za przygoda!

– O! Kądziel słów! Co mnie obchodzą twoje przygody? Znasz hasło żebraków?

– Znam. Bądźcie spokojni! „Pałasz i zabawa.”

– Dobrze! Inaczej nie przedostalibyśmy się do kościoła. Żebracy obstawili ulice. Na szczęście, zdaje się, że napotkali opór. Może jeszcze zdążymy.

– Tak, mistrzu! Ale jak wejdziemy do katedry?

– Mam klucz od wież.

– A jak z niej wyjdziemy?

– Za klasztorem jest furtka, wychodząca na Wygon, a stamtąd – na rzekę. Zabrałem klucz od tej furtki i uwiązałem tam łódź dzisiaj rano.

– O mały włos, a byłbym wisiał! – powtórzył Gringoire.

– E, prędzej, chodźmy! – rzekł tamten. Poszli szybko w kierunku Cité.

VII

CHÂTEAUPERS, NA ODSIECZ!

Może czytelnik pamięta, w jak krytycznym położeniu pozostawiliśmy Quasimodo. Dzielny głuchy, napastowany ze wszystkich stron, utracił, jeśli nie wszelką odwagę, to wszelką nadzieję uratowania, nie siebie (nie myślał o sobie), lecz Cyganki. Biegał jak szalony po galerii. Katedra Marii Panny już za chwilę miała wpaść w ręce żebraków. Nagłe potężny galop koni wypełnił sąsiednie ulice. Długi rząd pochodni i zwarta kolumna jeźdźców, co, popuściwszy cugli, pędzili z nastawionymi pikami, jak huragan wpadły na plac z wściekłym wrzaskiem: „Francja! Francja! Rżnij chamów! Châteaupers, na odsiecz! Starostwo! Starostwo!”

Przerażeni żebracy w jednej chwili zmienili front.

Quasimodo, który nic nie słyszał, zobaczył obnażone szpady, pochodnie, żelazne ostrza pik, całą tę jazdę, a na jej czele poznał kapitana Febusa. Zobaczył zamęt wśród żebraków, przerażenie jednych, niepokój najlepszych, i ta nieoczekiwana odsiecz tyle mu dodała siły, że zepchnął ze ściany kościoła pierwszych napastników, którzy już zaczęli przedostawać się na galerię.

Istotnie, to przybywało królewskie wojsko.

Żebracy opierali się dzielnie. Bronili się jak straceńcy. Zaatakowani z boku od ulicy Św. Piotra z Wołami, a z tyłu od ulicy Katedralnej przyparli do katedry Marii Panny, do której jeszcze szturmowali, a której bronił Quasimodo, byli równocześnie i osaczającymi, i osaczonymi. Znaleźli się w tym niezwykłym położeniu, w jakim później, w roku 1640, podczas słynnego oblężenia Turynu znalazł się między księciem Tomaszem Sabaudzkim, którego oblegał, a margrabią de Leganez, który go otoczył – hrabia Henryk d'Harcourt. „*Taurinum obsessor idem et obsessus*”, jak głosił napis na jego nagrobku.

Utarczka była zażarta. Wilczej skórce – psie zęby, jak powiada Parys Mathieu. Jazda królewska wśród której dzielnie stawał Febus de Châteaupers, nie oszczędzała nikogo, i ostrza szpad dobijały tych, którym udało się umknąć spod kopii. Żebracy licho uzbrojeni, kasałi jak wściekli. Mężczyźni, kobiety, dzieci rzucali się na zady i na piersi końskie i wczepiali się w nie, jak się czepiają koty, zębami i pazurami czterech łap. Inni pochodniami walili po twarzach tuczniaków. Jeszcze inni wbijali żelazne haki w szyje jeźdźców i ściągali ich z siodła, a tych, co spadli, rozszarpywali na kawałki. Szczególnie zaś wyróżniał się wśród nich jeden z szeroką, lśniącą kosą, który przez długi czas kosił końskie nogi. Był przerażający. Nucił coś pod nosem i bez ustanku machał swoją kosą. Po każdym takim machnięciu powstawał wokół niego wielki krąg odciętych członków. Posuwał się tak przez największy gąszcz jeźdźców powoli, kołysząc głową i oddychając miarowo, jak żniwiarz koszący łąk żyta. Był to Klopın Postraszgłupca. Powalił go strzał z rusznicy.

Tymczasem pootwierały się okiennice. Mieszkańcy okolicznych domów słysząc wojenne okrzyki królewskich żołnierzy przyłączyli się do utarczki i ze wszystkich pięter kule posypały się na żebraków. Dziedziniec katedralny był pełen gęstego dymu, który przecinały raz po raz ogniste wystrzały z muszkietów. Wśród dymu widać było niewyraźnie fasadę katedry i obdrapany Boży Dom, a w nim kilku wychudłych chorych, wyglądających przez okienka na poddaszu.

Wreszcie żebracy ustąpili. Zmogło ich znużenie, brak dobrej broni, zaskoczenie, strzelanina z okien, brawurowe natarcie królewskiej jazdy. Przełamali szyki napastników i zaczęli uciekać we wszystkie strony, pozostawiając ze sobą plac przed katedrą, usłany trupami poległych.

Kiedy Quasimodo, który ani na chwilę nie zaprzestawał walki, zobaczył tę ucieczkę, padł na

kolana i wznosił ręce do nieba; po czym, pijany radością, pobiegł, frunął z szybkością ptaka do tej celi, do której przystępu bronił tak nieustraszenie. Myślał teraz już tylko o jednym: żeby uklęknąć przed tą, której po raz wtóry uratował życie.

Kiedy wszedł do celi – była pusta.

Księga jedenasta

I

TRZEWICZEK

Kiedy żebracy osaczyli kościół, Esmeralda spała.

Niebawem wzmagający się wciąż zgiełk wokół katedry i niespokojny bek kózki, która się wcześniej od niej obudziła, wyrwały ją ze snu. Usiadła na pościeli, zaczęła nasłuchiwać, rozejrzała się, po czym, przerażona światłem i hałasem, wybiegła z celi i spojrzała. Widok placu, potwory kłębiące się w dole, zamieszanie tego nocnego szturm, wstrętny tłum, skaczący, niczym chmara żab i na wpół tylko widoczny w ciemności, rechotanie tej ochryplej ciżby, nieliczne czerwone pochodnie, które biegały i krzyżowały się nad tym mrokiem, niby błędne ogniki snujące się po zamglonej powierzchni bagniska, cała ta scena wydała się jej jakąś tajemniczą bitwą wydaną przez widma sabatu kamiennym potworom kościoła. Dziewczyna, od dzieciństwa przepojona przesadami cygańskiego plemienia, pomyślała w pierwszej chwili, że podpatrzyła jakieś nocne dziwadła odprawiające czary. Uciekła więc, przestraszona, i skryła się w celi, błagając swe legowisko o jakiś mniej koszmarny sen.

Powoli pierwsze opary strachu rozproszyły się; rosnący wciąż hałas i inne znaki, dawane przez rzeczywistość, sprawiły, że poczuła się osaczona nie przez widma, lecz przez istoty ludzkie. I wówczas lęk jej przestał wzrastać i inną przybrał postać. Pomyślała, że jest to chyba bunt pospółstwa, które chce ją wywlec z jej schronienia. Świadomość, że może znowu trzeba będzie umierać, stracić nadzieję i Febusa, którego wciąż widziała w jakiejś nieokreślonej przyszłości, własna bezgraniczna słabość, niemożność ucieczki, brak oparcia, opuszczenie, samotność – wszystkie te myśli, te i tysiące innych, przywały ją swym ciężarem. Padła na kolana, oparła głowę o pościel, zaplotła dłonie na głowie? wylękała i drżąca. I ta Cyganka, poganka, czcicielka bałwanów, zaczęła z płaczem błagać o ratunek chrześcijańskiego Boga i modlić się do Matki Boskiej, która jej dała schronienie w swym przybytku. Bo choćby człowiek w nic nie wierzyć zdarzają się w życiu chwile, kiedy wyznaje się tę wiarę, której świątynia stoi najbliżej.

Leżała tak dość długo, więcej drząc niż modląc się co prawda; dreszczem przejmował ją dech tego wściekłego motłochu, coraz to bliższy i bliższy; nie rozumiała, co znaczy ta rozpetana burza, nie wiedziała, co tam knuto, co czyniono, czego żądano, ale przeczuwała straszny koniec.

Wśród tej rozpaczki usłyszała nagle zbliżające się kroki. Odwróciła się. Dwu ludzi weszło do jej celi, jeden z latarnią w ręku. Krzyknęła słabo.

– Nie bój się! – rzekł głos, który wydawał się znajomy. – To ja!

– Kto... ja? – zapytała.

– Piotr Gringoire.

To imię dodało jej otuchy. Podniosła oczy i rzeczywiście poznała poetę. Obok niego stała jakaś postać, czarna, owinięta od stóp do głów płaszczem, dziwnie milcząca.

– O! – rzekł Gringoire tonem wymówki – Dżali poznała mnie wcześniej niż ty!

Rzeczywiście, kózka nie czekała, aż się Gringoire przedstawi. Zaledwie wszedł, zaczęła ocierać się czule o jego kolana, obsypując poetę pieszczotami i białą sierścią, bo właśnie liniąła. Gringoire odwzajemnił się jej pieszczotami.

– Kto jest z tobą? – rzekła cicho Cyganka.

– Bądź spokojna – odparł Gringoire – to jeden z moich przyjaciół.

I postawiwszy na posadzce latarkę, filozof kucnął i zawołał z entuzjazmem, ściskając Dżali w ramionach:

– Co to za wdzięczne stworzonko, niewątpliwie bardziej wyróżniające się czystością niż wzrostem, ale zmysłne, rozumne i uczone jak gramatyk! Jakże tam, Dżali, czy nie zapomniałaś jeszcze swoich sztuczek? Jak robi mistrz Charmolue?...

Czarny człowiek nie dał mu dokończyć. Podeszedł do Gringoire'a i silnie potrząsnął jego ramieniem. Gringoire podniósł się.

– Prawda! – powiedział – zapomniałem, że trzeba się spieszyć... Ale to jeszcze nie powód, mistrzu, żeby tak szturchać ludzi. Moje drogie, śliczne dziecię, twoje życie i życie Dżali jest w niebezpieczeństwie. Znów chcą was odbić i powiesić. Jesteśmy waszymi przyjaciółmi i przychodzimy po to, żeby was uratować. Chodźcie z nami!

– Czy to prawda? – zawołała wstrząśnięta.

– Tak, najprawdziwsza prawda! Chodźcie prędko!

– Dobrze, pójdę – szepnęła. – Ale dlaczego twój towarzysz nic nie mówi?

– Ach! – rzekł Gringoire – bo jego rodzice byli dziwakami i od urodzenia ma Już takie milczące usposobienie.

Musiała zadowolić się tym wyjaśnieniem. Gringoire wziął ją za rękę; jego towarzysz podniósł latarkę i ruszył przodem. Strach oszołomił dziewczynę. Pozwoliła się prowadzić. Koza poszła za nimi podskakując, tak uradowana Jawieniem się Gringoire'a, że co chwila się potykała, bo go rogami trącała w nogi.

– Oto jest życie! – powtarzał poeta, ilekroć omal się nie przewrócić! – Najczęściej nasi najlepsi przyjaciele są sprawcami naszego upadku.

Szybko zeszli po schodach wieży, przeszli przez kościół – ciemny, pusty, rozbrzmiewający zgiełkiem, co tworzyło przeraźliwy kontrast – i przez Czerwoną Furtę wyszli na dziedziniec klasztorny. Klasztor opustoszał, kanonicy uciekli do Pałacu biskupiego, żeby tam wspólnie się modlić; dziedziniec był pusty, nieliczni słudzy pochowali się, przerażeni, w najciemniejszych kątach. Skierowali się ku niewielkiej furtce, prowadzącej z dziedzińca na Wygon. Człowiek w czerni otworzył ją własnym kluczem. Czytelnicy wiedzą, że Wygon to płaski cypel zamknięty murem od strony Cité i należący do kapituły katedry Marii Panny tworzy on za kościołem wschodni kraniec wyspy. Nie było tu żywej duszy. Hałas nieco osłabł. Zgiełk szturm i wrzaski żebraków docierały tu już jakby przytłumione i mniej wyraźne. Świeży wiatr wiejący z prądem rzeki poruszał liśćmi jedyne drzewa rosnącego na samym skraju Wygonu; słyszeli ich szelest. Jednak wciąż jeszcze byli blisko niebezpieczeństwa. Gmachami stojącymi najbliżej były: pałac biskupi i kościół. W pałacu biskupim panowało najwidoczniej wielkie zamieszanie. Jego ciemną bryłę przecinały światła biegające od okna do okna; tak samo po spaleniu papieru powstaje z popiołu ciemny gmach, po którym w najdziwaczniejszy sposób skaczą tysiące żywych iskierek. Obok olbrzymie wieże katedry, oglądane od tyłu, razem z długą nawą, na której się opierały odcinając się swoją czernią od czerwonej i szerokiej łuny, wypełniającej dziedziniec katedry, były podobne do dwóch wilków gigantycznego komina cyklopów.

Paryż – o ile go można było zobaczyć – chwiał się w oczach w tym światłocieniu. Rembrandt miewa takie tło w swoich obrazach.

Człowiek z latarką poszedł prosto na sam cypel Wygonu. Stały tam, tuż nad wodą, zmurszałe

resztki ogrodzenia ze słupów zbitych deskami, po którym pięło się kilka wątych gałązek niskiej winorośli, rozpostartych jak palce u otwartej ręki. Za tym płotem, w cieniu, który padał od niego, ukryta była niewielka łódka. Nieznajomy dał znak Gringoire'owi i jego towarzysze, żeby weszli do łódki. Koza wskoczyła za nimi. Nieznajomy wszedł ostatni, po czym przeciął linę, odepchnął łódź od ładu długim bosakiem, ujawszy oba wiosła usiadł na przedzie i ze wszystkich sił powiosłował środkiem rzeki. Sekwana ma w tym miejscu silny prąd i nie bez trudu udało mu się odbić od cypla wyspy.

Pierwszą troską Gringoire'a po wejściu do łódki było wzięcie na kolana kózki. Usadowił się w tyle, a dziewczyna, w której nieznajomy budził jakiś nieokreślony lęk, usiadła tuż obok i przytuliła się do poety.

Skoro nasz filozof poczuł, że łódka ruszyła, klasnął w ręce i pocałował Dżali między różki.

– O! – rzekł – oto wszyscy czworo jesteście ocaleni! – I dodał z miną głębokiego myśliciela: – Szczęśliwe zakończenie wielkich przedsięwzięć zawdzięcza człowiek po trosze losowi, a po trosze przebiegłości.

Łódź płynęła wolno ku prawemu brzegowi. Dziewczyna z tajonym lękiem obserwowała nieznajomego. Starannie zasłonił światło swojej ślepej latarki. W ciemnościach widniał na przedzie łodzi niby duch. Spuszczony wciąż kaptur zakrywał mu twarz jak maska, a ilekroć wiosłując otwierał ramiona, z których zwisały szerokie, czarne rękawy, rzekłbyś, że są to dwa wielkie skrzydła nietoperza. Nie wymówił zresztą jeszcze ani słowa, nie westchnął nawet. Cisze panującą w łodzi zakłócał jedynie miarowy plusk wiosel i chlupotanie rozkołysanej wody wzdłuż kadłuba barki.

– Na mą duszę! – zawołał nagle Gringoire – jesteście tu radośni i weseli jak łątki. Zachowujemy milczenie jak pitagorejczycy albo ryby. Na mękę Pańską! Przyjaciele, chciałbym, żeby się ktoś odezwał do mnie... Ludzki głos jest muzyką dla ludzkiego ucha. Nie ja tak powiadam, lecz Didym z Aleksandrii, i są to słynne słowa. Zaiste, Didym z Aleksandrii był filozofem niepośledniej miary. Jedno słowo, moje śliczne dziecko! Błagam cię, choć jedno słowo! – Aha, właśnie; robiłaś niegdyś taką zabawną minkę, czy wciąż ją jeszcze robisz? Czy wiesz, moja miła, że sąd najwyższy sprawuje władzę nad wszystkimi miejscami azylu i że ci groziło ogromne niebezpieczeństwo w twojej celce w katedrze? Niestety! Mały ptaszek *trochilus* mości sobie gniazdko w paszczy krokodyla!... Mistrzu, oto znów ukazuje się księżyc. Żeby nas tylko nie spostrzegli! Ratując tę panienkę robimy rzecz chwalebna, gdyby jednak nas złapano, zostalibyśmy powieszani Z rozkazu króla. Niestety, każdy ludzki czyn ma dwa końce. Za co jednego uwieńczą, drugiego napiętnują. Kto wielbi Cezara, ten potępia Katylinę. Czynie tak, mój mistrzu? Co powiecie o tej filozofii? Mam smykałkę do filozofii, rozumiem ją instynktownie, z przyrodzenia, *ut apes geometriam*. No i co? Nikt mi nie odpowiada! Widzę, żeście obydwójce w nie najlepszych humorach. Więc będę mówił sam. W tragedii nazywamy to monologiem. Na mękę Pańską! Oto muszę wam wyjaśnić, że widziałem przed chwilą króla Ludwika XI i że to od niego nauczyłem się tego zaklęcia. Na mękę Pańską więc! Wciąż jeszcze zdrowo wyją tam, w Cité. To wstrętny, zły starzec, ten król. Cały zakutany w futra. Wciąż jeszcze jest mi winien pieniądze za moją sztukę, a na dobitkę omal nie kazał mnie dzisiaj powiesić, co bardzo by mi było nie na rękę... Jest skąpy dla zasłużonych ludzi. Powinien poczytać sobie cztery księgi Salwiana z Kolonii: *Adversus avaritiam*. Daję słowo, ten król ma węża w kieszeni dla literatów i popełnia iście barbarzyńskie okrucieństwa. To gąbka wysysająca pieniądze z narodu! Jego oszczędność – to śledziona, co się rozdyma kosztem chudnięcia wszystkich innych części organizmu. Toteż i skargi na ciężkie czasy stają się szemraniem na władcę. Pod tym łagodnym, pobożnym najjaśniejszym panem szubienice skrzypią od ciężaru wisielców, katowskie pnie gniją od krwi, więzienia pękają jak nazbyt pełne brzuchy. Ten król jedną ręką bierze, a drugą wiesza.

To rajfur imé pana Podatku i jejmości pani Szubienicy! Wielcy są obdzierani ze swych dostojeństw, a z małych wyciska, co może, wciąż nowym tłokiem. Ten król nie zna miary. Nie lubię tego monarchy! A wy, mój mistrzu?

Człowiek w czerni nie zwracał uwagi na paplaninę poety. Walczył z prądem rwącym i silnym w tym miejscu, między dziobem wyspy Cité a rufą wyspy Matki Boskiej, którą dzisiaj nazywamy wyspą Św. Ludwika.

– Aha, mistrzu – zagadnął go nagle Gringoire – czy wasza wielebność spostrzegł tego małego nieboraka, któremu wasz głuchy roztrzaskiwał właśnie czaszkę o balustradę królewskiej galerii, kiedy wchodziliśmy na plac przed katedrą, przepychając się przez tłum tych wściekłych zebraków? Mam krótki wzrok, nie mogłem go poznać. Może wiecie, kto to mógł być?

Nieznajomy nie odpowiedział ani słowem. Lecz nagle przestał wiosłować, ramiona opadły mu bezwładnie, jakby złamane, głowa osunęła się na pierś i Esmeralda usłyszała, jak westchnął spazmatycznie. Zadrżała. Słyszała już kiedyś takie westchnienie.

Łódź, zostawiona sobie, przez kilka chwil płynęła z prądem. Wreszcie człowiek w czerni wyprostował się, znów pochwycił wiosła i zaczął wiosłować pod Prąd. Okrążył cypel Matki Boskiej i skierował łódkę ku Siennej przystani.

– O! – rzekł Gringoire – otóż i pałac Barbeau! Widzicie, mistrzu? Spójrzcie: ta grupka czarnych dachów tworzących niezwykle kąty, tam, pod tą ławicą niskich chmur, postrzępionych, ciemnych i brudnych, wśród których księżyc zgniółł się i rozmazał jak żółtko stłuczonego jajka. To piękny pałac. Jest tam kaplica ze sklepieniem jak cacko, pełnym wybornie rżniętych ozdób. Nad sklepieniem można obejrzeć wieżyczkę arcymisternie wycinaną. Jest tam również przyjemny ogród składający się z sadzawki, ptaszarni, grotty echa, trawnika, labiryntu, domku dla dzikich zwierząt i mnóstwa cienistych alejek, tak lubych bogini Wenus. Jest tam również szelmowskie drzewo, które zwą „lubieżnym”, gdyż służyło miłosnym schadzkom pewnej słynnej księżniczki i konetabla Francji, wykwintnego i dowcipnego pana. Niestety, my, ubodzy filozofowie, tym jesteśmy wobec konetabla, czym grządka kapusty i rzodkiewki wobec ogrodu Luwru. A zresztą – wszystko to fraszka! Życie ludzkie, tak dla możnych, jak i dla nas, jest mieszaniną dobrego i złego. Zawsze ból stoi obok radości, spondej obok daktyla. Muszę wam, mistrzu, opowiedzieć tę historię pałacu Barbeau. Kończy się ona tragicznie. Było to w roku 1319, za panowania Filipa V, najwyższego króla Francji. Morał tej opowieści jest taki, że pokusy cielesne bywają podstępnej i zgubne. Nie przypatrujmy się zbyt natarczywie żonie sąsiada, choćby jej uroda mile łechtała nasze zmysły. Rozpusta to myśl nader rozwiązała. Cudzołóstwo to ciekawość rozkoszy bliźniego... Ojej, wrzaski się wzmagają!

Rzeczywiście, zgiełk koło katedry wzrastał. Zaczęli nasłuchiwać. Zwycięskie wrzaski dość wyraźnie docierały aż tutaj. Nagle sto pochodni, w których świetle iskrzyły się kaski zbrojnych, rozsypało się po kościele, po wszystkich jego piętach, wieżach, galeriach, pod przyporowymi łukami. Te pochodnie jak gdyby czegoś szukały i wkrótce dalekie krzyki wyraźnie dotarły aż do uszu zbiegów:

– Cyganka! Czarownica! Śmierć Cygance!

Nieszczęśliwa ukryła twarz w dłoniach, a nieznajomy począł z furią wiosłować do brzegu. Nasz filozof tymczasem rozmyślał. Ścisnął w ramionach kożę i powolutku odsuwał się od Cyganki, a ona garnęła się ku niemu coraz bardziej, widząc w nim jedyną obronę, jaka jej pozostała.

To pewna, że Gringoire znalazł się w okrutnej rozterce. Myślał sobie, że „według obowiązującego ustawodawstwa” kożę również powieszą, jeśli ją złapią, i że bardzo byłoby szkoda biednej Dżali, że za wiele było tych dwóch skazanych na niego jednego, że wreszcie towarzysz jego jest jak najbardziej skłonny do zaopiekowania się Cyganką. Między myślami jego

toczyła się gwałtowna walka, w której, jak Jowisz z Iliady, ważył kolejno Cygankę i kozę i patrzył to na jedną, to na drugą oczyma wilgotnymi od łez, powtarzając sobie po cichu: „Nie mogę przecież uratować was obu.”

Wstrząs oznajmił im, że łódź przybiła do brzegu. Złowrogi zgiełk wciąż jeszcze grzmiał w Cité. Nieznajomy wstał, zbliżył się do Cyganki i chciał wziąć ją za rękę, żeby jej pomóc przy wysiadaniu. Odepchnęła go i uwiesiła się rękawa Gringoire’a, który, zajęty kozą, z kolei teraz ją nieomal że odepchnął. Wówczas sama wyskoczyła z łodzi. Była tak skołatana, że nie wiedziała, co robi ani dokąd idzie. Przez chwilę stała w osłupieniu, patrząc na płynącą wodę. Kiedy oprzytomniała nieco, była sama z nieznajomym na wybrzeżu. Zdaje się, że Gringoire skorzystał z chwili lądowania, żeby czmychnąć razem z kozą między domy stojące przy ulicy Nadbrzeżnych Spichlerzy.

Biedna Cyganka zadrżała widząc, że jest sama z tym człowiekiem. Chciała przemówić, krzyknąć, zawołać Gringoire’a, lecz język był bezwładny w jej ustach i żaden dźwięk nie przecisnął się przez jej wargi. Nagle poczuła na swojej dłoni dłoń nieznajomego. Była to dłoń zimna i silna. Zęby jej szczęknęły, stała się bledsza od promienia księżyca, który na nią padał. Nieznajomy nie wymówił ani słowa. Trzymając ją za rękę ruszył szybko w kierunku placu Grève. W tej chwili w jakiś nieokreślony sposób poczuła, że przeznaczenie jest siłą, której nie można się oprzeć. Już nie miała woli, pozwoliła się prowadzić, biegła za idącym. Wybrzeże w tym miejscu wznosiło się. Wydawało się jej jednak, że schodzi po pochyłości.

Rozejrzała się na wszystkie strony. Nikogo! Wybrzeże było zupełnie puste. Hałas, ruch, ludzkie głosy słyhać było tylko na gwarnej i jarzącej się światłami wyspie Cité, od której oddzielała ją jedynie odnoga Sekwany; dobiegało do niej stamtąd jej własne imię i wrzaski domagające się jej śmierci. Reszta Paryża rozłożyła się dokoła niej wielkimi masywami cienia.

Nieznajomy tymczasem ciągnął ją wciąż w tym samym milczeniu i pośpiechu. Nie poznawała miejsc, przez które przechodziła. Mijając jakieś oświetlone okno zdobyła się na wysiłek, oparła się gwałtownie i krzyknęła:

– Ratunku!

Mieszczanin, do którego należało okno, otworzył je, ukazał się w nim w koszuli, z lampą w ręku, z zaspą miną rozejrzał się po ulicy, powiedział coś, czego nie dosłyszała, i zamknął z powrotem okiennicę. Zgasło ostatnie światełko nadziei.

Człowiek w czerni nie wymówiwszy ani sylaby przyspieszył kroku. Nie opierała się więcej, szła za nim, złamana.

Od czasu do czasu zbierała siły i głosem, który rwał się, bo ledwie dyszała ze zmęczenia i co chwila potykała się na nierównym bruku, mówiła:

– Kłóście wy? Kłóście wy?

Nie odpowiadał.

Wreszcie wciąż idąc wybrzeżem doszli do jakiegoś dość dużego placu. Księżyc trochę świecił. Był to plac Grève. Na jego środku stało coś na podobieństwo krzyża; była to szubienica. Dziewczyna zobaczyła ją i poznała, gdzie jest.

Nieznajomy zatrzymał się, odwrócił się ku niej i podniósł kaptur.

– O! – jęknęła, skamieniała – wiedziałam, że to znowu on!

Był to ksiądz. Wyglądał na swoje własne widmo. Sprawiał to księżyc – w tym świetle widać jedynie widma rzeczy.

– Posłuchaj! – rzekł, a ona zadrżała na dźwięk tego złowieszczonego głosu, którego nie słyszała już dawno. Mówił dalej. Mówił krótkimi, urywanymi słowami, a z trudem chwytny oddech zdradzał głębokie drżenie wewnętrzne. – Posłuchaj! Przyszliśmy tu. Chcę z tobą pomówić. To plac Grève. Kres wszystkiego. Losy nasze połączyły nas. Ja zdecyduję o twoim życiu, ty o

mojej duszy. Oto jest plac i noc, poza którymi nic już nie widać. Więc posłuchaj mnie! Chcę ci powiedzieć... Przede wszystkim nie wspominaj mi o swoim Febusie (mówiąc, chodził tam i na powrót jak człowiek, który nie może ustać na miejscu, i ciągnął ją za sobą), nie wspominaj mi o nim! Bo, wiesz? Jeżeli wymówisz to imię, nie wiem, co zrobię, ale to będzie straszne.

Powiedziawszy to znieruchomiał jak ciało, które odnalazło swój środek ciężkości. Lecz nie zmniejszyło się podniecenie, które zdradzały jego słowa. Głos jego stawał się coraz cichszy.

– Nie odwracaj tak głowy! Wysłuchaj mnie! To poważna sprawa. Przede wszystkim... oto, co się stało... O, przysięgam ci, to nie żarty! Co to ja mówiłem? Przypomnij mi! Aha, sąd najwyższy wydał cię katom. Ja cię wyrwałem z ich rąk. Ale ścigają cię. Spójrz!

Wyciągnął rękę w kierunku Cité. Rzeczywiście, poszukiwania, widać, wciąż jeszcze trwały; wieża podstarościńskiego pałacu, stojąca naprzeciw Grève, była pełna światła i zgiełku, a po przeciwległym wybrzeżu biegali żołnierze z pochodniami, krzycząc:

– Cyganka! Gdzie jest Cyganka?! Śmierć! Śmierć!

– Widzisz, ścigają cię, nie kłamie! Ja kocham cię! Nie otwieraj ust, nie odzywaj się raczej, jeśli masz rzec, że mnie nienawidzisz. Postanowiłem sobie, że nie będę cię słuchał. Przed chwilą ocaliłem cię. Najpierw daj mi skończyć! Mogę cię uratować całkowicie. Wszystko przygotowałem... Zechciej tylko! Jeśli ty zechcesz, ja mogę.

Przerwał nagle.

– Nie, nie tak mówić trzeba!

Razem z dziewczyną, bo nie puszczał jej ręki, podbiegł do szubienicy i wskazując ją palcem:

– Wybieraj między nami! – rzekł zimno.

Dziewczyna wyrwała mu się i przypadłszy do szubienicy, objęła posępny słup, po czym, na pół odwróciwszy swoją piękną głowę, popatrzyła przez ramię na księdza. Rzekłbyś – Matka Boska u stóp krzyża. Ksiądz, z ręką podniesioną i wciąż jeszcze na szubienicę wskazującą, stał bez ruchu jak posąg.

Wreszcie Cyganka rzekła:

– Ona mniej mi jest wstrętna niż ty.

Wtedy wolno opuścił ramię i pognębiony, wbił spojrzenie w bruk.

– Gdyby te kamienie mogły mówić – szepnął – tak... powiedziałyby, że oto jest człowiek prawdziwie nieszczęśliwy.

Znów zaczął mówić. Dziewczyna klęcząc pod szubienicą, cała zasłonięta swymi długimi włosami, nie przerywała mu. Mówił teraz głosem żalnym i łagodnym, który się kłócił boleśnie z surową wyniosłością jego twarzy.

– Kocham cię! O! jednak to prawda! Czyż nic nie przedostaje się na zewnątrz z tego ognia, który mi serce spala? Biada mi, dziewczyno! We dnie i w nocy... tak, we dnie i w nocy, czyż to nie zasługuje na odrobinę litości? Ta miłość, co mnie dręczy we dnie i w nocy, wierzaj mi: to tortury! O moje biedne dziecko, już za bardzo cierpię!... Bądź pewna, jestem godzien współczucia. Widzisz, przemawiam do ciebie tak łagodnie. Chciałbym, byś nie miała wstrętu do mnie... Cóż, mężczyzna nie jest winien temu, że kocha kobietę... O mój Boże! Jakże to, więc nigdy mi nie przebacysz? Zawsze będziesz mnie nienawidzić? Więc wszystko skończone! Dlatego stałem się zły, wiesz? I samemu sobie wstrętny. Nie chcesz nawet spojrzeć na mnie. Może myślisz o czym innym, podczas gdy ja, drżący, mówię do ciebie stojąc na samej granicy wieczności nas obojga! Tylko nie mów mi o tym oficerze! Jak to! Gotów jestem paść do twych” kolan; jak to! Gotów jestem całować nie stopy twoje, bo tego byś nie chciała, ale ziemię pod twymi stopami; jak to! Gotów jestem szlochać jak dziecko, wyrwać sobie z piersi nie słowo, ale serce, żeby ci powiedzieć, że cię kocham – i to wszystko, wszystko byłoby daremne!... A przecież twoja dusza jest samą tylko tkliwością i czułością. Bije od ciebie blask najpiękniejszej

słodczy, jesteś miła, dobra, litościwa i urocza. Biada mi! Tylko dla mnie jednego jesteś okrutna. O, cóż za los!

Ukrył twarz w dłoniach. Usłyszała, że płacze. Po raz pierwszy płakał. Kiedy tak stał wstrząsany szlochem, był bardziej żalony i pokorny, niż gdyby klęczał. Płakał tak przez pewien czas.

– Trudno! – odezwał się znowu, kiedy spłynęły pierwsze łzy – nie umiem znaleźć słów. A przecież dobrze obmyśliłem sobie, co ci powiem. A teraz drzę i załamuję się w decydującej chwili, czuję, że okrywa nas oboje coś ostatecznego i język mi się płacze. O! Upadnę na te kamienie, jeśli się nie zlitujesz nade mną! Nie skazuj nas obojga na śmierć! Gdybyś wiedziała, jak ogromnie cię kocham? Jakim sercem jest moje serce! Jak zaparłem się wszelkiej cnoty! Jak rozpaczliwie zaparłem się samego siebie! Ja, uczony – drwię z nauki; ja, szlachcic – hańbię nazwisko; ja ksiądz – z mszału czynię poduszkę dla lubieżności, w twarz plwam Bogu memu! Wszystko dla ciebie, czarodziejko! Żeby stać się bardziej godnym twojego piekła! A ty odtrącasz potępieńca. O, powiem ci wszystko! Jeszcze więcej, coś jeszcze straszliwszego... o, jeszcze straszliwszego!...

Kiedy wymawiał te ostatnie słowa, twarz jego stała się zupełnie obłąkana. Umilkł na chwilę, po czym odezwał się silnym głosem, jak gdyby sam siebie zapytywał:

– Kainie, cóżeś uczynił ze swoim bratem?

Znów umilkł i znowu się odezwał:

– Cóżem z nim uczynił, Panie? Przygarnąłem go, wychowałem go, wykarmiłem go, kochałem go, ubóstwiałem go, zabiłem go. Tak, Panie, oto w moich oczach roztrzaskano mu czaszkę o kamienie twojego przybytku, i z mojego powodu, z powodu tej oto kobiety, z jej powodu.

Wzrok miał nieprzytomny. Głos jego stawał się coraz cichszy, powtarzał jeszcze parokrotnie, bezwiednie, z długimi przerwami, jak dzwon wybijający ostatnie uderzenia:

– Z jej powodu... Z jej powodu...

Po czym język jego przestał wydawać słyszalne dźwięki, choć wargi wciąż jeszcze poruszały się. Nagle upadł jak coś, co się wali na ziemię, i leżał nieruchomy, głowę oparłszy na kolanach.

Lekkie dotknięcie dziewczyny, która wysuwała spod niego swą stopę, ocuciło go. Wolno przesunął dłonią po swych zapadłych policzkach i przez kilka chwil przypatrywał się ze zdziwieniem swoim wilgotnym palcom.

– O! – szepnął – płakałem!

I odwracając się nagle ku Cygance, rzekł z niewysłowioną rozpaczą:

– Niestety! Patrzyłaś obojętnie, jak płakałem! Dziecko, czy ty wiesz, że te łzy są lawą? A więc to prawda: niemiły mężczyzna niczym nie wzruszy. Patrzyłabyś na moją śmierć i śmiałabyś się. O, ja nie chcę patrzeć, jak ty umierasz! Jedno słowo, jedno słowo przebaczenia! Nie mów, że mnie kochasz, powiedz tylko, że się zgadzasz – to wystarczy, uratuję cię. A jeżeli nie... O! Czas mija! Zaklinam cię na wszystko, co święte, nie czekaj, aż znów się stanę kamieniem jak ta szubienica, która również się o ciebie upomina. Pomyśl, że oba nasze losy trzymam w moim ręku, że od zmysłów odchodzę... To straszne, że mogę wszystko wypuścić z tej ręki i że pod nami jest przepaść, nieszczęśliwa dziewczyno, w którą spadać będę twoim śladem przez całą wieczność! Jedno słowo dobroci! Tylko jedno słowo, nic więcej!

Otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć. Ukłękł przed nią, żeby w pokornym uwielbieniu przyjąć to słowo – może wreszcie nieco tkliwsze – które wyjść miało z jej warg. Powiedziała mu:

– Jesteś mordercą!

Ksiądz z furją porwał ją w ramiona i zaczął się śmiać potwornym śmiechem.

– A więc tak! Jestem mordercą! – rzekł. – I posiadę cię! Nie chcesz mieć we mnie niewolnika, będziesz miała we mnie pana. Posiadę cię! Zawlokę cię do mojej kryjówki.

Pójdiesz za mną, musisz pójść za mną albo wydam cię katom! Trzeba umierać, moja miła, albo zostać moją! Oddać się księdzu! Oddać się apostacie! Oddać się mordercy! I już tej nocy, słyszysz? No, wesoło, no, całuj mnie, dziewczko! Grób albo moje łóżko!

Oczy iskrzyły mu się nieczystą namiętnością. Lubieżne usta wpiły się w szyję dziewczyny. Wyrwała się z jego uścisku. A on pokrywał ją wściekłymi pocałunkami.

– Nie kłó się, potworze! – krzyknęła. – O, puść mnie, wstrętny, cuchnący mnichu, bo ci powyrywam twoje obrzydliwe siwe włosy i garściami w twarz ci je ciskać będę.

Poczerwieniał, zbladł, potem puścił ją i popatrzył na nią ponuro. Sądziła, że odniosła nad nim zwycięstwo i mówiła dalej:

– Mówię ci, że należę do mojego Febusa, że Febusa kocham, że Febus jest piękny! Ty, klecho, jesteś stary! Jesteś szpetny! Idź precz!

Krzyknął przeraźliwie jak skazaniec, któremu przykładają do ciała rozpalone żelazo.

– Więc umieraj! – wyrzekł poprzez zaciśnięte zęby.

Zobaczyła jego straszny wzrok i chciała uciec. Schwycił ją, szarpnął, powalił na ziemię i wlokąc za śliczne ręce za sobą po bruku, szybkim krokiem poszedł w stronę rogu Wieży Rolanda. Tam jeszcze raz odwrócił się ku niej:

– Po raz ostatni pytam, czy chcesz być moją?

Odpowiedziała z mocą:

– Nie!

Wówczas zawołał głośno:

– Gudulo! Gudulo! Bierz Cygankę! Zemścij się!

Dziewczyna poczuła, że ktoś schwycił ją nagle za ręce. Spojrzała. Wychudłe ramię wysunęło się z okienka w murze i trzymało ją niby żelazne kleszcze.

– Trzymaj dobrze! – rzekł ksiądz – to zbiegła Cyganka. Nie puść jej. Idę po pacholków. Zobaczysz, jak ją będą wieszać.

Tym krwawym słowem odpowiedział zza ściany gardłowy śmiech:

– Hahaha!

Cyganka zobaczyła, że ksiądz pobiegł w kierunku mostu Matki Boskiej. Słychać było z tamtej strony tętent koni.

Dziewczyna poznała złą pustelnicę. Ciężko dysząc z przerażenia, usiłowała się wyrwać. Kilkakrotnie szarpnęła ręką wciągając się cała w rozpaczliwych, konwulsyjnych drgawkach, ale stara pustelnica trzymała ją z niezwykłą siłą. Kościste, chude palce ścisnęły jej dłoń, obejmowały ją dookoła wpijając się w ciało. Rzekłbyś, że te palce są skute z przegubem ręki dziewczyny. Były czymś więcej niż łańcuch, czymś więcej niż żelazna obręcz kajdanów, były to obdarzone rozumem żywe kleszcze wychodzące z muru.

Wyczerpana, ciężko oparła się o ścianę i wtedy ogarnął ją strach przed śmiercią. Pomyślała o urodzie życia, o młodości, o widoku nieba, o urokach przyrody, o miłości, o Febusie, o tym, co odchodziło, i o tym, co się zbliżało, o księdzu, który ją wydał, o kacie, który nadejdzie za chwilę, o stojącej przed nią szubienicy. I poczuła, że strach rośnie w niej aż po korzonki włosów, i usłyszała pośsepny chichot pustelnicy, która mówiła do niej cichutko:

– Hahaha! Powiesz cię!

Dziewczyna zamarła, odwróciła się ku okienku i ujrzała przez kraty dziką twarz starej.

– Co wam uczyniłam złego? – zapytała bez życia prawie.

Pustelnica nie odpowiedziała nic; zaczęła mrużyć zawadzając gniewnie i drwiąco:

– Córa Egiptu! Córa Egiptu! Córa Egiptu!

Nieszczęśliwa Esmeralda spuściła głowę, włosy spadły jej na twarz; zrozumiała, że nie z ludzką istotą ma do czynienia.

Nagle pustelnica wrzasnęła, jakby teraz dopiero dotarło do jej świadomości pytanie Cyganki:

– Pytasz, coś mi złego uczyniła? Coś mi uczyniła. Cyganko? A więc posłuchaj! Miałam dziecko, wiesz? Miałam dziecko, powiadam ci, że miałam dziecko! Śliczną dziewczuszkę!... Moja Agnieszka! – zawołała nieprzytomnie, całując coś w ciemności. – Wiesz już, córo Egiptu? Zabrali mi moje dziecko! Ukradli mi moje dziecko! Zjedli mi moje dziecko! Toś mi uczyniła!

Dziewczyna odpowiedziała jak jagniątko z bajki La Fontaine'a:

– Przecież mnie może jeszcze wtedy nie było na świecie.

– O, nie! – odparła pustelnica – na pewno już byłaś na świecie! Już żyłaś! Byłaby teraz w twoim wieku! Tak!... Już piętnaście lat jestem tutaj, piętnaście lat cierpię, piętnaście lat modłę się, piętnaście lat biję głową o ściany. Powiadam ci, że mi ją ukradły Cyganki, słyszysz? I pożarły ją swoimi zębami! Czy masz serce? Wyobraź sobie, to to jest bawiące się dziecko, ssące dziecko, śpiące dziecko! Takie niewinne! I widzisz? To mi właśnie zabrali, to mi zabili! Pan Bóg dobrze wie o tym. Dziś moja kolej, dziś ja będę jadła ciało Cyganki! O, jakże bym cię kasała, gdyby mi nie przeszkadzały kraty. Mam za dużą głowę. Moja biedna maleńka! Spała wtedy! A jeżeli obudziły ją porywając, krzyczała daremnie, nie było mnie przy niej. O cygańskie matki, wyście mi zjadły moje dziecko! Przyjdźcie, zobaczcie teraz wasze!

I zaczęła się śmiać, a może zębami zgrzytać, bo trudno to było odróżnić na jej wykrzywionej wściekłością twarzy. Świtało. Szary brzask rozjaśnił nieco ten obraz, a szubienica na placu stawała się coraz bardziej widoczna. W drugiej stronie, gdzieś od mostu Matki Boskiej, nieszczęśliwa skazana słyszała niby jakiś daleki, wciąż zbliżający się tętent koni.

– Pani! – krzyknęła składając ręce i uklękła, z rozpuszczonymi włosami, nieprzytomna, obłąkana z trwogi. – Pani! Zlituj się! Nadchodzi! Nic wam złego nie uczyniłam. Czy chcecie patrzeć, jak tu, w waszych oczach, będę w taki straszny sposób umierała? Macie litość w sercu, jestem pewna! To nazbyt okropne! Pozwólcie mi uciec! Litości! Nie chcę tak umierać!

– Oddaj mi moje dziecko! – odrzekła pustelnica.

– Litości! Litości!

– Oddaj mi moje dziecko!

– Puśćcie mnie, na miłosierdzie nieba! –

– Oddaj mi moje dziecko!

Dziewczyna po raz wtóry osunęła się bezsilnie, a wzrok jej stał się szklisty je u trupa.

– O Boże! – szepnęła. – Wy szukacie dziecka, ja szukam rodziców...

– Oddaj mi moją malutką Agnieszkę! – mówiła dalej Gudula. – Nie wiesz, gdzie jest? Więc umieraj! Powiem ci wszystko. Byłam ladacznicą, miałam dziecko, zabrali mi moje dziecko. Cyganie! Sama widzisz, że musisz umierać. Kiedy twoja matka Cyganka przyjdzie i upomni się o ciebie, powiem jej: „Matko, popatrz na tę szubienicę, albo oddaj mi moje dziecko!” Czy wiesz, gdzie jest moja córuchna? Czekaj, coś ci pokażę. To jej trzewiczek – wszystko, co mi pozostało. Wiesz, gdzie jest drugi taki? Jeżeli wiesz, powiedz mi, a jeśli to będzie nawet na drugim końcu świata, na kolanach tam po niego pójde.

Tak mówiąc wysunęła przez okienko drugą rękę i pokazała Cygance haftowany trzewiczek. Było już dość jasno, żeby mogła zobaczyć jego kształt i barwy.

– Pokażcie mi ten bucik! – rzekła z drżeniem dziewczyna. – Boże! Boże!

I równocześnie wolną ręką spiesznie otwierała ozdobiony zielonym szkiełkiem woreczek, który nosiła na szyi.

– Dalej! Grzeb, grzeb w swoim diabelskim amulecie! – burknęła Gudula. Nagle umilkła, zatrzęsła się na całym ciele i krzyknęła głosem dobywającym się z samego dna jej wnętrza:

– Moja córka!

Cyganka wyjęła z woreczka trzewiczek taki samiuteńki. Do trzewiczka przyczepiona była

kartka pergaminu, a na niej wypisany taki oto dwuwiersz –
Gdy drugi taki odnajdziesz,
W ramionach matki się znajdziesz.

Pustelnica w jednej chwili, krótszej od mgnienia, porównała oba trzewiczki, przeczytała napis na pergaminie i przyciskając do kraty okienka twarz promieniejącą niebiańskim szczęściem, wołała:

– Cóрко! Córeczko!

– Mamo! – odpowiedziała Cyganka.

Żadne pióro nie potrafi tego oddać.

Między nimi dwiema był mur i żelazna krata.

– Och, mur! – krzyknęła pustelnica! – Widzieć ją i nie móc jej przytulić! Daj rękę! Daj rękę!

Dziewczyna wsunęła ramię między kraty, pustelnica rzuciła się na tę rękę, przyłgnęła do niej wargami i jakby zamarła w tym pocałunku. Jedynym znakiem, że żyje jeszcze, był szloch, który od czasu do czasu wstrząsał jej ciałem. Płakała obficie w milczeniu, w mroku, jak nocny deszcz. Biedna matka wylewała na tę ubóstwianą rękę czarną i głęboką studnię łez, która powstała w jej duszy, bo przez lat piętnaście, kropla po kropli, ściekał w nią jej cały ból.

Nagle podniosła głowę, odgarnęła z czoła długie siwe włosy i nie odezwawszy się ani słowem, jak rozwścieczona lwica zaczęła oburącz potrzasać kratami swojej celi. Lecz kraty nie ustępowały. Wtedy przyniosła z kąta izdebki wielki kamień, który jej służył za poduszkę, i rzuciła nim w okno z taką siłą, że kraty pękły, iskry trysnęły z żelaza. Drugie uderzenie do reszty wyłamało stary krzyż zamykający okienko. Wtedy obu rękami wyrwała z futryny zardzewiałe sztaby. Bywają chwile, kiedy ręce kobiety mają siłę nadludzką.

W niespełną minutę rozgrodziła okienko, schwyciła córkę wpół i wciągnęła ją do celi.

– Chodź! Niech cię wybawię z otchłani! – szeptała.

A kiedy już córka jej była w celi, położyła ją ostrożnie na ziemi, znów podniosła i nosząc na rękach, jakby to wciąż jeszcze była jej mała Agnieszka, zaczęła chodzić no wąziutkiej izdebce, pijana, szalona, szczęśliwa. Krzyczała, śpiewała, całowała córkę mówiąc do niej, wybuchając śmiechem, zalewając się łzami w uniesieniu – wszystko równocześnie.

– Córeczka! Córeczka! – mówiła. – Mam moją córeczkę! To ona! Dobry Bóg oddał mi ją! Hej, ludzie, chodźcie! Czy jest tam kto? Niech tu przyjdzie i zobaczy, że mam córkę. Jezus Chryste, jaka ona cudna! Kazałeś mi na nią czekać przez piętnaście lat, mój Boże, ale dlatego, żeby mi ją oddać taką śliczną! Więc jej Cyganki nie zjadły. Kto to mi opowiadał o tym? Córeczko, córeczko, pocałuj mnie. Dobrze Cyganki! Lubię Cyganki!... Tak, to ty! To dlatego serce we mnie skakało za każdym razem, kiedy przechodziłaś. A ja myślałam, że to z nienawiści... Przebac mi, moja Agnieszko, przebac! Myślałaś, że jestem bardzo zła, prawda? Kocham cię. Czy masz jeszcze pieprzyk na szyi? Ma go jeszcze! O, jakaś ty śliczna! To ja, panienko, dałam ci te wielkie oczy. Pocałuj mnie! Kocham cię! Co mi teraz szkodzi, że inne matki mają dzieci; kpię sobie z nich! Niech tu przyjdą! Spójrzcie, to moja córka! To jej szyja, jej oczy, jej włosy, jej ręka! Znajdźcie coś tak cudnego! O, już ja wam ręczę, że się będą w niej chłopcy kochali. Płakałam przez piętnaście lat. Cała moja uroda opuściła mnie i w nią przeszła! Pocałuj mnie!

Przemawiała do niej na tysiączne i najdziwaczniejsze sposoby, słowami, których całe piękno polegało na ich brzmieniu, rozchylała na niej suknie, aż się biedna dziewczyna rumieniła, gładziła jej jedwabiste włosy swoją ręką, całowała stopy, kolana, czoło, oczy, zachwycała się wszystkim. Dziewczyna poddawała się pieszczotom, powtarzając czasem bardzo cicho i nieskończenie tkliwie:

– Mamo!

– Widzisz, córeczko – mówiła pustelnica, całując ją po każdym słowie – widzisz, będę cię

kochała. Pójdziemy stąd. Będziemy bardzo szczęśliwe. Odziedziczyłam coś w Reims, w naszych stronach. Pamiętasz Reims? O, nie, nie pamiętasz, byłaś za mała! Gdybyś wiedziała, jaka ty byłaś śliczna, kiedy miałaś cztery miesiące. Te maleńkie nóżeczki ludzie przychodzili oglądać jakby jakie cudo aż z Épernay, zza siedmiu mil. Będziemy miały pole, dom. Będziesz spała w moim łóżku. Mój Boże! Mój Boże! Kto by temu dał wiarę? Mam córkę!

– Matko – odezwała się dziewczyna znalazłszy wreszcie dość siły, by przemówić mimo wzruszenia – Cyganka mi to przepowiedziała. Była w naszym taborze jedna dobra Cyganka, która zawsze o mnie dbała jak piastunka. To ona mi zawiesiła na szyi ten woreczek. Zawsze mi powtarzała: „Mała, dobrze pilnuj tego cacka. To skarb! Z jego pomocą znajdziesz matkę. Nosisz na szyi swoją matkę!” Cyganka mi to wszystko przepowiedziała.

Pustelnica znów przytuliła córkę do piersi:

– Chodź, niechże cię ucałuję! Mówisz tak ładnie. Kiedy wrócimy w nasze okolice, obujemy w te trzewiczki małego Jezuska w kościele. Należy się to dobrej Matce Boskiej! Mój Boże, jakież ty masz śliczny głos! Kiedy się odezwałaś przed chwilą, zdawało mi się, że to granie... O Boże wszechmogący! Odnalazłam dziecko. To przecież nie do wiary! Człowiek z niczego nie umiera, bo nie umarłam z radości.

Klasnęła w ręce, roześmiała się i zawołała:

– Będziemy szczęśliwe!

W tej chwili uderzył o ściany celi szcęk broni i galop koński zbliżający się wybrzeżem od mostu Matki Boskiej. Cyganka rozpaczliwie rzuciła się na pierś pustelnicy:

– Ratuj mnie, ratuj mnie, mamó! Nadchodzą!

Pustelnica zbladła.

– O nieba! Co ty mówisz? Zapomniałam! Ścigają cię! Cóżes uczyniła?

– Nie wiem – odpowiedziała nieszczęśliwa dziewczyna – ale jestem skazana na śmierć.

– Na śmierć... – rzekła Gudula i zachwiała się jak pod uderzeniem gromu.. – Na śmierć! – powtórzyła wolno, osłupiałym wzrokiem wpatrując się w córkę.

– Tak, mamó! – znów odezwała się dziewczyna, nieprzytomna ze strachu.. Chcą mnie zabić. Przychodzą, żeby mnie pojmać. Na mnie czeka ta szubienica, ratuj mnie! Ratuj! Już są blisko! Ratuj!

Pustelnica przez kilka chwil stała nieruchomo, jak głaz, potem przeczące poruszyła głowę i nagle wybuchnęła śmiechem, ale tym dawnym, strasznym śmiechem:

– Hoho! Nie! To, co gadasz, to zły sen! Aha, właśnie! Miałabym ją stracić na piętnaście lat i odnaleźć potem na jedną minutę! I znów odebraliby mi ją teraz, kiedy jest piękna, kiedy wyrosła, kiedy mnie kocha; teraz mieliby ją zjeść tu, na moich oczach, przy mnie, przy matce! O, nie! To się nie może stać. Pan Bóg do czegoś podobnego nie dopuści!

W tej chwili jeźdźcy jakby się zatrzymali i dał się słyszeć daleki głos, który mówił:

– Tędy, imć panie Tristanie! Ksiądz powiada, że ją znajdziemy w Szczurzej Norze.

I znów rozległ się tętent koni.

Pustelnica zerwała się z rozpaczliwym krzykiem.

– Uciekaj, uciekaj, dziecko! – przypomniała sobie. – Masz słusność! To twoja śmierć! Okropność! Przekleństwo! Uciekaj!

Wyjrzała przez okienko i szybko cofnęła się.

– Zostań! – rzekła krótko głosem cichym i posepnym, kurczowo ściskając rękę ledwie żywej Cyganki. – Zostań! Ani słowa! Naokoło pełno zbrojnych! Nie możesz wyjść! Już za widno!

Oczy miała suche i pałające. Przez chwilę nic nie mówiła, tylko wielkimi krokami przemierzała celę. Chodziła, stawała i garściami wyrywała z głowy siwe włosy, i gryzła je w zębach.

Nagle rzekła:

– Nadchodzą! Ja będę mówić z nimi! Ukryj się w tym kącie! Nie zobacz ciebie. Na Boga! Powiem im, żeś uciekła, że cię puściłam.

Posadziła dziewczynę – bo wciąż jeszcze nosiła ją na rękach – w tym kącie celi, którego nie było widać z zewnątrz. Kazała jej skulić się, ułożyła starannie jej nogi i ręce, żeby się nie wyłaniały z cienia, rozplotła jej czarne włosy, i rozrzuciła je po białej sukni, żeby ją zakryć, postawiła przed córką dzban i kamień, jedyne sprzęty, jakie posiadała, wyobrażając sobie, że ją schowa za tym dzbanem i za tym kamieniem. Kiedy tego dokonała, uspokojona nieco, uklękła i pomodliła się. Dzień dopiero wstawał i w Szcurzej Norze było jeszcze bardzo ciemno.

W tej chwili głos księdza, ten przeklęty głos, odezwał się tuż koło celi. Krzyczał:

– Tutaj, kapitanie Febusie de Châteaupers! Na dźwięk tego imienia, na dźwięk tego głosu Esmeralda, skulona w swoim kącie, drgnęła.

– Nie ruszaj się! – rzekła Gudula.

Ledwie to powiedziała, wrzawa ludzkich głosów, tętent kopyt i szczęk broni zatrzymały się przed celą. Matka zerwała się i stanęła w okienku, żeby je sobą zasłonić. Zobaczyła duży oddział zbrojnych, konnych i pieszych, który przystanął w szyku na placu Grève. Ten, który nim dowodził, zeskoczył z siodła i podszedł do niej.

– Stara! – rzekł ów człowiek z okrutną twarzą – szukamy czarownicy, którą mamy wieszać. Powiedziano nam, że ty jej pilnujesz.

Biedna matka nadała swojej twarzy wyraz najbardziej obojętny, jak mogła, i odpowiedziała:

– Nie rozumiem, o co wam idzie.

Tamten rzekł na to:

– Do kaduka! A więc co plótl ten zwariowany archidiakon! Gdzie on jest?

– Wielmożny panie! – rzekł jeden z żołnierzy – znikł.

– No! Nie kłam, stara wariatko! – powiedział dowódca. – Kazano ci pilnować czarownicy. Cóż z nią zrobiła?

Pustelnica nie chciała zaprzecić się wszystkiego, gdyż bała się obudzić podejrzenia, odpowiedziała więc niedbałym i opryskliwym tonem:

– Jeśli mówicie o tej wielkiej dziewczce, którą mi przed chwilą ktoś w ręce wsadził, to wam powiem, że mnie ugryzła, i puściłam ją. Teraz wiecie. I dajcie mi spokój!

Dowódca skrzywił się zawiedziony.

– Tylko nie łzyj mi, stara wiedźmo! – rzekł. – Nazywam się Tristan l’Hermite i jestem królewskim kumem. Tristan l’Hermite, słyszysz? – powiódł spojrzeniem po placu Grève i dodał jeszcze: – Imię temu miejscu nieobce.

– Choćbyś był i Diabłem Pustelnikiem – odparła Gudula, która zaczęła odzyskiwać nadzieję – i tak nic bym ci więcej nie powiedziała i wcale bym się ciebie nie zlekła.

– Do kaduka! – rzekł Tristan. – To ci herod-baba. Aha, więc dziewczka-czarownica uciekła. A którą?

Gudula odparła niedbale:

– Zdaje mi się, że ulicą Baranią.

Tristan odwrócił głowę i skinął na oddział, żeby się szykował do odmarszu.

Pustelnica odetchnęła.

– Wielmożny panie – odezwał się jeden z łuczników – zapytajcie starej wiedźmy, dlaczego kraty w jej okienku są w ten sposób wyłamane?

To pytanie nowym niepokojem napełniło serce nieszczęsnej matki. Jednakże nie całkiem straciła przytomność umysłu.

– Zawsze takie były – bąknęła.

– A jużci! – odparł łucznik – jeszcze wczoraj tworzyły foremny, czarny krzyż, że kto przechodził, to się zegnał.

Tristan spojrział z ukosa na pustelnicę.

– Widzę, że wiedźmie zrzęda mina.

Nieszczęśliwa uczuła, że wszystko zależy od jej dzielności i opanowania, i ze śmiercią w duszy zaczęła kpić. Matki stać na takie męstwo.

– Ten człowiek jest pijany – rzekła. – Już przeszło rok minął, jak wóz z kamieniami uderzył tyłem w moje okienko i połamał kratę. Zdrowo skląłam woźnicę!

– To prawda – odezwał się inny łucznik. – Byłem przy tym!

Zawsze i wszędzie znajdują się ludzie, którzy wszystko widzieli. Nieoczekiwane świadectwo łucznika dodało otuchy pustelnicy, która podczas tego śledztwa była jak człowiek chodzący nad przepaścią po ostrzu noża.

Widocznie jednak skazana była na ustawiczne przerzucanie się od nadziei do trwogi.

– Gdyby to zrobił wóz – odezwał się znów pierwszy żołnierz – resztki sztab wpełznąły do środka, a one sterczą na zewnątrz.

– Ho, ho! – rzekł Tristan do żołnierza – masz nos urzędnika śledczego z Châtelet! Co ty na to, stara? Odpowiadaj!

– O Boże! – zawołała ostatkiem sił, głosem, który wbrew jej woli łamał się szlochem – przysięgam wam, wielmożny panie, że to wóz połamał kraty! Słyszeliście, że tamten człowiek widział! A co to ma wspólnego z waszą Cyganką?

– Hm! – mruknął Tristan.

– Do diaska! – rzekł żołnierz, zachęcony pochwałą starosty—widać, że krata świeżutko wyłamana.

Tristan pokiwał głową. Gudula zbladła.

– Powiadasz, że jak dawno to było, z tym wozem?

– Miesiąc, może dwie niedziele, wielmożny panie. Już nie pamiętam.

– Przedtem mówiła, że już przeszło rok – zauważył żołnierz.

– Podejrzana sprawa – rzekł starosta.

– Wielmożny panie! – krzyknęła, wciąż przyciśnięta do okienka, drżąc, żeby podejrzenie nie skłoniło ich do zajrzenia przez nie do celi – przysięgam wam, że to, wóz złamał kratę! Przysięgam na aniołów z raj! Jeśli to nie wóz, niech będę potępiona na wieki i niech się zaprę Boga!

– Przysięgasz nieco zbyt ogólnie – rzekł Tristan przypatrując się jej swym inkwizytorskim okiem.

Biedna kobieta czuła, że jej pewność siebie ulatnia się coraz bardziej. Popelniła nieostrożność i z przerażeniem pojęła, że powiedziała nie to, co należało.

Tu jakiś inny żołnierz nadbiegł krzyżąc:

– Wielmożny panie, stara wiedźma łże! Czarownica nie uciekła ulicą Baranią. Łańcuch był przez całą noc zaciągnięty i wartownik nie widział, żeby ktokolwiek przechodził tamtędy.

Tristan, którego twarz stawała się coraz bardziej złowieszcza, zapytał pustelnicę:

– I co ty na to?

Spróbowała stawić czoło jeszcze i tej nowej przeciwności:

– A czy ja wiem, wielmożny panie! Mogłam się omylić. Rzeczywiście, zdają się, że uciekła za rzekę.

– Czyli w stronę przeciwną – rzekł starosta. – Niezbyt to prawdopodobne, żeby chciała wracać na Cité, gdzie jej szukano. Łżesz, stara!

– A przy tym – dorzucił pierwszy żołnierz – nie ma żadnej łodzi ani po tej, ani po tamtej

stronie rzeki.

– Może przepłynęła – powiedziała pustelnica usiłując bronić swego.

– Czy niewiasty pływają? – rzekł żołnierz.

– Do kaduka! Łzesz, stara, łzesz! – rzekł gniewnie Tristan. – Chętka mnie bierze, żeby dać tymczasem spokój czarownicy i zabrać się do ciebie. Kwadransik badania może wyciągnie ci prawdę z gardła. Nuże! Pójdiesz z nami!

Skwapliwie podchwyciła te słowa:

– Jak sobie życzyście, wielmożny panie! Dobrze! Dobrze! Na badanie? I owszem! Zabierajcie mnie! Jak najprędzej! Idźmy zaraz!

– Rany boskie! – rzekł starosta – tak jej spieszno na skórzane łoże! Nie pojmuję tej wariatki.

Stary dziesiętnik straży z siwą głową wystąpił z szeregu i zwrócił się do starosty:

– To rzeczywiście wariatka, wielmożny panie. Jeśli puściła Cyganek, to nie jej wina, bo nie lubi Cyganek. Już piętnaście lat służę w straży i słyszę co wieczora, jak złorzeczy cygańskim kobietom, jak je bez końca przeklina. Jeśli, jak mniemam, ta, której szukamy, jest tancerką z kozą, to jej nade wszystko nienawidzi.

Gudula przemogła się i rzekła:

– Jej nienawidzę nade wszystko!

Jednogłośnie świadectwo pachołków straży potwierdziło słowa starego dziesiętnika. Tristan l’Hermite, zwątpiwszy, by można było coś wyciągnąć ze staruchy, odwrócił się i Gudula z niewymownym niepokojem ujrzała, że powoli podchodzi do swojego wierzchowca.

– Szkoda czasu! – burknął – trzeba dalej szukać. Nie zasnę, póki nie powieszę Cyganki.

Nim wsiadł na konia, wahał się jednak jeszcze przez chwilę. Gudula drżała między życiem i śmiercią, widząc, jak się rozgląda po placu z niespokojną miną gończego psa, który zwęszył blisko norę zwierza i ociąga się z odejściem. Wreszcie potrząsnął głową i wskoczył na siodło. Serce Guduli, tak potwornie ściśnięte, zabiło swobodniej i rzucając krótkie spojrzenie córce, na którą nie miała odwagi popatrzeć, odkąd oni tu stali, odezwała się cicho:

– Uratowana!

Biedna dziewczyna przez cały ten czas siedziała skulona w swoim kącie, bez tchnienia, bez ruchu, wciąż mając przed sobą widmo śmierci. Niczego nie uroniła ze sceny między Gudula i Tristanem i każda trwoga matki odzywała się w jej sercu. Za każdym razem słyszała, jak trzeszczy nić, która ją utrzymywała nad przepaścią; ze dwadzieścia razy zdawało się jej, że już pęka; teraz odetchnęła nareszcie i poczuła, że ziemia przestaje chwiać się pod jej stopami. W tej chwili usłyszała głos, który mówił do starosty:

– Bycze rogi! Imć panie starosto, wieszanie czarownicy to nie moje, nie rycerskie rzemiosło. Z motłochem skończyliśmy. Pozwólcie, że powrócę do mojej kompanii, która została bez dowódcy.

Był to głos Febusa de Châteaupers. Nie sposób opisać, co się stało z Esmeraldą. Więc był tutaj – on, jej przyjaciel, jej obrońca, jej podpora, jej ucieczka, jej Febus! Podniosła się i zanim matka zdążyła jej przeszkodzić, przypadła do okienka krzycząc:

– Febusie! Do mnie! Febusie!

Febusa już nie było. Właśnie skręcał w galopie za róg ulicy Nożowniczej! Natomiast Tristan jeszcze nie odjechał.

Pustelnica z rykiem rzuciła się na córkę. Gwałtownie odciągnęła ją w tył wbijając jej paznokcie w szyję. Matki tygrysice nie dbają o delikatność. Lecz było już za późno. Tristan zobaczył.

– Hehe! – zawołał ze śmiechem, który odsłonił mu wszystkie zęby i upodobił jego twarz do wilczego pyska – dwie myszy w pułapce!

– Domyślałem się – rzekł żołnierz.

Tristan uderzył go po ramieniu.

– Dobry kot z ciebie! Nuże – dodał – gdzie Henryk Cousin?

Mężczyzna, który ani z odzienia, ani z miny nie wyglądał na żołnierza, wystąpił z szeregów. Miał strój półszary, półbrunatny, gładkie włosy, skórzane rękawy, a w wielkiej łapie trzymał pęk sznurów. Człowiek ów wszędzie towarzyszył Tristanowi, który wszędzie towarzyszył Ludwikowi XI.

– Przyjacielu – rzekł Tristan l’Hermite – mniemam, że znalazła się Cyganka, której szukamy. Powieś mi ją! Masz drabinę?

– Drabina jest w szopie koło Domu pod Filarami – odparł Henryk Cousin. – A gdzie tę rzecz zrobimy, tutaj? – zapytał pokazując na kamienną szubienicę.

– Tak.

– Ho! – odparł ze śmiechem hałaśliwym, jeszcze bardziej zwierzęcym niż śmiech starosty. – Niedaleko trzeba będzie chodzić.

– Pośpiesz się! – rzekł Tristan. – Będiesz się śmiać później.

Tymczasem, odkąd Tristan zobaczył dziewczynę, odkąd wszelka nadzieja zgasła, pustelnica nie odezwała się jeszcze ani słowem. Odrzuciła nieszczęsną Cygankę półmartwą w głąb pieczary i znów stanęła w okienku, rękami niby szponami wczepiając się w kant futryny. Stojąc tak wodziła po tych wszystkich żołnierzach wzrokiem, który znów stał się dziki i obłąkany. Kiedy Henryk Cousin zbliżył się do celi, spojrzała na niego tak strasznie, że się cofnął.

– Wielmożny panie – rzekł zwracając się do starosty – którą mam zabrać?

– Młodą.

– To dobrze! Bo ze starą byłoby trudno.

– Biedna mała tancerka z kozą! – rzekł stary dziesiętnik straży.

Henryk Cousin znów podszedł do okienka. Pod spojrzeniem matki spuścił wzrok. Rzekł dość niepewnie:

– Dobrodziejko...

Przerwała mu głosem bardzo cichym i wściekłym:

– Czego chcesz?

– Nie po was idę, po tamtą drugą – odpowiedział.

– Po jaką drugą?

– Po młodą.

Zaczęła trząść głową i krzyżeć:

– Nie ma tu nikogo! Nie ma tu nikogo! Nie ma tu nikogo!

– Ależ jest! – odezwał się kat – dobrze o tym wiecie. Dajcie mi zabrać młodą! Wam nic złego nie uczynię.

Odparła mu dziwnie drwiąco:

– A! Mnie nic złego nie uczynisz?

– Dajcie ją, dobrodziejko, pan starosta tak każe.

Odpowiedziała z obłąkaniem w oczach:

– Nie ma tu nikogo!

– Powiadam wam, że jest – odparł kat. – Widzieliśmy wszyscy, że było was dwie.

– To zajrzyj – rzekła drwiąco pustelnica. – Wsadź głowę przez okienko.

Kat spojrzał na jej pazury i nie ośmielił się.

– Prędejj! – krzyknął Tristan.

Rozstawwszy swój oddział przy Szczurzej Norze, sam na koniu, stanął pod szubienicą

Zakłopotany Henryk jeszcze raz wrócił do starosty. Położył na ziemi swój sznur i niezręcznie

obracał w palcach kapelusz.

– Wielmożny panie – zapytał – którądy wejść?

– Drzwiami.

– Nie ma drzwi.

– Oknem.

– Za wąskie.

– To je poszerz! – rzekł ze złością Tristan. – Nie masz oskardów?

Matka, wciąż na posterunku, patrzyła z wnętrza swojej nory. Niczego się już nie spodziewała, nie wiedziała, czego chce, wiedziała tylko, że nie chce, żeby jej odebrano córkę.

Henryk Cousin poszedł do szopy koło Domu pod Filarami po skrzynię z narzędziami kamieniarskimi. Stamtąd również wyciągnął składaną drabinę, którą od razu przystawił do szubienicy. Pięciu czy sześciu pacholków starościńskich uzbroiło się w oskardy i lewary, a Tristan poprowadził ich do okienka.

– Stara! – rzekł surowo starosta – wydaj nam po dobrej woli tę dziewczkę!

Gudula patrzyła na niego jak ktoś, kto nie rozumie.

– Rany boskie! – odezwał się Tristan. – Czemuż się tak sprzeciwiasz temu, byśmy powiesili tę czarownicę wedle królewskiego życzenia?

Nieszczęsna zaśmiała się dziko.

– Czemu się sprzeciwiam? Bo to moja córka!

Na dźwięk głosu, którym to słowo wymówiła, zadrżeli wszyscy, nawet i Henryk Cousin.

– Przykra sprawa! – rzekł starosta – ale taka jest wola króla.

Krzyknęła i jeszcze głośniej wybuchnęła swym straszliwym śmiechem:

– Co mnie obchodzi twój król? Powiadam ci, że to moja córka!

– Rozwalcie mur! – rozkazał Tristan.

Dla zrobienia dostatecznie dużego otworu trzeba było wyważyć tylko jeden kamień spod okna. Kiedy matka usłyszała, jak oskardy i lewary zaczynają dobierać się do jej twierdzy, krzyknęła przeraźliwie; potem, zwyczajem dzikich zwierząt, którego nabrała w swojej klatce, z przerażającą szybkością zaczęła biegać dookoła celi. Nic już nie mówiła, tylko oczy jej pały. Żołnierze czuli mróz w sercu.

Nagle porwała swój kamień, zaśmiała się i oburącz cisnęła nim w pracujących. Kamień, źle rzucony (bo ręce jej drżały), nie dotknąwszy nikogo upadł pod kopyta Tristanowego konia. Zgrzytnęła zębami.

Tymczasem zrobił się już jasny dzień, choć słońce jeszcze nie wzeszło; piękny, różowy blask opromienił stare, spróchniałe kominy Domu pod Filarami. O tej godzinie pierwsza okna na poddaszach wielkich miast budzą się i otwierają wesoło. Nieliczni jeszcze przechodnie i handlarze owoców, jadący na osłach w stronę hal, zaczęli pojawiać się na placu Grève; przystawali na chwilę przy żołnierzach zgromadzonych koło Szczyrzej Nory, przyglądali się im ze zdziwieniem i dalej jechali w swoją drogę.

Pustelnica usiadła przy córce zakrywając ją od przodu swym ciałem i z nieprzytomnym okiem słuchała, jak biedna dziewczyna, nie poruszając się, szepce cichutko jedno tylko słowo: „Febus! Febus!” Im dalej posuwała się niszczycielska praca, tym głębiej matka cofała się, machinalnie przyciskając dziewczynę do ściany. Nagle zobaczyła, że kamień drgnął (bo przez cały czas czuwała nie spuszczać oka z głazu), i usłyszała głos Tristana, zachęcającego żołnierzy. Wtedy ocknęła się z odrętwienia, które ogarnęło ją przed chwilą, i zaczęła wołać, a głos jej to rozdzierał ucho jak zgrzyt piły, to znów cichł, zduszony, jak gdyby wszystkie przekleństwa stłoczyły się na jej wargach, żeby wybuchnąć równocześnie:

– Ho! ho! ho! To potworność! Zbójce jesteście! Czy naprawdę chcecie odebrać mi córkę?

Powiadam wam, że to moja córka! O podli! O katowskie pachoły! Nędzne zbiry, mordercy! Ratunku! Ratunku! Gore! Czyż tak mi zabiorą moje dziecko? Kim więc jest ten, którego Bogiem nazywają?

I z pianą na ustach, z obłąkanym wzrokiem, na czworakach, jak pantera najeżona cała, zawołała na Tristana:

– Zbliź się tylko po moją córkę! Czy nie rozumiesz, że kobieta mówi ci, że to jest jej córka? Czy ty wiesz, co to znaczy mieć dziecko? Hej, chciwy krwi wilku, czyżbyś nigdy nie spał w legowisku ze swoją wilczycą? Czy nigdy nie miałeś wilczęcia? A jeżeli masz małe, czy nic ci się w trzewiach nie porusza, kiedy zaczynają wyc?

– Odwalcie kamień! – rzekł Tristan. – Chwieje się!

Lewary podniosły ciężki głaz. Był to, jak powiedzieliśmy, ostatni szaniec matki. Rzuciła się nań, chciała go przytrzymać; darła kamień pazurami, lecz ogromny cios, rozruszany przez szczęście mężczyzn, wymknął się z jej rąk i powoli osunął się na ziemię po żelaznych drągach.

Widząc, że wejście jest przebite, matka położyła się w poprzek otworu, własnym ciałem zagradzając wyłom i łamiąc ręce, i tłukąc głową o posadzkę, krzyczała głosem ochrypłym od zmęczenia, ledwie dosłyszalnym:

– Ratunku! Gore! Gore!

– Teraz zabierać dziewczynę! – rzekł Tristan, wciąż niewzruszony.

Matka patrzyła na żołnierzy tak strasznie, że bardziej mieli chęć cofnąć się niż postąpić naprzód.

– No, dalej! – powtórzył starosta. – Henryku Cousin, nuże!

Nikt się nie ruszył.

Starosta zaklął:

– Na głowę Chrystusa! Moi żołnierze! Bać się niewiasty!

– Wielmożny panie – rzekł Henryk – i wy to nazywacie niewiastą?

– Grzywę ma jak lew! – odezwał się jeden z żołnierzy.

– Naprzód, żywo! – rozkazał starosta. – Otwór jest dość szeroki. Wchodzić po trzech razem, jak przez wyłom w Pontoise! Kończmy, na śmierć Mahometa! Pierwszego, który by się cofnął, rozplątam na dwoje!

Żołnierze, stojący między starostą a matką, wahali się chwilę, po czym zdecydowali się i ruszyli ku Szczurzej Norze.

Kiedy pustelnica to zobaczyła, zerwała się nagle, uklękła, odgarnęła włosy z twarzy i jej wychudłe podrapane ręce bezwładnie opadły wzdłuż ud. Wielkie łzy zaczęły spływać z jej oczu, jedna za drugą; płynęły brudami po policzkach jak potoki w łożysku, które sobie wyźłobiły. I równocześnie zaczęła mówić, lecz głosem tak błagalnym, tak łagodnym, tak pokornym i tak rozdzierającym, że niejeden stary oprawca z otoczenia Tristana, który gotów byłby jeść ludzkie mięso, ocierał oczy.

– Wielmożni panowie! Panowie strażnicy! Jedno słowo! Muszę wam to powiedzieć. To moja córka, widzicie, moja ukochana, mała córeczka, którą utraciłam. Słuchajcie! To cała opowieść. Trzeba wam wiedzieć, że dobrze znam panów strażników. Oni zawsze byli dobrzy dla mnie w tych czasach, kiedy mali chłopcy rzucali za mną kamieniami za to, że jestem grzeszny żywot wiodła. Posłuchajcie! Jak się wszystkiego dowiecie, to mi zostawcie moje dziecko. Jestem biedną ladacznicą. To Cyganki mi ją ukradły. Przez całe piętnaście lat miałam tylko jej trzewiczek. O, ten! Taką miała nóżkę! W Reims! Wiosenka, przy ulicy Ogromnego Zmartwienia. Możeście ją znali? To ja byłam. Wtedy, kiedy byliście młodzi. Piękne to były czasy! Dobre się miało chwile! Ulitujecie się nade mną, prawda, wielmożni panowie? Cyganki mi ją skradły i ukrywały ją przede mną przez piętnaście lat. Myślałam, że nie żyje. Przetrwiałam piętnaście lat tu, w tym

lochu, bez ognia w zimie. To ciężko! Biedny, kochany trzewiczek! Tak rozpaczalam, że mnie dobry Pan Bóg wysłuchał. Tej nocy oddał mi moją córkę. To cud boży! Nie umarła! Nie zabierzecie mi jej, jestem pewna! Gdybyście jeszcze po mnie przyszli, tobym nic nie mówiła, ale ona, szesnastoletnie dziecko! Pozwólcie jej popatrzeć na słońce... Co ona wam zrobiła? Nic zgoła! Ja też nic. Gdybyście wiedzieli, że tylko ją mam na świecie, że jestem stara, że to Matka Boska zesłała mi swoje błogosławieństwo. Przecież wy jesteście dobrzy! Nie wiedzieliście, że to moja córka, teraz już wiecie. Ja ją kocham. Wielmożny panie starosto, lepiej zrób mnie dziurę w sercu, niżbyś jej miał zadrapać palec. Wyglądasz na dobrego pana. Teraz, jak wam powiedziałam wszystko, rozumiecie, prawda? I wy mieliście matkę, wielmożny panie, jesteście dowódcą, zostawcie mi moje dziecko. Spójrzcie, błagam was na kolanach, tak jak się błaga Jezusa. Nikogo o nic nie proszę. Jestem z Reims, wielmożni panowie; mam tam poletko po moim wuju, Macieju Pradon. Nie jestem żebraczką. Nic nie chcę od nikogo, chcę tylko zachować moje dziecko. O, chcę mieć przy sobie moje dziecko! Dobry Bóg, który jest panem nad pany, nie wrócił mi jej przecież nadaremnie! Król! Król, powiadacie! I jakaż z tego będzie dla niego uciecha, leżeli zabierzecie mi moją córkę! Przecież król jest dobry. To moja córka! Moja córeczka! Moja własna! Nie króla! Nie wasza! Pójdę stąd. Razem stąd pójdziemy! Przecież każdy musi przepuścić dwie kobiety, z których jedna jest matką, druga córką... Puśćcie nas! Jesteśmy z Reims. O, przecież wy jesteście dobrzy! Panowie strażnicy, kocham was wszystkich. Nie odbierzecie mi mojej ukochanej córuchy, to niemożliwe. Prawda, że to zupełnie niemożliwe? Moje dziecko! Moje dziecko!

Daremnie próbowalibyśmy opisać jej ruchy, ton jej głosu, łzy, które połykała mówiąc, ręce, które składała i załamywała na przemian, rozdzierające uśmiechy, błagalne spojrzenia, jęki, westchnienia, żalosne i przejmujące krzyki, którymi Przeplatała swoje słowa bezładne, obłąkane, pozbawione związku. Kiedy umilkła, Tristan l’Hermite zmarszczył brwi, lecz dlatego, żeby ukryć Iżę, która stanęła w jego tygrysim oku. Przewycięzył jednakże tę słabość i rzekł krótko:

– Król tak każe!

Po czym pochylił się do ucha Henryka Cousin i rzekł mu po cichu:

– Kończ szybko!

Groźny starosta czuł, być może, że jemu również zabraknie odwagi.

Kat i pachołkowie wkroczyli do celi. Matka nie stawiała żadnego oporu, poczołgała się tylko ku dziewczynie i nakryła ją swoim ciałem. Cyganka zobaczyła zbliżających się żołnierzy. Strach przed śmiercią przywrócił jej siły.

– Matko! – krzyknęła z niewymowną rozpaczą w głosie. – Matko! Nadchodzą! Broń mnie!

– Tak, najmilsza, bronię cię – odpowiedziała matka gasnącym głosem i ucałowała ją. Te dwie kobiety na ziemi, ta matka ochraniająca córkę własnym ciałem tworzyły obraz zaiste godny litości.

Henryk Cousin chwycił dziewczynę w pól, ujął pod piękne ramiona. Kiedy poczuła dotknięcie tych dłoni, krzyknęła: „O!” – i zemdląca. Katowi łzy płynęły z oczu i wielkimi kroplami kapały na dziewczynę. Chciał ją podnieść. Usiłował oderwać od niej matkę, która jak gdyby obwiązała ramionami ciało córki. Lecz tak mocno uczepiła się swego dziecka, że nie można ich było rozdzielić. Henryk Cousin wywlócił więc z celi dziewczynę razem z matką. Matka również miała zamknięte oczy.

Słońce właśnie wzeszło, a na placu zgromadziło się już dość znaczne zbiegowisko gapiów, którzy z pewnej odległości przyglądali się, co też pachołkowie ciągnęli po bruku w kierunku szubienicy! Starosta Tristan taki właśnie obyczaj wprowadził: bezwzględnie nie pozwalał ciekawym zbliżać się podczas kaźni.

W oknach nie było nikogo. Tylko w oddali, na szczycie tej wieży katedry Marii Panny, która

wznosi się naprzeciwko placu Grève, widać było dwie postacie męskie, czarne na tle jasnego porannego nieba, które zdawały się patrzeć.

Henryk Cousin dowlókl swój ciężar do stóp złowieszczej drabiny i ledwie oddychając, bo tak wielka litość go zdjęła, założył pętlę na piękną szyję dziewczyny. Nieszczęśliwa poczuła potworne dotknięcie konopnego powroza. Podniosła powieki i zobaczyła nagie ramię szubienicy wyciągnięte nad jej głową. Wtedy wstrząsnęła się i krzyknęła przeraźliwym głosem:

– Nie! Nie! Nie chcę!

Matka trwała z głową ukrytą w fałdach jej sukni, nie wyrzekłszy ani słowa, ujrano tylko, że zadrżała na całym ciele, i usłyszano, że jeszcze goręcej całuje swoje dziecko. Kat skorzystał z tej chwili, żeby szybko rozpleść ręce, którymi obejmowała skazaną. Nie opierała się – może z wyczerpania, może z rozpacz. Wówczas zarzucił sobie dziewczynę na plecy i śliczne stworzenie zwisło z jego barków przegiąwszy się w pół na potężnym karku oprawcy.

W tej chwili matka leżąca na bruku otworzyła szeroko oczy. Bez krzyku podźwignęła się ze straszną twarzą, potem, jak zwierz na zdobycz, rzuciła się na rękę kata i ugryzła ją. Stało się błyskawicznie. Kat zawył z bólu. Pachołkowie doskoczyli i z trudem wyrwali jego krwawiącą rękę z zębów matki. Wciąż milczała. Odepchnęli ją dość brutalnie i ujrano, że głowa jej ciężko upadła na bruk. Podnieśli ją, upadła powtórnie. Nie żyła.

Kat, który nie wypuścił z rąk dziewczyny, zaczął wchodzić na drabinę.

II

LA CREATURA BELLA BIANCO VESTITA

Kiedy Quasimodo zobaczył, że cela jest pusta, że nie ma w niej Cyganki, że porwano ją wówczas, kiedy on jej bronił, oburącz chwycił się za włosy i stanął jak wryty ze zdumienia i bólu, po czym zaczął biegać po caluteńkim kościele szukając Cyganki, napełniając każdy kąt nieludzkim wyciem i rozsiewając po posadzce swoje rude włosy. W tej właśnie chwili zwycięscy łucznicy królewscy wkroczyli do katedry również szukając Cyganki. Quasimodo, głuchy biedak, pomagał im, nie domyślając się, jak złe mają zamiary; sądził, że to żebracy byli wrogami Cyganki. Osobiście prowadził Tristana l’Hermite do wszystkich możliwych skrytek, otwierał przed nim tajemne drzwi, wnętrza ołtarzy, schowki zakrystii. Gdyby nieszczęśliwa dziewczyna jeszcze się tutaj znajdowała, on to by ją wydał. Kiedy bezowocne poszukiwania znużyły wreszcie Tristana, a niełatwo go było znużyć, Quasimodo szukał dalej sam. Dwadzieścia razy, sto razy obchodził cały kościół wzdłuż i wszerz, w górę i w dół, wchodził, schodził, biegał, nawoływał, krzyczał, węszył, szperał, grzebał, zaglądał w każdą dziurę, świecił pochodnią pod każdym wysklepkim – zrozpaczony, oszalały. Samiec, który stracił samicę, nie miotałby się bardziej i nie ryczał głośniej. Wreszcie, kiedy przekonał się, i to przekonał niezbicie, że jej już tu nie ma, że stało się, że mu ją porwano, wszedł powoli po schodach prowadzących na wieżę, po tych samych schodach, które w tak triumfalnym uniesieniu przebiegał w tamtym dniu, kiedy ją ocalił. Teraz szedł tą samą drogą, ze zwieszoną głową, bez łzy, bez słowa, nie oddychając prawie. Kościół znów był pusty, i pogrążony w ciszy. Łucznicy opuścili go, poszli ścigać czarownicę w Cité. Quasimodo został sam w ogromnej katedrze, jeszcze przed chwilą tak tłumnie i gwarnie obleganej, i powędrował w stronę celi, w której Cyganka przez tyle tygodni spała pod jego strażą. Zbliżając się, wyobraził sobie, że może ją tam znajdzie. Kiedy z zakrętu krużganka wychodzącego na dachy bocznych naw ujrzał wążutką izdebkę z małym okienkiem i małymi

drzwiczkami, ukrytą pod wielkim przyporowym łukiem jak ptasie gniazdko pod konarem, nie stało siły biednemu człowiekowi i oparł się o filar, żeby nie upaść. Wyobraził sobie, że może wróciła, że jakiś dobry duch ją odprowadził, że ta celka jest nazbyt spokojna, bezpieczna i urocza, aby mogło jej tam nie być, i nie śmiał zrobić ani kroku dalej, lękając się, żeby nie przysło złudzenie. „Tak – mówił sobie w duchu – może śpi albo modli się. Nie trzeba jej przeszkadzać.”

Wreszcie przemógł się i podszedł na palcach, zajrzał, wszedł. Pusto! Cela była wciąż pusta. Nieszczęśliwy głuchy obszedł ją wolno, uniósł posłanie, jak gdyby dziewczyna mogła skryć się między siennikiem i posadzką, potem potrząsnął głową i stał otepiały. Nagle wściekłym ruchem zdeptał pochodnię i bez jednego słowa, bez jednego westchnienia z rozbiegu rzucił się głową o mur i upadł bez zmysłów na posadzkę.

Kiedy odzyskał przytomność, padł na posłanie, wtulił się w nie, całował jak szaleniec ciepłe jeszcze miejsce, na którym spała dziewczyna, i zastygł w bezruchu, jakby miał tu skonać; potem wstał, zlany potem, zadyszany i nieprzytomny, i zaczął tłuc głową o mur z przerażającą regularnością serc swoich dzwonów, z zawziętością człowieka, który postanowił roztrzaskać sobie czaszkę. Wreszcie wyczerpany, upadł po raz wtóry, na kolanach wyczołgał się z celi i przysiadł na wprost jej drzwi, w takiej pozycji, jakby się czemuś dziwił. Siedział tak przeszło godzinę – nieruchomo, wzrok wlepiwszy w pustą celę, posepny i zamyślony, jak matka siedząca między pustą kołyską i trumienką, w której dziecko leży. Nie odzywał się ani słowem, tylko niekiedy szloch wstrząsał gwałtownie jego ciałem, szloch bez łez, jak owe letnie bezgłośnie błyskawice.

Chyba to właśnie wtedy, szukając wśród rozpaczliwych rozpamiętywali, kto by mógł tak nieoczekiwanie porwać Cyganekę, pomyślał o archidiakonie. Przypomniał sobie, że tylko ksiądz Klaudiusz miał klucz od schodów prowadzących na wieżę, przypomniał sobie jego nocne zakusy na dziewczynę, pierwsze – w których on, Quasimodo, pomagał mu, i drugie – w których mu przeszkodził. Przypomniał sobie tysiące szczegółów i wkrótce nabrał pewności, że to archidiakon mu zabrał Cyganekę. Tak ogromny jednak był jego szacunek dla księdza – wdzięczność, przywiązanie i miłość do tego człowieka tak głęboko zapuściły w jego sercu korzenie, że nawet w takiej chwili oparły się szponom zazdrości i rozpacz.

Myślał, że uczynił to archidiakon, lecz gniew, krwawy i śmiertelny, który byłby czuł w stosunku do każdego innego człowieka, gdy chodziło o Klaudiusza Frollo, potęgował tylko cierpienie w sercu biednego głuchego.

Kiedy jego myśli skupiły się na osobie księdza, brzask świtu pobielił przeporowe łuki i Quasimodo zobaczył na najwyższym piętrze katedry, przy zakręcie zewnętrznej balustrady otaczającej absydę, posuwającą się postać ludzką. Szła w jego stronę. Poznał ją. Był to archidiakon. Klaudiusz szedł krokiem ciężkim i powolnym. Nie patrzył przed siebie, kierował się ku północnej wieży, lecz twarz miał zwróconą w bok, ku prawemu brzegowi Sekwany, i wysoko podnosił głowę, jakby usiłował coś zobaczyć ponad dachami. Sowa często bywa w ten sposób przechylona. Leci w jedną stronę, patrzy w drugą. Ksiądz przeszedł tak tuż nad Quasimodo nie spostrzegając go.

Głuchy, który skamieniał na widok tego nagłego zjawiska, zobaczył, jak znika w drzwiach schodów prowadzących na południową wieżę. Czytelnik wie, że z tej właśnie wieży widać ratusz. Quasimodo podniósł się i poszedł śladem archidiakona.

Szedł schodami na wieżę po to tylko, żeby się dowiedzieć, po co ksiądz tam wchodził. Biedny dzwonnik nie wiedział zresztą, co uczyni, co powie – nie wiedział, czego chce. Był pełen gniewu i pełen lęku. Archidiakon i Cyganka starli się w jego sercu.

Kiedy się znalazł na szczycie wieży, zatrzymał się w cieniu klatki schodowej i zanim wyszedł na taras, ostrożnie zbadał, gdzie jest ksiądz. Ksiądz stał odwrócony doń tyłem. Taras na

dzwonnicy otacza ażurowa balustrada. Ksiądz, zatopiwszy spojrzenie w mieście, oparł się pierśią o tę z czterech stron balustrady! która znajduje się naprzeciwko mostu Matki Boskiej.

Quasimodo skradając się kocimi krokami podszedł, żeby zobaczyć, na co on tak patrzy. Uwaga księdza do tego stopnia była gdzie indziej, że nie usłyszał zbliżających się kroków głuchego.

Jakże wspaniały i piękny jest widok Paryża, a zwłaszcza ówczesnego Paryża, z wysokości wież katedry Marii Panny w świeżym świetle letniego świtu. Było to chyba w lipcu. Niebo było niepokalanie pogodne. Zapóźnione gwiazdy dogasały jeszcze tu i ówdzie, a jedna z nich, bardzo jasna, świeciła na wschodzie w najjaśniejszej stronie nieba. Słońce miało wzejść za chwilę. Paryż zaczynał się budzić. Światło, bardzo jasne i bardzo czyste, wydobywało od wschodu zarysy miasta utworzone przez tysiące domów. Olbrzymi cień dzwonnicy przesunął się po dachach z krańca na kraniec wielkiej stolicy. Niektóre dzielnice już się odzywały i hałasowały. Tu uderzał dzwon, tam uderzał młot, ówdzie znów rozlegał się skomplikowany stukot jadącego wozu. Pierwsze dymy zaczynały się wydobywać tu i ówdzie nad tę powierzchnię dachów, niby opary, które się wymykają przez szczeliny w stwardniałej skorupie ogromnego siarczanego bagniska. Rzeka marszcząca swoje wody u przęseł tylu mostów, u cyplów tylu wysp, mieniła się, sfałdowana srebrzyście. Wokół miasta, za jego obronnymi murami wzrok tonął w wielkim kręgu kłębiących się mgieł, poprzez które przebijały się niewyraźnie niekończące się linie równin i śliczne wypukłości pagórków. Przeróżne szmery drgały w powietrzu nad tym na pół obudzonym miastem. Poranny wiatr pędził na wschód po niebie białe kłaczkę, wrywane z runa mgieł na wzgórzach.

Na dziedzińcu kościelnym kobieciny niosące dzbanki z mlekiem pokazywały sobie ze zdumieniem rozbite wrota katedry i dwie duże strugi ołowiu, skrzepłe w szczelinach między płytami z piaskowca. Było to wszystko, co zostało po nocnej utarczce. Stos, rozpalony przez Quasimodo między wieżami, zgasł. Tristan uprzętnął już plac, a trupy kazał wrzucić do Sekwany. Królowie tacy jak Ludwik XI dbają, żeby szybko zmyć bruk po rzezi.

Za balustradą wieży, tuż pod tym miejscem, w którym zatrzymał się ksiądz, znajdowała się jedna z tych kamiennych rynien, fantastycznie rżniętych, które sterczą ze ścian gotyckich budowli. W jej szczelinie dwa pięknie rozkwitłe goździki, poruszone i jak gdyby ożywione tchnieniem wiatru, kłaniały się sobie swawolnie. Nad wieżami, w górze, gdzieś hen w niebie, słychać było urywane nawoływania się ptaków.

Lecz ksiądz tego nie widział, nie słyszał. Był on jednym z tych ludzi, dla których nie istnieją poranki, kwiaty i ptaki. Wśród rozległego widnokągu, który tyle form przybierał wokół niego, jeden jedyny punkt przykuwał jego wzrok.

Quasimodo aż paliło pragnienie, żeby go spytać, co zrobił z Cyganką. Lecz archidiakon zdawał się przebywać w tej chwili w innym świecie. Przeżywał najwidoczniej jedną z tych gwałtownych chwil życia, kiedy człowiek nie spostrzegłby, że się ziemia zapada. Stał z oczami utkwionymi niezmiennie w jedno miejsce, stał milczący i nieruchomy; a w tym milczeniu, w tym bezruchu było coś tak groźnego, że dziki dzwonnik drżał i nie śmiał ich naruszyć. Tyle tylko, że – co też zresztą było swego rodzaju pytaniem – zaczął śledzić, gdzie pada spojrzenie archidiakona, i w ten sposób wzrok głuchego nieszczęśnika dotarł na plac Grève.

Zobaczył, czemu się ksiądz tak przypatrywał. O szubienicę była oparta drabina. Na placu stało trochę gapiów i bardzo wielu żołnierzy. Jakiś człowiek włókł po bruku jakiś biały przedmiot, do którego jakiś czarny przedmiot był przyczepiony. Człowiek ów zatrzymał się u stóp szubienicy.

Tu stało się coś, czego Quasimodo nie dojrzał wyraźnie. Nie dlatego, by jedyne jego oko utraciło nagle bystrość widzenia, ale oddział żołnierzy zasłonił część tej sceny. W tej samej chwili weszło zresztą słońce i taka ogromna fala światła wylała się spoza widnokągu, iż

rzekłbyś, że wszystkie wierzchołki Paryża, wszystkie wieże, kominy i szczyty zapaliły się równocześnie.

Tymczasem ów człowiek zaczął wchodzić po drabinie. Teraz Quasimodo widział go wyraźnie. Niósł na plecach kobietę, dziewczynę, białą odzianą dziewczyna miała pętlę na szyi.

Quasimodo poznał ją.

To była ona.

Człowiek wszedł na szczyt drabiny. Umocował pętlę. W tej chwili ksiądz chcąc lepiej widzieć, ukląkł na parapecie balustrady.

Nagle człowiek ów z całej siły odepchnął nogą drabinę i Quasimodo, który już od kilku chwil wstrzymywał oddech, ujrzał, że na końcu powroza, dwa łokcie nad brukiem, kołysze się nieszczęśliwa dziewczyna z siedzącym na jej ramionach' katem. Powróż zakręcił się kilkakrotnie i Quasimodo zobaczył, że straszliwy skurcz przebiegł po całym ciele Cyganki. A ksiądz, wyciągając szyję, z wybałuszonymi oczami wpatrywał się również w tę przerażającą parę: w oprawcę i dziewczynę – w pajaka i muchę.

W najstraszniejszej chwili szatański śmiech – śmiech, którym śmiać się można wtedy tylko, kiedy przestaje się już być człowiekiem – buchnął na siną twarz księdza. Quasimodo nie usłyszał tego śmiechu, ale go zobaczył. Dzwonnik, stojący za archidiakonem, cofnął się na parę kroków i nagle, runąwszy nań z furją, pchnął go swymi potężnymi rękoma w przepaść, nad którą ksiądz Klaudiusz się nachylał.

Ksiądz krzyknął:

– Potępienie!

I spadł.

Zatrzymał się na rynnie, nad którą się znajdował. Rozpaczliwie uczeplił się jej rękami i kiedy już otwierał usta, by krzyknąć po raz wtóry, zobaczył, że zza krawędzi balustrady, tuż nad jego głową, wylania się groźna, mściwa twarz Quasimodo. Wówczas zamilkł.

Pod nim była przepaść. Dwieście stóp dzieliło go od bruku. Archidiakon w tym straszliwym położeniu nie wymówił ani jednego słowa, nie wydał ani jednego jęku. Nadludzkim wysiłkiem podkurczył się na rynnie, chcąc się wydzwignąć. Lecz palce jego ześlizgiwały się po granicie, a stopy, nie znajdując oparcia, zsuwały się z poczerniałej ściany. Ci, którzy wchodzili na wieże katedry Marii Panny, wiedzą, że tuż pod balustradą znajduje się wypukły gzyms kamienny. Po tym właśnie wklęśnięciu muru daremnie usiłował wspiąć się archidiakon. Miał do czynienia ze ścianą już nawet nie pionową, lecz umykającą się spod stóp.

Quasimodo przez podanie ręki mógłby go wydzwignąć z otchłani, lecz on nawet nie patrzył na archidiakona. Patrzył na plac Grève. Patrzył na szubienicę. Patrzył na Cyganke. Opierał się o balustradę w tym samym miejscu, w którym przed chwilą znajdował się archidiakon, stał tam, nie odrywając spojrzenia od jedynej rzeczy, która w tej chwili istniała dlań na świecie, nieruchomy i niemy; jak człowiek rażony piorunem; a długi strumień łez cicho płynął z tego oka, w którym do tej pory ukazała się jedna tylko łza.

Archidiakon sapał. Łyse czoło spływało mu potem, paznokcie krwawiły na kamieniach, kolana ocierały się o mur. Słyszał, jak sutanna, zaczepiona o rynnę, trzeszczy i rozdziera się za każdym podrygiem jego ciała. Na dobitkę rynna zakończona była ołowianą rurą, która ustępowała pod jego ciężarem. Archidiakon czuł, że ta rura wygina się powoli. I wiedział, nieszczęsny, że kiedy mu ręce omdleją ze zmęczenia, kiedy sutanna rozerwie się, kiedy ten ołów się zegnje, trzeba będzie spaść i strach targał mu trzewiami. Chwilami zerkał nieprzytomnie na niewielki taras, o jakie dziesięć stóp poniżej utworzony z rzeźb, i błagał niebiosa z głębi swej zrozpaczonej duszy, żeby było mu dane dokonać żywota na tej przestrzeni dwu stóp kwadratowych, nawet gdyby miał żyć jeszcze sto lat. Jeden, jedyne raz tylko spojrzał w dół, w

przepaść; kiedy odwrócił od niej głowę, oczy miał zamknięte, a włosy zjeżone.

Było coś przerażającego w milczeniu tych dwu ludzi. Kiedy archidiakon dogorywał tuż obok – i w tak straszny sposób, Quasimodo płakał i patrzył na plac Grève.

Archidiakon widząc, że każde jego poruszenie nadweręża tylko kruchy i jedyny, jaki mu jeszcze pozostał, punkt oparcia, przestał się ruszać. Wisiał obejmując rynnę i nie oddychając prawie, a jedynym drgnieniem, które wstrząsało jego ciałem, był ów bezwiedny skurcz mięśni brzucha, który odczuwamy, kiedy we śnie zdaje się nam, że spadamy. Znieruchomiałe jego oczy były otwarte. Powoli jednakże tracił oparcie. Palce jego ześlizgiwały się po rynnie, coraz dotkliwiej czuł słabość rąk i ciężar własnego ciała. Ołowiany łuk, który go dźwigał, co chwila zniżał się nieco ku przepaści. Pod sobą widział – o zgrozo! – dach rotundy Św. Jana, mały jak na pół zgięta karta. Spoglądał po kolei na obojętne rzeźby na wieży, jak i on zawieszony nad przepaścią, ale nie czujące ani lęku o siebie, ani litości dla niego. Wszystko dokoła było kamienne; na wprost jego oczu – potwory z porozwieranymi paszczami; pod nim, w dole na placu – bruk; nad jego głową – płaczący Quasimodo.

Na dziedzińcu katedralnym zebrało się kilku pocziwych gapiów, którzy spokojnie usiłowali odgadnąć, kim może być ów wariat, co się zabawia w tak niezwykły sposób. Ksiądz słyszał, co mówią, bo ich głosy, wyraźne, choć słabe, dochodziły do niego:

– Przecież on kark sobie skręci!

Quasimodo płakał.

Wreszcie archidiakon, któremu z przerażenia i wściekłości piana wystąpiła na usta, zrozumiał, że wszystko stracone. Zebrał jednak ostatek siły, by spróbować po raz ostatni. Wyprężył się, przywarł do rynny, odepchnął się kolanami od ściany, palcami wczepił się w szczelinę w kamieniu i zdołał wydzwignąć się może na stopę, lecz od wstrząsu zgiął się gwałtownie ołowiany dziób, na którym się opierał. Równocześnie pękła sutanna. Wówczas, czując, że wszystko mu się wymyka, że pozostały mu tylko sztywniejące, omdlewające ręce czegoś jeszcze uczeplone, nieszczęśliwy zamknął oczy i puścił rynnę. Runął w dół.

Quasimodo patrzył, jak spada.

Upadek z tak wysoka rzadko bywa pionowy. Archidiakon, ciśnięty w przestrzeń, początkowo spadał głową w dół, z wyciągniętymi rękami; potem okręcił się kilkakrotnie dookoła własnej osi. Wiatr zniósł go na dach jakiegoś domu i tu nieszczęśliwy się roztrzaskał. Jednak żył jeszcze. Dzwonnik ujrzał, że paznokciami usiłuje zahaczyć się o szczyt; lecz pochyłość dachu była zbyt spadzista, a on nie miał już sił. Ześliznął się po dachu jak odbita dachówka i spadł na bruk, podskakując na nim parokrotnie. I nie poruszył się więcej.

Wówczas Quasimodo spojrział na Cygankę, której ciało zawieszony na szubienicy drgało w oddali pod białą suknią w ostatnich dreszczach konania, potem spojrział na archidiakona, który rozciągnięty u stóp wieży stracił już kształt człowieka – rzekł ze szlochaniem podnoszącym jego potężną pierś:

– O! wszystko, co kochałem!

III

ŚLUB FEBUSA

Tego samego dnia pod wieczór, kiedy urzędnicy sądu biskupiego zabrali z bruku przed

katedrą zniekształcone zwłoki archidiakona, Quasimodo znikł z katedry Awarii Panny.

Wiele się mówiło o tym wydarzeniu. Nikt nie wątpił, że nadszedł dzień, w którym, zgodnie z zawartym paktem, Quasimodo-diabeł miał zabrać Klaudiusza Frollo-czarownika. Przypuszczano, że biorąc duszę roztrzaskał ciało, jak mała tłucze skorupkę, żeby zjeść jądro orzecha.

Dlatego też nie pochowano archidiakona w poświęconej ziemi.

Ludwik XI umarł w rok później, w sierpniu 1483.

Piotrowi Gringoire zaś udało się uratować kozę i osiągnąć sukcesy w tragedii. Zdaje się, że skosztowawszy kolejno astrologii, filozofii, architektury, hermetyki – wszystkich niedorzeczności, powrócił do tragedii, która jest najbardziej z tego wszystkiego niedorzeczna. Z tej też przyczyny mówił o sobie, że „skończył tragicznie”. Oto, co w sprawie jego dramatycznych triumfów przeczytać można w rachunkach ordynariusza z roku 1483:

„Janowi Marchand i Piotrowi Gringoire, cieśli i kompozytorowi, którzy wykonali i ułożyli misterium odegrane w Châtelet w Paryżu w dniu wjazdu jego eminencji legata, za opłacenie i przyozdobicie aktorów w tym misterium występujących, a również za zbudowanie niezbędnych do tego rusztowań – grzywien sto”.

Febus de Châteaupers skończył również tragicznie – ożenił się.

IV

ŚLUB QUASIMODO

Powiedzieliśmy, że Quasimodo znikł z katedry w dniu śmierci Cyganki i archidiakona. Nigdy go już nie ujrzano, nikt się nie dowiedział, co się z nim stało.

W nocy po kaźni Esmeraldy pacholki katowscy zdjęli jej ciało z szubienicy i według zwyczaju wrzucili je do lochów Montfaucon.

Montfaucon, jak powiada Sauval, była to „najdawniejsza i najwspanialsza w całym królestwie szubienica”. Między przedmieściem Tempie i przedmieściem Św. Marcina, w odległości stu sześćdziesięciu sążni bez mała od murów Paryża, o kilka strzałów z kuszy od Courtille, na szczycie wyniosłości łagodnej, lecz dostatecznie wysokiej, żeby ją widać było na kilka mil dookoła, stoi niezwyklego kształtu budowla, dość podobna do celtyckiego kromlechu, gdzie również składano ofiary z ludzi.

Wyobraźmy sobie ogromny prostopadłościan ustawiony na wierzchołku gipsowego kopca, wysoki na piętnaście stóp, szeroki na trzydzieści, a na czterdzieści długi, z drzwiami, zewnętrznymi schodami i platformą; na tej platformie szesnaście potężnych słupów z nieciosanego kamienia, wysokich na trzydzieści stóp, rozstawionych w kolumnadę przy trzech krawędziach dźwigającego je czworobocznego masywu i połączonych ze sobą na wierzchołkach mocnymi belkami, z których w równych odstępach zwisają łańcuchy, a u tych łańcuchów szkielety; w pobliżu, na równinie, kamienny krzyż i dwie pośledniejsze szubienice, niby pędy, co odrosły od głównego pnia; nad tym wszystkim, w niebie, nieustannie krążące stada kruków. Oto Montfaucon.

U schyłku piętnastego wieku straszliwa szubienica, zbudowana w roku 1328, była już bardzo zgrzybiała. Belki spróchniały, łańcuchy zardzewiały, słupy pokryła zielona pleśń. Między warstwami kamiennych ciosów potworzyły się szczeliny i trawa zarosła tę platformę nie tykaną ludzką stopą. Budowla ta tworzyła potworny kształt na tle nieba, zwłaszcza w nocy, kiedy słaba

poświata księżycy padała na białe czaszki, a wieczorny wiatr chrobotał łańcuchami i szkieletami, poruszając tym wszystkim w ciemności. Sama obecność tej szubienicy sprawiła, że cała okolica stała się posepna, złowroga.

Kamienne podmurowanie dźwigające ten obrzydliwy gmach było wewnątrz próżne. Znajdował się w nim obszerny loch zamykany starą, połamaną kratą żelazną, do którego wrzucano nie tylko szczątki ludzkie, zdjęte z łańcuchów Montfaucon, lecz również i ciała tych wszystkich nieszczęśliwych, którzy Traceni zostali na innych szubienicach Paryża. W tej głębokiej kostnicy, gdzie tyle ludzkich prochów i tyle zbrodni zgniło pospołu, niejedną można tego świata i niejedną niewinny złożył swoje kości w ciągu tych lat, poczynając od Enguerranda de Marigny, założyciela Montfaucon, który był człowiekiem sprawiedliwym, aż po admirała de Coligny, ostatniego klienta Montfaucon, który też był człowiekiem sprawiedliwym.

Co się zaś tyczy tajemniczego zniknięcia Quasimodo – oto, co udało się nam ustalić.

W niespełna dwa lata czy też w półtora roku po wydarzeniach zamykających mniejszą opowieść, kiedy zabierano z lochu Montfaucon zwłoki Oliwiera le Daim, powieszono przed dwoma dniami, któremu Karol VIII łaskawie zezwolił spocząć na cmentarzu Św. Wawrzyńca w nieco godniejszej kompanii znaleziono wśród tych straszliwych szczątków dwa szkielety: jeden z nich trzymał drugi w jakimś niezwykłym objęciu. Jeden z tych szkieletów, który był szkieletem kobiecym, miał jeszcze na sobie strzępy sukni z materiału niegdyś białego, a na szyi jego widniał naszyjnik z ziarenek azedarachu z jedwabnym woreczkiem, ozdobionym zielonym szkiełkiem. Woreczek był otwarty i pusty. Te przedmioty warte były tak niewiele, że najwidoczniej kaci nie połakomili się na nie. Drugi szkielet, silnie obejmujący tamten, był szkieletem mężczyzny. Zauważono, że ma skrzywiony kręgosłup, głowę wsuniętą między łopatki i jedną nogę krótszą od drugiej. Żaden z kręgów szyi nie był złamany, z czego wynikało, że mężczyzna nie został powieszony. Człowiek, do którego należał ów szkielet, musiał więc przyjść tutaj i tutaj umrzeć. Kiedy próbowano odłączyć go szkieletu, który trzymał w uścisku, rozsypał się w proch.